



Autorka
bestsellerowej
powieści
Miniaturzystka

MUZA
JESSIE BURTON



Jessie Burton

Przełożyła
Agnieszka Kuc

Wydawnictwo Literackie

Tytuł oryginału: MUSE

Opieka redakcyjna: JOLANTA KORCUĆ

Redakcja: PAWEŁ CIEMNIEWSKI

Korekta: ANETA TKACZYK, PATRYCJA WOJKOWSKA, AGATA WRÓBEL

Projekt okładki i stron tytułowych na podstawie oryginału: ROBERT
KLEEMANN

Redakcja techniczna: ROBERT GĘBUŚ

Skład i łamanie: Infomarket Copyright © Peebo & Pilgrim Ltd 2016

Wszystkie prawa zastrzeżone

Fragment z *G* za pozwoleniem **Bloomsbury Publishing Plc**

© **John Berger, 2012, G, Bloomsbury Publishing Plc**

© Copyright for the Polish translation by **Wydawnictwo Literackie, 2016**

Wydanie pierwsze ISBN 978-83-08-05915-9 **Wydawnictwo Literackie Sp. z**

o.o.

ul. Długa 1, 31-147 Kraków

tel. (+48 12) 619 27 70

fax. (+48 12) 430 00 96

bezpłatna linia telefoniczna: 800 42 10 40

e-mail: ksiegarnia@wydawnictwoliterackie.pl

Księgarnia internetowa: www.wydawnictwoliterackie.pl

Konwersja: eLitera s.c.

*Dla Alice, Teasel i Pipa
Nigdy już żadna historia nie będzie
opowiadana tak, jakby była tą jedyną.*

JOHN BERGER

I

KAPUSTA I KRÓLOWIE*





Nie każdy z nas otrzymuje to, na co sobie zasłużył. Wiele zdarzeń zmieniających bieg naszego życia – rozmowa z nieznanym na statku na przykład – to zwykły łut szczęścia. A jednak nikt nie pisze do ciebie listu ani nie wybiera cię na powiernika bez konkretnego powodu. Ona właśnie tego mnie nauczyła: żeby spotkało nas szczęście, trzeba wyjść mu naprzeciw. Żeby grać, trzeba rozstawić pionki.

Kiedy nadszedł ten szczególny dzień w moim życiu, panował taki skwar, że pod pachami mojej bluzki – identycznej jak te, w które sklep obuwniczy ubierał pozostałe pracownice – pojawiły się wielkie plamy.

– Rozmiar buta obojętny, kochana – powiedziała kobieta, lekko osuszając czoło chusteczką.

Bolały mnie ramiona, skóra na czubkach palców była podrażniona.

Wpatrywałam się w nowo przybyłą. Pot nadał jej jasnym, opadającym na czoło włosom barwę zmokłej myszy. Londyński upał, ten to nigdy nie odpuszcza. Jeszcze o tym nie wiedziałam, ale ta kobieta była moją ostatnią klientką.

– Słucham?

– Tak jak powiedziałam – westchnęła. – Rozmiar obojętny.

Za chwilę miałyśmy zamykać, zbliżała się pora odkurzenia wykładziny z płatków łuszczącej się skóry, „paprochów”, jak mawiałyśmy. Cynth wciąż powtarzała, że z tego, co zbierałyśmy z dywanu, można by uformować całą stopę, monstrum zdolne odtańczyć z przytupem irlandzką gigę. Cynth kochała swoją pracę w sklepie sieci obuwniczej Dolcis Shoes i załatwiła mi taką samą, ale już po pierwszej porannej godzinie zatęskniłam za chłodem mojego pokoju, moimi tanimi notesami, ołówkiem leżącym przy wąskim łóżku. „Dziewczyno, rozchmurz się trochę – szeptem upominała mnie wtedy przyjaciółka. – Nie pracujesz przecież w zakładzie pogrzebowym”

Ruszyłam na zaplecze, do miejsca, gdzie stała szafa wypełniona kartonami butów. Lubiłam się tam ukrywać, odkąd udało mi się uodpornić na dławiącą woń gumowych podeszew. Pomyślałam, że schowam się na moment i cichutko, w otoczeniu kartonowych pudeł, dam upust tłumionym emocjom.

– Chwileczkę! Proszę poczekać! – zawołała kobieta. Kiedy się zatrzymałam i odwróciłam, nachyliła się i zsunęła z nogi sfatygowany pantofel, odsłaniając

pozbawioną palców stopę. Nie miała nawet jednego. Tylko gładki kikut, ociosany kawałek ciała spoczywający niewinnie na spłowiełej wykładzinie.

– Proszę spojrzeć – powiedziała markotnie, zrzucając drugi but i ukazując podobnie okaleczoną stopę. – Wypycham czubki papierem, więc rozmiar naprawdę nie gra roli.

Faktycznie był to niezwykle widok i już na zawsze utkwiał mi w pamięci: Angielka ze stopami bez palców. W tamtej chwili może nawet poczułam odrazę. Mówi się, że młodzi ludzie rzadko obcują z brzydotą, dlatego nie nauczyli się jeszcze ukrywać swoich negatywnych emocji. Ale nie byłam taka znowu młoda: dwadzieścia sześć lat. Nie wiem dokładnie, jak wtedy zareagowałam, ale przypominam sobie, że opowiedziałam o tym Cynth w drodze powrotnej do wspólnie wynajmowanego mieszkania na Clapham Common.

Pamiętam jej zachwyty i podszyty grozą okrzyk na myśl o stopie pozbawionej palców. I zdroworozsądkowy komentarz: „Przynajmniej nosi, co tam chce, w dowolnym rozmiarze”

Możliwe, że klientka była wiedźmą, której pojawienie się zwiastowało przewrót w moim życiu. Nie wierzę w to jednak – zmiany nastąpiły bowiem za sprawą innej kobiety. Ale wizyta tamtej klientki była rodzajem makabrycznego zamknięcia pewnego rozdziału. Czyżby wyczuła u mnie podobną bezbronność i uznała, że znajdzie we mnie godną powiernicę? Może i ja, i ona mogłyśmy wypełnić ciężącą nam pustkę papierem? Nie wiem. Poza tym niewykluczone, że nieszczęsna kobieta po prostu przyszła kupić nowe buty. Ale i tak zawsze myślę o niej jak o postaci z baśniowej krainy. Bo właśnie tamtego dnia wszystko się zmieniło.

Przez ostatnie pięć lat, od czasu mojego przybycia do Anglii z Port-of-Spain, ubiegałam się o pracę w wielu różnych miejscach.

Bezskutecznie. Pamiętam chwilę, gdy po raz pierwszy przyjechałam pociągiem z Southampton na stację Waterloo. Cynth pomyliła wtedy kominę domów z kominami fabrycznymi i uznała, że to oznacza mnóstwo miejsc pracy. Rzeczywistość jednak okazała się inna.

Długo żyłam nadzieją, że lada chwila wyrwę się z Dolcis Shoes.

Dlatego złożyłam podanie o pracę jako pomoc biurowa w redakcji dużej, ogólnokrajowej gazety. W moim kraju, z dyplomem i silnym poczuciem

własnej wartości, nawet bym nie pomyślała o zajęciu polegającym głównie na parzeniu herbaty, ale Cynth sprowadziła mnie na ziemię: „Owszem, taką pracę mogłaby wykonywać ślepa na jedno oko i głucha jak pień kulawa żaba, ale oni tutaj i tak ci jej nie dadzą, Odelle”

Cynth, z którą chodziłam do szkoły i z którą przyплыnęłam do Anglii, miała dwie namiętności: jedną były buty, a drugą jej narzeczony Samuel. Poznała go w kościele w pobliżu Clapham High Street.

Obecność Sama okazała się miłą odmianą po tabunach *tanties* – starych ciotek odwiedzających nasz sklep, zanudzających nas opowieściami o dawnych, dobrych czasach. Ponieważ Cynth miała Sama, praca nie doskwierała jej tak bardzo jak mnie i to mogło być przyczyną pewnych napięć między nami. Często mówiłam, że dłużej tego nie wytrzymam i że nie jestem taka jak ona. A wtedy Cynth odparowywała: „Chcesz powiedzieć, że ze mnie głupia owca, a ty niby jesteś taka zdolna?”

Regularnie telefonowałam w odpowiedzi na ogłoszenia o pracę niewymagającą doświadczenia. Ludzie, z którymi rozmawiałam, byli nad wyraz mili, pojawiałam się więc na miejscu, a tam – co za niespodzianka! – każda oferta okazywała się już nieaktualna. Możecie to uznać za głupotę albo za przejaw determinacji w szukaniu sprawiedliwości dziejowej, ale nie przestawałam szukać. Ostatnie i jednocześnie najlepsze ogłoszenie, na które natrafiłam, dotyczyło pracy maszynistki w Instytucie Sztuki Skeltona – same kolumny i portyki.

Nawet byłam tam raz, poświęcając na wyprawę swoją jedyną w miesiącu wolną sobotę. Cały dzień spędziłam, spacerując od Gainsborougha do Chagalla, po drodze zahaczając o akwatinty Williama Blake’a. Gdy wracałam pociągiem do Clapham, pewna dziewczynka zaczęła mi się przypatrywać, zupełnie jakby studiowała obraz. Po chwili sięgnęła rączką do mojego ucha, potarła je i zapytała matkę: „Czy to schodzi?”

Matka jej nie skarciła, miała za to taką minę, jakby była święcie przekonana, że to moje ucho powinno udzielić dziecku odpowiedzi.

Nie bez powodu rywalizowałam z chłopakami o dyplom z wyróżnieniem z literatury angielskiej na Uniwersytecie Indii Zachodnich. Nie bez powodu też znosiłam cierpliwie zachowanie dziecka w pociągu, pozwalając mu się uszczypnąć. W moim kraju sam konsul brytyjski w konkursie poetyckim dla

studentów z Brytyjskiej Wspólnoty Narodów przyznał mi pierwszą nagrodę za wiersz *Pajęcza Lilia z Karaibów*. Dlatego wybacz, Cynth, ale nie miałam najmniejszego zamiaru spędzić reszty życia na wkładaniu pantofelków na stopy zapoconych Kopciuszków.

Nie obyło się, rzecz jasna, bez łez, przeważnie wypłakiwanych w moją oklapłą poduszkę. Zżerała mnie ambicja i choć bardzo się tego wstydziłam, czułam, że to niezbywalna cecha mojego charakteru.

Chciałam osiągnąć coś więcej i od pięciu lat na to czekałam. Tymczasem pisałam mściwe wiersze o angielskiej pogodzie i okłamywałam matkę, że Londyn to raj.

List leżał na wycieracze, gdy razem z Cynth dotarliśmy do domu. Zrzuciłam buty, po czym stanęłam w holu jak wryta. Zobaczyłam stempel pocztowy: Londyn W.1, centrum świata. Wiktoriańskie kafelki pod moimi bosymi stopami były lodowate, podkuliłam palce w zetknięciu z brązowo-niebieską posadzką. Wsunęłam palec pod klapkę koperty i podważyłam ją jak opadły liść. Na wierzchu widniał adres Instytutu Skeltona.

– Co przyszło? – zapytała Cynth.

Nie odpowiedziałam, w oszołomieniu wbiłam paznokiec w białą tapetę w kwiatowy wzór, tłoczoną jak pismo Braille'a. Z zapartym tchem chłonełam tekst, dopóki nie doczytałam go do końca.

Instytut Sztuki Skeltona

Plac Skeltona

Londyn, W.1

16 czerwca 1967

Szanowna Panno Bastien,

dziękuję za nadesłane podanie oraz CV.

Zawsze, bez względu na sytuację życiową, powinniśmy się rozwijać.

Pani jest niewątpliwie bardzo utalentowaną młodą kobietą o świetnych kwalifikacjach. Dlatego miło mi zaproponować Pani na tygodniowy okres próbny stanowisko maszynistki.

Będzie się Pani musiała sporo nauczyć i zwykle będzie Pani zdana na siebie. Jeśli te warunki Pani odpowiadają, proszę nas poinformować pocztą zwrotną o przyjęciu oferty, wówczas przejdziemy

do następnego etapu. Na początek możemy Pani zaproponować pensję w wysokości dziesięciu funtów tygodniowo.

Serdecznie pozdrawiam

Marjorie Quick

Dziesięć funtów na tydzień. W Dolcis dostawałam tylko sześć. Cztery funty robiły wielką różnicę, ale nie chodziło mi nawet o pieniądze. Raczej o to, że zbliżyłam się o krok do tego, co wpojono mi jako Sprawy Istotne: do kultury, historii i sztuki. Odręczny podpis wykonano gęstym czarnym atramentem, a litery „M” i „Q” były zamaszyste i wyrafinowane jak włoska architektura. List pachniał delikatnie perfumami o charakterystycznej nucie. Miał pozaginane rogi i był nieco pognieciony, jakby Marjorie Quick nosiła go w torbie przez kilka dni, zanim w końcu zdecydowała się go wysłać.

Żegnajcie, sklepie obuwniczy i beznadziejna harówka.

– Przyjęli mnie – szepnęłam do przyjaciółki. – W końcu, do cholery, się udało.

Cynth krzyknęła z radości i z całej siły mnie przytuliła.

– Nareszcie!

Rozpłakałam się.

– A więc udało ci się! Dałaś radę – mówiła dalej Cynth, a ja chuchałam jej prosto w szyję. Mój oddech był jak powietrze po burzy w Port-of-Spain. Cynth wzięła list i zapytała:

– Co to za imię i nazwisko: Marjorie Quick?

Byłam zbyt szczęśliwa, żeby jej odpowiedzieć. Wbijaj głębiej paznokiec w ścianę, Odelle Bastien, rozerwij ten papierowy kwiat.

Teraz jednak, biorąc pod uwagę to, co się później wydarzyło, te wszystkie kłopoty, które na mnie spadły, zadaję sobie pytanie, czy zdecydowałabym się ponownie na ten krok. Czy pojawiłabym się o ósmej dwadzieścia pięć w poniedziałek 3 lipca 1967 roku w Instytucie Skeltona, nerwowo poprawiając nowy kapelusik i przebierając stopami w butach marki Dolcis, żeby starać się o pracę za dziesięć funtów tygodniowo u kobiety, która nazywała się Marjorie Quick.

Tak, zrobiłabym to jeszcze raz. Ponieważ ja byłam Odelle, a pani Quick była

panią Quick. A ten, kto myśli, że mogłam pójść inną drogą, jest głupcem.

Wyobrażałam sobie, że wyląduję w jakiejś wielkiej sali pełnej maszynistek stukających w klawisze, ale pracowałam sama. Ponieważ było lato, przypuszczałam, że wielu pracowników wyjechało na wakacje do różnych egzotycznych miejsc takich jak Francja. Codziennie pokonywałam kamienne schodki prowadzące do wielkich drzwi Instytutu, na których jaśniał wykonany złotymi literami napis: „ARS VINCIT OMNIA.” Kładłam dłonie na *vincit* oraz *omnia* i pchałam podwoje na oścież. Wewnątrz pachniało starą skórą i politurowanym drewnem, tuż na prawo mieściła się długa recepcja, a za nią drewniana ścianka z przegródkami wypełnionymi już poranną pocztą.

Widok z pokoju, który mi przydzielono, był okropny: wysoki ceglany mur, czarny od sadzy, wrażenie głębokiej studni, kiedy spojrzano się w dół... Poniżej uliczka, gdzie schodzili się na papierosa portierzy i sekretarki z sąsiedniego budynku. Nie słyszałam rozmów, obserwowałam jedynie ich mowę ciała: rytualne poklepywanie się po kieszeni, zamaszty ruch ręki z papierosem i głowy nachylające się ku sobie jak przy pocałunku, gdy w zapalnicze rozbłyskał płomień; noga ugięta w kolanie ze stopą nonszalancko opartą o mur. Ukryty przed światem zaułek.

Plac Skeltona wciśnięty był między Piccadilly a rzekę. Ocalały od bombardowań w czasie Blitzkriegu, pamiętał czasy króla Jerzego III. Ponad dachami domów od strony Piccadilly Circus słychać było silniki autobusów, klaksony samochodów i nawoływania dostawców mleka. W miejscu takim jak to, w samym sercu londyńskiego West Endu, miało się fałszywe poczucie bezpieczeństwa.

Przez prawie cały pierwszy tydzień rozmawiałam tylko z jedną osobą, niejaką Pamelą Rudge. Pracowała jako recepcjonistka i gdy przychodziłam rano, ona zawsze była już na posterunku, pochłonięta czytaniem „Expressu”, z łokciami na drewnianym blacie, robiąc balony z gumy do żucia, która lądowała w koszu, kiedy pojawiali się ważniacy.

Z cierpiętniczą miną, jak gdyby właśnie przerwano jej wykonywanie jakiegoś niezwykle ważnego zadania, Pamela zaczynała zwijać gazetę niczym misterną koronkę i podnosiła na mnie wzrok. „Dzień dobry, Adele” – mówiła na powitanie.

Dwudziestojednoletnia Pam Rudge wyglądała tak, jakby właśnie zesza z

planu opery mydlanej *EastEnders*: z nieruchomym, przylakierowanym do głowy tapirowanym kokiem i taką ilością czarnej kredki na oczach, że wystarczyłoby jej do pomalowania pięciu faraonów.

Rudge była modnie ubrana i epatowała seksem. Sama chętnie nosiłabym się jak ona – zakładała minispódniczki w kolorze mięty i ciemnopomarańczowe bluzki z kokardą, brakowało mi jednak odwagi, by w ten sposób eksponować swoje wdzięki. Mój urok i klasa mieszkały w głowie. Lubiłam odcienie szminek i różu, których używała Pamela, ale angielskie pudry i kremy nadawały mi dość specyficzny wygląd i zamieniały mnie w upiora. W dziale kosmetyków do makijażu w domu towarowym Arding & Hobbs przy stacji Clapham Junction była cała masa produktów o pseudopoetyckich nazwach, takich jak „Maślankowy beż”, „Pszeniczna biel”, „Kwiat moreli”, „Seledynowa lilia” i innych w tym stylu.

Uznałam, że Pamela jest osobą, dla której szczytem wyrafinowania, jeśli chodzi o spędzanie wolnego czasu, jest obżeranie się wieprzowymi kiełbaskami na Leicester Square. Podejrzewałam, że całą pensję przeznacza na lakiery do włosów i marne powieści, których nawet nie czyta, bo jest na to za głupia. Być może w jakiś pozawerbalny sposób komunikowałam jej swoje przemyślenia, bo na mój widok szeroko otwierała oczy, jakby zdumiona, że oto mam czelność znowu się tutaj pojawić, albo przybierała wyraz bezbrzeżnego znudzenia. Czasami nawet na mnie nie spojrzała, gdy przechodząc na drugą stronę, podnosiłam blat, by za chwilę pozwolić mu opaść z lekkim trzaskiem tuż obok jej prawego ucha. Cynth powiedziała mi kiedyś, że lepiej wyglądam z profilu. Odparłam wtedy, że chyba pomyliła mnie z monetą.

Teraz jednak często rozmyślam o swoich dwóch stronach, o tym, że pewnie Pameli wydawałam się bardzo wyniosła, choć sama czułam się jak bilon, którego nikt nie chciał schować do kieszeni. Prawdę mówiąc, przy dziewczynach pokroju Pameli Rudge stawałam się przesadnie poważna i usztywniona.

Oznajmiła mi, dokładnie w czwartek pierwszego tygodnia mojej pracy, że nie zna innych c z a r n y c h. Gdy odrzekłam, że dopóki tu nie trafiłam, ja również nie znałam nikogo, o kim mówiono by w ten sposób, spojrzała na mnie kompletnie zaskoczona.

Pomimo że moje relacje z Pamelą nie układały się najlepiej, byłam zachwycona, że wyładowałam w Instytucie. To były Eden, Mekka i Pemberley[1] w jednym – spełniły się moje największe marzenia. Pokój, biurko, maszyna do pisania, Pall Mall rankiem, gdy szłam z dworca Charing Cross, bulwar skąpany w złotym blasku.

Do moich zadań należało między innymi przepisywanie tekstów akademików, których nigdy nie miałam okazji spotkać. Znałam jedynie ich z trudem dające się odcyfrować pismo, prawie nieczytelne bazgroły o rzeźbach z brązu albo o zbiorach linorytów. Lubiłam to robić, jednak moje główne obowiązki dotyczyły pozostawianych na tacce listów, które miałam przepisywać na maszynie i zanosić Pameli. Większość korespondencji była dość nudna, ale od czasu do czasu pojawiały się naprawdę smakowite kąski, na przykład list z prośbą o wsparcie adresowany do jakiegoś starego milionera albo do zniedołężniałej Lady Jakiejśtam będącej u kresu życia. „Wielce szanowny Panie Peter, z ogromną przyjemnością dokonaliśmy w 1957 roku identyfikacji obrazu Rembrandta przechowywanego u Pana na strychu. Czy zechciałby Pan powierzyć Instytutowi Skeltona skatalogowanie pozostałej części Pańskiej wspaniałej kolekcji?”, i tak dalej w podobnym stylu. Bywały też listy do finansistów i potentatów z branży filmowej informujące, że na rynku pojawił się nowy Matisse, albo zawierające propozycję nazwania ich imieniem nowo otwartego skrzydła Instytutu, jeśli zechcą eksponować tam swoją kolekcję dzieł sztuki.

Większość z nich pisał dyrektor Instytutu Skeltona, który nazywał się Edmund Reede. Od Pameli dowiedziałam się, że jest po sześćdziesiątce, ma wybuchowy charakter, a w czasie wojny zajmował się odzyskiwaniem dzieł skonfiskowanych przez Niemców, jednak moja informatorka nie znała żadnych związanych z tym szczegółów.

Nazwisko „Edmund Reede” było dla mnie kwintesencją onieśmielającej angielskości, przywodziło na myśl bywalców elitarnych klubów przy Whitehall, ubierających się u krawców przy Savile Row. Kojarzyło się ze stekami, polowaniem na lisy, trzyczęściowym garniturem, wypomadowanymi włosami i złotym zegarkiem odziedziczonym po stryjecznym dziadku Henrym. Dyrektora widywałam na korytarzu – za każdym razem był zdumiony, że mnie spotyka, jakbym wtargnęła do budynku zupełnie naga. Uczyliśmy się o

takich jak on w szkole – biali dżentelmeni, bezpieczni i bogaci, którzy chwytają za pióra, żeby tłumaczyć nam świat.

Instytut Skeltona trochę ten świat przypominał – świat, do którego, jak mi wpajano, powinnam aspirować. Już samo przepisywanie listów mnie do niego przybliżało, miałam wrażenie, że moja pomoc jest bezcenna, jakbym została wybrana z jakiegoś szczególnego powodu.

Na szczęście umiałam szybko pisać. Dlatego gdy tylko się uporałam z listami, mogłam w wygospodarowanym w ten sposób czasie pisać na maszynie swoje własne teksty, zaczynając wciąż od początku, zgniatając kartki i pilnując, by lądowały w mojej torebce, a nie w koszu, żeby nie zostawiać śladów. Czasami wracałam do domu z torbą wypchaną po brzegi kulkami zmiętego papieru.

Powiedziałam Cynth, że zapomniałam już, jak w Dolcis pachniała szafa wypełniona kartonami butów. „Jakbym w ciągu tygodnia wykasowała z pamięci pięć minionych lat” – oświadczyłam z przekonaniem, zachwycona zmianą, jaka się dokonała w moim życiu. Opowiedziałam przyjaciółce o Pameli i zażartowałam sobie z jej sztywnego, tapirowanego koka. Cynth nie zareagowała od razu, tylko zmarszczyła czoło, bo kuchenka w naszym malutkim mieszkaniu dawała nierówny płomień, a ona akurat smażyła dla mnie jajko. „Jak się cieszę z ciebie, Delly. Aleś se poradziła” – powiedziała.

W piątek pierwszego tygodnia pracy, kiedy skończyłam przepisywać listy Reede’a i zostało mi wolne pół godziny, zaczęłam pracować nad wierszem. Cynth powiedziała, że w prezencie ślubnym chciałaby dostać ode mnie jedynie „jakiś tekst”, bo w gronie jej znajomych tylko ja potrafiłam coś napisać. Wzruszona tym wyznaniem, ale i przejęta misją, wpatrywałam się w skeltonowską maszynę do pisania i myślałam, jak wspaniale Sam i Cynth do siebie pasują. To skłoniło mnie do refleksji nad własnymi niedostatkami w tym względzie – jest wprawdzie stopa, ale brak szklanego pantofelka.

Uświadomiłam też sobie, że od miesiący zmagam się z napisaniem czegokolwiek. Nie znosiłam słów, które wychodziły spod mojego pióra.

Nie potrafiłam tchnąć w nie życia.

Akurat w chwili, gdy udało mi się uchwycić pewną myśl, do pokoju weszła jakaś kobieta.

– Dzień dobry, panno Bastien – powiedziała, a fraza, której tak długo szukałam, ulotniła się. – Radzi sobie pani? Pozwoli pani, że się przedstawię. Nazywam się Marjorie Quick.

Natychmiast się poderwałam, przy okazji potracając maszynę do pisania. Kobieta roześmiała się.

– Nie jesteśmy w armii. Niech pani usiądzie.

Mój wzrok pomknął w stronę kartki z wierszem wystającej z za wałka maszyny do pisania. Poczułam skurcz żołądka na myśl o tym, że przełożona może obejść biurko i stanąć za moimi plecami.

Rzeczywiście ruszyła z wyciągniętą ręką w moją stronę, jednocześnie zerkając na maszynę do pisania. Chwycałam dłoń Marjorie, pragnąc odwieść ją od okrążenia biurka. Udało się. Poczułam od niej woń papierosów zmieszana z piżmową nutą męskich perfum, tych samych, którymi pachniał wysłany przez nią list. Później dowiedziałam się, że to Eau Sauvage.

Marjorie była filigranowej budowy, trzymała się prosto i chodziła ubrana tak, że Pamela wyglądała przy niej jak kopciuszek. Szerokie czarne spodnie, które w ruchu wydymały się z lekka jak żagle.

Bładoróżowa jedwabna bluzka i luźno wsunięta pod nią szara satynowa apaszka. Marjorie roztaczała wokół siebie aurę Hollywoodu, z krótkimi srebrzącymi się lokami i policzkami tak gładkimi, jakby wyrzeźbiono je ze szlachetnego drewna miodowej barwy. Mogła mieć niewiele ponad pięćdziesiąt lat, ale nie przypominała w najmniejszym stopniu żadnej ze znanych mi kobiet w tym wieku. Miała mocno zarysowany podbródek, emanowała wdziękiem i elegancją.

– Dzień dobry – powiedziałam, nie mogąc oderwać od niej wzroku.

– Jakiś problem? – zapytała. Quick musiała być tak samo poruszona moim wyglądem, bo również uporczywie się we mnie wpatrywała ciemnymi lśniącoymi oczami, czekając na odpowiedź.

Wyglądała na speszoną, a na jej czole zauważyłam kropelki potu.

– Problem? – powtórzyłam.

– No, dobrze. Którą to mamy godzinę? – Zegar znajdował się za jej plecami, ale nie odwróciła się, żeby to sprawdzić.

– Dochodzi wpół do pierwszej.

– W takim razie pora na lunch.

Quick miała przykręconą do drzwi mosiężną tabliczkę ze swoim nazwiskiem. Zastanawiałam się, ile kobiet w Londynie Roku Pańskiego 1967 miało własny gabinet. Kobiety zwykle wykonywały wówczas podrzędne prace niewymagające kwalifikacji: były pielęgniarkami w państwowej służbie zdrowia, pracowały w fabrykach albo w sklepach lub zatrudniały się jako maszynistki, tak jak ja. Ten stan rzeczy utrzymywał się przez dziesięciolecia. Jednak między tymi posadami a posiadaniem tabliczki na drzwiach z wygrawerowanym własnym nazwiskiem istniała bezdenna przepaść, ocean nie do przebycia. Być może Marjorie Quick pochodziła z rodziny Skeltonów i pełniła w Instytucie jakąś honorową funkcję.

Otworzyła przede mną drzwi, a na jej twarzy malowało się coś w rodzaju gorzkiej satysfakcji. Metalowa tabliczka zaśniła w słońcu wpadającym przez okno w głębi. Wprowadziła mnie do środka. Pokój był biały, przestronny i widny, z dużymi oknami wychodzącymi na plac.

Ściany świeciły pustkami, brakowało obrazów, co wydało mi się dosyć dziwne, zważywszy na charakter miejsca, w którym się znajdowałyśmy.

Trzy z nich zastawione były biblioteczkami. Dostrzegłam głównie powieści z XIX i początku XX wieku, zdziwił mnie Hopkins sąsiadujący z Poundem, było tam też parę książek o historii Rzymu. Wszystkie tomy miały twarde oprawy, więc na grzbietach nie było widać śladów użytkowania.

Quick szybkim ruchem zgarnęła paczkę papierosów z ogromnego biurka. Przyglądałam się, jak wyjmuje jednego i po chwili wahania delikatnie wkłada go do ust. Z czasem przyzwyczaiałam się do jej sposobu bycia – gwałtownych gestów i nagłego spowolnienia, jakby się zreflektowała. Pasowało do niej nazwisko „Quick”, czyli „prędka”, jednak trudno było orzec, czy jej naturalnym usposobieniem jest popędliwość, czy raczej późniejsza opieszałość.

– Ma pani ochotę? – spytała.

– Nie, dziękuję.

– W takim razie sama zapalę.

Jej zapalniczka była z rodzaju tych ciężkich i srebrnych, do wielokrotnego napełniania, które trzyma się na stole, a nie w kieszeni.

Takie cacka widuje się w wiejskich posiadłościach – skrzyżowanie granatu

ręcznego z czymś, co się nadaje do wystawienia w domu aukcyjnym Christie's. Skeltonowie, jak przypuszczałam, mieli dużo pieniędzy, a Quick była tego potwierdzeniem. Świadczyły o tym fason jej różowej jedwabnej bluzki, śmiały krój spodni, gatunek papierosów i zapalniczka. I ona sama. Ponownie zaczęłam się zastanawiać, na czym właściwie polega jej rola.

– Może ginu? – zapytała.

Zawahałam się. Nigdy nie piłam wiele, a już na pewno nie lubiłam smaku mocnych alkoholi. Ich zapach zanadto przypominał mi mężczyzn biesiadujących w klubach w Port-of-Spain – kojarzył się z krążeniem rumu we krwi, prowadzącym do rozdzierająco bolesnych albo euforycznych krzyków słyszanych na zakurzonych drogach wiodących do miasta. Quick zdjęła nakrętkę z butelki ginu stojącej na stole w rogu pokoju i nalała trochę do dwóch szklanek. Szczypcami sięgnęła do pojemnika na lód i wrzuciła do mojej szklanki dwie kostki, dolała do pełna toniku, dodała plasterek cytryny i wręczyła mi drinka.

Opadając ciężko na fotel, jakby stała nieprzerwanie od dwudziestu dni, napiła się ginu, potem podniosła słuchawkę telefonu i wybrała numer. Potarła zapalniczkę, zamigotał gruby pomarańczowy płomyk.

Koniec papierosa rozżarzył się, tytoń zasyczał, zmieniając się w kosmyki błękitnego dymu.

– To ty, Harris? Tak, cokolwiek tam dzisiaj macie. Ale dwa razy.

I butelkę Sancerre. Dwa kieliszki. Jak długo? To świetnie.

Wysłuchiwałam się w jej melodyjny głos, wyrazisty, lecz z lekka ochrypły, i w nie do końca idealny angielski akcent, zdradzający edukację w surowej szkole z internatem.

Quick odłożyła słuchawkę i strzepnęła popiół do wielkiej marmurowej popielniczki.

– Dzwoniłam do pobliskiej restauracji – wyjaśniła. – Nigdy jednak nie jadam u nich w lokalu, to nie dla mnie.

Usiadłam naprzeciwko niej, ściskając w dłoni szklankę i mając w pamięci kanapkę, którą przygotowała dla mnie Cynth. Pewnie zaczęła się już roztopiać w szufladzie biurka z powodu gorąca panującego w pokoju.

– A zatem – powiedziała – nowa praca.

– Tak, pani Quick.

Quick postawiła szklankę na biurku.

– Po pierwsze, panno Bastien, proszę nie zwracać się do mnie „Pani Quick” ani „Panno Quick”, wystarczy samo „Quick” –

Uśmiechnęła się, ale na jej twarzy pojawił się smutek. – Ma pani francuskie nazwisko? – rzuciła.

– Tak sędzę.

– Mówi pani po francusku?

– Nie.

– Ja mam straszne problemy z opanowaniem czasowników „mieć” i „być”. Myślałam, że na Trynidadzie mówi się po francusku.

Zawahałam się.

– Niewielu z naszych przodków miało okazję przebywać pod jednym dachem z Francuzami i z nimi rozmawiać – powiedziałam.

Otworzyła szerzej oczy. Rozbawiłam ją czy może uraziłam? – trudno było orzec. Przestraszyłam się, że mój mały wykład z historii został źle odebrany, jako zbyt protekcjonalny, i że z tego powodu Quick nie zechce przedłużyć ze mną umowy.

– Naturalnie – powiedziała. – To bardzo ciekawe. – Pociągnęła kolejny łyk ginu. – W tej chwili w Instytucie nie ma zbyt wiele do roboty. Większość pracowników przebywa na wakacjach. Domyślam się, że pan Reede wciąż jednak nie pozwala o sobie zapomnieć, zlecając pani całą masę korespondencji do przepisania. Martwię się, że całkiem panią tym zanudzi.

– Ależ skąd – odparłam. Pomyślałam o Dolcis, o tym, jak musiałyśmy tam harować, o mężczyznach, którzy wbijali wzrok w nasze pośladki, podczas gdy ich żony przymierały szpilki. – Bardzo się cieszę, że tu jestem.

– W sklepie obuwniczym pewnie więcej się działo w ciągu jednego dnia niż w Instytucie przez cały tydzień. Sprawiało to pani przyjemność? – spytała. – Dotykanie stóp tych wszystkich kobiet?

Pytanie było dość szokujące, do tego niosło erotyczny ładunek, co mnie poruszyło, zwłaszcza że wciąż byłam dziewicą. Postanowiłam jednak, że nie będę cichą myszką i powiem, co myślę.

– Jeśli mam być szczerą – odparłam – przy trzydziestu parach butów dziennie było to raczej odrażające doświadczenie.

Odrzuciła głowę do tyłu i roześmiała się.

– Wszystkie francuskie sery w pakiecie!

Jej śmiech był zaraźliwy, więc ja również zaczęłam się śmiać.

Komentarz był raczej niedorzeczny, ale pozwolił przełamać lody.

– Niektórzy jednak lubią takie zajęcia – powiedziałam, myśląc o Cynth, świadoma tego, że nie jest to komplement. Gotowa byłam wszakże podjąć tę dziwną grę, której reguł nie znałam. – Do tego trzeba mieć talent.

– Zapewne. Ale tyle anonimowych stóp... – Wzdrygnęła się. –

W Instytucie mamy te wszystkie piękne portrety, ale tak naprawdę składamy się z patykowatych rąk, bulgocących jelit, gorącej wątroby. – Spojrzała na mnie uważnie i pociągnęła kolejny łyk. – Dojście do podobnych wniosków zajęło mi znacznie więcej czasu niż pani. Palce u nóg, zgięcia łokci. Cieszymy się tym, póki możemy.

– Postaram się – powiedziałam i znów poczułam zdenerwowanie.

Od tej kobiety bił niepokój. Miałam wrażenie, że odgrywa przede mną jakieś przedstawienie, ale zupełnie nie wiedziałam, w jakim celu.

Rozległo się pukanie do drzwi. „Proszę wejść”, powiedziała i wtedy do środka wjechał na wózku nasz lunch. Wózek pchał malutki starszy portier, który miał tylko jedną rękę. Przywiózł koszyczek bułeczek, dwie ryby, apetycznie wyglądającą sałatkę, butelkę wina w kubeczku z lodem i coś jeszcze, co było ukryte pod stalowym kloszem.

Mężczyzna spojrział na mnie, spłoszony jak królik, po czym jego kaprawe oczy na powrót skupiły się na mojej chlebodawczyni.

– To wszystko, Harris. Dziękuję – powiedziała Quick.

– Nie widzieliśmy pani przez cały tydzień – oznajmił.

– Ach, byłam na urlopie.

– Pojechała pani w jakieś piękne miejsce?

– Nie. – Quick wyglądała tak, jakby na moment została wytrącona z równowagi. – Zostałam w domu.

Portier przeniósł swoją uwagę na mnie.

– Trochę inna od tej poprzedniej – stwierdził, raptownie unosząc głowę. – Czy pan Reede wie, że zatrudniła pani czarnuchę?

– To już wszystko, Harris – warknęła ostro Quick. Portier spojrział na nią zde gustowany, zostawił wózek i wycofał się za drzwi, świdrując mnie wzrokiem.

– Harris – powiedziała Quick, gdy portier już wyszedł, jak gdyby nazwisko wystarczyło za wszelkie wyjaśnienia. – Stracił rękę w bitwie pod Passchendaele. Odmawia przejścia na emeryturę, a nikt nie ma serca mu tego nakazać.

Słowo portiera zawisło w powietrzu.

Quick wstała, podeszła do wózka i podała mi talerz.

– Zjemy przy biurku, jeśli nie ma pani nic przeciwko temu.

Wzięła swój talerz i zajęła miejsce po drugiej stronie. Miała szczupłe, wąskie plecy, łopatki lekko zarysowywały się pod bluzką, jak para płetw. Butelka była odkorkowana, Quick nalała wina do kieliszków.

– Jest doskonałe. Zupełnie inne od tego, które podajemy na oficjalnych przyjęciach!

Odgłos nalewanego wina był głośny, kojarzył się z luksusem i występkiem, jakby Quick podawała mi jakiś eliksir.

– Na zdrowie – powiedziała z werwą, unosząc kieliszek. – Mam nadzieję, że masz ochotę na solę.

– Tak – odparłam. – Jeszcze nigdy jej nie jadłam.

– No a jak zareagowali twoi rodzice na wieść o tym, że podjęłaś u nas pracę?

– Moi rodzice?

– Są z ciebie dumni?

Zaczęłam niespokojnie przebierać palcami w butach.

– Mój ojciec nie żyje.

– Ach tak.

– Matka nadal mieszka w Port-of-Spain. Jestem jedynaczką. Możliwe, że jeszcze nie dotarł do niej mój list.

– No cóż, musi być wam obu ciężko.

Pomyślałam o mojej matce – o tym, jaką wiarę pokładała w Anglii, kraju, którego nigdy nie zobaczy. Przed oczami stanęła mi też postać ojca. Został zmobilizowany do RAF-u. Zestrzelony nad Niemcami, spadł w postaci kuli ognia. Gdy miałam piętnaście lat, premier Tobago oświadczył, że przyszłość dzieci na naszej wyspie spoczywa w ich szkolnych tornistrach. Matka, która za wszelką cenę chciała uchronić córkę od życia, jakie wiedli z ojcem, starała się mnie motywować do nauki, abym mogła osiągnąć wyższy status – pytanie tylko, po co, skoro po odzyskaniu przez wyspę niepodległości wszystko

przejęły zagraniczne firmy, które zyski przekazywały do swoich macierzystych krajów. Z czym zostawali młodzi ludzie, gdy zaglądali do tornistrów i nie znajdowali tam niczego oprócz szwów rozłazących się od nadmiaru książek? Musieliśmy wyjeżdżać.

– Dobrze się pani czuje, panno Bastien? – zapytała Quick.

– Przyjechałam tutaj ze swoją przyjaciółką, Cynth – wyjaśniłam, bo nie chciałam rozmyślać o minionym życiu w Port-of-Spain, o symbolicznym pochówku, tabliczce z wypisanym nazwiskiem ojca, o wolnym miejscu na cmentarzu Lapeyrouse, które mama nadal trzymała, o katolickich zakonnicach, które mnie edukowały, gdy zмагаłam się z żałobą... – Cynthia się zaręczyła – dodałam. – Wychodzi za męża.

– Ach tak. – Quick wzięła nóż i delikatnie uniosła dzwonko ryby, a ja miałam dziwne wrażenie, że powiedziałam zbyt wiele, choć tak naprawdę nie powiedziałam niczego.

– Kiedy?

– Za dwa tygodnie. Mam być druhną.

– A co potem?

– Potem?

– No bo przecież zostanie pani sama, tak? Ona będzie mieszkać z mężem.

Quick zazdrośnie strzegła tajników własnego życia, natomiast uparcie drążyła sprawy innych. Nie powiedziała mi nic o Instytucie Skeltona, za to wyciągnęła ze mnie wszelkie możliwe informacje na mój temat i bardzo szybko odkryła, co budzi mój największy lęk. Perspektywa wyprowadzki Cynth, mojej wieloletniej oddanej przyjaciółki, rzeczywiście zawisła między nami jak niewybrzmiące pytanie, ciężkie od złych przeczuć. Obie wiedziałyśmy, że po ślubie Cynth wyniesie się z naszego małego lokum, żeby zamieszkać z Samuelem, ale ponieważ nie umiałam sobie wyobrazić dzielenia pokoju z kimś innym, nie rozmawiałam z nią na ten temat, a ona również milczała. Podczas gdy ja chełpiłam się nową pracą, ona martwiła się o zaproszenia ślubne i szykowała mi kanapki, co niespecjalnie doceniałam. Pensja, którą dostawałam w Instytucie, wystarczała na opłacenie także drugiego pokoju, który Cynth miała wkrótce zwolnić, i jedynie to napawało mnie otuchą.

– Lubię swoje towarzystwo – powiedziałam, przełykając ślinę. –

Miło będzie mieć wokół trochę przestrzeni.

Quick sięgnęła po kolejnego papierosa, ale po chwili chyba zmieniła zdanie. Gdybyś była sama, pomyślałam, zdążyłabyś do tej pory wypalić kolejne trzy. Podniosła stalowy klosz, odsłaniając cytrynową tartę bezową, i na moment jej wzrok spoczął na mojej twarzy.

– Niech pani koniecznie się czymś poczęstuje, panno Bastien – powiedziała. – Tyle tego jest.

Gdy ja delektowałam się tartą, Quick nie tknęła ani kawałka.

Wydawała się stworzona do takiego życia – palenia, składania zamówień przez telefon, rzucania uwag od niechcenia. Wyobraziłam sobie, jak wyglądała w wieku dwudziestu lat, gdy snuła się po Londynie w gronie beztroskiej młodzieży z zamożnych wyższych sfer, niczym kot podczas Blitzu. Budowałam sobie jej obraz przez pryzmat Mitford^[2] i Waugh^[3], doprawiając wszystko nowo odkrytą przez mnie Muriel Spark^[4]. Być może była to próżność wynikająca z mojego wykształcenia, niewiele różniącego się od edukacji w elitarnych szkołach angielskich, łącznie z greką, łaciną i chłopcami grającymi w krykieta – ale ja po prostu tęskniłam za ekscentrycznymi, pewnymi siebie ludźmi, którzy mogliby wnieść nową jakość do mojego życia. Uważałam, że na nich zasługuję, na ludzi tego pokroju, jakich spotyka się tylko w powieściach. Właściwie Quick nie musiała wiele robić, tak bardzo byłam otwarta, chętna i złaźniona. Oderwana od przeszłości i dawnego środowiska zaczęłam snuć fantazje na temat mojego obecnego życia.

– Pani podanie o pracę natychmiast przyciągnęło moją uwagę – powiedziała tymczasem Quick. – Ma pani świetne pióro. Naprawdę doskonale pani pisze. Wygląda na to, że była pani jedną z najlepszych studentek na uniwersytecie. Pewnie uważa pani, że praca sekretarki jest dużo poniżej pani kwalifikacji.

Ogarnął mnie strach. Czyżby dawała mi do zrozumienia, że się nie nadaję i po okresie próbnym zostanę zwolniona?

– Jestem bardzo wdzięczna, że mogę tutaj pracować – powiedziałam. – To cudowne miejsce.

Quick skwitowała moje pochlebstwa trudnym do określenia grymasem twarzy. Zaczęłam się zastanawiać, czego ona właściwie ode mnie oczekuje. Sięgnęłam po bułkę i położyłam ją sobie na dłoni.

Wielkością i wagą przypominała małego torbacza, i dlatego miałam nieodpartą ochotę ją pogłaskać. Czując jednak na sobie wzrok pani Quick, jedynie wgniotłam kciukiem skórkę.

– A co właściwie lubi pani pisać?

Pomyślałam o kartce papieru tkwiącej w maszynie w sąsiednim pokoju.

– Głównie wiersze. Kiedyś chciałabym napisać powieść. Wciąż szukam jakiejś ciekawej historii.

Uśmiechnęła się.

– Oby nie musiała pani czekać zbyt długo.

Po tych słowach poczułam ulgę, bo kiedy mówiłam ludziom, że chciałabym pisać, zazwyczaj natychmiast chcieli mi opowiadać o swoim arcyciekawym życiu, które w ich przekonaniu stanowiłoby świetną kanwę dla powieści.

– Naprawdę tak uważam – powiedziała Quick. – Nie wolno pani za długo zwlekać. Nigdy nie wiadomo, co może nas dopaść.

– Nie będę zwlekać – odpowiedziałam, wdzięczna za tę zachętę.

Quick rozparła się wygodnie na krześle.

– Przypomina mi pani kogoś, kogo kiedyś znałam.

– Naprawdę? – Miło mnie ta uwaga połechtła. Chciałam, żeby Quick dokończyła swoją myśl, ale jej twarz spochmurniała. Zdusiła niedopałek papierosa, który tlił się na krawędzi popielniczki.

– Jak pani znajduje Londyn? – spytała. – Przyjechała pani w sześćdziesiątym drugim. Podoba się pani tutejsze życie?

Zeszywniałam. Nachyliła się w moją stronę.

– Panno Bastien, to nie jest żaden test. Naprawdę jestem ciekawa.

Nikommu tego nie powtórzę bez względu na to, co pani powie. Słowo daję. Wszystko zostanie między nami, obiecuję.

Wcześniej nigdy nikomu nie opowiadałam o swoich odczuciach.

Może podziałał gin, a może sprawiła to otwartość tej kobiety, która na dodatek nie śmiała się z moich pisarskich aspiracji. Być może przesądziła moja młodzińcza pewność siebie albo chodziło o tego portiera, Harrisa, w każdym razie nagle wszystkie nagromadzone we mnie emocje znalazły ujście.

– Nigdy nie widziałam aż tyle sadzy – powiedziałam.

– To miasto rzeczywiście jest bardzo brudne – roześmiała się Quick.

– Na Trynidadzie wychowywano nas w przekonaniu, że Londyn jest

miejscem magicznym.

– Mnie również tak wychowano.

– To pani nie jest z Londynu?

Wzruszyła ramionami.

– Mieszkam tu już tak długo, że prawie nie pamiętam, jak było gdzie indziej.

– Zaszczepiają w nas obraz Londynu, w którym panują porządek, dostatek, uczciwość, jest mnóstwo zieleni. To zmniejsza dystans.

– Co pani przez to rozumie, panno Bastien?

– Cóż, skoro królowa rządzi Londynem i naszą wyspą, Londyn staje się częścią nas.

– Rozumiem.

Miałam wrażenie, że Quick jednak nie rozumie, więc dalej wyłuszczałam swoje racje:

– Myślmy, że świetnie się tutaj odnajdziemy, bo przecież oni także czytają Dickensa, Brontë i Szekspira. Ale ja nie spotkałam tu nikogo, kto potrafiłby wymienić choćby trzy tytuły jego sztuk. W szkole pokazywano nam filmy przedstawiające życie w Anglii: meloniki, autobusy przemykające na tle białych murów, podczas gdy nas dobiegał z zewnątrz jedynie rechot rzekotek. Po co pokazywano nam te wszystkie rzeczy? – mój głos przybierał na sile. – Myślałam, że każda napotkana tu osoba jest szacownym deputowanym, sędzią lub arystokratą... – urwałam, bo przestraszyłam się, że powiedziałam za dużo.

– Proszę mówić dalej.

– Myślałam, że Londyn oznacza dobrobyt, powitanie z otwartymi ramionami. Miasto renesansowe. Splendor i sukces. Tysiące możliwości.

Sądziłam, że przyjazd do Anglii będzie jak wyjście z domu na ulicę, trochę zimniejszą ulicę, gdzie zdolna i pojętna *beti*^[5] może mieszkać po sąsiedzku z królową Elżbietą.

Quick się uśmiechnęła.

– Widać, że sporo pani o tym myślała.

– Czasem tylko o tym można myśleć. Bo zimno, mokro, czynsz i niedostatek. Ale próbuję utrzymać się na powierzchni i jakoś daję sobie radę.

Czułam, że nie powinnam rzec już ani słowa. Nie mogłam uwierzyć, że powiedziałam aż tyle. Na moich kolanach leżała pokruszona bułka. Quick natomiast wydawała się zupełnie odprężona.

Odchyliła się wygodnie na krześle, jej oczy błyszczały.

– Proszę nie wpadać w panikę, Odelle. Powinno się pani udać.

Cynthia poślubiła Samuela w Urzędzie Stanu Cywilnego w Wandsworth, w małym pokoju o ciemnozielonych ścianach, wyposażonym w stalowe krzesła, pachnącym biurokracją i tanimi perfumami. Shirley i Helen, dwie dziewczyny ze sklepu obuwniczego, przyszły w odświeżonych strojach. Patryk Minamore, przyjaciel Sama z firmy przewozowej, był drużbą. Przeprowadził swoją dziewczynę, Barbarę, bardzo gadatliwą początkującą aktorkę.

Urzędnik stanu cywilnego bacznie nam się przyglądał. Mężczyźni byli w garniturach, najbardziej przyciągał wzrok krzykliwy krawat Patryka. Zresztą wszyscy prezentowali się elegancko w porównaniu z nieciekawym otoczeniem. Cynth wyglądała pięknie – w ogóle była piękna, nawet gdy nie rozpromieniała jej miłość – ale w swojej białej minisukience, prostym białym toczku i białych pantoflach podarowanych jej w prezencie ślubnym przez Connie, kierowniczkę sklepu, wyglądała naprawdę olśniewająco. Jej szyję zdobił naszyjnik z błękitnych ceramicznych kwiatów, a uszy dwie małe perły – tak idealne i krągłe, jakby ostrygi zrobiły je specjalnie dla niej.

Patryk, początkujący fotograf i kierowca autobusu linii dwadzieścia dwa, miał za zadanie nas wszystkich uwiecznić. Nadal przechowuję niektóre z tych jego zdjęć. Wystrzelająca w górę fontanna ryżu, spadająca białym deszczem na uśmiechniętych Sama i Cynth, stojących na stopniach urzędu stanu cywilnego. Ich złączone ręce uniesione w górę w momencie, gdy spada na nich kaskada ziarenek.

Cynth przynajmniej w małżeństwie odniosła sukces. Żadnej z nas nie było łatwo odnaleźć własną drogę, ale Cynth była na tyle dobra w swoim fachu, że do tego czasu powinna już zostać właścicielką imperium obuwniczego. Nie było łatwo sprzedawać buty przy Clapham High Street w 1967 roku, gdy się było dziewczyną z Trynidadu. Już chyba prościej napisać wiersz o trynidadzkich kwiatkach, wysłać go do brytyjskiego konsula i dostać nagrodę. No, ale Cynth przynajmniej miała Sama. Jak oni pięknie nawzajem się uzupełniali: on poważny i nieśmiały, ona pomysłowa i stanowcza. Jakże jej obecność go opromieniała, gdy zostawiał swój podpis w rejestrze urzędu stanu cywilnego!

Wracaliśmy do mieszkania Sama i Patryka czarnymi londyńskimi taksówkami. Powiedzieliśmy kierowcom, że nasi przyjaciele

właśnie się pobrali. Taksówkarze opuścili szyby i włączyli tę samą stację z muzyką bluesową. Puszczali ją tak głośno, że przestraszyliśmy się, że zostaniemy aresztowani za zakłócanie spokoju. Gdy już dotarliśmy do mieszkania, w euforii szybko pościągaliśmy z talerzy z kanapkami ściereczki, którymi zostały nakryte, odszukaliśmy otwieracze do butelek, korkociągi, nastawiliśmy płyty i patrzyliśmy, jak kroją wysoki tort, który Cynth zaprawiła rumem.

Po kilku godzinach pojawili się inni ludzie – przyjaciele przyjaciół.

Barbara zadzwoniła po grupę hałaśliwych, modnie ubranych znajomych: długowłose dziewczyny w krótkich sukienkach i faceci w rozpiętych pod szyją koszulach, którzy wyglądali tak, jakby pilnie potrzebowali się ogolić. Omiotłam ich jedynie pobieżnym spojrzeniem. Już dawno powiedziałam sobie, że tego rodzaju ludzie nie są dla mnie, a i ja też do nich nie pasuję. Plecy miałam wilgotne, a sufit wydawał się wisieć niżej niż godzinę wcześniej. Para gości od Barbary wpadła na stół, wywracając czerwoną, ozdobioną frędzlami lampkę, która zleciała na podłogę. Chociaż nigdy nie paliłam marihuany, wyczuwałam jej zapach.

Gdy pokój wypełnił się ludźmi, wszystkich ogarnął doskonały nastrój. Cynth wypić o trzy Dubonnety z lemoniadą za dużo, uniosła ramię adaptera i ogłosiła:

– Moja przyjaciółka Delly jest poetką i napisała wiersz o miłości. – Obecni przyjęli jej oświadczenie z głośnym aplauzem. – Zaraz nam go przeczyta – dodała.

– Cynthio Morley, proszę cię, nie! – zasyczałam. – To, że wyszłaś za męża, nie znaczy, że możesz się teraz szarogęścić!

– Co jest, Delly? – zawołał Sam. – Nie bądź taka skryta.

– Daj spokój, Delly. Zrób to dla mnie – upierała się Cynth. Ku mojemu przerażeniu, przy wzrastającym rozochoceniu zebranych, których rozentuzjasmowane krzyki po raz kolejny rozeszły się falą po zadymionym i dusznym pokoju, zaczęła wyciągać z torebki mój wiersz. Kiedy jakiś tydzień temu w końcu go jej pokazałam, prawie jak uczennica pokonująca długą drogę do biurka nauczycielki, przeczytała go w ciszy, a potem objęła mnie ciasno ramionami, szepcząc: „Mój Boże, Delly, ty naprawdę jesteś strasznie zdolna”

– To bardzo dobry wiersz – oznajmiła teraz, wciskając mi go do rąk. – Dalej,

pokaż im, co potrafisz.

No i zrobiłam to. Trochę się chwiałam po wypiciu Dubonneta, ale tylko raz objęłam spojrzeniem wszystkie, podobne do księżyców twarze, które umilkły po to, żeby mnie posłuchać. Czytałam im swój wiersz z kartki, chociaż znałam go na pamięć. W pokoju zapadło całkowite milczenie. A kiedy skończyłam, cisza trwała nadal. Czekałam, co powie Cynth, ale wyglądało na to, że nawet ona nie potrafiła wydobyć z siebie słowa.

Nie widziałam jego twarzy w tłumie, kiedy czytałam tamten wiersz. Nie czułam też na sobie jego wzroku, chociaż później powiedział mi, że nie mógł oderwać ode mnie oczu. Miałam wrażenie, że w pokoju nic się nie zmieniło. Zdumiewały mnie tylko mój własny, pojedynczy głos, a także dziwne uczucie euforii, które następuje po brawach – mieszanina zażenowania i triumfu.

Podszedł do mnie jakieś pół godziny później, gdy w maluteńkiej i zagraconej kuchni ustawiałam w piramidki puste talerze z folii aluminiowej, próbując zaprowadzić jakiś ład w kawalerskim gospodarstwie Sama i Patryka.

– Cześć – powiedział. – A zatem jesteś poetką. Nazywam się Lawrie Scott.

W pierwszym odruchu chciałam sprawdzić, czy nie mam na palcach resztek jajka z kanapek.

– Nie jestem poetką, po prostu piszę wiersze – powiedziałam, przyglądając się swoim dłoniom.

– A to nie to samo?

– Myślę, że nie.

Stał oparty o blat, na długich, wyprostowanych nogach, ręce zaś trzymał skrzyżowane niczym oficer z wydziału dochodzeniowo-śledczego.

– Faktycznie masz na imię Delly? – zapytał.

– Właściwie Odelle. – Byłam wdzięczna losowi, że mam pod ręką płyn do mycia naczyń i zmywak, z którego zaraz zaczęłam robić użytek.

– Odelle.

Spojrzał przez zwieńczone łukiem wejście w stronę pokoju, gdzie trwało przyjęcie, które toczyło się już własnym rytmem, czyli bez ładu i składu – krzyki, walające się niedopałki papierosów, zawleczone od puszek, porzucone spinki do włosów, zmięta marynarka na podłodze... Sam i Cynth mieli za chwilę wychodzić. Mieli się udać (jakżeby inaczej!) prosto do naszego

mieszkania, ponieważ obiecałam, że im je udostępnię tego wieczoru. Mnie czekał nocleg w tej norze.

Lawrie wyglądał na pogrążonego w myślach, może był na lekkim haju, zauważyłam też, że pod oczami miał małe fioletowe cienie świadczące o zmęczeniu.

– Skąd znasz parę młodą? – zapytałam.

– Nie znam. Przyjaźnię się z Barbarą i to ona powiedziała mi o przyjęciu. Nie wiedziałem, że chodzi o ślub. Trochę głupio wyszło, ale sama wiesz, jak to jest. Nie wiedziałam, więc nie odniosłam się do jego słów.

– A ty? – nie ustępował.

– Chodziłam z Cynth do szkoły. Ona jest... była – poprawiłam się – moją współlokatorką.

– To długo się znacie?

– Długo.

– Twój wiersz był naprawdę dobry – powiedział.

– Dziękuję.

– Nie potrafię sobie wyobrazić, jak to jest być żonatym.

– Nie sądzę, żeby małżeństwo wiele zmieniało – odparłam, wkładając parę żółtych gumowych rękawic.

Odwrócił się w moją stronę.

– Naprawdę tak myślisz? Czy dlatego twój wiersz był o miłości, a nie o małżeństwie?

Góra piany w zlewie ciągle rosła, bo nie zakręciłam kranu. Lawrie wydawał się szczerze zainteresowany, co sprawiło mi satysfakcję.

– Tak – powiedziałam. – Ale nie mów o tym Cynth.

Roześmiał się w jakiś taki przyjemny sposób.

– Moja matka zwykła powtarzać, że małżeństwo to kwestia praktyki, z czasem jest coraz lepiej – powiedział. – Sama zaliczyła już drugie podejście.

– O Boże! – wykrzyknęłam ze śmiechem, ale chyba też z wyraźną dezaprobatą. Rozwód w tamtych czasach nadal kojarzył się z czymś niemoralnym.

– Umarła dwa tygodnie temu – powiedział.

Znieruchomiałam, porzucając w zlewie gąbkę do mycia naczyń i spojrzałam na niego, by sprawdzić, czy czasem się nie przesłyszałam.

– Ojczym powiedział mi, żebym gdzieś wyszedł – mówił dalej Lawrie, wpatrując się w podłogę. – Że płaczę mu się pod nogami. Tak się złożyło, że trafiłem akurat na wesele.

Znowu się roześmiał, ale zaraz potem umilkł, wtulając się mocniej w swoją modną skórzaną kurtkę. Nigdy wcześniej podczas mojego pobytu w Anglii nie odbyłam tak intymnej rozmowy z nieznanym.

Nie mogłam mu niczego poradzić, ale też chyba tego po mnie nie oczekiwał. Nie zanosilo się na to, że się rozpłacze. Pomyślałam, że może jest mu gorąco w tej kurtce, ale nic nie wskazywało, by miał ochotę ją zdjąć. Może wcale nie planował zabawić tutaj dłużej. Ta myśl sprawiła mi przykrość.

– Ja nie widziałam się z moją matką od pięciu lat – powiedziałam, zanurzając w gorącej wodzie tacę klejącą się od resztek ciasta.

– Tyle że ona nie umarła.

– Fakt, żyje.

– Wciąż mi się zdaje, że ją zobaczę. Że będzie w domu, kiedy przyjdę. Ale tam został tylko ten cholerny Gerry.

– Gerry to twój ojczym?

Jego twarz pociemniała.

– Tak, przepraszam. Matka wszystko zostawiła jemu.

Próbowałam odgadnąć, ile Lawrie ma lat. Wyglądał na trzydzieści, ale to, że tak szybko się przede mną otworzył, wskazywałoby, że był młodszy.

– To przykre – powiedziałam. – Dlaczego tak zdecydowała?

– Długo by opowiadać. Ale prawdę mówiąc, coś mi jednak zostawiła. Gerry nigdy tej rzeczy nie znosił, co tylko dowodzi, jakim jest kretynem.

– To dobrze, że coś jednak dostałaś. Co to takiego?

Lawrie znowu westchnął i swobodnie opuścił ręce wzdłuż tułowia.

– Obraz. Jedyne pożytek z niego taki, że mi o niej przypomina.

Lawrie uśmiechnął się lekko.

– „Miłość oczy przesłania, bliska krewna konania”. Ja też mam w sobie zadatki na poetę. Obrócił głowę w stronę lodówki.

– Jest może mleko?

– Powinno być. Myślę, że lepiej pamiętać matkę niż próbować ją zapomnieć. Mój ojciec nie żyje. Nic mi po nim nie zostało. Tylko nazwisko.

Lawrie znieruchomiał z ręką na drzwiach lodówki.

– Hola, bracie, za bardzo się rozpędziłeś. Przepraszam. Czasem za dużo gadam...

– Wszystko w porządku. Naprawdę. – Poczułam się skrępowana.

Chciałam, żeby zabrał już to mleko i zajął się własnymi sprawami. Nie miałam w zwyczaju rozmawiać o swoich rodzicach, ale nagle nabrałam ochoty, żeby powiedzieć coś więcej.

– Ojciec zginął na wojnie. Zestrzelili go.

Lawrie chyba się przejął.

– Mój też zginął w czasie wojny. Ale nie w samolocie. – Przerwał na chwilę i odniosłam wrażenie, że miał zamiar coś mi wyznać, lecz najwyraźniej zmienił zdanie. – Nigdy go nie poznałem – dodał.

Poczułam się dziwnie, odkrywając zbieżność zdarzeń w jego i moim życiu, jak gdybym z rozmysłem takich podobieństw szukała.

– Miałam wtedy dwa lata – rzuciłam pospiesznie. – Właściwie go nie pamiętam. Mówili na niego Odell, ale na końcu jego imienia nie było „e”. Kiedy zmarł, moja mama zmieniła mi imię.

– Co takiego? A jak wołano na ciebie wcześniej?

– Nawet nie wiem.

Nagle zabrzmiało to wszystko absurdalnie i wydało się całkiem zabawne. Oboje wybuchliśmy śmiechem. Może za sprawą oparów trawki, których kłęby unosiły się w powietrzu? Śmialiśmy się chyba przez minutę, aż rozboleły nas brzuchy. Chichotaliśmy z tego, że jedna matka może zmienić dziecku imię, że druga może niespodziewanie umrzeć, i jakie to wszystko jest niedorzeczne, i z tego, że stoję w kuchni, tuż za rogiem jest Muzeum Brytyjskie, a ja mam na rękach żółte gumowe rękawice.

Lawrie stał teraz naprzeciw mnie, w dłoni trzymał butelkę mleka skierowaną wieczkiem w dół. Zdążyłam już nieco ochłonąć po ataku śmiechu, zauważyłam przekrzywioną butelkę i przestraszyłam się, że mleko zacznie wyciekać.

– Posłuchaj – powiedział. – Delly.

– Odelle.

– Chciałabyś się wyrwać?

– Niby skąd?

– Stąd, szalona dziewczyno.

– Kto tu jest szalony?

– Moglibyśmy pojechać do Soho. Mam przyjaciela, który wkręciłby nas do Flamingo. Tylko musisz zdjąć te żółte rękawice. To nie jest t e g o rodzaju klub.

Nie wiedziałam, jak mam rozumieć jego zachowanie. Wydawał się pogrążony w żalu, ale jak widać nie do końca. Może nie otrząsnął się jeszcze po śmierci matki – przecież upłynęły zaledwie dwa tygodnie.

Bez wątpienia był na kogoś zły, przy tym jednocześnie pewny siebie i zagubiony. Bez najmniejszych oporów opowiadał o Gerrym, o swoim domu i rozwiedzionej, nieżyjącej już matce, a ton jego głosu wskazywał, że jest znużony życiem. Ja jednak nie byłam pewna, czy mu to pasuje, czy może stara się z tym coś zrobić.

– Ja... jestem zmęczona – powiedziałam. – Nie mogę tak po prostu wyjść z przyjęcia. – Wyciągnęłam ze zlewu korek. Woda z hałasem ściekała do odpływu, a ja zastanawiałam się, na co zmarła matka Lawrie’ego.

– Mówię o klubie F l a m i n g o, Odelle.

Nigdy o nim nie słyszałam, ale nie miałam zamiaru się do tego przyznać.

– Nie mogę zostawić Cynth.

Uniósł brew.

– Nie sądzę, byś dzisiejszej nocy była jej potrzebna.

Zarumieniłam się, wbijając wzrok w znikającą pianę.

– Posłuchaj – ciągnął niezrażony. – Mam przed domem samochód.

Co byś powiedziała, gdybyśmy zostawili obraz w mieszkaniu mojego znajomego, a potem poszli potańczyć? Nie musimy iść do Flamingo. Masz ochotę potańczyć?

– Wzięłeś ten obraz ze sobą? – spytałam.

– No, teraz rozumiem. – Przejechał dłonią po włosach. – Bardziej koneserka sztuki niż bywalczyńni nocnych klubów?

– Ani jedno, ani drugie, jak mi się zdaje. Ale faktycznie pracuję w galerii sztuki – dodałam. Chciałam mu zaimponować, pokazać, że nie jestem typem skromnisi, która woli zmywać talerze niż korzystać z życia.

Oczy Lawrie’ego rozblęły.

– Chciałabyś zobaczyć? – zapytał. – Mam go w bagażniku.

Podczas naszej rozmowy w kuchni Lawrie ani razu nie próbował mnie

dotknąć. Trzymał ręce przy sobie. Z jednej strony poczułam ulgę, a z drugiej pragnęłam, by się jednak odważył... Myślę, że właśnie dlatego zgodziłam się obejrzeć jego obraz. Poszłam za nim, pozostawiając zalegające w zlewie naczynia własnemu losowi.

Myślę, że chciał mi zaimponować samochodem marki MG, ale mnie zainteresował głównie obraz, który trzymał w bagażniku. Nie był duży i nie miał ramy. Przedstawiona na nim scena była prosta, ale jednocześnie niosła pewne trudne do odczytania treści: po jednej stronie umieszczono postać dziewczyny, trzymającej w rękach odciętą głowę innej młodej kobiety, a po przeciwnej stronie namalowany był lew, który przysiadł na tylnych łapach, ale nie szykował się do skoku. Obraz roztaczał aurę baśniowości.

Pomimo że pomarańczowe światło latarni lekko zafałszowywało kolorystykę obrazu, dolna część tła nasuwała mi skojarzenia z renesansowym portretem dworskim: mozaika pól we wszystkich możliwych odcieniach żółci i zieleni oraz coś, co wyglądało jak mały, biały zamek. Niebo widoczne powyżej było ciemniejsze i stylistycznie nieco odbiegało od reszty tła. Sine indygo użyte do jego namalowania przywoływało atmosferę koszmaru. Obraz oddziaływał silnymi kontrastami – młode kobiety w konfrontacji z lwem, w obliczu zagrożenia. Ale poza piękną paletą kolorystyczną malowidło emanowało jakąś trudną do określenia słodyczą i delikatnością – czymś nieuchwytnym, co nadawało mu niezwykły powab.

– Co o nim sądzisz? – zapytał Lawrie. Rysy jego twarzy złagodniały, gdy przestało na nie padać ostre światło kuchennej lampy.

– Ja? Jestem tylko maszynistką – powiedziałam.

– Och, daj spokój. Przecież słyszałem twój wiersz. Podejź do tego jak do wiersza.

– Tak się nie da – odrzekłam, zanim dotarło do mnie, że Lawrie tylko żartuje. Poczułam zakłopotanie, więc ponownie skupiłam się na obrazie.

– Wydaje się niezwykły. Kolorystyka, temat. Ciekawa jestem, kiedy został namalowany. Tydzień temu czy w ubiegłym stuleciu?

– Możliwe, że nawet dużo wcześniej – powiedział z przejęciem.

Jeszcze raz przyjrzałam się namalowanym w dawnej konwencji polom uprawnym widocznym w tle, a potem postaciom.

– Nie sądzę. Sukienka dziewczyny i kardigan wskazują raczej na nieodległą przeszłość.

– Myślisz, że do namalowania obrazu wykorzystano listki złota?

Pochylił się i wskazał na grzywę lwa – płynne linie zdawały się lśnić metalicznym blaskiem. Zbliżyliśmy się głowami, poczułam zapach jego skóry, delikatny powiew płynu po goleniu, który sprawił, że dostałam gęsiej skórki.

– Odelle?

– To nie jest typowy obraz, prawda? – rzuciłam pospiesznie, jakbym rzeczywiście umiała wskazać, które obrazy zalicza się do typowych. Wyprostowałam się. – Co ma pan zamiar z tym zrobić, panie Scott?

Obrócił się w moją stronę i uśmiechnął. Pomarańczowe światło kładło na jego twarzy nieco upiorne półcienie.

– Lubię, jak zwracasz się do mnie per „panie Scott”

– W takim razie będę do ciebie mówiła „Lawrie”

Roześmiał się, a mnie niebezpiecznie drżał podbródek – nieomylny znak, że za chwilę ja także zacznę się głośno śmiać.

– To nie wygląda na amatorszczyznę – oznajmiłam. – A co twoja matka wiedziała na temat tego obrazu?

– Nie mam pojęcia. Wiem tyle, że wszędzie go ze sobą zabierała.

W domu zawsze wisi w jej pokoju. Nie lubiła, gdy inni go oglądali.

Wskazałam inicjały w prawym dolnym rogu obrazu.

– Kim jest I.R.?

Lawrie wzruszył ramionami.

– Nie znam się na tym.

Zaczęłam się zastanawiać, na czym Lawrie się zna, jakie są jego mocne strony, czy kiedykolwiek się tego dowiem i dlaczego w ogóle chcę się dowiedzieć – czy to z tego powodu tak dziwnie się czuję?

Na wypadek gdyby potrafił czytać w moich myślach, znów przysunęłam twarz do obrazu, przyglądając się sylwetce dziewczyny.

Była ubrana w jasnoniebieską sukienkę i ciemny, wełniany kardigan – można nawet było rozpoznać splot. Trzymana przez nią głowa miała długi, ciemny warkocz, który wymykał się niespokojnym węzowym ruchem z uścisku jej ramion i opadał na czerwone klepisko. Odnosiło się dziwne wrażenie, że pozbawiona korpusu głowa nie jest martwa, że przyzywa mnie

ku sobie, chociaż jednocześnie w jej spojrzeniu była przestroga. Namalowane postaci sprawiały wrażenie nieprzystępnych i wydawały się nieświadome obecności lwa, który mógł – albo i nie – szykować się do śmiertelnego skoku.

– Muszę już iść – powiedziałam do Lawrie’ego, ku jego zdumieniu wciskając mu obraz z powrotem do rąk. Lawrie, przyjęcie, wiersz, Dubonnet, ślub Cynthii, obraz... Nagle zapragnęłam być sama.

Odebrał ode mnie malowidło i zamknął je w bagażniku. Spojrzał na mnie z góry, znów lekko przekrzywiając głowę.

– Dobrze się czujesz? Może chcesz, żebym cię odprowadził?

– Tak – odparłam. – To znaczy nie. Czuję się dobrze. Dziękuję.

Przepraszam. Miło było cię poznać. Powodzenia. – Odwróciłam się i ruszyłam do budynku.

– Hej! Odelle! – zawołał za mną.

Obejrzałam się i zobaczyłam, że wcisnął ręce do kieszeni skórzanej kurtki, znów kuląc ramiona.

– Ja... no... chciałem ci powiedzieć, że to był naprawdę dobry wiersz.

– Na pewne sprawy potrzeba więcej czasu, niż pan myśli, panie Scott – powiedziałam.

Roześmiał się, a ja w końcu pozwoliłam sobie na pełny uśmiech, czując jednocześnie ulgę, że nie pada na mnie w tym momencie światło ulicznej latarni.

Kiedy dorastałam, razem z matką w niedziele zawsze jadałyśmy lunch wspólnie z rodziną Cynthii. Czwarta po południu, na kuchence ogromny kocioł, każdy wchodził i wychodził, nabierając sobie porcję jedzenia, a po posiłku, o wpół do ósmej, przysuwaliśmy krzesła bliżej radia i słuchaliśmy audycji BBC – *Caribbean Voices*. Był to jedyny program wart słuchania, jeśli ktoś pragnął zostać pisarzem.

Wiązał się z tym pewien paradoks: poeci z Trynidadu, Barbadosu, Jamajki, Grenady, Antigui – dowolnej części brytyjskich Karaibów – wysyłali swoje teksty aż do Bush House w dzielnicy Aldwych w Londynie, żeby potem można ich było słuchać przez radio w ich własnych domach, tysiące mil dalej, po drugiej stronie Oceanu

Atlantyckiego. Widocznie w tamtym czasie nie było żadnych lokalnych instytucji przygotowanych do recenzowania takich tekstów i wprowadzania ich do literackiego obiegu. Byłam świadoma tego stanu rzeczy już w bardzo młodym wieku – wiedziałam, że aby zostać pisarzem, trzeba uzyskać akceptację metropolii, coś w rodzaju imperialnego namaszczenia potwierdzającego, że moje słowa zasługują na to, by wyemitowano je w eter.

Autorami większości utworów byli mężczyźni, ale ja z zachwytem wsłuchiwałam się w słowa i głosy Uny Marson, Gladys Lindo, Constance Hollar – a Cynth zwykle wtrącała: „Któregoś dnia to ciebie będą czytać, Delly”. Widząc jej rozpromienioną twarz i kucyki, zawsze czułam się tak, jakby to, co mówiła, miało się ziścić. Miała zaledwie siedem lat, ale to właśnie ona zachęcała mnie, bym nie ustawała w wysiłkach. W 1960 roku program przestał być nadawany, a dwa lata później przyjechałam do Anglii, nie mając pojęcia, co powinnam dalej robić ze swoimi opowiadaniem. Praca w sklepie obuwniczym zdominowała wszystko inne, więc pisałam tylko dla siebie, a Cynth, która musiała widzieć stosy notatek nigdy nieopuszczających mojego pokoju, po prostu przestała mnie o nie nagabywać.

Cynthia i Sam wynajęli mieszkanie przy Queen’s Park. Z tego względu przyjaciółka przeniosła się do innego oddziału sieci Dolcis, położonego na północy Londynu. Nigdy wcześniej nie poznałam, czym jest samotność. Zawsze miałam swoje książki i Cynth obok mnie. Nagle moje myśli urosły i wypełniły sobą całą przestrzeń mojego małego mieszkania, ponieważ nie było

nikogo, kto mógłby mnie wysłuchać i pomóc mi je okiełznać. Nikogo, kto mógłby mnie pocieszyć, powiedzieć miłe słowo albo wyciągnąć ku mnie kojące ramiona.

Nieobecność Cynth odczuwałam w sposób wręcz fizyczny. Czy ciało, którego nikt nie dotyka, naprawdę istnieje? Pewnie tak, ale ja czasami czułam się, jakbym go nie miała. Jak gdybym była samym tylko umysłem krążącym po pokojach. Fatalnie znosiłam zgrzyt klucza obracanego w zamku i towarzyszący temu pogłos, brakowało mi skwierczącej ciągle patelni Cynth, lękiem napawały mnie widok samotnej szczoteczki do zębów i cisza w miejscach nuconych przez przyjaciółkę ulubionych piosenek.

Kiedy spotykamy się z kimś każdego dnia – z kimś, kogo lubimy, kto podtrzymuje nas na duchu – wówczas bez większego wysiłku widzimy się w lepszym świetle. Teraz zaczęłam postrzegać siebie inaczej: „może i jestem interesująca, ale nie tak znowu utalentowana”. Przecież poza Cynth nikt nie chciał słuchać moich wierszy, nikogo również nie obchodziło moje pochodzenie. Nie wiedziałam, jak mogę być dawną Odelle bez wsparcia ze strony Cynth. Wiele jej zawdzięczałam, ale odeszła, więc poczułam się dotknięta.

Obie miałyśmy mnóstwo zajęć związanych z pracą, dlatego widywałyśmy się teraz tylko raz na dwa tygodnie, w klubie Lyon's przy Craven Street, tuż za rogiem Instytutu Skeltona. Nawet nie potrafiłam być jej wdzięczna za te spotkania, chociaż to ona za każdym razem je inicjowała.

Przy barze kelnerka napełniła nasze filiżanki tak, że część zawartości wylała się na spodek, a słodka bułeczka, którą mi podała, miała najbrzydszy kształt ze wszystkich. Kiedy poprosiłam o nowy spodeczek, kelnerka udała, że mnie nie słyszy, a gdy płaciłam, nie włożyła mi reszty do ręki, tylko położyła ją na blacie i przesunęła w moją stronę, w ogóle na mnie nie patrząc. Spojrzałam na Cynth, ale jej twarz jak zwykle niczego nie zdradzała. Poszłyśmy poszukać dla siebie wolnego stolika, jak najdalej od baru.

– Co tam w pracy? – zapytała. – Nadal próbujesz się czegoś dowiedzieć o tej Marjorie Quick?

– W końcu to moja szefowa.

– No tak.

Nie zdawałam sobie sprawy, jak bardzo było widać, że moja przełożona

wywarła na mnie w ciągu minionych tygodni wielkie wrażenie. Próbowałam wyciągnąć więcej informacji na jej temat od Pameli, ale ona wiedziała tylko tyle, że kiedyś Quick napomknęła coś o dzieciństwie spędzonym w hrabstwie Kent. Cała reszta, czyli to, co robiła przez wszystkie te lata, gdy stawała się najpierw młodą, a potem pięćdziesięcioletnią kobietą, pozostawało w sferze niejasnych domysłów.

Być może początkowo miała zostać w Kent i wieść życie dystygowanej panny z pretensjami, poślubić sędziego lub innego wysokiej rangi urzędnika, jednak wybrała odmienny los i przeniosła się do zrujnowanego wojenną zawieruchą Londynu. Jej nazwisko nie widniało w almanachu parów Debretta – Marjorie nie była zatem potomkinią Skeltonów, jak początkowo myślałam. Dzięki doskonale dobranym strojom sprawiała wrażenie osoby silnej i wpływowej, a zadbany wygląd zawdzięczała wyłącznie sobie. Każda perfekcyjnie prezentująca się bluzka lub szal czy idealna para spodni były autokreacją, rodzajem jedwabnej zbroi, która pomagała jej odpowiednio kształtować relacje z innymi.

Wiedziałam, że Marjorie nie ma męża i mieszka w Wimbledonie, tuż przy błoniach. Palila bezustannie i wydawała się mieć zażyłe kontakty z Reede'em – była trochę jak woda, omywająca przez dziesięciolecia ten sam kamień. Pamela twierdziła, że Quick pracuje w Instytucie tak długo jak Reede, który objął tu posadę dyrektora w 1947 roku, przed dwudziestoma laty. W jaki sposób się poznali i dlaczego Marjorie zdecydowała się na pracę w Instytucie, pozostawało tajemnicą.

Zastanawiałam się, jaką musiała stoczyć walkę, żeby zdobyć obecną pozycję i czy rzeczywiście czytała te wszystkie książki o starożytnym Rzymie, które u niej widziałam, żeby przyswoić sobie wiedzę na temat sztuki prowadzenia wojen.

– Nigdy wcześniej nie spotkałam nikogo takiego jak ona – powiedziałam do Cynth. – W jednej chwili potrafi przeistoczyć się z osoby przyjaznej i radosnej w istną wiedźmę, najeżoną i burkliwą, od której lepiej trzymać się z daleka.

Cynth westchnęła.

– Kupiliśmy G Plan.

– G co?

– Och, Delly, o meblach ci mówię. Sam strasznie tyra, więc namówiłam go na ładną sofę firmy G Plan, żeby po robocie mógł porządnie się wyciągnąć i odpocząć.

– A ty jak się trzymasz?

Cynth westchnęła i zamieszała łyżeczką ledwo ciepłą herbatę.

– Coś ci opowiem. Nasz nowy listonosz coś zamieszał z listami i jeden z sąsiadów wpadł do nas w tej sprawie. – Cynth odchrząknęła i zaczęła mówić z akcentem charakterystycznym dla wyższych sfer: – „Och, to pewnie należy do państwa. Zauważyliśmy czarny znaczek”

List wysłano z Lagosu, Delly. Nie było na nim mojego nazwiska, a poza tym ja przecież nie znam nikogo w Nigerii. „Czarny znaczek”, no proszę cię.

Jej śmiech szybko ucichł. Zazwyczaj po takich przytykach odbywałyśmy dłuższą rozmowę, żeby sobie ulżyć, ale tym razem zachowanie kelnerki na tyle wytrąciło nas z równowagi, że nie miałyśmy już na to ochoty.

– Wrzucić coś o tym facecie, z którym gadałaś na przyjęciu weselnym – poprosiła z szelmowskim uśmiechem Cynthia.

– O jakim facecie?

Przyjaciółka spojrzała na mnie z wyrzutem.

– No jak to? Rozmawiał z tobą Lawrie Scott. Biały, przystojny, szczupły. Kumpluje się z tą Barbarą od Patryka. Nie wypięłam aż tylu Dubonnetów, żeby niczego nie ogarniać. Widziałam cię z nim w kuchni.

– Ach, o nim mówisz. To przygłup.

– Hm... Dziwna sprawa – powiedziała z tajemniczym błyskiem w oku. Zrozumiałam, że się zdradziłam.

– Dlaczego?

– Bo Patryk powiedział Samowi, że ten Lawrie się o ciebie dopytywał.

Zamknęłam się w sobie i nic nie odparłam. Cynth rozciągnęła usta w uśmiechu.

– Pisziesz coś? – spytała.

– Zaczęłaś o to pytać dopiero teraz, gdy zniknęłaś.

– Nie zniknęłam. Nadal jestem z tobą, tyle że mieszkam na drugim końcu linii metra. I tyle.

– No i martwisz się, że nie mam co robić całymi dniami.

Niepotrzebnie się zajmujesz, coś tam skrobię – powiedziałam, ale to była

nieprawda. Urwałam, bo uznałam, że kreowanie się na utalentowaną pisarkę jest żałosne.

– To świetnie. Się cieszę, że piszesz – pewnym głosem oświadczyła Cynth. – Wiesz, że w Instytucie Sztuki Współczesnej robią wieczór poezji? – ciągnęła. – Kumpel Sama będzie czytał swoje wiersze, ale on jest kiepski w porównaniu z tobą. Zwykle jak go słucham, zaczynam kimać...

– Nie mam zamiaru czytać wierszy na jakichś wieczorkach – powiedziałam, marszcząc nos.

Cynthia westchnęła.

– Rozumiem, ale ty naprawdę dobrze piszesz, Odelle. Piszesz lepiej od innych, wiesz o tym i nic z tym nie robisz.

– Co ty powiesz? – rzuciłam w odpowiedzi. – Mam różne sprawy, pracuję. Zajmij się swoją kanapą firmy G Plan i przestań fantazjować.

Co ty sobie myślisz, że jak nie mam na głowie męża i jego problemów, to powinnam wypełniać sobie czas poezją i uszczęśliwiać ludzi swoimi wierszykami?

Cynthia wyglądała na zgnębioną.

– Delly, o co się tak wściekasz? Przecież ja tylko próbuję ci pomóc.

– Ja się nie wściekam. – Dopiliśmy swoją herbatę. – Może to dobry plan dla ciebie – powiedziałam. – Ale nie próbuj mnie uczyć, jak powinnam układać sobie życie.

Cynth umilkła po tym oświadczeniu. Powinnam ją wtedy przeprosić, ale nie zrobiłam tego. Chwilę później wyszła, ze ściągniętą twarzą, powstrzymując łzy, a ja zapragnęłam, żeby jakiś potwór wynurzył się z morza i chwycił ją za nogi.

Nie spotkałyśmy się ani w następnym tygodniu, ani w kolejnym, a Cynth nie zadzwoniła. Podobnie jak ja. Wiedziałam, że postąpiłam bardzo głupio i czułam z tego powodu zażenowanie. „Kompletna idiotka” – tak pewnie Cynth powiedziała o mnie tamtego wieczoru Samowi. Im dłużej milczała, tym trudniej było mi chwycić za słuchawkę i do niej zadzwonić.

Tak naprawdę chciałam jej tylko powiedzieć, że bardzo tęsknię za naszym dawnym wspólnym życiem. Nie potrafiłam tego zrobić, a przecież to ja uchodziłam za tę, której łatwo przychodzą słowa.

Lawrie odnalazł mnie piętnastego sierpnia. Była siódma rano, a ja właśnie szłam do pracy. Sklepy wciąż jeszcze pozostawały zamknięte, a autobusy jeżdżące po Charing Cross Road kursowały z mniejszą częstotliwością. Kierowałam się w stronę pasażu handlowego i długiej arterii komunikacyjnej, zazwyczaj bardzo ruchliwej, ale teraz pustej i skąpanej w zielonkawym świetle. Deszcz padał od tygodnia i bruk był mokry od porannej ulewy. Drzewa falowały na wietrze jak porosty pod powierzchnią morza.

Widywałam znacznie gorsze oberwania chmury niż to tutaj, więc nie zmartwiłam się zbyt, wcisnęłam tylko głębiej do torby egzemplarz „Expressu” kupiony dla Pameli, by ochronić go przed zmoczeniem, przecięłam Carlton Gardens i przeszłam obok owalnego centrum placu Skeltona. Minęłam stojący pośrodku pomnik dawno zmarłego męża stanu – gość odziany był w surdut, który upstrzyły gołębie, i spoglądał obojętnym, pozbawionym wyrazu wzrokiem. W przeszłości starałabym się dowiedzieć, kim był – ale po pięciu latach spędzonych w Londynie straciłam zainteresowanie dżentelmenami z epoki wiktoriańskiej.

Zapatrzona w bezgraniczną dal postać na pomniku sprawiła, że zrobiło mi się jeszcze ciężiej na duszy.

Spojrzałam na budynek Instytutu Skeltona. Przy drzwiach stał młody mężczyzna, wysoki i smukły, ubrany w lekko znoszoną skórzaną kurtkę. Miał wąską twarz i bardzo ciemne brązowe włosy. Gdy się zbliżyłam, poznałam, że to on. Poczułam ucisk w gardle, motylki w brzuchu i łomotanie w klatce piersiowej. Podeszłam do schodów i wyciągnęłam z torby klucz do Instytutu. Lawrie włożył tego dnia okulary, a ich szkła załśniły w świetle zainstalowanych w ziemi reflektorów. Pod pachą ścisnął paczkę zawiniętą w szary papier – dawniej rzeźnicy pakowali w taki płaty mięsa.

Uśmiechnął się do mnie na powitanie.

– Cześć – powiedział.

Jak na mnie podziałał jego uśmiech? Spróbuję to opisać – poczułam się tak, jakby uzdrowiciel położył mi ręce na sercu. Moje nogi zrobiły się miękkie jak z waty, broda zaczęła drżeć, wyschło mi zupełnie w ustach. Miałam ochotę rzucić mu się na szyję, otoczyć go ramionami i wykrzyknąć: „To ty, znalazłeś mnie!”

– Cześć – powiedziałam zamiast tego. – Mogę panu w czymś pomóc?

Jego uśmiech przybladł.

– Nie pamiętasz mnie? Spotkaliśmy się, na weselu. Przyszedłem razem ze znajomymi Barbary. Czytałaś tam swój wiersz, a potem nie zgodziłaś się pójść ze mną potańczyć.

Zmarszczyłam brwi.

– No tak, oczywiście. Bardzo mi miło.

– „Bardzo mi miło”? Nie zapytasz mnie nawet, po co tu przyszedłem?

– Jest siódma rano, panie...?

– Scott – odparł, a jego radosna twarz przygasła. – Lawrie Scott.

Minęłam Lawrie’ego, włożyłam klucz do zamka i dłużyłam przy nim dłuższą chwilę, nie mogąc sobie poradzić. Co mi się stało? Wiele razy wyobrażałam sobie, jak taka scena mogłaby wyglądać, a gdy przyszło co do czego, postąpiłam jak zwykle – byłam zamknięta w sobie i odpychająca. Otworzyłam w końcu drzwi i Lawrie wszedł za mną do środka.

– Jest pan z kimś umówiony? – zapytałam.

Lawrie posłał mi surowe spojrzenie.

– Odelle, odwiedziłem każdą galerię sztuki, każde muzeum w tym cholernym mieście, żeby cię odnaleźć.

– Żeby mnie odnaleźć?

– Tak.

– Nie mogłeś mnie odszukać przez pięć tygodni? Wystarczyło zapytać Patryka Minamore’a.

– A więc je policzyłaś? – roześmiał się Lawrie.

Moją twarz pokrył rumieniec. Odwróciłam wzrok, skupiając uwagę na korespondencji. Lawrie wskazał na paczkę zawiniętą w szary papier.

– Przyniosłem je ze sobą.

– Je? – w moim głosie pojawiła się podejrzliwość, której nie potrafiłam ukryć.

Lawrie uśmiechnął się szeroko.

– No, te dziewczęta z lwem, obraz mojej matki. Poszedłem za twoją radą. Jak myślisz, czy ktoś zechce rzucić na nie okiem?

– Jestem tego pewna.

– Sprawdziłem inicjały, o których mówiłaś, I.R. Nie udało mi się znaleźć

malarza o takich inicjałach. Pewnie to malowidło nie ma żadnej wartości.

– Planujesz sprzedać obraz? – zapytałam. W głowie wciąż mi szumiało, a serce waliło jak młotem, gdy krążyłam z drugiej strony drewnianego kontuaru. Jeszcze nigdy w życiu nie nawiązałam tak bezpośredniej relacji z chłopakiem.

– Może. Sam jeszcze nie wiem.

– Ale przecież to był ulubiony obraz twojej matki?

– Rzeczywiście b y ł – odparł Lawrie, kładąc paczkę na kontuarze ze smutnym uśmiechem. – Tylko żartowałem. Nie chcę go sprzedawać, ale jeśli ten obraz jest coś wart, to może pomógłby mi stanąć na nogi.

Przepraszam za wyrażenie, ale ten sukinsyn Gerry w każdej chwili może wyrzucić mnie z mieszkania.

– Nie masz pracy?

– Pracy?

– No, jakiegoś zajęcia?

– Kiedyś miałem.

– W zamierzchłej przeszłości?

Lawrie skrzywił się.

– Nie podoba ci się to, że nie pracuję?

Rzeczywiście nie lubiłam ludzi, którzy nie podejmowali pracy.

Wszyscy, których znałam od czasu mojego przyjazdu do Londynu – Cynth, dziewczyny w sklepie z butami, Sam, Patryk, Pamela – każdy z nas miał jakieś zatrudnienie. Byliśmy tutaj właśnie z powodu pracy. Tam, skąd jestem, praca była jedyną szansą na przebudzenie z długiego letargu, w który zapadły poprzednie pokolenia pracujące w polu – jedyną drogą wyjścia. Ciężko jest zmienić sposób myślenia utrwalany w nas przez całe życie, zwłaszcza gdy pewne wzorce od zawsze nam towarzyszyły, istniały na długo przed naszym narodzeniem.

Lawrie wpatrywał się w paczkę zawiniętą w szary papier.

– To długa historia – powiedział, wyczuwając w moim głosie dezaprobatę. – Wyleciałem ze studiów. Kilka lat temu. Moja matka nie była... och, mniejsza z tym. Chciałbym jednak zacząć coś nowego.

– Rozumiem.

Z zażenowaniem wcisnął rękę do kieszeni kurtki.

– Zrozum, Odelle. Nie jestem... typem wąłkonia. Naprawdę chcę robić różne rzeczy. Chciałbym, żebyś wiedziała, że ja...

– Masz ochotę na filiżankę herbaty? – zapytałam.

Urwał w pół słowa.

– Herbata. No tak. Mój Boże, jest jeszcze bardzo wcześnie, prawda? – roześmiał się.

– Miałeś zamiar stać przed Instytutem, dopóki się nie pojawię?

– Tak – powiedział.

– Jesteś kompletnie zwariowany.

– A czyja to wina? – powiedział i oboje uśmiechnęliśmy się do siebie. Przyjrzałam się jego bladej twarzy.

– Nawet bez pracy mojej mamie wydałbyś się idealny.

– Dlaczego?

Skwitowałam to westchnieniem. Było zbyt wcześnie, żeby silić się na tłumaczenie.

Spędziłam razem godzinę, siedząc w holu recepcji. Drzwi frontowe były zamknięte, podczas gdy ja sortowałam pocztę oraz parzyłam herbatę i kawę, której zapas Pamela i ja musiałyśmy wciąż uzupełniać w ciągu dnia. Lawrie chyba naprawdę z przyjemnością wypił swoją filiżankę herbaty. Sącył ją z taką lubością, jakby nigdy wcześniej nie próbował gorącego napoju.

Opowiedział mi o pogrzebie swojej matki.

– Było okropnie. Gerry przeczytał szampowy wierszyk o umierającej róży.

Odruchowo przesłoniłam usta dłonią, żeby ukryć uśmiech.

– Nie krępuj się – powiedział. – Moja matka też by się z tego śmiała. Ten utwór z pewnością nie przypadłby jej do gustu. Ona nawet niezbyt lubiła róże. A Gerry ma w dodatku okropny głos do czytania poezji. Najgorszy, jaki słyszałam. Jakby gardło zatykał mu przepychacz do udrażniania rur. Ksiądz to był zupełny już staruszek, a w pogrzebie uczestniczyło nie więcej niż pięć osób. Było naprawdę okropnie i bardzo to przeżyłem, że spotkało ją coś takiego.

– Przykro mi – powiedziałam.

Lawrie westchnął i rozprostował nogi.

– Ty nie jesteś nic temu winna, Odelle. W każdym razie już po wszystkim. Niech spoczywa w pokoju i tak dalej, i tak dalej. – Potarł twarz, jakby chciał wymazać wspomnienie. – A co u ciebie? Jak ci się żyje

bez twojej współlokatorki?

Poruszyło mnie to, że pamiętał.

- W porządku – powiedziałam. – Trochę cicho.
- Myślałem, że lubisz, jak jest cicho.
- Dlaczego tak sądziłeś?
- Bo nie chciałaś ze mną pójść do klubu Flamingo.
- Chodziło mi o inny rodzaj ciszy – wyjaśniłam.

Wtedy oboje umilkliśmy – ja siedziałam za kontuarzem, a on po drugiej stronie. Między nami, na drewnianym blacie, spoczywała paczka zawinięta w szary papier. Ta cisza była miła, ciepła i dawała wrażenie pełni. Sprawiało mi przyjemność, że był tam ze mną, niezwracający na siebie uwagi, skromny, a jednak w moich oczach promieniejący blaskiem, który ujrzałam w nim już wtedy, kiedy pierwszy raz się spotkaliśmy.

Wydawał mi się piękny. Gdy kładłam na kontuarze „Express” dla Pameli, a potem udawałam, że sortuję pocztę, w głębi duszy miałam nadzieję, że recepcjonistka się spóźni. Daleko, w moim kraju, miałam jeden czy dwa „romanse” (jakby powiedziała moja matka). Polegało to na trzymaniu się za ręce w ciemnościach w kinie Roxi, wyjściu na hot dogi po wykładach, wymianie niezdarnych pocałunków podczas koncertu w Princes Building, uczestniczeniu w nocnym pikniku przy Pitch Walk, obserwowaniu jarzących się niebiesko świetlików. Nigdy dotąd nie przeżyłam jednak... swojego pierwszego razu.

Gdy mężczyźni zwracali na mnie uwagę, zazwyczaj starałam się tego nie dostrzegać, bo wszystkie te umizgi i zabiegi o wzajemność były dla mnie prawdziwą torturą. „Wolna miłość” jakoś nas ominęła w Port-of-Spain. Byłyśmy uczennicami szkoły katolickiej stanowiącej relikw epoki wiktoriańskiej. Nadal pobrzmiwały tam echa historii mówiących o upadłych kobietach i dziewczętach, które bezpowrotnie zszargały swoje dobre imię w wyniku własnej lekkomyślności. Uczono nas, że jesteśmy zrobione z lepszego kruszcu i nie przystoi nam taka swobodna wymiana ciał.

Mój stosunek do seksu podszyty był strachem, ale i wyniosłością.

Ze względnej równowagi w tej materii wytrącały mnie jednak koleżanki, które miały to już za sobą, dziewczyny takie jak Lystra Wilson albo Dominique Mendes. Spotykały się z chłopcami starszymi od siebie, w ich

spojrzeniu była jakaś tajemnica, a na dodatek obie najwyraźniej świetnie się bawiły. W jaki sposób udawało im się zdobyć tych chłopaków, zawsze pozostawało dla mnie zagadką – bez wątpienia jednak wiązało się z tym nieposłuszeństwo, wychodzenie nocą przez okna z sypialni, wyprawy do klubów nocnych w okolicy Frederick Street i Marine Square. W mojej pamięci Lystra i Dominique, te najbardziej śmiałe i przedsiębiorcze, wyglądały, jakby były dorosłymi kobietami od urodzenia – istne syreny, które wyszły na ląd, żeby żyć pośród nas, kuszące i wspaniałe. Nic dziwnego, że cała reszta dziewcząt – wszystkie strachliwe dusze – okopała się w książkach. Seks był poniżej naszej godności także dlatego, że był dla nas nieosiągalny.

Drzwi do Instytutu Skeltona nadal były zamknięte. Nie chciałam, żeby ta chwila się skończyła: czajnik gwizdzący na zapleczu na znak, że można zrobić więcej herbaty; Lawrie na zmianę rozprostowujący i podciągający nogi, zadający mi różne pytania – jakie filmy widziałam, jak mogłam czegoś tam nie znać, czy lubię bluesa, czy może bardziej folk, ile miesięcy już tu pracuję, czy podoba mi się w Clapham. Lawrie umiał sprawić, że jego rozmówca czuł się kimś ważnym.

– Chciałabyś pójść do kina? – zapytał. – Moglibyśmy zobaczyć *Żyje się tylko dwa razy* albo *The Jokers*.

– *The Jokers*? Mogłam się tego spodziewać.

– Gra tam Oliver Reed, jest naprawdę świetny – powiedział Lawrie. – Ale czy taka zwariowana komedia kryminalna nie jest dla ciebie zbyt łatwa?

– Zbyt łatwa? Dlaczego?

– Bo ty jesteś inteligentna. Pewnie byś się obraziła, gdybym zabrał cię na film o dwóch głupich facetach, którzy uganiają się za Królewskimi Klejnotami.

Roześmiałam się, zadowolona, że nie tylko ja, ale również Lawrie czuł się trochę skrępowany. Z drugiej strony ujęło mnie to, że nie bał się do tego przyznać.

– A może wolałabyś zobaczyć jeden z tych francuskich filmów – powiedział – w których ludzie tylko wchodzą i wychodzą z pokoiów, i przyglądają się sobie?

– Chodźmy na *Bonda*.

– Dobrze. Świetny pomysł. Doskonały! Bardzo podobał mi się *Goldfinger*. Ten melonik!

Znowu się roześmiałam, a on podszedł do kontuaru i nachylił się, żeby ująć moją dłoń. Cała zeszywniałam.

– Odelle – powiedział. – Myślę, to znaczy, ty jesteś...

– Jaka?

– Jesteś po prostu... – Nadal trzymał moją rękę. Po raz pierwszy w życiu nie chciałam, żeby mężczyzna wypuścił moją dłoń.

Na zewnątrz zaczęło znowu lać. Odwróciłam głowę w stronę drzwi, patrząc na deszcz, który spływał strumieniami na szary chodnik.

Lawrie nachylił się i pocałował mnie w policzek. Odwróciłam twarz w jego stronę, a wtedy znowu mnie pocałował. Zrobiło się tak miło, że staliśmy jeszcze przez kilka minut, całując się w recepcji Instytutu Skeltona.

To ja wycofałam się pierwsza.

– Przez ciebie wyrzucą mnie z pracy.

– No dobrze. Nie chcę, żeby tak się stało.

Wrócił na swój fotel, uśmiechając się szeroko jak idiota. Deszcz dudnił teraz już naprawdę mocno, ale był to mimo wszystko angielski deszcz, a nie trynidadzki. Tam, w moim kraju, niebo pękało, uwalniając strzeliste potoki wody. Tydzień po tygodniu nie ustawały tropikalne ulewy, a złane deszczem lasy zieleniły się tak, że zdawały się prawie czarne. Do tego pozrywane neony, zryte skarpy zamieniające się w błoto, etlingery czerwone tak, jakby ich płatki zabarwiły krople ludzkiej krwi – i my wszyscy, kryjący się pod daszkami albo w domach, do czasu aż znów będzie można bezpiecznie wędrować błyszczącą asfaltową drogą. Często też używaliśmy deszczu jako wymówki, gdy przychodziliśmy spóźnieni: „padało”, mówiliśmy, i każdy przyjmował to ze zrozumieniem.

– O co chodzi? – spytał Lawrie. – Dlaczego się uśmiechasz?

– Nie, nic takiego – odparłam. – Naprawdę nic ważnego.

Rozległo się stukanie do drzwi. Pani Quick zaglądała przez szybę do środka spod czaszy wielkiego czarnego parasola.

– Och! – krzyknęłam. – Jest dzisiaj wyjątkowo wcześnie.

Podbiegłam do drzwi i otworzyłam je, dziękując Bogu, że moja chlebodawczyni nie widziała, jak się całujemy. Quick weszła do środka, a ja odniosłam wrażenie, że jej twarz zmizerniała. Zdjęła płaszcz i strzepnęła krople deszczu z parasola.

– Sierpień – mruknęła.

Podniosła wzrok i ujrzała Lawrie’ego.

– Kim pan jest? – zapytała, nieufna jak kot.

– To... pan Scott – powiedziałam, zdziwiona jej bezceremonialnym zachowaniem. – Chciałby porozmawiać z kimś na temat obrazu, który posiada. Panie Scott, to jest pani Quick.

– Pan Scott? – powtórzyła. Nie mogła oderwać od niego oczu.

– Dzień dobry – powiedział Lawrie, zrywając się na równe nogi. – Zastanawiałem się, czy mam ten obraz uważać za klejnot rodzinny, czy raczej potraktować go jak zwykły chłam. – Wyciągnął dłoń, a Quick, zupełnie jakby opierała się wielkiemu magnesowi, podała mu swoją.

Dostrzegłam, że się wzdrygnęła, ale Lawrie niczego nie zauważył.

Uśmiechnęła się blado.

– Mam nadzieję, panie Scott, że potwierdzi się to pierwsze.

– Ja również – odparł Lawrie.

– Czy mogę go zobaczyć?

Mój znajomy podszedł do kontuaru i zaczął rozpakowywać obraz.

Quick została tam, gdzie była – przy drzwiach, zaciskając dłoń na rączce parasola. Przez cały czas wpatrywała się w Lawrie’ego. Była zupełnie przemoczona, a mimo to nie ściągnęła płaszcza. Lawrie uniósł obraz na wysokość swojego tułowia i trzymał go tak, byśmy obie mogły zobaczyć, co przedstawia.

– Oto on – powiedział.

Quick stała przez cztery czy może pięć sekund z oczami utkwionymi w płótnie. Złoty lew, dziewczęta, krajobraz wznoszący się w tle. Parasol wyslizgnął się z jej dłoni i uderzył o posadzkę.

– Pani Quick? – zapytałam. – Dobrze się pani czuje?

Spojrzała na mnie, zrobiła w tył zwrot i wymaszerowała przez drzwi frontowe z powrotem na zewnątrz.

– Czyżby był aż tak kiepski? – rzucił Lawrie, spoglądając znad obrazu. Obserwowałam, jak Quick idzie szybkim krokiem przez plac z pochyloną głową, zupełnie obojętna na deszcz, który moczył jej ubranie.

Gdy sięgnęłam po mój własny płaszcz, w drzwiach akurat pojawił się Edmund Reede. Zdjął ociekający wodą filcowy kapelusz.

Spojrzał na mnie.

– Mam przyjemność z panną Baston, tak?

– Bastien.

– Dokąd pani biegnie?

– Chcę dogonić pannę Quick. Ona... zapomniała parasola.

– Mieliśmy odbyć spotkanie. – Pan Reede obrócił się w stronę Lawrie’ego, który znowu siedział na swoim miejscu, z pospiesznie zawiniętym w szary papier obrazem na kolanach. – A to kto?

– Pan Scott przyniósł obraz – powiedziałam.

– Właśnie widzę. Ale czy nie za duży rozgardiasz tu panuje jak na ósmą piętnaście rano? Gdzie jest panna Rudge?

– Ja dyżuruję dzisiaj na porannej zmianie, panie Reede. Pan Scott przyszedł do Instytutu, ponieważ miał nadzieję, że ktoś zechce rzucić okiem na jego obraz. Należał do jego matki... Było to jej ulubione płótno. – Umilkłam, bo chciałam jak najszybciej wyjść i dogonić Quick, zapytać, czy dobrze się czuje.

Reede zdjął swój mokry płaszcz wolno i z namysłem, jakbym przed chwilą włożyła mu na ramiona cały ciężar świata. Był wysoki, barczysty i wypełniał sobą przestrzeń – miał świetnie skrojony garnitur, strzechę siwych włosów, a wokół roztaczał zapach wody po goleniu o drzewnym zapachu.

– Był pan umówiony? – zapytał Lawrie’ego. Z jego małych błyszczących niebieskich oczu można było wyczytać zniecierpliwienie.

– Nie, proszę pana.

– Nie jesteśmy instytucją, do której można sobie wpaść ot tak, bez zapowiedzi. Nie w ten sposób się to odbywa.

Lawrie zeszywniał, papier zaszeleścił nad obrazem.

– Wiem o tym.

– Chyba jednak pan nie wie. Proszę zwrócić się z tym do panny Bastien i poprosić ją, żeby umówiła pana na przyszły tydzień. Dzisiaj nie mam czasu. – Odwrócił się, żeby spojrzeć jeszcze raz przez drzwi, którymi uciekła Quick. – Dlaczego, do diabła, Marjorie tak nagle zniknęła?

Nigdy wcześniej nie widziałam Reede’a równie zmartwionego. Gdy się odwrócił, Lawrie wstał, a wtedy połowa arkusza szarego papieru zsunęła się i spadła na podłogę. Reede zatrzymał się w miejscu i utkwiał wzrok w odsłoniętej części malowidła, na której widać było złotego lwa.

– To pański obraz? – spytał Lawrie’ego.

Chłopak spuścił wzrok i podniósł z podłogi papier.

– Tak – odparł niepewnie. – A właściwie... mojej matki. Teraz należy już do mnie.

Reede zrobił krok w jego kierunku, ale Lawrie się odsunął, wyciągając do przodu rękę.

– Zaraz, chwileczkę. Powiedział pan, że jest pan zbyt zajęty. Mam się stawić w przyszłym tygodniu. Chociaż tak sobie myślę, że do tego czasu może zabiorę obraz do kogoś innego.

– No cóż – powiedział Reede, unosząc ręce. – Ja tylko chciałbym przyjrzeć się mu nieco dokładniej. Proszę mi pozwolić. – Te ostatnie słowa musiały go sporo kosztować.

– Dlaczego? Jeszcze minutę temu nie był pan skłonny poświęcić mi ani chwili.

Reede roześmiał się jowialnie, lecz nerwowo.

– Posłuchaj, przyjacielu. Przepraszam, że byłem niemiły.

Przychodzi do nas mnóstwo ludzi z pamiątkami rodzinnymi po cici Ednie albo z czymś, co kupili za parę szylingów od jakiegoś gościa przy Brick Lane, i w końcu człowiek traci cierpliwość. Ale to, co pan tu zaprezentował, wygląda naprawdę interesująco. Jeśli pozwoli mi pan się temu przyjrzeć, może będę umiał panu wyjaśnić dlaczego.

Lawrie zawahał się, zanim położył obraz z powrotem na kontuarze. Zdjął z niego pozostały papier. Reede podszedł bliżej, chłonąc przedstawioną na obrazie scenę – jego palce przesuwały się nad pokrytą farbą powierzchnią, od unoszącej się w powietrzu głowy drugiej dziewczyny, jej wijących się jak wąż warkoczy do pozbawionych wyrazu oczu lwa.

– Mój Boże – westchnął Reede. – Gdzie pańska matka go dostała?

– Nie wiem.

– Czy mógłby ją pan o to spytać?

Lawrie spojrzał w moją stronę.

– Ona nie żyje.

– Ach tak – Reede zawahał się. – A czy orientuje się pan może, od kogo pańska matka otrzymała ten obraz?

– Większość rzeczy kupowała w sklepach ze starzyzną albo na pchlich

targach. Niekiedy na aukcjach, ale ten obraz był u nas w domu od czasu, gdy byłem małym chłopcem. Zawsze wisił na ścianie w pokoju mamy, bez względu na to, gdzie się przeprowadzaliśmy.

– A gdzie wisił ostatnio?

– W jej domu w Surrey.

– Czy ona kiedykolwiek rozmawiała z panem na jego temat?

– Po co miałyby to robić?

Reede delikatnie podniósł obraz i obejrzał go z drugiej strony.

– Nie ma ramy, tylko sam haczyk – zamruczał. – No cóż – zwrócił się do Lawrie’ego. – Jeśli zawsze go u siebie wiesziała, mógł mieć dla niej szczególną wartość.

– Raczej po prostu uważała, że jest ładny – odparł Lawrie.

– W tym wypadku „ładny” to nie jest odpowiednie słowo.

– A jakiego słowa pan by użył, sir?

Reede nie zraził się tonem Lawrie’ego.

– „Doskonały” to pierwsze, co przychodzi mi na myśl, gdy na niego patrzę. Ważna jest też proveniencja, panie Scott, jeśli planuje pan coś wystawiać albo przeznaczyć na sprzedaż. Zakładam, że właśnie z tego powodu przyniósł pan swój obraz do nas.

– A więc to malowidło jest coś warte?

Zapadła cisza. Reede oddychał głęboko, ze wzrokiem utkwionym w obrazie.

– Panie Scott, czy mogę zaprosić pana do gabinetu, bym mógł się dokładniej przyjrzeć temu dziełu?

– Dobrze.

– Panno Bastien, proszę podać nam kawę.

Reede zabrał obraz i gestem pokazał Lawrie’emu, żeby poszedł za nim. Patrzyłam, jak wchodzi krętymi schodami na górę. Lawrie rzucił mi spojrzenie przez ramię – jego oczy były szeroko otwarte z podekscytowania – i uniósł kciuk.

Na zewnątrz rześisty deszcz przerodził się w istne oberwanie chmury – z nieba lały się strumienie wody. Przemierzałam plac w poszukiwaniu Quick, ale do tego czasu, rzecz jasna, dawno jej już tu nie było. Ze złożonym parasolem w ręku, niczym z lancą, pobiegłam lewą stroną placu i skręciłam w kierunku Piccadilly, w nadziei, że gdzieś ją mimo wszystko zobaczę. Potem

skręciłam w prawo, zmierzając w stronę stacji metra. I wtedy ją dostrzegłam, jedną przecnicę przede mną. Zewsząd dobiegały mnie odgłosy ulicy: klaksony samochodów i pisk opon. Na horyzoncie majaczyła statua Erosa.

– Panno Quick! – krzyknęłam. – Parasol!

Oglądali się za mną przechodnie, ale nie zwracałam na to uwagi. Quick maszerowała prędko przed siebie, więc przyspieszyłam, aż w końcu udało mi się dosięgnąć jej ramienia. Błyskawicznie odsunęła się i odwróciła w moją stronę. Miała nieobecne spojrzenie, myślami była gdzieś daleko stąd, w każdym razie na pewno nie na tej pełnej zgiełku ulicy, z wysokimi, pokrytymi warstwą sadzy budynkami, kolorowymi billboardami i z pieszymi desperacko próbującymi przeskakiwać kałuże. Ale po chwili skupiła wzrok na mnie, i jakby poczuła ulgę. Była zupełnie przemoknięta, po policzkach spływały jej krople wody, ale nie potrafiłam rozróżnić, czy był to deszcz, czy może łzy.

– Zapomniałam czegoś – powiedziała. – Zostawiłam w domu i muszę teraz po to wrócić.

– Proszę – powiedziałam. – To pani parasol. Zawołam dla pani taksówkę.

Quick spojrzała na parasol, a potem przeniosła wzrok na mnie.

– Jesteś cała przemoczona, Odelle. Dlaczego, na miłość boską, wybiegłaś na ten deszcz?

– Bo... bo pani też wybiegła. Proszę tylko na siebie spojrzeć. – Położyłam dłoń na jej mokrym rękawie, a ona przez moment wpatrywała się w niego bez słowa. Zdumiała mnie szczupłość jej ramion, którą wyczuwałam pod ubraniem.

– Proszę. – Pani Quick wyjęła mi parasol z rąk i rozpostarła go nad naszymi głowami. Popatrzyłyśmy na siebie pod czarnym baldachimem.

Deszcz uderzał z impetem o delikatną konstrukcję, przechodnie ocierali się o nas, biegnąc w poszukiwaniu schronienia. Pierścionki włosów pani Quick splątały się i przylgnęły do głowy, woda zmyła puder z jej twarzy, odsłaniając naturalną strukturę skóry. Ku mojemu zdziwieniu bez makijażu jej twarz bardziej przypominała maskę. Pani Quick wydała jakiś dźwięk, jakby zamierzała coś powiedzieć, ale się powstrzymała.

– Jezus Maria – szepnęła pod nosem, na chwilę przymykając oczy. – Cóż to za monsunowa ulewa.

– Zawołać pani taksówkę?

– Pojadę metrem. Nie masz przy sobie papierosa, prawda?

– Nie – odparłam nieco zmieszana, bo przecież do tej pory pani

Quick z pewnością się już zorientowała, że nie palę.

– Ten mężczyzna, jak trafił do Instytutu? – spytała. – Znasz go może? Odniosłam wrażenie, że się znacie.

Spojrzałam w dół. Wokół naszych butów zaczynały się tworzyć ogromne kałuże. Przypomniałam sobie o kawie, którą miałam zaparzyć.

Ile jeszcze mogę tu stać, zanim zwolnią mnie z pracy?

– Spotkałam go wcześniej tylko raz, na weselu Cynthii. Dzisiaj mnie odnalazł.

– Odnalazł? Musi być dość uparty. Mam nadzieję, że nie zachowuje się w stosunku do ciebie natarczywie.

– Nie, zupełnie nie. Jest w porządku – odparłam nieco zachowawczo. Dlaczego Quick rozmawiała na temat Lawrie’ego, skoro to ona sama zachowywała się dziwnie?

– No dobrze – wyglądała na uspokojoną. – Posłuchaj, Odelle. Ja... muszę już iść. Powiedz mu, żeby nie zawracał ci głowy tym obrazem.

– Pan Reede już zdążył go zobaczyć.

– Co takiego?

– Przyszedł wkrótce po pani. Powiedział, że byliście oboje umówieni na spotkanie. Ledwo rzucił na ten obraz okiem i zabrał go do swojego gabinetu.

Quick spojrzała ponad moim ramieniem w kierunku Instytutu.

– Co powiedział pan Reede, kiedy go zobaczył?

– Wydawał się... podekscytowany.

Quick spuściła wzrok, miała nieodgadniony wyraz twarzy. W tym momencie wyglądała bardzo staro. Chwyła moją dłoń i ścisnęła ją.

– Dziękuję, Odelle... za parasol. Jesteś prawdziwą podporą, naprawdę. Ale zabierz go. Pojadę metrem. Wracaj do Instytutu.

– Pani Quick, proszę zaczekać...

Marjorie wcisnęła mi do rąk parasol i zbiegła po stopniach do metra. Zanim zdążyłam ją znów zawołać, zniknęła.



Sara leżała nieprzytomna, z twarzą zwróconą w bok. Jej nakręcone loki były przyciśnięte do poduszki, skaleczenia widoczne na gołych nogach przetarte środkiem odkażającym, mieszaniną tlenku cynku i wody wapiennej. Z ust unosił się kwaśny zapach wypitego minionej nocy ostatniego kieliszka rosé. Na stoliku przy łóżku stała przepełniona popielniczka i leżała sterta kryminałów oraz egzemplarze pisma „Vogue” z wywiniętymi rogami. Jej ubrania walały się wszędzie po zakurzonej podłodze – w jednym miejscu pończochy, porzucone jak skóry węży po wylince, w innym bluzka, rozpostarta niedbale na ziemi. Róż w pojemniku przybrał płynną konsystencję. W rogu pokoju śmignęła po kafelkach jaszczurka, jak pyłek, który wpada do oka.

Oliwia stanęła w drzwiach, ściskając w ręku list z Akademii Sztuk Pięknych w Londynie. Przyszedł zaledwie przed dwoma tygodniami, ale wyglądał trochę jak zmięta chusteczka. Miejsca zgięcia wydawały się zatłuszczone od wielokrotnego składania i rozkładania kartki. Oliwia podeszła do łóżka matki i przysiadła na skraju, żeby przeczytać go znowu, mimo że znała treść na pamięć. „W odpowiedzi na Pani podanie mamy przyjemność poinformować, że została Pani przyjęta na studia do Slade School of Fine Art... Komisja rekrutacyjna była pod ogromnym wrażeniem Pani talentu, niezwyklej wyobraźni i indywidualnego stylu... że będziemy mieli w naszym gronie studentkę tej miary co Pani, zdolną w sposób godny kontynuować tradycje uczelni, znanej z surowych wymagań, lecz otwartej na nowe prądy... Czekamy na odpowiedź w ciągu najbliższych dwóch tygodni. Jeśli z jakichś względów Pani plany uległyby zmianie, prosimy o zawiadomienie”

Gdyby przeczytała list na głos, być może Sara usłyszałaby ją pomimo fugi, na którą cierpiała, i to załatwiłoby sprawę – Oliwia musiałaby dotrzymać słowa i wyjechać. Może takie szokujące informacje najlepiej jest przekazywać drugiej osobie, gdy ta jest półprzytomna i nie może się otrząsnąć z resztek snu po zażyciu tabletki nasennej? Kiedy Oliwia dostała ten list, jeszcze w Londynie, miała ochotę krzyknąć ile sił w płucach, tak była podekscytowana swoim osiągnięciem. Jej rodzice o niczym nie wiedzieli – nawet o tym, że ich córka maluje, nie mówiąc już o zdawaniu do akademii sztuk pięknych.

Problem Oliwii polegał też częściowo na tym, że lubiła aurę tajemnicy, która dawała jej poczucie bezpieczeństwa i umożliwiała podjęcie pracy twórczej. Zawsze się tej zasady trzymała, niemal zabobonnie, i nie miała odwagi zmienić swego postępowania – to dlatego znalazła się tutaj, w wiosce na południu Hiszpanii.

Gdy patrzyła na uszpiętą postać Sary, przypominała sobie, jak pokazała ojcu portret matki, który wykonała na zajęciach plastycznych w szkole. „Och, Oliwio – powiedział, gdy jej serce waliło jak młot, pełne nadziei, a napięcie sięgało zenitu. – Daj go matce w prezencie”

Był to jedyny komentarz, jaki wtedy usłyszała: „Daj go matce w prezencie”

Ojciec zawsze powtarzał, że oczywiście kobiety mają prawo chwycić za pędzel i malować, ale tak naprawdę nie są artystkami w pełnym tego słowa znaczeniu. Oliwia nigdy nie mogła pojąć, na czym polega ta różnica. Jeszcze kiedy była małą dziewczynką, bawiącą się gdzieś w kącie jego galerii sztuki, często słyszała, jak Harold rozmawia na ten temat z klientami, wśród których byli zarówno mężczyźni, jak i kobiety – i to właśnie owe damy często przyznawały mu rację i były bardziej skłonne wspierać karierę jakiegoś młodego malarza. Założenie, że artysta to z natury rzeczy mężczyzna, było tak rozpowszechnione, że Oliwia sama zaczynała podzielać tę opinię. Jako dziesięcioletnia dziewczyna nie wierzyła w siebie, była wprawdzie wytrwała w dążeniach, ale wciąż uważała się za amatorkę. W Paryżu jednak pracowały obecnie takie artystki jak Amrita Sher-Gil, Méret Oppenheim czy Gabriele Münter – miała nawet okazję oglądać ich prace. Czy o n e nie były artystkami? Czy różnica pomiędzy byciem zwykłym malarzem a byciem artystką polega tylko na tym, że inni ludzie wierzą, że ten lub tamten ma talent, i są skłonni zapłacić dwa razy więcej za jego dzieła?

Oliwia nie umiała wyjaśnić rodzicom, dlaczego zdecydowała się zdawać do akademii ani jak to się stało, że przygotowała teczkę swoich prac i napisała esej poświęcony postaciom drugoplanowym u Belliniego. Wbrew temu, co słyszała i przyswoiła sobie na temat kobiet uprawiających sztukę oraz ich licznych niedostatków w tym względzie, pojechała i złożyła papiery. Sama nie mogła zrozumieć, co nią kierowało, dlaczego odczuwała taką potrzebę. I chociaż samodzielne życie było w zasięgu ręki, to wciąż tkwiła tutaj, siedziała w nogach łóżka matki.

Wracając myślami do Sary, zaczęła się zastanawiać, czy nie przynieść jej pasteli. Kiedyś, dawno temu, matka pozwalała Oliwii paradować w swoich futrach, wkładać sznury pereł, zabierała ją na ekstery do hotelu Connaught albo do Musikverein na występ jakiegoś skrzypka czy utalentowanego poety, przy czym zawsze byli to ludzie, których Sara znała i zawsze – co Oliwia zaczęła sobie uzmysławiać dopiero w miarę dorastania – byli to mężczyźni w niej zakochani. Obecnie nikt nie potrafił przewidzieć, co Sara Schloss może powiedzieć albo zrobić. Nie chciała słuchać lekarzy, często nawet podawanie pigułek wydawało się bezcelowe. Oliwia czuła, że jest kimś wtórnym, popłuczyną, kimś, kto tylko powieli drogę matki. Dlatego ją rysowała, potajemnie, w taki sposób, którego Sara nigdy by jej nie wybaczyła.

Wysokie okna były uchylone, a lekki powiew poruszał tańczącymi zasłonami. Poranny wiatr zdążył unieść imponującą masę chmur spowijających góry za Arazuelo, blade niebo w zielonkawoniebieskim odcieniu znaczyła sieć złotych i różowych żyłek. Oliwia podeszła na palcach do balkonu, w rękę nadal trzymała list. W oddali zobaczyła puste pola ciągnące się w kierunku urwistych wzgórz, porośniętych krzakami i dzikimi stokrotkami. Powyżej krążyły kanie, wśród opustoszałych pól melonowych grały koniki polne, a woły orały ziemię, przygotowując ją pod zasiewy.

Beztraskie króliki kicały po sadzie, a daleko na wzgórzach pasły się kozy. Dzwoneczki na ich szyjach brzękały atonalnie i nie do rytmu. Dźwięk ten działał kojąco, bo nie było to zamierzone przedstawienie. W powietrzu zadudnił wystrzał myśliwego, spłoszone ptaki uleciały bezładnie ku górze w barokowym andaluzyjskim poranku. Sara nawet nie drgnęła, ale króliki – mistrzowie sztuki ukrywania się – błyskawicznie gdzieś poznikały. Oliwia zamknęła okna, zasłony opadły.

Matka prawdopodobnie przyjechała w to miejsce z nadzieją, że zagna tu długo wyczekiwanego spokoju, ale okolica, gdzie rozlegał się dźwięk klasztornej dzwony, była dzika, a w górach grasowały wilki. Daremne ujadanie psa w stodole wykluczało choćby marzenie o ciszy. A mimo to od momentu przyjazdu Oliwia miała wrażenie, że zarówno krajobraz, jak i sam dom mobilizują do działania w sposób zgoła jej nieznany i nieoczekiwany. Stary drewniany panel, który znalazła w budynku gospodarczym na końcu

sadu, zaniósła na strych, traktując to jak kontrabandę. Przygotowała go do malowania, ale ostatecznie pozostał niewykorzystany.

Jej ojciec wszedł zamaszystym krokiem do pokoju i zahaczył swoją wielką stopą o magazyn „Vogue”, który wpadł pod łóżko. Oliwia wcisnęła list do kieszeni piżamy i odwróciła się twarzą do ojca.

– Ile? – zapytał, wskazując na śpiącą postać żony.

– Nie wiem – odparła Oliwia. – Ale myślę, że więcej niż zwykle.

– *Scheisse* – Harold przeklinał po niemiecku tylko w momentach wielkiego stresu albo gdy czuł się prawdziwie wolny. Nachylił się nad Sarą i delikatnie odsunął z jej twarzy zbłąkany kosmyk włosów. Był to gest z innych czasów, który poruszył Oliwię.

– Dostałeś papierosy? – spytała go.

– Co takiego?

– Twoje papierosy. – Poprzedniego wieczoru ojciec wspomniał, że musi sobie kupić papierosy w Maladze i odwiedzić pracownię pewnego artysty. Śmiał się, że ma nadzieję odkryć kolejnego Picassa. Jakby piorun mógł trafić dwa razy w to samo miejsce. Ojciec zawsze sprawiał wrażenie, jakby nie lubił dni takich jak ten, szybko się nudził, jednak gdy ponownie się pojawiał, potrzebował słuchaczy. Byli tu zaledwie od dwóch dni, a on już zaczął gdzieś znikać.

– A, tak – powiedział. – Mam je w samochodzie.

Zanim wyszedł z pokoju żony, Harold nalał jej szklankę wody i postawił przy łóżku – w miejscu, do którego z pewnością nie była w stanie sięgnąć.

Na dole okiennice nadal były na wpół przymknięte, a na nieliczne znajdujące się tam meble padał cień. Powietrze z lekka pachniało kamforą zmieszaną ze starym dymem z cygar. Oliwia przypuszczała, że finka^[6] mogła być niezamieszkała od kilku lat. Przypominała ogromne katakumby wystające nad powierzchnię ziemi. Każde z pomieszczeń wydawało się traktować jej obecność powściągliwie, długie korytarze umeblowano w stylu kolonialnym, szafki zrobione z ciemnego, twardego drewna zostały opróżnione z wszelkich osobistych przedmiotów.

Odnosiło się wrażenie, że wszystko wygląda dokładnie tak jak w latach dziewięćdziesiątych XIX wieku. Oni sami przypominali postaci wyjęte z innego czasu, przebywające w otoczeniu porzuconych rekwizytów z jakiejś

sztuki salonowej.

Nieokreślona wilgoć wyczuwalna w powietrzu zaczynała stopniowo ustępować. Oliwia pchnęła okiennice i pokój momentalnie zalało światło – zapowiadał się słoneczny, ale nie ciepły dzień. Z okien rozciągał się widok na nieuprawne zbocze, które zstępowało w kierunku wysokiego, wykonanego z kutego żelaza ogrodzenia i dalej, ku początkowi wiejskiej drogi. Wyjrzała na zewnątrz – cherlawe krzaki i puste rabaty kwiatowe, trzy pozbawione owoców drzewka pomarańczowe. Jej ojciec mawiał, że te wielkie rezydencje zawsze budowano w pewnym oddaleniu od wsi, na żyznych i dobrze nawodnionych ziemiach, gdzie latem – jak twierdził – można się było napawać widokiem gajów oliwnych, podziwiać kwitnące czereśnie, ogrody kwiatowe, w których rosły dama-de-noche i jakaranda. Fontanny, cisza, spokój, wypoczynek i szczęście, pełnia szczęścia.

Oliwia wciąż miała na sobie zimową piżamę, pończochy i sweter z irlandzkiej wełny. Kamienne płytki były tak zimne, jakby deszcz dopiero co zmoczył ich wielkie gładkie kwadratowe powierzchnie. „No, odważ się wreszcie – pomyślała. – Powiedz mu, że się dostałaś, i wyjedź!” Gdybyż to było takie łatwe – przekuwać myśli w czyny.

I gdyby człowiek wiedział, która decyzja jest właściwa.

W spiżarni odkryła puszkę kawy ziarnistej i stary, ale sprawny młynek. To było wszystko, czym mogli się poczęstować na śniadanie.

Zdecydowali, że wypiją kawę na werandzie z tyłu domu. Harold poszedł do pokoju, w którym znajdował się telefon. Wybrał tę rezydencję, bo była to jedyna finka wyposażona w generator elektryczności, jednak nie spodziewali się, że będą mieli również telefon – Harold był z tego powodu bardzo zadowolony.

Mamrotał coś pod nosem po niemiecku, pewnie rozmawiał z którymś ze swoich wiedeńskich przyjaciół. Wydawało jej się, że ojciec bardzo na coś nalega, ale ponieważ mówił zbyt cicho, nie mogła rozróżnić słów. Kiedy byli jeszcze w Londynie, opowiedział jej o tym, co dzieje się w jego rodzinnym mieście – starcia na ulicach, zakłócanie spotkań modlitewnych – i od tamtej pory często zapadał w ponure milczenie. Podczas mielenia kawy Oliwia wróciła myślami do Wiednia z okresu swojego dzieciństwa: starzy i nowi, żydzi i chrześcijanie, wykształceni i pasjonaci, psyche i serce. Kiedy Harold

oznajmił, że niebezpiecznie byłoby tam wracać, Oliwia nie mogła się z tym pogodzić.

W kręgach, w których się obracali, przemoc wydawała się czymś bardzo odległym.

Ojciec zakończył rozmowę i czekał na nią na werandzie, usadowiony na sfatygowanej zielonej sofie, którą ktoś wyniósł na zewnątrz i tam zostawił. Na płaszcz miał narzucony długi, dziwnie wąski szal, zrobiony na drutach przez żonę, i ze zmarszczonym czołem przeglądał korespondencję. Zawsze potrafił sprawić, że listy czekały na niego, gdziekolwiek się znaleźli.

Oliwia z pewnym wahaniem usiadła na porzuconym bujanym fotelu. Bała się, że z powodu wilgoci mebel mógł się rozkleić na złączach i do drewnianych elementów dostały się korniki. Ojciec zapalił papierosa i położył srebrną papierośnicę na łuszczącej się podłodze werandy. Gdy wciągał tytoniowy dym, Oliwia usłyszała charakterystyczny trzask – znak, że oddech rozżarzył tłącego się papierosa.

– Jak sądzisz, ile tu zostaniemy? – zapytała, próbując nadać swojemu głosowi beztroski ton.

Ojciec podniósł wzrok znad korespondencji. Cienka smużka dymu z papierosa wzlatywała prosto w górę, bo nie było najmniejszego powiewu, który mógłby zmienić jej tor. Nagromadzony na końcu papierosa popiół przełamał się i w końcu opadł na obłazące z farby deski.

– Nie mów mi, że już chcesz stąd wyjeżdżać. – Ojciec uniósł ciemne brwi. – Czyżbyś... – zaczął szukać odpowiedniego słowa – usychała z tęsknoty? Ktoś ważny został w Londynie?

Oliwia wpatrywała się obojętnym wzrokiem w styczniowy, rachitycznie wyglądający o tej porze roku sad. Przez moment zapragnęła, żeby faktycznie był w jej życiu jakiś bezbarwny Geoffrey, dajmy na to, podsekretarz stanu w Ministerstwie Spraw Zagranicznych i właściciel domu z białą elewacją w londyńskiej dzielnicy South Kensington. Ale obecnie nikogo takiego w jej życiu nie było. Wcześniej także nie. Oliwia zamknęła oczy i była prawie pewna, że widzi przyćmiony metaliczny błysk męskich spinek od koszuli.

– Nie. Nic z tych rzeczy. Po prostu... jesteśmy na zupełnym pustkowiu.

Ojciec odłożył list i przyjrzał się Oliwii.

– Oliwko, co miałem zrobić? Przecież nie mogłem zostawić cię samej sobie.

Twoja matka...

- Mogłam zostać sama. Albo z przyjaciółką.
- Przecież zawsze mi powtarzasz, że nie masz żadnych przyjaciół.
- Jest... coś, czym chciałabym się zająć.
- Co takiego?

Dotknęła kieszeni piżamy.

- Nie, nic. Nic szczególnego.
- I tak nigdy specjalnie nie przepadałaś za Londynem.

Oliwia nie odpowiedziała, ponieważ jej uwagę przyciągnęła dwójka ludzi w sadzie. Czekali przy fontannie, która znajdowała się poza wąskim, porośniętym trawą pasem ziemi otaczającym dom. Byli to mężczyzna i kobieta. Para nie próbowała się ukrywać. Kobieta miała na ramieniu torbę i wydawała się częścią tego ogrodu, w którym kiedyś, gdy o niego dbano, rosły bujnie pomidory, bakłażany i sałata, a teraz zostały tylko paliki w spękanej ziemi.

Mężczyzna obie ręce trzymał w kieszeni, miał pochylone ramiona i spuszczoną głowę. Kobieta wpatrywała się w muskularnego satyra zastygłego w bezruchu w pustej fontannie. Zamknęła oczy i wciągnęła do płuc powietrze. Oliwia również nabrała powietrza, wyczuwała delikatny zapach palonego węgla drzewnego, pół porośniętych szałwią. Uderzała ją pustka tego miejsca, dojmujące wrażenie smutku. Zastanawiała się, co należałoby zrobić, żeby z fontanny popłynęła woda.

Para ruszyła w kierunku zabudowań, stawiając kroki w jednostajnym rytmie, jak górskie kozice. Po drodze omijali królicze nory i mniejsze kamienie w swoim, jak się wydawało, nieugiętym postanowieniu dotarcia pod sam dom. Ta ich pewność poruszyła Oliwię.

Razem z ojcem obserwowała zbliżającą się parę, której każdy krok sygnalizował delikatny trzask łamanych pędów paproci.

Kobieta okazała się młodsza, niż Oliwia początkowo sądziła. Jej wypchana torba budziła zaciekawienie. Nieznajoma miała ciemne oczy, mały nos, drobne usta, a jej skóra była gładka i błyszcząca. Nosiła prostą, czarną sukienkę z długimi rękawami zapinanymi na guziki przy nadgarstkach. Jej włosy również były czarne, gęste i splecione w długi warkocz, ale gdy się obróciła, żeby spojrzeć na Harolda, pojedyncze pasemka załśniły rdzawo w porannym

słońcu.

Mężczyzna miał niemal czarne włosy, był starszy od kobiety i wyglądał na około dwadzieścia pięć lat. Oliwia zastanawiała się, czy są małżeństwem. Nie mogła oderwać od niego oczu. Miał twarz toskańskiego arystokraty i muskularne ciało boksera wagi lekkiej.

Ubrany był w wyprasowane, niebieskie spodnie i rozpiętą pod szyją koszulę, jaką widziała wcześniej u mężczyzn pracujących w polu, z tą różnicą, że jego wyglądała nieskazitelnie, a koszule chłopów były poprzecierane. Miał delikatne rysy twarzy i żywe, ruchliwe usta. Jego oczy były ciemnobrązowe i patrzyły na nią tak, że czuła prąd przeszywający jej ciało. Czy ci dwoje są parą? Oliwia zdawała sobie sprawę, że wygląda tak, jakby się gapiła, ale nie potrafiła odwrócić wzroku.

– Przynieśliśmy chleb – powiedział mężczyzna po angielsku z obcym akcentem, podczas gdy jego towarzyszka przeszukiwała po omacku torbę i po chwili wydobyła z niej bochenek chleba. Uniosła go w górę.

Harold aż klasnął w dłonie, taki był zadowolony.

– Dzięki Bogu! – powiedział. – Jestem strasznie głodny. Proszę mi go podać.

Para podeszła bliżej werandy. Chociaż Oliwia była mniej więcej tego samego wzrostu co nieznamoma dziewczyna, czuła się większa od obojga i przez to niezręczna – miała wrażenie, że jej ręce są zbyt długie, głowa za wielka, że nie panuje nad kończynami, przez co od razu widać, w jakim jest stanie. I dlaczego, do diabła, dalej ma na sobie piżamę, jakby wciąż jeszcze była uczennicą.

Dziewczyna położyła dłoń na piersi.

– *Me llamo Teresa Robles* – powiedziała.

– *Me llamo Isaac Robles* – przedstawił się mężczyzna.

– *Me llamo Olive Schloss*.

A zatem musi to być jego żona, pomyślała Oliwia, bo inaczej dlaczego byliby tutaj razem o tak wczesnej porze? Para zaśmiała się, ale ona poczuła, że ogarnia ją wściekłość. Imię „Oliwia”, czyli zdrobniale „Oliwka”, mogło budzić śmiech w Hiszpanii, ale w końcu to nie to samo, co nazywać się „Sardela” albo „Morela”. Oliwia zawsze cierpiała z powodu swojego imienia. Najpierw była kojarzona z narzeczoną

Popeye’a, marynarza ze słynnej kreskówki, a gdy stała się nastolatką – z

oliwką koktajlową. Teraz, u progu dorosłości, nagle znów była obiektem żartów przez skojarzenie z oliwką rosnącą na hiszpańskim drzewie – w dodatku wciąż jeszcze nietkniętą.

– Harold Schloss. – Jej ojciec wymienił uścisk dłoni z obojgiem przybyszów, a Teresa podała mu chleb. Rozpromienił się na jego widok, jakby Teresa była jednym z trzech Magów, przynoszącym mu w darze sztabkę złota. – Jestem jej ojcem – dodał tytułem wyjaśnienia, co Oliwia uznała za zbędną uwagę.

Teresa uklękła i z nonszalancką precyzją magika wyjęła z torby ostro pachnący żółty owczy ser z dodatkiem gałązek rozmarynu, podsuszaną kiełbasę, trzy małe pigwy i kilka wielkich cytryn. Każdy z tych owoców szerokim gestem umieściła na zdartej drewnianej podłodze. Jaśniały na niej jak planety w układzie słonecznym, w którym ona przez moment odgrywała rolę słońca.

– Organizujecie sobie piknik beze mnie?

W kuchennych drzwiach pojawiła się Sara – trzęsła się z zimna w jedwabnej piżamie, na wierzch narzuciła jedną z kurtek lotniczych Harolda, a na nogi wciągnęła parę jego najgrubszych skarpet, które wkładał na polowania. Mimo podkrążonych oczu po źle przespanej nocy i szampanie, który kupili w Paryżu, wyglądała jak gwiazda filmowa po zejściu z planu.

Oliwia odnotowała znajomą reakcję – Teresa zamrugała oczami, oszołomiona wyglądem Sary – jej bardzo jasnymi blond włosami oraz aurą powabu i przepychu. Izaak przyklęknął i zanurzył dłonie w torbie.

Na dnie było coś żywego, co się poruszało i sprawiło, że nagle torba również ożyła i zaczęła sama się przesuwac.

– Jezu! – krzyknęła Oliwia.

– Nie bądź tchórzem – powiedziała Sara.

Teresa zauważyła przestrach w oczach Oliwii i uśmiechnęła się.

Oliwia poczuła wściekłość z powodu upokorzenia. Mężczyzna wyciągnął z torby żywego kurczaka. Część wyrwanych przy szamotaninie piórek ptaka, którego Izaak trzymał w dłoniach, opadła na podłogę, a pokryte łuskami nogi śmiesznie zwisały w powietrzu. Gadzie oko obracało się nieustannie, a przestraszony kurczak prężył pazury.

Izaak przytrzymał go lewą ręką przy drewnianej podłodze. Rozległ się stłumiony odgłos gdakania, ptak wytężał wszystkie siły, próbując się wyrwać

i wrócić do chłodnej torby swojej pani. Nie spiesząc się, Izaak umieścił prawą dłoń tuż za głową kurczaka i czule doń przemawiając, zacisnął uchwyt. Potem mocnym i zdecydowanym ruchem ukręcił małemu łeb.

Ciało ptaka opadło na dłoń Izaaka miękko i bezwładnie, jak wypchana skarpeta. Gdy mężczyzna cofnął rękę i zostawił martwego kurczaka na werandzie, Oliwia była pewna, że zauważył jej spojrzenie utkwione w zasychającym paciorku ptasiego oka.

– Dzisiaj będziecie jeść – powiedziała Teresa, zwracając się bezpośrednio do Oliwii. Dziewczyna nie miała pewności, czy była to propozycja, czy może polecenie.

– Nigdy nie oglądałam niczego podobnego z tak bliska – stwierdziła Sara, obdarzając przybyszów promiennym uśmiechem. – Nazywam się Sara Schloss. A wy dwoje, kim właściwie jesteście?

– To przez tego cholernego kurczaka – rzuciła wściekle Oliwia. Poczowała skurcz serca, gdy Izaak Robles po raz drugi wybuchnął śmiechem.

Teresa przyglądała się, jak cała grupa wchodzi do środka, podczas gdy ona wciąż jeszcze zbierała z werandy swoje dary. Nie tyle chciała tu przyjść, co raczej uważała to za swój obowiązek, za coś oczywistego.

„Przyjechał kolejny *guiri*^[7] razem ze swoją żoną i córką – powiedział Izaak. – Powinnaś zobaczyć ich samochód, kufry podróżne. Na dachu mają przywiązany gramofon.” „Kim on jest?” – zapytała brata, ale ani on, ani nikt inny we wsi tego nie wiedział. Wiadomo było tylko tyle, że tydzień wcześniej stara finka księżnej w końcu znalazła nowych lokatorów.

Przyjazd cudzoziemców do tej części południowej Hiszpanii nie dziwił nikogo, kto pamiętał o ich zamożności i zmęczeniu miejskim życiem. Teresa pracowała już wcześniej dla dwóch takich rodzin. Przyjeżdżali tutaj przez Paryż lub Tuluzę, Madryt lub Barcelonę, obładowani pudłami pełnymi akwarel i książek – przywozili też maszyny do pisania, na których wystukiwali własne powieści – i sygnowali swoimi inicjałami bagaże, które czasami lądowały na drodze, bo ich właściciele nie potrafili okiełznać miejscowych mułów. Byli to milionerzy z kręgów cyganerii artystycznej albo – nawet częściej – dzieci tych milionerów, również należące do bohemy, z Teksasu, Berlina, Londynu, które chciały umoczyć swój pędzel w kolorach sierry, tak jak sięga się po jedną z rzadziej używanych farb akwarelowych. Ludzie ci pojawiali się tu, trochę pomieszkiwali, a potem większość z nich wyjeżdżała.

Teresa zauważyła kątem oka, że Oliwia nie weszła do domu. Jej wełniane skarpetki były niechlujnie pocerowane na wysokości palców, co Teresa uznała za powód do wstydu. Ludzie tego pokroju powinni się lepiej ubierać. Oliwia podeszła do niej i uklękła.

– Pomogę ci – powiedziała łamanym hiszpańskim, co było dość zaskakujące. Pod paznokciami dziewczyny można było dostrzec półksiężyc jaskrawozielonej farby. Jej półdługie, uczesane na pazia włosy wymagały podcięcia. Pozostawione same sobie zaczynały przypominać kapelusz wielkiego grzyba. Kiedy Oliwia się uśmiechnęła, Teresa zdumiała się jej uderzającym podobieństwem do matki, z tym że córka nie wywierała aż tak wielkiego wrażenia, jakby jej rysom czegoś brakowało, jakby

pobrzmiwała w nich jakaś fałszywa nuta.

– Wciąż jeszcze mam na sobie piżamę – powiedziała Oliwia, a Teresa nie była pewna, co powinna odpowiedzieć. Po co stwierdzać rzeczy oczywiste? Podniosła bezwładnie opadającego kurczaka i wrzuciła go do torby. – Pięknie tutaj – ciągnęła Oliwia, ważąc w dłoni jedną z cytryn. – W moim bedekerze można przeczytać, że stąd blisko jest do Afryki Północnej. „Królowie katoliccy odebrali tę ziemię Kalifatowi Kordoby. Mordercze upały latem i przenikliwe chłody zimą, ogromny przestwór nocnego nieba przez cały rok.” Zapamiętałam sobie to zdanie.

Dziewczyna wyglądała na zaniepokojoną. Teresa przyglądała się jej, gdy Sara nazwała ją tchórzem. Sprawiała takie wrażenie, jakby miała cały arsenał słów, którymi mogła się bronić, ale celowo trzymała je wszystkie pod kluczem wewnątrz czaszki. Ciało Oliwii, ruchy jej rąk zdradzały pewną nerwowość. Teresie przypominała schwyttane w potrzask zwierzę, coraz bardziej niespokojne, ponieważ ktoś przybliżał się do prętów klatki.

– A zatem – powiedziała Oliwia znowu po hiszpańsku. – Jak długo jesteś już mężatką?

Teresa wbiła w nią zdumiony wzrok.

– Mężatką?

Oliwia zmarszczyła brwi. *Casados* – to chyba właściwe słowo?

Teresa roześmiała się.

– Izaak jest moim bratem – wyjaśniła po angielsku. Zauważyła, że twarz Oliwii, która wyciągała ze swetra luźną wełnianą nitkę, pokrył rumieniec.

– Och – powiedziała Oliwia. – Myślałam...

– Nie. Mamy... mieliśmy... różne matki.

– Ach tak. – Oliwia wydawała się odzyskiwać rezon. – Świetnie mówisz po angielsku.

Teresa delikatnie wyjęła cytrynę z dłoni Oliwii, która dopiero teraz zauważyła, że trzymała w ręku owoc.

– W Esquinas mieszkała pewna Amerykanka, u której pracowałam – wyjaśniła Teresa. Postanowiła, że nie powie nic o niemieckiej rodzinie, która też ją kiedyś zatrudniła. Wrócili do Berlina zaledwie kilka miesięcy wcześniej, ale przedtem przyswoiła sobie dzięki nim podstawy języka niemieckiego. Życie nauczyło Teresę, że lepiej jest nie wykładać od razu wszystkich kart na

stół. – Nazywała się panna Banetti. Nie mówiła w moim języku.

Oliwia dopiero zaczęła kojarzyć fakty.

– To dlatego złożyliście nam dzisiaj wizytę, chcecie dla nas pracować? Czym zajmuje się twój brat?

Teresa zeszła z werandy i zaczęła się przyglądać rachitycznie wyglądającym drzewom w sadzie.

– Naszym ojcem jest Don Alfonso. Pracuje dla kobiety, która jest właścicielką tej ziemi i tego domu.

– Czy ona naprawdę jest księżną?

– Tak. Pochodzi z bardzo starej rodziny.

– Chyba nie było jej w tym domu od dłuższego czasu. Wszędzie jest tyle kurzu! Och... ale nie chciałam powiedzieć, że to twoja wina...

– *La duquesa* nigdy tutaj nie bywa – powiedziała Teresa. – Mieszka w Barcelonie, Paryżu i w Nowym Jorku. Tutaj nie miałaby co robić.

– Jestem pewna, że to nieprawda – odparła Oliwia.

– Jesteś Angielką czy Amerykanką?

– Pół-Angielką. Mój ojciec pochodzi z Wiednia. Poślubił moją matkę, która jest Angielką, ale jest przeświadczona, że urodziła się przy Bulwarze Zachodzącego Słońca. Przez kilka ostatnich lat mieszkaliśmy w Londynie.

– Bulwar Zachodzącego Słońca?

– Mniejsza z tym... więc... pochodzicie z Arazuelo?

– Planujecie zostać tu na dłużej? – spytała Teresa.

– To zależy od mojego ojca.

– Ile masz lat?

– Dziewiętnaście – odparła Oliwia, a gdy zauważyła, że Teresa marszczy brwi, ciągnęła dalej: – Tak, wiem. To długa historia. Chodzi o to, że moja matka nie czuje się najlepiej.

– Wygląda dobrze.

– To złudne wrażenie.

Teresę przeszły ciarki na dźwięk głosu Oliwii, który nagle stał się szorstki i nieprzyjemny. Matka dziewczyny była teraz w domu i rozmawiała z Izaakiem – Teresa zaczęła się zastanawiać, co też może dolegać tej pięknej i delikatnej kobiecie ubranej w zbyt obszerną kurtkę. Postanowiła, że zmieni temat.

– Przyda się wam tutaj pomoc, señorita – powiedziała. – To nie Londyn. Ty

umiesz gotować?

– Nie.

– Sprzątać?

– Nie.

– Jeździć konno?

– Nie!

– Ja pomogę.

– A ile właściwie masz lat?

– Osiemnaście – skłamała Teresa, bo tak naprawdę miała szesnaście. Zdążyła się już nauczyć, że cudzoziemcy mieli bardzo romantyczny, infantylizujący stosunek do swoich pociech i pozwalali im odgrywać rolę dzieci znacznie dłużej. Ta dziewczyna była tego typowym przykładem. Ona sama nigdy nie zaznała takich przywilejów i czasami czuła się stara jak kamień. – Mój brat – zaczęła, lecz urwała. Nie chciała mówić o Izaaku więcej, niż było to konieczne. Z kieszeni wyjęła trzy koperty. – *Tomate, perejil, cebolla* – powiedziała po hiszpańsku.

– Pomidory, pietruszka, cebula? – upewniła się Oliwia.

Teresa skinęła głową. Nie planowała dawać tych nasion w prezencie. Właściwie przyszła tutaj z nadzieją, że będzie mogła je spokojnie posiać na bardziej żyznej ziemi księżnej i potem zabrać plony dla siebie.

– Są dla ciebie – powiedziała do Oliwii. Teresa jeszcze nigdy w ciągu minionych szesnastu lat nie dała nikomu prezentu.

Oliwia spojrzała przez ramię w stronę ciemnego wnętrza domu. Z głębi dobiegały śmiech Sary i niższe głosy mężczyzn.

– Zasiejmy je – powiedziała.

– Teraz?

– Tak.

Z przybudówki położonej na końcu sadu Oliwia zabrała dwie pary rdzewiejących wideł i podała jedne Teresie. Hiszpanka była poruszona tym, że cudzoziemka ma ochotę razem z nią pracować, przewracać twarde skiby ziemi i plewić chwasty. Nie chciała zdradzić się z tym, jak wielką radość sprawiła jej ta propozycja, ale nie mogła się powstrzymać. W końcu było to dość niezwykłe, że dziewczyna taka jak Oliwia wolała być z nią tutaj, a nie z pozostałymi wewnątrz domu. Gdy próbowała ją nakłonić, by włożyła buty

na skarpety, Oliwia zdziwiona popatrzyła na swoje nogi.

– Och, to bez znaczenia – powiedziała, przebierając palcami w zacerowanych skarpetkach. – Lubię czuć pod stopami ziemię.

Teresa pomyślała, że tylko bogaty *guiiri* – mający więcej par skarpet niż rozsądku – może powiedzieć coś takiego. Gdyby panna Banetti, która również przyjechała zakosztować wiejskiego życia, wygłosiła podobne zdanie, zostałaaby uznana za idiotkę. Ale z Oliwią było nieco inaczej – jej decyzja podjęta bez chwili namysłu i całkowite oddanie sprawie spowodowały, że Teresa nie tylko przystała na pomysł nowej znajomej, by pracować bez butów, ale nawet była nim zachwycona.

Oliwia zakasała rękawy i przytaszczyła dwie ogromne konewki wody ze studni położonej na końcu ogrodu. Teresa z podziwem obserwowała jej napięte mięśnie, zbiełała z wysiłku skórę i z uznaniem odnotowała, że po drodze Oliwia nie uрониła ani kropli. Obie przemierzały z konewkami świeżo wytyczoną ścieżkę, w tę i z powrotem. W trakcie podlewania Teresa zauważyła rozpiętą na kroplach wody tęczę. Jeśli nawet twarde skiby ziemi wbijały się Oliwii w stopy, to ta nie poskarżyła się ani słowem.

Harold poprosił Teresę, żeby zaczęła sprzątanie od pokoiów na parterze i pościagała pajęczyny w narożnikach. W misce z octem z dodatkiem soku z cytryny dziewczyna maczała szmaty darte najprawdopodobniej z męskiej koszuli i szorowała nimi okna w tych miejscach, gdzie wokół ram nagromadziły się warstwy brudu.

Pomieszczenia okadziła szałwią i rozmarynem z ogrodu, które spaliła na kamiennych płytach. W spiżarni Izaak znalazł dwa grzejniki elektryczne i zainstalował je w saloniku położonym od wschodu. W ten sposób próbował ogrzać nagie, pobielone kredą ściany, po których wędrowało słońce. Obiecał, że dostarczy drewno opałowe.

Teresa przygotowała dla rodziny obiad z kurczaka, jednak sama nie chciała z nimi jeść, mimo że Izaak przyjął zaproszenie. Zanim kurczak został wyjęty z pieca, Oliwia była już pewna, że zyskali nową służącą. Ale co z Izaakiem? Pod jakim pretekstem mogli i jego zatrzymać w pobliżu?

Wahadło zegara w holu wychyliło się cztery razy. „Mój Boże!” – wykrzyknęła Sara, gdy zasiedli do stołu w jadalni. Była podekscytowana, czuła się wyraźnie lepiej niż poprzedniego dnia, ale nadal mogły się wydarzyć różne niebezpieczne rzeczy.

– I dzień prawie minął. Jest okropnie zimno, a wydawało mi się, że na południu Hiszpanii powinny panować upały. – Sara przebrała się w domowy kremowy blezer z długimi rękawami, zakrywający nowe czerwone wełniane spodnie oraz dopasowaną kolorystycznie bluzkę w czerwone groszki. W którymś momencie musiała pomalować sobie paznokcie u stóp, Oliwia zauważyła na tle posadzki z terakoty dziesięć cynobrowych punkcików.

– Z czasem robi się goręcej – powiedział Harold.

W kuchni Teresa dzwoniła cynowymi talerzami, które ustawiała na ociekaczu – dochodziły stamtąd odgłosy jak ze zbrojowni.

– W takim razie dobrze, przyniosę strój kąpielowy – powiedziała Sara. – Czy był pan kiedyś w Londynie, panie Robles? – zapytała, obracając się w stronę Izaaka, i napełniła kawą jego małą, białą filiżankę. – Pali pan? Ma pan ochotę na migdały?

– Tak, palę. I nie, dziękuję.

– Bardzo proszę się poczęstować moimi. Haroldowi udało się zdobyć trochę w Maladze. On pali wyłącznie niemieckie, więc musimy się zadowolić takimi.

– Sara pogrzebała chwilę w pudełku leżącym na stole i wyciągnęła papierosa. Jej nadgarstki były obciążone bransoletami i przy każdym ruchu metalowe kółka głośno pobrzękiwały. Izaak wyjął papierosa spomiędzy wyprostowanych palców Sary i sam go sobie zapalił.

– Nie byłem w Londynie – powiedział, wymawiając nazwę miasta z pewnym namaszczeniem. Miał na myśli Londyn klasyczny: Henryka VIII, Tower, adwokatów z Middle Temple.

Londyn Oliwii był inny – oznaczał samotny spacer przez St James's i wzdłuż Mall do National Portrait Gallery, żeby zobaczyć ulubionego Holbeina; była to też drożdżówka kupiona u Lyonsa przy Craven Street po wizycie w muzeum; i przechadzka po Embankment

Gardens. Za takim Londynem tęskniła, natomiast z całą pewnością nie za duszącą atmosferą pogaduszek przy koktajlu, widokiem zbyt uróżowanych kobiet, cytrynowym zapachem wody po goleniu marki Trumper używanej przez starszych panów ani za czerwonymi krostami na twarzach chłopców, którzy przyjechali z Oxfordu i nie mieli nic szczególnego do powiedzenia.

– Myślę, że Londyn to ciekawe miejsce – oświadczyła Oliwia podniosłym, podszytym ironią tonem. – Jego mieszkańcy potrafią być naprawdę okropni.

Matka Oliwii spojrzała w jej stronę.

– Byłem wiele razy w Barcelonie – powiedział Izaak. – I w Madrycie.

Oliwia pomyślała o kufrach podróżnych na górze, o drewnianych uchwytach wyświeconych podczas przenoszenia ich przez tak wielu tragarzy, o naklejkach z Paryża, Buenos Aires, Marsylii i Nowego Jorku, kufrach łuszczących się jak stara skóra, którą zrzuciła rodzina Schlossów. Teraz prawie już nic z tego wszystkiego nie pamiętała i w wieku dziewiętnastu lat czuła się tak, jakby miała dziewięćdziesiąt.

– Ale czy zawsze mieszkaliście w Arazuelo? – spytał Izaaka Harold.

– Tak. Jestem nauczycielem w Maladze.

– Czego pan uczy? – zapytała Sara.

– Litografii – odparł. – W Szkole Sztuk Pięknych San Telmo.

Oliwia wbiła wzrok w swój talerz.

– Harold jest marszandem – ciągnęła Sara. – Kokoschka, Kirschner, Klimt, Klee, wszyscy jego. Mogłabym przysiąc, że sprzedaje wyłącznie artystów, których nazwiska zaczynają się na literę „K”

– Podziwiam Kokoschkę – skomentował Izaak, a Oliwia od razu wyczuła, że ojciec stał się czujny.

– Pan Kokoschka malował niebieskie jodły w pokoju dzieciennym Oliwii w Wiedniu – powiedziała Sara. – Panie Robles, pański angielski jest doskonały.

– Dziękuję, señora. Jestem samoukiem – odrzekł. – Mam różnych angielskich znajomych w Maladze i ćwiczę też z Teresą.

– Czy pan również maluje, czy tylko wykonuje ryciny? – spytał Harold.

Robles zawahał się.

– Trochę też maluję, señor.

– Proszę mi przynieść jakieś swoje prace.

Z reguły Harold był uczulony na ludzi, którzy mówili, że malują. Ilekroć jakiś obiecujący artysta dowiadywał się, że Harold jest marszandem, ojciec od razu był źle nastawiony. Czasami malarze jawnie okazywali agresję, jak gdyby Harold zatajał przed nimi coś niezwykle istotnego. Kiedy indziej znów zachowywali się wobec niego z kokieterijną skromnością, na którą jednak nikt się nie dawał nabrać. Ale tym razem to Herr Schloss prosił tego młodego człowieka o pokazanie prac. Oliwia dobrze wiedziała, jak zachowywał się ojciec, gdy ktoś zwrócił jego uwagę – jak potrafił nie odstępować go na krok, przymilać się, zasypywać pochlebstwami, otaczać ojcowską opieką albo udawać kumpla – uciekał się do wszelkich sposobów, byle tylko wystąpić w roli odkrywcy kolejnego geniusza. Zawsze ją to raniło.

– To, co ja maluję, z pewnością pana nie zainteresuje, señor – powiedział Izaak z uśmiechem.

Harold podniósł dzbanek i nalał sobie szklankę wody.

– Niech pan pozwoli, że sam to ocenię.

Izaak miał poważny wyraz twarzy.

– Jeśli znajdę czas, pokażę panu. Dziękuję za propozycję, señor.

– Czas? – powiedział Harold. Oliwia poczuła mrowienie.

– Kiedy nie jestem w San Telmo, pracuję ze związkowcami w Maladze. Uczę ich czytać i pisać – powiedział Izaak.

Zapadła cisza.

– A czy pański ojciec wie, że jest pan komunistą? – zapytała Sara.

Izaak znów się uśmiechnął.

– Mam dwadzieścia sześć lat, señora. Robię to, co uważam za słuszne. Popierałem strajki robotnicze. Jeździłem do Asturii, żeby pomóc górnikom. Ale nie jestem czerwony.

– Szkoda. To byłoby takie ekscytujące.

Oliwia siedziała z założonymi rękami, wpatrując się w matkę. Całe wygodne życie Sary mogło płynąć spokojnym nurtem tylko dzięki uległości robotników, na których opierał się słynny rodzinny interes związany z handlem przyprawami. Matka udawała wolnego ducha, ale tak naprawdę to praca jej pradziadka – który zaczynał od beczki pomarańczy w Covent Garden, a skończył jako przemysłowiec zasiadający w Izbie Lordów – umożliwiała jej podróżowanie, pozwalała utrzymać apartament przy Curzon Street, posiadłość wiejską w Sussex, dom przy Ringstrasse i kupować sukienki włoskiej projektantki Schiaparelli. Rzecz jasna biznes prowadzony przez Harolda również przynosił zyski, ale to jednak majątek odziedziczony przez Sarę gwarantował im stabilność finansową.

Kiedyś Oliwia podsłuchiwała kłótnię rodziców. „Swoją pozycję zawdzięczasz właśnie tym ludziom, z którymi nigdy nie chciałybyś mieć do czynienia!” – krzyczał Harold po tamtym wieczorze, kiedy Sara nie wróciła do domu i musiał wzywać policję. Sara w rzeczywistości upiła się wtedy do nieprzytomności i zasnęła na szezlongu gospodarza, tak że nie można było jej dobudzić aż do następnego ranka. Potem w gniewie warknęła, że Harold nie ma żadnych podstaw, by ją krytykować, bo sam przecież utrzymuje się z Marmolady Najwyższej Jakości, więc niech lepiej zamknie buzię, no chyba że znajdzie sobie uczciwą pracę i mieszkanie w Camden.

– Mój ojciec i ja często się nie zgadzamy – mówił Izaak. – On pracuje dla księżnej. Cała ta ziemia wkoło należy do niej. Ona ma osiemdziesiąt pięć lat i nigdy nie umrze.

– Ja też taka będę – powiedziała Sara i wszyscy się roześmieli.

– Ludzie, którzy uprawiają jej ziemię... Jak to się mówi po angielsku? *Tienen un gran hambre...*

– Głodują – odpowiedziała mu Oliwia.

Izaak popatrzył na nią zdumiony i znowu przeszły ją ciarki, czuła ekscytację,

widząc, że i tym razem przyciągnęła jego uwagę.

– Tak – potwierdził Izaak. – Tysiące. W całym regionie.

– To okropne – stwierdziła Sara.

Oliwia chciała, żeby znów na nią popatrzył, ale on pochylił się do przodu i zaczął rozmawiać z jej matką.

– *La duquesa* powie swoim ludziom, żeby dali ci pracę, jeśli zgodzisz się głosować na jej rodzinę, bo dzięki temu nadal będzie u władzy. Biedni błagają, by mogli uprawiać jej ziemię, niemal za darmo, ponieważ jest to jedyna praca w okolicy. Ale ona nie pamięta o nich, gdy któremuś z nich umiera żona albo choruje matka. Kiedy oni sami zaczynają chorować. Pokazuje się tu jedynie w czasie wyborów.

Teresa stanęła w drzwiach jadalni i skrzyżowała ręce na piersi. Jej włosy poskręcały się w loczki od nadmiaru pary, a fartuch cały pokryty był krwawymi plamami. Izaak podniósł wzrok i przez chwilę... chyba się wahał. Oliwia spostrzegła, że Teresa prawie niezauważalnie pokręciła głową, ale Izaak zlekceważył jej ostrzeżenie i dalej mówił swoje, nie oglądając się na nic.

– Mój ojciec wynajduje dla niej ludzi do pracy w polu – powiedział. – Ale on wybiera tylko młodych silnych mężczyzn, a nie starszych, którzy mają na utrzymaniu rodziny. Dlatego więcej ludzi głoduje. Poza tym tu nie obowiązują żadne przepisy, więc *la duquesa* płaci bardzo marnie. Próbowaliśmy to zmienić podczas ostatnich wyborów, ale teraz znów jest tak jak było. A jeśli narzekasz, że dostajesz zbyt mało za pracę przy żniwach albo skarżysz się na ciężkie warunki mieszkalne, *la duquesa* i jej ludzie z pewnością to usłyszą. Nie dostaniesz więcej pracy.

– Kościół powinien im pomóc – powiedział Harold.

– Zdradzić wam pewien sekret? Ludzie mówią, że nasz Padre Lorenzo ma kochankę w wiosce Esquinas.

Sara roześmiała się.

– W końcu zawsze winien jest ksiądz.

Izaak wzruszył ramionami.

– Wszyscy wiedzą, że Padre Lorenzo chce przejąć na własność pola pomiędzy kościołem a domem swojej kochanki, żeby nikt nie mógł śledzić jego sekretnych wypadów.

– Czy to jakiś żart? – spytała Sara.

– Któż to wie, señora? Padre Lorenzo jest kuzynem księżnej.

Bardziej interesują go mapy terytorialne niż modlitewniki. – Izaak westchnął i strzepnął popiół z papierosa do popielniczki. – Mieliśmy wizję przyszłości. Ziemia, Kościół, armia, edukacja, praca, wszystko miało się zmienić. Ale jesteśmy... Jak wy to mówicie? *Cogidos*?

– Złapani w potrzask – odpowiedziała Oliwia, a Izaak znów zatrzymał na niej wzrok. Zarumieniła się. – Jesteście... w potrzasku. – Odwróciła się, bo nie potrafiła już dłużej znieść jego spojrzenia.

– Pana Roblesa to nie dotyczy – powiedziała Sara. – Mówi przecież po angielsku. Był w Madrycie.

Izaak zaciągnął się mocno papierosem.

– Walka może być jedyną odpowiedzią, señora. Musimy obalić tyranię.

– Tyranię? – zapytała Sara. – Jaką tyranię?

– Większość tutejszych ludzi tylko sadzi kapustę i próbuje jakoś przetrwać w spokoju – powiedział Izaak. – Ale wiele dzieci w Arazuelo nie chodzi nawet do szkoły, bo muszą pracować w polu. One powinny wiedzieć, kto namydla im oczy.

– Mydli – poprawił go Harold. Przez cały czas prawie się nie odzywał, więc wszyscy utkwili w nim wzrok, gdy sięgnął do kieszeni po zapalniczkę i nachylił się, żeby zapalić sobie papierosa. – Prawidłowo mówi się „mydli oczy”. – Miał silny wiedeński akcent.

– Planuje pan rewolucję, panie Robles? – spytała Sara. – Może powinniśmy nazywać pana Leninem?

Izaak podniósł obie ręce w górę na znak poddania i śmiejąc się, znowu skierował wzrok na Oliwię. Dziewczyna z trudem wytrzymała jego spojrzenie, ale tym razem patrzył na nią, bo tego chciał, a w jej głowie jakby wybuchł pożar. Izaak był najpiękniejszym mężczyzną, jakiego kiedykolwiek widziała.

– Zobaczycie, señores – powiedział. – Jesteście tu nowi, ale sami się przekonacie.

– Pan uważa się za komunistę? – spytał Harold.

– Nie. Jestem członkiem Unii Republikańskiej. A ta bieda, o której mówię, jest widoczna wszędzie w naszym regionie, to nie jest wytwór mojej wyobraźni. Chaty z błota, w środku dziesięcioro albo i jedenaścioro dzieci, mężczyźni śpiący w polu...

– Izaak... – odezwała się Teresa, ale on jej przerwał.

– Problemem są nie tylko biedni, ale również drobni dzierżawcy.

Mieszkają na tej ziemi, dbają o nią, a gdy gleba dzięki nim staje się urodzajna i przynosi wysokie plony, właściciele narzucają im takie opłaty, że nie stać ich na dalszą dzierżawę. Nasza praca zupełnie nie jest szanowana...

– Powinien pan uważać ze słowem „tyrania”, panie Robles – powiedział Harold. – Jeśli nadal będzie się pan skłaniał ku rewolucji, to w końcu majątni i wpływowi ludzie sprawią, że wpadnie pan w objęcia faszystów.

Izaak spuścił wzrok.

– Ale przecież ludzie majątni i wpływowi nigdy nie będą nam sprzyjać. Wierzę, że idea powszechnego szczęścia jest możliwa do zrealizowania.

– Redystrybucja dóbr z użyciem aparatu przymusu – powiedział Harold z ponurym wyrazem twarzy.

– Tak, myślę, że to pomogłoby osiągnąć cel. Ci ludzie...

– Nic nie burzy poczucia ładu w danym kraju bardziej niż określenie „aparat przymusu”, panie Robles. Ale proszę spojrzeć – uśmiechnął się promiennie – właśnie niweczymy wysiłek pańskiej siostry, która trudziła się, żeby przygotować dla nas obiad.

Teresa wpatrywała się w brata. Oliwia pomyślała o wychudzonych, widmowych postaciach, które widzieli w polu po drodze tutaj. Ludzie ci przerywali pracę, żeby się im przyjrzeć – ich samochód musiał im się wydawać pojazdem z krainy fantazji.

– Pan Robles ma rację – powiedziała Oliwia. – Widziałam to wszystko.

– Och, chociaż ty dałabyś spokój, Oliwko – powiedział Harold. – Przypomnij sobie te wszystkie niebotyczne opłaty, które musieliśmy uiszczać za twoją szkołę.

Oliwia spojrzała na Izaaka, a on się uśmiechnął.

Późno w nocy, gdy Izaak i Teresa już poszli, obiecując, że za kilka dni wrócą z drewnem opałowym, Oliwia udała się do swojego pokoju na strychu i zamknęła drzwi na klucz. Unia, cebula – brat i siostra przyszli tu, każde ze swoimi słowami i nasionami, a Oliwia nigdy wcześniej nie widziała nikogo takiego jak oni. Czy to ona i jej rodzice ich wpuścili, czy też weszli tu sami, wyczuwając, że te mury da się sforsować? Nikt nie zachowywał się w ten sposób ani w Mayfair, ani w Wiedniu; zostawiało się bilety wizytowe, a nie

martwe kurczaki. O biednych mówiło się ze współczuciem, a nie z gniewem. Nikt nie orał swojej własnej ziemi.

Za sprawą spojrzeń Izaaka krew zaczęła w niej żywiej krążyć, a w głowie szumiało – w rezultacie chwyciła za sztalugi i rozłożyła trójnog, sprawdzając, czy wszystko jest odpowiednio stabilne. Odnalazła drewniany panel, który przyniosła z budynku gospodarczego i umieściła go na sztalugach. Otworzyła okno, żeby do środka wpadało światło księżyca, zapaliła lampy naftowe i włączyła lampkę elektryczną przy łóżku. Uklękła przed swoim kufrem podróżnym niczym pielgrzym przed ołtarzem i przejechała dłonią po tubkach farb pozawijanych w bawełniane szmatki. Gdy wydobyła malarskie akcesoria, poczuła się swojsko i bezpiecznie, jakby nagle wszystko wróciło do normy i można było przez moment odetchnąć. Żaden z barwników nie wylał się w podróży, pigmenty w proszku pozostały nienaruszone, pastele się nie połamały. Na nich zawsze mogła polegać, nawet gdy wszystko inne zawodziło.

Ćmy bezustannie uderzały o żarówkę, gdy pracowała, ale zupełnie nie zwracała na to uwagi. Po raz pierwszy od długiego czasu wszystko inne zostało podporządkowane jednemu celowi – realizacji wizji, która zaczęła się materializować na starej drewnianej desce. Przedstawiona scena ukazywała dom od strony sadu rozciągającego się w dole. Całość utrzymana była w bardzo intensywnych barwach, finka wyłaniała się zza drzew, z okien łuszczyła się czerwona farba. Dom był mocno osadzony w otaczającym go krajobrazie, ale niebo powyżej należało już do innego porządku – bezkresne i przesłonięte kłębiącymi się chmurami, z anielską, srebrzystoszarą poświatą. Z powodu przyjętej skali namalowany budynek wydawał się mniejszy niż w rzeczywistości, a drzewa na pierwszym planie aż ugięły się pod ciężarem owoców, których tak naprawdę na nich przecież nie było.

Można by uznać to przedstawienie za figuratywne, ale z pewnością nie realistyczne, zmierzające bardziej w stronę surrealizmu, tyle że ujętego w zupełnie nowy sposób. Niejako na przekór naturalistycznej gamie barwnej użytej do namalowania pól uprawnych – ochry, żywe zielenie, delikatne rdzawe szarości bruzd ziemi, przywołujące klimat wsi, musztardowe brązy – scena zdawała się odwoływać do całkiem innej, pozaziemskiej rzeczywistości. Niebo, niczym skarbnica łask wszelakich, było brzemiennie obietnicą. Ziemia

rodziła obfitość zbóż, jabłek, oliwek i pomarańczy. Sad rósł tak bujnie, że bardziej przypominał dżunglę, a pusta fontanna z satyrem tryskała życiodajną wodą. Finka właściwie bardziej wyglądała teraz jak rozległy pałac, uchylający swe podwoje dla gości, jak „dom Ojca, w którym jest mieszkań wiele”^[8] – jego ogromne okna pozwalały zajrzeć w głąb. Pociągnięcia pędzla były swobodne, na obrazie pierwsze skrzypce grał kolor, odsuwając na dalszy plan techniczną doskonałość rysunku.

O czwartej nad ranem Oliwia zasnęła przy obrazie. Następnego dnia znów przed nim stała, gdy tylko słońce przebiło się przez skorupę nieba rozciągającego się za oknami. Nigdy nie podejrzewała siebie o to, że będzie zdolna do takiego wysiłku. Po raz pierwszy w życiu stworzyła obraz, który miał w sobie taką dynamikę, tak zdumiewającą obfitość barw i form. Udało jej się osiągnąć niedościgłego ideału – przedstawiła raj na ziemi. I tylko, jak na ironię, obraz ten powstał akurat w tym miejscu, w tej odludnej i surowej części Hiszpanii, do której przywiedli ją rodzice.

Całkiem zeszywniała podeszła do kufra, gdzie ukryty był list z akademii sztuk pięknych. Wyciągnęła go, przeczytała, starannie wygładziła, a potem ucałowała i z powrotem wsadziła na dno kufra, by pozostał głęboko schowany i niewidoczny dla oczu innych.

IV.

– W zeszłym roku – powiedział Izaak po angielsku – spotkałem w Barcelonie pewnego człowieka, kiedy czekałem na pociąg. Dziennikarza. Rozmawiamy sobie i on mi nagle mówi: „Nadchodzi. Bywało tak wcześniej i wydarzy się znów”.

– Co zdarzało się wcześniej? – spytała Oliwia. Stała z Izaakiem w sadzie i pomagała mu zbierać porąbane drewno, którego kawałki przepoławiał siekierą. Na chwilę odwróciła się w stronę domu i zobaczyła, jak za koronkowymi firankami w pokoju matki przesuwa się cień. Do diabła z nią, teraz Oliwia miała Izaaka na chwilę dla siebie. Sara zawsze pragnęła być w centrum uwagi i umiała dopiąć swego, ale Oliwia uwielbiała te kradzione momenty w towarzystwie Izaaka.

Kątem oka obserwowała, jak unosi się brzeg jego koszuli i połyskuje ciemnobrązowe ciało, po którym zstępuje w dół cienka smużka włosów. Gdy podawał jej porąbane szczapy, czuła taką przyjemność, jakby ofiarowywał jej bukiet kwiatów. Dzięki powieściom, które pochłaniała od dziesięciu lat, wiedziała, że czarujący mężczyźni są śmiertelnie niebezpieczni. Na przestrzeni wieków opisywano ich zawsze jako dziarskich, uchodzących cało z każdej opresji, podczas gdy dziewczęta były obarczane winą, ginęły albo ich pomnikowe postaci milczały przyozdobione wieńcami. Wiele z tych powieści mogło mieć w podtytule: „Bądź czujna” lub „Strzeż swojej cnoty”. Zresztą większość z nich napisali mężczyźni. Oliwia wiedziała o tym, ale nie miało to dla niej żadnego znaczenia.

Izaak bywał u nich w domu znacznie rzadziej niż Teresa. Po części z powodu pracy w Maladze, ale też dlatego, że brakowało mu pretekstów. Oliwia z zadowoleniem zauważyła, że zapasy drewna piętrzyły się przed ich domem jak pod żadnym innym w promieniu kilku mil. Gdyby zechciał opowiedzieć jej o swoim kraju, wysłuchałaby go z przyjemnością.

Nie zauważył jej nowej fryzury, obficie obłożonej podebraną matce pomadą, tak by włosy zyskały na gładkości i połysku. Jakżeby poważnie myślący mężczyzna miał zaprzętać sobie głowę takimi rzeczami, tłumaczyła go Oliwia. I to jeszcze wtedy, gdy kraj pogrążał się w chaosie, a jego pochłaniały

sprawy ludu! Zdecydowała więc, że aby lepiej wykorzystać te rzadkie chwile spędzane w jego obecności, musi się zainteresować polityką.

– A co działo się wcześniej? Rozbite grobowce w kaplicach, wkoło ciała zakonnice... – mówił Izaak. – Domy takie jak ten splądrowane.

Gdy oboje odwrócili głowy i spojrzeli na finkę, postać za firankami odsunęła się gwałtownie.

– Mówią, że ktoś wywlekl jakiegoś księdza z zakrystii i powiesił na drzewie. Tak go znaleźli nazajutrz, z jajami wetkniętymi w zęby.

– Izaak! – wzdygnęła się Oliwia. Słowo „jaja” wytrąciło ją z równowagi. Poczowała się jak dziecko.

– W gazetach takie zdarzenia wyglądają gorzej niżw rzeczywistości, ale nigdy nie piszą tam, dlaczego dochodzi do gwałtów i grabieży. Więc spotkałem tego dziennikarza...

– No i?

– I on zaczyna mi opowiadać o niedźwiedziu polarnym.

– O niedźwiedziu polarnym?

– Tak, mówi mi, że robił wywiad z księciem w jego domu. – Izaak układał polana na wyciągniętych dłoniach dziewczyny. Oliwia zauważyła, że czubki jej palców są zabarwione na czerwono. Od czasu gdy poznała Izaaka, nieustannie malowała. Pracowała nad mniejszymi obrazami, wypełniała szkicownik, jakby się do czegoś podłączyła, choć niezupełnie wiedziała do czego, i mimo iż obawiała się, że to pasmo inspiracji kiedyś się skończy, czuła, że póki Izaak jest w pobliżu, a ona znajduje się pod jego wpływem, będzie w stanie tworzyć.

Wiedziała, że przebywając tutaj, w tej okolicy, unika konfrontacji z prawdą o sobie samej. Nie musiała już rozmawiać z ojcem o wyjeździe do akademii. A jednak czuła się szczęśliwsza niż przedtem.

– Opowiedział mi, że księżę ma w salonie niedźwiedzia polarnego – ciągnął Izaak. – *Lo había cazado?*

– Upolował go.

– Tak, ustrzelił.

Oliwia rozprostowała palce w nadziei, że Izaak dostrzeże plamy farby na opuszkach i będzie mogła mu wyjaśnić: „Trochę maluję. Chcesz zobaczyć?”. Poszedłby z nią wtedy, obejrzał obraz i powiedział: „To doprawdy niezwykle,

ty sama jesteś niezwykła. Jak mogłem wcześniej tego nie zauważyć?" I zaczęliby się całować: ująłby w dłonie jej twarz i pochylił się nad nią, przysuwając usta do jej warg, wciąż jeszcze zadziwiony, jaka jest wspaniała. Tak bardzo chciała, żeby się przekonał, jaka jest wspaniała.

Ale Izaak nie zwrócił uwagi na jej poplamione palce, więc Oliwia zaczęła rozmyślać o kuriozum w postaci niedźwiedzia polarnego, o kawałku Arktyki w środku upalnej Hiszpanii (cóż za groteskowość, barbarzyństwo i zbytek – miejsce wiejące chłodem w samym środku domu).

– Dlaczego mi opowiedziałeś o tym księdzu? – zapytała, próbując przyjąć stanowczy ton. – Chciałeś mnie przestraszyć?

– Nie. Chcę, żebyś wiedziała, co tu się dzieje. Żebyś opowiedziała innym, jak pojedziesz do domu.

– Ja nie pojedę do domu, Izaaku.

Liczyła na to, że się ucieszy, ale na próżno.

– Izaaku, wiesz przecież, że nie jestem taka jak moi rodzice, prawda? – powiedziała.

– Co masz na myśli?

– Oni zawsze się czegoś boją. Ja nie.

Chciała mu uzmysłowić, że cokolwiek sobie o nich myśli, to na jej temat powinien mieć inne zdanie. Ona nie widzi świata w biało-czarnych barwach jak oni. Tak w ogóle to pod żadnym względem ich nie przypomina. Było dla niej bardzo istotne, by to wiedział.

– Tam w górach jest obozowisko Cyganów – powiedział, jakby nie słyszał jej słów. – Stracili jednego ze swoich chłopców. Nie chodzi o to, że zgubili – wyjaśnił. – On się wcale nie zgubił. Został pobity przez jakąś bandę. Miał dwanaście lat. Zmarł.

– To straszne.

Izaak odłożył siekiere i ruszył w stronę zbocza na drugim końcu sadu.

– *Ven aquí* – powiedział. – Chodź tutaj.

Oboje spojrzeli z góry na okolicę. Kilka sępów krążyło nad nimi, wypatrując łupu. Przystworza były tak bezkresne, góry w oddali tak potężne – wydawało się, że tylko natura może tu zadawać gwałt.

– Wszystko będzie dobrze – szepnęła Oliwia. Wyobraziła sobie, że wsuwa dłoń do jego ręki i że stoją tak razem, na zawsze.

Izaak miał zacięty wyraz twarzy.

– Tutejsi ludzie mają tę ziemię we krwi. Dlatego właśnie panowie się ich boją – przerwał na chwilę. – Lękam się o swoją siostrę.

Te słowa zdziwiły Oliwię.

– O Teresę? Nic jej nie grozi.

Z początku Teresa przychodziła co drugi dzień, by posprzątać i ugotować. Teraz pojawiała się każdego dnia. Dom wciąż miał swoje mroczne kąty, wydawał się obcy i niezamieszkały, ale dzięki jej cichej, pełnej uwagi obecności sporo zyskał. Nigdy wiele nie mówiła, obchodziła tylko dom i wykonywała swoją pracę, a na zakończenie tygodnia ze skinieniem głowy przyjmowała od Harolda kopertę peset.

– Teresa nie ma męża – powiedział Izaak. – Nie jest bogata. Ona tu nie pasuje.

– Dlaczego tak mówisz?

– Jest półkrwi Cyganką...

– Cyganką? Ależ to romantyczne.

Zmarszczył czoło.

– A w dodatku siostrą lewicowca. Sam nie wiem, co będzie dla niej gorsze.

– Dlaczego?

– Policja, burmistrz, *caciques*. Mój ojciec. Nie lubią mnie. Ja prowadzę walkę. A ona jest zbyt blisko...

– Izaaku, nie martw się – odparła, usiłując go pocieszyć i nadać swemu głosowi dojrzały ton. – My się nią zaopiekujemy.

Robles skwitował to śmiechem.

– A potem wyjedziecie.

– Powiedziałam już. Ja nigdy nie wyjadę.

– A co tobie po tutejszym życiu, señorita?

– Właściwie... sama nie wiem. Ale jestem pewna, że chciałabym tu zostać.

Zdawało się, że Izaak chce coś powiedzieć, a ona całą sobą pragnęła, by wyznał, jak bardzo się cieszy z jej słów – ale przerwał mu szelest liści pod czyimiś stopami. U podnóża zbocza ukazała się Teresa, z torbą przewieszoną przez ramię. Jej oczy niczego nie mówiły, były zupełnie bez wyrazu.

– *La señora te necesita* – zwróciła się do Izaaka.

– Dlaczego? – spytała Oliwia. – Dlaczego moja matka go potrzebuje?

Teresa i jej brat popatrzyli na siebie, aż w końcu Izaak się poddał i z westchnieniem bez słowa ruszył w dół zbocza.

Kiedy Izaak szedł pośród drzew, Teresa wyobraziła sobie przez moment, że ona i Oliwia wybrały się razem na polowanie, by tropić zwierzynę, jednak potem zarzuciły ten pomysł i postanowiły pobycć trochę razem na rześkim powietrzu. Nie pragnęły zabijać, by przeżyć dreszcz emocji, bardziej zależało im na poczuciu wspólnoty, która łączy ludzi mających jeden cel.

Izaak lubił powtarzać, że Teresa sprzedałaby własną babkę, gdyby musiała (mniejsza, czy w ogóle ją miała). Najgorsze, że Teresa naprawdę odczuwała nieraz lodowatą obojętność w stosunku do ludzi, którzy nigdy jej nie pomogli, lecz wciąż dawali do zrozumienia, że nie jest warta ich uwagi. Patrzyła na zagłębienia zrobione jakiś czas temu widłami przez nią i Oliwię. Nasiona wciąż jeszcze spoczywały głęboko w bruzdach ziemi i potrzebowały dłuższego czasu, by wystrzelić zielonymi pędami.

Teresa poczuła ulgę, że kiedyś podarowała Oliwii nasiona. Dzięki tej dziewczynie dowiedziała się, że wciąż jest zdolna do odczuwania szczęścia.

– Chodźmy zapalić na werandzie – zaproponowała Oliwia. –

Zwędziłam ojcu trzy papierosy. Tylko Oliwia zapaliła. Z piętra domu dobiegł ich dźwięk zatraskiwanych drzwi.

– Usiądź, proszę – powiedziała do Teresy, ale ta posłuchała jej dopiero wtedy, gdy odgłos silnika przeniósł się sprzed domu pod zardzewiałą bramę u stóp zbocza. – Tatuś znowu wyjeżdża.

– Twoja matka nas nie zobaczy? Powinnam pracować.

– Nie musisz przecież pracować bez wytchnienia, Tere. Nie wyrzucą cię, jak sobie pięć minut odpoczniesz. A poza tym – Oliwia zapaliła i nieudolnie próbowała się zaciągnąć – ona rozmawia teraz z twoim bratem.

Teresa widziała w pokoju Sary puste brązowe fiolki po lekarstwach, opisane w ciągach niezrozumiałych dla niej słów. Kiedyś usłyszała szloch, który Sara próbowała tłumić poduszką, i dostrzegła plątaninę bladych blizn pokrywającą górne partie jej nóg. Skoro Oliwia podkrađa ojcu papierosy, musiała być w lepszym nastroju niż wówczas, gdy Teresa pierwszy raz próbowała poruszyć z nią ten temat.

– Czy twoja matka jest bardzo chora? – zapytała.

– Cierpi na depresję.

Oliwia usiadła wygodnie w bujanym fotelu, wydmuchując smugę niebieskiego dymu.

– Depresję?

– Na salonach, wśród ludzi, cała jest w uśmiechach, a w sypialni płacze. To taka choroba, usadowiona w głowie. – Oliwia puknęła się palcem w skroń. – I tutaj – sięgnęła do serca. – Jej stan pogarsza się, a potem poprawia. I znów pogarsza.

– Musi być wam ciężko – powiedziała Teresa, zdziwiona szczerością dziewczyny.

Oliwia odwróciła się i spojrzała na nią.

– Naprawdę tak myślisz, czy tylko tak mówisz?

– Tak myślę, señorita.

Teresa mówiła zupełnie poważnie, ale głównie chodziło jej o to, by Oliwia uznała ją za swojego powiernika i dlatego była skłonna powiedzieć cokolwiek, by tak właśnie się stało. Oliwia patrzyła na sad.

Teresa odniosła wrażenie, że dziewczyna szybko się odnalazła w nowej sytuacji. Dobrze jej było w tych nietypowych, chłopięcych ubraniach; nawet gęstwina niedających się okiełznać włosów zdawała się w jakiś naturalny sposób do niej pasować. Wyglądało na to, że pobyt w Arazuelo pomógł Oliwii się odnaleźć, ujawnić prawdziwe oblicze.

– Rzeczywiście jest ciężko – zgodziła się Oliwia. – Tatuś nazywa te jej ataki „chmurami burzowymi”, ale to tylko takie ładniejsze określenie na prawdziwy koszmar, jaki nam wtedy funduje. Doktor mówi, że jej umysł jest jak plaster miodu, który wciąż rozpada się, komórka po komórce, a potem odbudowuje na nowo. Wiesz, ona widzi ten swój ból w różnych kolorach. Stalowy błękit; żółtosiny, jak przy stłuczeniu; czerwony niczym wysypka przy różyczce... – Oliwia roześmiała się ponuro, a Teresa usiłowała zrozumieć jej słowa. – Ta choroba objawia się w rodzinie matki od zawsze. Moją prababkę pochowano w niepoświęconym grobie, jedną z ciotek, o której w ogóle się nie mówi, zamknięto w domu dla obłąkanych. A kuzyn Johnny tak nienawidził swojej szkoły z internatem, że próbował się utopić w rzece Ouse. Nieszczęsne dziedzictwo, zresztą ja jestem na tyle egocentryczna, że pewnie będę następną.

Teresa usłyszała, że Oliwia zaczerpnęła powietrze, zanim znów zaciągnęła się ojcowskim papierosem.

– Czasem ogarniają mnie złe przecucia... Myślę sobie, jak łatwo mogłabym to od niej przejąć – powiedziała Oliwia. – Jak myślisz, Tere, czy można się tym zarazić?

Teresa dostrzegła smutek w jej twarzy, zauważyła też mgiełkę piegów na nosie, ciemnobrązowe oczy i rozchylone usta.

– Nie sądzę, żebyś miała oszaleć – powiedziała, a wtedy Oliwia wybuchła śmiechem i dała jej szturchańca, zupełnie zaskakując tym Teresę.

– Widać tak właśnie będzie. Skoro jesteś przeświadczona, że nie oszaleję, to musi być prawda. Zła passa skończy się na mojej matce. – Oliwia zamilkła na chwilę. – Uważasz, że jest piękna?

– Tak.

– Jakżeby inaczej. Myślę, że jest maniaczką seksualną. – Oliwia zaśmiała się, ale tylko przelotnie, bo określenie to, zamierzone jako żart, zabrzmiało w jej ustach bardziej jak diagnoza medyczna. Przez chwilę dziewczęta siedziały w ciszy i obserwowały krążące w oddali latawce.

Teresa zapragnęła, żeby czas się zatrzymał, by ten widok i ten dziwny, zniewalający spokój trwały wiecznie. Mieć taką przyjaciółkę znaczyłoby mieć cały świat.

– W moim wieku powinnam już być zaręczona i szykować się do zamążpójścia – zauważyła Oliwia.

– Masz kogoś?

– Nie, nie mam. Dziewczęta, które znam z Londynu, takie raczej znajome, nie bliskie przyjaciółki, są już w większości „zajęte”. Ja nie.

Zawsze kiedy widziałam u nich pierścionki zaręczynowe, ogarniał mnie smutek. Są takie chętne, żeby wyjechać, zmienić nazwisko. Zachowują się wszystkie... jednakowo. Może właśnie to im odpowiada.

Oliwia mówiła teraz bardziej do siebie niż do Teresy, która przestała nadążać za potokiem angielskich słów, wypływających z jej ust niczym z odkorkowanej butelki, gdzie były zamknięte od dłuższego czasu.

– A ci ich narzeczeni! – ciągnęła drwiąco Oliwia. – Jacyż oni są tuzinkowi. Wiesz, co znaczy „tuzinkowy”?

– Nie.

– Bez wyrazu. Taki, który niczym się nie wyróżnia. Oni wszyscy nazywają się mniej więcej tak samo. Jak nie Philip to Ernest albo David. I zupełnie

jakby mieli tę samą twarz o nieostrych, rozmytych rysach. Kiedy wyznałam, że nie wyjdę za mąż, jedna z tych dziewcząt powiedziała mi: „Ty tego nie zrozumiesz, Oliwio. Ty byłaś w Paryżu, a ja nie dotarłam dalej jak do Portsmouth”. Jak można tak głupio myśleć! Sądzić, że zamążpójście jest jak podróż!

– A może coś w tym jest?

Oliwia spojrzała na nią.

– No cóż, i w Paryżu nie brakuje nieszczęśliwych żon. Niektóre z nich są znajomymi moich rodziców. A i moja matka jest takim właśnie przypadkiem.

– Tak?

– Małżeństwo to gra o przetrwanie – rzuciła Oliwia. Zabrzmiało to tak, jakby cytowała zasłyszane gdzieś słowa.

– Jak poznali się twoi rodzice?

– Na przyjęciu. W Paryżu. Matka miała siedemnaście lat. „Angielska pokrzywa”, to jej własne słowa. Tatuś miał dwadzieścia dwa. Zaręczyny z wiedeńskim Żydem były nieco szokujące. Jej rodzina potrzebowała czasu, by go zaakceptować, ale potem go pokochali.

Teresa skinęła głową, ale pomyślała, że Oliwia jednak trochę przesadza. Harolda łatwo było kochać, pomyślała. Przypominał jej chrząszcza zaszytego głęboko pod warstwami drewna i tynku na ścianach finki. Potrzebował, by panczerzyki jego skrzydeł, czułki i tułów ktoś czyścił bezustannie do połysku miękką ściereczką. Musiał być karmiony i doglądany, dopiero wtedy nie kęsał.

– Podczas wojny był internowany – powiedziała Oliwia. – Kiedy wyszedł, podjął pracę dla rządu brytyjskiego. Nigdy o tym nie wspomina. Miał chyba w sobie wszystko to, czego mama nigdy nie miała. Ona łatwo się nudzi i wtedy lubi siał ferment. Dziedziczka Imperium Przypraw, Wyzwolona Wielbicielka Kokainy, Buntowniczką ze Szwabskim Narzeczoną. Wszystko to takie tanie i jarmarczne – dodała, i chociaż Teresa nie rozumiała ostatniego określenia, to jednak wyczuła w nim zazdrość.

– Zdziwiająca – kontynuowała Oliwia – jak ona łatwo potrafi nabrać innych ludzi, wmówić im, że jest w pełni zdrowa, a przecież w środku się rozpada, jest popękana jak stary garnek. Zastanawiam się czasem, czy moglibyśmy wieść spokojne życie: tatuś chodziłby codziennie do pracy w

Ministerstwie Spraw Zagranicznych, w meloniku rzecz jasna, potem wpadałby z wizytą do klubu przy St James's, a matka siedziałaby w domu zajęta haftowaniem. Bardzo w to wątpię. A ty?

Teresa nie wiedziała, co powinna odpowiedzieć tej energicznej dziewczynie o smutnej twarzy. Wzajemne kontakty Schlossów były w zasadzie ograniczone do minimum, dlatego trudno było na tej podstawie cokolwiek wnioskować o relacjach łączących ich w przeszłości. Zachowywali się jak aktorzy przywdziewający kostiumy i odgrywający jakiś spektakl – jakby dom był sceną, a Teresa ich jedynym widzem. Marzyła, by pewnego dnia zobaczyć ich bez kostiumów, kiedy wchodzili za kulisy i kryli się w ciemnych zakamarkach wspomnień. Oliwia uchyliła odrobinę tę kurtynę i ukazała, co kryje się za nią. Teresa bała się, że jeśli nieopatrznie powie coś niestosownego, kurtyna znów opadnie, uniemożliwiając ich wzajemną zażyłość.

– Jak myślisz, wyjdiesz za męża? – spytała Oliwia, by przerwać milczenie.

– Nie – odparła Teresa, czując, że mówi prawdę.

– Jeśli ja wyjdę, to tylko z miłości, a nie, żeby zrobić na złość rodzicom jak moja matka. A czy twoim zdaniem Izaak się ożeni?

– Nie wiem.

Oliwia uśmiechnęła się.

– Jeżeli on się ożeni, to ty zostaniesz w domu sama. Będziesz musiała się przeprowadzić do mnie i mojego męża. Nie chciałabym, żebyś żyła w samotności.

– Do twojego męża?

– Powiedzmy do... Borysa. Borysa Mon-Amour. – Oliwia wybuchła gromkim śmiechem, była w doskonałym nastroju. – Och,

Borysie! – krzyknęła, wyciągając ręce ku niebu. – Przyjdź i zabierz mnie!

Z trudem łapiąc oddech, zwróciła ku Teresie rozpromienioną twarz.

– Nie pamiętam już, kiedy tak się czułam.

– Czyli jak?

– Szczęśliwa.

Teresa chłoneła obraz tej dziewczyny w wełnianym swetrze z Wysp Aran i starych brązowych butach; dziewczyny, która nie chciała jej zostawić na pastwę losu i miała zmyślonego kochanka o imieniu Borys, i która dopiero na

hiszpańskiej prowincji poczuła, że jest szczęśliwa. I wtedy zauważyła pod paznokciami Oliwii zaschniętą krew, przypomniała sobie, jak jej brat wymachiwał siekierą i przestraszyła się.

Chwyliła przyjaciółkę za rękę.

– A to co? – zapytała, a zaskoczona Oliwia przestała się kołysać. – Twoje palce.

Oliwia popatrzyła na swoje poplamione rdzawą farbą paznokcie.

Jej dłoń była uwięziona w małej ręce Teresy.

– Nic mi nie jest.

– To krew. Czy on...?

– Czy on co? To nie krew, Tereso – powiedziała z ociąganiem Oliwia.

– Boli cię?

– Nie. To tylko farba. Nie domyłam rąk.

– Farba? Skąd?

Oliwia zawahała się.

– Tereso, powiedziałałabym ci coś, ale obiecaj, że zachowasz to dla siebie, dobrze?

Spełnienie takiej prośby mogło okazać się ryzykowne, ale odmowa oznaczałaby, że Oliwia zamknie się w sobie, a tego Teresa nie chciała.

– Oczywiście – powiedziała.

Oliwia uniosła mały palec.

– Splećmy palce i przysięgnij.

Teresa oplotła małym palcem palec Oliwii i wytrzymała jej spojrzenie.

– *Lo juro* – wyszeptała. – Przysięgam.

Oliwia wyciągnęła dłoń i położyła ją na sercu Teresy, a ta jak zaczarowana uniosła rękę i wykonała identyczny gest, wyczuwając przez sweter ciepło jej skóry.

– Dobrze – powiedziała Oliwia. Wstała i pomogła podnieść się Teresie. Z wnętrza domu dobiegł je śmiech Sary.

– No, dalej, chodź ze mną.

Siedzieli z Sarą w salonie po wschodniej stronie domu. Izaak uniósł wzrok i spojrzał na sufit. Powyżej znajdował się pokój, w którym przed jedenastu laty stracił niewinność. Finka była wtedy niezamieszкана, Izaak wykradł klucze ojcu, który właśnie zaczął pracować u księżnej jako nadzorca jej dóbr. Zakradł się tutaj z kilkorgiem szkolnych przyjaciół. Około północy dołączyło więcej osób z okolicznych wiosek i wtedy po raz pierwszy w życiu upił się do nieprzytomności, bo sam opróżnił dwie butelki ojcowego Tempranillo.

Rano obudził się na okrytym narzutą łóżku, rozciągnięty u boku kobiety o imieniu Letycja – spała kamiennym snem. Kiedy się obudziła, zaczęli się całować, a potem kochał się z nią, nie zważając na rozsadzającego oszołomioną głowę kaca. Letycja, jak sobie uświadomił Izaak, miała wtedy dwadzieścia siedem lat. On piętnaście. Wtem na dole rozległ się huk rozbijanej wazy, a chwilę później do pokoju wpadł ojciec z kilkoma skorupami w dłoni. Przepędził kobietę i zaczął okładać syna.

Nie dlatego, że chłopak uprawiał seks, tylko z powodu stłuczonej wazy.

„Już myślałem, że jesteś pedziem – powiedział ojciec. – Bogu dzięki!”

Izaak zastanawiał się, gdzie teraz może być Letycja – trzydziestoośmioletnia już kobieta, mniej więcej w wieku Sary. Matka Oliwii zajęta była akurat nalewaniem lemoniady do dwóch szklanek.

Wyjrzał przez okno w dół zbocza, na dróżkę prowadzącą do wsi. Nigdy nie potrafił uchwycić prawdziwego obrazu Arazuelo. Wciąż się zmieniało, a jednak pozostawało takie samo. Było na swój sposób kompletne – raz zaściankowe, a raz otwarte. Zawsze usiłował się stąd wyrwać, choć nigdy nie wiedział dlaczego. Arazuelo było częścią niego.

Madryt był jak księżyc, Bilbao – jak kosmos, Paryż – jak fantastyczna kraina z Biblii, ale Arazuelo potrafiło nim zawładnąć jak żadne inne miejsce.

– Panie Robles? – powiedziała Sara Schloss, a on zareagował uśmiechem. Słyszał, jak jego siostra w towarzystwie Oliwii wspina się po skrzypiących schodach na pierwsze piętro, a potem jeszcze wyżej, na poddasze. Nie wiadomo, czy Sara też je słyszała, ale nie nawiązała do dziewcząt ani słowem. Paliła, jak zawsze, i siedziała na zielonej sofie z podwiniętymi nogami. – Więc

czy myśli pan, że to dobry pomysł? – spytała.

Czy to był według niego dobry pomysł? Wyczuwał w nim coś niestosownego i myślał, że powinien go odrzucić. Ale nie umiał dokładnie określić, co go niepokoiło.

– Musi pan być niesłuchanie zajęty – mówiła dalej, korzystając z jego milczenia. – Od lat nikomu tego nie zlecałam, więc byłaby to dla mojego męża niespodzianka.

– A czy on lubi niespodzianki, señora?

– No cóż, sam mi wciąż jakieś sprawia – powiedziała.

Izaak pomyślał o jej propozycji. Wiedział, że jest dobrym malarzem. Miał nawet nadzieję zostać pewnego dnia malarzem wybitnym. Ponieważ razem z Tere dorastali, ukrywając, że są nieślubnymi dziećmi Don Alfonsa, ojciec przeważnie nie szczędził im pieniędzy, byle Izaak wreszcie wydorósł i wyrósł ze swych lewicowych, artystowskich pomysłów na życie. Don Alfonso na wieść o tym, że jego syn „przestaje” z przywódcami związkowymi, anarchistami i rozwódkami, zdecydował się na spotkanie z chłopakiem. Izaak nie zamierzał porzucić pracy w szkole San Telmo, więc Alfonso odmówił mu dalszego wsparcia finansowego. Nie poinformował o tym Teresy.

Szkoła płaciła słabo, ponieważ redukcja dotacji rządowej zmusiła ją do ograniczenia działalności edukacyjnej i obniżki pensji nauczycielskich. Izaak wiedział, że za kilka miesięcy będzie bardzo biedny. Ale nie mógł sobie pozwolić na sojusz z ojcem, którego uważał za największego hipokrytę w całej Sewilli i okolicach.

– Zapłacę bardzo dobrze – powiedziała Sara – tyle, ile pan zażąda.

Choć irytowało go jej przekonanie, że tak łatwo go kupi, pomyślał sobie, że naprawdę przyjemnie byłoby malować twarz kogoś takiego jak Sara Schloss.

– Dziękuję, señora. Przyjmuję zamówienie, ale niech mi będzie wolno podarować pani ten portret.

Na moment przymknęła z satysfakcją oczy, jakby od początku wiedziała, że Izaak się zgodzi. On daleki był od zachwytu, podziwiał ją jednak za to głębokie przeświadczenie o własnej wyjątkowości. Nie chciał przy tym okazywać, że docenia jej urodę. Sara i tak w pełni zdawała sobie sprawę z tego, że jest piękna.

Kobieta uśmiechnęła się.

– Och, tak nie można. To musi być transakcja. Ilu sesji z moim udziałem będzie pan potrzebował?

– Myślę, że od sześciu do ośmiu, señora.

– A spotykać będziemy się tutaj czy u pana w domu?

– Tam, gdzie pani bardziej odpowiada.

Sara pochyliła się nad tacą, wzięła szklanę lemoniady i podała mu ją.

– Według przepisu pana siostry – wyjaśniła. – Tak dobrej jeszcze nie piłam.

W czym tkwi jej sekret, jak pan myśli?

– Sekrety mojej siostry zostawiam jej, señora.

Sara uśmiechnęła się.

– Rozsądnie. Myślę, że tak powinno być zawsze i wszędzie, wtedy wszyscy byliby szczęśliwsi. Przyjdę do pana. Harold wciąż to wyjeżdża, to wraca, a ja nie chciałabym dawać mu powodów do podejrzeń.

– Kiedy są jego urodziny, señora?

– Urodziny?

– Czy nie ma to być prezent urodzinowy?

– Och, nie – odrzekła. – Po prostu niespodzianka.

Uniosła szklanę.

– Na zdrowie. Za mój portret.

Oliwia przystanęła z ręką na starej, kutej klamce od sypialni i spojrzała na Teresę.

– Pamiętaj – powiedziała. – Zachowaj to dla siebie.

Teresa skinęła głową. Słyszała, jak jej brat rozmawia na dole z Sarą. Oliwia nacisnęła klamkę i wpuściła dziewczynę do środka.

Weszły do pomieszczenia, nieoczekiwanie zalanego intensywnym złotym światłem, niczym atrium, ciągnącego się przynajmniej do połowy długości budynku. Odsłonięte belki rozeschły się ze starości, a tynk popękał. Teresa zmrużyła oczy, żeby lepiej widzieć. Wokół Oliwii w snopach miodowego światła wirował pył. Izaak był kiedyś w tym domu jako młody chłopak i biegał po nim jak oszalały, ale Teresa była wtedy za mała, nie wiedziała więc, że jest tu takie pomieszczenie.

Stała w drzwiach wyprostowana i rzucała ukradkowe spojrzenia w poszukiwaniu tego, co Oliwia mogła tu ukrywać. Nie czuła zapachu zwierzęcia

ani nie słyszała stłumionych odgłosów, dostrzegła jedynie kufry podróżne, rozbebeszone łóżko, ubrania na krześle i wysokie stosy książek. O takim pokoju marzyła dla siebie.

– Zamknij drzwi, głupolu – powiedziała Oliwia.

– Głupolu?

Oliwia zaśmiała się.

– Tak mi się powiedziało. Chodzi o to, żeby nas nie usłyszeli.

Teresa czuła skrępowanie. Jeszcze chwilę wcześniej Oliwia była jak wyciągnięta z wody ryba, chodziła po domu w skarpetkach. Ale teraz, stojąc koło okna po przeciwnej stronie pokoju, wydawała się zupełnie inną osobą. Wkroczyła do rozświetlonego wnętrza wyprostowana, pewna siebie, rękę ułożyła z gracją na parapecie i zatopiła się w myślach, do których Teresa nie miała przystępu.

– Tereso – powiedziała Oliwia – zamknij drzwi. Podejź. Chcę ci coś pokazać.

Teresa zrobiła, co jej kazano, a Oliwia uklękła przy łóżku i wyciągnęła spod niego bardzo duży, płaski drewniany panel. Gdy go uniosła i odwróciła, Teresa z zapartym tchem rzuciła:

– *Madre mía* – i wybuchła śmiechem.

– Dlaczego się śmiejesz?

– Sama to namalowałaś?

Oliwia zawahała się.

– Tak – potwierdziła. – Nosi tytuł *Sad*. I... co myślisz?

Było to jedno z najbardziej niezwykłych malowideł, jakie Teresa kiedykolwiek widziała. Niektóre dzieła Izaaka były nawet niezłe, ale ten... ten obraz stał przed nią jak... jak osoba. I nie było w tym stwierdzeniu przesady. Oddziaływał na nią z niezwykłą siłą.

Obejmowała go spojrzeniem. Czuła, że obraz wypełnia ją bez reszty. Któż tak malował, ta dziewiętnastoletnia dziewczyna paradująca w szkolnej piżamie? Jak udało jej się wydobyć te kolory, tak przekonująco uchwycić wygląd ziemi, do której dopiero co przybyła, i ukazać ją lepszą, bardziej wzniosłą i żywą niż słońce, które zalewało pokój? Bez cienia wątpliwości mocą wyobraźni finka razem z sadem uległy tu przeistoczeniu, obraz mienił się feerią barw, tańczyły na nim linie i formy, miejscowy krajobraz był rozpoznawalny, a zarazem gruntownie przekształcony.

Izaak opowiadał jej nieraz o sztuce, o sławnych malarzach i o tym, co ich wyróżnia. „Sednem jest nowatorstwo – mawiał. – To ono powoduje, że malarz staje się indywidualnością. Można być świetnym rysownikiem, wyjaśniał, ale nic to nie da, jeśli nie widzi się świata na sposób nowatorski?” Teresa ponownie spojrzała na obraz Oliwii i poczuła, że przenika ją niemalże fala bólu. Tu nie chodziło o samo nowatorstwo. Tu kryło się coś jeszcze, i to coś wymykało się słowom, jakaś niesamowita siła, która pozostawała nieuchwytna i trudna do pojęcia. Teresa nie była pewna, czy wierzy w Boga, ale wiedziała, że ta dziewczyna jest obdarzona łaską.

– Nie podoba ci się – powiedziała Oliwia, zaciskając usta w wąską kreskę. – Właśnie sobie myślałam, że trzeba było się bardziej przyłożyć do tych drzew owocowych. I może przydałyby się jakieś postaci...

– Podoba mi się – powiedziała Teresa. Stały przed obrazem w milczeniu. – Czy... tym właśnie się zajmujesz, señorita?

Oliwia zastanawiała się nad tym pytaniem, ostrożnie kładąc obraz na łóżko, jak ukochaną osobę.

– Dostałam się do akademii sztuk pięknych – wyjaśniła. – Posłałam im swoje obrazy i przyjęli mnie.

Oczy Teresy rozszerzyły się.

– I jesteś tutaj?

– Tak, jestem.

– Ale masz przecież *un gran talento*.

– Tego nie jestem pewna.

– Gdybym miała pieniądze, kupiłabym ten obraz.

– Naprawdę?

– I byłabym dumna, gdyby wisiał u mnie na ścianie. Dlaczego nie jesteś w tej akademii?

Oliwia odwróciła wzrok.

– Sama nie wiem. Ale to dziwne. Tuż przed wyjazdem do

Hiszpanii kupiłam tę zieleń, żywą jak barwa konika polnego, i ten odcień szkarłatu, farbę olejną o nazwie „nocne indygo”, śliwkowo-srebrzystą szarość, ogólnie różne kolory, po które wcześniej nigdy nie sięgałam. Po prostu je wybrałam i położyłam na ladzie. Zupełnie jakbym wiedziała, że właśnie tutaj te farby będą mi potrzebne i idealnie się sprawdzą. Pomogą zobrazować mój

strach i marzenia.

Teresa nie potrafiła ukryć, że nie do końca ją rozumie.

– Wiesz, Tereso, niełatwo mi to wyjaśnić. Moi rodzice, te dziewczyny z Londynu... Dopiero tutaj wszystko zagrało. Ten obraz prześladował mnie już wcześniej, istniał we mnie, a teraz się zmaterializował. Nigdy przedtem nie czułam się tak bardzo częścią tego, co robię.

– Rozumiem.

– Ale teraz, kiedy już go ukończyłam... gdy ujrzał światło dzienne, nie mogę jakoś oprzeć się wrażeniu, że to nie jest tylko kwestia odpowiednich farb. Jakby mój udział w tym wszystkim był nieistotny.

– Ależ nie. To ty go wykonałaś. Jeśli ja wezmę farby, nic dobrego z tego nie wyniknie. Ale w twoim przypadku jest inaczej.

Oliwia uśmiechnęła się.

– Dziękuję, że tak miło o tym wszystkim mówisz.

– Masz więcej obrazów?

– Tutaj nie, ale coś ci pokażę. – Oliwia podeszła do jednego z kufków, wyjęła duży szkicownik i podała go Teresie.

Teresa otworzyła go i ujrzała małe szkice dłoni i stóp, oczu i butelek, kotów, drzew i kwiatów – wykonane zupełnie inaczej niż obraz, bo potraktowane bardziej dosłownie, realistycznie. Na kolejnej stronie zobaczyła portret Sary, zatytułowany: *Matka, Londyn*, i obrazek przedstawiający Sarę z Haroldem, a także wykonaną pastelami martwą naturę, której tematem były cytryny przyniesione przez Teresę pierwszego dnia.

Wskazała na cytryny.

– Spytałam cię, gdzie się podziały, a ty powiedziałaś, że nie wiesz.

Oliwia zaczerwieniła się.

– Przepraszam.

– Ukradłaś je?

– Jeśli tak chcesz to ująć.

– Dlaczego ukrywasz się z tym malowaniem, robiąc z tego sekret?

– To nie jest sekret. Po prostu... nie mówię nikomu. Tylko tobie.

Twarz Teresy zapłonęła radością, dlatego szybko schowała ją za kartami szkicownika. Rysunki były niezwykle, zupełnie jakby miały zamiar wyskoczyć z notatnika. Teresa odwracała kolejne strony i zatrzymała się na dwóch

sąsiednich poświęconych jej bratu: *Izaak rąbiący drewno, Izaak z filizanką*. Teresa poczuła ukłucie bólu, a Oliwia wyrwała jej szkicownik z rąk.

– To tylko obrazki – powiedziała. Z dołu dobiegał śmiech Sary, podobny do dźwięku dzwoneczka.

– Co zrobisz z tym obrazem? – spytała Teresa.

– Ty tak strasznie praktycznie patrzysz na świat – odparła Oliwia. – Nie wszystko jest po coś, nie wszystko ma cel.

Teresa zarumieniła się, bo dokładnie tak myślała – praktycznie, jak szakal zasadzający się na kość. Ale w odpowiedzi Oliwii wyczuła też asekurację i to ją zdziwiło. Gdyby ona miała choć połowę jej talentu, już dawno byłaby w Barcelonie, z dala od Arazuelo.

– Zamierzasz go już tak zawsze ukrywać pod łóżkiem, żeby nikt nie zobaczył? – spytała.

– Pewno, że nie.

– Więc dlaczego teraz go nie pokażesz? Mogłabyś zawiesić obraz na ścianie.

Oliwia spoważniała i usiadła na łóżku tuż obok *Sadu*. Stary materac zapadł się pod nią i Teresa zdała sobie sprawę, jak marnie to łóżko wygląda i jak głupio robi Oliwia, zadowolając się takimi warunkami życia, choć stać ją na lepsze. Mogłyby przecież wybrać się do Malagi na Calle Larios i kupić nowy materac – sama by tam Oliwę zaprowadziła i pomogła wypróbować kilka z nich, aż trafiłyby na ten właściwy. Ale Teresa milczała, w pamięci wciąż miała rysunkowe portrety swego brata.

– Nie chcę go mieć na ścianie – powiedziała Oliwia.

Teresa zmarszczyła czoło. Był to według niej całkiem niepotrzebny sprzeciw. Podeszła do łóżka z rękami na biodrach.

– Mogłabyś go sprzedać w Maladze, señorita – powiedziała. – Mogłabyś zarobić.

Oliwia przewróciła oczami.

– Zarobić? Przecież my mamy forsy pod dostatkiem.

Teresa zarumieniła się.

– Mogłabyś wyjechać.

– Ale mnie się tutaj podoba.

– Paryż. Londyn. Nowy Jork...

– Tere. Nie chcę, żeby ludzie wiedzieli. Rozumiesz?

– Gdyby to było moje dzieło, pokazałabym je całemu światu.

Oliwia spojrzała na obraz.

– No, a gdybyś je pokazała i nie spodobałoby się światu? To co wtedy? Wszystkie te godziny, dni, miesiące, może nawet lata...

– Ale mnie by się podobało, więc co tam reszta świata.

– No to po co pokazywać? A poza tym jestem pewna, że jakbyś sama go namalowała, to nigdy nie byłabyś w pełni zadowolona z efektu.

– Dlaczego więc w ogóle malujesz?

Oliwia wstała, zapaliła papierosa i wyjrzała przez okno.

– Sama nie wiem. Nigdy nie wiedziałam. Po prostu to robię.

Przeniosła wzrok na Teresę.

– No dobrze, wiem, że mówię niejasno. Ale widzisz, mnie się zdaje, że jest takie miejsce, taki świetlisty przyczółek doskonałości, który dostrzegam okiem wyobraźni. I z każdym płótnem, z każdym kolejnym szkicownikiem przybliżam się do tego miejsca, a gdy się tam wreszcie dostanę, moje obrazy lepiej ukażą to, kim naprawdę jestem, pokażą mnie inną. I wtedy się wzbiję.

Oliwia potarła czoło i z powrotem położyła się na łóżku.

– Dlaczego jesteśmy tak bardzo uwięzieni w godzinach i minutach codzienności? Dlaczego nie potrafimy pójść dalej, żyć tym, czego nie możemy osiągnąć?

Głos jej się załamał. Poczuła na ramieniu dłoń Teresy.

– Przykro mi, Tere – powiedziała Oliwia. – Pewnie jestem szalona. Ale zawsze taka byłam. Chciałam go tylko komuś pokazać. Cieszę się, że ci się spodobał.

– I to jak. *Me ha encantado*.

– Proszę. – Oliwia znów się ożywiła i poderwała się z materaca z papierosem w ręku. – Weź to. Może sobie pooglądasz.

Sięgnęła po książkę na temat malarzy renesansowych oraz stary numer „Vouge’a” i wręczyła obie rzeczy Teresie.

– To magazyn mojej matki, ale na pewno nie będzie miała nic przeciwko.

Teresa przekartkowała książkę o renesansie, obejrzała kolorowe ryciny przedstawiające mężczyzn i kobiety w eleganckich strojach, o skórze tak gładkiej i sprężystej jak gotowane jajko, wystających oczach, delikatnych, upięścienionych dłoniach i ramionach spowitych w połyskliwy adamaszek.

Dziwnie wydłużone postaci Maryi przeszyte złotym światłem Zwiastowania, koszmarnie sceny z mitycznymi potworami, ludzie o pięciu nogach, kobiety zamieniające się w owoc granatu. Po cichu przeczytała nazwiska malarzy: Bellini, Bosch, Cranach. Był to dla niej nowy język, który chciała poznać i przyswoić, by władać nim jak bronią.

Egzemplarz „Vogue’a” był wprawdzie bardzo stary, ale Teresie to nie przeszkadzało. Należał teraz do niej. Nawet się cieszyła, że miał już prawie rok. Sara tylko przeglądała magazyny i zaraz potem lądowały na podłodze jej sypialni. Była nieczuła na ich barwy, które dla Teresy miały taki urok jak syreni śpiew. Nie chciała jednak, by Oliwia miała z tego powodu kłopoty.

– Jesteś pewna, że twoja matka nie będzie miała nic przeciwko temu? – spytała.

– Nawet nie zauważy – powiedziała Oliwia, chowając szkicownik i obraz pod łóżko. – Izaak ciągle tu chyba jeszcze jest. Powinnyśmy zejść i zobaczyć, czego moja matka od niego chce.

Teresa odpędziła od siebie chmurę, która pojawiała się w jej sercu za każdym razem, gdy ktoś wspominał Izaaka. Zamknęła książkę o renesansie i wyszła za Oliwią.

Izaak wziął drugą szklankę lemoniady i stuknął się nią z Sarą. Przywykł, że kobiety zachowują się w ten sposób w jego obecności, były jak kotki, zalotne i rozochocone. Nigdy ich do tego nie nakłaniał, ale one tym bardziej przyjmowały taki styl bycia. Wyglądało to na błazenadę – nauczył się jednak nie zakładać z góry, czego od niego chcą. Nierzadko coś mu się zdawało, a potem okazywało się, że w rzeczywistości

chodziło im o coś zupełnie innego.

Przyszło mu do głowy, że Oliwia bardzo różni się od swojej matki – jest taka niewinna, wyciąga do niego rękę jak tonąca i widać to wyraźniej, niż się jej wydaje. A jednak zaciekawiała go, tyle że inaczej niż señora Schloss. Sara była zjawiskowa, co zauważało się od pierwszej chwili, lecz Oliwia miała w sobie coś nieokreślonego i intrygującego, co kryło się pod jej nieporadnością. Małżeństwo rodziców było katastrofą, z której ocalała. Zastanawiał się, czy gdyby została z nimi dłużej, nie skończyłoby się to dla niej źle.

Usłyszał kroki, a potem w progu pojawiła się Oliwia i zaczęła mierzyć wzrokiem to jego, to matkę, jakby dokonywała jakichś skomplikowanych

obliczeń. Teresa spoglądała zza pleców Oliwii z dziwnym wyrazem tryumfu na twarzy, który zaalarmował Izaaka.

– Oliwko – powiedziała Sara. – Zgadnij, co się stało?

– A muszę?

– Pan Robles będzie mnie malował.

– Co takiego?

– Zrobimy tacie niespodziankę – ciągnęła Sara. – Złożyłam u pana Roblesa zamówienie.

– Ale przecież on nienawidzi niespodzianek.

– I ja też, Oliwio. Ale ten obraz ode mnie dostanie, czy tego chce, czy nie.

Oliwia zrobiła krok do przodu i usiadła na zniszczonym przez mole fotelu, dość przypadkowo ustawionym obok sofy.

– Znajdzie pan czas na ten obraz, panie Robles? – spytała. – Ma pan przecież tyle zajęć.

– Będzie to dla mnie zaszczyt – odparł Izaak. Oliwia zagryzła wargi i spojrzała na zimny kominek, wypełniony bierwionami, które Izaak przyniósł dla ich wygody.

Teresa nadal stała w drzwiach. Spoglądała na brata nieco szyderczo, co go irytowało – żyła przecież w bezpiecznym kokonie, nie mając pojęcia, ile razy ją w ciągu minionych lat ochronił.

– To ja powinnam być na tym obrazie – oświadczyła Oliwia.

– Oliwko – powiedziała matka i zawiesiła głos, by poprawić kant swoich spodni. – To moja niespodzianka.

– Myślę, że tatuś wolałby widzieć na tym portrecie nas obie. Wiele lat temu pozowałyśmy razem. Powinnyśmy znowu spróbować.

– Pozowałyśmy?

– Zapomniałaś już. Tak, pozowałyśmy. Panie Robles, nie uważa pan, że to znakomity pomysł?

Izaak odczuwał silną presję płynącą ze strony obu kobiet.

– To wy musicie zdecydować – odparł. – To wasz ojciec i mąż. Sara chwyciła pomponik przy spodniach.

– Panie Robles, a gdybym zgodziła się, by namalował mnie pan z córką, to czy musiałybyśmy pozować równocześnie?

– Nie zawsze, señora.

– Więc zgoda – westchnęła. – Umówimy się jakoś, prawda Oliwio?

Oliwia skinęła brodą w stronę matki.

– Tak, mamo – odparła. – Umówimy się.

VI.

Oliwia i Sara umówiły się na trzy wstępne sesje w czasie, gdy Izaak nie uczył w Maladze. Teresa odgrywała rolę strażniczki tajemnicy.

– Powiedz Haroldowi, że jesteśmy na rynku w Esquinas – poprosiła ją Sara.
– Albo że mamy wizytę u doktora. Coś tam wymyślisz, Tereso. Jesteś taka sprytna.

Już podczas drugiej sesji, kiedy Izaak malował Oliwię i jej matkę w przygaszonym świetle swojej kuchni, dziewczyna zauważyła, że coś jest nie tak. Sara, ubrana w półprzezroczystą lawendową bluzkę i brązową jedwabną spódnicę, siedziała ciągle lekko przechylona i trzymała rękę za kuchennym krzesłem Izaaka. Koncentrowała się na tym, by jak najlepiej wypaść przed artystą, ale Oliwia dostrzegła, że Izaak był ponury i przybity.

Spodziewała się, że będzie szczęśliwy, bo jego partia zwyciężyła właśnie w ogólnokrajowych wyborach i mówiono o tym w radiu oraz pisano na czołówkach gazet, które ojciec przywiózł z Malagi. Do władzy doszła lewicowa koalicja, a to powinno go wprowadzić w tryumfalny nastrój.

– Coś jest nie w porządku? – spytała go, gdy Sara przeprosiła i wyszła na chwilę.

Podniósł wzrok znad obrazu i skierował na nią zdziwione spojrzenie.

– Zabili kolejnego chłopca – odpowiedział. – Znałem go trochę.

– Zabili?

– Ubiegłej nocy. Miejscowego, na imię miał Adrián, należał do partii anarchistycznej. Pracował w fabryce w Maladze. Zaczął od zawiązywania czerwonych wstążeczek przy upręży osiołków i przy rowerach, a doszedł do niszczenia ksiąg notarialnych poświadczających majątek jego szefa. Lubił gardłować, ale był jeszcze bardzo młody. Jacyś dranie zastrzelili go i przywiązali do burty ciężarówki.

– Och, Izaaku, to straszne.

– Nazywają to zbrodnią w afekcie, co zakrawa na kpiny.

– Czy ktoś został aresztowany?

Izaak spochmurniał.

– Żadnych świadków. I oczywiście sam się niby przywiązał do tej

ciężarówki. Do momentu, gdy ich zatrzymano, nie miał już prawie stóp.

– O mój Boże. Kto mógł zrobić coś takiego?

– Wszyscy i nikt. Gwardia cywilna twierdzi, że to gang komunistów, którzy wzięli go za chłopaka z bogatej rodziny. Inni zrzucają winę na Cyganów. Anarchiści, komuniści, falanga czy socjaliści, *oligarco*, *gitano* albo ktoś jeszcze. A może jego ojciec to zrobił? – Izaak splunął.

Oliwia chciała go pocieszyć, ale wiedziała, że jej matka zaraz wróci. Próbowwała więc zachować spokój. To odosobniony przypadek, wmawiała sobie, obrzydliwy, ale wciąż odosobniony. Przypomniała sobie jednak opowieść Izaaka o niedźwiedziu polarnym, o księdzu powieszonym na drzewie, o ziemi, którą miejscowi mają we krwi.

Pomyślała o *Sadzie* ukrytym na strychu, o swoim idealnym, wielobarwnym raj, i poczuła wstyd – nic nie wiedziała o tych ludziach, trzymając się tylko swoich iluzji cudzoziemki.

Następnego dnia wieczorem Teresa siedziała przy stole kuchennym w swoim domu, a Izaak opracował króliki, które upolował na gulasz. Miała przed sobą otrzymany od Oliwii egzemplarz pisma „Vouge” i przewracała jego strony tak delikatnie, jakby to było pierwsze wydanie jakiejś cennej książki. Z okładki spoglądała na nią łagodnie kobieta – blondynka w długiej kremowej pelerynie, spod której wystawał czarno-biały but plażowy. Siedziała wychylona z kabrioletu, osłaniała oczy od słońca i w skupieniu wpatrywała się w jakiś niewidoczny punkt. Niebo za jej plecami miało barwę głębokiego błękitu. „WAKACJE – PODRÓŻE – MODA NA LATO” – głosił napis biegnący dołem przez całą stronę, wybity prostą, elegancką czcionką.

– Ciągłe milczysz – odezwał się Izaak. – Martwisz się, co zrobić?

Kiedy się nie odezwała, mruknął:

– Jezu, powinnaś się martwić o to, co ja.

– Po prostu nie mów mi o tym wszystkim, Izaaku. Nic nie wróci życia temu Adriánowi. Co innego podkraść miód z uli księżnej, a co innego narażać swoje życie...

– Tobie też mógłbym dać taką radę, Tere.

Wskazał czubkiem noża na magazyn.

– Ty również powinnaś uważać, co robisz.

– Ale mnie nic nie grozi.

– Jesteś pewna? A pamiętasz, jak było ostatnio? Nie będę mógł wpłacić za ciebie kaucji drugi raz.

– Niczego nie zabrałam. Dostałam od Oliwii.

Teresa przypomniała sobie pracę u panny Banetti. Tamtą samotność i harówkę. Staruszka miała tyle różnych rzeczy, że nawet nie zauważyła, kiedy zaczęły znikać. To było takie kuszące, takie łatwe. Najpierw drobne przedmioty – pierścionek, srebrne puzderko na zapałki. Potem puste flakoniki po perfumach, a w końcu naszyjnik ze szmaragdów. Teresa traktowała te rzeczy, na które jej bogaci zagraniczni pracodawcy nie zwracali nawet uwagi, jako formę rekompensaty za swój szary żywot. Schowała bibeloty do puszki i zakopała koło studni. Od czasu do czasu je sobie oglądała, nie zakładała naszyjnika, tylko podziwiała, jak szmaragdy lśnią w słońcu. Tak jej się podobały, że nie miała poczucia winy.

Dopiero niemiecka rodzina ją przyłapała i wydała. Izaak poszedł z nimi porozmawiać i wyjaśnił, że siostra cierpi na problemy psychiczne, co było kłamstwem, ale miało powstrzymać Frau przed złożeniem doniesienia do gwardii cywilnej. Wszystko im zwrócił, ale nie wiedział o puszcze panny Banetti, o naszyjniku ze szmaragdów schowanym w ogrodzie. Traktowała ją jako swoje prywatne zabezpieczenie.

– Tere – powiedział Izaak łagodniejszym tonem i przywołał ją do rzeczywistości, w której chlupotały wnętrzności królika patroszone nożem. – Oliwia nie może być twoją przyjaciółką, wiesz o tym.

– Nie potrzebuję twoich rad.

– Wiem, że czujesz się samotna, kiedy jestem w Maladze. Ale to jest tylko bogata dziewczyna, która mieszka z rodzicami i zanim się zorientujesz, razem z nimi wyjedzie. Nie chcę, abyś...

– Nie jestem samotna. Nie jestem dzieckiem. Nie musisz odgrywać roli opiekuna. Wcale nie chcę się z nią zaprzyjaźniać.

– To dobrze.

Zaczął odkrawać nogę królika.

– Chodź, pomóż mi.

Zwinnym ruchem wstała od stołu i stanęła obok brata.

– I nie możesz mi mówić, co mam robić, Tere – powiedział.

– Mogę przynajmniej próbować.

Roześmiał się, a ona mu zawtórowała.

– Przecież zawsze się tobą opiekuję, prawda? – spytał.

– Tak, Izaaku. Ale ja tego nigdy nie potrzebowałam.

Harold nie zwrócił właściwie uwagi na nieobecność żony i córki.

Siedział rozkojarzony za biurkiem na środku swego gabinetu, prawie niewidoczny na tle gobelinów, które kupił w Maladze od marokańskiego handlarza dywanów. Łokcie oparł na skórzanych podłokietnikach i ledwo zauważał, że Teresa odkurza pokój albo podaje mu szklaneczkę wytrawnej sherry. Wyglądał jak kapitan tonącego statku, który znalazł kawałek dryfującego drewna i uczeplił się go, aby ratować cenne życie.

W dniu, kiedy panie wybierały się na ostatnią sesję, a Teresa przyrządzała właśnie gulasz, zadzwonił telefon. Odczekała chwilę, ale Harold nie odbierał.

– Señor? – zawołała. Dom wypełniała cisza, rozbrzmiewał tylko dzwonek telefonu. Podeszła na palcach pod drzwi gabinetu i przystawiła ucho do drzwi, zanim je otworzyła, a potem ruszyła po dywanie. Podnosząc do ucha bakelitową słuchawkę, wiedziała już, że robi błąd.

– *Harold, bist du es?* – Był to kobiecy głos. Teresa nie odezwała się, tylko nasłuchiwała, jak tamta kobieta wzięła nerwowo wdech i na tym połączenie się skończyło.

Podniosła wzrok – w drzwiach stał Harold, w płaszczu, z myśliwską strzelbą w ręku.

– Co ty robisz? – spytał. – Tereso, co ty u diabła robisz?

Teresa spojrzała ogłupiałym wzrokiem na słuchawkę i przez moment żałowała, że w ogóle przekroczyła próg finki, że nie znalazła pracy gdzieś indziej. Nie wystarczało jej powierzchowne uczestniczenie w życiu Schlossów, chciała być bliżej nich, poznać ich blizny i okaleczenia, a nawet żar pulsujących serc. Ale w tym momencie uświadomiła sobie, jakie niebezpieczeństwa niesie wiedza o sekretach innych ludzi.

Harold podszedł, gdy trzasnęła słuchawką o widełki. Położył dłoń na jej dłoni – zdziwiło ją, że jest tak ciepła.

– Tereso – powiedział z uśmiechem, leciutko przyciskając jej rękę. – Do kogo ty tam wydzwaniałaś?

Spojrzała na niego oszołomiona i nagle zrozumiała intencję pytania, więc przybrała pokorną minę, bo wciąż miała w uszach pełen nadziei głos tamtej

kobiety i panikę w jej oddechu, gdy się zorientowała, że to nie Harold odebrał.

– Przepraszam, señor – odpowiedziała. – Chciałam porozmawiać z ciotką z Madrytu.

Zmierzyli się wzrokiem, po czym Harold uwolnił jej dłoń. Obszedł biurko i siadł na krześle, a potem otworzył zamek strzelby.

– Wystarczyło poprosić, Tereso.

– Przepraszam, señor – powiedziała po raz drugi. – To się więcej nie powtórzy.

– Dobrze. W porządku. Idź już.

Była już w drzwiach, gdy odezwał się znowu:

– Gdzie jest moja żona?

Teresa odwróciła się do niego, czując ścisk żołądka.

– Jest na targu, señor.

– O szóstej wieczorem? – Harold zatrzasnął strzelbę i odsunął się na krześle.

Teresa uszczypnęła się dłonią ukrytą w kieszeni fartucha.

– Tak. Ale chciała jeszcze potem wstąpić do kościoła.

– Do kościoła?

– Tak. Do La iglesia de Santa Rufina.

Zaśmiał się.

– Wiesz, że pani Schloss nie czuje się dobrze, Tereso. Jeśli będzie się tak oddalała od domu, powinnaś mi o tym mówić. Miej ją na oku.

– Na oku?

– Uważaj na nią. Zaczekaj tu do czasu, aż wróci. A jak ją zobaczysz, to powiedz, że mam coś do załatwienia w Maladze. Będzie wiedziała, o co chodzi.

– *Sí, señor.*

– Czy Oliwia poszła z nią do kościoła?

– Tak.

– Cieszę się, że spędzają czas razem. – Odłożył broń na biurko. – Tereso, potrzebuję twojej opinii.

– Tak, señor?

– Czy myślisz, że mieszkańcy wsi chcieliby, abyśmy wydali przyjęcie?

Teresa pomyślała, że przyjęcie u Schlossów byłoby pewnie najelegantszym wydarzeniem, jakie ktokolwiek z mieszkańców wsi kiedykolwiek widział – a

ona znalazłaby się zapewne w centrum tego wydarzenia jako organizatorka. Przestaliby się w końcu z niej naśmiewać – ustałyby przytyki i komentarze związane z tym, że jest Cyganką czy nieślubnym dzieckiem. Potęga Harolda i Sary Schlossów spłynęłaby na nią jasnym światłem i opromieniła ją jak Słońce.

– Myślę, że byłoby wspaniale, señor – powiedziała.

Pospieszyła do kuchni, aby dopilnować gulaszu. Usłyszała kroki Harolda drepczącego po sypialni. Podchodził do szafy i oddalał się, wybierając i przymierzając kolejne elementy stroju. Po chwili wyszedł w eleganckim garniturze koloru pszenicy i w niebieskiej koszuli, która pięknie odcinała się od jego ciemnych włosów, przydając mu szyku.

Silnik samochodu nabrał obrotów i Harold odjechał, a Teresa poczuła znowu ciężar owego *Harold, bist du es?* – sekretu, który jej powierzył, o czym oboje świetnie wiedzieli. Zostawił po sobie zapach wody kolońskiej. Ostry, z nutą ambry, dalekim echem ciemnych skórzanych foteli i jeszcze ciemniejszych zakamarków.

Kiedy wróciła do domu, Izaak składał właśnie w sypialni materiały malarskie. W kuchni stał portret okryty płótnem (bo nie pozwalał niczego oglądać, zanim nie skończy malować). Sara wyszła, ale Oliwia siedziała w niedbałej pozie przy stole. Wyglądała na zmęczoną. Teresa obserwowała ukradkiem, jak dziewczyna stale porusza dłońmi, a rozbiegany wzrok przenosi z jednego kąta pomieszczenia w drugi. Nie potrafiła pogodzić tych dwóch obrazów – rozedrganego podlotka i poważnej, pewnej siebie malarki, którą poznała na poddaszu. Zastanawiała się, czy Oliwia namalowała coś nowego i czy pozwoli jej ten nowy obraz obejrzeć.

– Twój ojciec pytał, gdzie jesteś – powiedziała Teresa. – Przekazałam mu, że poszłaś z matką do kościoła Świętej Rufiny.

– Gdzie to jest?

– Przy głównym placu we wsi.

– Moja matka o tym nie wie. – Oliwia wstała. – Będę musiała do niej dotrzeć, zanim zrobi to tatuś.

– On wyjechał – powiedziała Teresa.

Twarz Oliwii stężała.

– Mogłam się tego spodziewać. – Usiadła z powrotem.

– Sprawia ci przyjemność pozowanie? – spytała Teresa.

– Wydaje mi się, że nie jestem dobrą modelką. Moja matka natomiast jest oczywiście zachwycona.

– Twój ojciec będzie szczęśliwy, jak zobaczy obraz.

– Może. Jeżeli będzie to dobry obraz. Izaak nie pozwala mi popatrzeć.

– Twój ojciec... mówi, że wyda przyjęcie.

Oliwia jęknęła.

– Naprawdę tak powiedział?

– Nie chcesz takiego przyjęcia, señorita?

– Nie byłaś jeszcze na przyjęciu wydawanym przez moich rodziców. Już wolałabym pójść do kościoła.

Była w drażliwym nastroju. Teresa zastanawiała się, jak bardzo źle Oliwia i jej matka zniosły wspólne pozowanie. Zdawało jej się, że o ile Sara urodziła się po to, by ją oglądano, Oliwia sama wolała oglądać.

Podeszła do blatu, wzięła nóż i zaczęła siekać cebulę.

– Znasz historię świętej Rufiny? – spytała znad blatu, by uwolnić Oliwię od ponurego nastroju.

Oliwia spojrzała w kierunku ciemnego korytarza, skąd słychać było, jak Izaak krząta się po swoim pokoju.

– Nie.

– To historia dwóch sióstr – zaczęła Teresa. – Były chrześcijankami. Mieszkały w Sewilli w... *la época romana?*

– W czasach rzymskich – powiedziała Oliwia.

– Właśnie. Wyrabiały garnki i miski. Rzymianie chcieli, aby zrobiły garnki na przyjęcie. Na pogańską ucztę. Ale siostry powiedziały: „Nie, nie damy wam. Nasze garnki są dla nas” I rozbiły maskę bogini Wenus.

– O mój Boże.

– Zostały aresztowane. Justę wrzucono do studni. A Rufinę zmuszono do walki z lwem.

Teresa zauważyła z satysfakcją, że Oliwia zastygła w bezruchu i w napięciu słucha opowieści. Na ścianach zaczęły tańczyć długie cienie, a cebula dusiła się w garnku.

– To był duży lew – ciągnęła. – I wygłodzony. *En el anfiteatro*. Mnóstwo ludzi patrzyło. Ale lew nie chciał walczyć. Siedział i się nie ruszał. Nie chciał

jej tknąć.

– I co się stało? – szepnęła Oliwia.

– Ucieli jej głowę.

– Nie.

– I wrzucili do studni, żeby siostry się spotkały.

Oliwia zadrżała.

– To okropne.

Teresa wzruszyła ramionami.

– Mnie się podoba ten lew. – Jej oczy napotkały wzrok Izaaka, który stanął w drzwiach. – Wie, ile wart jest pokój. I zna swoje miejsce.

– Może po prostu nie miał ochoty na kościstą dziewczynę – stwierdził Izaak. Oliwia zwróciła się w jego stronę. Izaak skrzyżował ręce na piersi i zmierzył siostrę wzrokiem. – Znowu opowiadasz historie, Tere?

– Ona dobrze opowiada, Izaaku – powiedziała Oliwia. – Wyobraź sobie, że siedzisz w ciemności, a tymczasem twoja siostra musi zmierzyć się z lwem. Wyobraź sobie, że trzymasz w rękach jej głowę, a cała reszta ciała gdzieś przepadła. Co się stało z Justą?

– Nie przeżyła szoku – odparła Teresa.

– Ja też bym nie przeżyła – powiedziała Oliwia.

– Skąd możesz to wiedzieć, señorita – powiedział Izaak. – Może okazałabyś się silna.

– Och, nie. Ja zawsze mdleję. – Oliwia sprawiała wrażenie zamyślanej. – Wiecie co, chyba wybiorę się do kościoła.

– Señorita?

– A dlaczego nie? – powiedziała Oliwia. – Wtedy przynajmniej jedno z naszych kłamstw okazałoby się prawdą.

II

PRZYNALEŻNOŚĆ





Lawrie i ja umówiliśmy się do kina na naszą pierwszą randkę. Ostatecznie rzeczywiście poszliśmy na *Żyje się tylko dwa razy*. W filmie było tyle nagości i sadyzmu, że byłam zażenowana własnym wyborem. Zero romansu, tylko gadzety i klatka piersiowa Seana Connery’ego, która wyglądała tak, jakby pożyczył ją od małpy. Po namyśle doszłam do wniosku, że wolałabym obejrzeć film z Catherine Deneuve, ale właściwie cieszyłam się po prostu tym, że siedzę obok Lawrie’ego, czuję jego przyjemny zapach, ciepło jego ciała – człowieka, który mnie wybrał.

Przez następne dwa tygodnie widywaliśmy się niemal każdego dnia. Poszliśmy do Wallace Collection i do National Gallery – chcieliśmy sprawdzić, czy nie znajdziemy więcej obrazów sygnowanych literami I.R. (bez sukcesu). Byliśmy też w teatrze, wciąż jeszcze przechowuję odcinek biletu. Samuel Beckett nadał temu dramатовi tytuł *Komedia*^[9], a ja nigdy wcześniej nie widziałam czegoś podobnego. Pamiętam swój zachwyty połączony z szokiem, gdy kurtyna poszła w górę i na scenie ukazała się trójka aktorów – mężczyzna i dwie kobiety grające jego kochankę i żonę. Były wciśnięte aż po szyję w gigantyczne urny do przechowywania prochów, nie mogły się ruszać i bełkotały coś nieskładnie, zanim w końcu zaczęły snuć fragmenty własnych historii, zupełnie nie zwracając na siebie nawzajem uwagi.

Odwiedzaliśmy też rozmaite restauracje i kluby w Soho – All Nighters, Flamingo – i przy okazji odkryliśmy, że doskonale nam się ze sobą tańczy. Nie lubiłam jednak, gdy trzeba było przekrzykiwać się w hałasie, a po jedenastej robiło się gęsto od dymu. Widzieliśmy tam różnych bandziorów oraz ich dziewczyny: wypomadowane włosy, złote pierścienie, atmosfera wrogości. Ale przede wszystkim liczyła się grana na żywo muzyka. Była cudowna – calypso, ska^[10], jazz i blues.

Choć wtedy tego nie wiedziałam, nasza znajomość się zacieśniła. Nie pamiętam, kto pierwszy i co zaproponował – w każdym razie początkowy etap, tak bardzo odmienny od wszystkich następnych, kiedy to obie strony wzajemnie się sobie przyglądają, prawiąc komplementy i czyniąc rozmaite aluzje, mieliśmy już za sobą. Zaczęliśmy być od siebie zależni, chociaż nawet nie znaliśmy się zbyt dobrze – typowe dla młodych ludzi, którzy jeszcze nigdy się nie sparzyli, nie zostali przez nikogo zranieni ani porzuceni, którzy

wszystkim się ze sobą dzielą, błędnie sądząc, że ta druga osoba stanowi lek na całe zło świata i rozwiąże wszystkie ich problemy. On był samotny, a ja czułam się zagubiona – czy może na odwrót? Nie spaliśmy ze sobą, nie doszliśmy do tego jeszcze. Nasz związek był bardzo niewinny, na swój sposób.

Od momentu naszej krótkiej rozmowy w deszczu przy Piccadilly Circus prawie nie spotykałam Quick. Wydaje się, że tylko Pamela i ja – i może kilku jeszcze pracowników naukowych, którzy przeważnie przesiadywali w piwnicy, gdzie mieściły się archiwa – pojawialiśmy się codziennie w pracy. Quick była nieobecna częściej, niż można by to uznać za dopuszczalne, nierzadko przychodziła jedynie na parę godzin. Ponieważ pracowałyśmy w części budynku przeznaczonej do prowadzenia badań naukowych, a nie w galerii frontowej przy Jermyn Street, u nas zawsze było cicho. Brakowało mi opieki i zainteresowania Quick.

Podczas jej nieobecności Pamela zaproponowała, żebym jadła swoje kanapki razem z nią na dziedzińcu, pozostawiając na ten czas recepcję bez nadzoru. Wahałam się, po pierwsze dlatego, że wciąż jeszcze nie skończyłam czytać książki Muriel Spark, jej zbioru opowiadań i słuchowisk radiowych, opublikowanych przed sześciu laty.

Po drugie, nie miałam ochoty słuchać ulubionej frazy Pameli, która brzmiała: „Ludzie tacy jak ty”, a którą od czasu do czasu wtrącała do rozmowy – chociaż w sumie brak kontaktu z Cynthią i nieobecność Quick sprawiały, że łaknęłam damskiego towarzystwa. I po trzecie, naprawdę uważałam, że ktoś jednak powinien dyżurować w recepcji.

Pytania Pameli odnośnie warunków życia na Trynidadzie, które zadawała mi w porze lunchu, uświadomiły mi, jak niewiele szkoła i późniejsze doświadczenia nauczyły ją o zasięgu imperium. Ale trzeba przyznać, że wykazywała prawdziwe zainteresowanie – ciekawiły ją pogoda, to, w jakim stopniu wilgotność i wysokie temperatury wpływały na stan książek, odzieży, sposób przyrządzania potraw przez moją matkę, pytała też o muzykę i o ludzi, których znałam – pytania Pameli uświadomiły mi, jak odległe były już dla mnie te sprawy. Przywołały obraz Cynth, naszej długiej wspólnej podróży, a potem przypomniały mi o naszej głupiej kłótni i zawieszeniu kontaktów. Pomyślałam, że jeszcze chwila i się rozplaczę, więc pozwoliłam mówić Pameli. Opowiadała mi o swojej matce, która była szwaczką, i o ojcu, który rozwoził

mięso w Smithfield. Miała pięciu braci i siostrę, która zmarła, gdy Pamela miała osiem lat.

– Muszę cię o coś zapytać, Odelle. Masz jakiegoś faceta? – rzuciła. – Przez ostatnie kilka tygodni byłaś trochę roztargniona.

Zawahałam się. Tak bardzo chciałam rozmawiać o Lawrie’em, o miłości – jak to właściwie z nią jest i czy to, co czuję, to rzeczywiście miłość. Ale zamiast tego odparłam:

– Nie, nie mam.

Pamela zmrużyła oczy.

– No dobrze, masz prawo do własnych sekretów. Ja m a m chłopaka, nazywa się Billy. Pracuje na zapleczu klubu All Nighters, chociaż nie sądzę, byś zechciała się tam wybrać.

– Dlaczego? – zapytałam.

Roześmiała się.

– Po prostu jesteś zbyt rozsądna, żeby marnować młodość, tańcząc w klubach.

Teraz ja z kolei wybuchnęłam śmiechem, bo wyczułam, że był to rodzaj komplementu. Po raz pierwszy Pamela uznała mnie za osobę na poziomie. Ale niejako wbrew jej słowom moja wyobraźnia podsuwała mi inne obrazy – tego, jak razem z Lawrie’em tańczyliśmy właśnie w tamtym klubie, o którym mówiła Pamela, a po plecach spływał nam pot. Miałam wrażenie, że to byłam zupełnie inna ja.

Pamela traktowała Billy’ego trochę jak medal przypięty do piersi, ale gdy przypomniałam sobie mężczyzn z klubu, zaczęłam się zastanawiać, czy facet Pameli rzeczywiście jest taki wspaniały. W miarę upływu czasu, gdy nadal chodziłyśmy razem na nasz kanapkowy lunch, a ja wciąż nie mogłam doczytać do końca Muriel Spark, nagle ze zdumieniem odkryłam, że żał mi Pameli, której towarzystwo naprawdę polubiłam. „Billy ma wielkie marzenia” – mówiła, ale nigdy nie wyjaśniła dokładnie, o jakie marzenia chodziło. Miałam dziwne przeczucie, że niekoniecznie obejmowały również ją.

Reede zadzwonił do Lawrie’ego, informując go o „niezmiernym szczęściu”, jeśli chodzi o Prado w Madrycie, i poprosił, żeby postarał się jak najszybciej do niego przyjechać. Lawrie pojawił się w Instytucie następnego ranka i czekał na mnie na ławce pośrodku placu.

– No, no! – powiedziałam, siadając obok niego. – Bardzo jesteś podekscytowany tym, co dzieje się wokół obrazu?

Uśmiechnął się.

– Trochę. – Gdy nachylił się, żeby mnie pocałować, jakiś mężczyzna, który przechodził obok, zacmokał z dezaprobatą. Nie byłam pewna, ale wydaje mi się, że usłyszałam słowo: „obrzydliwe”. Zignorowaliśmy go, zresztą ja nigdy się nie odzywałam w podobnych sytuacjach, ale myślałam, że może Lawrie coś powie.

– No, dalej, chodźmy już – powiedziałam, kiedy było już jasne, że albo Lawrie nie usłyszał uwagi, albo nawet nie przyszło mu do głowy, że mogła być skierowana do niego. A może uznał, że w ogóle nie warto się tym zajmować? – Bo spóźnisz się na spotkanie z Panem Sychą. Ale ty idź pierwszy. Ja za tobą.

– Dlaczego?

– Nie chcę, żeby Pamela o nas wiedziała.

– Wstydzisz się mnie? – zapytał.

Roześmiałam się.

– Oczywiście, że nie. Chodzi o to, że... jak się o tobie dowie, to nie da mi spokoju.

Gdy siedziałam już przy swoim biurku po tym, jak udało mi się zmylić czujność Pameli, zaczęłam się zastanawiać, co się dzieje w gabinecie Reede’a na górze. Ciekawiło mnie wszystko, co dotyczyło obrazu. I chociaż moja matka zawsze mi powtarzała, że ten, kto podsłuchuje pod drzwiami, zasługuje na naganę, wiedziałam, że od Reede’a niczego się nie dowiem. Z kolei Quick była akurat nieobecna, a na Lawrie’em nie można było polegać, że zrelacjonuje mi wszystko ze szczegółami.

Weszłam tylnymi schodami na następne piętro i z wahaniem spojrzałam przez dziurkę od klucza. Czułam przyspieszone bicie serca, bałam się, że któryś z nich odwróci się i mnie usłyszy. Obraz Lawrie’ego stał na sztalugach, niedaleko biurka. Miał idealnie prostokątny kształt i wibrował kolorami: cynober, lawenda, indygo, terakota, żywe zielenie.

Ku mojemu zupełnemu zaskoczeniu w jednym z głębokich skórzanych foteli siedziała Quick. Kiedyś, dawno temu, Instytut Skeltona był domem mieszkalnym – większość boazerii pozostała oryginalna – więc wyobraziłam

sobie damy z epoki króla Jerzego siedzące w tym samym miejscu, które zajmowała teraz Quick, bawiące się ze zgrają małych piesków i zastanawiające, jakież to deser można by zaserwować gościom.

Skąd Quick się tutaj wzięła? Wpatrywała się w puste palenisko, ramiona oplotła wokół ciała. Wyglądała na chorą, jakby czuła, że za chwilę wydarzy się coś strasznego. Sięgnęła do torebki i wyciągnęła papierosy, by za chwilę jednego zapalić.

– A zatem Izaak Robles – mówił Reede, wyciągając z biurka fotografię – czy słyszał pan może o nim?

– Nie – odparł Lawrie.

– Dostałem ją z Muzeum Prado w Madrycie. Uważają, że fotografia przedstawia Izaaka Roblesa w Maladze i pochodzi z tysiąc dziewięćset trzydziestego piątego albo trzydziestego szóstego roku. Nie wiemy, kim jest stojąca obok kobieta, ale zdjęcie wykonane zostało najprawdopodobniej w pracowni malarza, ona może być jego modelką.

Na tym zdjęciu Izaak wygląda podobnie jak na innych, zrobionych w Madrycie nieco wcześniej, w latach trzydziestych. Gdy wykonano tę fotografię, Izaak Robles zaczynał powoli być sławny. No, ale oczywiście najbardziej poruszył mnie obraz widoczny na sztalugach w tle, który nie jest jeszcze skończony, ale do złudzenia przypomina pańskie płótno, panie Scott.

Zapadła cisza. Lawrie siedział odwrócony do mnie plecami, więc nie mogłam dojrzeć wyrazu jego twarzy, był jednak całkiem znieruchomiały, jakby wiadomość nim wstrząsnęła.

– Co takiego? – zapytał cicho Lawrie. – Czy to możliwe?

Reede uśmiechnął się.

– Byłem pewien, że ta wiadomość mile pana zaskoczy. Na fotografii Izaak dopiero co zaczął pracować nad sylwetką lwa, ale i tak widać, że nadał mu charakter alegoryczny, nie sądzi pan?

Lawrie wziął fotografię z wyciągniętej ręki Reede'a. Ramiona miał opuszczone, a głowę pochyloną, był skupiony. Quick pozostała na swoim miejscu i obserwowała go, zaciągając się głęboko papierosem.

– Jak Muzeum Prado weszło w posiadanie tej fotografii? – spytał Lawrie.

– Nie do końca wiadomo. Ich archiwa z lat trzydziestych nie są kompletne z oczywistych względów. Możliwe, że Robles dał tę fotografię komuś na

przechowanie, kiedy wybuchła wojna. Może nie wiedzieli, co z nią zrobić, więc przekazali ją do Prado. Izaak Robles nie cieszył się sympatią kierownictwa muzeum, jego obrazy nie były w ich guście. Nikt nie chciał przyznawać się do związków z elementem niepożądanym.

– Elementem niepożądanym?

– Z tego, co wiemy, Robles obracał się w kręgach dość mocno lewicowych. A to oznacza, że mógł być politycznym agitatore. Najprawdopodobniej w Prado przyjęli fotografię i schowali ją do archiwów. Robles nie żył wystarczająco długo, żeby mieć równie bogatą drogę twórczą i dorobek artystyczny tej miary co Miró albo Picasso. Ale nawet jego wczesne dokonania pozwalają umieścić go w gronie najlepszych. Niektórzy eksperci przypuszczają, że pozostawił po sobie tak niewiele nie tylko dlatego, że wcześniej umarł, ale także z tego względu, że zniszczył bardzo dużo swoich prac. Tego rodzaju historie zawsze czynią artystę kimś niezwykłym, na tym polega jego wyjątkowość. A wracając do meritum, wierzę, że obraz, który znajduje się w pana posiadaniu, okaże się wielkim przebojem.

– Przebojem?

– Tak, zyska wielki rozgłos. Czekał całymi latami na odkrycie, nikt nie wpadł na jego trop. Najprawdopodobniej pochodzi z tysiąc dziewięćset trzydziestego szóstego roku – mówił dalej Reede. – Wielka szkoda, że nie ma ramy. Na podstawie ramy można wiele powiedzieć. Zakładam, że Robles nie byłby zbyt znany, gdyby wrócił i pracował na południu Hiszpanii. Ale jeśli ten obraz jest rzeczywiście jego autorstwa, a ja sądzę, że tak właśnie jest, to został on namalowany w rozkwicie jego możliwości twórczych, przed wybuchem wojny. Wystarczy rzucić okiem na kolorystykę, surrealistyczną narrację, żartobliwy ton. To dzieło jest naprawdę niezwykle. Teraz rozumiem, dlaczego w tamtym czasie był tak wysoko ceniony.

– Co mu się przytrafiło? – spytał Lawrie.

– Wojna, panie Scott, wojna mu się przytrafiła. Istnieje kilka hipotez odnośnie do jego dalszych losów. Zgodnie z jedną z nich Izaak Robles udał się na północ, by przyłączyć się do sił republikańskich, gdy wojska generała Franco posuwały się wolno od południa. Nigdy nie znaleziono jego grobu, ale w tamtym czasie było to na porządku dziennym. On pochodził z południa, z Andaluzji, i przez pewien czas mieszkał i pracował w Maladze, raczej bez

większych sukcesów. Jeździł do Madrytu i do Barcelony, jest tam kilka jego litografii, raczej niezbyt wysokiej klasy.

– Rozumiem.

– Ale w czasie kiedy zrobiono to zdjęcie, Robles nie był tak bardzo zaangażowany w wojnę. Malował wtedy naprawdę dobrze. Porzucił idealizm, figuratywność i zaczął malować w całkiem innej estetyce. Na kilka miesięcy przed rozłamem Hiszpanii stworzył dzieło, które wywołało prawdziwe wrzenie. Było zatytułowane *Kobiety w pszenicznym łanie*. Słyszał pan o nim?

– Nie.

Reede zawrócił w kierunku drzwi i mogłabym przysiąc, że spojrzał prosto na dziurkę od klucza. Zesztywniałam.

– Nie jest jakoś szczególnie dobrze znany, ale to wyjątkowy obraz – odezwała się Quick, a wtedy Reede się do niej odwrócił. Moje sięgające zenitu emocje stopniowo opadły.

– Dlaczego jest taki niezwykły? – spytał Lawrie.

– Przeprowadziłem małe dochodzenie – zaczął Reede, zanim jeszcze Quick zdążyła cokolwiek odpowiedzieć. – Wiemy, że Robles sprzedał *Kobiety w pszenicznym łanie* w Paryżu, mniej więcej w tym samym czasie, kiedy zrobiono to zdjęcie. Pośredniczył w tym człowiek, który nazywał się Harold Schloss.

– Rozumiem – powiedział Lawrie. Nawet przez dziurkę od klucza zdołałam zauważyć, że czuł się nieswojo.

– Dzieło na pewien czas trafiło do Nowego Jorku, a teraz wisi w galerii Peggy Guggenheim w Wenecji. Sam je tam widziałem – mówił dalej Reede – i mogę stwierdzić, że *Kobiety w pszenicznym łanie* mają bardzo wiele cech wspólnych z pańskim obrazem. Cóż za niesamowita tekstura. – Dotknął krawędzi malowidła. – Czasami myślę sobie, że Robles zostałby geniuszem, gdyby mógł dalej rozwijać swój talent.

– Dlaczego?

– Nie zawsze łatwo jest to wytłumaczyć. Otóż większości artystów często udaje się osiągnąć mistrzostwo tylko w ograniczonym zakresie, potrafią być na przykład wielkimi wizjonerami, ale technicznie malują bardzo słabo albo są w stanie stworzyć parę doskonałych, zdumiewających obrazów, a potem z jakiegoś powodu malują coraz gorzej i nie umieją wyjść z impasu. Wynika to

z tego, że malarze ci nigdy nie pobierali klasycznych lekcji rysunku i kompozycji, a potem większość z nich nie potrafi tych braków samodzielnie nadrobić. Z drugiej strony, istnieją malarze doskonale przygotowani technicznie, świetni rysownicy, którzy nie mają za grosz wyobraźni i dlatego nigdy nie stworzą żadnego zakrojonego na wielką miarę dzieła. Naprawdę bardzo rzadko można spotkać artystę, który łączy w sobie wszystkie te cechy i umiejętności. Tak było z Picassem, powinien pan zobaczyć jego wczesne prace. To oczywiście subiektywna opinia, ale uważam, że Robles też był tego rodzaju malarzem. W przypadku pańskiego obrazu jego niezwykły talent objawia się jeszcze wyraźniej niż w dziele *Kobiety w pszenicznym łanie*. Niektórzy krytycy uważają, że jego nieliczne prace mają wydźwięk polityczny, inni zaś zaliczają je do arcydzieł eskapizmu. I na tym właśnie to polega: wybitne dzieła są ciągle odczytywane na nowo i nigdy się nie starzeją. Robles też miał tę cechę. Jego sztuka wciąż oddziałuje z wielką siłą, widz nigdy się nie nudzi, odkrywa w nim ciągle coś nowego. Co więcej, nawet na poziomie najprostszej zmysłowej recepcji jego malarskie wizje są prawdziwą ucztą dla oczu bez popadania w sentymenty i banał.

– Ale przecież nie potrafi pan udowodnić, że ten obraz namalował Robles – powiedziała Quick.

Reede zmrużył oczy i spojrzał na nią.

– W tej chwili nie, Marjorie. Ale są przecież sposoby. Robles namalował także inne obrazy. Trzeba będzie je odnaleźć, zestawzić z nimi płótno pana Scotta i porównać. Pańska matka, z tego, co zrozumiałem, niedawno odeszła, panie Scott?

– Zgadza się.

– Zastanawiam się... Jak pan myśli, czy miała może jakieś kwity?

– Kwity?

– Tak, potwierdzające zakup. Na przykład nabycie obrazu.

– Nie była tego rodzaju kobietą, która przechowywałaby pokwitowania, panie Reede.

– Wielka szkoda. – Reede zamyślił się, patrząc na obraz. – Wszelkie dokumenty związane z zakupem dzieła bardzo by się przydały. Pytam o proveniencję obrazu nie tylko na wypadek, gdyby chciał go pan sprzedać, ale chociażby wystawić...

– Wystawić? – zapytała Quick.

Reede znowu spojrział na nią spod zmrużonych powiek.

– Zgadza się. Pytam o to, panie Scott, ponieważ w grę mogą wchodzić różne kwestie prawne.

– Mógłby pan doprecyzować? – poprosił Lawrie. W jego głosiewyczuwało się narastający strach.

Quick zgasiła papierosa.

– Może nie ma potrzeby teraz w to wchodzić, panie Reede. W Instytucie Skeltona nigdy nie było w zwyczaju urządzać wystawy jednego obrazu...

– Zapewne jest pan świadomy, co działo się w latach trzydziestych w Europie z wybitnymi dziełami sztuki, panie Scott – przerwał jej Reede. – Wiele z nich zaginęło. Niemcy zdejmowali je ze ścian w galeriach sztuki, zabierali z prywatnych domów...

– Ten obraz nie został skradziony – powiedział Lawrie.

– Mówi pan o tym z taką pewnością...

– Bo jestem tego pewien. Moja matka nigdy by niczego nie ukradła.

– Ja wcale nie sugeruję, że to zrobiła. Ale przecież mogła kupić skradziony obraz. Robles był Hiszpanem, o ile nam wiadomo, pracował wyłącznie w Hiszpanii, chociaż jego obrazy były sprzedawane w Paryżu.

Czy pana matka miała jakieś związki z Hiszpanią?

– Nie mam na ten temat wiedzy.

– Cóż. Są różne hipotezy. Dzieła sztuki wędrowały dość swobodnie po Europie w tamtych czasach. Harold Schloss był znanym wiedeńskim marszandem specjalizującym się w malarstwie z początku dwudziestego wieku. Skoro to on sprzedał *Kobiety w pszenicznym łanie*, mamy prawo założyć, że również inne dzieła Roblesa mogły przechodzić przez jego ręce. Schloss miał galerię w Paryżu, więc niewykluczone, że pański obraz trafił do niego mniej więcej w tym czasie.

– Z Hiszpanii do Paryża?

– Prawdopodobnie. W tym czasie Robles już wrócił do Malagi, więc może Harold Schloss odwiedził go właśnie tam. Handlarze sztuki potrafią dotrzeć wszędzie, jeśli tylko zwęszą, że ktoś ma talent.

– To wszystko tylko domysły, panie Scott – mruknęła Quick. – Jedna z możliwych interpretacji zdarzeń...

– Wielu właścicieli galerii w Paryżu było żydowskiego pochodzenia – ciągnął Reede. – Nie znam dokładnie losów Schlossa, musielibyśmy to jeszcze zbadać, ale w tysiąc dziewięćset czterdziestym drugim, kiedy naziści okupowali Paryż, zlikwidowali całą masę takich biznesów, a właścicieli internowali przed wysłaniem ich do... cóż, obozów koncentracyjnych. Wielu obrazów nigdy nie odzyskano. Inne zostały ukryte, by pojawić się po latach w różnych dziwnych miejscach. Mogły to być na przykład sklepy ze starzyzną. Walizki. Stare tunele kolejowe. Pchle targi.

Zapadła cisza. Stałam za drzwiami i starałam się nie oddychać.

– Jezus Maria – powiedział Lawrie.

– Po wojnie wzięci do niewoli Niemcy twierdzili, że sporo dzieł po prostu spalili. To oczywiście bzdury. Ukradli zbyt wiele, żeby móc to potem wszystko unicestwić. I doskonale wiedzieli, co robią. Zdawali sobie świetnie sprawę z wartości malowideł, nawet jeśli twierdzili, że nie przystają one do nowej estetyki Rzeszy.

– Jak pan myśli, co się stało z Haroldem Schlossem? – spytał Lawrie.

Reede wyglądał na poirytowanego.

– Tak jak powiedziałem, będę musiał bliżej się temu przyjrzeć.

– Ten obraz nie został skradziony – powtórzył Lawrie.

– Tego nie można być pewnym, przynajmniej nie na tym etapie. W pierwszej połowie dwudziestego wieku na rynku sztuki panował prawdziwy chaos i wciąż jeszcze odzyskujemy różne dzieła. Sztuka zawsze była wykorzystywana do rozmaitych celów, nie tylko dla przyjemności. Posługiwano się nią dla wywarcia presji politycznej albo handlowano nią dla chleba.

– Rozumiem. – Lawrie przecesał palcami włosy.

– Prowadzę rozmowy z przedstawicielem Fundacji Guggenheima, który powinien być bardzo pomocny w kwestii ustalenia, jakie dokumenty dotyczące Izaaka Roblesa są w ich posiadaniu, rzecz jasna o ile takowe w ogóle mają. Mogłyby one rzucić więcej światła na nasz obraz.

Lawrie wolno wypuścił powietrze z płuc.

– Dziękuję, pomyślę – powiedział. Podszedł do sztalug, żeby zdjąć z nich obraz, ale Reede wyciągnął rękę, by go powstrzymać.

– Nie sądzi pan, panie Scott, wzięwszy wszystko pod uwagę, że obraz

będzie bezpieczniejszy tutaj? Mamy stróży nocnych i system alarmowy. Boję się, że w Surrey...

– Kryminalnej stolicy świata?

W tym momencie wtrąciła się Quick:

– Czy zawiadomienie o śmierci pana matki pojawiło się w gazetach?

– Tak.

To mnie zdziwiło, bo jacy ludzie zawiadamiają w gazetach, że ktoś zmarł?

– Właśnie tego rodzaju informacje przyciągają złodziei dzieł sztuki – powiedział Reede. – Rabusie sądzą, że zmarła osoba była w posiadaniu jakichś cennych rzeczy i kombinują, jak je buchnąć. – Słowo „buchnąć” w ustach Reede’a zwróciło moją uwagę. Gdyby wyraziła się tak Pamela, nie byłabym zdziwiona. – Wiem, że to, co mówię, brzmi trochę jak nie z tego świata, ale mimo to proszę nam pozwolić zaopiekować się pańskim obrazem. U nas będzie bezpieczniejszy.

Reede był naprawdę sprytny – uprzejmy, ale stanowczy, autorytarny, a jednocześnie gotowy do ustępstw – wszystko w jednym.

– Dobrze – zgodził się Lawrie. – Może tu zostać jeszcze przez pewien czas.

– Bardzo panu dziękuję. Naprawdę. Dam znać, jak tylko czegoś nowego się dowiem. Cieszę się, że powierzył pan tę sprawę właśnie Instytutowi Skeltona.

– Czy mógłbym zatrzymać to zdjęcie? – zapytał Lawrie, trzymając w ręku sfatygowaną fotografię.

Reede wyglądał na zaskoczonego.

– Zatrzymać? – powtórzył.

– Do czasu naszego ponownego spotkania. Chciałbym mu się bliżej przyjrzeć.

– Marjorie poprosi pannę Rudge albo pannę Bastien, żeby zrobiły dla pana kserokopię.

Na dźwięk mojego nazwiska ciarki przeszły mi po plecach. Przeraziłam się, co będzie, jak Reede zobaczy, że stoję pod drzwiami. A mimo to nie mogłam stamtąd odejść.

– Jestem pewien, że ta fotografia jest oryginalna, panie Scott – powiedział Reede – i dlatego nie mogę jej panu udostępnić. Marjorie, dobrze się czujesz?

Quick aż podskoczyła.

– Co pan powiedział?

– P r o s i ł e m, żebyś poleciała którejś z dziewcząt, żeby zrobiła panu Scottowi kserokopię tego zdjęcia.

Quick podniosła się i wzięła od Lawrie'ego fotografię. Trzymała ją czubkami palców, nawet na nią nie spojrzała. Odskokczyłam od dziurki od klucza i tak prędko, jak umiałam, zaczęłam się oddalać w głąb korytarza.

Ale nie byłam wystarczająco szybka.

– Odelle? – Quick mówiła niskim, cichym głosem. Zatrzymałam się i odwróciłam, z ulgą odnotowując, że zamknęła za sobą drzwi. – Chodź tutaj – powiedziała.

Zbliżyłam się do niej, zawstydzona.

– Podśłuchiwałaś? – spytała. Ponieważ zauważyłam w jej oczach błysk rozbawienia, nie widziałam powodu, żeby kłamać. W końcu przyłapała mnie, jak chyłkiem starałam się oddalić pustym korytarzem.

– Przepraszam. Proszę, niech pani...

– Podobno nie wypada zaglądać do pokoiów przez dziurki od klucza.

– Tak, wiem.

Spojrzała na fotografię, którą trzymała w ręku i znieruchomiała.

– Myślisz, że miał talent? – zapytała.

– Tak uważam. Wierzy pani, że ten obraz rzeczywiście namalował Izaak Robles?

Wcisnęła mi fotografię do rąk.

– Skoro Reede tak twierdzi, to musi być prawda. W końcu to on jest ekspertem. A poza tym wygląda na to, że nasz obraz jest tym samym, który widać na fotografii. A ty co o tym myślisz?

– Ja nie jestem ekspertem.

– Niepotrzebny mi żaden cholerny ekspert, Odelle. Chcę się tylko dowiedzieć, czy obraz ci się podoba. To nie jest żaden test.

Wyglądała na wyczerpaną, zauważyłam, że drżą jej lekko ręce.

– Ten obraz wytrąca mnie z równowagi.

Quick oparła się o ścianę.

– Mnie też. Burzy mój spokój.

– Ale jest piękny.

– Temat obrazu jest bardzo złożony i tylko z pozoru niewinny.

– Co pani przez to rozumie?

– Nie mogę oprzeć się wrażeniu, że ten obraz kryje w sobie dodatkowe treści, do których nie mamy dostępu. Nie możemy się do nich dostać, wiemy tylko, że tam są.

Przyjrzałam się uważnie fotografii. Była czarno-biała, pomięta, lekko ubrudzona, z wyraźną plamą w lewym dolnym rogu. Wyglądała tak, jakby wiele przeszła. A jednak postaci uchwycone na zdjęciu były dosyć wyraźne: mężczyzna i kobieta stojący przed dużym, na wpół ukończonym płótnem. Wnętrze przypominało warsztat. Mężczyzna zidentyfikowany jako Robles nie miał na sobie marynarki, a rękawy jego koszuli były zrolowane. Z ust wystawał mu papieros. Nie uśmiechał i patrzył prosto na fotografa. Miał gęste, lekko kręcone włosy i ciemne brwi, szczupłą twarz, przyjemnie uwypuklone kości policzkowe i mocne, krępe ciało. Nawet w tej wyjętej z minionego czasu chwili jego oczy przykuwały uwagę, a spojrzenie było bardzo zdecydowane. Trzymał w ręku paletę pokrytą najróżniejszymi pigmentami. Jego ciało zwrócone było w kierunku aparatu. Mężczyzna wydawał się butny, pewny siebie i wyzywający.

Kobieta po jego prawej stronie wyglądała na szczęśliwą. Miała szczery, naturalny wyraz twarzy – w rzeczywistości najprawdopodobniej była jeszcze nastolatką, ale na tych starych fotografiach dziewczęta zawsze wyglądają nad wiek poważnie. Tak naprawdę kobieta widoczna na zdjęciu śmiała się – dlatego prawie nie było widać jej mocno zmrużonych oczu. Była radosna i swobodna, a to zawsze sprawia, że nawet osoba o przeciętnej urodzie wydaje się piękna. Jej przylegające do głowy włosy były ufryzowane w drobne fale w stylu lat trzydziestych, ale wymykały się spod kontroli, jakby nie zależało jej na dopieszczonym wyglądzie. Kobieta wskazywała na obraz i trzymała w ręku pędzel.

– Kim ona jest? – zapytałam.

Quick zamknęła oczy.

– Może jego muzą. Albo po prostu modelką.

– On wygląda jak Paul Newman, tyle że o urodzie południowca – powiedziałam, na co Quick zareagowała śmiechem.

Fotografia mną wstrząsnęła. Opowiadała jakąś niesamowitą historię. Odwróciłam zdjęcie i z drugiej strony, pośród licznych śladów upływającego czasu, w dolnym lewym rogu dostrzegłam ręcznie napisane dwie litery: „O” i

„I”

– Widziała to pani? Co oznaczają te dwie litery? – zapytałam. – Czy „I” to Izaak?

Ale Quick nagle straciła ochotę do dalszych spekulacji.

– Niech pani wreszcie przestanie tu tkwić i wpatrywać się w tę fotografię, panno Bastien. Nie mamy zbyt wiele czasu. Proszę pójść i skopiować ją dla pana Scotta. No już.

Trzy dni później Quick zaprosiła mnie do swojego domu. Wcześniej mimochodem wspomniałam, że niedługo są moje urodziny i po jakimś czasie na biurku znalazłam karteczkę z zaproszeniem na lunch w najbliższą sobotę. Byłam naprawdę podekscytowana. Z reguły pracodawcy i pracownicy nie utrzymywali kontaktów na gruncie prywatnym, ale moja ciekawość przeważała i usunęła w cień wszystkie ewentualne wątpliwości. Nikomu nie powiedziałam, że wybieram się na to spotkanie.

Moje buty stuknęły po chodniku, a ja coraz bardziej liczyłam na przeżycie czegoś niezwykłego. Lato dobiegało końca, Londyn tonął w spalinach, na bruku walały się niedopałki papierosów, niebo pokrywały pierzaste chmury. W tym czasie byłam już w pełni przygotowana na odbiór otaczającej mnie londyńskiej rzeczywistości – tej naznaczonej postępowaniem i tej bardziej prząsnej – i wszechobecnych nierówności widocznych choćby w sposobie zabudowy dzielnic mieszkalnych. Numeryczne oznaczenia kwartałów, cegła, różane krzewy – albo nic, zero zieleni, skrobaczka do butów, wysokość stopni od frontu domu lub ich brak – to był język, który zdążyłam opanować. Nie można było tutaj żyć i nie zauważyć kontrastów – miejsc, gdzie drogi biegły w sposób uporządkowany, i takich, które cechował komunikacyjny chaos; tu pokryty parchem pies wylegujący się przy rynsztoku i obdarte dzieciaki, gdzie indziej schludnie uformowany żywopłot i łopocąca na wietrze firanka. W Londynie życie toczyło się na wiele różnych sposobów, ale mało z nich dawało szansę na zmianę na lepsze.

Wojenne bombardowania sprawiły, że zabudowa wielu dróg nie była jednorodna i prezentowała się niekiedy dosyć osobliwie. Również długa ulica, przy której mieszkała Quick, stanowiła znajomą mieszankę różnych stylów – u jej wlotu stało kilka okazałych zachowanych wiktoriańskich domów, nieco dalej ciągnął się rząd edwardiańskich szeregowców, a potem nagle pojawiał się przysadzisty blok mieszkalny, wzniesiony w latach pięćdziesiątych, z szerokimi białymi balkonami, ścianami z betonu i marnie rosnącym bluszczem, który ktoś zasadził w nadziei, że będzie zielono, ale pnącza zdołały dotrzeć zaledwie do wysokości okien pierwszego piętra. Quick mieszkała jeszcze kawałek dalej, na skraju Wimbledon Common.

Stałam przed jej domem. Był to niski budynek w stylu georgiańskim,

pomalowany na jasnoniebieski kolor. Wystarczyło przymknąć oczy i oto we wnętrzu niepostrzeżenie pojawiała się kobieta w muślinowej sukni i wiązonym pod brodą kapeluszu z daszkiem. Po co ta Quick w ogóle jeździ do pracy, skoro mieszka w takim domu? – pomyślałam. Przyszło mi do głowy, że Cynth pewnie bardzo by się to miejsce spodobało, ale mało prawdopodobne, że kiedykolwiek ten georgiański dom zobaczy. Zastukałam miedzianą kołatką – starą, spatynowaną – i czekałam. Nikt się jednak nie pojawił. Wszędzie wokół panoszyło się kapryfolium, które oplatało również drzwi wejściowe. Ze środka dobiegała muzyka klasyczna – dźwięki fortepianu, z początku proste, a potem coraz bardziej złożone, w miarę jak utwór się rozwijał.

Zastanawiałam się, czy plecy paliły mnie dlatego, że rzeczywiście obserwowały mnie czyjeś oczy, czy może była to tylko moja niespokojna wyobraźnia. Nigdy wcześniej nie odwiedziłam domu żadnej białej osoby, nawet Lawrie'ego. Ulicę, na której się znajdowałam, można by określić jako... bardzo białą.

Odsunięty rygiel odskoczył, drzwi się otworzyły i w prostokątnym półmroku stanęła przede mną Quick. Znajome, srebrzystego koloru krótkie włosy i jasne źrenice, które zwężyły się w słońcu. Wydawała się jeszcze drobniejsza niż w pracy.

– Przyszłaś jednak – powiedziała. A mnie nawet przez moment nie wpadło do głowy, że mogłabym nie przyjść. Dźwięki fortepianu były teraz znacznie głośniejsze, niosły się po domu niczym uwertura do naszego *pas de deux*.

Quick gestem ręki zaprosiła mnie do środka. Dom był odsunięty od ulicy i sięgał daleko w głąb działki. Na końcu długiego korytarza w tle widać było ogród, liście poruszane lekkim wiatrem i sylwetkę kota zastygłego w bezruchu, kształtem przypominającego wazę.

– Pójdziemy do ogrodu? – zapytała Quick, chociaż właściwie trudno to było uznać za pytanie, ponieważ gospodyni zdecydowanym krokiem ruszyła właśnie w tamtą stronę. Szła ostrożnie, jak gdyby nie do końca ufała własnym nogom. Przemierzając hol, popatrzyłam w lewo, skąd rozciągał się widok na salon. Przez krótką chwilę zdążyłam zobaczyć błyszczącą drewnianą podłogę ułożoną z desek, wielkie dywany, rośliny w donicach i pianino. Gdziekolwiek spojrzałam, czy to do pokoju, czy na korytarz, wszędzie widziałam pomalowane na biało puste ściany, bez obrazów.

Wszystko tutaj wyglądało zdecydowanie nieangielsko – pod stopami nie było solidnych wiktoriańskich kafelków, a na ścianach wytłaczanych tapet, gzymsów, drewnianych boazerii. Za to zauważyłam półki wypełnione książkami i nabrałam wielkiej ochoty, by do nich zajrzeć. Z prawej strony były schody. Wątpiłam, by kiedykolwiek było mi dane sprawdzić, dokąd biegną. Nieco dalej, po lewej, gdy szliśmy w kierunku kwadratowego prześwitu, z korytarzem łączył się kolejny pokój. Wewnątrz stało biurko, a na nim nakręcany gramofon – to z niego ulatywały ostatnie nuty klasycznego utworu. Pomyślałam, że Quick jest trochę staroświecka, skoro odtwarza muzykę z gramofonu.

Kiedy dotarliśmy do kuchni i otwartych drzwi ogrodowych, Quick się zatrzymała. Kot czmychnął w zarośla, gdzie się usadowił i pilnie obserwował mnie spomiędzy liści parą jasnożółtych oczu.

– Lunch – ogłosiła Quick. Na stole czekała wielka taca. Na niej były koszyk wypełniony bułeczkami, intensywnie żółty ser, uduka kurczaka na zimno, wieprzowina zapiekana w cieście, a na obrzeżach obfitość czerwonych pomidorków, jędrnych i soczystych. Wszystko wyglądało naprawdę smacznie, co też powiedziałam.

– Same proste rzeczy – stwierdziła Quick.

Zaproponowałam, że zaniosę tacę do ogrodu.

– Nie trzeba – powiedziała, po czym jednak częściowo uległa: – Ale może mogłabyś wynieść to? – wskazała na wielki gliniany dzban z wodą i dwie szklanki. Wzięłam naczynia i podążyłam za idącą sztywnym krokiem Quick. – Może podać coś mocniejszego? – rzuciła przez ramię i tym razem faktycznie było to pytanie, ale odmówiłam.

Jej ogród nie był duży, lecz rosło w nim mnóstwo drzew i krzewów, a także różowe malwy i więcej kapryfolium, które aż huczało od pszczół. Niewielki zakątek w głębi ogrodu w ogóle nie był uprawiany i pozostawał w stanie dzikim. Z oddali dobiegało bicie dzwonu – dwanaście złowieszczych uderzeń, które przytrzymały czas, zanim ten znowu zdołał się wywinąć.

Ogród cały się poruszał, uprawiany w drgnienia lekkimi podmuchami wiatru. Quick postawiła tacę na kamiennym stole, od strony drogi dał się słyszeć ryk silnika samochodu.

– Usiądź sobie – powiedziała Quick, wskazując jeden z trzech leżaków. Były

już stare i mocno wysłużone. Zastosowałam się do jej życzenia.

Quick, zachowując ostrożność, również opadła na jeden z leżaków, a następnie wolnym ruchem wyciągnęła na trawie najpierw jedną nogę, a potem drugą. Zrzuciła aksamitne pantofle, ukazując drobne opalone nagie stopy. Gdy zobaczyłam jej dziesięć wyswobodzonych palców u nóg, poczułam się skrępowana w swoich butach o wydłużonych noskach, łódkowatym toczku na głowie i gładkiej zielonej sukience. Quick nasunęła na oczy okulary przeciwsłoneczne. Nie mogłam już dojrzeć wyrazu jej twarzy.

– Bywają dni takie jak ten – powiedziała – które mogłyby trwać wiecznie. – Nalała każdej z nas po szklance wody, zmagając się przez chwilę z ciężarem małego poręcznego dzbana. Opróżniła swoją szklanekę, kończąc picie głośnym cmoknięciem. – Proszę cię, jedz – powiedziała. W swoim własnym otoczeniu wydawała się znacznie bardziej zrelaksowana. Zniknął wyraz udręczenia, jaki malował się na jej twarzy w gabinecie Reede’a, a nawet wytworna rezerwa, którą czasami miała dla mnie i dla Pameli. Nałożyłam sobie porcję wieprzowiny zapiekanej w cieście i zaczęłam ją jeść razem z bułką. Zapiekanka była naprawdę dobra, ciasto samo rozpływało się w ustach, a wieprzowina odznaczała się bogatym, esencjonalnym smakiem.

– Mam nadzieję, że nie obciążamy cię nadmiernie pracą w biurze – odezwała się Quick.

– Ależ nie – odparłam. – Ze wszystkim dam sobie radę.

– To dobrze. A jak się miewa twoja zameężna przyjaciółka?

Spojrzałam na Quick i ze smutkiem pomyślałam, że chyba umie czytać w myślach.

– W porządku, dziękuję. Przeprowadziła się wraz z mężem do Queen’s Park.

– Nie czujesz się samotna?

– Nie.

– Pisziesz coś?

– Trochę.

– Mogłabym to przeczytać?

– P r z e c z y t a ć?

– Co w tym dziwnego, zazwyczaj czyta się to, co ktoś napisał, prawda? –

Wyglądała na rozbawioną.

– Ja nie...

- Byłabym naprawdę zaszczyczona, gdybyś zechciała pokazać mi swój tekst.
- Nie jest zbyt dobry – powiedziałam.

Quick skrzywiła się.

- Czy to ważne, co ty myślisz na temat własnego tekstu?
- Naturalnie, że tak.
- Dlaczego?

– Cóż... ponieważ... ponieważ powinnam być krytyczna w stosunku do tego, co piszę i starać się robić to lepiej.

– No tak, to oczywiste. Ale przecież w twoim przypadku pisanie jest czymś równie naturalnym jak oddychanie.

– W pewnym sensie tak. A jednak muszę wciąż poprawiać i szlifować swoje teksty – powiedziałam, podnosząc głos. – Każdy autor tak robi.

– Ale ty po prostu bierzesz pióro do ręki i piszesz bez specjalnych przygotowań.

– Chyba tak.

– A czy szcycisz się tym, że oddychasz? Rozpływasz się nad tym w uniesieniu?

– Ale pisanie to ja. Ono mnie definiuje. Dlatego jeśli to, co piszę, nie jest dobre, to ja sama również nie.

Quick utkwiała we mnie wzrok.

– Chcesz powiedzieć, że nie jesteś wtedy wartościową osobą?

– Tak.

– Och, nie. Nie podchodź do tego w ten sposób, Odelle, nie możesz traktować pisania jako miary własnego człowieczeństwa. Nie myśl, że jak napiszesz świetny akapit, to nad twoją głową pojawi się od razu złota aureola. Ty nie istniejesz w tekście, gdy czyta go ktoś inny. To, co piszesz, funkcjonuje zupełnie niezależnie od ciebie. Nie pozwól, żeby twój talent ciągnął cię w dół, nie pozwól, by stał się kulą u nogi. – Quick zapaliła papierosa. – Gdy coś jest oceniane jako „dobre”, wówczas przyciąga uwagę ludzi, a potem nierzadko kończy się to unicestwieniem twórcy. Znam takie przypadki. Dlatego twoja własna opinia, czy coś jest „dobre”, czy nie, powinna być całkowicie nieistotna, jeśli chcesz dalej tworzyć. To na pewno jest trudne, ale tak właśnie to wygląda. No i oczywiście to, co ja sądzę o twoim tekście, również jest bez znaczenia. Może nawet w jeszcze większym stopniu. Myślę, że

za bardzo się przejmujesz.

Milczałam. Czułam się tak, jakby ktoś mnie zastrzelił.

– Chciałabyś opublikować to, co piszesz, Odelle? – ciągnęła Quick, jakbyśmy rozmawiały o czymś tak mało istotnym jak rozkład jazdy pociągów.

Wbiłam czubki butów w trawę i zaczęłam się w nie intensywnie wpatrywać.

– Tak.

Ku mojemu zaskoczeniu moja szczerłość również wywołała podobne milczenie, moment zawieszenia. Zawsze chciałam opublikować swoje teksty, właściwie był to jedyny cel, do którego uparcie dążyłam.

– A czy marzysz również o tym, by któregoś dnia wyjść za mąż? – zapytała.

– Mieć dzieci?

To był kolejny unik ze strony Quick, ale ja zdążyłam się już przyzwyczaić do jej *staccato*, przeskakiwania z jednego tematu na drugi.

Podczas rozmowy z Quick często odnosiło się wrażenie, że prawdziwy dyskurs toczy się niejako pod powierzchnią słów – i słyszy go tylko ona. Już wizja mnie w charakterze żony wydawała mi się czymś dziwnym, ale myśl o byciu matką była mi zupełnie obca. Ponieważ jednak ludzki umysł jest dość plastyczny, przywołałam postać Lawrie’ego i przeniosłam się, nieco przedwcześnie, w odległą przyszłość.

– Może któregoś dnia... – powiedziałam.

– Jedyne problem w tym, że dzieci dorastają. Ale może w twoim wypadku to akurat pozytywne zjawisko. One zajmą się sobą, a ty będziesz mogła zająć się słowami.

– A nie mogę zajmować się jednym i drugim?

– Nie umiem ci powiedzieć, bo sama nigdy tego nie próbowałam.

Pomyślałam o domu, który przylegał do tego ogrodu. Żadnych śladów rodziny, dzieci czy jakichkolwiek innych relacji. Próbowałam wyobrazić sobie Quick jako dziecko i nie potrafiłam tego zrobić. Była zbyt wyrafinowana i niezwykła, żeby kiedykolwiek istnieć w tak zwyczajnej postaci.

Quick umieściła papierosa w popielniczce. Poprawiła okulary przeciwsłoneczne i nabiła na widelec pomidorka z taką precyzją, że ze środka nie wystrzeliło nawet ziarenko. Następnie wsunęła go do ust i zjadła.

– Pan Scott przyniósł swój obraz do Instytutu Skeltona za twoją namową,

prawda? – powiedziała.

Jej słowa przyprawiły mnie o skurcz żołądka.

– Ja... Dlaczego?... Ja...

– Nie denerwuj się, Odelle. Przecież nie zrobiłaś nic złego.

– On nie zrobił tego... z mojego powodu. On kierował się... reputacją Instytutu. On...

– Odelle – przerwała mi zdecydowanym głosem Quick. – Widziałam, jak całowaliście się w recepcji.

– Bardzo przepraszam. Nie powinniśmy... Nie chcę...

– Och, nie przejmuj się. Jesteś szczęśliwa?

Zastanowiłam się nad odpowiedzią.

– Tak.

– Po prostu uważaj na niego.

Odchyliłam się na krześle, do głębi poruszona tą poradą.

– Czy pani... czy pani go zna?

Quick zapaliła kolejnego papierosa i tak mocno zacisnęła palce na zapalniczce, że jej kłykcie zrobiły się zupełnie białe. Wydmuchiwała niebieskawy dym.

– Nie, nie znam go. Po prostu czuję się za ciebie odpowiedzialna. Taka moja rola. To ja cię zatrudniłam, wysoko oceniam i chciałabym, żeby dobrze ci się wszystko ułożyło. Mężczyźni nie zawsze... No cóż... Po prostu nigdy nie rób czegoś, do czego nie jesteś w pełni przekonana.

Uświadomiłam sobie wtedy, że Quick nie jest typem osoby, która pozwoliłaby się zranić. Tak naprawdę zrobiłaby wszystko, żeby do tego nie dopuścić.

– Nie zamierzam.

Odniosłam wrażenie, że Quick mnie napomina. Ten nagły przejaw surowości zwarzył miłą atmosferę panującą w ogrodzie i chyba nawet pszczoły to odczuły, bo ucichły.

– On nie jest taki.

Quick westchnęła. Wydawało mi się, że moje kości są ciężkie jak ołów. Ale przecież nie na tyle ciężkie, żebym nie mogła wstać, podziękować za porcję zapiekanki i kawałek bułki – jedyne rzeczy, które zdołałam wtedy przełknąć – a potem przejść chłodnym pustym korytarzem i wrócić do życia, do Lawrie’ego,

do Cynth, do przyszłości... I już nigdy więcej nie rozmawiać z Quick na tematy osobiste. Być może wszystko okazałoby się znacznie prostsze, gdybym wówczas zdecydowała się wyjść.

– Czy powiedział ci cokolwiek na temat obrazu? – kontynuowała Quick.

– Tylko tyle, że przypisanie obrazu Izaakowi Roblesowi bardzo go cieszy – powiedziałam ze smutkiem.

– Ale nigdy wcześniej nie słyszał nic o tym malarzu?

– Nie.

Quick sprawiała wrażenie zamyślonej.

– Jak sądzisz, dlaczego chciał mieć kopię tej fotografii?

– Nie mam pojęcia – odparłam, starając się ze wszystkich sił ukryć narastającą irytację. – Przypuszczam, że chciał się jej dokładniej przyjrzeć. Poskładać wszystko w jakąś całość.

– Odelle, czy pan Scott zdaje sobie sprawę, że pan Reede chciałby, żeby ten obraz okazał się wielką sensacją? Nie tylko ze względu na Instytut, ale także na osobisty prestiż. Mówił o możliwości zorganizowania wystawy. Czy pan Scott rzeczywiście by tego chciał?

– Nie wiem, czego by chciał. Ale z całą pewnością wystawa może przynieść wiele dobrego.

– Ludzie tacy jak Edmund Reede są prawdziwymi sztukmistrzami. Umieją wszystko tak opakować, że to, co posiadają, zyskuje na wartości. Chodzi mi o to, Odelle, żebyś postarała się uświadomić panu Scottowi, na co faktycznie patrzy. Nie pozwól, aby Reede odebrał mu jego własność.

– Ale ja sądziłam, że pani zgodziła się z panem Reede’em odnośnie do przechowywania obrazu w Instytucie, dla większego bezpieczeństwa.

– Tylko do czasu podjęcia przez pana Scotta ostatecznej decyzji. – Quick zaciągnęła się mocno papierosem i zapatrzyła na malwy. – Na miejscu pana Scotta zatrzymałabym obraz. Zatrzymałabym go dla siebie i cieszyłabym się nim. Tak przecież postąpiła jego matka, a on powinien zrobić to samo.

– Ale jeśli ten obraz jest naprawdę ważny, mógłby go sprzedać i wykorzystać uzyskane w ten sposób pieniądze. Jest w trudnej sytuacji.

Quick obróciła się w moją stronę.

– A więc jednak chce sprzedać ten obraz. Ma kłopoty finansowe.

– Nie znam szczegółów. Ale z całą pewnością obraz mógłby okazać się

użyteczny. Gdyby zorganizowano wystawę, ogłaszając, dajmy na to, że odnaleziono dawno zaginione dzieło, jestem pewna, że zyskałaby rozgłos. Lawrie'ego można by włączyć w jej zorganizowanie. On jest bardzo bystry. Entuzjastycznie nastawiony. Ludzie go lubią.

– Nie jesteś jego matką.

– A pani moją.

Słowa te wyfrunęły mi z ust, zanim zdążyłam je powstrzymać. Quick skrzywiła się. Byłam przerażona tym, co powiedziałam.

– Przepraszam – powiedziałam. – Naprawdę nie chciałam...

– Nie... Masz rację – powiedziała Quick. – Masz całkowitą rację. Pewnie myślisz, że niepotrzebnie się wtrącam.

– Nie chciałam tego powiedzieć... Ja tylko próbuję mu pomóc.

– To nieprawda, że pan Scott jest w trudnej sytuacji – powiedziała Quick. – Jestem przekonana, że stać go na wiele. Jego byt nie zależy od tego obrazu. Powinien zabrać go do domu i cieszyć się nim, tym, co ma mu do zaoferowania. To bardzo dobry obraz... wręcz d o s k o n a ł y. Namalowany dla prywatnej przyjemności oglądania go.

– A czy nie byłoby lepiej, gdyby mogło go oglądać więcej ludzi? – zapytałam. – Czy nie na tym polega etos takich miejsc jak Instytut Skeltona? Wielkie dzieło powinno być udostępniane innym.

– Tak byłoby sprawiedliwie. Ale, jak powiedział Reede, w tej chwili nie wiemy zbyt wiele na temat tego płótna. Musimy postępować ostrożnie. Takie obrazy jak ten nie trafiają się ot tak, Odelle. Ludzie zawsze mają coś do ukrycia. Wsłuchaj się w to, czego pan Scott nie mówi.

– Lawrie jest uczciwym człowiekiem – powiedziałam, znów podnosząc głos.

– Naturalnie, że tak – zgodziła się Quick, jej głos jednak również był nabrzmiął emocjami. – Oczywiście, że jest uczciwy. Ale przecież można być uczciwym i wciąż nie ujawniać wszystkiego. A jeśli on coś ukrywa, mogłoby to narazić reputację Instytutu na szwank.

Quick podniosła się z leżaka i wolno poszła w stronę domu. Ja zostałam na miejscu, oszołomiona, niezdolna do jasnego myślenia. Co się tutaj rozgrywało? Pszczoły znów zaczęły brzęczeć, przelatując z kwiatka na kwiatek. Niebo w górze było teraz zupełnie bezchmurne.

Nagle wszystko zdawało się na powrót tętnić życiem, wibrować, zielone

liście przybierały złotawy odcień i układały się w psychodeliczny wzór, w miarę jak służywało na nie słońce.

Przez jedną szaloną chwilę przeszło mi przez myśl, że może Quick poszła do domu po rewolwer. Wymierzy go we mnie i zażąda odpowiedzi, których ja nie będę potrafiła udzielić. W trakcie naszego krótkiego spotkania coś się nagle zmieniło, w powietrzu pojawiła się jakaś inna energia, równie trudna do uchwycenia jak światło przenikające przez liście. Ale kiedy Quick wróciła, trzymała w rękach piękny oprawny w skórę notes formatu octavo.

– Kupiłam go dla ciebie – powiedziała, wręczając mi prezent.

Chce mi się śmiać, gdy przypominam sobie teraz tę scenę – wprawdzie nie była to broń, ale Quick w pełni świadomie posłużyła się notesem w tym charakterze.

– Dla mnie? – zapytałam.

– To tylko skromny prezent, podziękowanie za świetne wywiązywanie się ze swoich obowiązków. Bardzo się cieszę, że cię znaleźliśmy, Odelle. A właściwie, że ty znalazłaś nas. Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin!

Wzięłam od niej notatnik – robiony ręcznie, z okładką z grubej, matowo wykończonej cielęcej skóry, w zielonym odcieniu. Kartki miały kremową barwę. Był to prawdziwy Stradivarius wśród notesów w porównaniu z tandetnymi terminarzami, które kupowałam u Woolwortha.

– Dziękuję. To bardzo miło z pani strony.

Gdzieś daleko, za płotem zgrzyt kosiarki przerodził się w wycie, krzyknęło też dziecko.

– Cóż – powiedziała pojednawczo Quick. – Jak to mówią: „Nigdy nie wiadomo, kiedy spłynie na nas natchnienie”

W niedzielę siedziałam ze swoim nowym notatnikiem od Quick i rozmyślałam o naszej rozmowie w ogrodzie. Jak w przypadku większości artystów wszystko, co tworzyłam, odnosiłam zawsze do siebie – i z tego też powodu bardzo cierpiałam lub byłam w euforii, zależnie od tego, jak oceniano moją pracę. Myśl podsunięta mi przez Quick – że wartość osoby nie wynika wyłącznie z jej dorobku – była dla mnie absolutnie odkrywczą. Wcześniej jakoś nie zdawałam sobie z tego sprawy.

Czy to odkrycie mogłoby wpłynąć na moją pracę? Pewnie tak.

A jednak miałam nieodparte wrażenie, że sama zabrnęłam zbyt daleko w przeciwnym kierunku i coś powinnam zmienić. Zawsze, odkąd tylko nauczyłam się pisać, starałam się sprawiać innym przyjemność, bo w ten sposób zyskiwałam poklask i uznanie, co dla mnie było jednoznaczne z odnoszeniem sukcesów. Ale w ten sposób coś w gruncie rzeczy traciłam. Moje pisanie stało się punktem odniesienia dla wszystkiego innego – decydowało o mojej tożsamości i szczęściu. Stało się aktem obliczonym na zewnętrzny efekt, świadomą kreacją. Wciąż proszono mnie, bym sprawiała ludziom przyjemność, a ja robiłam to tyle razy, że w końcu kopie zyskały status autentyków.

Wiersz, który napisałam na ślub Cynthii, był doskonałym przykładem traktowania twórczości jako zobowiązania wobec innych. Tak długo pisałam rozmaite rzeczy, żeby zyskać cudzą akceptację, że zupełnie zapomniałam, co było tym pierwszym impulsem, który skłonił mnie do chwycenia za pióro: chodziło o beztroski, czysty akt tworzenia, który nie mieści się w kategoriach sukcesu i porażki. Tymczasem presja, aby pisać „dobrze”, zaczęła mnie paraliżować na tyle, że zaczęłam wątpić, czy w ogóle dam jeszcze radę tworzyć.

Dlatego przyznanie się Quick, że zależy mi na publikowaniu własnych tekstów, nie było dla mnie proste. Tego rodzaju komunikat oznaczał, przynajmniej w pewnym stopniu, że chcę być traktowana poważnie. A tu proszę, ona mówi mi: „Cóż, może okaże się, że jesteś wyjątkowa, a może nie – ale tak naprawdę nie ma to większego znaczenia, a już z pewnością nie powinno wpływać na to, czy masz pisać. Więc przestań się zamartwiać i po

prostu to rób” Quick powiedziała, że akceptacja innych ludzi nigdy nie powinna być moim celem. W ten sposób mnie wyzwoliła – dokonała czegoś, na co ja sama nie umiałam się zdobyć. Ufała mi. Zachęciła mnie, żebym się odśloniła, a to nie okazało się aż takie trudne.

Musnęłam palcami skórzaną okładkę notatnika i wtedy sobie przypomniałam. Zająłłam się pisaniem, gdy byłam małą dziewczynką, bo lubiłam układać różne, rozwijające się równocześnie historie. I to właściwie wszystko. Tamtej niedzieli chwyciłam za pióro pierwszy raz od długiego czasu i znów zaczęłam pisać.

W poniedziałek, rzeczywisty dzień moich urodzin, pod koniec pracy zostawiłam na biurku Quick opowiadanie napisane na maszynie. Nie byłam nastawiona optymistycznie (piątkowa uczennica nie dawała łatwo o sobie zapomnieć), nie zakradłam się do gabinetu Quick całkiem bez obawy. Nie zostawiłam na wierzchu żadnej notki z wyjaśnieniem. Założyłam, że domyśli się, kto jest autorem.

Zdawałam sobie sprawę z ironicznego wydźwięku tej sytuacji: oddaję do oceny swoje opowiadanie, tak jak w szkole czy na uniwersytecie, ale zbyt długo wpajano mi zasadę, że powinno się zawsze pisać z myślą o odbiorcy. Tym razem jednak nie zamierzałam uzależniać wszystkiego od akceptacji czytelnika. Gdyby moje opowiadanie nie spodobało się Quick, uznałabym, że może to i dobrze. Teraz było to już niejako poza mną.

Pamela zatrzymała mnie, gdy wychodziłam.

– Nie możesz tego dłużej ukrywać, wiesz? – powiedziała.

– Słucham?

– Och, daj spokój. Wyglądasz, jakby trafiła cię strzała Amora.

Zapomniałaś ostemplować koperty. To raczej nie w twoim stylu.

Skrzywiłam się. Pamela okazała się bystrzejszym obserwatorem, niż sądziłam.

– Nie wiem, o co ci chodzi – powiedziałam.

– Odelle, ja tylko pytam. Niczym Scotland Yard. Chodzi mi o ciebie i tego faceta. Jesteście razem, tak? On wparował zaledwie pięć minut po tobie.

Zaczęłam się zastanawiać, jaki mam wybór. Nie mówić nic Pameli, narażając się na jej niekończące się, coraz dziwniejsze komentarze i przytyki, czy też po prostu powiedzieć jej prawdę i mieć to z głowy?

– Może i jesteście – odparłam.

– Nazywa się Lawrie Scott, no nie? Taki trochę elegancik z pretensjami, co?

– Skąd wiesz, jak ma na imię?

Pamela wyglądała na zadowoloną z siebie.

– Tu jest jego nazwisko, w terminarzu. Sama je wpisałaś swoją piękną rączką. Mam dorysować wokół niego serduszko?

– Zamknij się.

– Quick o tym wie?

– Tak, wie.

– Niby skąd?

– Widziała, jak całowaliśmy się w recepcji.

– No proooszę! – Pamela wybuchnęła śmiechem, a ja nie potrafiłam ukryć uśmiechu. Przyznanie się do związku z Lawrie'em było nawet dość ekscytujące.

– Odelle, do jasnej cholery, nie przypuszczałam, że jesteś zdolna do takich wyczynów. Quick musi cię bardzo lubić, bo każda inna dziewczyna wyleciałaby po czymś takim na zbity pysk.

– Pamela, zamknij się wreszcie, proszę.

– No cóż, bez wątpienia wpadł ci w oko.

– Przestań się wygłupiać.

– No dobrze, OK. – Pamela podniosła rękę na znak, że się poddaje, jej upierścienione palce zaśniły w świetle. – Ja też się zachowywałam tak jak ty na początku mojej znajomości z Billym – powiedziała. Zastanowiło mnie, czy mogli istnieć dwaj mężczyźni bardziej różni niż Lawrie i Billy, ale zachowałam to dla siebie. – Człowiekowi brakuje powietrza.

– Na razie nie mam problemów z oddychaniem.

Pamela roześmiała się.

– Zrozumiała panna Odelle. Ale tak serio, na pewno nie jesteś tajemniczą, ukrywającą się przed światem afrykańską królową?

– Pochodzę z Trynidadu.

– Pamiętaj o majtkach. A może lepiej nie?

– Pamela!

– Daj spokój – szepnęła. – Robiłaś to już?

– Nie twój interes.

Pamela uśmiechnęła się z wyższością.

– Czyli nie. Nie odkładaj tego na później, Odelle. Nie wiesz, co tracisz. – Pamela zanurkowała pod recepcyjną ladę i wyjęła stamtąd brązową, papierową torebkę.

– Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin! – powiedziała rozpromieniona. W jej czarnych jak węgiel oczach pojawiły się figlarne błyski.

Przyjrzałam się podejrzliwie podarunkowi.

– Co jest w środku?

– Niech panna zajrzy, panno Bastien.

Delikatnie odchyliłam brzeg torebki. Wewnątrz były dwa listki pigułek.

– Czy to...?

– Tak. Miałam kilka zapasowych. Pomyślałam, że mogą ci się przydać.

Pamela przyjrzała się uważnie wyrazowi mojej twarzy i nagle straciła na pewności siebie.

– Nie musisz ich przyjąć...

– Ależ nie. Dziękuję, wezmę je.

Pamela wyszczerzyła zęby w uśmiechu. Uznałam, że to nawet zabawne, te różne prezenty, które ludzie ofiarowują na znak przyjaźni – Quick sprezentowała mi notatnik, a Pamela pigułkę antykoncepcyjną. Ja natomiast całym tygodniem usiłowałam wcisnąć jej do czytania jakieś powieści, co właściwie w pełni świadczyło o moim charakterze. Podarunek Pameli wynikał z jej utylitarnego podejścia do zmysłowości. W tamtych czasach zdobycie takiej pigułki przez niezamężną dziewczynę było nie lada wyczynem, żaden lekarz nie zgodziłby się jej zapisać.

– Jak je zdobyłaś? – zapytałam.

Mrugnęła do mnie porozumiewawczo.

– Potarłam lampę Alladyna.

– Przestań. Jak tego dokonałaś?

– Brook Advisory^[11] – poddała się. – Bardzo trudne do zdobycia. Wcisnęłam pigułki do torebki.

– Dziękuję ci, Rudge – powiedziałam, zeskakując po stopniach, żeby uniknąć kolejnego sprośnego komentarza z jej strony.

Jak się nad tym zastanowić, Pamela była kobietą należącą do nowego

świata, która podarowała mi kawałek wolności. Powinnam być jej bardziej wdzięczna.

Z okazji moich urodzin Lawrie zaprosił mnie do swojego domu w Surrey. Powiedział, że Gerry wyjechał i że chciał mi pokazać, jak mieszka. W ciągu niespełna sześciu lat, jakie spędziłam w Anglii, nigdy jeszcze nie miałam okazji zobaczyć tej bukolicznej wsi angielskiej, której obrazkami raczono nas w Trynidadzie. Oczekiwałam, że zobaczę rzędy żywopłotów, niszczące kamienne krzyże Eleonory^[12] pokryte żółtym porostem, jesienne drzewa uginające się pod ciężarem owoców, wiejskie sklepy oferujące jajka ułożone w kartonach przy schodkach. I rzeczywiście, kiedy zobaczyłam dom Lawrie'ego, nie odbiegał on w zasadzie od moich wyobrażeń. Pomyślałam sobie wtedy, że jedyną prawdą, jaką mi przekazali moi kolonialni nauczyciele, była ta dotycząca angielskiej prowincji.

Rodzina Lawrie'ego żyła niedaleko miejsca o nazwie Baldock's Ridge, w wolno stojącym wiktoriańskim wiejskim domu z czerwonej cegły. Nazywał się on po prostu, jakby po dziecięcemu, „Czerwony Dom”. Przed budynkiem rósł stary jabłoniowy sad, z okien odłaziła farba. Dom był naprawdę urokliwy. Wewnątrz jednak nie widać było śladów obecności kobiety, pomimo że matka Lawrie'ego umarła przecież nie tak dawno temu. Spodziewałam się zobaczyć znoszone eleganckie suknie balowe pamiętające lepsze czasy, przesiąknięte zapachem tytoniu krzesła w jadalni, reprodukcje malarskie z pudełek po czekoladkach na ścianie, zapach psiej sierści na starych piknikowych kocach. Ale niczego takiego tam nie było. Albo matka Lawrie'ego lubiła mieszkać w spartańskich warunkach, albo Gerry Kanalia pozbył się wszystkiego, co należało do jego zmarłej żony.

Usiadłam w kuchni i zamknęłam oczy, podczas gdy Lawrie parzył herbatę. „Po prostu uważaj na niego. Takie obrazy jak ten nie trafiają się ot tak, Odelle”. Słowa Quick budziły we mnie gniew, starałam się je od siebie odepchnąć. Czy chciała zniszczyć to, co było między nami?

– Proszę – powiedział Lawrie, wręczając mi wyszczerbioną błękitną filiżankę.
– Na zewnątrz wciąż jeszcze jest pięknie i ciepło. Usiądziemy w ogrodzie?

Poszłam za nim. Obejmując dłońmi filiżankę, przemierzałam ogołocony z dywanów korytarz.

Ogród na tyłach domu był nieco zaniedbany, trochę w stylu

tego opisanego przez Hodgson Burnett^[13]: nadmiernie rozrośnięte krzaki, sękaty śliwy, potłuczone donice z terakoty z wyrastającymi z nich pędami mięty, obfitość polnych bratków. Na końcu długiego trawnika stała szklarenka, której szyby były tak ubrudzone deszczem i zaschniętym błotem, że nie można było przez nie zajrzeć do wewnątrz. Kto się zajmował pielęgnowaniem ogrodu? Może Lawrie, kiedyś, dawno temu, chodził tam i z powrotem wzdłuż grządek.

– Jak długo tu mieszkasz? – zapytałam.

– Z przerwami przez całe moje życie. Mieliśmy również mieszkanie w Londynie, ale moją matkę przestały interesować miejskie atrakcje. Wolała mieszkać tutaj.

– Doskonale ją rozumiem. Tutaj jest pięknie.

Lawrie westchnął.

– Czasami tak.

Siedzieliśmy w ciszy przez chwilę, wsłuchując się w śpiew kosa pośród zapadającego zmierzchu.

– Bardzo jesteś poruszony tym, co Reede jeszcze może odkryć w związku z obrazem? – spytałam.

Lawrie zapatrzył się w sad.

– A jeśli obraz rzeczywiście został skradziony?

– Trudno byłoby winić za to ciebie... albo twoją matkę.

– Cóż... nie. To raczej niemożliwe. Ale pomyśl, co będzie, jeśli okaże się, że obraz jest wart fortunę. Mój Boże, wyobrażasz sobie minę Gerry'ego? Matka zostawiła mi tylko tę jedną rzecz, a tu proszę, okaże się, że można za nią dostać kupę kasy.

– Jeżeli go sprzedasz, nie zostanie ci żadna pamiątka po matce.

Odwrócił się w moją stronę i spojrzał na mnie przenikliwie.

– Nie bądź czułościwką. Moja matka była najmniej sentymentalną osobą, jaką znałem.

– Myślę, że pozostawienie ci w spadku jednego obrazu właśnie dowodzi, że była sentymentalna.

– Nie znałaś jej – odparł. – Bardziej przypominała załadowany rewolwer gotowy do strzału.

– Co masz na myśli?

Lawrie skierował spojrzenie na dziko rosnące zarośla przed nami, popijając przy tym herbatę.

- Zawsze przyciągała kłopoty. Myślę, że bardzo by cię polubiła.
- Dlaczego? Ja nie ściągam kłopotów.
- Potrafiła też być naprawdę nieznośna.
- Ejże!

Lawrie powiedział, że przygotował zapiekankę z ziemniaków i mielonego mięsa. Zaimponowało mi, że potrafi gotować. Zaczęłam się zastanawiać, kiedy zdążył się tego nauczyć, i przyszło mi do głowy, że pewnie przez większą część swojego życia sam musiał się o siebie troszczyć. Powiedział, że nakryje do stołu, a ja – z racji swoich urodzin – mam wolne. Dlatego kiedy on był zajęty przygotowaniami do posiłku, podgrzewaniem jedzenia w piekarniku i szukaniem widelców, skorzystałam z okazji i poszłam na górę.

Weszłam do jednego z dużych pokoiów położonych od strony ogrodu. Przez okno wpadały z ukosa promienie gasnącego słońca. Zauważyłam abażur w głębokim koniakowym kolorze i ćmy krążące wokół światła. Podobnie jak w innych pomieszczeniach na podłodze nie było dywanów ani wykładzin, ścian nie zdobiły obrazy. Stały tam tylko stelaż łóżka i szafa – właściwie pusta, jeśli nie liczyć garstki metalowych wieszaków, które po otwarciu drzwi wydały cichy brzęk. Wzdłuż listew przypodłogowych tu i ówdzie leżały martwe muchy. Wszędzie walały się sterty dokumentów i stały pudła pełne papierów – pozwijanych i wyblakłych z powodu upływu czasu.

Próbowałam wyobrazić sobie w tym domu matkę Lawrie'ego: jak wyglądała, jej małżeństwo z Gerrym, czym się zajmowała po tym, jak jej mąż zginął na wojnie... Nigdzie nie mogłam znaleźć jej fotografii, ale w powietrzu unosił się ledwo wyczuwalny zapach perfum – wyrafinowany, drzewny, kuszący. Usiadłam ostrożnie na krawędzi metalowej ramy łóżka, zastanawiając się, czy jakaś inna rodzina mogłaby znów wypełnić ten dom życiem, dać mu kolejną szansę, żyć nadziejami, odnosić porażki. Poczułam ukłucie niepokoju, że Cynth już nigdy się do mnie nie odezwie. Musisz koniecznie do niej zadzwonić – pomyślałam. – To trwa już zbyt długo. Albo chociaż napisać.

Wstałam z łóżka i podeszłam do okna, za którym roztaczał się widok na pofałdowane wzgórza Surrey, skąpane w niesamowitym blasku. Oparłam

łokcie na stercie papierzyśk i znów przypomnialy mi się zastrzeżenia Quick wysuwane pod adresem Lawrie'ego. Czy naprawdę tak bardzo się tym przejmowała? Przecież nie powinno jej to w ogóle obchodzić – a jednak nie mogłam wyrzucić z myśli jej słów.

W roztargnieniu zaczęłam przeglądać stos papierów leżących na oknie. Głównie były to pokwitowania – paragon od rzeźnika z 1958 roku, bilet parkingowy z centrum handlowego w Guilford, rachunki za prąd, program nabożeństw połączonych ze śpiewaniem hymnów i kolęd w Baldock's Ridge z 1949 roku. Ktoś w tym domu ewidentnie nie lubił pozbywać się rzeczy, a jednak Lawrie twierdził, że jego matka nie była typem osoby, która przechowywałaby pokwitowania.

Pod kartką z programem okołobozonarodzeniowych nabożeństw leżała cieniutka jak bibułka broszurka z 1955 roku, informująca o wystawie młodych brytyjskich artystów. Otworzyłam ją. Wystawa była zorganizowana w London Gallery przy Cork Street. Osoba, która odwiedziła ją, zrobiła ołówkiem kreskę biegnącą przez listę nazwisk wszystkich artystów i ich dzieł. Na dole dopisano dwa słowa: „Ani śladu”. Ani śladu czego? – zastanawiałam się. Mocny odcisk ołówka świadczył o zdenerwowaniu osoby kreślącej linię.

Złożyłam broszurkę na pół, wsunęłam ją do kieszeni i zesłam z powrotem na dół, mówiąc sobie w duchu, że w tym bałaganie i tak nikt nie spostrzeże, że brakuje paru kartek.

Lawrie zapalił świece, wetknął je do pustych butelek po winie oraz do lśniącego kandelabru, który nieodparcie kojarzył się z narzędziem zbrodni. Siedzieliśmy w kuchni, dzień powolutku się kończył, jedliśmy zapiekankę zrobioną przez Lawrie'ego i piliśmy cydr zrobiony przez sąsiada z jabłek zerwanych w sadzie.

- Wszystkiego najlepszego, Odelle – powiedział Lawrie, unosząc kieliszek.
 - Dziękuję. Czuję się tak, jakbyśmy ukrywali się tutaj przed światem.
 - Jak dla mnie brzmi nieźle.
 - Jakoś nie widać, że mieszka tu Gerry. Na górze panuje lekki bałagan.
 - Bardziej za przyczyną mojej matki niż Gerry'ego. Myślę, że będzie chciał sprzedać ten dom.
 - Jak długo byli małżeństwem?
- Lawrie nalał więcej cydru do naszych kieliszków.

– Niech pomyślę. Ja miałem wtedy czternaście... a więc byli małżeństwem szesnaście lat.

– Jak to się stało, że twoja matka zmarła?

Lawrie wyraźnie się zjeżył. Widziałam, że zamknął się w sobie, próbując chronić swoją prywatność. Natychmiast pożałowałam, że zadałam to pytanie. Poczułam się bardzo niezręcznie.

Ostrożnie odstawił butelkę na stół.

– Trudno o tym opowiadać.

– Nie musisz. Nie powinnam cię o to pytać. Przepraszam. – Teraz ja się wtrącałam w cudze sprawy, zupełnie jak Quick.

– Moja matka się zabiła – powiedział Lawrie, a jego słowa sprawiły, że atmosfera w kuchni stała się ciężka, gęsta niczym zupa. On sam zaś wyglądał tak, jakby uszło z niego całe powietrze.

– Przepraszam – powiedziałam. – Bardzo cię przepraszam.

– Wszystko w porządku. Naprawdę, nie przejmuj się. W końcu i tak bym ci powiedział. Nie przepraszaj. Nie powinnaś czuć się winna. Szczerze mówiąc, to, co się stało, nie było dla mnie wielkim zaskoczeniem.

Rozpaczliwie usiłowałam znaleźć jakiś temat, który pomógłby wypełnić ciszę, ale to wyznanie najwyraźniej musiało coś w nim przełamać.

– Próbowaliśmy jej pomóc. Wiele razy. I dlatego teraz nie umiem nawet spojrzeć na tego przeklętego Gerry’ego, bo za każdym razem, gdy na siebie patrzymy, wiem, że on sobie myśli: „Nie mogłeś zrobić więcej?”. A ja myślę dokładnie to samo. Ale on nie ponosi za to odpowiedzialności. Powodem jej śmierci było straszliwe poczucie winy.

– Nie umiem sobie tego wyobrazić.

– Cóż, ja też nie, chociaż byłem jej synem.

Lawrie siedział całkiem zesztywniały i mówił tak cicho, że miałam ochotę wstać i go przytulić. Ale w tej ciężkiej atmosferze, która zapanowała między nami, nie byłam w stanie wykonać jakiegokolwiek gestu w jego stronę, nawet nie byłam pewna, czy on naprawdę by tego chciał. Pomyślałam o naszym spotkaniu w kuchni na przyjęciu weselnym u Cynth. Jak Lawrie musiał się wtedy okropnie czuć, zaledwie w dwa tygodnie po tym strasznym wydarzeniu. A ja żartowałam sobie wtedy z mojej matki i byłam dla niego nieuprzejma, gdy próbował komplementować mój wiersz...

– W każdym razie stało się – powiedział. – Ale wiedz, że moja matka była osobą pełną werwy, zajmowała się różnymi sprawami i potrafiła cieszyć się życiem. Właśnie dlatego wydaje mi się podobna do ciebie. A teraz pozostaje jeszcze kwestia jej obrazu.

– No tak.

– No – wypuścił nonszalancko powietrze – jakoś ci to powiedziałem. Chryste Panie. Obiecuję, że nic gorszego cię już nie spotka. A teraz ty opowiedz mi coś ważnego o sobie.

– Nie ma nic, o czym mogłabym ci opowiedzieć.

– Każdy ma przynajmniej jedną taką historię w zanadru, Delly.

Nadal milczałam. Odchylił się na krześle, szukając czegoś w szufladzie kredensu stojącego za nim.

– Aha! Gerry zawsze trzyma jakieś pod ręką. – Lawrie potrząsnął pudełkiem cienkich cygar. – Przyłączysz się?

Wyszliśmy do pokoju na tyłach domu i Lawrie otworzył na oścież drzwi balkonowe. W nocnym powietrzu wciąż jeszcze czuć było zapach wilgotnej trawy i palonego drewna. Po ogrodzie krążyły nietoperze.

– Tutaj jest jak w raju – oznajmiłam. Nie przeszkadzała mi nawet dusząca woń cygara Lawrie’ego. Usiadłam na sofie i patrzyłam na niego, opartego o futrynę drzwi balkonowych.

– Nie wiem, jak jest w raju – odparł Lawrie – ale tu przynajmniej nie słychać hałasów dobiegających z ulicy. Kiedy byłem mały, moją ulubioną książką był *Piotruś Pan*. Udawałem, że ten ogród to Nibylandia.

– A Gerry występował w roli kapitana Haka?

– Och, nie, to było jeszcze przed Gerrym. Wtedy mieszkałem tylko z mamą.

– Ja też mieszałam tylko z mamą.

Odwrócił się do mnie.

– Co się przytrafiło twemu ojcu w czasie wojny?

Ponieważ Lawrie opowiedział mi o samobójstwie matki, czułam, że powinnam mu się czymś zrewanżować, chociaż wcale nie miałam na to ochoty.

– Cóż – powiedziałam. – Mój tata sprzedał rower i trąbkę, żeby móc zapłacić za podróż do Anglii w czterdziestym pierwszym roku. Udał się do Ministerstwa Lotnictwa, przeszedł testy medyczne i podstawowe

dwunastomiesięczne szkolenie. Służył jako artylerzysta w RAF-ie. A trzy lata później moja matka przeczytała jego nazwisko wypisane kredą na tabliczce w Port-of-Spain.

Lawrie podszedł do mnie i położył mi rękę na ramieniu; była ciepła, skupiałam na niej całą uwagę.

– Strasznie mi przykro, Odelle – powiedział.

– Dziękuję. Nie pamiętam go, ale wiem, jak było, kiedy go zabrakło. Moja matka bardzo ciężko to zniosła.

Usiadł obok mnie.

– Jak było tam na wyspie w czasie wojny?

– Ludzie okropnie się bali, co się stanie, jeśli Hitler wygra.

Mieliśmy jedną z największych rafinerii w Trynidadzie. Niemieckie U-Booty już zaczęły torpedować brytyjskie okręty u naszych wybrzeży.

– Nie wiedziałem o tym.

– My dobrze znaliśmy cele Hitlera, plan stworzenia rasy panów. Zawsze byliśmy chętni do walki. Mój tata nie stanowił wyjątku – mówiłam, popijając cydr. – Początkowo Anglia niezbyt przychylnie patrzyła na zaangażowanie kolonii w walkę, ale kiedy sprawy na froncie nie układały się najlepiej, potrzebowała pomocy.

– Myślisz o powrocie?

Zawahałam się. Większość Anglików, których spotykałam, pytała mnie o wyspę i oczekiwała, że całą złożoność Trynidadu przyswoją sobie w trybie przyspieszonym za pośrednictwem mojej skromnej osoby. Nikt z nich nigdy tam nie był, więc traktowali nas jak egzotyczne okazy, wyhodowane na tropikalnej szalce Petriego, nad którą jeszcze do niedawna powiewała brytyjska flaga. Na ogół, tak jak w przypadku Pameli, ich zainteresowanie nie miało złośliwych podtekstów (z wyjątkiem tych momentów, kiedy miało), ale zadawane przez nich pytania zawsze sprawiały, że czułam się i n n a – chociaż przez całe życie byłam wychowywana na obywatelkę imperium brytyjskiego i doskonale znałam wszystkie jego realia.

W tamtym okresie naszej znajomości, Lawrie nie pytał mnie o Trynidad. Nie wiem, czy stały za tym dobre maniere, czy może dlatego, że rzeczywiście go to nie interesowało. Tak czy inaczej, byłam raczej zadowolona, że nie próbował doszukiwać się różnic pomiędzy naszymi doświadczeniami

życiowymi. Ja uczyłam się w szkole łaciny i czytałam Dickensa, ale zdążyłam sobie także przyswoić, że dziewczyny o jaśniejszej skórze częściej przyciągały uwagę chłopców, chociaż oni sami pewnie nie do końca sobie to uświadamiali. Większość „różnic” pomiędzy nami powstawała poprzez odniesienie do białej skóry Anglików. A jednak nad brzegami Tamizy złożoność życia na naszej wyspie została zredukowana do jednego fenotypu: c z a r n y.

Właściwie każdy Anglik, nawet świątły, był skłonny wierzyć, że mamy więcej wspólnego z Sudańczykami niż z nimi. Ale co ja mogłam wiedzieć o Saharze, wielbłądach albo o życiu Beduinów? Dla mnie przez cały okres mojego dzieciństwa ideałem kobiecej urody, elegancji i przepychu była księżniczka Małgorzata. Z Lawrie’em rozmawiałam o filmach z Jamesem Bondem, o mojej dziwnej szefowej, o obrazie, o Gerrym Kanalii i o zmarłych rodzicach – sprawach, które nas jednoczyły, czyniły z nas parę. Przy nim nie byłam reprezentantem całej społeczności wyspy, której nie odwiedziłam od pięciu lat. Kiedy Lawrie nie pytał mnie o Trynidad, znów czułam się pojedynczą osobą, jednostką.

– Odelle?

– Pozwól, że opowiem ci o Londynie – zaproponowałam.

– OK.

– Kiedy tu przyjechałam, nie mogłam uwierzyć, że może być tak zimno. – Lawrie roześmiał się. – Mówię całkiem poważnie. Czułam się jak w Arktyce. Przyjechałyśmy z Cynthią w s t y c z n i u.

– Akurat wtedy.

– No właśnie. Gdy byłam małą dziewczynką, grałam Jesień w szkolnym przedstawieniu opowiadającym o różnych porach roku. Nie mogłam zrozumieć, czym właściwie jest ta jesień, a co dopiero zima.

Przez chwilę milczałam, przypominając sobie samą siebie z okresu dzieciństwa – w słomkowym kapeluszu i angielskim bezrękawniku, tłumaczącą mamie, że musi doczepić do mojego trykotu „rdzawe liście”. Przed oczami stanęła mi również moja matka, która nie miała pojęcia, jak mogą wyglądać oszronione czubki traw, co to są kasztany i jak oddycha się londyńskim listopadowym powietrzem, gdy w płucach czuć igiełki lodu. W wilgotnym klimacie Karaibów starała się, jak umiała, uszyć

dla mnie ten angielski kostium.

– Pamiętam – ciągnęłam, czując, że robi mi się gorąco na samo wspomnienie, ale mając też pewność, że Lawrie’emu mogę bez obawy o tym opowiedzieć – moje pierwsze dni w Anglii i pewnego gościa, który powiedział mi w sklepie obuwniczym: „Mówi pani świetnie po angielsku!” Świetnie! Też coś! Odrzekłam wtedy: „Proszę pana, w Indiach Zachodnich angielski jest językiem urzędowym.”

– I co on na to? – spytał Lawrie ze śmiechem. Uświadomiłam sobie wtedy, że on nigdy nie mógł czegoś takiego doświadczyć, nikt by się w ten sposób do niego nie odezwał.

– Uznał, że brak mi ogłady. Nieomal straciłam pracę. Cynthia była wściekła. Ale ja powiedziałam prawdę: bez problemu mogłabym prowadzić konwersację choćby z królową Elżbietą i tym jej wysokim greckim mężem, popijając herbatę i bawiąc się z tymi jej śmiesznymi pieskami, które tak uwielbia. Naprawdę, bez problemu. Powinnam była mu wtedy odpowiedzieć: „Za to pański angielski jest dużo gorszy od mojego. Brakuje mu barwności, oddechu, potoczności. Gdzie panu do mojego kreolskiego, który jest tak bogaty dzięki wpływom kongijskiego, hiszpańskiego, hindi, francuskiego, ibo, angielskiego, bhodźpuri, języków joruba czy mandingo”

Lawrie znów się roześmiał.

– Och, chciałabym zobaczyć wtedy jego minę – mówiłam dalej, sącząc cydr.
– On z tym swoim anglosaskim...

– Anglosaskim czym?

– No wiesz. Typowy angielski domek, okno z widokiem, przez które nikt nie patrzy, bo uważa, że zna tutaj każdy krzak, kwiat, korę drzew, nawet chmury. No ale zrobiliśmy miejsce i dla innych, także tych, co mówią po jamajsku...

– Odelle – odezwał się Lawrie. – Byłbym szczęśliwy, gdybym mógł spędzić z tobą resztę życia.

– Słucham?

– Masz w sobie niezwykły blask i pewnie nawet nie wiesz, jaki to ma wpływ na tych, którzy przebywają w twoim otoczeniu.

– Jaki blask? Mówiłam o...

– Kocham cię, Odelle. – Jego twarz wyrażała nadzieję. – Inspirujesz mnie. Siedzieliśmy w ciszy.

– To samo powtarzasz wszystkim dziewczynom –
powiedziałam zdesperowana, niepewna, jak powinnam zareagować.

– Co takiego?

– Nie mówisz poważnie.

Spojrzał na mnie badawczym wzrokiem.

– Jak najbardziej poważnie. Mam wrażenie, że czas splątał mi figła. Że znałem cię już dawniej. Że musieliśmy się mijać, jadąc w dziecięcych wózkach. Że przez cały ten czas czekałem tylko na to, aż znowu cię spotkam. Kocham cię, Odelle.

Nic nie odparłam, bo nie byłam w stanie. Lawrie wbił wzrok w wykładowinę.

Nikt mi jeszcze nigdy nie powiedział, że mnie kocha. Dlaczego musiał zepsuć wieczór tą gadaniną o miłości i... o w ó z k a c h?

Poczułam, że ogarnia mnie panika. Znowu przypominałam sobie ostrzegawcze słowa Quick... i w duchu ją za to przeklinałam. Dlaczego powinnam uważać... i właściwie dlaczego słowa Lawrie'ego sprawiły mi taki popłoch?

Wstałam z sofy i podeszłam do okna.

– Pewnie chcesz, żebym już sobie poszła – powiedziałam.

Lawrie usiadł, w bezruchu wpatrywał się we mnie z niedowierzaniem.

– Dlaczego miałbym tego chcieć, po tym, co ci powiedziałem?

– Nie wiem! Ja... zrozum, nie jestem...

– Nie ma sprawy – powiedział. – Przepraszam. Wszystko OK. Nie powinienem...

– Nie w tym rzecz... chodzi tylko o to, że... byłam... a potem ty nagle...

– Zapomnij o tym, co powiedziałem. Ja... proszę cię, po prostu zapomnij. Jeśli chcesz już wracać, odwiozę cię do domu.

Tak więc Lawrie odwiózł mnie w milczeniu do domu, opustoszałą A3. Kurczowo przyciskałam do siebie torebkę i czułam się bezbrzeżnie nieszczęśliwa. W środku były broszurka skradziona z mieszkania i pigułki, które Pamela podarowała mi zaledwie przed paroma godzinami. Jak miałam wytłumaczyć Lawrie'emu, że jego słowa mnie przerażyły i że nie potrafię mu wyjaśnić, skąd ten mój lęk się wziął.

Dopiero co się poznaliśmy, on tak niewiele o mnie wiedział. Czułam się tak, jakbym została wciągnięta na piedestał i nie wiedziała, co z tym począć. Mój

podły nastrój udzielił się także Lawrie'emu. Życie w pojedynkę zawsze było o wiele łatwiejsze.

Tylko raz spojrzałam na niego podczas jazdy. Jego profil pokazywał się i znikał w pomarańczowym świetle, gdy samochód przejeżdżał obok ulicznych latarni. Wzrok miał skupiony na drodze, szczęki zaciśnięte. Nie umiałam powiedzieć, które z nas czuło się bardziej upokorzone.

Kiedy dotarliśmy do mojego mieszkania, Lawrie zatrzymał auto.

– W Surrey został mój prezent dla ciebie – powiedział, gdy silnik był wciąż jeszcze na chodzie.

– Och, ja...

– Tak czy inaczej, lepiej już pojedę. – Lawrie dodał gazu i odjechał. Stałam na drodze, aż ryk silnika w mojej głowie został wyparty przez bezgłośny krzyk.

Leżałam w łóżku i nie mogłam zasnąć. Było już po trzeciej, a na moim stoliku nocnym wciąż paliła się lampka. Kłuło mnie w klatce piersiowej, bolały mnie żołądek i głowa – ból przenikał mnie całą, za nas oboje. Jakoś nie mogłam w to uwierzyć, że Lawrie naprawdę mnie kocha. Chociaż przy nim nigdy nie czułam się jak outsider, nie mogłam oprzeć się wrażeniu, że lubił mnie tylko dlatego, bo byłam inna od wszystkich dziewczyn z tego grona, które pojawiło się na przyjęciu u Cynthii.

Może Lawrie zanadto się pospieszył z tym swoim miłosnym wyznaniem – ale czy on na pewno mnie rozumiał? Trudno mi było pojąć, jak można tak bez reszty się zaangażować, zestroić molekuły, doświadczać czystej, głębokiej radości z prostego faktu bycia adorowanym i adorującym, krok po kroku przeżywać kolejne etapy – przechodzić od nieśmiałości do coraz bliższej relacji, nabierać pewności. Szukać w tłumie ukochanej osoby, zamknąć oczy i wiedzieć, że się ją znalazło – to wszystko wydawało mi się niemożliwe. Byłam w tym świecie emigrantką, także duchową, i moje życiowe doświadczenie na długo zdeterminowało stan mego umysłu.

Nie wiedziałam, czy go kocham i to również wywoływało mój strach – niewiedza, brak pewności. „Uważaj na niego. Takie obrazy jak ten nie trafiają się ot tak, Odelle.” Za wszelką cenę chciałam uciszyć w sobie ten głos. Zastanawiałam się, czy to nie z jej powodu nie potrafiłam Lawrie'emu zaufać, zacieśnić z nim więzi, kiedy wyznał mi miłość. Nachyliłam się i zgasłam

światło w nadziei, że w ciemności uda mi się wreszcie zasnąć. Gdy tak leżałam, nie potrafiłam odróżnić, które lęki były moje – teraz, kiedy Quick przemyciła do mojej głowy swoje własne.



VII.

Obraz, który ukończyła Oliwia, stał oparty o ścianę. Szczyciła się nim nawet bardziej niż *Sadem*, bo czuła, że jeszcze mocniej przybliżyła się w nim ku doskonałości. Nowe dzieło było kompozycją surrealistyczną, barwną, na pozór pozbawioną spójności. Był to dyptyk – święta Justa przed aresztowaniem i po nim, ukazana na tle ciemnego nieba w kolorze indygo oraz jaśniejącego blaskiem pola. Oliwia zdecydowała, że nada mu tytuł *Święta Justa w studni*.

Lewa połowa obrazu była wykonana niezwykle kunsztownie i naprawdę wspaniała. Oliwia użyła zwykłych farb olejnych, ale eksperymentowała także z płatkami złota, które zaśniły pod światło, gdy uniosła malowidło. Zawsze uważała, że płatki złota są jak sen alchemika – zawierają promień słońca. Był to kolor królowych, mędrców i świetlistych pól w pełni lata. Złoto przywodziło jej na myśl rosyjskie ikony prawosławne, których jako mała dziewczynka zawsze chciała dotknąć, kiedy ojciec zabierał ją z wizytą do Kunsthistorisches Museum.

W środku urodzajnego pola po lewej stronie obrazu stała kobieta o włosach koloru pszenicy. Dźwigała ciężki garniec z namalowanymi jeleniami i królikami, i podobizną Wenus usytuowaną pośrodku.

Zarówno kobieta, jak i bogini miały dumny wyraz twarzy i zwracały się ku widzowi.

Zboże po prawej stronie obrazu było obumarłe i liche. Kobieta pojawiała się znowu, ale teraz leżała skulona wewnątrz kręgu, który unosił się nad polem. Wnętrze koła miało perspektywę dośrodkową, co stwarzało wrażenie głębi. Kobieta zdawała się spoczywać na dnie studni. Włosy miała obcięte i matowe, wszędzie dookoła leżały skorupy roztrzaskanego garnca, których nikt nie byłby w stanie złożyć na powrót w całość. Wokół cembrowiny studni stały jelenie oraz króliki naturalnej wielkości i zaglądały do środka, jakby właśnie zstąpiły z potłuczonego naczynia na ziemię. Po Wenus nie został żaden ślad.

Oliwia usłyszała delikatne pukanie do drzwi i usiadła.

– Kto tam? – spytała, a jej głos przytłumiła nadzieja, że to może być on.

– To ja, Teresa.

– Och.

– Przyjęcie rozpoczyna się za kilka godzin, señorita. Czy mogę wejść?

Oliwia zerwała się i schowała obraz pod łóżko.

– Tak – powiedziała.

Od niedawna Teresa pomagała Oliwii utrzymywać pokój w porządku. Powstała między nimi taka cicha umowa. Oliwia o nią nie zabiegała, ale chętnie się zgodziła – dzięki temu ktoś poświęcał jej uwagę, przygotowywał pędzle na kolejny dzień. Ubrania leżały zawsze starannie ułożone na krześle albo wisiały w szafie, nieukończone obrazy stały zwrócone frontem do ściany, tak jak lubiła, kiedy kładła się spać.

Po przebudzeniu znów je odwracała i spokojnie przystępowała do pracy.

Teresa stała w drzwiach z torbą przewieszoną przez ramię.

– Czy mogę w czymś pomóc?

Oliwia położyła się z powrotem na łóżku.

– Chcę wyglądać jak Garbo – powiedziała rozmarzonym głosem, wyciągając się na pościeli i przeczesując palcami włosy. – Tere, umiesz zrobić ładne fale?

Dziewczęta ustawiły krzesło przed owalnym lustrem, które Teresa znalazła w nieużywanym pokoju i zawiesiła na własnoręcznie wbitym gwoździu. Lustro było poczerńiałe i zamglone po bokach, ale środek dawał wyraźne odbicie. Teresa i Oliwia wzorowały się na kilku ilustracjach z należącego do Sary numeru „Vouge’a”, aby odtworzyć wygląd Greta Garbo. Teresa zapaliła rozstawione w różnych miejscach pokoju świece, ponieważ naturalne światło przygasało.

– Nigdy mi się nie udało zrobić prawdziwych fal, bo mam za grube włosy. Ale może zrobimy chociaż loczki?

Przez dobre pięć minut trwały w zgodnej ciszy. Oliwia cieszyła się kojącym dotykiem dłoni Teresy. Powtarzalne, łagodne ruchy... Zamknęła oczy.

– Wydaje mi się, że wieści z wyborów są dobre, ale nie mogę zapomnieć tego biednego chłopaka, którego znał Izaak – odezwała się w końcu Oliwia.

Teresa spuściła wzrok, gdyż zajęta była włosami na karku Oliwii.

– Raz te z lewej, raz te z prawej. Władze zmieniają nazwy ulic częściej niż ja pościel. Ale mimo to, señorita, nie widzę żadnej różnicy.

– Dobrze, że są tacy ludzie jak twój brat, którym to wszystko nie jest

obojętne.

Teresa milczała.

- Lubisz swojego ojca, Tere? – spytała Oliwia.
- On jest tutaj legendą.
- Nie zabrzmiało to tak, jakbyś była z tego zadowolona.

Teresa skrzywiła się.

- Nie lubię tych opowieści.

Oliwia otworzyła oczy.

- Jakich opowieści?

Dziewczęta spojrzały na siebie w lustrze. Teresa nawijała na palec niewielkie kosmyki gęstych włosów Oliwii i umacniała loki spinkami podebranyymi z sypialni Sary.

- Mówią, że kiedyś odciął pewnemu mężczyźnie... to coś... i przybił gwoździem do drzwi.

Oliwia odwróciła gwałtownie głowę. Spinka wypadła na podłogę, uwalniając zawinięte włosy.

- Co ty mówisz? Do drzwi?
- To był jego wróg.

Spojrzały jedna na drugą i wybuchły śmiechem. W dobry nastrój wprowadzała je zapadająca noc i świadomość, że im podobny akt przemocy nie grozi, bo po pierwsze, to stare dzieje, a po drugie, one nie mają „tego czegoś” i siedzą sobie bezpiecznie w pokoju na poddaszu.

- Tereso, to wstrętne! Dlaczego on to zrobił?
- To tylko plotka – powiedziała Teresa, podnosząc spinkę.
- Żaden mężczyzna nie zdejmie spodni, żeby potwierdzić oskarżenie.
- Ale też Don Alfonso nie zaprzecza.
- Jezu, a ja myślałam, Tereso, że to ja mam problemy z ojcem.

Teresa podniosła wzrok.

- Jakie problemy?

- A, nic takiego – westchnęła Oliwia. – Tylko że... czuję się trochę jak niewidzialna i tyle. On nigdy nie traktuje mnie serio. A ja nie potrafię sprawić, by zaczął brać mnie na poważnie. Przejmuje się tylko interesami i tym, czy matka wzięła tabletki. Zresztą ona też nawet nie próbuje mnie zrozumieć. Jak będę miała swoje dzieci, to nigdy nie będę zachowywała się

tak jak ona. Chciałabym uwolnić się odrodziców. Przypuszczam, że mogłabym się uwolnić, gdybym choć trochę się postarała.

– Gdybyś pojechała do tej swojej akademii, to na pewno byś się uwolniła.

– Nigdy nic nie wiadomo. A malowanie tutaj sprawia, że czuję się bardziej wolna. – Oliwia miała poważną minę. – Przy okazji uczę się czegoś innego.

– Czego?

– Że jeżeli naprawdę chcesz doprowadzić coś do skutku, musisz tego chcieć bardziej, niż jesteś w stanie sobie wyobrazić. Musisz to wywalczyć własnymi siłami. Nie jest łatwo.

Teresa uśmiechnęła się, układając włosy Oliwii, której sprawiało to wielką przyjemność. Nigdy wcześniej nie miała przyjaciółki, która w jej własnym pokoju czesałaby ją, wysłuchiwała, rozmawiała o różnych błahostkach, ale i o problemach z rodzicami oraz o tym, że przyszłość jest wspaniała, bo nieprzewidywalna.

– Czas przed przyjęciem zawsze wydaje mi się najszcześniejszy – mówiła Oliwia. – Nic jeszcze nie zdążyło się zepsuć.

Teresa oderwała dłonie od włosów Oliwii.

– Dlaczego przerwałaś? – spytała, obserwując, jak Teresa sięga po swoją torbę. – Mam nadzieję, że to nie kolejny kurczak – zażartowała.

Teresa wyjęła małą, kanciastą paczuszkę zawiniętą w bibułkę. Niepewnym ruchem podała ją Oliwii.

– Dla ciebie – powiedziała.

– Dla mnie? Ojej. – Oliwia wzięła podarunek. – Mogę od razu rozpakować?

Teresa skinęła głową, a Oliwii aż dech zaparło z wrażenia, gdy wewnątrz błysnęło coś zielonego i ze środka wynurzył się sznur szmaragdów niczym kamienny wąż. Naszyjnik był zjawiskowy i kunsztowny, Oliwia nigdy wcześniej nie widziała czegoś równie pięknego.

– Mój Boże. Skąd go masz?

– Należał do mojej matki – powiedziała Teresa. – Teraz jest twój.

Oliwia siedziała na krześle jak wryta, z zaciśniętej dłoni zwisał jej naszyjnik. Nigdy w życiu nie dostała od nikogo takiego prezentu. Było to zapewne wszystko, co Teresie zostało po matce. Gdyby przyjęła taką pamiątkę, okazałaby się egoistką. Z drugiej strony odmowa mogłaby być jeszcze gorsza...

– Nie – powiedziała w końcu. – Nie mogłabym...

– To dla ciebie.

– Tereso, to za dużo...

W końcu Teresa zdecydowała za nią. Wyjęła szmaragdy z dłoni Oliwii, włożyła jej na szyję i zapięła zatrzask.

– Naprawdę, dla ciebie – powiedziała Teresa. – Dla mojej przyjaciółki.

Oliwia spojrzała w lustro. Szmaragdy wyglądały jak zielone liście, lśniły na jej bladej skórze, a im bliżej obojczyków, tym były większe. Kamienie z Brazylii, zielone jak ocean, zielone jak las, który według obietnic ojca mieli znaleźć na południu Hiszpanii. To nie były klejnoty, lecz oczy, które mrugały w blasku świec i patrzyły na przeglądające się w lustrze dziewczęta.

VIII.

Przed wieczorem Harold wrócił z Malagi i przywiózł zaopatrzenie na planowane przyjęcie. Biegał po domu z cygarem w zębach i szukał płyt gramofonowych. Izaak pomagał znosić krzesła i stoły wypożyczone od mieszkańców wioski.

– Oliwio – powiedział – skończyłem obraz.

– Och – odparła.

– Nie jesteś zadowolona? Pozowanie nie sprawiało ci chyba przyjemności.

Nie wiedziała, co odpowiedzieć. Skoro Izaak skończył malować, to będzie go teraz rzadziej widywała...

Nadeszła Sara w długiej sukni koloru śliwkowego. Kiedy wydawali przyjęcia w Londynie, występowała nieraz w przebraniu: była Małą Syrenką, Królową Śnieżką, a nawet niezapomnianą Roszpunką, której sztuczny warkocz stanął w płomieniach i musiano go gasić szampanem.

Ale tego wieczora miała na sobie kreację Elsy Schiaparelli – „naprawdę boską”, jak powiedziałyby koleżanki ze szkoły – z dwiema haftowanymi kobiecymi twarzami umieszczonymi na plecach. Wyszywane cekinami usta lśniły czerwienią w świetle setek świec, przywiezionych z miasta przez Harolda i zapalonych w sali przez Teresę. Była to jedna z ulubionych sukni Oliwii, która była niemal zahipnotyzowana tymi twarzami przypominającymi boga Janusa.

Wzrok Sary przyciągnęły szmaragdy na szyi córki.

– Kto ci je dał? – zażądała wyjaśnień, gdy Harold zajęty był otwieraniem butelki Veuve Clicquot.

Oliwia zdała sobie sprawę, że przez całe życie w trudnych momentach słyszała brzęk kieliszków. Zła, że matka nie zauważyła nawet jej nowej fryzury, wyprężyła szyję i pogładziła klejnoty.

– Izaak – odparła.

Był to beztroski wieczór. Około ósmej na dróżce prowadzącej do finki zaczęli pojawiać się goście, a Oliwia z rodzicami witali ich u drzwi. Jednym z pierwszych przybyłych był mężczyzna w drogim na oko kremowym garniturze, z wielkim fularem – wyglądał trochę jak uczestnik przyjęcia

koktajlowego na liniowcu oceanicznym. Jego bujne czarne wąsy miały wypomadowane końce. Za nim podążało dwóch młodzieńców w schludnych garniturach. Oliwia zaczęła się zastanawiać, kto to taki – może jego synowie? Jednak najprawdopodobniej była to obstawa.

Przybyły wyciągnął rękę.

– Señor Schloss – powiedział. – Don Alfonso Robles Hernández. Byłem na dłuższym wyjeździe w interesach, pilnując spraw księżnej.

– Don Alfonso – powiedział Harold i podał mu dłoń. – W końcu możemy się spotkać.

Mężczyzna dobrze władał angielskim i chociaż Oliwia dostrzegła w jego rysach ślady podobieństwa do Izaaka, to jednak twarz Don Alfonsa miała w sobie coś z teatralnej pozy, której próżno by szukać u syna. Pomimo fanfaronady w małych oczkach gościa kryły się inteligencja, wyrachowanie i czarny humor. Przypomniała sobie krążące o nim historie i z trudem opanowała niepokój.

– Gregorio, przekaz dary, które przynieśliśmy dla señory Schloss. – Jeden z młodzieńców wyskoczył naprzód. – Ciasto migdałowe i butelka dobrego portwajnu – wyliczył Alfonso.

Sara odebrała prezenty.

– Dziękuję – powiedziała.

– Czy już się państwo zadomowili?

– Nawet bardzo.

Alfonso spojrzał w ciemną sień za plecami Harolda.

– *Díos mio*, kociątko wyrosło na kotkę – powiedział, stukając obcasami w wojskowym stylu. Odgłos obcasów i skrzypienie lakierowanej skóry jego butów przyprawiły Oliwię o ciarki. Spojrzała za siebie i dostrzegła w mroku wykrzywioną grymasem twarz Teresy.

– Ciągle tak się mnie boisz, Tere? – spytał Alfonso po hiszpańsku. – Nie rozumiem dlaczego. Podobno potrafisz pokazać pazurki. – Młodzi towarzysze Alfonsa wybuchli śmiechem. – Mam nadzieję, że nie sprawia państwu kłopotu?

Harold spojrzał na Teresę, która utkwiała w nim okrągłe czarne oczy.

– Najmniejszego – odparł.

– Gdyby było inaczej, proszę mnie natychmiast zawiadomić. – Alfonso

spojrzał na liczne okna finki rozświetlone małymi, pełgającymi płomyczkami.
– Señor Schloss, mam nadzieję, że nie będą nas tu piec na ogniu. Myślałem, że ten dom zaznał już błogosławieństwa elektryczności.

– Chcieliśmy na dzisiejszy wieczór stworzyć specjalną atmosferę. Don Alfonso, proszę wejść.

– Są tu ze mną Gregorio i Jorge, czy i oni mogą wejść?

– Ależ oczywiście.

Trzej mężczyźni minęli Oliwię i jej matkę, a Jorge trochę zbyt długo, w mniemaniu Oliwii, zatrzymał wzrok na Sarze.

– Czy twój brat tu jest? – spytał Teresę Jorge.

– Być może. Ale nie będzie z wami rozmawiał – powiedziała.

W sumie sześćdziesięcioro siedmioro mieszkańców Arazuelo przybyło na przyjęcie. Obecność tej małej londyńsko-wiedeńskiej rodziny sprowadziła na miejscowych niespotykany, iście karnawałowy nastrój. Powietrze wibrowało erotyzmem i swobodą, jakby zostało przełamane jakieś tabu. Don Alfonso usadowił się w narożniku jednego z pokoi – niektórzy podchodzili, by z nim porozmawiać, ale było ich niewielu.

Goście wpisywali się do księgi, którą przygotował Harold. Niektórzy chętnie składali podpisy, bo cieszyła ich świadomość, że uczestniczą w kosmopolitycznym wydarzeniu pełnym światła, muzyki jazzowej i zapachu oleandrów w każdym pokoju. Pozostawiali krótkie wpisy wyrażające pochwałę i zadowolenie – *buen vino* albo *Dios bendiga*. Inni byli ostrożniejsi i martwili się, że ich słowa na zawsze pozostaną w księdze należącej do obcokrajowców, jakby to mogło być podejrzone z politycznego punktu widzenia. Oliwia pamiętała o Adriánie, zamordowanym chłopaku z Malagi, pamiętała o Izaaku zatroskanym o rozwój wypadków w kraju i zastanawiała się, na ile ta troska jest uzasadniona. Mimo wszystko podpisała się tuż pod Teresą i jej bratem.

Po wypiciu trzech kieliszków szampana Oliwia miała wrażenie, że duch zamordowanego snuje się po pokojach. Siedząc w wiklinowym fotelu, patrzyła na jego skrwawione ciało, które błąka się wśród gości. A oni, jak jej się wydawało, pili, tańczyli, krzyczeli i klaskali w dłonie z takim zaangażowaniem, jakby chcieli przepędzić go do krainy umarłych i przekazać dom w posiadanie żywym.

Jakaś kobieta miała na sobie długą satynową suknię koloru ciemnobieżowego. Płomienie świec iskrzyły się w mosiężnej spince do koszuli, lśniąc na tle kryształowej kuli księżyca. Teresa biegała od gościa do gościa, zawsze z tacą pełną napojów, wędlin i serów lub kawałków ciasta. Celowo unikała ojca. Pokój wypełniały głosy ludzi, a z kąta płynęły dźwięki gramofonu. Była też biegająca między grupkami gości Sara w purpurowej sukni z podobizną dwóch twarzy. Położyła dłoń na ramieniu Izaaka, a ten odpowiedział śmiechem. Ludzie garnęli się do niej jak ćmy do płomienia.

Oliwia wodziła wzrokiem za Izaakiem. Dokądkolwiek się udał, czuła, że jego osoba wypełnia przestrzeń od drewnianych belek pod sufitem po kieliszek szampana w jej dłoni. Loki zaczęły jej opadać, a ona nerwowo je poprawiała, by nie wyglądać na rozczochną. Izaak był pochłonięty rozmową z miejscowym lekarzem, którego słowa wprawiały go w ponury nastrój. Także i on nie rozmawiał z ojcem. Ubrany był w efektowne ciemnoniebieskie obcisłe spodnie, do tego założył płócienną marynarkę i niebieską koszulę. Wyobrażała sobie, jakiego koloru jest skryta pod nią skóra. Kiedy on się wreszcie odwróci i ją zauważy? Dotknęła zielonych kamieni, które miała na szyi i wychyliła czwarty kieliszek szampana. Zagubione dziecko, które było w niej przez całe życie, miało wkrótce odejść w niepamięć; jeszcze jeden kieliszek szampana – i zniknie zupełnie.

Dwóch gości przyniosło gitary, a ich palce wyczarowywały w duecie mistrzowskie dźwięki, biegając w górę i w dół po progach gryfów, nuta za nutą. Ludzie cieszyli się, słysząc tę muzykę, ale wtem ktoś podniósł ramię gramofonu, drapiąc igłą po płycie. Na krótką chwilę zapadła pełna konsternacji cisza. Mocno już pijany Harold ryknął z aprobatą w głosie:

– Niech grają! Chcę słyszeć magię dźwięków! *¡Quiero oír el duende!*

Od tego momentu przyjęcie nabrało tempa, wszyscy poczuli, że są razem. Ojciec i syn, którzy grali na gitarach, znali nie tylko popularne *canciones*, ale też flamenco i kilka takich właśnie utworów zagrali. Zaraz otoczył ich ciasny wianuszek słuchaczy, a na środek wyszła jakaś kobieta po sześćdziesiątce i zaczęła śpiewać. Z jej gardła wleciały dźwięki bólu i wolności. Po raz drugi tego wieczora Oliwia poczuła, że przeszły ją ciarki. Śpiewaczka przejęła całkowitą kontrolę nad zgromadzonymi. Śpiewała i szybko, rytmicznie klaskała w dłonie, w całym pomieszczeniu rozległy się okrzyki *¡Vamos!*, a

pełni podziwu słuchacze zaczęli tupać do rytmu.

Gregorio porwał do tańca dwie małe dziewczynki i okrążył z nimi cały pokój, a one aż piszczwały z zadowolenia, bo dźwięki gitary i śpiew rozbrzmiewały teraz z pełną mocą. Głos śpiewaczki brzmiał tak, jakby ożyła w nim cała pradauna tradycja. Oliwia wstała i wychyliła piąty kieliszek szampana. Chociaż nie, tym razem był to jakiś mocniejszy trunek, woda ognista, która zaczęła palić jej trzewia. Głos kobiety był szorstki, zbolały i doskonały, a za oknami gęstniał mrok. Ćmy leciały do latarni prosto w śmierć. Wśród tylu obcych wypełniających dom Oliwia czuła się jak u siebie.

Jej ojciec zawołał, że czas na sztuczne ognie.

– *iFuegos artificiales!* – ryknął z mocnym akcentem. Tymczasem Oliwia błądziła wzrokiem po pokoju w poszukiwaniu Izaaka. Dojrzała, jak wymyka się za drzwi. Tłum zaczął przemieszczać się w głąb finki, by wyjść na werandę i stamtąd obserwować fajerwerki wybuchające nad sadem. Oliwia stanęła, zaskoczona potokiem ludzkim płynącym przez korytarz. Raptem zauważyła, że Izaak zmierza w przeciwnym kierunku, ku drzwiom frontowym. Dlaczego uciekał z tego centrum świata?

Ruszyła za nim chwiejnym krokiem, oddalała się od domu i brnęła w gęsty mrok lutowej nocy. Miała nad głową usiane gwiazdami niebo. Księżyc wzeszedł wysoko, ale straciła go z oczu, krew szybko jej stygła, szła przed siebie, poprzez zardzewiałą bramę i potem piaszczystą drózką w stronę wioski, zataczała się, potykała na kamieniach i klęła w duchu, że w swej głupocie wybrała się w butach na wysokim obcasie.

Jakaś dłoń zatkała jej usta. Mocne ramię oplotło jej szyję i ściągnęło z dróżki. Wiła się i kopała, ale ten ktoś miał mocny uścisk.

Oliwia sięgnęła oburącz i zaczęła walczyć, mocno ugryzła palce, które przeszkadzały jej w oddychaniu.

– *iMierda!* – powiedział mężczyzna i Oliwia odzyskała wolność.

– Izaak?

Oboje stali, dysząc, i patrzyli na siebie z niedowierzaniem.

– Señorita... Myślałem, że ktoś mnie śledzi.

– No i śledził. Ktoś, czyli ja. Jezu Chryste!

– Jesteś ranna?

– Nic mi nie jest. A ty?

– Proszę, nie mów swojemu ojcu...

Oliwia roztarła kark.

– A po co miałabym mu mówić? Zawsze tak wyskakujesz na ludzi z ukrycia?

– Proszę cię, wracaj na przyjęcie.

Oliwia wyczuła, że jest głęboko poruszony.

– Dokąd idziesz? – spytała.

– Nigdzie.

– Kłamiesz.

– Wracaj. Tu jest dla ciebie niebezpiecznie.

– Nie boję się. Chcę pomóc. Dokąd idziesz?

W ciemności nie mogła dostrzec jego miny, ale wyczuła wahanie i serce głośniej jej zabiło.

– Idę do kościoła – powiedział.

Zaśmiała się.

– Do spowiedzi?

– Można tak powiedzieć.

Wyciągnęła rękę i ujęła go za dłoń.

– Prowadź – powiedziała.

Później, gdy Oliwia leżała już w swoim łóżku, nie mogąc zasnąć, rozmyślała nad tym, co się stało i dochodziła do wniosku, że przyczyną wszystkiego był alkohol. Kiedy Izaak ją malował, nie mogła tego znieść. Nie uważała siebie za atrakcyjną modelkę i nie potrafiła dorównać matce. Ale teraz byli sobie równi – już nie w roli obserwatora i obserwowanej. W ciemnościach umiała być sobą, brać mężczyzn za rękę i prowadzić ich wbrew woli w siną dal.

– Pewnie jest ci zimno – powiedział. Poznała po głosie, że i on jest dość mocno pijany. Kiedy zdjął marynarkę i otulił jej ramiona, Oliwia poczuła, że jej skóra wibruje, a całe ciało zalewa przyjemność powodowana jego troską i niepokojem.

Po dziesięciu minutach dotarli do kościoła Świętej Rufiny, który górował nad głównym placem Arazuelo. Ta część wioski opustoszała, bo większość mieszkańców poszła do finki, by cieszyć się muzyką i manzanillą, której całe baryłki ofiarowali gospodarzowi w prezencie.

Oliwia i Izaak odwrócili się, by spojrzeć na fajerwerki rozbłyskujące na

niebie: czerwone, zielone i pomarańczowe, niczym gigantyczne jeżowce albo tryskające fontanny. Izaak pchnął drzwi kościoła i wszedł po cichu, a Oliwia za nim. Wystraszona, z trudem oddychała kadzidlany miazgą. Księżycowa poświata wpadała przez okno i oświetlała nawoskowane ławki i wmurowane w ściany figury groźnych świętych. Poczowała, że dłoń Izaaka wysuwa się z jej dłoni, a jego oddalające się kroki zadudniły w całej nawie.

– Izaaku...

Z tyłu, za ławkami, rozległ się odgłos wystrzału, a potem kolejny i jeszcze jeden. Oliwia była zbyt przestraszona, aby krzyżeć. Na zewnątrz ciągle wybuchały fajerwerki. Dziewczyna wrosła w posadzkę i skuliła się ze strachu. Nagle Izaak stanął przy niej i położył dłoń na jej ramieniu.

– Szybko – powiedział. – Musimy iść.

Chwytał ją za rękę i rzucili się biegiem.

– Coś ty zrobił? – syknęła. – Czy ksiądz... Izaaku, coś ty, u licha, zrobił?

Przez całą drogę do finki nie zwolnili biegu. Oliwia musiała zrzucić buty i biegła boso, raniąc sobie stopy o kamienie. Przy wejściu stanęli bez tchu. Fajerwerki wciąż rozbłyskiwały, a w powietrzu unosił się przypominający siarkę zapach prochu.

Oliwia oparła się całym ciężarem o bramę.

– Czy zostałam współuczestniczką morderstwa? – szepnęła. – Jezu, to wcale nie jest zabawne.

Izaak położył dłoń na jej twarzy.

– To za Adriána – powiedział.

– O czym ty mówisz?

Zaczął całować Oliwię, a potem objął ją w talii. Czowała, że jest z niej dumny, a wyrażał to, targając jej włosy, wodząc wargami po jej szyi, aż do klatki piersiowej, pod szmaragdami, które parzyły jej skórę. Wreszcie stała się dla niego kimś. Wreszcie.

Izaak przejechał palcami po naszyjniku.

– Skąd go masz?

– Od przyjaciółki. – Pocałowała go w usta, by nie mógł więcej pytać. Nigdy nawet nie podejrzewała, że jej ciało może doświadczyć takich doznań ani że mogłaby doprowadzić mężczyznę do takiego zachowania.

Pocałował ją jeszcze raz. Oliwia rozchyliła usta i wsunęła dłoń we włosy

Izaaka, całym ciężarem oparta plecami o zardzewiałą bramę. Wtuleni w siebie, całowali się, całowali, całowali, aż z finki ponownie dobiegł żałosny śpiew starej kobiety, a w drzwiach wejściowych stanęła jakaś postać i zaczęła im się przyglądać.

Oliwia chciała usiąść, ale jej mózg przeszył lekki ból. Miała pustynię w ustach i sztywny kark. Leżąc w skopanej pościeli, czuła szum w głowie i bolał ją brzuch, a włosy cuchnęły dymem tytoniowym.

Błyskawicznym ruchem dotknęła swego ciała. Była naga. Jezu, gdzie ubrania? Spojrzała w lewo. Ktoś starannie ułożył jej sukienkę na krześle; w pończochach poleciały oczka, a na piętach widać było plamy krwi; kołnierz z lisa zwisał z oparcia. Wyglądał jak łup myśliwego – obdarty ze skóry i wypatroszony, świecił martwym szklanym okiem i okropnymi doklejonymi zębami. Dotknęła szyi – ciągle miała naszyjnik ze szmaragdów, który oparł się na obojczyku.

Ponownie usłyszała wystrzał – kościół, ciemność, fajerwerki, zardzewiała brama – czy to wszystko sen? Tyle się zdarzyło – wszystko jednego dnia. W oddali rozdzwonił się telefon. A może przed domem czeka już gwardia cywilna, gotowa ją zabrać?

Izaak. Pocałunek – jak to możliwe, że nie znała dotąd tego smaku? Jak mogła bez niego żyć? Izaak zaciągnął ją tam w ciemnościach, strzelił w kościele z pistoletu, a potem ją pocałował. Chciała jeszcze jednego pocałunku, potrzebowała go bardziej niż oddechu.

Czuła, że odnajduje w sobie nową rzeczywistość, jakby jakieś ukryte drzwi zostały nagle otwarte w jej wnętrzu, ukazując kręty korytarz, a ona właśnie się w niego zapuściła. Od momentu gdy poznała Izaaka, ten mężczyzna zapanował nad jej wyobraźnią. Po raz pierwszy w życiu Oliwia poczuła się kimś bardzo ważnym. Obawa przed tym, co mogło nadejść, mieszała się z pożądaniem, które było tak potężne, że nie zaspokoiłoby go chyba nawet oddanie się Izaakowi.

Nie zauważyła, że obok łóżka stoi Teresa i wpatruje się w fałdy pościeli.

– Przygotowałam ci kąpiel – powiedziała, odwracając szybko wzrok od nagości Oliwii.

– Kto dzwonił?

– Nikt.

– Jak to nikt? Kto to był, Tere?

Oliwia dostrzegła wahanie Teresy.

– Nie wiem.– Czy policja tu jest?

– Nie, señorita.

– Nigdy już nie będę piła.

– Masz przy łóżku szklankę koziego mleka.

– Nie mogę.

– Jest też wiaderko.

Oliwia schyliła się i zajrzała do wiadra. Na jego dnie leżały grudki ziemi z ogrodu. Zwymiotowała gwałtownie.

– Señorita – odezwała się Teresa – mój brat pokaże dzisiaj obraz.

– Dzisiaj? – jęknęła Oliwia i opadła na pościel. – Tere... czy były... czy są jakieś wieści z wioski?

– Ktoś się w nocy włamał do kościoła. I postrzelił figurę Matki Boskiej.

– Co takiego?

– Padre Lorenzo jest wściekły – powiedziała Teresa. – Wystawił ją na głównym placu i krzyczy.

Oliwia usiłowała pozbierać myśli.

– Kogo wystawił?

– *La Virgen* – wyjaśniła Teresa po hiszpańsku. – Była bardzo stara, drewniana, drogocenna. Dosięgły ją trzy strzały. Zabrali figurę do gabinetu doktora Moralesa. Jakby on miał przywrócić jej życie – zakończyła Teresa z ironicznym uśmiechem. – Wiesz, o co pytają, señorita? Pytają, co to za człowiek, który strzela w pierś Madonny.

Oliwia nic nie odpowiedziała, zamknęła oczy.

– Mój brat jest dzisiaj jeszcze bardziej chory niż ty – dodała Teresa.

– No tak. Udało się przyjęcie.

– Wiem, od czterech godzin sprzątam. Chodź do łazienki, zanim wystygnie woda. – Teresa stanęła obok łóżka i rozłożyła wielkie płótno kąpielowe. Oliwia posłusznie wstała, Teresa owinęła ją szczelnie i wyprowadziła z pokoju.

Nasiona Teresy ładnie już kiełkowały przed domem, listeczki wyłaniały się z użyźnionych radlin, tam gdzie jeszcze w styczniu dreptały obie z Oliwią. Dęby korkowe i słodkie kasztanowce okryły się żywszą zielenią, a w słońcu było cieplej o kilka stopni. Choć nie zakwitły jeszcze kwiaty, a w powietrzu

utrzymywał się chłód, Teresa wyczuła zapach odchodzącej zimy, w niewytłumaczalny sposób nabrała pewności, że zbliża się kolejna, pełna nadziei pora roku.

Usiadła na zniszczonej, zielonej sofie w saloniku od wschodniej strony. Słyszała, jak na górze Oliwia spuszcza wodę z wanny. Myślała o Adriánie – wydało się jej niepojęte, że ktoś tak młody mógł umrzeć.

Myślała o szalonym przyjęciu u Schlossów, o zagniewanym Izaaku, gburowatym ojcu, ostrzelanej Madonnie. Wszystko było takie niepewne.

A jednak co do mającej nastąpić prezentacji obrazu nie miała nawet cienia wątpliwości. Poprzedniego dnia zapytała brata, czy brak mu będzie sesji z Sarą i Oliwią, ale zignorował jej pytanie i poszedł do wioski po stół i krzesła, które doktor Morales obiecał wypożyczyć na przyjęcie.

Tego ranka Teresa wsunęła głowę do pokoju Izaaka i powiedziała mu, że jeżeli chce, ona może wziąć portret i przygotować go do uroczystego odsłonięcia.

– Postawię obraz na sztaludze w pobliżu wschodniego saloniku – zaproponowała. Błady jak płótno Izaak leżał w sypialni w kompletnych ciemnościach. Uniósł się na chwilę, spojrzął na nią i powiedział:

– Dobrze. Cieszę się, że jest gotowy. Ale nie pokazuj go, dopóki nie przyjdę. Teresa postawiła jedną z pozostałych butelek Clicquota na werandzie, by się schłodziła przez noc. Otworzyła też wszystkie okna, by wywietrzyć każdy kąt, gdzie czaił się jeszcze tytoniowy dym. Trudne do usunięcia plamy po sherry przyciągały chmury mrówek. Teresa rozgniotła owady butem, ustawiła sofę i krzesła w półokrąg przed sztalugą i zakryła obraz białym prześcieradłem. Wstawiła szampana do metalowego pojemnika i poszła do kuchni. Dawno już nie miała takiej jasności w głowie i tak wyraźnego poczucia celu jak tego poranka. Od nadmiaru ekscytacji robiło jej się prawie niedobrze.

Trzydzieści minut później wszyscy byli już na miejscu. Harold, który z całej rodziny najszybciej odzyskał formę, miał na sobie świetnie skrojony garnitur i wyglądał nieskazitelnie. Sara sprawiała wrażenie osłabionej, a palce jej drżały, gdy podawała kieliszek szampana córce, która zbladła na sam jego widok. Izaak przysiadł na skraju zniszczonej sofy, głęboko zaciągał się papierosem i kiwał stopą. Właśnie teraz miał zabłysnąć – tutaj, w obecności

wielkiego marszanda, Harolda Schlossa. Teresa dostrzegła, jak spotkały się oczy jego i Oliwii, a dziewczyna posłała mu uśmiech, który był jak przebłysk rozkoszy. Zdziwiony Harold spoglądał na żonę, nie mógł zrozumieć, o co tutaj chodzi.

Teresa zastanawiała się, czy tego ranka odebrał telefon, bo sama obiecała sobie, że już nigdy nie podniesie słuchawki.

Sara wstała.

– Drogi Haroldzie – powiedziała. – W imieniu wszystkich chciałabym ci podziękować za tak wspaniałe przyjęcie. Jak widać, nawet tu, na skraju cywilizowanego świata, nie zatraciłeś swojego stylu.

Wszyscy się roześmiali, a Harold wzniósł kieliszek.

– Nie da się ukryć, że ostatnio niezbyt nam się układało – ciągnęła Sara. – Ale podoba nam się tutaj, prawda, kochanie? I dobrze nam się tu żyje. Chcę, to znaczy chcemy, dać ci wraz z podziękowaniami mały podarunek. Oto Oliwka i ja, najdroższy – powiedziała, ściągając płótno z obrazu. – Pan Robles namalował nas dla ciebie.

Teresa przełknęła szampana, którego jej podano. Zdjął ją nagły strach, w ustach poczuła smak musującego trunku, a we krwi jego działanie. Izaak przecesał dłonią włosy. Gdy opadło płótno, kłykcie zaciśniętej na oparciu dłoni Oliwii zbieleły. Wszyscy obecni nabrali powietrza w płuca.

Oliwia była głęboko poruszona. Nie rozumiała tego, co widzi. Powierzchnię obrazu w dwóch trzecich pokrywał kolor indygo, poniżej złocił się łan pszenicy, a w nim widać było postaci dwóch kobiet. Jedna unosiła wysoko garnek na tle lśniącego pola, a druga leżała skulona w obronnej pozycji, otoczona potłuczonymi skorupkami.

Oliwia zobaczyła własny obraz. To była *Święta Justa w studni*. Przeniosła wzrok na Izaaka, ale on również patrzył z niedowierzaniem.

Co ten obraz tu robi – dlaczego nie jest na górze, ukryty w jej pokoju?

Oliwia spojrzała na Teresę, na jej twarzy dostrzegła wyraz tryumfu pomieszanego ze smutkiem.

Rozległy się oklaski. To ojciec patrzył na malowidło. Wręcz wiwatował na widok jej obrazu.

– Brawo, Izaaku – powiedział. – Brawo. Cóż za dzieło!

Sara zmarszczyła brwi i ułożyła ręce na biodrach.

– Prawdę mówiąc, nie tego się spodziewałam. Ale podoba mi się. Która z nas jest która, panie Robles? Podoba ci się, Haroldzie?

– Od dawna nie widziałem czegoś równie dobrego. Oliwko, wyglądasz, jakbyś zobaczyła ducha – powiedział ojciec. – Nie gniewasz się chyba, że pan Robles nie zrobił ci konwencjonalnego portretu?

Oliwia zaniemówiła. Była w stanie patrzeć jedynie na swój obraz i na ojca, który oglądał go ze wszystkich stron.

– Wspaniały – kontynuował. – Zawsze wiedziałem, że na wiele pana stać, Robles. Litografia, no naprawdę.

Głos Harolda był doniosły i ciepły, zawsze przybierał taki ton, gdy nowy obraz do niego przemawiał. Wywiązywała się wtedy niemal konwersacja, obraz z wolna go rozgrzewał i zaprzętał mu myśli – marszand go rozpracowywał, zabierał się do niego jak dziecko, które najpierw obraca landrynkę w ustach, oblizuje z wierzchu, a potem nadgryza i ssie, aż zupełnie rozpuści i połknie cukierek.

Oliwia czuła, jakby i ją ktoś zjadał – stopniowo, lecz do ostatniego kęsa.

– Prawdziwe dzieło sztuki. Doprawdy doskonałe – mówił Harold, a jej zdawało się, że głos ojca dobiega z dna studni. – Spójrzcie na ten garniec, i na tego jelenia. Świetnie namalowane. Znakomicie.

Izaak wpatrywał się w obraz. Baczenie przyglądał się to kolorom, to kompozycji, to znowu pociągnięciom pędzla, jakby i do niego dzieło przemawiało w jakiś szczególny sposób. Czy się gniewał? Oliwia nie była w stanie stwierdzić. Podobnie jak ona milczał. Zadawała sobie pytanie, gdzie się podział prawdziwy obraz Izaaka i czy jego autor się odezwie. Odwróciła się i dostrzegła spojrzenie Teresy. Już nie tryumfowała, tylko usiłowała ją do czegoś nakłonić.

– Panie Robles, jest pan prawdziwą gwiazdą – powiedziała Sara, kładąc mu rękę na ramieniu. – To dobry obraz.

Teresa skinęła głową w stronę Oliwii, miała szeroko otwarte oczy – i wtedy Oliwia zrozumiała. Teresa chciała skłonić ją do wyznania: „To mój obraz. Ja go namalowałam. Wszyscy jesteście w błędzie.” Jednak Oliwia nie rozumiała, dlaczego Teresie tak na tym zależy. Już miała otworzyć usta, już miała to wyznanie na końcu języka, gdy nagle przemówił jej ojciec:

– Powinniśmy zabrać ten obraz do Paryża – powiedział Harold. – Myślę, że

kilku tamtejszych kolekcjonerów mogłoby się nim zainteresować. Chciałbym to zrobić w pańskim imieniu, Izaaku. Postaram się, by godziwie za niego zapłacili.

– Do Paryża? – spytała Oliwia i zamilkła.

– Jaki ma tytuł? – zapytał Harold.

– Nie ma żadnego – odparł Izaak.

Harold wpatrywał się w malowidło.

– Myślę, że skoro mam spróbować go sprzedać, to powinniśmy przemilczeć, że Oliwka i Sara mają z nim cokolwiek wspólnego. A może *Dziewczęta w pszenicznym łanie*?

– Haroldzie – odezwała się Sara. – To jest prezent dla ciebie. Nie możesz go ot tak sprzedać.

Ale Harold nie słuchał.

– Może jednak lepiej *Kobiety w pszenicznym łanie*.

– Biedna Oliwka, taka na tym obrazie skulona – powiedziała Sara, dopiła kieliszek szampana i nalała sobie kolejny. – Panie Robles, jest pan okropny.

Izaak spojrział na Oliwię i Teresę.

– Tak – odparł. – Taki już jestem.

Wstał. Obraz spowodował w nim niemalże alchemiczną przemianę.

Nowy Izaak stał się twardszy, jakby dym na ich oczach zamienił się w złoto. Był teraz p r a w d z i w y m artystą – wszyscy to poczuli, choć nie umieliby powiedzieć, na czym polegała ta przemiana, nawet gdyby bardzo się starali.

– Tereso – powiedział, a Oliwia wychwyciła, że drży mu głos, gdy z trudem budował angielskie zdania. – Chodź, pomożesz mi w kuchni. Przyniosłem ci rzepę na zupę, jak chciałaś.

– Coś ty, do cholery, narobiła? – syknął Izaak. Wepchnął siostrę do kuchni, dźgając ją ręką między łopatki.

– Ja nic nie zrobiłam – odpowiedziała tym samym tonem Teresa. – W ogóle nie rozumiem, po co nakłamałeś o tej rzepie...

– Zamknij się. Musiałem coś wymyślić. – Przymknął drzwi. – Czyj to obraz?

– Oliwii. – Teresa uniosła głowę. – To jej obraz i jest dużo lepszy od twoich.

– Oliwii?

– Ona codziennie maluje. Dostała się do akademii sztuk pięknych, ale została tutaj. Nie spytałeś jej o to, jak jej wciskałeś język do gardła?

Izaak klapnął ciężko na krzesło, oparł ręce o stół i ujął głowę w dłonie.

– O Jezu, ona tam wystawiła własny obraz.

– Nie, to ja. – Twarz Teresy zaróżowiła się. – Ja go wystawiłam.

– Ty? Dlaczego?

Teresa milczała.

– O Jezu. Za to, że się z nią całowałem, co? Ale jesteś mściwa.

– Obiecałeś, że będziesz się zachowywał przyzwoicie. Obiecałeś. Złamiesz jej serce. Po co się tu wypychasz...

– A ty się nie wepchnęłaś z tymi swoimi kurczakami, jak jakiś Indianin do Kolumba...?

– Ja im codziennie pomagam. Beze mnie nie daliby sobie rady.

– Mogłabyś dużo osiągnąć, Tereso. A jesteś tylko służącą.

– A ty tylko bruździsz.

– Sara Schloss poprosiła mnie, żebym ją namalował, więc to zrobiłem. I coś ci jeszcze powiem. Alfonso przestał mi wypłacać pieniądze.

– Co takiego?

– To, co słyszałaś. Nie podoba mu się „styl mojego politykowania”. Więc pieniądze od Sary Schloss miały nam pomóc jakoś przeżyć. Zależało mi na tym, żeby zachować się profesjonalnie, Tereso...

– I ty myślisz, że ci uwierzę?

– Mam dużo ważniejszych zmartwień na głowie niż jakiś bogaty *guiri*, który ma słabość do wystawnych przyjęć...

– A to, że sobie urządzasz strzelnicę w kościele i potem chowasz się pod spódnicę Oliwii?

– Jesteś szpiegiem. I podżegaczem.

Wyprostował się i mówił niskim, złowrogim głosem:

– Przystąpiłaś do tych ludzi, Tere, bo wiedziałaś, jakie jest twoje życie. Od dzieciństwa tak robiłaś. Mając takiego ojca jak nasz i matkę Cygankę. Nie udawaj mi tu niewiniątka. Nie myśl sobie, że nie wiem, skąd pochodzi naszyjnik ze szmaragdami. Znam całą prawdę o pudełku w ogrodzie. Ale zostawiłem to wszystko bez słowa. A teraz co? Co my teraz mamy zrobić?

– Przyznasz się, że to nie twój obraz – powiedziała Teresa. Była wstrząśnięta i zmartwiona. – I oddasz Oliwii sprawiedliwość.

– Nie, on tego nie powie – odezwał się głos z korytarza. – On tego nie robi.

Oliwia otworzyła drzwi kuchni i od jakiegoś czasu przysłuchiwała się rozmowie rodzeństwa, stojąc cicho w progu. Trudno było wyczytać coś z jej twarzy. Wyglądała na wzburzoną, ale czy powodował ją gniew, smutek czy ciekawość, ani Izaak, ani Teresa nie byli w stanie odgadnąć.

Oboje zamarli w oczekiwaniu na jej kolejne słowa. Oliwia weszła do kuchni i zamknęła drzwi.

– Dlaczego to zrobiłaś? – spytała Teresę.

W oczach dziewczyny stanęły łzy.

– Chciałam... chciałam, żeby...

– Chciała, żebym miał za swoje, to miała być kara dla mnie.

Widziała nas w bramie wczorajszej nocy – powiedział Izaak. – Traktuj tę zamianę obrazów jako zemstę ze strony Teresy.

– Nie! To nie żadna zemsta, señorita – mówiła Teresa błagalnym tonem. – Po prostu twój ojciec powinien zobaczyć, jaka jesteś uzdolniona, jaka...

– To nie twoja sprawa – powiedział Oliwia. – Tere, zaufałam ci. Myślałam, że jesteśmy przyjaciółkami.

– Nadal możesz mi ufać.

– Niby jak?

– Przepraszam, ale ja wcale...

– Już za późno – westchnęła Oliwia. – Nie możemy tu stać, jakbyśmy robili naradę kucharek. Jeszcze chwila, a wszyscy nabiorą podejrzeń.

Izaak ponownie przecesał dłonią włosy.

– Powiem im, że to nie moje dzieło, señorita. Teresa nie powinna oszukiwać twoich rodziców. Są dla niej tacy dobrzy. A mój własny obraz jest przecież gotowy. Teresa przyniosła go dziś rano.

Oliwia okazała zainteresowanie.

– Gdzie jest obraz Izaaka, Tereso? Pokaż go.

Teresa weszła do spiżarni. Usłyszeli hałas przesuwanych po kafelkach beczek, a po chwili dziewczyna wyszła, uginając się pod ciężarem dużego płótna, oparła je o ścianę, a potem zdarła opakowanie.

Oliwia patrzyła w milczeniu. Obie z matką były rozpoznawalne, ale ich oczy były pozbawione głębi, a usta nienaturalnie czerwone. Za głowami unosiły się dziwne obłoczki jasności, spoza których wyglądało gładkie zielone tło. Nie czuło się w tym portrecie ani humoru, ani siły wyrazu, ciekawej kreski czy kolorystyki, oryginalności czy podskórnej magii. Brakowało tajemniczości, gry z widzem, narracji. Obraz nie był beznadziejny. Sprawiał wrażenie świątecznej pocztówki z podobizną dwóch kobiet.

Oliwia spojrzała na Izaaka. Patrzył na swoje dzieło z założonymi rękami i pomarszczonym czołem, skoncentrowany na ocenie efektu swych twórczych wysiłków. O czym myślał? Czy był zadowolony? Czy w jego ocenie to był d o b r y obraz? W tego rodzaju malarstwie nie było nic złego, bo niby dlaczego każdy obraz miałby stanowić intelektualne wyzwanie? Był prosty w odbiorze, ale i młodzieńczy w duchu. Ojcu nie przypadłby do gustu.

Oliwia zdała sobie w tym momencie sprawę, że pomimo trudności, jakie nastęrczało pozowanie, w głębi serca cały czas życzyła Izaakowi, by wypadł dobrze w roli portrecisty. Łatwiej przychodziło jej przyjąć taką ocenę niż uznać go za beztalencie. Może była nieodrodną córką swoich rodziców bardziej, niż myślała, ale zawsze wolała podziwiać czyjś talent, niż żałować, że ktoś przepadł z kretesem. Oliwia zamknęła oczy, by nie narażać swojego serca na cierpienie z powodu samego obrazu, czy może raczej słabych stron Izaaka. Powiedziała sobie, że nie zasłużył na pogardę, jaką okazałby mu jej ojciec. Kiedy je otwarła, zobaczyła skierowany na nią wzrok Izaaka i posłała mu szeroki uśmiech.

– Izaaku, słyszałeś, co powiedział mój ojciec? On chce zabrać ten obraz do Paryża. Chce go sprzedać.

– Señorita – odezwała się Teresa – pamiętam twoje słowa, że nie zależy ci na

światowej sławie, ale zastanów się dobrze, jaką szansę daje ci to, co się stało. Cieszę się, że podjęłam dla ciebie to ryzyko...

Oliwia zwróciła się w jej stronę.

– Wcale cię o to nie prosiłam.

– Naprawdę tak myślisz? – Teresa była zdumiona.

– Tere, dość już tego – powiedział Izaak.

– Musimy wyznać prawdę! – nalegała Teresa.

– Mój ojciec jest przekonany, że to Izaak namalował *Świętą Justę w studni*, czy też *Kobiety w pszenicznym łanie*. On chce wziąć do Paryża obraz Izaaka, nie mój.

– Ale wystarczy, żebyś mu powiedziała, że to ty jesteś autorką.

– Tylko czy wtedy byłby to nadal ten sam obraz? – spytała Oliwia.

– Nie rozumiem. – Teresa zmarszczyła czoło.

– Nie zamierzam się odzywać.

– Naprawdę?

Z pokoju dobiegły okrzyki i szum rozmów.

– Myślę, że mój ojciec straciłby entuzjazm, gdyby się dowiedział, że to moja praca – powiedziała Oliwia.

– Nie – wtrącił Izaak. – To nieprawda.

– Skąd ta pewność? – spytała. – Ja chcę, żeby ojciec pojechał do Paryża. Chcę, by zabrał obraz. Może z tego wyniknąć coś zabawnego. Chcę się po prostu przekonać.

– Tak nie można – oponowała błagalnym głosem Teresa. – Kiedy powiesz ojcu, będzie początkowo zdziwiony, ale potem obejrzy pozostałe twoje dzieła...

– Nie.

Oliwia uniosła dłoń, próbując nakłonić Teresę, by umilkła, ale ta zlekceważyła jej nakaz:

– Nie znasz swojego ojca. On...

– Och, znam ojca, nie martw się – przerwała jej Oliwia. – I matkę też. Oboje są przekonani, że to obraz Izaaka. I tylko to się dla nich liczy, rozumiesz? To, w co wierzą. Prawda jest nieważna, bo prawdą staje się to, w co ludzie wierzą. Przecież Izaak mógł ten obraz namalować, dlaczego by nie?

– Nigdy by takiego nie namalował – stwierdziła Teresa, a mówiąc to, tupnęła.

– Ty jesteś wszystkiemu winna, Tere. – Oliwia dała wyraz swojemu zdenerwowaniu. – Więc lepiej zamilknij.

– Ale ja nie chciałam, żebyś ty...

– To jakieś szaleństwo – odezwał się Izaak. – To *una locura*. Mój obraz jest tu.

– Już powiedziałam, Izaaku. Będzie z tego trochę zabawy – upierała się Oliwia.

– Po co ta maskarada? – ciągnął Izaak. – To jest mój obraz...

– Proszę cię, Izaaku. Może ojcu nie uda się sprzedać *Kobiety w pszenicznym łanie*. Obraz zostanie w rodzinie. I wszystko pójdzie w niepamięć. A wtedy podarujesz mu swój.

– A jeżeli sprzeda twój? Co będzie, jak sprzeda obraz Izaaka Roblesa, którego nie namalował Izaak Robles?

– Jeżeli go sprzeda... No cóż, ja tych pieniędzy nie potrzebuję, a ty tak. Słyszałam, co powiedziałeś o swoim ojcu. Jeżeli mój ojciec sprzeda obraz, to ty będziesz mógł wydać pieniądze na to, czego potrzebujesz. Podręczniki, wycieczki, jedzenie, wyposażenie dla uczniów, na pracowników. – Oliwia zawiesiła głos. – „Czego chcesz w życiu?”, czy nie takie pytanie mi zadałeś? Więc odpowiadam, Izaaku. Chcę... być użyteczna.

– Sztuka nie jest użyteczna.

– Nie zgadzam się. Ona może przyczyniać się do zmian. Może pomagać twojej sprawie.

– Nie mogę się na to zgodzić.

– Izaaku. Weź obraz, który oni tam oglądają. Dla mnie nie ma on znaczenia.

– W to na pewno nie uwierzę, Oliwio.

– Pozwól mi zrobić coś użytecznego. Daj mi poczuć się potrzebną. Ja jeszcze nigdy w życiu nie zrobiłam niczego pożytecznego.

– Ale...

– Nie przyznam się, że ten obraz w pokoju jest mój, Izaaku. Przynajmniej nie przed ojcem, a teraz on jest jedyną osobą, która się nim zajmuje.

– Ale on go pochwalił. Teresa ma rację... nie rozumiem cię...

– Posłuchaj, tylko ja wiem, jak rzadko mu się to zdarza. – Oliwia wyprostowała się i poblądła na twarzy. – Więc skoro już tak zareagował, wykorzystajmy to. Zostań Izaakiem Roblesem, twórcą. Choćby jednego obrazu.

Izaak milczał przez minutę. Wyglądał na zgnębionego. Stojąca przy nim Teresa nerwowo naciągała sweter.

– Ależ to nie jego obraz – szeptała.

– Jeżeli mu go podaruję, będzie jego – oświadczyła Oliwia.

– A ty pozostaniesz w cieniu, señorita. Poświęcasz się...

– Wręcz przeciwnie. To właśnie ja wychodzę na pierwszy plan. Bo jeżeli obraz się sprzeda, to moje dzieło zawiśnie na ścianie gdzieś w Paryżu. Prawdę mówiąc, mam w tym dość egoistyczny interes. Układ doskonały: cała przyjemność tworzenia, a do tego święty spokój.

Izaak przeniósł wzrok ze swojego obrazu na kuchenne drzwi, za którymi, po drugiej stronie korytarza, stały na sztaludze *Kobiety w pszenicznym łanie*. Wciąż dobiegały stamtąd zachwycone okrzyki Harolda. Wystrzelił korek przygotowanego przez Teresę szampana, a Sara zanosła się śmiechem. Izaak skupiał się to na jednej, to na drugiej rzeczywistości.

– Nie rób tego, Izaaku – szepnęła Teresa. – Señorita, pora pójść i przyznać, że to twoje dzieło.

– Izaaku, może to nasza szansa, żeby dokonać czegoś niezwykłego.

Oliwia podała mu rękę, ale przez moment Izaak tylko się jej przyglądał. Dopiero po chwili uniósł swoją i podał Oliwii na znak zgody.

Następnie pchnął drzwi i hałaśliwym krokiem ruszył przez korytarz. Kiedy już zniknął w pokoju, Oliwia odezwała się do Teresy z błyszczącymi oczyma:

– Zabierz to do mojego pokoju i już się rozchmurz, Tere. Wszystko będzie dobrze. Schowaj portret pod łóżkiem.

Spojrzała jeszcze raz na niezbyt udaną wersję swojej twarzy, która wyszła spod pędzla Izaaka.

– Czy on mnie tak właśnie widzi?

– Nie mam pojęcia – odparła Teresa. – To tylko obraz.

– Wiem, że tak naprawdę myślisz coś innego – powiedziała z uśmiechem Oliwia.

Jeżeli uśmiech ten miał być oznaką przebaczenia, to nie podniósł on Teresy na duchu. Patrzyła, jak Oliwia odwraca się i podąża korytarzem za Izaakiem. Drzwi pokoju ponownie się otworzyły. Teresa została w kuchni sama i wsłuchiwała się w dobiegający zza drzwi śmiech oraz brzęk kieliszków.

Izaak wracał do domu oszołomiony. Był bardzo zmęczony i miał potężnego kaca. Harold odbył z jakąś kobietą rozmowę telefoniczną w sprawie obrazu, wyraziła zainteresowanie, więc rano wyjeżdżał do Paryża. Schlossowie błagali Izaaka, aby został na uroczystym obiedzie, ale on nie mógł już tego znieść. Był wykończony. Niemalże chciał, by obraz się nie sprzedał, żeby skierowana przeciw rodzicom wendeta Oliwii okazała się jedynie spóźnionym wybrykiem nastolatki, który szybko pójdzie w niepamięć, a po latach będzie przez nią samą wspominany ze śmiechem. Lud. Chciała pomagać ludowi. Tak naprawdę chciała pomóc sobie, a Izaak zdawał sobie sprawę, że jej to umożliwił.

Namacał schowane w kieszeni papierosy i zapalił, zaciągnął się głęboko, a potem wypuścił dym z westchnieniem. Co on właściwie robi?

Gdy szedł pod górę w stronę domu, kręciło mu się w głowie. Pchnął drzwi i ponownie stanęło mu przed oczami przyjęcie, ten pocałunek w bramie. Miał wrażenie, że od tamtej chwili minęło pół roku. Kiedy Oliwia uparła się, by iść z nim do kościoła, uznał to za spontaniczny bunt, który wzbudził w nim podziw. Ale nie zdawał sobie sprawy, jak potężny jest w niej duch buntownika.

Od samego początku powinien był trzymać się z dala od finki.

Trzeba było odrzucić zamówienie, poradzić Teresie, by znalazła sobie pracę gdzie indziej, nie zatrzymywać Oliwii w ciemnościach, gdy biegła z rozwianymi włosami w wieczorowej sukni. Powinien był wkroczyć do salonu i osobiście zademonstrować własny obraz. Źle zrobił, oddając inicjatywę w ręce Oliwii. Udawanie nie było jego mocną stroną i nie miał na to najmniejszej ochoty.

Odgłos kroków na żwirze kazał mu spojrzeć za siebie. To Oliwia biegła za nim pod górę. Zatrzymała się, by zaczerpnąć oddechu, a on czekał, czując niepokój.

– Chciałam tylko powiedzieć, żebyś się nie martwił. Obiecuję, że wszystko będzie dobrze. Jeżeli obraz się sprzeda, pieniądze trafią do ciebie. To wszystko. Koniec, kropka.

– Już jest po wszystkim.

– Słuchaj, Izaaku. Obiecuję, tylko ten jeden obraz.

– W porządku – powiedział i zamierzał się odwrócić.

– Czy na tym jednym pocałunku się skończy? – spytała. Ponownie zwrócił się ku niej, a ona podeszła bliżej, jednak zatrzymała się w takim miejscu, że nie mógł jej dosięgnąć. Zmierzyli się wzrokiem.

Izaak miał dosyć jej deklaracji, był też zmęczony samym sobą.

Ujął dziewczynę w talii, przyciągnął do siebie i pocałował mocno w usta. Gdy ją objął, w Oliwię wstąpiło nowe życie – poczuł, z jaką mocą jej ciało mu odpowiada, kiedy go całowała. Zmusił się do oderwania od niej ust.

– Chciałam tego – powiedziała Oliwia. – Od dnia, kiedy się spotkaliśmy.

– Nie do wiary. – Zaśmiał się nieprzyjemnie.

Zrobiła krok w tył.

– Pozwoliłeś mi na to, Izaaku. Zastanawiałam się, dlaczego i pomyślałam... no więc, pomyślałam sobie...

– Na nic ci nie pozwoliłem, sama sobie wzięłaś.

– Chyba oboje dobrze wiemy, jak było.

– Jesteś pewna? Zachowaliśmy się jak dzieci. Cała nasza trójka, namawialiśmy się tam w kuchni jak dzieciaki. To czyste pozory. Jakbyśmy się przebierali, mścili na dorosłych. Tylko moja siostra próbowała być uczciwa.

– Nie miałam na myśli obrazu, Izaaku.

Izaak milczał. Po jej twarzy przebiegł skurcz strachu.

– Więc mnie nie chcesz – powiedziała. Zaczęła się zbierać do odejścia.

Izaak poczuł, że coś się w nim załamuje. Ruszył w stronę domu, ale kiedy usłyszał, że Oliwia idzie za nim, ponownie się zatrzymał.

– Ja tylko... chcę, żebyś to był ty – powiedziała.

Szedł dalej, wciąż słysząc jej kroki.

Zamknął drzwi. Stanęli twarzą w twarz. Panował półmrok, ale

Izaak dostrzegł, jak Oliwia sięga w stronę guzika bluzki i rozpina go.

Potem spokojnie i z wojskową precyzją rozpięła kolejne, guzik za guzikiem, aż bluzka zsunęła się jej z ramion. Nie miała stanika.

Stała tak przed nim, ukazując idealne ciało, jej biodra i uda okrywała zastygła w bezruchu spódnica. Była pewnie przekonana, że Izaak myśli teraz o niej, ale tak nie było. On wciąż miał w pamięci dawno utraconą Letycję, dwudziestosiedmioletnią kobietę, oraz piętnastoletniego siebie – wciąż był jej

wdzięczny za to, że tamtego poranka tak hojnie go obdarowała, że się z niego nie śmiała i potraktowała jak mężczyznę, którym tak bardzo chciał się stać.

Izaak podszedł do Oliwii i objął ją w talii. Oddychała głośno, kiedy uniósł ją i posadził na stole, tak że stopami ledwo sięgała podłogi. Siedziała nieruchomo, gdy jednym palcem dotknął jej szyi, a potem zjechał nim w dół, pomiędzy piersi, aż dotknął spódnicy. Przeszedł ją dreszcz i odchyliła się, wyginając plecy w łuk, uniosła biodra, a Izaakowi przemknęło przez myśl: „Dlaczegoż by nie, dlaczego nie?” Zbliżył usta do jej piersi, całował je bez opamiętania. Usłyszał głośny oddech dziewczyny, gdy jego palec przemknął po jej udzie i wślizgnął się do majtek. Poczuł, że naprężyła uda.

– Jeszcze? – zamruczał.

Na krótką chwilą zapadła cisza.

– Jeszcze – poprosiła.

Odrzucił spódnicę Oliwii na wysokość bioder, a potem opadł na kolana i rozchylił jej uda. Kiedy przejechał językiem po skraju majtek, Oliwia znów głośno nabrała powietrza. Przestał.

– Jeszcze? – zapytał.

– Tak – powiedziała znowu, więc odsunął brzeg tkaniny i sięgnął dalej. Otwierał usta coraz szerzej, a jego język przesuwiał się i zataczał koła, wnikał coraz głębiej.

– Czy to się dzieje naprawdę? – szepnęła Oliwia, a potem nie była już w stanie wydobyć z siebie ani słowa.

Izaak nie przestawał i po chwili dziewczyna wpiła się w niego mocno ustami i wydała jęk, który przeszedł w przeciągłe westchnienie.

Z drżeniem opadła na stół i rozrzuciła ramiona na drewnianym, pełnym sęków blacie. Izaak wyprostował się i patrzył na nią, dłonie trzymając na udach dziewczyny. Obserwował, jak wcześniej wysklepione plecy układają się teraz płasko, twarz odwraca się w bok i zakwita na niej uśmiech, oznaka tryumfu i rozkoszy.

– Jeszcze? – spytał Izaak.

Oliwia otworzyła oczy, szerzej rozchyliła uda i spojrzała na niego.

– Jeszcze – odparła.

III

DZIEWCZĘTA I LEW





Moje pierwsze opowiadanie, które zostało opublikowane w Anglii, ukazało się w „London Review”, na stronach siedemdziesiąt cztery do siedemdziesiąt siedem. Nosiło tytuł: *Kobieta bez palców u nóg* i nawet zapłacili komuś, żeby wykonał do niego ilustrację. Zgubili jedno „e” na końcu mojego imienia, więc można było pomyśleć, że napisał je mój ojciec. Nadal mam jeszcze dwa egzemplarze tego właśnie wydania – to, które sama kupiłam, i drugie, które wysłałam matce do Port-of-Spain, zwrócone mi wiele lat później, po jej śmierci.

Mama zrobiła na swoim egzemplarzu adnotację: „Moja dziewczynka!” i ku mojemu rozbawieniu dopisała długopisem to brakujące „e”. Po latach, na jej pogrzebie, moja dalsza kuzynka Louisa powiedziała mi, że pani Bastien rozprawiała ten egzemplarz „London Review” wśród wszystkich swoich znajomych niczym jednoosobowa wypożyczalnia książek, z surowym przykazaniem, że każdy pożyczający może go zatrzymać tylko na jedną noc. Myślę, że więcej osób przeczytało to opowiadanie w Port-of-Spain niż w kręgach literackich Londynu. Co z tego zrozumieli, nigdy się nie dowiem.

To Quick należało za to wszystko winić – lub jej podziękować – bo to ona znalazła wydawcę. Myślę, że Quick bardzo sobie ceniła symetrię, zatem skoro ja zostawiłam na jej biurku maszynopis, ona postąpiła podobnie, zostawiając na moim biurku egzemplarz czasopisma z wydrukowanym opowiadaniem. Uznałam, że to dosyć dziwne: w ogrodzie przekonywała mnie, że nie powinnam zważać na opinie innych, a potem oddała moją pracę do publikacji, bym zyskała powszechne uznanie.

– Znajdź stronę siedemdziesiątą czwartą – poleciła mi, nerwowo drapiąc się u nasady szyi. Spełniłam jej życzenie, siedząc w instytutowym pokoju i pragnąc tylko jednego: żeby Quick jak najszybciej stąd wyszła i zostawiła mnie samą. Chciałam w spokoju napawać się widokiem wprawdzie niekompletnego, ale jednak mojego imienia i nazwiska umieszczonego na tej stronie. Tymczasem Quick nie zamierzała wychodzić, dlatego musiałam tłumić w sobie narastające emocjonalne tsunami, tę radość, którą najchętniej wyraziłabym głośnym krzykiem – a on niósłby się po placu i dalej, ponad dachami domów, aż do wybrzeży hrabstwa Kent. Imię i nazwisko mego ojca: Odell Bastien, a pod spodem tekst napisany przez jego córkę. Przysięgłam

sobie, że następnym razem dopilnuję, by już nie brakowało końcowego „e”. Ale tymczasem musiałam się zadowolić tym, co już zostało opublikowane. Ważne, że słowa były moje.

Quick uśmiechnęła się i wtedy jej wymizerowana twarz całkiem się odmieniła. Zrobiła się radosna, młodzieńcza, przez chwilę promieniała radością i zadowoleniem. Tamtego dnia moja szefowa była ubrana w ciemnozielone spodnie, lekko rozszerzane ku dołowi, i wiązaną pod szyją na kokardę jedwabną bluzkę, pasującą do jesiennej aury, z powtarzającym się motywem brązowych liści. Zauważyłam, że materiał na udach układał się trochę za luźno – Quick bez wątpienia zeszczuplała.

– To doskonałe opowiadanie – powiedziała – dlatego zdecydowałam się je wysłać. Nawet uzyskałam dla ciebie honorarium. Trzydzieści funtów.

– Trzydzieści f u n t ó w?

– Mam nadzieję, że postąpiłam właściwie. Nie masz nic przeciwko?

– Nie wiem, jak mogłabym wyrazić pani swoją wdzięczność. Bardzo dziękuję.

Quick roześmiała się i usiadła naprzeciwko mnie, szukając czegoś w kieszeni spodni. Po chwili zapaliła papierosa i mocno się nim zaciągnęła.

– Nie musisz mi dziękować – powiedziała. – To była naprawdę doskonała lektura. Czy odwołałaś się do jakichś własnych doświadczeń z Dolcis?

– Może trochę.

Spojrzała na mnie.

– Jakie to uczucie być autorką opublikowanego tekstu?

Znowu spojrzałam na pierwszą stronę opowiadania: farba drukarska, której nie można już było usunąć, zwodnicze wrażenie trwałości papieru. Doznałam uniesienia, mój umysł był jak katedra wypełniona wiernymi pragnącymi przystąpić do mojego ołtarza.

– Niesamowite – powiedziałam.

– Pisz dalej – radziła mi Quick. – Nie ustawaj w wysiłkach, bo widać, że ci to dobrze wychodzi.

– Będę się starać. Jeszcze raz bardzo, ale to bardzo pani dziękuję.

Quick podeszła do okna z papierosem w ręku i spojrzała w dół, na uliczkę, gdzie zwykle zbierali się palacze. Jakoś nie umiałam sobie wyobrazić jej w tym gronie. Wyglądałaby jak rajski ptak pośród kanarków.

– Czy dałabyś mi przeczytać ten tekst – zapytała – gdybyś wiedziała, co zamierzam z nim zrobić?

– Nie wiem – odparłam. To było dobre pytanie.

– Zastanawiałam się nad tym. Widok z tego pokoju jest zupełnie nieciekawym. Czy Pamela wybrała dla ciebie to pomieszczenie? Możemy znaleźć ci ładniejszy pokój.

– Dziękuję, ten mi odpowiada. Ładny widok z okna pewnie by mnie rozpraszał.

Uniosła brwi.

– Brzmi to dość purytańsko.

Quick mogła kpić ze mnie, ile tylko chciała, zupełnie mnie to nie ruszało. Najważniejsze, że wydano moje opowiadanie. Ona dalej stała przy oknie, znów odwrócona do mnie plecami.

– A jak tam rewelacje Reede’a odnośnie do obrazu pana Scotta, co? Reede wydaje się niesamowicie z siebie zadowolony. Wygląda na to, że planuje urządzić wystawę. Chce ją nazwać „Połknięte stulecie”. Ale nie możemy wystawić tylko jednego obrazu. – Słyszałam lekceważenie w jej głosie. Stała teraz ze skulonymi ramionami, jakby walcząc z atakiem bólu.

– Nie wiedziałam – odparłam.

Quick odwróciła się.

– Nie? Wszystko dobrze się układa między tobą a panem Scottem?

– Tak. A właściwie nie. Mieliśmy małe nieporozumienie.

– Naprawdę? – Quick się wyprostowała, opierając się o ścianę. – Chcesz o tym porozmawiać?

– Nie bardzo jest o czym.

Quick wbiła we mnie wzrok, więc choć niechętnie, zaczęłam mówić:

– Pojechałam do domu jego matki w Surrey.

– I jak tam jest, ładnie?

– Tak. Zjedliśmy obiad. A potem on powiedział, że mnie kocha.

Ale ja nie odpłaciłam mu tym samym. I od tej chwili wszystko poszło źle. Nie rozmawiałam z nim od trzech tygodni.

Quick w zamyśleniu zaciągnęła się papierosem.

– Nic wielkiego się nie stało. Widziałam, jak on na ciebie patrzy.

Masz go w garści.

– Nie sędę. Nie zachowałem się zbyt uprzejmie.

– Odelle, przecież nie musisz mówić ani robić niczego, czego nie chcesz. Nie sędę, żeby on cię kochał z powodu twojej uprzejmości.

– Ale nie zadzwonił. Od tamtej pory go nie widziałam.

– Martwi cię to?

Byłam zdumiona, gdy poczułam, że w oczach stanęły mi łzy.

– Tak.

– W takim razie wszystko jeszcze samo się ułoży. Nie podejmuj żadnych pochopnych kroków. Z mojego doświadczenia wynika, że to nic nie daje. Długo byłaś u niego w domu?

– Kilka godzin.

– To duży dom?

– Dostyc. Ale nie widziałam za wiele.

Zastanawiałam się, czy powinnam powiedzieć Quick o broszurce, którą przemyciłam w torebce, jednak coś mnie powstrzymało. Może nie chciałam wyjść na złodziejkę, ale również zachowanie Quick wzbudzało moją nieufność – stale krążyła wokół tematu obrazu i Lawrie’ego.

Znając jej nastawienie, mogła ucześcić się czegokolwiek i wykorzystać to przeciwko niemu, chociaż jaką rolę mogłaby odegrać w tym stara, dawno zapomniana broszurka, Bóg raczy wiedzieć. Wprawdzie ja i Lawrie nie odzywaliśmy się do siebie, ale nie chciałam, żeby Quick uczyniła go jeszcze bardziej bezbronny, gdyby ktoś próbował go atakować.

– Przyjdź dzisiaj wieczorem do mnie do domu na kolację – powiedziała. – Napijemy się szampana.

– Szampana?

– Jestem w zwycięskim nastroju. Mam w lodówce kotlety jagnięce. A poza tym ktoś powinien uczcić z tobą twój literacki sukces.

Zawahałam się. Przebywanie sam na sam z Marjorie Quick zawsze budziło we mnie silne emocje, a po naszej ostatniej rozmowie w ogrodzie nie bardzo wiedziałam, czy jestem na to gotowa. Kiedy jednak pomyślałam o kolejnym wieczorze w pustym mieszkaniu, gdzie moimi jedynymi kompanami były trzeszczące radio i czytane w nadmiarze książki, nagle poczułam, że nie chcę być sama.

– Dziękuję – powiedziała. – Zaprosimy też Pamelę?

– Ona z pewnością nie zechce przyjść. A poza tym mam tylko dwa kotlety.

Czułam, że nie powinnam nalegać, w końcu to ona miała odgrywać rolę gospodyni, to był jej dom, jej jagnięcina i szampan. Ale pamiętam też myśl, że przecież pójście do rzeźnika i dokupienie dodatkowego kawałka mięsa dla Pameli nie stanowiłoby problemu. Quick najwyraźniej zależało na tym, żebym przyszła sama.

– No dobrze – powiedziała, uznając moje milczenie za zgodę. – To jesteśmy umówione. Na razie! Niewykluczone, że pojedziemy jedną taksówką. I jeszcze raz ci gratuluję. Jestem z ciebie bardzo dumna, Odelle.

Kiedy pod koniec dnia poszłam do gabinetu Quick, zastałam zamknięte drzwi, ale ze środka dobiegały głosy jej i Reede'a, bardziej gniewne, niż kiedykolwiek wcześniej miałam je okazję słyszeć.

– Powinniśmy wykorzystać te rozbieżności na naszą korzyść – mówił Reede.

– Dlaczego podważasz moje zdanie, Marjorie?

– Edmundzie... – zaczęła Quick, ale on jej przerwał.

– Do tej pory wielokrotnie wystawiałaś moją cierpliwość na próbę, ale twój upór w tej sprawie jest po prostu absurdalny. – Zapadła cisza.

Reede westchnął. – Widziałaś nasze rozliczenia finansowe, Marjorie.

Rozumiesz, co się dzieje. Dlatego zupełnie nie pojmuję, dlaczego jesteś tak niechętna. To wybitny, olśniewający obraz. Z ciekawą historią.

I jeszcze na końcu tego wszystkiego pojawia się przystojny młody mężczyzna. A nawet dwóch, jeśli uwzględnić zarówno właściciela obrazu, jak i malarza. Przyjdą tłumy, może nawet uda się zorganizować sprzedaż. Muzeum Peggy Guggenheim obiecało przysłać mi to, co mają w swoich zasobach, ale i bez nich mamy sporo do zaoferowania.

Tajemnica Roblesa: jak zginął? Kto to zlecił i dlaczego?

– To wszystko nie ma nic wspólnego z obrazem, Edmundzie – powiedziała Quick.

– Nie zgadzam się. Jego osobista historia bardzo intrygująco wpisuje się w międzynarodową sytuację polityczną tamtych czasów.

Stanowi zapowiedź tego, co niespełna dekadę później spotkało dzieła sztuki pod rządami nazistów, kiedy znikwały setki obrazów, a nierzadko również twórcy i ich rodziny.

– Ale to sztuka powinna być w tym wszystkim najważniejsza, nie sądzisz, Edmundzie? – Robles jest artystą uniwersalnym. – Reede zignorował jej uwagę. – Opowiedzieć historię jego życia to tak, jakby opowiedzieć historię całej wojny.

Usłyszałam trzask zapalniczki Quick.

– Jestem zdumiona, że akurat ty ze wszystkich ludzi chcesz opowiadać o wojnie – powiedziała. – Dla mnie ten obraz nie ma absolutnie nic wspólnego z polityką.

– Marjorie, w czym tak naprawdę widzisz problem? Zawsze byliśmy wobec

siebie szczerzy.

– Czyżby?

– Och, daj spokój. Szczerzy na tyle, na ile było można.

Quick milczała przez chwilę, która trwała stosunkowo długo.

– Nie ma żadnego problemu – powiedziała w końcu. – Po prostu uważam, że ten obraz nie niesie takich treści politycznych, jakie mu przypisujesz. Nie jest też żadną metaforą wojny, jakbyś chciał to widzieć. Ani opowieścią o artyście jako człowieku. Liczy się samo płótno jako takie. Dwie dziewczyny naprzeciw lwa.

Byłam zdumiona sposobem, w jaki ze sobą rozmawiali, tą swobodą, ale i intymnością. Pamela mówiła, że znają się od lat i to było widać. Rozmowa miała charakter nieomal braterski, on rozmawiał z nią tak, jak mógłby rozmawiać z którymś ze swoich klubowych przyjaciół.

– Możemy się nie zgadzać, Marjorie – powiedział Reede. – Tak jak robiliśmy to za obopólną zgodą przez długie lata, dłużej, niż jestem w stanie spamiętać.

Usłyszałam, że Reede zmierza w kierunku drzwi, więc pobiegłam z powrotem korytarzem do mojego własnego pokoju. Postanowiłam, że w takim razie poczekam, aż Quick sama do mnie przyjdzie. Odniosłam wrażenie, że w końcu się poddała, ale na co ostatecznie się zgodziła w sprawie obrazu, nie wiedziałam. Z pewnością była przeciwna zorganizowaniu wystawy, lecz co nią właściwie kierowało, dlaczego była tak niechętna, drwiąca i pełna obaw, nadal pozostawało dla mnie zagadką. Wydawało mi się, że bardziej nie zgadzała się z tym, co Reede sądził na temat obrazu i jego filozoficznego przesłania, niż z samą ideą zorganizowania wystawy.

Quick rzeczywiście pojawiła się w moim pokoju niedługo potem. Wyglądała na wymizerowaną i przygnębioną.

– Gotowa? – zapytała. – Na dole czeka taksówka.

Przeszliśmy razem obok recepcji. Spojrzałam na Pamelę i zobaczyłam zmieszanie na jej twarzy. Ze zdumieniem odkryłam, że czuję się z tym niezręcznie, jakbym wychodząc sobie razem z Quick, w pewnym sensie była wobec Pameli nielojalna. W końcu ona pracowała tak samo ciężko jak ja i była w Instytucie znacznie dłużej. Ale nie mogłam przecież zawrócić. Znadto pociągała mnie tajemnica Quick, zbyt zależało mi na tym, by się dowiedzieć, o

co tu naprawdę chodzi.

Po kolacji Quick zaprosiła mnie do salonu mieszczącego się we frontowej części domu. Usiadła w eleganckim szarym fotelu, którego rzeźbione drewniane poręcze przypominały struny harfy. Wszystko, co miała, poza gramofonem, było wysmakowane i nowoczesne w formie.

– No pięknie... Musisz dotrzymywać starej kobiecie towarzystwa. Czuję się winna.

– Na pewno nie starej – odparłam. – Jestem naprawdę szczęśliwa, że mogłam tu przyjść.

W czasie kolacji nie poruszałyśmy zbyt wielu spraw. Mówiłyśmy trochę na temat Pameli, Reede'a i donatorów, o których względy musiał zabiegać. Także o tym, jak nie znosił flirtowania z podstarzałymi markizami ukrywającymi się w swoich wilgotnych zamczyskach, gdzie na poddaszach niszczały Bóg jeden wie jakie skarby.

– Pani zna Reede'a już od dłuższego czasu? – zapytałam.

– Bardzo długo. To dobry człowiek – dodała, jak gdybym przed chwilą powiedziała coś całkiem odwrotnego.

Popijałyśmy brandy, z gramofonu w sąsiednim pokoju dolatywały ciche dźwięki koncertu fortepianowego. Quick zamknęła oczy i zastygła w bezruchu, żadna z nas nic nie mówiła. Pomyślałam, że może zasnęła.

Blask lampki na nocnym stoliku obok niej oświetlał jej twarz pomarańczową łuną. Quick nie wyglądała mi na kogoś, kto zaprasza do siebie gościa i nagle zapada w drzemkę w trakcie rozmowy. Nie miała przecież dziewięćdziesięciu lat, tylko pięćdziesiąt parę. Mimo to patrzenie na nią, gdy odpoczywała, napełniało mnie spokojem i nie chciałam jej przeszkadzać. Zastanawiałam się, dlaczego tak bardzo interesuje się moją osobą – to jej zawdzięczałam publikację opowiadania, od niej dostawałam zaproszenia na lunch, to ona z troską zapytywała mnie o Lawrie'ego i o moją przyszłość.

Mimo że październik był dość ciepły, w pokoju działał grzejnik elektryczny. Quick nawet narzuciła na siebie szal. Czułam, że za sprawą brandy robi mi się gorąco i pomyślałam, że może lepiej będzie, jak sobie pójdę. Już zaczęłam podnosić się z krzesła, gdy nagle Quick zapytała, nadal mając zamknięte oczy:

– Czy kiedykolwiek rozmawiałaś z Lawrie'em Scottem na temat jego matki?

Opadłam z powrotem na krzesło.

– Jego matki?

Oczy Quick rozbłąsły i zobaczyłam, jak bardzo jest skupiona.

– Tak. Jego matki.

Przypomniałam sobie, co Lawrie mówił o jej samobójstwie i pomyślałam, że mogło do niego dojść w jednym z tych pomieszczeń, które przemierzałam. Nagle zatęskniłam za Lawrie'em. Chciałam, żebyśmy zaczęli wszystko od początku – wybrali się do kina, poszli na spacer do parku – ale nie miałam pojęcia, jak do tego doprowadzić. Nie mogłam pozwolić, by zniknął z mojego życia tak jak Cynthia.

– On w ogóle o niej nie mówił – skłamałam.

– W takim razie pewnie dużo o niej rozmyśla. Gotowa jestem się o to założyć. Żal, który nie znajduje ujścia, wciąż narasta i jeśli nic się z tym nie robi, któregoś dnia może dojść do wybuchu.

– Czy to się kiedyś pani przytrafiło?

Quick opróżniła swój kieliszek brandy.

– Wszystko dąży ku rozpadowi. Stopniowo, kawałek po kawałku. Coś się zmienia, a my tego nie zauważamy. Ale w końcu zaczynamy zauważać. Jezu, nogi mam połamane, choć nigdy nie uczyniłam kroku. I przez cały ten czas to zmierza w naszą stronę, Odelle, zrodzone w sercach obcych ludzi albo Boga, którego nigdy nie poznamy. Aż pewnego dnia ktoś ciska kamieniem i przez przypadek, a może celowo, ów kamień trafia w okno pewnego wpływowego idioty, który pragnie zemsty, a może chce zaimponować swej kochance, i... szast-prast, wkraczają żołnierze. Następnego dnia płonie już twoja wioska i z powodu czyjejś głupoty albo chuci masz trumnę zamiast łóżka.

Nie wiedziałam, jak powinnam zareagować na tę przemowę. Chuć, śmierć, trumny – ile kieliszków brandy ona zdążyła wychylić? I co to wszystko ma wspólnego z Lawrie'em? Nie widziałam związku. Zaczęłam się wpatrywać w rurki grzejnika.

Quick pochyliła się do przodu, poręcze jej fotela zatrzeszczały.

– Odelle, czy ty mi ufasz?

– Ale w jakim sensie?

Quick znowu się odchyliła, wyraźnie rozczarowana.

– Czyli nie ufasz mi. Gdybyś mi ufała, powiedziałaabyś od razu, że tak.

– Jestem po prostu ostrożna. Nic więcej.

– Ja darzę cię zaufaniem. Wiem, że tobie mogę zaufać.

Pewnie powinnam okazać jej wdzięczność, ale zamiast tego czułam narastający niepokój. Włączony piecyk powodował, że było mi coraz goręcej, zaczęłam odczuwać zmęczenie, a Quick była w bardzo dziwnym nastroju.

Westchnęła.

– To moja wina. W rozmowach, które z tobą prowadziłam, byłam chyba jeszcze bardziej ostrożna i zdystansowana niż ty.

Nie mogłam się z tym nie zgodzić, więc nawet nie próbowałam przekonywać jej, że jest inaczej.

– Nie czuję się dobrze – oznajmiła. – Mój stan jest naprawdę poważny.

Powiedziała, że to rak. Nowotwór trzustki w końcowym stadium, choroba, której finał jest od razu przesądzony. Na te słowa moje własne ciało przeszył ból, co było dosyć samolubne, choć zarazem ludzkie. Przyszło mi na myśl, że to szok związany z rakiem sprawił, iż Quick zapragnęła nagle, by ktoś przy niej był – pragnienie to pewnie ją samą zdumiało i uczyniło jeszcze bardziej szorstką i nieprzystępną.

Tajemnicza i pełna sekretów Quick, która zawsze, przez tyle lat była sama, nagle poczuła, że chciałaby to zmienić. A może wysłanie mojego opowiadania do czasopisma było próbą związania mnie z jej osobą, jakimś barokowym, skomplikowanym w formie planem zaspokojenia prostej potrzeby towarzystwa? Kiedy czyjeś życie ewidentnie dobiega kresu, takie decyzje nie wydają się aż tak inwazyjne czy dramatyczne i człowiek bez większych oporów zaczyna je realizować. Pewnie dlatego tak otwarcie i bez lęku rozmawiała z Edmundem Reede'em, nie obawiając się odwetu. Wiedziała, że niezadługo życie weźmie na niej odwet, ostateczny.

Spoglądając wstecz, jestem niemal pewna, że Quick traktowała mnie trochę jak dziecko, którego nigdy nie miała, jak kogoś, kto po jej śmierci miał utrwalić pamięć o niej, stać się kontynuatorem jej dzieła.

Przy naszym pierwszym spotkaniu Quick powiedziała mi, że przypominam jej pewną osobę, którą kiedyś знаła. Podejrzewam, że miała na myśli jakąś bliską przyjaciółkę. Oczywiście nie będę miała szansy tego sprawdzić, a Quick nigdy nie wymieniła żadnego nazwiska, ale wyraz jej twarzy, gdy mówiła te słowa, każe mi myśleć, że tak właśnie było. Spoglądała na mnie wtedy z czułością pomieszaną z lękiem, jak gdyby obawiała się, że jeśli za bardzo się

zbliży, znów straci coś, co już raz straciła, dawno temu.

Gdy tak siedziałam w tamtym przegrzanym pokoju, uświadomiłam sobie nagle, jak bardzo Quick jest teraz wychudzona, jak strasznie zmęczona. I chociaż pewnie myślałam, że to niesprawiedliwe znosić taką chorobę w samotności, to chyba nie płakałam. Przy kimś takim jak Quick, kto mierzył się z własnym bólem i poczuciem straty, płacz wydawał się czymś niestosownym i dopuszczalnym jedynie w ostateczności. Czułabym się jak ostatnia idiotka, gdybym płakała, a ona nie uroniłaby ani jednej łzy, paląc jednego papierosa za drugim, folgując nałogowi, który pomagał ją zabić. Była niezwykłym zjawiskiem, osobliwością wyjętą z ram czasu, wolną od zwykłych emocji – w jej obecności robiło się to, co ona.

– No dalej, powiedz coś.

– Czy pan Reede wie? – zapytałam.

– Mój Boże, nie – zachnęła się Quick. – I nie powinien się dowiedzieć.

– Czy w ogóle ktoś wie? – indagowałam dalej.

– Nie, nikt. Ale nie musisz się martwić, nie powiedziałam ci o tym dlatego, żebyś została moją pielęgniarką.

– Dlaczego zatem?

Quick sięgnęła po butelkę brandy i ponownie napełniła swój kieliszek.

– Tak się złożyło, że dowiedziałam się o mojej chorobie w dniu, kiedy przyjełam cię do pracy.

– Och, mój Boże – powiedziałam. Przypomniałam sobie, jak Quick podeszła do mojego biurka tamtego pierwszego dnia, jej zarumienioną twarz i to, jak zręcznie radziła sobie z natrętną dociekliwością portiera, który wypytywał ją o przyczyny jej nieobecności w pracy.

– Taki to był dzień – powiedziała. – Raz w dół, raz w górę. Wyrok śmierci, a zaraz potem Odelle Bastien.

– Nie sądzę, abym potrafiła podnosić na duchu.

Quick zapaliła kolejnego papierosa, ostatniego w paczce.

– Nawet nie wiesz, jak bardzo.

Nękała mnie uporczywa myśl, której nie mogłam od siebie odegnąć – ile czasu jej jeszcze zostało? Nie chciałam jednak zadawać tego pytania ani pytać o leki i inne przyziemne sprawy. Wydawało mi się, że to nieludzkie, jakbym pytała ją o datę śmierci. Przecież wciąż jeszcze była, istniała, pełna życia i

energii.

W ciszy, która zapadła między nami, sięgnęłam do torebki, wyjęłam z niej broszurkę z galerii sztuki i podałam ją Quick. Nadal się zastanawiam, dlaczego to zrobiłam, przecież czułam, że nie jest to do końca w porządku wobec Lawrie'ego. Chyba kierowała mną duma, że Quick akurat mnie obdarzyła takim zaufaniem. Chciałam się jej jakoś zrewanżować, chociaż właściwie nie wiedziałam, czy było to coś, co mogłaby w jakikolwiek sposób wykorzystać.

Wzięła ode mnie broszurkę, tak jakby spodziewała się ją dostać.

– Była w domu Lawrie'ego – stwierdziła.

– Skąd właściwie pani to wie?

– Odkąd wspomniałaś mi o wizycie w jego domu, widziałam, że chcesz się czymś ze mną podzielić.

– Nie miałam pojęcia, że wszystko można wyczytać z mojej twarzy – powiedziałam.

Quick przyjęła moją uwagę z uśmiechem.

– Nie wszystko. Po prostu mam spore doświadczenie. – Otworzyła broszurkę i delikatnie położyła ją sobie na kolanach. Przejechała palcem po zapisanych ołówkiem słowach: „Ani śladu”

– Czy było tam jeszcze coś? – spytała.

– Nie. Tylko różne drobiazgi leżące w stercie na parapecie. Pokwitowania od rzeźnika, jakaś kartka z porządkiem nabożeństw.

– Kartka z porządkiem nabożeństw? – powtórzyła, unosząc brwi.

– Było tam coś o koncercie kolęd.

– Rozumiem.

– Jak pani myśli, dlaczego ktoś napisał: „Ani śladu”? Czy to może chodzić o tytuł obrazu?

– Sądzę, że odpowiedź jest znacznie prostsza. Ktoś czegoś szukał i nie znalazł.

– Ale pani wie, czego szukał, prawda?

Quick spojrzała na mnie. Blask z piecyka nadawał jej oczom orzechowy odcień.

– Ja?

– Myślę tak dlatego, bo... bo pani bardzo się interesuje matką Lawrie'ego. I jego obrazem.

– „Interesuję się”? Nie określiłabym tego w ten sposób.

Ma obsesję? Boi się? – pomyślałam. Pewnie to byłyby bardziej adekwatne słowa.

– Cóż – zawahałam się, wyczuwając, że Quick się usztywnia – wydaje się pani przeciwna zorganizowaniu wystawy.

– Nie jestem przeciwna wystawieniu obrazu. Uważam, że wszyscy powinni go zobaczyć.

– No dobrze – powiedziałam. – Ale ostatnim razem mówiła pani co innego. Radziła pani, aby Lawrie zabrał go do domu.

Quick wzięła głęboki oddech.

– Po prostu nie podoba mi się to, co Reede planuje zrobić w związku z tym obrazem. Musimy uzyskać więcej informacji z muzeum Peggy Guggenheim. Póki co cały czas mam wątpliwości.

– O jakich wątpliwościach pani mówi?

Na twarzy Quick pojawił się wyraz udręczenia, który widziałamnu niej już wcześniej, gdy podglądałam przez dziurkę od klucza rozmowę w gabinecie Reede’a. Jej wzrok wędrował teraz tam i z powrotem po dywanie, kilka razy nabierała powietrza, jakby chciała mi coś oznajmić, ale nie mogła się na to zdobyć. Było to dość frustrujące, ale wiedziałam, że jeśli to ja przejmę inicjatywę, zniknie nawet cień szansy na to, że Quick w końcu coś powie.

– Izaak Robles nie namalował tego obrazu, Odelle – powiedziała w końcu Quick, zaciskając palce na broszurze.

Moje serce gwałtownie przyspieszyło.

– Ale przecież to on stoi przed tym malowidłem, na fotografii, którą pokazywał Reede.

– I cóż z tego? Ja też mogłabym dać się sfotografować na tle dowolnej liczby dzieł sztuki. To nie znaczy, że jestem ich autorką.

– Ale zdjęcie zostało zrobione w jego pracowni...

– Odelle, nie twierdzę, że nie wierzę, że on go namalował. Ja to wiem.

Ostatnie trzy słowa zawisły w powietrzu. Poczułam nagły skurcz żołądka. Moje ciało przeszył dreszcz i dostałam gęsiej skórki jak zawsze, gdy ktoś mówi nam prawdę, a my odbieramy ją całym ciałem.

Musiałam wydawać się zupełnie oszołomiona.

– On nie namalował tego obrazu, Odelle – powiedziała raz jeszcze Quick.

Miała opuszczone ramiona. – To nie on był autorem.

– W takim razie... kto?

Moje pytanie wszystko popsuło. Quick sprawiała wrażenie, jakby ogarnął ją paniczny strach. W jednej chwili się postarzała, wyglądała upiornie. Patrząc na nią, sama poczułam się chora. Ogarnął mnie strach na widok jej przerażenia.

– Dobrze się pani czuje? – zapytałam. – Mam wezwać lekarza?

– Nie. Już późno. Nic mi nie jest. – Ja jednak widziałam, że z trudem oddycha. – Zamów sobie taksówkę. Numer znajdziesz obok telefonu, w holu. Nie martw się, ja zapłacę.

Wstałam i potykając się o próg w pokoju frontowym, ruszyłam w stronę zimnego i mrocznego holu, gdzie włączyłam lampkę na stoliku z telefonem. Nigdzie nie widziałam zapisanego numeru. Na tyłach domu panowała głęboka cisza. Wyczułam w ciemnościach czyjąś obecność i ciarki przeszły mi po plecach. Odwróciłam się – coś było na schodach i zbliżało się w moją stronę. Chwyciłam się krawędzi stołu i nagle w kałuży żółtego światła zobaczyłam kota Quick. Usiadł przede mną w bezruchu, spoglądając swoimi zielonymi oczyma. Patrzyliśmy na siebie i tylko leciuteńkie poruszenia jego żeber zdradzały, że nie jest wypchany.

– Zajrzyj do szuflady – zawołała do mnie Quick łamiącym się głosem, aż podskoczyłam. – Jest w niej notes z numerami telefonów. Pod „T” znajdziesz taksówkę. – Odwróciłam się znów w stronę lampki, czując się teraz dość głupio. Miałam tylko nadzieję, że już nic nie kryło się w ciemnościach tego domu.

Do dzisiaj nie wiem, czy to, co zdarzyło się później, było częścią planu Quick – po prostu chciała, bym wiedziała więcej – czy też było to konsekwencją choroby, tego, że znajdowała się pod wpływem silnych leków i nie zdawała sobie sprawy, co znajdę w szufladzie.

Sięgnęłam po notes z numerami telefonów, spoczywał pomiędzy starymi mapami, kłębkami sznurka i nieodpakowanymi pułapkami na myszy. Przekartkowałam notatnik w poszukiwaniu „T” i przy okazji znalazłam co innego. Pod „S” rozpoznałam zamaszyste pismo Quick i nakreślony czarnym atramentem adres:

SCOTT - CZERWONY DOM

BALDOCK'S RIDGE

SURREY HAS-6735

Oprócz tego natrafiłam też na nieduży biały list, złożony na pół i wciśnięty pomiędzy te właśnie kartki.

– Wszystko w porządku? – krzyknęła do mnie Quick.

– Tak! – odparłam drżącym głosem. – Już zamawiam.

Spoglądałam na adres z mieszanymi uczuciami. Naturalnie Quick mogła zrobić tę notatkę całkiem niedawno – niewykluczone, że próbowała coś ustalić na własną rękę – co wcale by mnie nie zdziwiło, biorąc pod uwagę jej zainteresowanie Lawrie'em i obrazem. Nie mogłam uwierzyć, że może znać tę rodzinę. W końcu Lawrie nie sprawiał wrażenia, że kojarzy Quick. Wydawał się przy niej autentycznie speszony, co byłoby dość dziwne, gdyby ją wcześniej znał. A jednak w jej notesie widniał ich adres. To wszystko nie miało żadnego sensu.

Pospiesznie rozłożyłam list, wiedząc, że nie mam zbyt wiele czasu. Ze środka wyleciała cieniutka kartka papieru i sfrunęła na podłogę. Uklękałam, żeby ją podnieść i przeczytać, skulona w półmroku, z nieodstępującym mnie kotem. Był to telegram. Nie mogłam uwierzyć własnym oczom, czytając treść:

„DROGI SCHLOSSIE STOP BARDZO
INTERESUJĄCA FOTOGRAFIA STOP MUSIMY SPROWADZIĆ R
DO PARYŻA-LONDYNU-NYC STOP UCAŁOWANIA PEG”.

Telegram był datowany:

„PARYŻ-MALAGA 2 LIPCA 1936”.

Do dziś pamiętam siebie klęczącą niczym grzesznica w holu domu Quick. Czułam, że cierpnie mi skóra – nagle zbiegły się w moim ręku różne wątki, posiadałam wiedzę, której nie potrafiłam zinterpretować. Schloss. Harold

Schloss? Tak nazywał się ten marszand, o którym wspominał Reede. Ale co u licha robił tu ten telegram? Skąd się wziął w Wimbledonie, w notesie Quick? Quick była w tym momencie w salonie, bardzo blisko mnie, a jednak miałam wrażenie, że oddzielają nas tysiące mil.

Usiadłam na piętach, licząc na to, że czas na chwilę się zatrzyma, bym mogła w spokoju zebrać myśli. „Peg” to pewnie Peggy Guggenheim, „R” to mógłby być Robles, data się zgadzała, a telegram był wysłany do Malagi, gdzie – zgodnie z tym, co mówił Reede – przebywał Robles. Jeśli telegram był autentyczny – a na taki wyglądał – była to korespondencja, dla której Reede dałby się zabić. I proszę, oto spoczywała teraz w moich rękach, wydobyta z szuflady Quick.

– Odelle?! – zawołała ponownie moja gospodyni. W jej głosie pobrzmiwał niepokój. – Czy przyzywasz tę taksówkę kodem Morse’a?

– Linia wciąż jest zajęta. Czekam! – krzyknęłam w odpowiedzi. Położyłam telegram na stole i wzięłam do ręki list. Datowany był na 27 grudnia 1935 roku. Wciągnęłam w nozdrza zapach starego, cienkiego papieru. List z czymś mi się kojarzył, ale nie potrafiłam tego sprecyzować. Był adresowany do panny Oliwii Schloss i wysłany na adres mieszkania przy Curzon Street:

W ODPOWIEDZI NA PANI PODANIE, MAMY PRZYJEMNOŚĆ
POINFORMOWAĆ, ŻE ZOSTAŁA PANI PRZYJĘTA NA STUDIA W SLADE
SCHOOL OF FINE ART. ZAJĘCIA ROZPOCZYNAJĄ SIĘ CZTERNASTEGO
WRZEŚNIA NASTĘPNEGO ROKU.

KOMISJA REKRUTACYJNA BYŁA POD OGROMNYM WRAŻENIEM PANI
TALENTU, NIEZWYKŁEJ WYOBRAŹNI I INDYWIDUALNEGO STYLU, CO
ODZWIERCIEDLAJĄ PANI PRACE MALARSKIE I SZKICE. JESTEŚMY
NIEZMIERNIE URADOWANI, ŻE BĘDZIEMY MIELI W NASZYM GRONIE
STUDENTKĘ TEJ MIARY CO PANI, ZDOLNĄ W SPOSÓB GODNY

KONTYNUOWAĆ TRADYCJE UCZELNI, ZNANEJ Z SUROWYCH WYMAGAŃ, LECZ OTWARTEJ NA NOWE PRĄDY...

– Odelle! – Quick była już naprawdę zniecierpliwiona.

– Idę! – powiedziałam. Nie było odpowiedzi.

Zacząłam ponownie w pośpiechu składać list, do środka włożyłam telegram. Już sięgałam po odłożony na bok notes, otwarty na stronie z adresem domu Scottów, kiedy do holu weszła Quick. Zesztywniałam – list wciąż jeszcze trzymałam w ręku. Na mojej twarzy musiało malować się poczucie winy. Światło z salonu padło na Quick, ujawniając jej drobną, wychudzoną sylwetkę.

Popatrzyła na mnie, a właściwie zajrzała mi głęboko w oczy. Wyjęła z mojej zastygłej w powietrzu dłoni list z telegramem, włożyła go na dawne miejsce i zamknęła notes. I nagle coś zrozumiałam – w twarzy Quick rozpoznałam tamtą młodą i roześmianą kobietę ze zdjęcia, uchwyconą w jakiejś radosnej chwili, ściskającą pędzel. „O” i „I” „O” – i znów jestem w punkcie wyjścia. „O”, czyli Oliwia Schloss.

– Pani go znała – wyszeptałam. Zamknęła oczy. – Pani znała Izaaka Roblesa.

Kot przemknął pomiędzy moimi nogami.

– Oddałabym wszystko za papierosa – powiedziała Quick.

– Kim jest Oliwia Schloss? – Wskazałam na notes.

– Odelle, czy mogłabyś pójść kupić mi papierosy?

– Pani tam była, prawda?

– Skończyły mi się papierosy, czy byłabyś tak uprzejma i poszła mi je kupić?

– Sięgnęła nieporadnie do kieszeni i wręczyła mi jednofuntowy banknot.

– Quick, niech pani posłucha...

– Idź już – powiedziała. – Tuż za rogiem jest sklep. Idź.

Tak więc wyszłam kupić jej papierosy. Wolnym, odrętwiałym krokiem ruszyłam do Wimbledon Village. Kiedy wróciłam, dom tonął w całkowitych ciemnościach, a kotary były zaciągnięte. Broszurka, którą zabrałam z domu Scottów, leżała na progu, przyciśnięta kamieniem. Włożyłam ją znów do torebki.

Pukałam i pukałam, wołałam ściszym głosem przez otwór na listy, bez odzewu.

– Quick, proszę, niech mnie pani wpuści – mówiłam. – Przecież powiedziała pani, że darzy mnie zaufaniem. Co takiego się stało? Quick, kim jest Oliwia Schloss?

Odpowiedziała mi tylko cisza.

W końcu przepchnęłam paczkę papierosów przez otwór, wylądowały na wycieracze po drugiej stronie drzwi wejściowych. Potem tą samą drogą wrzuciłam drobne, całkiem jakbym wrzucała je do studni życzeń, choć żadne z owych życzeń nigdy nie miało się spełnić. Nadal nic, żadnego poruszenia. Siedziałam po drugiej stronie drzwi przez dobre pół godziny. Liczyłam, że może usłyszę odgłos jej kroków, gdy zejdzie po swoje papierosy.

Co było prawdą, a co tylko wytworem mojej wyobraźni? Bardzo pragnęłam się dowiedzieć, czy Quick celowo podsunęła mi swój notes, bo coś mi chciała podpowiedzieć, czy też zrobiła to przez niedopatrzenie. Miałam nieodparte wrażenie, że to wszystko było zamierzone. Inaczej po cóż by mnie zapraszała, wypytywała o Lawrie’ego i obraz? Dlaczego kazałaby zaglądać do notesu pod literę „T”? Ale nie mogłam wykluczyć, że faktycznie był to tylko przypadek, że niechcący odkryłam jej tajemnice i dlatego teraz spotkała mnie kara – cisza i zaryglowane drzwi.

W pewnym oddaleniu usłyszałam trzask zamykanych drzwi od samochodu, zapaliły się uliczne latarnie.

Bez względu na to, jaka była prawda, moje wyobrażenie o Quick uległo całkowitemu rozbiciu. Wizja uporządkowanej, silnej psychicznie osoby o nienagannej powierzchowności bezpowrotnie zniknęła, w ciągu jednego wieczoru. Zdałam też sobie sprawę, że właściwie bardzo niewiele o niej wiem. Chciałam pozbierać rozbite kawałki w całość i znów umieścić ją na piedestale, ale nasze ostatnie spotkanie skutecznie mi to uniemożliwiało. Teraz, ilekroć myślałam o Quick, nie mogłam przestać myśleć również o Oliwii Schloss.

Najwyraźniej ponosiła mnie wyobraźnia, skoro wierzyłam, że zdołam wyjaśnić zagadkę Oliwii. Ale gdybym tamtej nocy obejrzała się za siebie i spojrzała w okno Quick, dostrzegłabym, że ktoś w nim stoi, śledząc moje oddalające się kroki.



Kobiety w pszenicznym łanie zostały jednak sprzedane, kupiła je pewna dama. Trzy dni po wyjeździe Harolda do Paryża na pocztę w Arazuelo dotarł wysłany przez niego telegram, a Oliwia poszła odebrać depeszę. Nabywczynią obrazu okazała się niejaka Peggy Guggenheim, według słów Harolda bogata przyjaciółka Marcela Duchampa, która dla własnej przyjemności zamierzała spróbować swoich sił na rynku dzieł sztuki.

– Czyli nie jest to prawdziwa kolekcjonerka – powiedział Izaak.

– No cóż, ma pieniądze – odparła Oliwia.

Guggenheim kupiła obraz Izaaka Roblesa za wysoką jak na dzieło nieznanego malarza cenę: czterysta franków francuskich. Dla Oliwii wiadomość o sprzedaży była czymś wspaniałym, radosnym – wydawało się to absurdalne, niemożliwe, a jednak się stało. Obraz *Kobiety w pszenicznym łanie* w pewnym sensie oderwał się od *Świętej Justy w studni* i zaczął żyć własnym życiem, choć w gruncie rzeczy chodziło o to samo dzieło, tyle że znane pod innym tytułem i sygnowane przez innego artystę. Oliwia nie występowała wprawdzie jako twórca, tracąc swą tożsamość, ale miała świadomość, że to, co stworzyła, zostało docenione. Mogła teraz malować bez obciążeń, a równocześnie upajać się sukcesem – tym, że jej obraz znalazł nabywcę i został sprzedany.

Gdy Harold sprzedał jej obraz, nie wiedząc, że to ona go namalowała, Oliwia zrozumiała, że zależało jej na przyjęciu do Slade School of Fine Art przynajmniej w części dlatego, że chciała zrobić ojcu na złość, pokazać mu, że się na niej nie poznał. Kupno obrazu przez Guggenheim odsunęło w cień tamto pragnienie, po prostu bardzo ją dowartościowało, ale też postrzegając tę okoliczność jako żart, uśmiech losu.

Niedługo po nadejściu telegramu od Harolda Teresę zaczął nawiedzać pewien sen, dość dziwny jak na kogoś, kto mieszkał w tak suchej, pozbawionej deszczu części kraju. We śnie siedziała o zmierzchu na werandzie, a w sadzie spoczywało ciało zmarłego Adriána. Niewiele mogła dostrzec w nikłym świetle lamp, które rozstawiła wokół domu – przedziwnym, niesamowitym blaskiem świeciło jedynie ciało zamordowanego chłopca.

Ciało, umęczone i okaleczone, podniosło się i zaczęło kroczyć w jej stronę, a jednak Teresa nie próbowała uciekać – nie mogła albo nie chciała tego zrobić – choć równocześnie zdawała sobie sprawę, że jeśli zostanie na miejscu, źle się to dla niej skończy.

Wyczuwała, że w ślad za chłopakiem nadciąga ku niej ocean, bezkresny, czarny i wzburzony. Widziała coś, czego on nie dostrzegał – że tuż za nim wzbiera potężna fala, złowroga ściana wody gotowa odebrać mu życie po raz drugi i zagarnąć również ją, niczym biblijny potop. Nieomal czuła na języku sól unoszącą się w powietrzu. Z oddali dobiegł ją krzyk Oliwii. Teresa zawołała do niej: „*¿Tienes miedo? Boisz się?*” Po chwili usłyszała jej odpowiedź, wracającą ku niej ponad koronami drzew: „Nie boję się. Ale nie znoszę szcurów”.

Teresa budziła się w chwili, gdy fala porywała ciało Adriána. Ta scena przyśniła jej się już trzy razy. Męczyła ją nie tyle sama treść koszmaru, co przede wszystkim fakt, że tak wyraźnie wszystko miała przed oczyma, choć innych snów zazwyczaj w ogóle nie pamiętała.

Dawniej pewnie chętnie opowiedziałaby o tym śnie Izaakowi, by pośmiać się z wytworów jej nadmiernie wybujałej wyobraźni, ale obecnie nie miała na to specjalnej ochoty.

Do końca lutego i na początku marca Harold załatwiał interesy w Paryżu, więc kobiety mieszkały w domu same. Teresa zaczęła już tęsknić za jego powrotem, a może po prostu brakowało jej jego hałaśliwego sposobu bycia, przyciężkiej angielszczyzny i nawet wymawianych szeptem niemieckich słów. Gdzieś tam działo się tyle rzeczy, na które nie miała wpływu. Czuła też, że Oliwia i ona są jak dwa księżyce krążące po całkiem różnych orbitach. Oliwia znikła na górze, skarżąc się na migrenę lub kobiece dolegliwości. Teresa miała nadzieję, że maluje, ale znikanie przyjaciółki jakoś dziwnie zbiegało się z momentami, gdy Izaak wracał z pracy z Malagi.

Sara również zastanawiała się, dlaczego jej córka miewa ataki złego samopoczucia i gdzieś znikła, ale nie komentowała tego głośno.

Teresa natomiast wyczuwała, że w jej współtowarzyszce zaszła jakaś zmiana, że od czasu sprzedaży obrazu Oliwia zyskała na pewności siebie i kipi energią, i był to widok niezwykły. Dlatego wersja z nawracającymi bólami głowy wydała jej się nedorzeczna. Teresa obserwowała, jak Oliwia schyla się

nad młodymi bujnymi pędami jakarandy, nad kapryfolium i wczesnymi odmianami róż, by wdychać ich oszałamiający zapach, a łodyżki ściska przy tym tak mocno, jakby chciała je połamać.

Natomiast Oliwia patrzyła na Teresę jak na ducha.

Teresa odnosiła wrażenie, że Oliwia zatracą się w Izaaku. Zastanawiała się, czy przyjaciółka czerpie siłę z tego, że jako artystka podszywa się pod jej brata. Miała ochotę nią potrząsnąć i krzyknąć: „Hej, obudź się, co ty robisz, dziewczyno?!”. A jednak to Teresę męczyły koszmary i to ona cierpiała całymimi dniami. Zaczęła już żałować, że podmieniła obrazy. Postawiła wszystko na jedną kartę i przegrała, straciła jedyną przyjaźń, jaką kiedykolwiek miała w życiu.

Teresa nigdy wcześniej za nikim nie tęskniła. Teraz odkryła, jak bardzo można się uzależnić od drugiej osoby i była tym przerażona. Brak uwagi ze strony Oliwii odczuwała jak otwartą ranę, swoistą torturę. Samotność stawała się jeszcze bardziej dotkliwa, gdy obiekt jej tęsknoty był tuż obok, gdy Oliwia chodziła po domu lub po sadzie, a potem wychodziła i znikwała. Teresa nigdy nie wiedziała, kiedy dopadnie ją kolejny atak. A kiedy już nadchodził, czuła, jakby zapadała się pod nią podłoga, a serce podchodziło jej do gardła i nie pozwalało oddychać – i nikt nie zwracał uwagi, gdy zaszywała się w odległym kącie finki i płakała. Co się z nią działo?

Nocą, sama jedna w całym domu, Teresa siedziała na łóżku i kartkowała egzemplarz „Vogue’a”, całkiem jak dziecko, które przegląda swoją ulubioną bajkę. Delektowała się każdą ilustracją i fragmentem tekstu, zaznaczała paznokciem nieznane słowa. Gładziła palcem twarz modelki, a potem chowała pismo pod poduszkę i kryła swą miłość przed światem.

Od czasu sprzedaży obrazu także Sara była ponura. Kładła się na łóżku i w milczeniu patrzyła, jak niebieskawy dym z papierosów męża unosi się i rozpływa pod sufitem. Telefon wciąż dzwonił i dzwonił, a ona nie odbierała ani nie pozwalała, by Teresa podniosła słuchawkę. Teresie wydawało się dziwne, że Sara nie odbiera telefonów, bo przecież mógł dzwonić jej mąż. Zastanawiała się wtedy, czy Sara wie, że może to być jakiś zupełnie obcy, kobięcy głos, szepczący nieśmiało po niemiecku.

Teresa zauważała teraz ciemne strony życia Sary – telefon dzwonił bez odpowiedzi, zawartość butelek szampana znikwała wczesnym popołudniem,

nieczytane książki walały się po podłodze, wśród blond kosmyków pojawiały się czarne odrosty. Przestała to wszystko

postrzegać jako problemy obcej, bogatej kobiety, z którymi ona nie miała nic wspólnego. Ku swojemu zdziwieniu obok własnych kłopotów zaczynała odczuwać również cudze. Życie zdawało się jej ciągiem wyborów, których nieustannie należało dokonywać, żeby przeżyć – wciąż okłamywać siebie i innych. Harold miał samochód, interesy, kontakty, miasta i inne sobie tylko znane miejsca – niezliczone i różnorodne. Sara, pomimo swego bezsprzecznego bogactwa, miała tylko swoją sypialnię i urodę, ciasny gorset, który powodował egzystencjalny zaduch.

– To ja go odkryłam – powiedziała Sara do Teresy. Był późny wieczór i Oliwia zaszyła się już w swoim pokoju. Słyszały, jak przechadza się tam i z powrotem. Wbrew wszystkiemu Teresa bardzo chciała pójść na górę, zapukać, wejść, a potem zobaczyć, co Oliwia maluje. Zmusiła się jednak do pozostania na dole i podniosła z podłogi jedną z porzuconych w nieładzie halek.

– To ja pierwsza zaproponowałam, by Izaak nas namalował – ciągnęła Sara. – I czy ktoś mi za to podziękował? Harold jak zwykle chadza własnymi drogami, pakuje manatki i wyjeżdża. Nawet nie zdążyłam nacieszyć się tym obrazem, bo oczywiście natychmiast musiał go wywieźć i sprzedać. Powiedział: „Po co miałbym go trzymać w domu, skoro tu jedynie kurczaki mogłyby go oglądać?”. Na miłość boską, jemu nawet nie przyjdzie na myśl, że przecież to m ó j portret, który na dodatek został namalowany s p e c j a l n i e dla niego.

Za oknem cykady rzępoliły już swój koncert, tak ogłuszający, że zdawało się, że trawa wibruje. Teresa nie mogła się nadziwić, jakim cudem Sara rozpoznała siebie w postaciach z obrazu. Czy nikt z nich nie zauważył, że na obrazie Oliwii występuje jedna kobieta, tyle że raz jest przedstawiona w glorii, a raz w chwili rozpacz? Teresie przyszło do głowy, że jak ktoś bardzo chce coś zobaczyć, to zobaczy – choćby nie było po temu żadnych podstaw.

– Obraz powinien zostać w naszym domu – oświadczyła Sara. – Dla twojego brata to dobrze, ale tak naprawdę to wbrew zasadom. Przecież obraz powstał dla nas. A Harold go sobie beztrąsko oddaje w ręce tego, kto da więcej.

– Señora, czy Izaak przyjął od ciebie zapłatę?

– Nie – odparła Sara. – Próbowałam mu zapłacić, ale nie chciał moich pieniędzy. Mam nadzieję, że te od Peggy Guggenheim mu wystarczą. Tyle mam do powiedzenia.

Teresa wiedziała, że Izaak odebrał w Maladze przelew z Paryża, a potem natychmiast podarował dwie trzecie tej kwoty na działalność centrali związków zawodowych, na druk ulotek agitacyjnych, odzież i fundusz pomocowy dla zwolnionych z pracy oraz na żywność.

Właściwie to należało podziwiać skuteczność planu Oliwii, która zrobiła ze swego obrazu oręż walki politycznej, a własnego ojca uczyniła nieświadomym pośrednikiem w tym przedsięwzięciu. Teresę rozwścieczyło, że Izaak zostawił sobie trzecią część kwoty. Namawiała brata, by oddał te pieniądze Oliwii, ale odparł, że to ona kazała mu je zatrzymać.

„Potrzebuję na jedzenie – odparł. – My potrzebujemy na jedzenie. Czy może zamierzasz w tym roku żywić się szczurami?”

Szczury. Może z tego powodu trafiły do jej snów.

– Tereso, czy ty mnie słuchasz?

– Tak, señora – odparła Teresa, składając ostatnią halkę Sary i umieszczając ją w szufladzie szafy.

– To ja go zainspirowałam.

– Jestem pewna, że jest bardzo wdzięczny.

– Naprawdę tak myślisz? Och, Tereso. Chciałabym, żeby wreszcie coś się zaczęło dziać. Zaczyna mi brakować Londynu.

Teresa zanurzyła ręce w szufladzie swojej chlebodawczyni i wśród satynowej bielizny skryła zaciśnięte pięści. „To jedź tam i zabierz mnie ze sobą!”, krzyknęła bezgłośnie, choć wiedziała, że to nigdy się nie spełni. Pomimo całego współczucia, jakie okazała Sarze Schloss, ta kobieta nigdy by dla niej czegoś takiego nie zrobiła.

XIII.

Wyjazd ojca ułatwił Oliwii spotkania z Izaakiem, więc widywali się kilka razy w tygodniu, zwykle w domu rodzeństwa, gdy Teresa pracowała w fince, a Sara zażywała popołudniowego odpoczynku. Potem przez kilka dni z rzędu Oliwia była w stanie niemal fizycznie przywołać przeżycia z tych spotkań, rozpamiętywać, co czuła, kiedy Izaak w nią wchodził, a ona pozwalała, by wciskał się głębiej i głębiej, doznając najwyższej rozkoszy, równej tej, której i ona sama doświadczała.

Nigdy nie miała dość. Jej apetyt był nienasycony, wielki jak objawienie; szczęścia dostarczało jej poczucie, że ma coś, po co zawsze może sięgnąć, gdy tylko zechce, i że zasoby tego są niewyczerpane. Była przekonana, że dzięki Izaakowi stała się lepsza, przemieniła się w kobietę, jaką zawsze miała być. A później, nocami, zamykała się na strychu i malowała. Stawała się coraz bardziej pewna siebie – Izaaka uważała za głównego sprawcę tej jej przemiany. Teresa nigdy nie byłaby w stanie tego pojąć, lecz Izaak był koniecznym warunkiem jej artystycznego rozwoju. Oliwia nie mogła znieść widoku żałobnej miny Teresy, jej krzywych spojrzeń. Płynęła z nich zła energia, zupełnie inna niż ta, którą dawał Oliwii Izaak.

Drzewka oliwne, tworzące regularnie rozsiane po wzgórzach gaje, zaczynały się zielenić. Wzdłuż dróg owocowały pomarańcze. Oliwia potarła paznokciem twardą skórkę i zrobiła wgłębienie na powierzchni młodego owocu. Był świeży i doskonały, cały świat był świeży i doskonały. Co by tu teraz namalować? Co by tu zrobić? Wszystko było możliwe. Była taką Oliwią Schloss, jaką zawsze pragnęła być.

Gdy wróciła do domu rodzeństwa, Izaak czytał list przy opalanym drewnem piecyku w kuchni. Podeszła i pocałowała go, a on wyciągnął rękę z listem i zamarł w bezruchu.

– Co to jest? Co się stało?

– To od Peggy Guggenheim. Sama sobie przeczytaj.

Zaniepokojona wzięła list, siadła za stołem i zaczęła czytać.

DROGI PANIE ROBLES,

PANA ADRES DAŁ MI HAROLD SCHLOSS. PROSZE WYBACZYĆ BEZPOŚREDNIOŚĆ. ALE JESTEM PRZEKONANA. ŻE W TYCH KWESTIACH NIEOCENIONE JEST UCZCIWE STAWIANIE SPRAWY. MAM NADZIEJE. ŻE PAN JAKO ARTYSTA STOSUNKOWO NOWY NA RYNKU SZTUKI PRYZNA MI RACJE. PRZYPADŁA MI W UDZIALE ROLA BEZIMIENNEGO „NABYWCY” - PANA OBRAZ ZDOBI MOJĄ ŚCIANĘ I JESTEM NIM ZAFASCYNOWANA.

Oliwia podniosła wzrok na Izaaka, nie mogła opanować gonitwy myśli.

- Och, Izaaku, to cudowne...
- Czytaj dalej - powiedział.

KIEDY SCHLOSS OŚWIADCZYŁ, ŻE CHCE MI POKAZAĆ COŚ NIEZWYKŁEGO, MIAŁAM MIESZANE UCZUCIA. MARSZANDZI CZĘSTO MI TO POWTARZAJĄ, A JA DAWNO JUŻ NAUCZYŁAM SIĘ PODCHODZIĆ DO TAKICH ZAPOWIEDZI ZE ZDROWYM DYSTANSEM. ALE SCHLOSS MIAŁ TYM RAZEM RACJĘ. NIE PRZESADZIŁ, FATYGUJĄC SIĘ Z TYM OBRAZEM DO MNIE DO PARYŻA OSOBIŚCIE. POWIEDZIAŁ, ŻE POCHODZI PAN Z KRAINY WRZOSOWISK I BEZKRESNEGO, ROZGWIEŹDZONEGO NIEBA, Z ZIEMI ARABSKICH PAŁACÓW I KATOLICKICH FORTEC, GDZIE ZIEMIA PRZESIAKŁA KRWIĄ, A SŁOŃCE SMAGA SIERRĘ. PANA PRZEDSTAWICIEL UŻYŁ BYĆ MOŻE OKREŚLEŃ RODEM Z TEATRU WIEDEŃSKIEGO, PANIE ROBLES, ALE JA CAŁKOWICIE UFAM JEGO OPINI.

JESTEM TAKA SZCZEŚLIWA. ŻE PRZYSTAŁAM WÓWCZAS NA PROPOZYCJE SPOTKANIA. PAŃSKI OBRAZ UBOGACA MÓJ ŚWIAT KAŻDEGO DNIA W INNY SPOSÓB. MOI PRZYJACIELE. KTÓRZY POZNALI GO LEPIEJ NIŻ JA SAMA. NAZYWAJA GO CHIMERA. KAMELEONEM. ESTETYCZNA PRZYJEMNOŚCIA I METAFIZYCZNA RADOŚCIA. MAM OCHOTE POWIEDZIEĆ. ŻE „KOBIECY W PSZENICZNYM ŁANIE” TO OBRAZ TRUDNY DO ZGŁĘBIENIA. ALE TO NIEWATPLIWIE DOBRY OBRAZ. CHOĆ DOSTRZEGAM UPÓR. Z JAKIM TRZYMA SIĘ PAN MALARSTWA FIGURATYWNEGO W DOBIE ABSTRAKCJONIZMU. NIE UWAŻAM PANA TWÓRCZOŚCI ZA PRZEJAW REAKCJONIZMU. TRYUMFU SIŁ WSTECZNYCH - ABSOLUTNIE NIE. TWORZY PAN COŚ NOWEGO.

KOLORY - OD CZEGO BY TU ZACZAĆ. PISZAC O PANA KOLORYSTYCE? ZAŻARTOWAŁAM W OBECNOŚCI HERR SCHLOSSA. ŻE „GDYBYŚMY ROZCIELI PANA ROBLES NA PÓŁ. TO OKAZAŁOBY SIĘ ZAPEWNE. ŻE MA W SOBIE TECZE”. ALE NIECH PAN TRZYMA NA WODZY SWOJE RECE. PANIE ROBLES - OWA TECZA UJAWNIEĆ SIĘ MOŻE W PEŁNI TYLKO W DALSZYM PROCESIE TWÓRCZYM.

„PSZENICZNY ŁAN” JEST W MOIM ODCZUCIU MISTYCZNY I NIEOGARNIONY. ODNOSZĘ WRAŻENIE, JAKBY ZWIERZĘTA NAMALOWAŁ

REALISTYCZNA KRESKA JAKIŚ RENESANSOWY MISTRZ - JUŻ SAM FAKT. ŻE UŻYŁ PAN FARBY OLEJNEJ NA DREWNIANEJ POWIERZCHNI. TWORZY WRAŻENIE TRADYCJONALIZMU. EFEKT SNU I KOSZMARU ZARAZEM. ZAPRZECZENIE RELIGII. ALE I POSZUKIWANIE WIARY. JEDNAKŻE KOLORYSTYKA POSTACI KOBIECYCH - WYRAZ ICH TWARZY. BEZKRES NIEBA - WYDAJĄ SIĘ WYTWOREM O WIELE BARDZIEJ NAM WSPÓŁCZESNEJ DUSZY.

TAK PRZYNAJMNIEJ JA TO WIDZE. PAN JEDNAK MUSI. JAK WSZYSCY WIELCY ARTYŚCI. PUSZCZAĆ MIMO USZU WSZELKIE „RECENZJE”. KRÓTKO MÓWIAC. PANIE ROBLES - BARDZO MI SIĘ OBRAZ PODOBA, A PAN NIECH TĘ OPINIĘ PRZYJMIE LUB ODRZUCI, JAK PAN CHCE.

SCHLOSS ZAPEWNE PANU WSPOMNIAŁ. ŻE ZAMIERZAM W PRZYSZŁYM ROKU OTWORZYĆ GALERIE W LONDYNIE. A PANA OBRAZ WIDZE POŚRÓD INNYCH. KTÓRE WEJDA W SKŁAD EKSPOZYCJI PRZYGOTOWANEJ NA OTWARCIE. SAMA NIE WIEM. CZY BEDE W STANIE ROZSTAĆ SIĘ Z NIM I ODDAĆ DO DYSPOZYCJI BYWALCÓW GALERII - PÓKI CO NIE UMIAŁABYM SIĘ NIM PODZIELIĆ I WCIAŻ WISI NA ŚCIANIE MOJEJ SYPIALNI. PAŃSKI OBRAZ MA BOWIEM W SOBIE PEWNA INTYMNOŚĆ. ŚLADY WALKI WEWNĘTRZNEJ I BUNTU. KTÓRE WYDAJĄ SIĘ TAK GŁĘBOKO LUDZKIE - POWIEDZIAŁABYM WRĘCZ, W SENSIE ESTETYCZNYM, GŁĘBOKO KOBIECE - ŻE ZACZĘŁY WE

MNIE BIĆ JAK DRUGIE SERCE.

CHCIAŁBYM JEDNAK OKAZAĆ SIĘ DOBRYM KOLEKCJONEREM. A CI ZAWSZE DZIELA SIĘ SWYMI ZBIORAMI. PRAGNĘ, BY MÓGŁ PAN UJRZEĆ SWOJE DZIEŁO NA ŚCIANIE GALERII PUBLICZNEJ.

NIE MAM W ZWYCZAJU NAKŁANIAĆ ARTYSTÓW. BY TŁUMACZYLI MI SWA TWÓRCZOŚĆ. CHYBA ŻE SAMI TEGO CHCA. DLATEGO NIE STAWIAM W TYM MIEJSCU PYTAŃ O INSPIRACJE. O PROCES TWÓRCZY. O PAŃSKIE ZAMIERZENIA CO DO EFEKTU KOŃCOWEGO. MAM JEDNAK PEWNA PROŚBĘ. SCHLOSS ZAPEWNIŁ MNIE. ŻE NADARZY SIĘ ZAPEWNE OKAZJA. BY OBEJRZEĆ KOLEJNE DZIEŁA. PROSZE WIEC BRAĆ MNIE POD UWAGĘ JAKO SWOJEGO MECENASA. KRÓTKO MÓWIAC: KIEDY PRZYJDZIE CZAS. BY ZAPREZENTOWAĆ PANA ŚWIATU. CHCIAŁBYM. BY ZADANIE TO PRZYPADŁO W UDZIALE WŁAŚNIE MNIE. PIERWSZY OKAZUJE SIĘ ZAZWYCZAJ NAJBARDZIEJ NIESTRUDZONYM, W KAŻDEJ DZIEDZINIE.

POZOSTAJĘ Z PODZIWEM

PEGGY GUGGENHEIM

Oliwia wybuchła szalonym śmiechem jak ktoś, kto dowiedział się, że jego los wygrał właśnie na loterii. Umysł dziewczyny już tworzył projekcje tego, jak wygrana zmieni jej życie.

– Och, Izaaku – powiedziała. – Masz nową przyjaciółkę. Ona uwielbia ten

obraz.

– To żadna moja przyjaciółka.

– Daj spokój. Nie masz się czym martwić.

Zamarł w bezruchu.

– Czy to prawda, że twój ojciec zapowiedział, że dostarczy jej więcej moich obrazów?

– Nie mam pojęcia. – Oliwia z wolna odłożyła list na stół. – Ale niewykluczone, że tak zrobił, jest w końcu marszandem. Na tym polega jego praca. Złapał tę Guggenheim, wykorzystując linkę, haczyk, spławik, nie mógł więc zapomnieć o przynęcie.

– Wiedziałaś, że tak się stanie? – Izaak potarł dłonią twarz.

– Nie.

– Czy przypuszczałaś, że tak będzie?

– W ogóle się nad tym nie zastanawiałam. Wiedziałam jedynie, że nie mogę przedstawić ojcu tego obrazu jako swojego.

– Ale dlaczego nie? – Przycisnął palec do listu i patrzył, jak bieleje mu skóra.

– Czy rzeczywistość nie byłaby wtedy łatwiejsza niż teraz?

– Teresa tak to ustawiła. Wtrąciła się...

– Pan Robles nie ma już żadnych obrazów – powiedział Izaak, krzyżując ręce na piersi. – Namalował tylko ten jeden. I dzieło zostało sprzedane. Więcej nie będzie.

– Tak, ale...

– Powiem zatem twojemu ojcu, handlarzowi dzieł sztuki, że nie mam czasu na malowanie. Moja praca w Maladze pochłania mnie bez reszty.

– Peggy Guggenheim cię kupiła, Izaaku. Jej wuj...

Prychnął z obrzydzeniem.

– Posłuchaj samej siebie. „Peggy cię kupiła”

– Peggy kupiła nas. Nie widzisz tego? Oboje jesteśmy częścią tego układu. Twoje nazwisko, twoja twarz, moja praca.

– Oliwio, mówię całkiem poważnie. Tu nie ma równowagi.

– Tylko jeden obraz. Jeszcze tylko jeden.

– Wcale mi się to nie podoba. Zgodziłem się jak idiota. Byłem zmęczony, zrobiłem głupio. A ty zaczynasz się zachowywać jak pijak w poszukiwaniu ukrytej butelki.

– Możesz winić swoją siostrę, ale niemnie. Ja tego układu nie wymyśliłam, stało się i już.

– Mogłaś temu zapobiec, jednak nie chciałaś.

– Dałaś te pieniądze robotnikom?

– Tak.

– I nie wydaje ci się, że to było coś? Czy my wszyscy nie powinniśmy być gotowi na jakieś poświęcenie? Czy to nie jest twoje credo, które powtarzasz mi od dnia, kiedy się poznaliśmy?

– A na czym polega twoje poświęcenie, Oliwio? O ile dobrze widzę, dla ciebie to jedna wielka maskarada, i tyle.

– Żadna maskarada – zachnęła się Oliwia. Wstała energicznie z krzesła i stanęła z nim twarzą w twarz.

– Tak się przynajmniej zachowujesz.

– Dlaczego ty i twoja siostra macie mnie za taką idiotkę? Wiesz, ilu artystów reprezentuje na rynku mój ojciec? Ostatnio doliczyłam się dwudziestu sześciu. A wiesz, ile jest wśród nich kobiet, Izaaku? Ani jednej. Bo jak wiadomo, kobiety się do tego nie nadają. Nie mają wizji artystycznej, chociaż, o ile się nie mylę, mają oczy, ręce, serca i dusze. Zostałam więc skazana na przegraną, zanim jeszcze stanęłam do walki.

– Ale to ty namalowałaś ten obraz...

– I co z tego? Mój ojciec nigdy by nie poleciał do Paryża z powodu obrazu, który wyszedł spod ręki jego córki. Od lat żyję z tą świadomością, Izaaku. Miałam ją przez wiele, wiele lat, zanim się spotkaliśmy. Kiedy tu przyjechaliśmy, nie wiedziałam, co zrobić ze swoim życiem. Byłam zagubiona. I wtedy poznałam ciebie. A potem twoją siostrę, tę twoją siostrzyczkę, która lubi się wtrącać, dzięki czemu wyświadczyła mi chyba największą życiową przysługę, choć teraz przez to cierpi. Ale to właśnie ona zmieniła całe moje życie. I bardzo mi się to podoba, Izaaku. Nie zamierzam się zatrzymać. Być może kiedyś przyznam się ojcu do wszystkiego, po to tylko, żeby zobaczyć wyraz jego twarzy. Może przyjdzie czas na taki żart. Ale jeszcze nie teraz. Za późno.

– Na co za późno? Tylko mi nie mów, że tak naprawdę chcesz pomagać ludowi pracującemu Hiszpanii. Chyba bym tego nie zniósł.

– Byłeś zadowolony, jak brałaś moje pieniądze.

– To były pieniądze Peggy Guggenheim...

– Które pewnie stanowiły dwukrotność twoich rocznych dochodów. Dlaczego ty nie bierzesz pod uwagę takiej opcji, że mnie naprawdę leży na sercu to, co się tu dzieje?

– Możliwe. Ale to dość powierzchowne zainteresowanie. Tak naprawdę nie rozumiesz sedna tego, co się tutaj rozgrywa.

– Ale to właśnie ja, nie ty, jestem tą osobą, która może zapewnić sprawie dopływ żywej gotówki. A poza tym skąd przypuszczenie, że to ty najlepiej się na wszystkim znasz? – Rozłożyła energicznie ramiona. – No dobrze, Izaaku, powiem ci, dlaczego chcę w to dalej brnąć. Dla siebie samej. Ale przy okazji mogę pomóc innym, taka jest prawda. Chcę, aby moje obrazy stały się na tyle ważne i cenne, by nikt nie mógł ich wycofać z rynku i schować w magazynie tylko dlatego, że namalowała je kobieta. To jeszcze nie wszystko. Nieraz widziałam, jak sukces zmienia ludzi, jak ich pozbawia twórczego impulsu, jak paraliżuje. Nie potrafią namalować niczego, co nie byłoby marną repliką ich pierwszego dzieła, bo cały świat wyrobił sobie już opinię, kim taki artysta jest i jak powinien tworzyć.

– Cieszę się, że jesteś ze mną szczerą. Ale obraz pozostałby taki sam, także gdyby był sygnowany twoim nazwiskiem – powiedział Izaak. – Nadal mogłabyś zmieniać świat.

– O Boże, i po co ja ci to wszystko tłumaczyłam! Jesteś taki naiwny. Nic by wtedy nie zadziało w ten sam sposób! Nie nadszedłby ten zalotny list od Peggy Guggenheim, w jej nowej galerii nie byłoby wystawy zbudowanej wokół jednego obrazu, nic z tych rzeczy! A ja straciłabym całą swoją energię na „zmienianie świata”, jak to ująłeś. Nic by mi z niej nie zostało na samo malowanie, a przecież o malowanie tu właśnie, do cholery, chodzi! Proponujesz, żebym tę energię, która potrzebna mi jest do stworzenia czegoś, czegoś dobrego, zużyła na „zmienianie świata”? Ty tego nie rozumiesz, bo twoje dotychczasowe życie było życiem jednostki, Izaaku. A przecież wszystko, co robimy, ma też wymiar uniwersalny. Więc ciesz się sławą, pieniędzmi i zrób to dla mnie, bo mnie na pewno nie przypadłby w udziale cały ten splendor.

– Czek od Peggy Guggenheim nie zmieni tutejszej sytuacji politycznej – odparł. – To ty jesteś naiwna.

– Już wolę być naiwna niż nudna. Co z wami obojgiem jest nie tak? To ja

wam to dałam! A wy zachowujecie się tak jak wszyscy dookoła.

– Moja siostra jest na mnie zła – powiedział. – I ma rację.

– No tak, na mnie też się gniewa. Nasza przyjaźń już się chyba skończyła. Ale powiedzmy sobie szczerze, kiedy Teresa nie jest zagniewana?

Mówiąc o Teresie, przez krótki moment stanęli po jednej stronie barykady i wzniesli się ponad spór. Te miny Teresy, ten jej upór, przeświadczenie, że to ona najlepiej wie, jak wszystko powinno wyglądać i jakimi nietypowymi metodami można osiągnąć cel...

– Myślę, że wcale się nad tym wszystkim nie zastanawiała, kiedy umieszczała mój obraz na twoich sztalugach – stwierdziła Oliwia. – Ona mnie wcale nie zna.

Izaak oparł się o poręcz krzesła, chwilowe zawieszenie broni właśnie się skończyło.

– Nie. Ja wcale nie realizuję jej planu. Ale ona nadal stawia cię na piedestale. I myślę, że zna cię lepiej, niż ty znasz samą siebie.

– Co masz na myśli?

– To, że może wcale nie chciałaś, żeby twój obraz pozostał sekretem.

– Co takiego? – Wlepiała w niego wzrok.

– Pozwoliłaś jej wejść do sypialni. Pokazałaś swoje obrazy. Nie przyszło ci wtedy do głowy, że moja siostra może wpaść na tego typu plan?

– Pokazałam jej obrazy jako przyjaciółce.

– Teresa nie zrobiła tego złośliwie. Przestań wreszcie udawać, że ona cię skrzywdziła.

– Jeśli tak ci zależy na uczuciach siostry, to przede wszystkim nie trzeba było mnie w ogóle dotykać. – Oliwia ciężko oparła się o stół. – Bo tak naprawdę t o jej stoi ością w gardle. Nawet nie wiem dlaczego.

– Oliwio, sama do mnie przyszałaś... ty chciałaś... No dobrze, to może dajmy sobie spokój, co?

– Z czym mamy dać sobie spokój? – Oliwia uniosła głowę.

– Z tym... kłamstwem. Naprawdę czuję, że oszukuję twojego ojca...

– On tu nie stanowi problemu. Jest szczęśliwy. Zachwycony. Sprzedał obraz, a teraz umacnia reputację pewnego bardzo obiecującego artysty...

– Który nie istnieje.

– Ale istnieje Izaak Robles, którego razem stworzyliśmy.

- Kręcimy się w kółko.
- Jeszcze jeden obraz. Tylko jeden.
- Potrafisz człowieka zdominować, Oliwio. Nie dbasz o uczucia drugiej strony.
- Czyżby? A ty? Kiedy tu przyjechałam, nie chciałeś mnie nawet pocałować. Milcząc, spojrzeli sobie w oczy.
- Proszę cię, Izaaku. Wiem, że proszę o wiele. Ale mam taki jeden obraz. Zatytułowany *Sad*. Moglibyśmy dać go Peggy Guggenheim.
- Im dalej będziemy w to brnąć, tym bardziej niebezpieczna stanie się cała gra.
- Nic złego się nie wydarzy. – Oliwia uklękła obok Izaaka i oparła o jego kolana ręce złożone w błagalnym geście. – Nikt się nigdy nie dowie. Proszę cię, Izu. Proszę.

Nerwowym ruchem zmierzwił sobie włosy.

- A jeśli Peggy Guggenheim zechce mnie poznać?
- Nie przyjdzie jej do głowy, żeby tutaj przyjechać.
- A jeśli zaprosi mnie do Paryża? Wspomniała już o Londynie.
- Wtedy odmówisz. Będiesz grał artystę nieuchwytnego.
- To nie czas na angielską ironię. – Izaak zmrużył oczy.
- Ja mówię poważnie, Izaaku. Proszę.
- A ty co w zamian dla mnie zrobisz?
- Co tylko zechcesz.

Izaak zamknął oczy i przesunął dłońmi po twarzy, jakby chciał z siebie zmyć jakieś myśli. Podniósł Oliwię z podłogi, sam wstał od stołu i poprowadził dziewczynę w stronę drzwi sypialni.

- Jeden obraz, Oliwio – powiedział. – I na tym koniec.

XIV.

Zanim *Sad* został wysłany do biura Harolda w Paryżu, Izaak chciał go koniecznie zobaczyć. „Żebym przynajmniej wiedział, co podpisuję własnym nazwiskiem”, powiedział. Teresa zaproponowała, aby Sara też przy tym była, niech zobaczy Izaaka z obrazem. Gdyby wspomniała kiedyś o tym mężowi, wzmocniłoby to ogólne przekonanie, że *Sad* wyszedł spod ręki Izaaka.

Oliwia zdziwiła się sugestią Teresy.

– Może to i dobry pomysł, ale myślałam, że nie chcesz mieć z tą sprawą nic wspólnego – powiedziała.

Teresa wzruszyła tylko ramionami.

– Och, jest wspaniały – oznajmiła Sara, stojąc tego popołudnia przed obrazem wystawionym we wschodnim saloniku. „Oliwia czmychnęła na bok jak krab, który ucieka przed falą – pomyślała sobie Teresa – jakby nie miała odwagi stawić czoła sytuacji”

Pewność siebie Oliwii gdzieś uleciała. Siedziała w fotelu ojca i biernie obserwowała reakcję matki. Teresa zwróciła uwagę na czerwone, wełniane spodnie Sary, które w zestawieniu z jej mleczną cerą wyglądały jak krew. Chlebodawczyni najwyraźniej odzyskiwała formę.

– Podobny do naszego sadu, a jednak... odmienny – zauważyła.

– Dziękuję, señora – powiedział Izaak, najwyraźniej skrępowany.

– Prawda, że dobry, Oliwko?

– Tak – odparła Oliwia, unikając spojrzenia Izaaka.

Sara chciała, by Teresa koniecznie przyniosła Izaakowi herbatę i *polvorones*.

– Tak się cieszymy, że mamy Teresę – wyznała. – Bez niej bałagan by nas pochłonał. Jestem też niezmiernie dumna z tego, że znaleźliśmy pana – powiedziała, opierając się o oparcie fotela, na którym siedział.

Mówiła ciepłym, pojednawczym tonem. – Jak się czuje ktoś, kto jest objawieniem Paryża? – zapytała.

– Objawieniem?

– No, kimś nowym, kogo się wysoko ceni. Harold wpadnie w zachwyty, jak go zobaczy – wskazała ręką na *Sad*. – Szczerze mówiąc, najbardziej cieszę się z tego, że zamówiłam u pana obraz, choć teraz tym trudniej jest mi podzielić się

panem. Szkoda tylko, że mój portret wisi na ścianie u obcej kobiety.

– Tak – odparł.

– No cóż – westchnęła, co było bardziej wymowne niż dwadzieścia słów. – Mój małżonek niedługo wróci do domu. – Słowo „małżonek” podkreśliła w taki sposób, jakby Izaak nie wiedział, kim jest Harold.

– Miło mi będzie go spotkać – odparł Izaak.

Sara uśmiechnęła się i wyszła z pokoju. Teresa odniosła wrażenie, że wszyscy się rozluźnili, gdy jej pracodawczyni zniknęła na schodach. Oliwia podeszła szybko do drzwi i zamknęła je.

– I jak, Izu? – spytała, kręcąc się nerwowo. – Podoba ci się?

Wszyscy wpatrywali się w obraz, w pofalowaną szachownicę pól, surrealistycznie nasycone barwy, biały dom, który kiedyś był jego przystanią, a teraz mieszkał tam ktoś inny.

– Jakie to ma znaczenie, czy mi się podoba? – spytał.

– A więc nie podoba ci się – zmieszła się Oliwia.

– To wartościowy obraz, ale ja bym go tak nie namalował – odparł.

– Nie podoba mu się – powiedziała Teresa.

– To nie takie proste – mruknął Izaak.

– A ja myślę, że to proste, naprawdę. – Oliwia podeszła do obrazu. – Co ci się w nim nie podoba?

– Mój Boże! – krzyknął. – A czy ja mam obowiązek się nim zachwycać? Nie dość, że mam udawać, że go namalowałem?!

– Mówże ciszej – powiedziała.

– Nie zapomniałaś nawet o moich inicjałach.

– Sygnatura jest konieczna.

– Jest okropny – powiedział, gwałtownie wstając. – I mam nadzieję, że tak pomyśli również twój ojciec.

– Izaaku...

– Żegnam, señoritas.

Oliwia wyglądała, jakby jej wymierzył policzek. Kiedy wyszedł, podbiegła do okna i patrzyła za nim, jak oddalał się, zmierzając ku zardzewiałej bramie. Mocnym pchnięciem otworzył jej podwoje, nie oglądając się za siebie ani razu.

– Nie denerwuj się – powiedziała Teresa i podeszła do niej. – Jakie to ma znaczenie, czy jemu się podoba.

– On ma prawo odrzucać moje obrazy, ale ja nie potrafię tworzyć, kiedy jest na mnie zagniewany. Po prostu nie mogę. – Oliwia nie kryła zdenerwowania.

– Ale dlaczego? Przecież malowałaś, zanim go poznałaś.

– Ale nie tak, nie tak! – Oliwia wskazała na *Sad*. Przycisnęła czoło do łuszczącej się okiennicy. – Jeżeli mu się nie podoba, to skąd możemy mieć pewność, że wyśle go do mojego ojca? A czasu zostało niewiele.

Stracimy zainteresowanie tej Guggenheim.

– Jestem pewna, że zaczeka na obraz geniusza.

– To słowo pada zbyt często. – Oliwia skrzywiła się. – Nie jestem geniuszem. Ciężko pracuję.

– Ona zaczeka. A jeśli mój brat będzie się ociągał, sama zaniosę obraz do portu.

– Ty?

– Możesz mi zaufać.

Oliwia ukryła twarz, znów opierając czoło o okiennicę.

– Tobie? Zawiodłaś moje zaufanie, kiedy zamieniłaś obrazy. Sama już nie wiem, czy jesteś po mojej stronie, czy nie.

Teresa milczała przez jakiś czas. Nie potrafiła ukryć bólu. Oliwia jednak dorównywała swej matce w kokieteryjnym zachowaniu, choć kierowała się innymi pobudkami.

– Naprawdę nie widzisz tego? Możesz mi w pełni zaufać, powierzyć swoje życie.

– Nie mówmy o moim życiu, Tere. – Oliwia podniosła głowę. – Pytam, czy mogę ci powierzyć mój obraz. Dostarczysz go do portu?

– Tak.

Oliwia spojrzała na bramę, za którą nie tak dawno zniknął Izaak.

– Nigdy nie miałam prawdziwego przyjaciela.

– Ani ja.

– A byłaś kiedyś zakochana? Byłaś kiedyś z mężczyzną?

– Nie.

– Nie byłaś zakochana czy nie byłaś z mężczyzną?

– Nie byłam z mężczyzną.

Oliwia zwróciła się w jej stronę.

– Ale byłaś zakochana.

– Nie, chyba nie. Sama nie wiem. – Teresa poczuła, że jej policzki płoną.

Tamtej nocy Teresa nie wróciła do domu. Uzyskała pozwolenie, by zamieszkać w kąciku poddasza u boku Oliwii i zająć się jej pędzlami oraz ubraniami, co było następstwem zawieszenia broni i sprawiło jej wielką przyjemność. Przyjaciółka wyznała, że maluje portret Izaaka. „Od dawna się na to zanosilo”, pomyślała Teresa, która znała styl jej pracy i pamiętała kreślone ołówkiem wizerunki twarzy swego brata – wypełniały szkicownik Oliwii.

Spoglądając z boku na Oliwię stojącą przy sztalugach i rozpoznając na desce rysy Izaaka, Teresa dostrzegła, że portret od samego początku był niezwykły. Skóra postaci na obrazie miała odcień zielonkawy, a w oczach czaiło się niezdrowe, klaustrofobiczne spojrzenie. Za to głowa wyglądała tak, jakby stanęła w ogniu – nad nią biegły w górę ostre kanarkowe żółcie oraz inne, przywodzące na myśl łakę pełną mleczy, zwieńczone siatką rozproszonych krwistych plamek – widomy znak

morderczych myśli. Oliwia malowała ogarnięta wściekłością, pracowała jak w transie. Teresa wiedziała, że relacja łącząca brata z tą dziewczyną daleka jest od normalności, lecz wątpiła, czy Oliwia zdaje sobie sprawę z tego, jaki ładunek fascynacji, ale i strachu zdradza powstający obraz.

Po kilku godzinach Oliwia ukończyła pierwszy etap malowania portretu Izaaka. O trzeciej nad ranem, wyczerpana, padła plecami na materac i wbiła wzrok w belki stropu oraz łuszczący się tynk, którego odstające kawałki podświetlał na krawędziach wąty płomień ustawionej przy łóżku świecy. Z odległych gór dobiegało wycie wilka.

– Chodź, śpij tu ze mną – powiedziała do Teresy, która w kąciku czytała książkę, a teraz posłusznie ją odłożyła, wdrapała się na materac i wyprężona niemal na baczność ułożyła się obok Oliwii pod szaroróżową narzutą. Nie śmiała nawet drgnąć, by nieopatrzny ruchem nie sprawić, że zostanie wygnana z tego magicznego królestwa.

Leżały tak obok siebie, wpatrzone w sufit. Stopniowo atmosfera w pokoiku stawała się coraz mniej gęsta, nagromadzona w czasie twórczego aktu energia uległa rozproszeniu, pozostała po niej tylko zielonej barwy twarz Izaaka na sztalugach. Zza okna nie dochodziły już żadne odgłosy, ani koguta, ani psa, ani ludzi. Zasnęły w ciszy, w ubraniach, które miały na sobie.

Dwa dni później Oliwia zdecydowała się wybrać z Teresą do Malagi, by „złapać jeden dzień życia”, jak to sama ujęła.

– Jak długo was nie będzie? – dopytywała się Sara. Teresa wyczuwała u niej lekkie zdenerwowanie spowodowane tym, że po raz pierwszy od miesiący miała zostać sama.

– Załatwimy wysyłkę dla pana Roblesa, a potem napijemy się lemoniady na Calle Larios – powiedziała Oliwia.

– Tylko się umówcie z tym znajomym ze wsi, żeby was odwiózł do domu przed zmrokiem.

– Obiecuję.

– On nie jest przypadkiem czerwony, co?

– Ależ mamolo!

Sad był obrazem sporych rozmiarów, więc dziewczyny musiały go nieść razem ścieżką prowadzącą z finki w dół – jakby dźwigały nosze, tyle że bez ciała. Teresa spojrzała za siebie w kierunku szczytu wzgórza i dostrzegła, że Sara je obserwuje, stojąc w oknie aż do chwili, gdy zeszyły do wsi i zniknęły jej z pola widzenia. Woźnica czekał w umówionym miejscu z mułem zaprzężonym do wozu. Teresa nie mogła się pozbyć uczucia niepokoju, jakie narastało w niej na myśl o pozostawionej w samotności Sarze. Nie umiała tego wyjaśnić, więc skoncentrowała się na czerpaniu przyjemności z całodziennej wycieczki. Założyła swoją najlepszą niebieską sukienkę, umyła głowę i skropiła się wodą o zapachu kwiatu pomarańczy, którą Rosa Morales, córka doktora, sama produkowała i sprzedawała. Można by pomyśleć, że to już *feria*, bo Teresę ogarnął iście wakacyjny nastrój.

Podczas trzydziestokilometrowej drogi do Malagi, którą odbywała usadowiona w tyle wozu, przytrzymując pakunek, wciąż nie mogła się nadziwić okazałym rozmiarom tego owiniętego w papier i przewiązanego sznurkiem obrazu. Nie pytała o to Oliwii, bo czuła, że nie wkradła się jeszcze na powrót w jej łaski. Robiła, co do niej należało. Wiatr rozwiewał włosy przyjaciółki, a okulary przeciwsłoneczne w białej oprawce powodowały, że urodą dorównywała matce. Po cóż Teresa miałaby zakłócać tak uroczy, pogodny dzień?

Muł posuwał się zakurzoną drogą, a Oliwia dostrzegała coraz więcej czerwonych wstążek zawiązanych wokół pni dębów korkowych. Z

niewiadomych względów widok ten wzniecał w niej niepokój, jakby to były strużki krwi rozbryzgujące się w podmuchach wiatru.

– Co to oznacza? – spytała po hiszpańsku.

Właściciel zaprzęgu odwrócił się i rzucił przez ramię:

– Oznacza problemy.

Teresa odczytała wstążki jako zły omen zwiastujący nadejście czasów przemocy, jak to na przestrzeni wieków wielokrotnie w tym kraju bywało. Nigdy nie potwierdzono, kto te wstążki zawiązywał – podobno Adrián był jednym z tych ludzi – ale sam fakt, że istniały osoby, którym chciało się znaczyć drzewa czerwonymi symbolami, dowodził istnienia buntu, dążenia do wywrócenia świata do góry nogami. Teresa nie chciała, by cokolwiek stanęło na głowie. Dopiero co zdołała doprowadzić do tego, że nastał dla niej taki miły dzień.

Dumne z siebie i szczęśliwe dotarły na pocztę. Umówiły się z właścicielem zaprzęgu, skąd i o jakiej porze powinien je odebrać. Przed samą przerwą na siestę zdołały nadać paczkę, by mogła wyruszyć do Francji następnego dnia. Odbiorcą *Sadu* była Galerie Schloss przy paryskiej Rue de la Paix.

Potem spacerowały szerokimi bulwarami Malagi, podziwiając słupy latarni ulicznych wykonane z kutego żelaza i ozdobione koszami jaskraworóżowych i szkarłatnych petunii oraz geranium. Zaglądały przez okna do sklepów i pokazywały sobie co lepiej ubranych przedstawicieli miejskiej socjety. Zapuszczały się w wąskie brukowane uliczki, gdzie okiennice były zamknięte dla ochrony przed południowym upałem.

Wszystko miało tu wielkomiejski charakter, jakże inny od ich wiejskiego zacisza na wzgórzu Arazuelo. Teresa z przyjemnością obserwowała, jaki zachwyty jej rodzinne miasto budziło w Oliwii. Może daleko mu było do Londynu, ale wyglądało na przemian dostojnie i nowocześnie, gdy promienie słońca to rozpalały kamienną zabudowę, to odbijały się w ozdobnych drewnianych ramach okiennych i lśniących witrynach domów towarowych i aptek.

Dziewczęta poszły do portu i przysiadły, by rozkoszować się lemoniadą, a przy tym obserwowały licznie wpływające i wypływające ogromne statki, snując przypuszczenia, który z nich zabierze ich przesyłkę.

– Izaak wiedział, że obraz zostanie wysłany – powiedziała Oliwia. – Nie

chciał tylko być tym, który wyprawi go w podróż. Czy myślisz, że postępuję wobec niego uczciwie?

– Chcesz w ten sposób zapytać, czy mój brat będzie się na to bez końca godził?

Oliwia spojrzała na nią ze zdziwieniem.

– Tak, chyba o to mi chodzi – powiedziała.

Teresa wpatrywała się w morską toń.

– Pieniądze nigdy nie będą dla niego wystarczającym powodem.

Mówiła prawdę, pieniądze nigdy nie były najważniejsze dla żadnego z nich. Chociaż Izaak odłożył sobie część kwoty otrzymanej za *Kobiety w pszenicznym łanie*, to jednak w rzeczywistości oboje pragnęli zawsze tego, czego pieniądze nie zapewnią: miłości i uznania dla swoich racji.

Teresa była przeświadczona, że Oliwia postępuje lekkomyślnie.

Uważała, że używanie nazwiska Izaaka do firmowania swoich własnych działań nie może trwać w nieskończoność i że brat w końcu się zbuntuje.

Ona sama jednak była gotowa z radością stać przy Oliwii tak długo, jak tylko przyjaciółka będzie tego potrzebować.

– Zabrzmiało to trochę jak groźba. – Oliwia zmarszczyła czoło.

– Nie o to mi chodziło – odparła Teresa. – Ale on jest mężczyzną, no wiesz.

– Co masz na myśli?

Teresa nie umiała odpowiedzieć po angielsku tak precyzyjnie, jak by chciała. Ale chociaż martwiło ją to wszystko, co Oliwia ściągała na siebie własnym postępowaniem – coś nieokreślonego, co nieubłaganie się ku niej zbliżało, niosąc wielkie zagrożenie, coś, czego nie potrafiła nazwać, ale wyraźnie wyczuwała, to jednak z zachwytem stała teraz u jej boku, patrzyła na morze, piła lemoniadę i tak naprawdę pragnęła tylko, by lekkomyślność Oliwii i ta chwila trwały wiecznie.

– Mój brat potrafi mówić sam za siebie – powiedziała zatem, a Oliwia, nie chcąc już drażnić nieprzyjemnego dla nich tematu, odwróciła się, by obserwować olbrzymi liniowiec, który wychodził właśnie w morze.

Wrócili do finki o zmierzchu, zmęczone, ale szczęśliwe.

– Tereso – odezwała się Oliwia, gdy stanęły przed wejściem.

– Tak?

– Nie pozwolę, by przytrafiło ci się coś złego. Możesz mi zaufać, obiecuję.

Teresa uśmiechnęła się, zdziwiona tym, że jej własne słowa wracają do niej jak brakująca część zaklęcia. Kiedy dziewczęta weszły do finki, nie zauważyły nigdzie Sary.

– Gdzie ona jest? – spytała Oliwia z dziecięcym przerażeniem, które pobrzmiwało w jej głosie aż nazbyt wyraźnie.

– Pewnie wyszła na spacer – powiedziała Teresa.

– Moja matka nie chodzi na spacer.

Oliwia wybiegła do sadu, a Teresa, pod pretekstem poszukiwania Sary, pospieszyła do pokoju na stryszku, by potwierdzić swoje przypuszczenia. Było tak, jak podejrzewała. Zielony portret Izaaka zniknął. Był już zapewne w ładowni jakiegoś liniowca, w drodze do Peggy Guggenheim.

Rzeczywiście Sara nabrała upodobania do częstych spacerów po terenie przyległym do finki, co było zupełnie zaskakujące jak na kogoś, kto wcześniej wolał leżeć na sofie i palić papierosy. Zaczęła zbierać to, co wyrosło na dzierzawionym przez nich terenie i wkładała wszystko, nieoczyszczone z ziemi i korzeni, do wiklinowego kosza. Pewnego dnia oznajmiła, że wybiera się do wsi po karczochy i wkrótce w kuchni pojawił się ich okazały stos. Wazony z polnym kwieciem były tak liczne, że Teresie wkrótce skończyły się naczynia.

Dziesięć dni po wyprawie do Malagi nadszedł telegram od Harolda. Teresa poszła go odebrać, wróciła biegiem i wręczyła depezę Oliwii, która akurat razem z matką łuskała groch na kuchennym stole.

– „*ZIELONOLICY GENIUSZ IDZIE DO GUG STOP KUPIŁA
TEŻ WSPANIAŁY SAD STOP WRACAM KONIEC TYGODNIA*

STOP” – czytała na głos Oliwia. – Peggy Guggenheim kupiła je oba – wydyszała. – Izaak będzie zadowolony.

– Nie wiedziałam, że były dwa – powiedziała Sara, wbijając paznokiec w strączek. Lakier, jak zauważyła Teresa, ukruszył się, ale matka Oliwii nie zrobiła nic, by to naprawić.

– Oprócz *Sadu* Izaak miał jeszcze inny obraz. Autoportret.

– Widziałaś go? – spytała Sara.

– Przez chwilę. Wygląda na to, że tatuś wraca.

– Dokładnie wtedy, kiedy przestał wreszcie dzwonić ten telefon – westchnęła Sara.

Teresa podeszła do zlewozmywaka, by zrobić porządek z naczyniami. Sara odłożyła pusty strączek.

– Kochanie – odezwała się. – Czy podoba ci się tutaj?

– Przyzwyczaiałam się. Teraz już mi się bardzo podoba. A tobie?

Sara wyjrzała przez kuchenne okno. Ogród i znajdujący się za nim sad obfitowały o tej porze w owoce i kwiaty, kapryfolium, dama-de-noche, a przede wszystkim pomarańcze i oliwki, które Harold obiecał żonie i córce tamtego styczniowego dnia, gdy tu przybyli całkowicie obcy, zziębnięci, przemoczeni i roztrzęsieni po kolejnym ataku Sary.

– Nie wiem, czy „podoba mi się” jest odpowiednim słowem. Mam wrażenie, że mieszkam tutaj od dziesięciu lat. Czuję się, jakby... to miejsce dawało mi spokój i ukojenie. Jakbym wchodziła w bezpośredni kontakt z tym, co inspirowało Izaaka. Ta wielobarwna szachownica pól... – Po czym zwróciła się do córki: – To niezwykle, jak on potrafił uchwycić te pola, co?

– Tak.

– Jak on to według ciebie robi?

– Skąd mam wiedzieć?

– Jest geniuszem.

– Nikt nie jest geniuszem, mamu – westchnęła Oliwia. – To zwykłe uproszczenie. Tu chodzi o wprawę.

– Jaką wprawę? Ja bym mogła ćwiczyć latami i nigdy bym czegoś takiego nie stworzyła.

– Chyba lepiej się czujesz, mamusiu – stwierdziła Oliwia.

– Rzeczywiście, czuję się dużo silniejsza. Ojciec przywiózł mi z Malagi ostatnią porcję pigulek i nawet ich nie zaczęłam.

– Naprawdę? Czy to dobry pomysł? Tere i ja przestraszyłyśmy się, gdy po powrocie z Malagi nie mogłyśmy nigdzie cię znaleźć. Martwiłam się, że ty znowu...

– Już bym tego nie zrobiła, Oliwko. Dużo się zmieniło.

Łuskały groch w ciszy. Sara opaliła się nieco, wyglądała na wyciszoną i zdystansowaną. Oliwia po raz kolejny zauważyła z bólem, że jej matka jest bardzo ładna, ale sama niemal wcale tego nie zauważa – włosy ma trochę w nieładzie, a letnią sukienkę pogniecioną, jakby dopiero co wyciągnęła ją z kufra. Odrosty Sary były już bardzo widoczne, ale wcale się tym nie przejmowała. Jej naturalny kolor, ciemny blond, był surowy, ale przyjemnie kontrastował z utlenionymi końcówkami. Oliwia nabrała ochoty, by ją namalować, by uchwycić ten luz w nadziei, że sama z niego trochę przejmie.

– Już prawie lato – powiedziała Sara, przerywając zamyślenie swojej córki. – Przyjdą upały.

– Narzekałaś, kiedy było zimno.

Sara zaczęła się śmiać z samej siebie. To także rzadko się zdarzało.

– Niezły miał pomysł twój ojciec, żeby tutaj przyjechać. Całkiem niezły. – Wyciągnęła rękę i uściśnęła dłoń Oliwii. – Naprawdę cię kocham, Oliwko.

Bardzo.

– Mój Boże, co ci się stało?

– Nic. Nic. Pomyślałam tylko, że powinnaś wiedzieć.

Sara wyszła na werandę z paczką papierosów i najnowszą powieścią Agathy Christie przysłaną jej przez przyjaciółkę z Londynu, a Teresa zabrała się do mycia łupkowej podłogi w holu. Oliwia ruszyła za nią i zatrzymała się na suchej wysepce, do której Teresa jeszcze nie zdążyła dojść.

– Tereso, mogłabyś mi pozować do następnego obrazu? – spytała cichym głosem. – Bardzo bym chciała, żebyś została moją modelką.

Teresa zeszywniała, a jej dłonie zacisnęły się na szczotce.

– Nie powiedziałaś mi o drugim obrazie, który również zawiozłyśmy do Malagi – rzuciła.

– Nie chciałam ci sprawiać więcej kłopotu.

– Kłopotu?

– Posłuchaj, wiem, że według ciebie całe to przedsięwzięcie deprecjonuje mnie jako artystkę.

– Deprecjonuje?

– Zmniejsza moją wartość. Myślisz, że Izaak zaczyna się w tym wszystkim liczyć więcej, niż powinien. Ale ja tego właśnie chcę. Potrzebuję wolności, twórczej swobody. Jesteś moją przyjaciółką, Tere. Chciałabym ci ten obraz dać.

Teresa w zamyśleniu zanurzyła szczotkę w wiadrze brudnej wody. Zdała sobie sprawę, że właściwie czekała na taką propozycję od chwili, gdy zobaczyła w szkicowniku podobizny Izaaka. Decyzja, by pomagać Oliwii w kolejnych matactwach, w transportowaniu obrazów do Malagi i upewnianiu Sary, że namalował je Izaak, a także dbałość o pokój na poddaszu – to wszystko miało też służyć pewnemu celowi, który trudno było uznać za szlachetny. Otóż Teresa chciała zostać uwieczniona na obrazie. Chciała, by Oliwia zapragnęła ją namalować.

Gdy Teresa podążyła za Oliwią na poddasze, wiedziała, że wchodzi w nową rolę. Obejrzała się jeszcze na częściowo umytą podłogę i porzuconą szczotkę, która leżała tam niczym wyrzut sumienia. Właśnie przestała być zwykłą służącą, teraz miała zostawić po sobie trwałe ślad, który nigdy nie zostanie zapomniany.

Oliwia powiedziała jej, że główną bohaterką obrazu będzie Rufina, po czym

zamknęła drzwi pokoiku na poddaszu.

– Mam już *Justę w studni*, a teraz ty będziesz moją Rufiną. W końcu to właśnie ty opowiedziałaś mi tę historię. Zastanawiam się tylko, na którym fragmencie się skupić.

Teresa skinęła tylko głową, bo nie śmiała się odezwać. Co by powiedział Izaak, gdyby się dowiedział, że Oliwia namalowała jego zieloną twarz i wysłała do Peggy Guggenheim jako jego autoportret? Kiedyż on się wreszcie zorientuje, że ta dziewczyna tworzy obraz za obrazem? Oliwia uważała Izaaka za źródło swojej inspiracji, ale Teresa zdała sobie sprawę, że Izaak nie był już zdolny powstrzymać erupcji jej talentu, nawet gdyby doprowadził do gwałtownej kłótni i zerwania.

– Rufina z garnkami, Rufina z lwem czy ścięta Rufina z siostrą? – zastanawiała się Oliwia, zapytując przede wszystkim samą siebie. – Ta ostatnia wersja wyglądałaby ponuro, a jednak przedstawiałaby prawdziwą tryumfatorkę dramatu, chociaż dziewczyna skończyła w studni.

Teresa wyłowiła nieznane słowo „tryumfatorka” i zrozumiała, że Oliwia ma na myśli aktorkę.

– Na twoim obrazie będzie wyglądała jak prawdziwa, nie jak aktorka – powiedziała.

– Cieszę się, że tak myślisz, Tere – uśmiechnęła się Oliwia.

Postanowiła zrezygnować z formy dyptyku, którą posłużyła się w przypadku *Kobiet w pszenicznym łanie*, i namalować tylko jedną scenę. Ostatecznie jednak zdecydowała o włączeniu do kompozycji wszystkich etapów dramatu sióstr. Rufina będzie więc przedstawiona w pełnej postaci, ale z własną głową w ręku.

– Mogłabyś też zawrzeć w obrazie swoją twarz – powiedziała Teresa, ale natychmiast tego pożałowała, bo odniosła wrażenie, że chyba wykroczyła poza swoją rolę.

Oliwia zagryzła usta, rozważając tę propozycję.

– Wiesz, na początek namaluję twoją – powiedziała. – A później zdecyduję, czy dodać też moją. Ma to w końcu być jedna osoba. Ale na pewno użyję płatków złota, robiąc grzywę lwa. Będzie potulny jak kociak.

Oliwia usadowiła modelkę na krześle, które zwykle sama zajmowała, gdy Teresa szczotkowała jej włosy. Z ruchów Oliwii emanowała pewność – robiła

to, w czym była dobra.

– Jakie poważne oczy – powiedziała Oliwia, przykładając pędzel do zagruntowanej powierzchni. – Takie ciemne i uważne, zwłaszcza w zestawieniu z małym zadartym nosem. Oboje z Izaakiem wyryci jesteście w mej pamięci na podobieństwo drzeworytu.

Gdy Oliwia przystąpiła do malowania, miała taki wyraz twarzy, jakby stawała się coraz bardziej nieobecna, wyłączona z zewnętrznego świata i skupiona na własnej wizji. Teresa nie miała do tej wizji przystępu, ale czuła się jej źródłem. Świadomie zgodziła się przyjąć rolę fantomu, dzięki czemu mogła zniknąć i stać się kimś zupełnie innym, tym, kim chciała widzieć ją Oliwia. Nigdy wcześniej nie czuła się tak niewidzialna, a jednocześnie tak widoczna.

XVI.

Harold wrócił wreszcie w pierwszym tygodniu czerwca. Sam przyjechał z lotniska w Maladze.

– Gdzie on jest? – zawołał, gdy tylko zaparkował przed domem swojego packarda. – Gdzie jest ten mój geniusz?

Kobiety stały na stopniach przed wejściem i zasłaniały oczy od słońca. Od Harolda aż biło radością. „Był z nią”, pomyślała Teresa, przyglądając mu się bacznie, gdy zbliżał się do drzwi. Wyglądał na sytego i zadowolonego, a jednak uśmiech miał nieco wymuszony. Było w nim coś z człowieka, który porzuca szerokie wody występuku i wraca do wąskiej cieśniny prowadzącej ku cnocie. „Może posłał jej bilet do Paryża?” Nieśmiałe pytanie wypowiedziane po niemiecku przez nieznajomą, które lekko już zatarło się w jej pamięci, teraz powróciło z całą wyrazistością: *Harold, bist du es?*

Teresa spojrzała na Sarę, która miała skupiony wzrok, jakby gromadziła siły, zbierała się w sobie. „Czy ona wie?”, zastanawiała się Teresa. Wie.

– Witaj, kochanie – powiedziała Sara. – Izaak tu przecież nie mieszka.

Harold podszedł dostojnym krokiem i złożył dwa pocałunki na twarzy żony – po jednym na każdym policzku.

– Ach, ten Izaak. – Następnie zwrócił się do Oliwii: – Wyglądasz pięknie, Oliwko. Powiem więcej: wspaniale.

Oliwia uśmiechnęła się.

– Dzięki, papciu. Ty też.

Teresa spuściła oczy w nadziei, że Harold nie pozna jej myśli.

– *Buenos días, Teresa* – przywitał się także z nią.

Podniosła wzrok; po podróży miał jednodniowy zarost. Wyczuła zabłąkaną nutę cudzych perfum na jego skórze.

– *Buenos días, señor.*

– Przynieś moją walizkę, dobrze?

Zeszła po schodach. Czuła się tak bardzo złączona z losem Schlossów, że aż zapierało jej dech w piersiach.

Tamtego wieczora Teresa czekała na brata przed domem. Cienie się wydłużyły, a cykady jak zwykle zaczęły wznosić mur zgrzytliwych dźwięków.

Izaak pojawił się u stóp wzgórza około siódmej i od razu uderzyło ją to, że był zmęczony, wprost przygnieciony jakimś niewidzialnym ciężarem.

– Wrócił – powiedziała na powitanie.

Izaak cisnął plecak na trawę, aż zagrzecotało.

– Co tam masz? – zapytała.

– Zobaczysz.

Rzucił się na ziemię i leżąc na plecach, zaplótł ręce pod głową.

– Powinieneś o czymś wiedzieć – odezwała się, poirytowana jego małomównością. – Oliwia ci tego nie wyjawiała, ale do Paryża wysłała jeszcze jeden obraz. Nie gniewaj się. Harold go sprzedał. Chciałam ci powiedzieć, zanim on to zrobi.

Izaak był przybity. Tylko skinął głową, a następnie poklepał się po kieszeni i wyjął zmiętą paczkę papierosów.

– Jesteś zły, Izu?

– Nie.

– Myślałam, że się zdenerwujesz. A dlaczego nie?

– Chcesz, żebym się zdenerwował? Po co? Zrobiła to. Można się było spodziewać.

– Chciała pewnie zdobyć więcej pieniędzy dla sprawy.

– Zawsze to samo.

– Izu, wiem, co się dzieje.

Gwałtownie podniósł na nią wzrok.

– Co masz na myśli?

– Wiem, jak z wami dwojgiem jest i co robicie oprócz malowania. Ona cię kocha.

Na jego twarzy pojawił się wyraz ulgi. Zapalił papierosa.

– Oliwia – powiedział.

– Kochasz ją?

Izaak usiadł, zaciągnął się papierosem i podkulił kolana, wpatrzony w sierrę. Zaczynało już zmierzchać, a z zarośli u stóp wzgórza ulatywały nietoperze. Powietrze było nagrzane, ziemia wciąż oddawała ciepło.

– Oni wyjadą – powiedział. – Nie posiedzą tu dłużej. Ich domem jest miasto. Salon.

– Sara, owszem. Harold, być może. Ale nie Oliwia.

– Przemieniła cię w romantyczkę.

– Ależ gdzie tam. Po prostu ją rozumiem, to wszystko. Ona cię nie opuści.

Pójdzie za tobą wszędzie.

– Skąd ta pewność?

– Twierdzi, że bez ciebie nie może malować.

Zaśmiał się.

– Pod pewnym względem to prawda. No cóż, jeżeli rzeczywiście mnie kocha, to nic mi się tu nie zgadza.

– Według mnie ona cię wcale nie potrzebuje.

– I to mnie w ogóle nie dziwi, Tereso.

– W Paryżu odnieśliśmy sukces – powiedział Harold. – Izaak Robles stał się najjaśniejszą gwiazdą na firmamencie Galerie Schloss.

Następnego popołudnia w saloniku po wschodniej stronie domu Harold relaksował się z kieliszkiem sherry fino w dłoni. Rozprostował wygodnie nogi i oznajmił wszystkim bez dłuższych wstępów, że dzięki *Kobietom w pszenicznym łanie*, *Sadowi* i *Autoportretowi w zieleni* on i jego wspólnicy przeżywają prawdziwy renesans.

– Za pośrednictwem Duchampa rozeszła się wiadomość, że Peggy chce kupować dzieła sztuki – powiedział. – Dotarłem do niej jako pierwszy. Ona wprost nie może się doczekać na kolejne dzieło, to znaczy obraz stanowiący parę z *Kobietami w pszenicznym łanie*. Chce zobaczyć na fotografii, jak postępują prace, jeśli to możliwe. Jest możliwe, Izaaku?

Oliwia pociągnęła kolejny łyk sherry.

– Drugi obraz „stanowiący parę”? – spytał Izaak.

– Czyżbym był zbyt niecierpliwy? – odparł Harold. – Powiedz, jeżeli tak jest. Nie musimy jej wcale posyłać fotografii, jeżeli nie chcesz. Zróbmy tak, jak będzie najlepiej dla ciebie. Masz wielki dar, Izu. Naprawdę. Wprost nie mogę się doczekać rozwoju twojej kariery.

– Nie będzie ona taka, jak się pewnie spodziewacie – odpowiedział Izaak. – Panie Schloss, mam coś dla pana.

Oliwia odstawiła kieliszek. Chciała wyjść, ale wtedy Izaak sięgnął do plecaka i wyciągnął pistolet z bębniem ze lśniącej stali. Nie padło ani słowo, gdy ważył go w rozprostowanej dłoni.

– Prawdziwy? – spytała Sara.

– Prawdziwy, señora.

– Po co nam tu, u licha, przyniosłeś pistolet? – zaśmiał się Harold. – Przynieś lepiej obraz, na Boga.

Oliwia usiadła z powrotem z wyrazem ulgi na twarzy.

– Strzela pan, señor? – spytał Izaak.

– Tak, kiedyś strzelałem.

– A kobiety potrafią strzelać?

– Ależ skąd – powiedziała Sara. – I w ogóle, skąd to pytanie? Brzmi strasznie dramatycznie.

Izaak zawiesił wypełniony ziemią worek na wystającym konarze dębu korkowego w odległym końcu ogrodu. Na starym opakowaniu po mące widoczne było słowo HARINA, więc umówili się, że cel znajduje się pomiędzy literami R a I. Wszyscy ustawili się za starą kamienną fontanną w kolejce do strzelania, a całe szkolenie przebiegało w nastroju nieomal karnawałowym. Worek dyndał sobie na drzewie, a z gałęzi dębu zrywały się płoszone hukiem wystrzałów ptaki. Harold trafił w końcowe A. Kula Sary utkwiała w korze dębu. Oddała broń Izaakowi, mówiąc, że więcej nie weźmie pistoletu do ręki. Położyła się w trawie i odpoczywała z rękami na brzuchu, wpatrzona w niebo. Izaak trafił w sam środek N. Uśmiechnął się zakłopotany. Podał broń Oliwii, a Teresa obserwowała, jak spotkały się ich dłonie.

Oliwia podeszła wolno do stanowiska strzeleckiego i uniosła pistolet. Zmrużyła oko, pociągnęła za spust i aż jęknęła przerażona, gdy podczas strzału broń odskoczyła w jej dłoni.

– Oliwko! – krzyknął ojciec.

– Nic mi nie jest.

– I w dodatku trafiłaś niemal w sam środek.

– Naprawdę? – Oliwia z niedowierzaniem spojrzała na worek.

Teresie całkiem oczywiste wydało się to, że Oliwia ma dobre oko i pewną rękę.

– Jeszcze raz – powiedział Harold.

– Nie, to był przypadek.

Sara podniosła głowę, by zmierzyć wzrokiem podziurawiony kulami worek.

– Oliwko, masz nieoczekiwany talent. Może powinniśmy cię zgłosić do

zawodów?

Teresa podbiegła do Oliwii po pistolet, a Izaak upewnił się, że poprawnie go przeładowała. Teresa odsunęła go i samodzielnie złożyła się do strzału.

- Kupiłeś to za jej pieniądze, prawda? – szepnęła do brata.
- I będzie ich więcej. To radziecki T33 – odparł z podziwem w głosie.
- Dajesz im ten pistolet?
- Może im się przydać.
- Do czego? Chcesz ich bronić czy narażać na niebezpieczeństwo?
- Skup się na celu, Tere, i mów ciszej.

Teresa zastanawiała się, skąd Izaak bierze radziecką broń, ale nie do końca chciała to wiedzieć. W skupieniu uniosła pistolet, rozstawiła nogi, a drugą dłoń oparła na biodrze. Naprężyła całe ciało, każdy mięsień miała napięty, a szczękę zacisnęła tak, że stała się twarda jak u kamiennego satyra na fontannie. Wciągnęła głęboko powietrze i nacisnęła spust. „Nie tylko ty masz dobre oko”, pomyślała. Rozległ się strzał, kula przeszła powietrze i trafiła dokładnie w sznurek przytwierdzający worek do konara. Ku niezadowoleniu Izaaka cała zaimprovizowana tarcza runęła na ziemię. Piasek wysypał się na trawę. Trzeba było przerwać ćwiczenia.

Późnym popołudniem Harold oznajmił, że jedzie autem do Malagi. Planował odwiedzić piwnicę win i kupić trochę sherry. Sara postanowiła mu towarzyszyć.

– Muszę wstąpić do apteki – wyjaśniła. – Potem napiję się kawy na Calle Larios i pospaceruję nad morzem.

Teresa zauważyła wahanie Harolda, ale w końcu oświadczył:

– To dobry pomysł, zaczerpniesz trochę świeżego powietrza. Izaaku, zechcesz się do nas przyłączyć? Ktoś, kto zna miejscowe realia, może być nam bardzo pomocny, zwłaszcza w kwestii wyboru sherry.

Ale Izaak – który, jak pamiętała Teresa, kiedyś marzył, by przejechać się takim autem, tym bardziej że sam musiał zadowalać się rowerem – wcale nie miał ochoty na wyprawę. Grzecznie odmówił.

– Rozumiem – powiedział Harold. – Masz tu pewnie coś do zrobienia.

Stojąc przed finką, Oliwia i Izaak pomachali odjeżdżającym Schlossom.

– Możemy teraz zrobić fotografię dla Peggy Guggenheim – powiedziała Oliwia, gdy jej rodzice zniknęli z pola widzenia. – Tatuś ma w gabinecie

aparat.

Izaak milczał, wpatrując się w rozkołysaną bramę, która otworzyła się i ukazała drogę wyjazdową do wioski.

– O co ci chodzi? – zapytała.

– Byłem głupi – odparł.

– Wcale nie.

– Myślałem, że jesteś taka ufna i szczęśliwa dlatego, że mnie kochasz.

– Tak było. I jest.

– Myślę, że nie. Jestem przekonany, że to coś było w tobie i tylko czekało, by się uwolnić. Tak się złożyło, że nastąpiło to w tym konkretnym czasie i miejscu, a ja stałem się kanwą dla twojego dzieła.

– Kocham cię, Izaaku – powiedziała, ale jej słowa jakby do niego wcale nie dotarły.

– To nie mnie kochasz, tylko ściany domu Peggy Guggenheim. Jak to się skończy, Oliwio? – powiedział. – Bo przecież się skończy.

Oliwia odwróciła się do niego i położyła mu rękę na ramieniu, ale on ją strącił.

– Gniewasz się, ale naprawdę cię kocham... – powtórzyła.

– Mówisz, że jeszcze tylko jeden obraz, a potem jest kolejny. Zielona twarz. I jeszcze jeden, jeszcze jeden, jeszcze jeden!

– Przykro mi. Tak mi przykro. To już ostatni. Obiecuję, przysięgam. Przysięgam na życie.

Odwrócił się, tak że stanęli twarzą w twarz.

– Czy ty i moja siostra zaplanowałyście wszystko od samego początku?

– Oczywiście, że nie.

– Ona bardzo dobrze się w tej sytuacji odnajduje. Mówicie jednym głosem. Ona ma zawsze jakiś plan.

– Nie, nigdy nie było żadnego planu, Izaaku. Tak się po prostu ułożyło.

– To Teresa wyjdzie z tego wszystkiego zwycięsko. To ona postawiła twój obraz na sztalugach, ale nie myśl, że zawsze ty będziesz dla niej najważniejsza.

– Co masz na myśli?

Zaśmiał się ponuro.

– Jestem sławny w Paryżu, mieście, którego nigdy nawet nie widziałem. Maluję autoportrety, których też nigdy nie widziałem. Ty mnie kradniesz,

Oliwio. Wydaje mi się, że im bardziej mnie widać, tym bardziej staję się niewidzialny, jakby mnie ubywało.

Odczuł, że trudno mu oddychać, poczuł się nieswojo i głos zaczął mu się łamać.

– I po tym wszystkim ty jeszcze chcesz, żebym wierzył w twoją miłość.

– Ja niczego nie oczekuję, Izaaku. Nigdy nie chciałam, żebyś tak się czuł. Naprawdę cię kocham. Nie oczekuję, że ty pokochasz mnie. Poniosło mnie, wiem o tym. Ala ja... my... odnieśliśmy taki sukces. Nie myślałam, że to może tak łatwo przyjść...

– Wcale nie łatwo, Oliwio. To nigdy nie było łatwe. Nie mogę, nie będę już tego ciągnął. A jeśli wyślesz do tej Guggenheim jeszcze chociaż jeden obraz, to nie ręczę za siebie.

– Co to ma znaczyć, Izaaku? Grozisz mi?

– Musisz zniszczyć obraz. Ten, nad którym pracujesz.

– Ale ja nie mogę... – Spojrzała na niego przerażona.

– Niby dlaczego?

– Bo to najlepsza rzecz, jaką do tej pory namalowałam. Bo na niego czeka już Paryż.

– Ale nie możesz oczekiwać, bym miał z tym cokolwiek wspólnego.

– Izaaku, proszę. Pro-szę...

– Obiecałaś, Oliwio. Oszukujesz.

– A ty mnie nawet nie dotknąłeś od czterech tygodni. Czy taką cenę każesz mi płacić za to, że po raz pierwszy w życiu robię coś doskonałego?

– A jaką cenę ty każesz mi płacić? Żaden mężczyzna nie zniósłby, gdyby kobieta oczekiwała tak wiele. Mężczyzna potrzebuje kobiety, która go rozumie i wspiera...

– Pozwala mu iść przodem?

– To, że mnie przy tobie nie ma, jesteś najwyraźniej w stanie zaakceptować, byle tylko pani Guggenheim cię wychwalała pod niebiosa.

– To nieprawda. Tęsknię za tobą.

– Ty nie za mną tęsknisz, Oliwio, tylko za kolejną szansą, żeby posłać tam swój obraz.

– Naprawdę mi ciebie brakuje. Chodź ze mną na górę i obejrzyj płótno – błagała. – A potem mi powiesz, czy zmieniłeś zdanie.

Obraz miał takie same rozmiary jak *Kobiety w pszenicznym łanie*.

A jednak sprawiał wrażenie większego. Izaak stał przed nim w pokoiku na poddaszu i nie mógł się nadziwić jego zmysłowości i sile. Chociaż malowidło było jeszcze ciągle niegotowe, lew wydawał się zauroczony widokiem dwugłowej Rufiny. Dzieło zapierało dech w piersiach, było złowróźbne, rewolucyjne.

– Czy to ty? – Wskazał na odciętą od korpusu głowę. – I czy to Tere cię trzyma?

– Dwa razy tak – odparła Oliwia. – Ale to ma być ta sama osoba. Zatytułowałam go *Rufina i lew*. To jest Rufina przed pojmaniem i po pojmaniu przez władze.

Izaak wpatrywał się w obraz, w orgię kolorów i złocień, w zadziwiająco beznamiętne spojrzenie Rufiny niosącej swoją głowę, w lwa zastygłego w oczekiwaniu.

– Podoba ci się? – spytała.

– Jest wspaniały.

– Tak się czasami zdarza. – Uśmiechnęła się. – Moja ręka prowadzi głowę, by ta nie traciła czasu na smutki i zastanawianie się.

W tamtej chwili zależało jej tylko na tym, by Izaak uznał ją za utalentowaną i pewną siebie – i by ją za to kochał.

– Udało nam się coś cudownego, Izu – powiedziała. – Te obrazy będą sławne.

Ale Izaak koncentrował się na *Rufinie i lwie*.

– Weźmy aparat – powiedziała energicznie. – Peggy chce fotki.

– Fotki?

– Mówię o fotografii. Fotografii obrazu. Izu – powiedziała łagodnie – naprawdę chcesz, żebym go zniszczyła?

Spojrzał w podłogę i w tej chwili Oliwia zrozumiała, że wygrała bitwę, a może nawet wojnę.

– Ty też umiałbyś walczyć z lwem, Izaaku, gdyby było trzeba. Ja to wiem.

– A lew uciekłby przed tobą. Umiesz obsługiwać aparat? – zapytał.

– Oczywiście – odparła spokojnie, nie potrafiąc ocenić, co się między nimi teraz dzieje. – Ale... miałam nadzieję, że Teresa sfotografuje nas oboje.

Izaak zamknął oczy, jakby odczuł ból.

– Zróbmy to i miejmy to już za sobą – powiedział. – Zawołaj ją.

– Jestem lwem! – zaryczała Teresa, unosząc wolną rękę jak łapę, a drugą nacisnęła migawkę. Przez ostatnie pół godziny robiła dosyć oficjalne zdjęcia obrazu i stojącego obok Izaaka, ale w tej chwili Oliwia odchyliła głowę i zaniósła się śmiechem, lekko mrużąc przy tym oczy. Dobry humor siostry nie udzielił się jednak Izaakowi, który wpatrywał się w obiektyw tak władczo, że Teresa natychmiast wypadła z roli władcy zwierząt.

I wtedy, gdy naciskała migawkę i uwieczniała ich w różnych pozach, Teresa pojęła, że doszło do jakiegoś przełomu. I po raz pierwszy zrozumiała też, że nie ma już odwrotu.

Kiedy tydzień później Izaak odebrał w Maladze wywołany film, odkrył, że na niektórych zdjęciach Teresa umieściła w centrum Oliwię, a sam obraz był niemal niewidoczny. Z kolei on na wszystkich wydał się sobie smutny, jakby brał udział w pogrzebie. Twarz Oliwii, która tamtego popołudnia była tak energiczna i ruchliwa, wyszła nieco rozmazana, a otwarte usta zdawały się układać w wyrażające przyjemność bezgłośnie „och”. Na jej widok, jakże wolnej i radosnej, poczuł w środku lekkie ukłucie, ale po chwili się uspokoił.

Kiedy Harold obejrzał fotografię samego obrazu, tak wykadrowanego, by nic nie podpowiadało, gdzie się on znajduje, zapytał Izaaka:

– Dlaczego ta dziewczyna niesie głowę?

– Dla mnie to obraz dwulicowości – odparł Izaak. – Wokół nas jest przecież tyle kłamstw.

Oliwia pracowała nad *Rufiną i lwem* przez pozostałą część czerwca i na początku lipca. W gabinecie Harolda znowu zaczął co dwa, trzy dni dzwonić telefon, a on zamykał drzwi, by go odebrać i rozmawiał ściszym, niewyraźnym głosem. Powiedział, że będąc w Paryżu, otrzymał niezbyt dobre wieści z Wiednia. Ludzie zamykali firmy, a przestępcy unikali kary. Ale bardziej przerażająca od rozbitych okien była retoryka, w której prześcigali się politycy obu stron. Z Niemiec przybywali w poszukiwaniu bezpieczeństwa żydowscy uchodźcy, jednak trudno było powiedzieć, jak długo taki kierunek ucieczki miał się okazać sensowny.

Rodzinie oświadczył, że zamierza skupić się na swojej paryskiej galerii i znaleźć takie rozwiązania logistyczne, by można było ewakuować wiedeńskie eksponaty, zanim będzie za późno. Peggy Guggenheim zamierzała otworzyć galerię w Londynie, więc miał nadzieję tam właśnie umieścić część swych zbiorów. W Wiedniu, jak mówił, żydowscy znajomi sprzedawali dzieła sztuki po zaniżonych cenach, byle zgromadzić fundusze na bilet kolejowy oraz mieszkanie i wyżywienie poza granicami Austrii. Kolekcjonerzy, kiedyś dumni ze swoich bogatych, zróżnicowanych i ciekawie dobranych zbiorów dzieł dawnych i współczesnych mistrzów, teraz wyzbywali się dobytku po cenach, które dwanaście miesięcy wcześniej odrzuciliby bez zastanowienia.

Harold był ponury, co nikogo nie dziwiło, a ożywiał się, tylko słysząc o kolejnym obrazie Roblesa. Izaak stał się jego siłą napędową, zwłaszcza w obliczu sączonej przez gazety retoryki nacjonalistycznej. Był jego niepokornym dzieckiem, nosicielem wizji, uosobieniem zachwytu i buntu. „Maluj, Izu – powiedział któregoś wieczora pijany. – Bóg tylko jeden wie, jak bardzo potrzebujemy, żebyś malował!”

Arazuelo było na tyle spokojne, że przetaczające się po Europie burze wydawały się całkiem nierzeczywiste. Sara nadal chodziła na spacer, a w kuchni zgromadziła się już cała góra karczołów. Przy takim tempie dostaw domownicy nie byli w stanie nadażyć z jedzeniem. Teresę ogarniały coraz gorsze przecucia. Zauważyła, że z powodu ostrego lipcowego słońca na nosie Sary pojawiły się piegi. Pani Schloss straciła nieco ze swej kruchej elegancji i

bardziej wrosła w miejscową społeczność. W nocy Teresa usłyszała odgłos silnika, gdy Harold zjechał packardem ze wzgórza i zniknął za bramą, kierując się do Malagi. Wydawało się, że Sara ze spokojem przyjmuje wyjazdy męża. Spała całymi dniami i narzekała na bóle głowy, a wstawała dopiero pod wieczór, gdy Harold zdążył już wrócić, więc w jej odczuciu było prawie tak, jakby w ogóle nie wyjeżdżał.

Oliwia zupełnie się już nie wypowiadała na temat tajemniczych wypadów ojca. Teresa pomyślała, że może ta sytuacja pozwala jej oszukiwać go, tak jak on oszukiwał ją. Może jej najważniejszym celem nie był sukces, a upokorzenie przeciwnika? Teresa nie była do końca pewna. Wydawało się jej, że tylko pracując dniami i nocami nad *Rufiną i lwem*, Oliwia jest w stu procentach sobą.

Lipiec w Arazuelo był piękny. Pola pachniały rozmarynem i szałwią, jaszczurki pierzchały po murach jak sekretne myśli i dzięki gwałtownym, nerwowym ruchom udawało im się bez trudu wymknąć skrzydlatym drapieżnikom. A kiedy zastygały w bezruchu, by grzać się w słońcu, wyglądały dostojnie. Rozumne gady chłoneły na zapas słoneczne ciepło.

O tej porze roku wieczorami cienie wydłużały się, a w gorącym powietrzu rozbrzmiewał koncert cykad. Pola miały teraz kolor pietruszki, limonek i jabłek. Wszędzie było mnóstwo polnych kwiatów: odpryski czerwieni i królewskiej purpury, kanarkowa żółć płatków falujących w powiewach bryzy. A kiedy zrywał się mocniejszy wiatr, powietrze nabierało słonego smaku. Odgłosy morza tu nie docierały, ale wsłuchując się uważnie, można było wychwycić odgłos chrząszcza mozolnie wędrującego wśród zbóż.

Od strony skalistych wzniesień dobiegały matowe dźwięki dzwonek, a schodzące po piargach kozy powoli zagłuszały cichsze odgłosy. Pszczoły bzycały, unosząc się nad dorodnymi kwiatostanami, rolnicy pokrzykiwali do siebie, a w koronach drzew rozbrzmiewało *arpeggio* ptasich treli. Letni dzień obfitował w tyle dźwięków – wystarczyło tylko samemu zachować ciszę.

Nie zauważyli, że nadchodzi. Nic dziwnego, że to przeoczyli. Komuż by się chciało wyglądać kłopotów, gdy wokół spokojnie biegnie zwyczajne życie? Każdy próbuje odwracać wzrok tak długo, jak tylko się da. Nawet rząd jej nie zauważył. Może dopiero wtedy, gdy mieszkańcy tych okolic upomnieli się o sprawiedliwość za śmierć Adriána, młodego robotnika, albo wtedy, gdy

władze zauważyły czerwone wstążki przywiązane do pni drzew i rozstrzelaną figurę Madonny, dopiero wtedy decydenci poszli po rozum do głowy i zaczęli szeptać między sobą: „No jasne, przecież tyle było czytelnych znaków”.

Schlossowie byli zbyt zajęci swoimi wewnętrznymi rozgrywkami, by zauważyć, co dzieje się tam, na północy, w Madrycie, albo co wzbiera i płynie ku nim z Maroka. Nie zwrócili uwagi, gdy dwunastego lipca w Madrycie członkowie falangi zastrzelili lewicującego porucznika gwardii republikańskiej. W odwecie jego przyjaciele zamordowali deputowanego z ramienia partii monarchistycznej, prominentnego działacza prawicy. Życie Hiszpanii i życie w fince stanęło w obliczu pęknięcia, powstała szczelina, przez którą mogła wlać się topiel wzajemnych oskarżeń, uśpionych ambicji i skrywanych resentymentów. Ale mimo wszystko na samym początku nikt nie dostrzegł, że nadciąga wojna.

Sara i Oliwia jako pierwsze usłyszały tę wiadomość przez radio. Osiemnastego lipca czterech generałów zbuntowało się przeciw lewicowemu rządowi i pociągnęło za sobą garnizony, którymi dowodzili. Premier, przejęty groźbą rewolucji i niepokojów społecznych, nakazał wszystkim cywilnym gubernatorom, aby nie wydawali broni organizacjom robotniczym, które na pewno zechcą stawiać opór powstającym wojskowym strukturom władzy. Tej samej nocy podał się do dymisji.

Izaak przybiegł do finki. Harold oczywiście przebywał w Maladze.

– Do broni! – krzyknął, a kobiety, słysząc go, wybiegły przed dom.

Później Teresa przypomniała sobie, jak odmiennie zareagowały matka i córka. Oliwia wyglądała, jakby doznała ulgi. Może wciąż jeszcze wierzyła, że Izaakowi na niej zależy – do tego stopnia, że przybiegł tu, bo w okolicy pojawili się żołnierze. Sarę z kolei Teresa zapamiętała z wyrazem zadowolenia na twarzy, skupioną na nalewaniu do szklanki wody dla Izaaka.

Najbliższym geograficznie miastem, które uległo zbuntowanym wojskom, była Sewilla. Na czele oddziałów stanął niejaki generał Queipo de Llano, który o dziesiątej wieczorem wygłosił przez radio swoje oświadczenie. Izaak w towarzystwie trzech kobiet zasiadł w gabinecie Harolda, by wysłuchać przemówienia. Na ich twarzach malowało się przerażenie, gdy wśród trzasków rozległ się głos Queipo de Llano:

– Ludu Sewilli, do broni! – mówił tubalnym głosem. – Ojczyzna znalazła się w niebezpieczeństwie. Po to, by ją ratować, kilku ludzi honoru, czterech generałów, wzięło na siebie odpowiedzialność za poprowadzenie was w pierwszym szeregu Ruchu Ocalenia Narodowego, który wszędzie święci już tryumfy. Oddziały z Afryki spieszą ku Hiszpanii, by dołączyć do sił pragnących obalić niegodny rząd niszczący nasz kraj i przekształcający go w kolonię Moskwy.

– W kolonię Moskwy? – powiedziała Sara. – O czym on, do cholery, mówi?

– Nie odzywaj się! – syknęła Oliwia.

– Wszystkie oddziały z terenu Andaluzji, z którymi nawiązałem kontakt telefoniczny, oddały się pod moje dowództwo i wyszły na ulice... Natomiast władze w Sewilli i wszyscy zwolennicy tak zwanego Rządu Madryckiego zostali aresztowani i podlegają mojej władzy.

– Izaakowi – szepnęła Oliwia. – On mówi o tobie. Musisz uciekać.

Spojrzał na nią i wtedy dopiero zauważyła, że ma podkrążone oczy.

– Uciekać? Nie zamierzam uciekać – oświadczył. – Myślałaś, że będę się krył przed kimś takim jak on? Wierzysz, że ludzie, do których zadzwonił Queipo de Llano, naprawdę będą robić to, co on im każe? My już dokonaliśmy mobilizacji. Szykujemy kontruderzenie. Nie zwyciężą w Madrycie ani Barcelonie i tutaj też nic nie wskórają.

– Ludu Sewilli! – dudnił głos generała. – Kości zostały rzucone, zapadły rozstrzygnięcia na naszą korzyść, a motłoch nic nie wskóra oporem, wrzaskami i wystrzałami, które słychać wokół. Pierwszy Batalion Legii zdąża już z Maroka do Sewilli i wkrótce wichrzyciele zostaną zgnieceni jak robactwo. Niech żyje Hiszpania!

– Izaakowi – powiedziała Oliwia głosem, w którym słychać było rosnące przerażenie. – Oni mają wojsko, uzbrojenie, są wyszkoleni. Wiesz, co ci grozi?

Usłyszeli donośny odgłos szybko jadącego pod górę samochodu Harolda. Trzasnęły drzwi auta.

– Jesteście tu? Jesteście? Słyszeliście?! – krzyczał, idąc korytarzem.

Teresa gwałtownie wstała od biurka i potykając się, przebiegła przez nieoświetlony korytarz, potem, zawadzając o ściany, przemknęła przez kuchnię i wyskoczyła na werandę, byle dalej od wszystkich. Zbiegła do pogrążonego w ciemnościach sadu i tam poczuła, że zalewa ją gorycz, że zaczyna

wymiotować słowami, które z trudem nazywają to, co czuje: stało się, dopadła ją fala, cała okolica zniszczona, brat w niewoli, a Oliwia – Oliwia wkrótce wyjedzie. Potrząsała głową, próbując dojść do siebie, opanować strach, ale w sercu słyszała łomot ciężkich żołnierskich butów – łup, łup, łup, kolba, roztrzaskana głowa, żadnej kryjówki.

– Tere? Tere! – to wołała ją Oliwia. – Tere, nie bój się. Gdzie jesteś?

Ale ona wiedziała, że tak właśnie skończy, tu, w ciemności, na kolanach, pośród hiszpańskich wilków.

IV

POŁKNIĘTE STULECIE





Kiedy dwa dni po tym, jak Quick zamknęła przede mną drzwi, w korytarzu zadzwonił telefon, zbiegłam na dół po schodach, żeby go odebrać, wciąż jeszcze w szlafroku. A gdy usłyszałam w słuchawce znajomy głos, mówiący „Co tam u ciebie, Delly?“, byłam tak szczęśliwa, że prawie się rozpłakałam. To nie była Quick, na którą czekałam, ani Laurie, lecz moja oddana przyjaciółka, a jej głos sprawił, że odzyskałam chęć do życia.

– Cynth!

– Żyjesz jeszcze, dziewczyno?

– Tak jakby.

– Ach, więc dziś masz wolne. Chcesz się spotkać?

Spotkałyśmy się po dwóch miesiącach. Zobaczyłam ją, zanim jeszcze ona ujrzała mnie. Cynthia wyglądała jak zwykle nieskazitelnie, stała oparta o kamiennego lwa przy Trafalgar Square. Miała na sobie gruby barani kożuszek, którego wcześniej nigdy nie widziałam, i nową parę dżinsowych dzwonów. Wyglądała... wspaniale. Przestała splatać włosy w ciasny warkocz francuski i zupełnie inaczej je obcięła; w tym czasie zaczynało być modne afro, nadające fryzurze kulisty kształt. W porównaniu z Cynthią czułam się źle ubrana. Miałam grube rajstopy, praktyczne, a więc niezbyt wysokie obcasy, wełniany szal i czapkę naciągniętą na uszy, niczym postać z książek Enid Blyton. No ale w końcu był to przecież listopadowy poranek w Londynie, a nie czas na modowe eksperymenty.

Moje serce drgnęło, gdy zobaczyłam, jak olśniewająco Cynth wygląda. Świadomość tego, jak bardzo daleką i samotną odbyłam drogę, spadła na mnie, gdy zobaczyłam twarz przyjaciółki. Ona napotkała mój wzrok, gdy szłam w jej kierunku, jej szeroko rozwarte ramiona upodobniały ją do ptaka nielota, próbującego trzepotać skrzydłami.

– Och, naprawdę tak mi przykro, Cynth – powiedziałam. – Strasznie cię przepraszam. Byłam głupia, wszystko schrzaniłam...

– Hej, Delly – rzuciła w odpowiedzi Cynth. – Chajtnęłam się i zostałam sama. Ja też cię przepraszam. Nie wiem, co tam se myślałam. – W jej oczach dostrzegłam jednak wesołe błyski. – Tęskniłam za tobą, dziewczyno.

– Ja też, ja też.

Jej twarz rozpromienił uśmiech i nieoczekiwanie każdą z nas ogarnęło

onieśmienie. Poczułam nagłe zażenowanie, że tak bardzo dałam się ponieść emocjom i że ja, dorosła kobieta, zachowuję się całkiem jak rozemocjonowane dziecko. Przeszliśmy pod łukiem Admiralicji do St James's Park i poszukałyśmy dla siebie ławki.

– Oranzadka w proszku – powiedziała Cynth, otwierając swoją torebkę i podając mi drugą. – Strasznie wychudłaś, Delly. Co się dzieje?

– To z tęsknoty za tobą – rzuciłam kpiąco, próbując pokazać, że nadal jestem osobą z charakterem. Kiedy wybuchła głośnym śmiechem, poczułam ukłucie bólu. Jak dobrze było kiedyś doprowadzać ją do śmiechu.

– Nie mów. Naprawdę? No już, nawijaj – powiedziała.

Tak więc opowiedziałam Cynth o wszystkim: jak spotkałam się z Lawrie'em po przyjęciu weselnym, o naszych późniejszych randkach, o matce, którą stracił, obrazie, który mu zostawiła, o dziwnym stosunku Quick do tego dzieła – była nim wyraźnie zainteresowana, a jednocześnie zachowywała się tak, jakby malowidło budziło w niej odrazę. Powiedziałam Cynth o tym, jak nagle wypłynęło nazwisko Izaaka Roblesa, o tym, że Edmund Reede był przekonany, że było to dawno zaginione dzieło zapomnianego geniusza, i o tym, że Quick miała co do tego wątpliwości, aż w końcu oświadczyła mi, że tak naprawdę obraz nie miał z Izaakiem Roblesem nic wspólnego.

Cynth dużo bardziej interesowała się Lawrie'em niż całą resztą, chciała wiedzieć, jak nam się układa i czy to poważny związek, ale ja próbowałam skupić się na tajemnicy otaczającej Quick, a nie na swoich sercowych problemach.

– A najgorsze jest to, Cynth – powiedziałam – że ona umiera.

– Umiera?

– Ma raka. Mówi, że to już prawie koniec. Nie wykryli go wystarczająco wcześnie. To rak trzustki.

– Biedna kobieta – odparła Cynth. – Pewnie się boi zostać z tym sama i dlatego zaprasza cię do siebie. Dlaczego ona się martwi obrazami, kiedy jest śmiertelnie chora?

– Sama się nad tym zastanawiam. Posłuchaj, mnie się zdaje, że ona coś chce dokończyć, i boi się, że nie zdąży. Jestem tego pewna.

– O czym ty mówisz?

– Reede odkrył, że osobą, która pierwsza sprzedała obraz w tysiąc

dziewięćset trzydziestym szóstym roku, był handlarz dziełami sztuki, niejaki Harold Schloss – wyjaśniłam. – A ja znalazłam w domu Quick list adresowany do Oliwii Schloss, informujący ją o przyjęciu na studia w Slade School of Fine Art.

– Delly, myszkowałaś po domu kobiety, co umiera na raka?

– Nie! – odparłam, cmokając z niezadowoleniem. – List był w jej notesie z telefonami, kazała mi do niego zajrzeć. Ale posłuchaj, Quick ma też telegram adresowany do Harolda Schlossa, z lipca tysiąc dziewięćset trzydziestego szóstego roku.

– I co, tak po prostu se leżał w jej notesie przez trzydzieści lat?

– Tak, wiem, wiem. Ale... zdawało mi się, że Quick chciała, żebym go znalazła. Chyba specjalnie zostawiła go na wierzchu, bo umiera i nie chciałyby, żeby prawda odeszła razem z nią.

– Delly...

– Quick interesowała się też tym, skąd Lawrie ma ten obraz. A potem nagle zeszłej nocy powiedziała mi, że to nie Izaak Robles go namalował. Z całą pewnością kluczem do rozwiązania tej zagadki jest Oliwia Schloss.

– Ale kim jest ta Oliwia Schloss?

Wypuściłam powietrze, mój oddech miał postać obłoczka pary.

– No właśnie. To dobre pytanie, Cynthio. Z pewnością umiała malować, bo inaczej nie zostałaaby przyjęta do akademii sztuk pięknych. Pewnie to ktoś spokrewniony z Haroldem Schlossem.

– Jego żona?

– Niewykluczone. Ale do akademii zwykle wybierają się młodsze osoby, studenci.

– No to może córka?

– Tak właśnie myślę. Oliwia Schloss była córką Harolda Schlossa. W Instytucie Skeltona mają starą fotografię, na której widać mężczyznę i kobietę stojących przy obrazie Lawrie’ego. Z tyłu ktoś napisał: „O i I”. To musi oznaczać Oliwię i Izaaka. Quick twierdzi, że Izaak nie namalował tych obrazów. W takim razie kto jest ich autorem, no i skąd ona to wie? Nie sądzę, aby Quick była tą osobą, za którą się podaje.

– Delly...

– Zawsze mnie nurtowało, dlaczego ona nie ma na ścianie żadnych

obrazów. Z jakiego powodu? A poza tym Quick zachowała się dość dziwnie, kiedy zapytałam ją o Oliwię Schloss. Zamknęła przede mną drzwi i nie chciała mnie wypuścić. Jakby zależało jej na tym, żebym poznała prawdę, lecz jednocześnie sama nie mogła udźwignąć jej ciężaru.

Cynthia wyglądała na zamyśloną. Wpatrywała się w kaczki sunące po stawie. Zza drzew prześwitywały brązowe strzeliste wieże Westminsteru.

– Zawsze mi się widziało, że to jakoś tak dziwnie nazywać się Marjorie Quick – powiedziała.

Przez chwilę siedzieliśmy w ciszy. Uwielbiałam moją przyjaciółkę za to, że mi wierzyła i nie sugerowała, że jestem szalona, zamiast tego słuchała uważnie mojej zawikłanej opowieści. To pozwoliło mi rozwinąć myśl, że może Quick faktycznie występowała kiedyś pod innym nazwiskiem, prowadząc całkiem inne życie – życie, które bardzo chciała ocalić od zapomnienia i pragnęła mi o nim opowiedzieć, zanim będzie za późno. Trudno sobie wyobrazić, jaki ból musi towarzyszyć komuś, kogo dzieła przypisywane są innej osobie, podczas gdy prawdziwy autor pozostaje niezauważony i niedoceniony, a jednocześnie świadomy nadciągającego kresu.

– Anglicy są pokręceni, to fakt – powiedziała Cynth. – Więc chcesz ją zapytać, o co tu biega?

– Ale jak miałabym to zrobić? – Nie było łatwo konfrontować się z Quick, a w dodatku wcale nie miałam pewności, czy na pewno chcę, aby jeszcze bardziej zamknęła się w sobie pod wpływem moich nagabywań. Czułam, że gdybym umiała okazać jej swoje wsparcie, to może zechciałaby się otworzyć, jednak nie bardzo wiedziałam, jak mogłabym tego dokonać. – Myślę, że ona ma jakiś powód, żeby wszystko utrzymywać w tajemnicy – dodałam.

– W sklepie z butami tośmy nie miały takich problemów – westchnęła Cynth. – Wkładało się kobitce but na nogę i tyle.

Wybuchnęliśmy śmiechem.

– No tak, to prawda – powiedziałam. – Ale wiesz co? Quick pomogła mi opublikować opowiadanie, więc jestem jej coś winna.

Cynth usłyszała z tego tyle, ile chciała usłyszeć i oczy jej rozbłyły.

– Naprawdę, opublikowali? To super. A jaki ma tytuł?

– *Kobieta bez palców u nóg*. Pamiętasz tę kobietę, która przyszła do sklepu i miała stopy pozbawione palców?

– Och mój Boże, będę se musiała przeczytać.

Przeszedł mnie przyjemny dreszcz, gdy zauważyłam, jak bardzo jest podekscytowana. Powiedziałam jej, że opowiadanie ukazało się w październikowym „London Review”, ale jeśli chce, to mogę jej wysłać kopię albo i dziesięć. Opowiedziałam Cynth, jak to Quick osobiście wysłała im moje opowiadanie.

– Myślę, że ona mnie lubi – powiedziałam. – I ufa mi. Tylko nie bardzo wiem, jaki sekret chciałaby mi powierzyć.

Cynth szturchnęła mnie.

– Ciekawe, że do pisania to cię namówiła biała kobieta, a mnie się jakoś nie udało.

Zaczęłam protestować i tłumaczyć, że nie miałam pojęcia o intencjach Quick, ale Cynth podniosła ręce w pojednawczym geście:

– Tak se żartowałam. Się cieszę, najwyższy czas.

– Co tam u Sama? – zapytałam, pragnąc zmienić temat rozmowy, bo nagle się przestraszyłam, że Cynth doszuka się w opowiadaniu o kobiecie bez palców u nóg jakichś wątków zaczerpniętych z naszego wspólnego życia.

– U niego OK. A nawet jeszcze lepiej. – Wyglądała na onieśmieloną. – Muszę ci coś powiedzieć, Dell. Tobie pierwszej. Spodziewam się dziecka.

Gdy mi o tym mówiła, wyglądała na bardzo zdenerwowaną i przejętą, co raczej nie świadczyło o mnie najlepiej. Ale z drugiej strony, trudno było jej się dziwić, biorąc pod uwagę sposób, w jaki odniosłam się do jej zamążpójścia i tego, że się wyprowadziła, zostawiając mnie samą w mieszkaniu. Tym razem jednak postanowiłam zachować się odpowiednio. Naprawdę bardzo ucieszyłam się z nowiny. Jak można było się nie cieszyć, skoro po Cynth widać było radość, strach i zdziwienie w obliczu nadchodzącego cudu.

– Och, Cynthio, Cynthio – powiedziałam i ku mojemu zdumieniu w oczach stanęły mi łzy. – Siedzę tu z tobą i opowiadam o tajemniczych kobietach, a ty nosisz w sobie największą tajemnicę ze wszystkich.

– Delly, mówisz jak poetka, nawet wtedy, jak cię zatyka ze wzruszenia.

– Chodź tu do mnie. Jestem z ciebie bardzo dumna.

Objęłyśmy się mocno, oddychając z ulgą i pieczętując łzami nasze pojednanie. Moja radość udzieliła się również Cynth i sprawiła, że przyjaciółka poczuła się jeszcze bardziej szczęśliwa.

Cynthia miała wyznaczoną datę porodu na początek kwietnia. Była przestraszona, ale jednocześnie bardzo podekscytowana. Martwiła się też, że zabraknie im pieniędzy.

– Dacie radę – powiedziałam, myśląc o tym, jak bardzo zmieni się teraz życie Cynth, podczas gdy moje zostanie właściwie takie samo.

– Sam ma dobrą pracę i ty też.

– Całkiem jak Lawrie – powiedziała, osuszając mi oczy chusteczką. – Nie ściemniaj. Pokłóciliście się.

– Jak się domyśliłaś? – Nie udało mi się ukryć zaskoczenia.

– Bo cię dobrze znam, Delly. Wiem też, że jakby wszystko dobrze szło, to byłabyś dzisiaj z nim, a ty się tu snujesz z kąta w kąt i spotykasz z nudną kumpelą z dawnych czasów. Niech no zgadnę, on ci się oświadczył, a ty dałaś nogę.

– To nie tak.

Cynth roześmiała się.

– On jest nieszczęśliwy, Delly. Nieszczęś-li-wy. Aż usycha ze zgryzoty.

– Coś ty? Skąd ty to wiesz?

– Słyszałam od Patryka, a ten od Barbary. Facet się miota, całkiem jakby mu kto odciął rękę. Jest pogubiony. A to naprawdę fajny chłopak, Dell. Nie bądź głupia. On mówi, że cię kocha, a ty go rzucasz. – Mimo że cała ta przemowa była rodzajem upomnienia, Cynth zaniosła się śmiechem.

– A co, jeśli ja go nie Kocham? Dlaczego niby mam go kochać?

– Nie musisz nic robić, Delly. Nie musisz nic przyspieszać. Ale daj mu choć jakieś wytłumaczenie. Żeby jego kumple się troszkę uspokoiili.

– Lawrie to taki typ faceta, który będzie próbował wsadzić nosorożca do króliczej nory. Tego nie da się zrobić.

– I ten nosorożec to niby ty, Delly? Ale ubaw.

Roześmiałyśmy się. Ja z ulgą, że mogę wreszcie o tym porozmawiać, a Cynth dlatego, że znów miała okazję trochę się ze mną podroczyć, poczuć się młodsza, potwierdzić, że nic się między nami nie zmieniło. Nadal nie wiedziałam, czego chcę, ale żal mi się zrobiło Lawrie'ego, który nie mógł znaleźć dla siebie miejsca i czuł się tak, jakby ktoś odjął mu rękę.

Jakąś godzinę później objęłyśmy się przed stacją metra. Cynth wracała do siebie na północ linią Bakerloo do Queen's Park, gdzie toczyło się jej obecne

życie. Obiecałyśmy sobie, że się spotkamy przed Bożym Narodzeniem. Przyszło mi na myśl, jakie to wszystko słodko-gorzkie, że będziemy się spotykać raz na jakiś czas, by próbować nadgonić zaległości.

Patrzyłam, jak ostrożnie Cynth schodzi po stopniach i pomyślałam, że może nie musiała aż tak bardzo się wszystkim ekscytować. Zatrzymała się i spojrzała w moją stronę.

– Jeszcze jedno, Dell. Jeśli się namyślisz, żeby pogadać z Lawrie’em, to może nie mów mu nic o tej Oliwii Schloss.

– Dlaczego? A jeśli to wszystko prawda...

– No, niby tak. Ale przecież tak do końca nic nie wiesz, mam rację?

– Jeszcze nie, ale...

– A on chce sprzedać ten obraz, jak się potwierdzi to, co gada Barbara. Jego ojczym sprzedaje dom, a on ma tylko ten malunek. Jak teraz ty zaczniesz rozpowiadać, że to nie jest obraz Izaaka Roblesa, to mu zaszkodzi. Dlatego nie szukaj dziury w całym, Delly. Najpierw patrz, co masz w sercu, zanim ruszysz głową.

Patrzyłam, jak odchodzi i czułam, że ona ma rację, ale wiedziałam też, że nie mogę zostawić historii Quick bez wyjaśnienia, musiałam się tym zająć. Zadzwoiłam tamtej nocy do Lawrie’ego, ale zgłosił się Gerry Kanalia. Byłam zszokowana, że to on odebrał telefon.

– A któż to wydzwania w niedzielę? – zapytał.

Niemal natychmiast przestawiłam się na angielski rodem z BBC. To było nieuniknione, gdy rozmawiało się z Anglikiem pokroju Gerry’ego. Wtedy od razu każdy się poczuwał do tego, żeby mówić klasyczną angielszczyzną.

– Mówi Odelle Bastien – rzekłam. – Czy mogę rozmawiać z Lawrie’em?

– Lawrence! – wrzasnął. Chyba odłożył słuchawkę na bok, bo usłyszałam jego oddalające się kroki.

– Kto dzwoni? – spytał Lawrie ojczyma.

– Nie dosłyszałam nazwiska. Ale chyba rozpoznaję kalipso.

Nastąpiła cisza, a po chwili Lawrie przyłożył ucho do słuchawki.

– Odelle, czy to ty?

Poczucie ulgi, zmieszane ze zmęczeniem słyszalnym w jego głosie. Zrobiło mi się go żal.

– To ja – powiedziałam. – Jak się masz, Lawrie?

– W porządku, a ty?

– Ja też – skłamałam. – Opublikowano moje opowiadanie.

– Zadzwoiłaś po to, żeby mi to zakomunikować?

– Nie... Zadzwoiłam... tak po prostu. Chciałam się dowiedzieć, co u ciebie.

Czy rozmawiałam przed chwilą z Gerrym?

– Tak. Niestety. Gratuluję publikacji opowiadania.

Przez chwilę zapadła między nami cisza. Jak na ironię, nie mogłam znaleźć odpowiednich słów, nie wiedziałam, jak mam wyrazić, że za nim tęskniłam, jak opowiedzieć o różnych dziwnych rzeczach związanych z Quick i o tym, że moja przyjaciółka spodziewa się dziecka. Czułam się zagubiona jak nastolatka.

– Tak się składa, że jutro będę na wystawie – powiedział, nieco bardziej ściszej głoś. – Czy dlatego dzwoiłaś?

– Nie. Nic nie słyszałam o wystawie.

– Reede dowiedział się czegoś więcej na temat obrazów Izaaka Roblesa od pewnego faceta, który pracuje w palazzo Peggy Guggenheim w Wenecji. Ponoć poznał kilka ciekawych faktów.

– Rozumiem.

– A więc dlaczego zadzwoiłaś? Sądziłem, że już nie chcesz mieć ze mną nic wspólnego.

– Nie. To nie tak. Naprawdę nie. Rozmawiałam z Cynthią. Powiedziała mi, że jesteś bardzo przygnębiony.

Z drugiej strony słuchawki zapadła cisza.

– Byłem przygnębiony.

– A teraz już nie?

Znowu cisza.

– Nie powinienem był aż tak się spieszyć – powiedział.

– Nie. Wszystko było OK... to znaczy...

– Nigdy już nie powiem tego, co ci powiedziałem.

– Rozumiem.

– Nie powiem, skoro nie chcesz tego słuchać.

– Ja naprawdę nie wiem, co chciałabym usłyszeć, a czego nie – oznajmiłam.

– Ale wiem, że gdy dowiedziałam się, że jesteś w bardzo złym nastroju, zrobiło mi się smutno. Zrozumiałam, że ja również czuję się nieszczęśliwa. I wtedy

pomyślałam, że skoro oboje czujemy się nieszczęśliwi, to może razem będzie nam przez to łatwiej przejść.

Z drugiej strony znowu cisza.

– Czyżbyś... zapraszała mnie na randkę, Odelle?

Nic nie odparłam... Nie mogłam.

– Cóż, na wszystko przychodzi kiedyś pierwszy raz – ciągnął dalej Lawrie. – Dziękuję. Zajrzę tylko do terminarza. Hmm, raczej jestem wolny.

Po moim żołądku rozlało się przyjemne ciepło, nie mogłam ukryć radości w głosie:

– To świetnie.

– Też tak myślę. Gdzie mielibyśmy się spotkać?

Spotkaliśmy się następnego ranka, tak wcześnie, jak to było możliwe, na placu Skeltona, jeszcze przed moją pracą i przed wizytą Lawrie’ego u Reede’a. Trzymał w ręku szampana.

– To z okazji twojego pierwszego opublikowanego opowiadania – powiedział, wręczając mi butelkę. – Stary rocznik. Przepraszam, że butelka jest trochę zakurzona. Buchnąłem ją z domu.

– Ojej, dziękuję.

– A tak naprawdę, to... wiedziałem o tej publikacji w „London Review”

– Nie wierzę.

– No wiesz, w Surrey też zdarza nam się czytać różne literackie periodyki. Po prostu przeczytałem twój tekst. – Wbił wzrok w czubki butów. – Napisałaś znakomite opowiadanie.

– Daj spokój. – Wzięłam od niego butelkę i poczułam, że jeszcze chwila, a popadnę w stan euforii. Przeczytałam etykietę: „Veuve Clicquot” – Lawrie, moglibyśmy zacząć wszystko od nowa? – spytałam.

Westchnął.

– Nie wiem, czy to jeszcze możliwe.

Usiadłam na ławce, próbując odpędzić ogarniające mnie zniechęcenie. Byłam taka pewna, że się zgodzi. Przyszedł przecież na spotkanie.

– Przypuszczam, że nie – powiedziałam, podnosząc na niego wzrok.

– Proponuję, żebyś uderzyła mnie w głowę tą butelką szampana – rzucił nagle Lawrie.

– Co miałabym zrobić?!

– W ten sposób wybiłabyś mi z głowy wszystkie wspomnienia.

Tyle że wówczas nie pamiętałbym, jak wyglądałaś, gdy zobaczyłem cię pierwszy raz, czytającą wiersz, ani naszej pierwszej rozmowy, no i tych żółtych gumowych rękawic. I tego, jak udawałaś, że lubisz filmy z Bondem, sposobu, w jaki marszczyłaś nos. Ani tego, jak poszliśmy do klubu Flamingo, gdzie okazało się, że tańczysz lepiej ode mnie i manager zaproponował ci pracę. Ani twojej opowieści o tym idiocie ze sklepu z butami. Ani tamtej chwili, kiedy jedliśmy zapiekankę z mięsa i ziemniaków, a ja wszystko popsułem. Różne rzeczy składają się na wspomnienia, Odelle. Nigdy nie jest zupełnie idealnie. Jeśli o mnie chodzi, wcale bym nie chciał, żeby wszystko było perfekcyjne.

Chętnie znowu przejechałbym tę okropną trasę drogą A3 tylko po to, by znów móc usłyszeć twój słodki głos po tak długiej przerwie. Niczego bym nie zmieniał. Nie chcę zaczynać od początku, ponieważ to oznacza, że musiałbym się wyrzec wszystkich wcześniejszych związanych z tobą wspomnień.

Przez chwilę nie mogłam wydobyć z siebie głosu. Lawrie usiadł obok mnie, a ja poczułam ciepło, pewność i siłę płynące z jego ciała.

Wzięłam głęboki oddech.

– Ja... się boję – powiedziałam. – Nie wiem, jak inaczej mogłabym to wyjaśnić. Czuję się zagubiona, mam takie przeświadczenie, że nie jestem dość dobra i jeśli ktoś mnie lubi, to coś z tą osobą jest nie tak.

– Ale dlaczego?

– Cóż, gdybym to wiedziała, Lawrie... Kiedy cię spotkałam, rozmawiałam z tobą o sprawach, o których nigdy wcześniej nikomu nie opowiedziałam. A potem ty nagle oświadczyłeś, że mnie kochasz i... odniosłam wrażenie, że wpisujesz się w jakiś model zachowania, jakbyś wypełniał formularz.

– Model zachowania?

– No, że zachowujesz się tak, jak inni ludzie w podobnej sytuacji, że mówisz to, co wypada w takich okolicznościach powiedzieć.

– Przecież nikt mi nie podpowiada, co powinienem mówić.

– Ale jednocześnie uświadomiłam sobie, że nie chcę też, abyś tego wszystkiego n i e m ó w i ł. Tyle że powinieneś to powiedzieć w stosownej chwili, kiedy byłabym na to przygotowana.

Roześmiał się.

– Ty naprawdę jesteś pisarką. No dobrze. A może zrobimy tak: gdy poczuję potrzebę, żeby wyznać ci miłość albo powiedzieć ci, jaka jesteś cudowna, dam ci jakiś uzgodniony wcześniej z tobą znak, że zamierzam to zrobić. Ty się zorientujesz, na co się zanosz, i wtedy albo dasz swoje przyzwolenie na moje wyznanie, albo nie.

– Przedstawiasz to w taki sposób, jakbym była trochę niepoważna.

– Żartowałam. Przepraszam. Zrobię tak, jak sobie życzysz. Ja tylko chciałbym się z tobą widywać, Odelle. Czy tak będzie OK?

– Tak – odparłam z wahaniem. – Nawet bardziej niż OK.

– To świetnie. W porządku – powiedział Lawrie. – A teraz chodźmy posłuchać, co ma nam do powiedzenia czcigodny pan Reede.

– Dzień dobry, Odelle – powiedziała Quick, płynnym ruchem zatrzymując się przy moich drzwiach.

Lawrie siedział u Reede'a już około trzydziestu minut. Quick wyglądała na zmęczoną i lekko zaniepokojoną. Prezentowała się zupełnie inaczej niż w pierwszym tygodniu mojej pracy, kiedy to bezceremonialnie podeszła do mojej maszyny do pisania i zaproponowała, byśmy zjadły razem lekki lunch. Odwiedziła mnie wówczas, żeby o coś zapytać, ale do dziś nie potrafię dociec, o co dokładnie jej wtedy szło.

– Dzień dobry pani.

Zesztywniała, skupiając wzrok na butelce szampana stojącej na biurku.

– Skąd ją masz? – spytała.

Przełknęłam ślinę, onieśmielona wyrazem jej twarzy.

– Dostałam w prezencie od Lawrie'ego.

– Pogodziliście się? – spojrzała na mnie.

– Tak. On tutaj jest. Rozmawia z Reede'em – powiedziałam. – Myślę, że rozmawiają na temat wystawy.

– Wiem o tym. To ja zaplanowałam to spotkanie. – Quick weszła do środka, zamykając za sobą drzwi. Ku mojemu zdumieniu zbliżyła się do biurka i zajęła miejsce naprzeciwko mnie. W rękach miała butelkę, którą oparła o kolana. – A zatem Lawrie ci ją podarował?

– Chciał w ten sposób wyrazić uznanie dla publikacji mojego opowiadania *Kobieta bez palców u nóg*. Czy postąpił niewłaściwie?

Quick przeciągnęła kciukiem po szyjce butelki, rozmazując kurz i zostawiając wyraźny ślad.

– To stary rocznik – powiedziała.

– Tak, wiem. Pani Quick...

– Odelle, to, co zdarzyło się w piątkowy wieczór...

Wyprostowałam się.

– Tak?

– Nie powinno było się wydarzyć. Złamałam podstawową zasadę obowiązującą w kontaktach zawodowych. Nie powinnam ci mówić o mojej chorobie. Naraziłam na szwank swoją reputację i niepotrzebnie wciągnęłam w to ciebie. Nie chcę zwracać niczyjej uwagi.

– Uważam, że dobrze pani zrobiła, przyciągając moją uwagę.

Spojrzała na mnie surowo, ale nie odwróciłam wzroku.

– Chcę, żebyś wiedziała, że bez względu na to, co się stanie, na pewno nie stracisz pracy, możesz czuć się bezpieczna.

– Bezpieczna?

Quick wyglądała tak, jakby nagle przeszył ją ból. Butelka szampana wysunęła się jej z rąk i opadła na kolana.

– Dają mi bardzo mocne środki przeciwbólowe – oznajmiła. – Nie mam innego wyjścia, muszę wziąć je teraz. Mam halucynacje. Nie mogę spać.

– Jakiego rodzaju halucynacje? – zapytałam. – Co pani widzi?

Czekałam w napięciu, niemal nie oddychając. Zdjęłam palce z klawiatury maszyny do pisania i położyłam dłonie na kolanach.

Quick nie odpowiedziała, więc siedziałyśmy przez kilka minut w ciszy. Zegar na ścianie synkopował rytm mojego serca.

Zaryzykowałam:

– W piątek w nocy powiedziała pani, że Izaak Robles nie namalował tego obrazu. Czy pani to pamięta?

Quick wpatrywała się w swoje dłonie. Ciężko przełykała ślinę, miała ściśnięte gardło.

– Czy on namalował którykolwiek z tych obrazów? Z tych, które znajdują się w muzeum Peggy Guggenheim?

Quick nadal siedziała w milczeniu.

– A jeśli to nie on namalował te obrazy, to kto?

– Ja chciałam... – powiedziała nagle Quick, wyraźnie zmagając się z bólem – ja tylko chciałam zobaczyć...

– Co, co chciała pani zobaczyć?

Z przerażeniem patrzyłam, jak Quick rozwiera palce i wypuszcza z rąk butelkę, która ześlizguje się jej z kolan i spada z hukiem na podłogę. Dno butelki odpadło, szampan wystrzelił i zaczął musować, rozlewając się po całym pomieszczeniu. Quick poderwała się dość niezgrabnie i w osłupieniu wpatrywała się w powstały bałagan.

– Przepraszam – wymamrotała. – Bardzo przepraszam.

– To był wypadek – stwierdziłam. Patrzyłam na rozbitą butelkę, prezent od Lawrie'ego, leżącą na drewnianej podłodze w kałuży szampana. Zielone szkło było tak ciemne, że zdawało się niemal czarne. Obtłuczone krawędzie butelki

skrzyły się i migotały, ilekroć odbijało się w nich światło docierające z góry. Tak więc nie dane mi było nawet spróbować szampana. Przełknęłam ślinę i spojrzałam na Quick.

Jej twarz była zupełnie pozbawiona koloru. Wiedziałam, że już nic więcej się nie dowiem. Czyżby naprawdę mogła posunąć się tak daleko, żeby chcieć zniszczyć mój prezent od Lawrie'ego? Odprowadziłam ją aż do jej biura; szła, wspierając się na moim ramieniu. Przez skórę łatwo można było wyczuć kości. Teraz, gdy wiedziałam, że to rak, rozumiałam, jak poważnie chora jest Quick. Ale to nie była wyłącznie kwestia nowotworu. Byłam świadkiem burz, które szalały w jej głowie.

Nie powiedziałabym, że Quick przestała w pełni odbierać rzeczywistość, mimo że doświadczała halucynacji i skarżyła się na bezsenność. W jej wypadku ciało było coraz słabsze, ale możliwości poznawcze znacznie się poszerzały. Jej wyobraźnia zaczęła wykraczać poza wymiar rzeczywisty. Gdzieś w zakamarkach jej pamięci został spuszczonej most, po którym zaczęli się przedzierać na drugą stronę żołnierze przeszłości. Quick chciała rozmawiać, ale nie mogła. Nie potrafiła znaleźć odpowiednich słów.

– Proszę cię, zamknij drzwi – powiedziała, gdy już poczuła się trochę lepiej. – Odelle, tak mi przykro z powodu twojego szampana.

– Nic się nie stało.

– Spróbuję ci to jakoś wynagrodzić w testamencie.

Jej czarne oczy błysnęły wisielczym humorem.

– Ma pani piwniczkę w Wimbledonie? – spytałam żartobliwie, dostosowując się do jej nastroju i próbując ją rozweselić.

– Coś w tym rodzaju. Podaj mi moją torbę, dobrze? Muszę wziąć lekarstwa.

– Wolno podeszła do stolika z alkoholem. – Masz ochotę na gin?

– Nie, dziękuję.

Obserwowałam, jak nalewa sobie kieliszek, oddychając przy tym głęboko i wolno dochodząc do siebie, podczas gdy przejrzysty napój z bulgotem wpadał do szklanki.

– Te pigułki są cholernie mocne – powiedziała, gdy wręczyłam jej lekarstwa. – Nie znoszę brać tych pieprzonych leków.

Wulgarnie słowa, gorycz zawarta w jej głosie zaszokowały mnie.

Zmusiłam się, żeby usiąść, pamiętając wciąż o tym, że jestem tylko

młodszy pracownikiem, powinnam zatem milczeć i przyjmować wszystko bez protestów. Wszelkie próby nakłonienia Quick, by powiedziała mi o rzeczach, które mnie interesowały, kończyły się niczym. Podejrzywałam, że tak będzie, już tamtej nocy, gdy wynikła sprawa notesu z numerami telefonów, a teraz stłuczona butelka szampana tylko mnie w tym przekonaniu utwierdziła. I mimo że byłam tą sytuacją bardzo sfrustrowana, Quick najwyraźniej zależało na tym, bym pozostała nieświadoma jak niezamalowane płótno. Cierpliwość nigdy nie należała do moich mocnych stron, ale z pewnością lepiej było, żeby Quick w ogóle zechciała mówić.

– W Wenecji mieszka pewien człowiek, który nazywa się Barozzi – powiedziała, opadając na skórzane krzesło i sięgając po papierosy. – Jest z muzeum Peggy Guggenheim. Mniej więcej w tym samym czasie, kiedy powstawał obraz należący do pana Scotta, Peggy Guggenheim próbowała otworzyć galerię w Londynie. – Quick zamilkła na chwilę, zanim znalazła w sobie dość sił, by mówić dalej. – Udało jej się. Znalazła odpowiednie miejsce przy Cork Street, ale później wojna wyróciła wszystko do góry nogami i galeria została zamknięta.

Cork Street. Nazwa była mi znana – to stamtąd pochodziła broszurka. Poczułam mrowienie.

– Rozumiem.

– Raczej nie. Chodzi o to, że ona... albo ludzie z galerii... bardzo skrupulatnie wszystko dokumentowali. Barozzi znalazł w archiwach Guggenheim niezwykle interesującą korespondencję i przesłał ją Reede'owi, co go niesamowicie ucieszyło. Teraz dysponuje dowodem na to, że obraz należący do pana Scotta był zamówiony przez Peggy Guggenheim i stanowił parę z dziełem *Kobiety w pszenicznym łanie*.

– Parę?

– Barozzi znalazł telegram adresowany do Izaaka Roblesa, który z jakichś względów w ogóle nie został wysłany. Miał dotrzeć do Malagi w Hiszpanii i datowany był na wrzesień tysiąc dziewięćset trzydziestego szóstego roku. Peggy dopytywała się w nim, ile jeszcze będzie musiała czekać na bliźniaczy obraz stanowiący parę z *Kobietami w pszenicznym łanie*, a zatytułowany *Rufina i lew*. Barozzi przyznał, że Robles nie otrzymał żadnego zadatku na poczet *Rufiny*, a gdyby stało się inaczej, pan Scott miałby poważne kłopoty,

wziąwszy pod uwagę, że nie posiadał żadnego dokumentu potwierdzającego zakup obrazu. Galeria Peggy Guggenheim mogłaby się domagać od niego zwrotu własności.

Zastanawiałam się, dlaczego Quick rozprawia o kolejnym ujawnionym telegramie, skoro ten ukryty w jej własnym domu bez wątpienia również związany był ze sprawą. Nie tylko zachowywała się tak, jakby butelka szampana rozbiła się całkiem przypadkowo, ale jeszcze teraz udawała, że nic nie pamięta z naszego wspólnego wieczoru, podczas którego wyniknęła sprawa notesu z numerami telefonów.

– *Rufina i lew* – powtórzyłam. – Taki tytuł nosi obraz należący do Lawrie’ego?

– Tak uważa Reede. Czy słyszałaś może historię świętej Rufiny?

– Nie.

Quick nadal sączyła swój gin.

– Scena przedstawiona na obrazie pana Scotta doskonale wpisuje się w historię świętej Rufiny. Rufina mieszkała w Sewilli w drugim wieku. Była chrześcijanką i trudniła się garncarstwem. Odmówiła władzom, gdy te nakazały jej, by zaczęła wykonywać wizerunki pogańskich bożków. Za karę została wrzucona na arenę, na którą wypuszczono lwa. A ponieważ lew nie chciał jej tknąć, ścięto jej głowę.

Uwaga o bliźniaczym obrazie jest niezwykle istotna. Reede jest przekonany, że znalazł drugie płótno stanowiące parę z tym bardziej znanym, *Kobietami w pszenicznym łanie*, a to może zupełnie zmienić interpretację dzieł Roblesa.

Spojrzałam na Quick i poczułam, że muszę się z nią zmierzyć.

– Ale przecież pani powiedziała mi, że Izaak Robles nie namalował tego obrazu.

Quick łyknęła kolejną tabletkę.

– A jednak mamy poświadczony telegram od światowej klasy kolekcjonera sztuki, z którego wynika, że obraz został namalowany jako dyptyk w parze z innym dziełem, jednym z najważniejszych obrazów sztuki hiszpańskiej powstałych w tym stuleciu, obecnie w Kolekcji Peggy Guggenheim w Wenecji.

– No tak, ale na tej fotografii był ktoś jeszcze. Pewna młoda kobieta.

Czekałam, aż Quick coś powie, ale nie ustosunkowała się do moich słów,

więc mówiłam dalej:

– Myślę, że nazywała się Oliwia Schloss. Z listu, który pani ma u siebie w domu, wynika, że dostała się do Slade School of Fine Art mniej więcej w tym samym czasie, kiedy tworzył Izaak Robles.

Przypuszczam, że to ona namalowała *Kobiety w pszenicznym łanie*.

– Rozumiem. – Quick pozostawała niewzruszona, a tymczasem moja frustracja rosła.

– Czy pani sądzi, że ona to zrobiła?

– Co zrobiła? – Twarz Quick przybrała surowy wyraz.

– Myśli pani, że Oliwia kiedykolwiek podjęła studia w Slade School of Fine Art?

Quick zamknęła oczy. Opuściła też ramiona, a ja czekałam, kiedy w końcu ujawni prawdę, która w niej dojrzewała, odkąd pierwszy raz zobaczyła obraz Lawrie’ego w holu Instytutu Skeltona. Oto nadchodził moment wyznania: jak doszło do tego, że w jej posiadaniu znalazły się telegram od Peggy Guggenheim oraz list ze Slade School of Fine Art? Jak to się stało, że jej własny ojciec kupił rzekomy obraz Izaaka Roblesa, w rzeczywistości dzieło sztuki stworzone przez nią samą?

Quick siedziała na krześle zupełnie znieruchomiła, tak że w pewnym momencie nie byłam pewna, czy w ogóle żyje. Nagle otworzyła oczy.

– Pójdę posłuchać, co mówi pan Reede – oznajmiła. – Myślę, że ty też powinnaś.

Rozczarowana, szłam za nią korytarzem. Byłam jednak przekonana, że jestem coraz bliżej wyjaśnienia zagadki.

Zapukałyśmy do drzwi Reede’a i usłyszałyśmy, że mamy wejść. Reede i Lawrie siedzieli usadowieni w fotelach naprzeciw siebie.

– W czym mogę pomóc? – zapytał Reede.

– Panna Bastien i ja znajdziemy się na pierwszej linii, gdy wystawa zostanie otwarta – powiedziała Quick. Widziałam, jak mocno trzymała się ręką futryny drzwi. Wyraźnie się męczyła. – Dobrze byłoby, gdybyśmy na chwilę usiadły i porobiły sobie notatki, by poznać pańskie propozycje.

– Świetnie – powiedział Reede. – Mogą panie tam usiąść. Spojrzałyśmy we wskazanym przez niego kierunku. Dwa twarde

krzesła w rogu. Albo Quick miała ponieść za coś karę, albo Reede zupełnie

nie dostrzegał, w jak ciężkim była stanie. Usiadłam, a Lawrie pochwycił moje spojrzenie. Wyglądał na podekscytowanego, cieszył się na myśl o możliwościach, które się przed nim otwierały w związku z *Rufiną i lwem*. Obraz stał oparty o gzyms kominka. Także i tym razem dzieło wywarło na mnie wielkie wrażenie, podobnie jak wtedy, gdy widziałam je pierwszy raz. Myślałam, jak bardzo ta dziewczyna i obcięta głowa, którą trzymała w rękach, już zdążyły wpłynąć na moje życie.

Gdyby Lawrie nie posłużył się tym obrazem, usiłując zwabić mnie na randkę, czy siedzielibyśmy teraz tutaj? Czy Quick próbowałaby rozwikłać związaną z obrazem tajemnicę pomimo raka i środków przeciwbólowych?

Bezpośrednio nad głową Reede'a siedział lew, majestatyczny i nieustępliwy jak wiele lwów przedstawianych na obrazach. Ale dzisiaj wydawał się dziwnie oswojony. Patrzyłam na biały dom widoczny w oddali na wzgórzach, te jego czerwone okna – jakież malutki się wydawał w porównaniu z mozaiką pól rozciągających się wokół. Rufina i druga głowa odwzajemniały moje spojrzenie, patrzyły na nas wszystkich. Przed trzydziestu laty Izaak Robles i pewna dziewczyna, co do której jestem pewna, że była Oliwią Schloss, stali przed tym obrazem, pozując do zdjęcia. Kim byli dla siebie Izaak i Oliwia?

Jak zwykle spojrzałam na Quick. Wyglądało na to, że zdążyła już dojść do siebie po ataku bólu. Siedziała teraz prosto, z notesem na kolanach i oczami utkwionymi w obrazie. Bez względu na to, jaka była prawda, najwyraźniej postanowiła nie przeszkadzać w zorganizowaniu wystawy. Ja natomiast czułam się dziwnie pogubiona z powodu jej kapitulacji.

– Tak jak mówiłem, panie Scott – kontynuował Reede. – Trzy lata temu cała wenecka Kolekcja Peggy Guggenheim została czasowo wypożyczona do Tate. W okresie gdy *Kobiety w pszenicznym łanie* były eksponowane na ścianach Tate, pana obraz pozostawał w ukryciu. I pomyśleć, że mieliśmy wtedy niepowtarzalną okazję wystawić oba dzieła obok siebie! Gdybyśmy tylko byli świadomi istnienia drugiego obrazu... Zorganizowanie tamtej wystawy wymagało tyle zachodu, negocjacji pomiędzy rządem brytyjskim i włoskim... – powiedział. – Głównie chodziło o kwestie podatkowe. Tyle że wtedy rozmowy dotyczyły ponad stu osiemdziesięciu dzieł, a ja prosiłem jedynie o trzy. Dlatego dobra wiadomość jest taka, że wypożyczą nam obrazy Izaaka Roblesa ze swojej kolekcji.

– To rzeczywiście dobra wiadomość – powiedział Lawrie.

– Wspaniała. Znacznie podniesie rangę wystawy. Mam nadzieję, że nasza ekspozycja stanie się wydarzeniem z pierwszych stron gazet i będzie także szeroko komentowana przez krytyków sztuki. Wypożyczą nam *Kobiety w pszenicznym łanie*, krajobraz zatytułowany *Sad* i, ku mojej radości, jeszcze jedną rzecz, dzieło, którego nie znałem: *Autoportret w zieleni*. Najbardziej ekscytujące jest jednak to, że wystawienie obok siebie *Kobiet w pszenicznym łanie* oraz *Rufiny i Iwa* może całkowicie zmienić sposób patrzenia na twórczość Izaaka Roblesa.

– Dlaczego?

– Rufina była jedną z sióstr – powiedział Reede. – Ta druga miała na imię Justa.

– Justa?

– Zgodnie z podaniem Justa została wrzucona do studni, gdzie miała ponieść śmierć głodową. Jestem przekonany, że obraz *Kobiety w pszenicznym łanie* w rzeczywistości opowiada historię z życia świętej Justy i że tak naprawdę na obrazie przedstawiona jest tylko jedna młoda kobieta, a nie dwie. Widzimy zatem Justę przed skazaniem i po ogłoszeniu wyroku: najpierw szczęśliwą, a potem poddaną męczeńskiej karze. Potłuczone gliniane naczynia widoczne w tle potwierdzają słuszność tej interpretacji. Widać też rozbitą maskę pogańskiej bogini Wenus, motyw, który również pojawia się w legendzie o świętej Juście.

– Rozumiem – powiedział Lawrie.

– Kobieta leżąca w pszenicznym łanie ujęta jest w formę okręgu, co interpretowano na wiele różnych sposobów. Niektórzy historycy sztuki twierdzą, że to nawiązanie do kręgów Dantego, inni utrzymują, że do księżyca, a jeszcze inni uważają, że chodziło o zaznaczenie kulistości ziemi, zwłaszcza że wokół są rozmieszczone sylwetki różnych leśnych zwierząt. Ja jestem zdania, że w rzeczywistości jest to postać kobieca leżąca na dnie studni, co pokrywa się z podaniem o świętej Juście.

– Proszę spojrzeć – powiedział, wręczając Lawrie’emu cztery kartki papieru, na których widoczne były reprodukcje obrazów. – Robles nie był jedynym Hiszpanem, który malował Rufinę i Justę. Temat ten podjęła również czwórka wielkich hiszpańskich malarzy: Velázquez, Zurbarán, Murillo i Goya – każdy z

nich malował słynne siostry.

Wystąpiłem o wypożyczenie przynajmniej jednego z tych wielkich dzieł, żeby dopełniało naszą wystawę.

– Myśli pan, że zgodzą się je udostępnić? – spytał Lawrie.

Reede wstał i zatarł ręce.

– Może, całkiem niewykluczone. Naprawdę mam nadzieję, że uda się to przeprowadzić. – Uśmiechnął się. – To byłoby coś nadzwyczajnego. Możliwe, że Robles doskonale znał owe dzieła. Napisałem do muzeów, które są w posiadaniu tych obrazów, że chcę poddać naukowemu oglądowi to szczególne, obsesyjne wręcz zafascynowanie Hiszpanów historią Justy i Rufiny.

– Hiszpanie zawsze byli niesamowicie wywrotowymi artystami – powiedziała Quick.

– Tak – zgodził się z nią Reede, rzucając jej nieco cieplejsze spojrzenie i opierając łokieć o gzyms kominka. – Twórczy bunt przeciwko status quo. Spójrzmy tylko na obraz Goi. Wprowadził postać lwa całującego Rufinę w palec u nogi. Wyobrażacie sobie, co Dali mógłby z tym zrobić?

– Ale dlaczego w takim razie obraz z galerii Peggy Guggenheim znany jest pod nazwą *Kobiety w pszenicznym łanie*, bez żadnych odniesień do świętej Justy, skoro mój nosi tytuł *Rufina i lew*? – spytał Lawrie.

– To Harold Schloss mógł nadać obrazowi tytuł *Kobiety w pszenicznym łanie*, nie Izaak Robles – stwierdził Reede. – Malarz równie dobrze mógłby go zatytułować na przykład *Święta Justa*. Nigdy się tego nie dowiemy. A może w ogóle go nie zatytułował.

Gdy padło nazwisko Harolda Schlossa, znowu spojrzałam na Quick. Głowę miała spuszczoną i masowała sobie skroń. Zastanawiałam się, czy nie powinna czasem wziąć kolejnej tabletki przeciwbólowej. Najwyraźniej była zdeterminowana poznać jak najdokładniej plany Reede'a, mimo że wyraźnie cierpiała.

– Schloss był marszandem – tłumaczył Reede, podnosząc się z fotela. Zaczął krążyć wokół nas. – Całkiem możliwe, że chęć podniesienia atrakcyjności obrazu i korzystniejszej sprzedaży dla galerii Guggenheim zwyczajnie wzięła w nim górę. Wcześniej Peggy nie kupowała zbyt wiele, Schloss nie chciał jej odstraszyć. Z tego samego względu obraz Picassa przemianowano na *Panny z Awinionu*, chociaż on sam nadał mu tytuł *Burdel w Awinionie*, ale wystawcy

zmienili nazwę na bardziej w ich mniemaniu atrakcyjną. Schloss mógł też nie wiedzieć, że w niedługim czasie miał powstać drugi obraz składający się na dyptyk. W rezultacie gdzieś po drodze prawdziwe przesłanie obrazu Roblesa zostało zagubione.

– A jakie było to właściwe przesłanie? – spytał Lawrie.

Znowu spojrzałam na Quick. Podniosła teraz wzrok i patrzyła na Reede'a z obojętnym wyrazem twarzy.

– Myślę, że Robles bardzo interesował się tą historią – powiedział Reede. – Poznanie prawdziwych związków łączących obraz z galerii Guggenheim z tym z Surrey otwiera przed nami zupełnie nową perspektywę i umożliwia reinterpretację drogi artystycznej Izaaka Roblesa oraz dokonywanych przez niego wyborów. Innymi słowy, pozwala odkryć go na nowo. Wystawę tę planujemy nazwać „Połknięte stulecie”, ale wciąż jeszcze się zastanawiamy, czy to dobry tytuł.

– Odkryć na nowo?

– Kolejne pokolenia wciąż to robią, panie Scott. Proszę się nie niepokoić. Próba nowych odczytań jest niejako wpisana w ludzką naturę. A gusta ciągle się zmieniają, dlatego musimy je antycypować. Próbujemy przywrócić temu artyście należne miejsce i jednocześnie urządzić mu retrospektywę. Moje podejście pozwoli pokazać, że Robles był świadomy wspaniałej tradycji hiszpańskiego malarstwa historycznego, Velázquez i pozostałych, a jednocześnie wykreować go na gwiazdę pierwszej wielkości, która odeszła w pełni swoich możliwości twórczych.

– Rzeczywiście wszystko pan drobiazgowo zaplanował.

– To moja praca, panie Scott. Na tym etapie nie mogę jeszcze wyjaśnić szczegółowo, jakie przesłanie niesie ze sobą obraz, ale przypuszczam, że zwłaszcza pańskiego Roblesa należy odczytywać w kontekście politycznym. Rufina to zbuntowana proletariuszka, a zarazem święta stawiająca opór lwu faszyzmu. Proszę spojrzeć na to – wręczył Lawrie'emu do przeczytania kolejny dokument. – Przesłał mi go Barozzi z Fundacji Guggenheima. Harold Schloss wysłał to do Peggy, kiedy ponownie znalazł się w Paryżu, a ona wróciła w tym czasie do Nowego Jorku.

– Panie Scott – powiedziała Quick i obaj mężczyźni aż podskoczyli. – Czy mógłby pan przeczytać ten dokument na głos? Ani panna Bastien, ani ja nie

otrzymałyśmy kopii.

Lawrie zastosował się do jej życzenia.

DROGA PEGGY,

WYBACZ MI, PROSZE, ŻE SIE NIE UJAWNIŁEM WCZEŚNIEJ W TRAKCIE MOJEGO POBYTU W PARYŻU. ZANIM WYJECHAŁAŚ. PRZECHODZIŁEM PRZEZ BARDZO TRUDNY OKRES. POCZAWSZY OD MOJEGO WYJAZDU Z HISZPANII AŻ DO PRZYJAZDU DO TEGO MIASTA. PRÓBOWAŁEM PRZYWIEŹĆ ZE SOBA „RUFINE”. ALE NIE UDAŁO SIĘ. WIEM, JAK BARDZO NA TO CZEKAŁAŚ, I SZALENIE MI Z TEGO POWODU PRZYKRO.

MAM PARĘ WCZESNYCH OBRAZÓW PAULA KLEE. KTÓRE MOŻE ZECHCIAŁABYŚ OBEJRZEĆ W ZAMIAN. JA SAM NIE POJADE PO NIE DO WIEDNIA. ALE PRACE TE ZOSTANA PRZESŁANE DO LONDYNU. A MOŻE. JEŚLI JAKIEŚ SPRAWY ZATRZYMUJĄ CIĘ NA PEWIEN CZAS W NOWYM JORKU, WOLAŁABYŚ, ABYM WYSŁAŁ JE BEZPOŚREDNIO TAM?

JAK ZWYKLE ŻYCZĘ CI WSZYSTKIEGO NAJLEPSZEGO

HAROLD SCHLOSS.

Lawrie spojrział na Reede'a.

- W liście w ogóle nie ma mowy o Roblesie.
- Wierzę, że uda mi się coś w tej kwestii zrobić. Każę powiększyć list i umieszczę go na ścianie galerii. Będziemy mogli spekulować, co stało się z

Roblesem.

– Co ma pan na myśli?

– Nie sądzę, aby udało mu się przetrwać wojnę. Gdyby tak było, z pewnością byśmy o tym usłyszeli. W tamtym okresie bardzo często dochodziło do bombardowań w południowej części Hiszpanii. Załóżmy, że resztę prac Roblesa po prostu strawił ogień. Możemy rozważyć, w jaki sposób zniszczenie dorobku artysty stanowi odzwierciedlenie zniknięcia samego artysty.

Reede znowu zaczął krążyć po pokoju z rękami założonymi za plecy. Rزتaczał przed nami swoją wizję, zupełnie nie zwracając na nas uwagi.

– Moglibyśmy też rozbudować tę metaforę jeszcze bardziej i przyrównać spalenie obrazów Roblesa do pożogi obejmującej cały dorobek Półwyspu Iberyjskiego, zapowiedź nadciągającej wojny. Ten człowiek jest w równym stopniu symbolem, co indywidualnością twórczą. To on uosabiał przyszłe losy Hiszpanii, reprezentował wizję, która została unicestwiona.

Lawrie skrzyżował nogi, jego głos zabrzmiał surowo:

– Ale przecież pan nie wie, czy jego dzieła rzeczywiście spłonęły. Nie możemy konstruować całej wystawy w oparciu o plotkę. Zostanę wyśmiany.

– Nie będą się śmiać. Ludzie uwielbiają plotki, panie Scott. Łatwiej jest sprzedać plotkę niż fakty. A faktem jest, że mamy bardzo niewielki zasób obrazów. Kolejny fakt jest taki, że Harold Schloss nie miał ze sobą *Rufiny i Iwa*, gdy przebywał w Paryżu. Gdzie znajdował się wtedy obraz? I tu na scenę wkracza pan.

– Ja? – spytał Lawrie. Coś w tonie jego głosu sprawiło, że się odwróciłam. Spojrzałam na Quick. Było widać, że myśli tak samo jak Reede, bo wzrok miała całkowicie skoncentrowany na Lawrie’em.

Reede znowu zasiadł w fotelu naprzeciwko Lawrie’ego, przyjmując jednak nieco mniej zdecydowany ton.

– Sądzę, że Harold Schloss wiedział, że nie mógł zostać w Hiszpanii. Obraz najprawdopodobniej zaginął w czasie ucieczki, na skutek kradzieży, a może nieuwagi. To dość niezwykłe, żeby marszand przyznawał się otwarcie, że utracił obraz. Tak jak w tym liście. Zazwyczaj handlarze dziełami sztuki są niesamowicie zręczni i wygadani. Myślę, że Harold Schloss wrócił do Paryża podenerwowany.

– Przypuszcza pan, że obraz został w Hiszpanii? – pytał dalej Lawrie.

– Cóż, wygląda na to, że Schloss go nie miał. Nie miał też powodu, żeby okłamywać swoją najlepszą klientkę. Ale tak naprawdę nie wiem, panie Scott. Następną osobą powiązaną ze sprawą obrazu była pańska matka, jednak nie mamy pojęcia, w jaki sposób weszła w jego posiadanie.

Lawrie podniósł wzrok na *Rufinę i lwa*, a potem spojrział w dół, na puste palenisko.

– Obraz zawsze wisiał na ścianie w jej pokoju – powiedział cicho. – Nie pamiętam, aby kiedykolwiek go tam nie było.

– To pańskie przekonanie – westchnął Reede. – Cóż, możemy tu postawić znak zapytania. Chyba nie mamy innego wyboru. To, w jaki sposób dzieło sztuki przetrwało wojnę domową w Hiszpanii i wojnę światową, by nagle trafić do domu w Surrey, z pewnością niesie spory ładunek romantyzmu.

– Jak pan sądzi, jaki ostatecznie los spotkał Izaaka Roblesa? – spytał Lawrie.

– Panie Reede – odezwała się Quick, jej głos był mocny i dobrze słyszalny w pokoju. – Jak zamierza pan rozplanować czasowo wystawę? Na kiedy przewidziano otwarcie?

Reede odwrócił się w jej stronę.

– Za dwa tygodnie delegacja z muzeum Peggy Guggenheim ma przyjechać z obrazami. A dwa tygodnie później możemy, myślę, otwierać wystawę.

Quick zajrzała do swojego terminarza.

– Za cztery tygodnie? To niedorzeczne. Za mało czasu.

– Wiem, Marjorie. Ale chcę, żeby tak właśnie się to odbyło.

Obserwowałam, jak Quick zaznaczyła w terminarzu dzień dwudziesty ósmy listopada. Jej ręka lekko drżała, gdy stawiała przy tej dacie gruby czarny krzyżyk.

Tamtego wieczoru Lawrie i ja pojechaliśmy kolejką podmiejską do Surrey. Powiedział mi, że już sprzedał swoje MG.

– Po prostu nie jeździłem nim za wiele – wyjaśnił, ale w jego głosie słychać było nutę żalu. Być może faktycznie sytuacja Lawrie’ego była gorsza, niż początkowo myślałam, i również sprzedaż obrazu była koniecznością.

Ruszyliśmy ze stacji Waterloo. Usiadłam, a kserokopie od Reede’a położyłam sobie na kolanach. Przyjrzałam się bliżej czterem reprodukcjom dzieł autorstwa dawniejszych hiszpańskich malarzy, przedstawiających Ruffinę i Justę. Podobał mi się sposób, w jaki Goya oddał pasywność lwa, ale najbardziej ze wszystkich przypadł mi do gustu obraz Velázquez: młoda ciemnowłosa dziewczyna o nieodgadnionym spojrzeniu, trzymająca na wyciągniętej dłoni talerz i dwie miseczki oraz palmę męczeństwa w drugiej. Velázquez, podobnie jak Robles, namalował Ruffinę oddzielnie. Zaczęłam studiować kopię listu Harolda Schlossa. Marszand napisał go ręcznie i początek można było bez większych problemów odczytać, ale niektóre miejsca ledwo dawało się odcyfrować. W dalszej części listu do zaokrąglonych łuków i zamasyście kreślonych zakrętasów dołączyły liczne skreślenia i kleksy. Stan ducha człowieka, który pisał ten list, był daleki od równowagi.

– Jesteśmy na miejscu – powiedział Lawrie.

Nie pasowaliśmy do reszty pasażerów wysiadających w Baldock’s Ridge. W przeważającej mierze byli to mężczyźni dobiegający pięćdziesiątki, z zarysowanym brzuszkiem, sygnetem na palcu, gazetą „Telegraph” pod pachą i aktówką z wytłaczanej skóry, a także kobiety w średnim wieku, powracające po dniu spędzonym w mieście do domu, w tweedowych ubraniach, z twarzami bez wyrazu, myślami pogrzebanymi głęboko na dnie torebek.

– Gdy już wyszłaś ze spotkania, Reede zaproponował, że mógłby się podjąć sprzedaży obrazu w moim imieniu – powiedział Lawrie, otwierając drzwi i pomagając mi wysiąść. – Oczywiście z prowizją.

– Ile jego zdaniem można uzyskać ze sprzedaży?

– Trudno orzec. „Sztuka nie zawsze podlega tym samym prawom rynku, co inne rzeczy wystawiane na sprzedaż” – Lawrie zacytował

Reede’a, naśladując jego napuszony ton. – Powiedział, że to nie to samo, co wystawienie na sprzedaż późnego van Gogha.

– Co miał na myśli?

– Chyba chodziło mu o to, że zaginionego van Gogha nabyć chciałby każdy. Natomiast wyjątkowość *Rufiny i lwa* polega na czymś innym. Reede powiedział, że nie chce zaniżyć wartości obrazu, ale też nie chciałby przesadzić. Jego zdaniem sprzedaż zawsze wiąże się z pewnym ryzykiem.

– Ale przecież z takim entuzjazmem odnosi się do tego płótna.

– Jako historyk sztuki, być może. Jeśli chodzi o osobiste upodobania, tak. Ale niewykluczone, że jako licytator chciałby w jakiś sposób utemperować moje oczekiwania. Nie wszyscy są wielbicielami Izaaka Roblesa.

– W razie czego zawsze możesz go podarować jakiejś instytucji.

Lawrie roześmiał się.

– Odelle, przecież ja jestem bez grosza.

Quick i ja przez resztę dnia nie miałyśmy już okazji porozmawiać. Wkrótce po spotkaniu z Lawrie'em i Reede'em pojechała do domu.

Skarżyła się na ból głowy, ale ja oczywiście wiedziałam, że chodzi o coś znacznie poważniejszego. Czułam się rozdarta. Chciałam być z Lawrie'em, rozkoszować się tym, że ktoś, kogo niemal utraciłam, znów jest ze mną. Ale z drugiej strony byłam jedyną osobą, która wiedziała, jak bardzo chora jest Quick. Miałam świadomość, że jej ból stale narasta, za to nie miałam pojęcia, jak należałoby jej pomóc.

– Wszystko w porządku? – spytał Lawrie.

– Po prostu myślę o Quick – powiedziałam. – Ona... nie czuje się za dobrze.

– Nie w y g l ą d a ł a dobrze.

Nachylił się, żeby pocałować mnie w policzek – szliśmy akurat ścieżką prowadzącą ze stacji. Wtedy ktoś za naszymi plecami ostentacyjnie westchnął. Odwróciłam się. Była to jedna z kobiet w tweedowym ubraniu, która teraz udawała, że nie ma z tym westchnięciem absolutnie nic wspólnego.

– Chodźmy stąd – powiedział cicho Lawrie. – Tutaj jeszcze tkwią w osiemnastym stuleciu.

Tyle że to nie był XVIII wiek, prawda, Lawrie? Był koniec października 1967 roku, znajdowaliśmy się w Baldock's Ridge w Surrey. A ty nie mogłeś mnie nawet pocałować bez wywołania komentarza. Najwyraźniej nie zasługiwałam na to, by być całowaną.

Kiedy dotarliśmy do domu, wewnątrz paliły się światła.

– O Jezu – powiedział Lawrie. Odwróciłam się i spojrzałam na niego. Był autentycznie przestraszony.

– O co chodzi? – spytałam.

– Myślałam, że Gerry’ego nie będzie w domu. Powinniśmy sobie pójść.

– Wcale nie chcę odchodzić – powiedziałam.

– Odelle, Gerry nie jest... Nie sądzę, aby on... Po prostu chciałbym cię przed nim ostrzec.

– Pozwól, że zgadnę. Zaliczam się do „dzikusów”

– Mój Boże, to naprawdę źle się skończy. On jest... bardzo staromodny.

– W takim razie powinniśmy doskonale się rozumieć.

– To niemożliwe. Nie chcę, żebyś musiała...

– Lawrie, nie musisz mnie chronić. Pozwól, że sama go osądzę. Bo on bez wątpienia osądzi mnie.

W jakich słowach należałoby opisać Gerry’ego? Gerry Kanalia, Gerry Wesolek. Ledwo mnie ujrzał, od razu się rozpromienił.

– A już myślałam, że Lawrence jest pedziem! – Sposób, w jaki to powiedział, od razu kazał mi myśleć, że Gerry najprawdopodobniej sam ma tego rodzaju preferencje. Nigdy więcej nie spotkałam kogoś takiego jak on. Ta szczególna odmiana angielszczyzny używana przez ludzi z klasy wyższej: afektowana, tak bardzo w stylu bohaterów utworów Wodehouse’a^[14]; szaleństwo akceptowane przez wszystkich bez mrugnięcia okiem. Jeśli tylko można było powiedzieć coś niestosownego, Gerry skwapliwie z tego korzystał. Choć miał nadwagę, wciąż był przystojny, ale wyglądał na zrezygnowanego. Wyczuwałam w nim głęboki smutek. W ciągu najbliższych sześciu miesięcy miał stać się cieniem samego siebie.

– Jeśli dobrze rozumiem, pracuje pani w galerii sztuki, panno Baschin? – powiedział, nalewając sobie do szklanki następną porcję whisky.

Lawrie skrzywił się, gdy Gerry przekreślił moje nazwisko, widziałam, że chce zwrócić ojczymowi uwagę.

– Zgadza się – wtrąciłam szybko. – Pracuję jako maszynistka.

– Czyli zdołała się pani jakoś zadomowić?

– Tak. Mieszkam tu już od sześciu lat.

– Ojciec Odelle był w RAF-ie – poinformował ojczyma Lawrie.

Słyszałam w jego głosie desperację i bardzo mnie to

zirytowało. Wiedziałam, co próbuje w ten sposób osiągnąć: chciał mnie „opakować” tak, bym stała się bardziej strawna dla Gerry’ego. Ale ja nie uważałam, że muszę przełamywać lody, powołując się na zasługi mojego ojca na polu chwały. W trudny do wytłumaczenia sposób wyczuwałam, że Gerry akceptuje mnie i bez tego. Może to z powodu jakiejś dziwnej chemii między nami, a może dlatego, że byłam gościem w jego domu, ale Gerry zdawał się nie pamiętać przy mnie o hierarchii kolorów skóry, do której od czasu do czasu w sposób nieświadomy się odwoływał. Może próbował mnie wybielić? A może wraz ze mną ożywały w nim wspomnienia z czasów kolonialnych i czuł z tego powodu jakąś ekscytację? Niewykluczone też, że po prostu mnie lubił. Bez względu na to, co nim kierowało, czułam się zaproszona.

Zjedliśmy obiad w nieco nerwowej atmosferze – a właściwie to Lawrie był nerwowy. Gerry i ja z trudem, ale jakoś się dogadywaliśmy. Przynajmniej tym razem nie nawiązywał ani do kalipso, ani do bongo, ani nie nazywał cudem tego, że mówię płynnie po angielsku.

– Kiedyś pojechaliśmy na Karaiby – powiedział, gdy Lawrie sprzątał ze stołu naczynia. Gerry wychylił do dna swoją whisky i zaczął się wpatrywać w pustą szklankę.

– Podobało się tam panu? – zapytałam.

Gerry sprawiał wrażenie, jakby mnie nie słyszał.

– Pracowałem w Indiach po ukończeniu Oxfordu. – Spojrzałam na twarz Lawrie’ego. Jego oczy ciskały gromy, które lądowały na obrusie. – Byłem tam wiele lat. Myślę, że to wtedy złapałem bakcyła podróżowania, pewnie coś mnie ugryzło. Piękne miejsce, Indie. Ale trudne. Niesamowicie gorąco.

– Które wyspy pan odwiedził na Karaibach? – zapytałam.

– Mam wrażenie, że to było wieki temu. I pewnie było.

– Odelle zadała ci pytanie – wtrącił Lawrie.

– Wszystko w porządku – powiedziałam.

– Jamajka – odparł mężczyzna, posyłając ostre spojrzenie pasierbowi. – Nie jestem jeszcze starcem, Lawrence. Słyszałem pytanie.

– Ja nie byłam na Jamajce – powiedziałam.

Gerry roześmiał się.

– To naprawdę dziwne. Myślałem, że po prostu sobie skaczecie z wyspy na wyspę.

– Nie, proszę pana. Odwiedziłam Tobago, Grenadę i Barbados. Nie znam pozostałych wysp. Z pewnością lepiej znam Londyn niż Jamajkę.

Gerry sięgnął po whisky.

– Ja nie chciałem tam jechać – powiedział. – Ale Sara powtarzała, że wszyscy jeżdżą na Jamajkę. Ona uwielbiała upał, potrzebowała go. No to pojechaliśmy. I nawet jestem z tego zadowolony. Piasek był taki miękki.

Lawrie zabrał butelkę whisky.

– Chodźmy posłuchać tej płyty, którą kupiliśmy – powiedział.

– Kim jest Sara? – spytałam.

Gerry spojrzał na mnie swoimi nabiegłymi krwią oczami.

– Lawrence nie powiedział ci, jak miała na imię?

– Kto?

– Jego matka – powiedział Gerry, wzdychając, gdy Lawrie się odwrócił. –
Moja piękna żona.

Lawrie wielkimi susami pokonywał schody, po trzy stopnie naraz.

– Co jest z tobą? – spytałam. – Przecież on za nią tęskni. Chce o niej rozmawiać.

Lawrie zatrzymał się na podeście i gwałtownie odwrócił w moją stronę.

– Nie rób z niego świętego – powiedział.

– Nie mam takiego zamiaru, Lawrie – odparłam.

Lawrie wydawał się z czymś zmagać. Wyglądał tak, jakby był jednocześnie przestraszony i wściekły.

– Kiedy mój ojciec umarł – mówiłam dalej, próbując nadać swojemu głosowi kojący ton – moja mama ciągle słyszała w radiu jego głos. Widziała jego twarz w każdym mężczyźnie, którego spotkała. Musisz być cierpliwy.

– Była moją matką.

– No oczywiście.

– To ja ją znalazłem. W tamtym pokoju na dole.

– Och, Lawrie.

Odwróciłam się i spojrzałam w ciemną przestrzeń, którą wskazał.

Poczułam jakąś instynktowną niechęć, obezwładniające pragnienie, by jak najszybciej odejść w przeciwnym kierunku. Ale nie zrobiłam ani kroku. Nie chciałam, żeby Lawrie zauważył mój strach.

– Gerry jeszcze się nie rozpadł tylko dzięki whisky i plastrom –

powiedziałam. – Powinieneś być dla niego miły.

– A co ze mną?

– Ja będę miła dla ciebie – odparłam, biorąc go za rękę.

Leżeliśmy obok siebie na kołdrze puchowej Lawrie’ego.

Słyszeliśmy, jak Gerry powłóczył na dole nogami, aż w końcu drzwi się za nim zamknęły i w domu zapadła cisza.

– Nie powinieneś tutaj mieszkać – powiedziałam.

– Wiem. – Przewrócił się na bok, zwracając się do mnie twarzą i podpierając na łokciu. – Ale to wszystko, co mam. To miejsce, Gerry i obraz.

– No i ja – powiedziałam. – Masz mnie.

Lawrie łagodnie musnął dłonią moją twarz. Okno wciąż jeszcze było otwarte i usłyszałam kosa, który siedział na drzewie, śpiewając tak melodyjnie i bez najmniejszego wysiłku, jakby to był poranek.

– No dalej, pisarko. Jakie jest twoje ulubione słowo lub wyrażenie? – zapytał Lawrie.

Widziałam, że chce zmienić temat, więc poszłam tym tropem.

– Chcesz, żebym jakies wybrała? Dobrze. „Wynajęte mieszkanie”

Roześmiał się.

– Wiedziałem, że masz je na podorędziu. Ale ono jest takie drętwe i nudne, Odelle.

– Nieprawda. Całkiem przytulne. „Moje wynajęte mieszkanie było

czyste i wygodne." A teraz twoja kolej.

– Obłok.

– Taki banał – powiedziałam, pomału przysuwając się i przytulając go do siebie.

Rozmawialiśmy dalej o różnych rzeczach, z wyjątkiem matek, ojcymów i obrazów – te tematy zostały na chwilę zapomniane albo przynajmniej odsunięte gdzieś na peryferie naszych wspomnień.

Rozmawialiśmy o tym, jak piękny potrafi być angielski, gdy posługuje się nim odpowiednia osoba – ile w nim odcieni, niuansów, nielogiczności. *Hamper*, czyli „kosz” i *hamper*, czyli „przeszkadzać, utrudniać”. Słowo *turn*, „skręt” – które na pierwszy rzut oka wydaje się takie nudne. Jak bardzo potrafi być zwodnicze, gdy zaczynamy zgłębiać wszystkie związane z nim znaczenia. Dyskutowaliśmy też na temat naszych ulubionych onomatopei: *fizz* – „syczeć”, *sludge* – „szlam”, *glide* – „ślizg” i *bumblebee* – „trzmieł”. Jeszcze nigdy z nikim nie czułam się tak szczęśliwa.

Zainspirowani kosem wyśpiewującym trele na drzewie

rozpoczęliśmy grę, którą nazwaliśmy „Ptasi tenis”. Nasze splecione dłonie zastępowały siatkę, a my zamiast piłkami wymienialiśmy się nazwami ptaków. Ja przywoływałam również te z tropików. Za każdą parę przewidziany był całus: siewka i czajka, skowronek, błękitniczek czerwonoonogi. Furczek ozdobny i sokół, gorzyk, jastrząb. Jego ręce na mojej skórze, kulik, wilga. Moje dłonie na nim. Żakamar, strzyżyk.

A potem skrzydlaci przyjaciele odlecieli, ich nazwy ustąpiły miejsca pocałunkom i ciszy zdolnej wyczarować całkiem nowy świat.

Następnego ranka obudziłam się bardzo wczesnie. Lawrie pogrążony był jeszcze w głębokim śnie, miał spokojną twarz.

Pomyślałam ze zdumieniem, że skoro już we mnie wszedł, to mój pierwszy raz nigdy więcej się nie zdarzy. Założyłam majtki, jego koszulę, wełniany sweter, wysunęłam się spod kołdry i na palcach przeszłam przez

korytarz do łazienki. Czy Gerry wiedział, że zostałam?

Jakież by to było upokarzające natknąć się na niego teraz.

Poszłam do toalety, odczuwając między nogami pewien dyskomfort. Zostało tam trochę zaschniętej krwi, ale bardziej oczywistym symptomem tego, co się stało, był ból brzucha – niezbyt nasilony, tępy i umiejscowiony nisko – poświadczający, że zostałam otwarta i doznałam nieznaczących obrażeń. Nigdy wcześniej nie zdarzyło mi się choćby pojawić nago w obecności mężczyzny, nigdy też nie byłam dotykana w taki sposób. Naprawdę dziwnie było odczuwać ból po czymś, co było tak rozkosznie przyjemne.

Gdy granica została sforsowana, powiedziałam mu, bardzo cicho, że go kocham. Wtedy Lawrie przysunął ucho do moich ust, mówiąc: „Możesz to powtórzyć jeszcze raz, Odelle? Starzeję się i ostatnio jakoś gorzej słyszę”. Tak więc powiedziałam mu to jeszcze raz, nieco głośniej, a on odwdzieczył się pocałunkiem.

Spojrzałam na zegarek, który miałam na ręku: piąta trzydzieści. Z dołu dobiegało chrapanie Gerry’ego. No proszę, gdzie trafiłam, pomyślałam, oto siusiam w samym sercu Surrey, w zdezelowanej wiktoriańskiej toalecie położonej nad głową mężczyzny o imieniu Gerry. Czegoś takiego nigdy bym nie przewidziała. W sumie byłam zadowolona, że to wszystko wydarzyło się tak niespodzianie. Gdyby było inaczej, z pewnością byłabym zbyt onieśmielona niezwykłością tej sytuacji i w rezultacie do niczego by nie doszło.

Gdy skończyłam, umyłam ręce, twarz i namydliłam również uda. Poczułam nagłą potrzebę, żeby obwieścić Pameli, co się stało, podzielić się z nią tą nowiną w ramach jej prezentu urodzinowego.

Wyszłam z łazienki i właśnie zamierzałam wrócić do pokoju Lawrie’ego, gdy nagle się zawahałam. Po namyśle skrzyżowałam ręce, spoglądając w głąb długiego korytarza. Taka okazja mogła się już nie

powtórzyć, nie miałam co do tego wątpliwości. Raczej mało prawdopodobne, by Lawrie po obudzeniu zechciał mnie tam zaprowadzić. A mną zawładnęła zbyt wielka ciekawość, bym mogła sobie taką wycieczkę odpuścić.

Drzwi były lekko uchylone. Prowadziły do sypialni Sary, od razu było to widać. Na toaletce nadal leżały szminki, srebrna puderniczka w kształcie muszli; były tam też powieści w miękkich okładkach i stare czasopisma. Na parapecie stały porcelana i ozdoby ze szkła, wazony z bukietami kwiatów, teraz już wyschniętymi. Zastony były odsunięte, ale słońce jeszcze nie wzeszło. Pochylone sylwetki nagich drzew odbijały się na tle lawendowego nieba.

Popatrzyłam na łóżko. Czy to zdarzyło się właśnie tutaj? Nic na to nie wskazywało, co przyjąłam z ulgą. Było mi ogromnie żal tych dwóch mężczyzn, którzy bez niej byli wyraźnie zagubieni. Gerry miał rację – Lawrie udzielał bardzo wymijających odpowiedzi, zapytany o swoją matkę. A sam Gerry, który wcale nie sprawiał wrażenia łajdaka bez serca, bezsprzecznie pragnął o niej rozmawiać. To Lawrie odmawiał.

Dopiero teraz, gdy byłam pod jednym dachem z nim i jego ojczymem, mogłam ocenić, jak wielki wpływ miała na niego Sara, a także jej ponowne zamążpójście i w końcu śmierć.

W rogu pokoju stała wielka szafa. Otworzyłam ją, a wtedy z całą siłą uderzył mnie zapach kamfory. Wewnątrz wisiała pojedyncza para spodni z delikatnego czerwonego materiału. Wyjęłam je i przyłożyłam do siebie. Jeśli rzeczywiście należały do Sary, musiała być filigranowej budowy. Sięgały mi zaledwie do połowy łydek. Uszyto je z jasnoczerwonej wełenki, która w wielu miejscach została zaatakowana przez mole, co gorsza największe spustoszenie mole poczyniły akurat w kroku. Ale i tak natychmiast rzucało się w oczy, że była to elegancka odzież w najlepszym gatunku. Od razu przyszła mi na myśl Quick. Te spodnie z pewnością by się jej spodobały, z sitem w kroku czy bez.

– Raczej nie będą pasowały – dobiegł mnie czyjś głos. – Ale jakoś nie mogłem się zdobyć na to, by je wyrzucić.

Podskoczyłam. W drzwiach stał Gerry. Przerzedzone, piaskowej barwy włosy stojące na sztorc, zwaliste ciało owinięte granatowym szlafrokiem, owłosione nogi i bosa stopy wystające spod materiału.

Zawstydzona, wyjąkałam parę bełkotliwych słów i ruszyłam w stronę szafy, żeby odwiesić spodnie. Poczułam się strasznie na myśl o tym, że Gerry dopiero co pozbył się rzeczy żony. To miejsce było jego małą świątynią. Pewnie przychodził tu co rano, a ja byłam intruzem. Czułam potworne zażenowanie. Po pierwsze, zostałam na noc, na sobie miałam tylko męską koszulę i sweter. Po drugie, uprawiałam seks pod jego dachem. Na szczęście Lawrie był dużo wyższy ode mnie, co przydało mi nieco skromności, ale tak czy inaczej miałam wrażenie, że słowo SEKS

mam wypisane na czole i że każdy to od razu zauważy.

Ale Gerry wydawał się zupełnie nie przejmować niemoralnym prowadzeniem się własnego pasierba i jego dziewczyny. Może był o wiele mniej konserwatywny, niż sądziłam. Możliwe też, że miał zbyt wiele własnych trosk i problemów, by martwić się jeszcze czymś innym.

Machnął tylko ręką, cicho wchodząc do pokoju.

– Nie przejmuj się – powiedział, siadając ciężko na skraju łóżka. Ja wciąż jeszcze trzymałam w ręku spodnie Sary. – Możesz się rozejrzeć.

Dla mnie ona też pozostawała nieodkrytą tajemnicą, na wielu polach.

Posępny wyraz twarzy i zaokrąglony brzuch upodabniały go do ponurego Humpty-Dumpty'ego z powieści Lewisa Carrolla *Po drugiej stronie lustra*. Ja sama też czułam się trochę jak Alicja, która na każdym kroku napotykała zagadki i trudności.

– Przepraszam – powiedziałam. – Nie powinnam tu wchodzić.

– Nie przepraszaj. Lawrie o niej nie rozmawia, prawda?

– Nie za wiele. Panie Scott, czy mogę spytać...

– Ja nie noszę nazwiska Scott. To panięskie nazwisko Sary.

– Ach tak.

– Lawrence wolał posługiwać się raczej nazwiskiem matki, niż przyjąć moje – powiedział Gerry, kręcąc głową. – No ale on miał już wtedy szesnaście lat, więc trudno mu było cokolwiek nakazywać. Nigdy do końca go nie rozumiałem.

– Nie przyjął nazwiska ojca?

Gerry przyjrzał mi się przenikliwie.

– To nie byłby dobry pomysł. Nosić nazwisko Schloss na boisku szkolnym w latach czterdziestych...

Stanęłam jak wryta ze spodniami w rękach.

– Schloss? – powtórzyłam. – Ojciec Lawrie’ego nazywał się Schloss?

Gerry spoglądał na mnie, zaintrygowany energią bijącą z mego głosu.

– Cóż, ściśle biorąc, tak. Sara tuż po jego narodzinach dała mu nazwisko Scott, ale po ojcu powinien nazywać się Schloss. To może wydawać się zaskakujące, ale jej pierwszy mąż był Austriakiem, to było tuż przed pierwszą wojną światową.

– Austriakiem?

Gerry wyglądał na rozbawionego.

– Wyglądasz na wytrąconą z równowagi tymi rewelacjami.

Wszystko w porządku?

– Och, tak. Wszystko OK – powiedziałam, próbując wyglądać możliwie zwyczajnie w zbyt wielkim wełnianym swetrze Lawrie’ego, ze spodniami jego zmarłej matki w rękę, jak gdyby wiadomość o ojcu ukochanego w ogóle mnie nie poruszyła.

– Kiedy wróciła do Anglii i urodziła Lawrie’ego, uważała, że rozsądnie będzie dać mu swoje własne nazwisko. W tamtym czasie niemieckie nazwiska nie budziły zaufania.

– A jak miał na imię jej pierwszy mąż?

– Harold. Biedny sukinsyn. Mój Boże, kiedy pomyślę o tym, co się stało... Sara nigdy na ten temat nie rozmawiała, ale myślę sobie, że może powinna, szczególnie zważywszy na zachowanie Lawrence’a. Ten chłopak zachowuje się, jakby miał psychozę, jeśli chodzi o temat jego rodziców.

Próbowałam sobie przypomnieć, jak zachowywał się Lawrie, gdy Reede wspominał Harolda Schlossa. Nie zauważyłam, żeby ujawniał wówczas jakieś emocje ani nie zdradzał się z tym, że to nazwisko jest mu znane. Ale pamiętam, że pytał Reede’a, czy wie, co się z nim stało.

– Co się przytrafiło jego ojcu? – spytałam.

Gerry odsłonił zęby w ponurym uśmiechu.

– On chyba nie za wiele ci mówi, prawda? Cóż, to drażliwy temat.

– Bez wątpienia.

– Może wy nie macie czasu, żeby ze sobą rozmawiać. Ja też kiedyś taki byłem.

Próbowałam zamienić rumieniec na blady uśmiech. Z jednej strony najchętniej bym stamtąd uciekła, ale z drugiej chciałam się od Gerry'ego jak najwięcej dowiedzieć, więcej niż kiedykolwiek zdołałabym wyciągnąć od Lawrie'ego.

– On ma w tym jakiś cel, że o tym nie mówi – powiedział Gerry. – Nie ma sensu, żeby mężczyzna rozgrzebywał sprawy, których nawet nie może pamiętać. Lawrie nigdy nawet nie spotkał tego gościa.

Gerry przejechał ręką po głowie i przyspilił mnie spojrzeniem.

– Hitler mu się przytrafił, ot co. Tak jak przytrafił się nam wszystkim.

Chciałam coś powiedzieć, ale Gerry podniósł się z łóżka. Na tle ciemnej drewnianej podłogi jego paznokcie wydawały się żółte.

– Jest zbyt wcześnie, żeby o tym wszystkim rozmawiać – powiedział. – Idę na spacer, żeby przewietrzyć sobie głowę. A ty najlepiej wracaj do spania.

Wróciłam do pokoju Lawrie'ego. Poruszył się i otworzył oczy, uśmiechając się przy tym. Wyciągnął ramiona, zachęcając mnie, bym wskoczyła pod ciepłą, nieco wymiętą pościel. Stałam z boku łóżka.

– W czym rzecz? – zapytał. Jego uśmiech przygasł. – Coś nie tak?

– Nazywasz się Lawrie Schloss – powiedziałam. – Twój ojciec sprzedał *Rufinę i lwa*. To dlatego masz teraz ten obraz.

Przyznaję, że mogłam to nieco lepiej rozegrać – twój ojciec to, twój ojciec tamto – a przecież mówiłam o nieżyjącym mężczyźnie, którego Lawrie nigdy nie spotkał. W dodatku była szósta piętnaście rano. Pewnie postąpiłam tak dlatego, że zawsze uważałam Lawrie'ego za bezwzględnie uczciwego człowieka. Broniałam go nawet przed Quick, gdy wyraziła co do niego pewne wątpliwości. A teraz zdałam sobie sprawę, że Lawrie ciągle unikał nie tylko pytań dotyczących jego matki, ale także tego, w jaki sposób mogła wejść w posiadanie takiego dzieła sztuki.

Lawrie opuścił ramiona i przyjrzał mi się badawczo.

– Nazywam się Lawrie Scott – powiedział. Zamknął oczy. – Rozmawiałaś z Gerrym.

– Kłamałaś – powiedziałam.

Znów otworzył oczy i oparł się na łokciu.

– Nigdy, do cholery, nie kłamałem. Po prostu nie powiedziałem ci całej prawdy.

– Ale dlaczego? Co to ma za znaczenie, kim był twój ojciec?

Nic nie odpowiedział.

– Lawrie, czy ty naprawdę sprzedałaś swój samochód?

Potarł oczy, marszcząc przy tym czoło, jakby chciał umieścić myśli na właściwym miejscu.

– Tak, naprawdę go sprzedałem. Gerry z całą pewnością będzie chciał sprzedać ten dom. I co wtedy zrobić?

– On nigdy go nie sprzeda. W głębi korytarza jest pokój poświęcony pamięci twojej matki. On nawet nadal trzyma w nim jej ubrania i kosmetyki.

W jego oczach pojawiło się zaskoczenie.

– Skąd o tym wiesz?

Wolno przysiadłam na brzegu łóżka.

- To właśnie w tym pokoju natknęłam się na Gerry'ego.
- Myszkowałaś po mieszkaniu? Odwróciłam wzrok, zażenowana.
- Opowiedział mi, jak twoja matka postanowiła dać ci swoje panieńskie nazwisko, bo trwała wojna. Kiedy Reede wspomniał Harolda Schlossa, dlaczego nic nie powiedziałaś?

Lawrie opadł z powrotem na poduszkę.

- To by tylko niepotrzebnie skomplikowało sprawę.
- Raczej by ją uprościło. Wtedy łatwo byłoby wytłumaczyć, skąd ten obraz znalazł się w twoim posiadaniu. Znalibyśmy proveniencję i tak dalej.
- Może to uprościłoby sprawy Reede'owi, ale nie mnie. - Lawrie splótł ręce, zwijając je w pięść. - Posłuchaj, Odelle. My nigdy, ale to nigdy o nim nie rozmawialiśmy. W mojej rodzinie nie omawiało się tych spraw. A jeśli przez całe życie w domu nie poruszało się pewnych tematów, to myślisz, że nagle, tak po prostu, zaczniesz o tym rozmawiać z kimś obcym, bo interesuje się twoim obrazem?

- Ale dlaczego...

- Nie znajduję odpowiednich słów, Odelle. Nie znajduję słów, by opisać coś, co zdarzyło się, zanim jeszcze pojawiłem się na świecie.

- Ale twoja matka musiała przecież o nim opowiadać? Był twoim ojcem.

- Znałem jego nazwisko. I tyle. Wiedziałem też, że moja matka zmieniła swoje, kiedy wróciła do Anglii. Przez szesnaście lat żyliśmy tylko we dwoje, ona i ja, a potem pojawił się Gerry. Nie chciałem się przyznawać, że jestem skoligacony ze zmarłym po to tylko, by Edmund Reede mógł sobie uzupełnić luki w genealogii.

- Rozumiem. Przepraszam.

- Nie musisz przeproszać.

- Ja tylko myślałam... o Quick. Próbuję jedynie dopatrzeć się jakiegoś sensu w tym, co łączy się z tym obrazem, to wszystko.

Lawrie znowu usiadł.

- Moja matka nigdy mi nie powiedziała, jak weszła w posiadanie tego płótna, Odelle. Nie kłamałem. Mogę się tylko domyślać, że mój ojciec nigdy nie zdołał go dostarczyć tej Peggy Guggenheim, a potem, w tym chaosie, który nastąpił po opuszczeniu Hiszpanii, moja matka zabrała obraz ze sobą i przywiozła do Anglii.

– A co stało się z ich małżeństwem, skoro on mieszkał w Paryżu, a ona w Anglii?

– Nie wiem – westchnął Lawrie. – Przyjechała do Londynu, on został tam. A potem Niemcy zaczęli okupować Paryż. Moja matka nigdy wcześniej, przed Gerrym, nie nosiła nawet obrączki.

– A ty nigdy jej o to nie pytałeś?

– Pytałem – odpowiedział ze ściśniętym gardłem. – Nie lubiła tego, ale wyznała mi, że był dzielny, że zginął w czasie wojny i że zostaliśmy teraz tylko my dwoje. Słyszałem tę wersję, gdy miałem trzy lata, dziesięć, trzynaście, a gdy się słucha czegoś wiele razy, to w końcu staje się to rzeczywistością.

– Może chciała ci oszczędzić bólu – powiedziałam.

– Nie sądzę, aby moja matka kiedykolwiek chciała mi czegoś w życiu oszczędzić. – Lawrie miał posępny wyraz twarzy. – Mogę się tylko domyślać, że on albo ją porzucił i postanowił nie utrzymywać z nią kontaktu, albo to ona zerwała wszelkie więzy. To było nawet miłe: ona i ja sami przeciwko światu, ale z czasem stało się dość klaustrofobiczne.

Ona była bardzo nadopiekuńcza. Mówiła, że jestem jej drugą szansą.

– To wszystko, co mówiła?

– Nie znasz jej, nie wiesz, jaka była. O pewnych rzeczach po prostu się z nią nie rozmawiało. A w tamtym czasie wiele osób miało ojców, którzy zaginęli. To było tuż po wojnie, mnóstwo wdów. Trudno wciąż na nowo rozdrapywać czyjeś ledwo zabliznione rany.

– No jasne. – Wiedziałam, że nie powinnam go więcej naciskać.

Chciałam zapytać, czy Sara kiedykolwiek rozmawiała z nim na temat Oliwii. Gdy mówiłam o tym z Cynth, doszłam do wniosku, że młoda kobieta o takim samym nazwisku jest córką Harolda Schlossa, ale przecież Lawrie nigdy nie wspominał, że ma siostrę. Zresztą musiałaby być od niego znacznie starsza. A jeśli Lawrie rzeczywiście wiedział tak mało na temat Harolda Schlossa, trudno się dziwić, że milczał na temat siostry.

Przyglądałam się Lawrie'emu, próbując dostrzec w jego twarzy jakieś podobieństwo do Quick. Nie umiałam sobie wyobrazić, w jaki sposób miałabym mu powiedzieć, że najprawdopodobniej on i Marjorie Quick byli spokrewnieni.

Lawrie westchnął.

– Powiniennem być ci o tym powiedzieć. Ale między nami różnie się układało i co innego miałem na głowie. Przykro mi, że natknęłaś się akurat na Gerry’ego. Mam nadzieję, że przynajmniej miał na sobie szlafrok.

– Tak, miał.

– Dzięki ci, Panie, chociaż za to.

– Mogę do ciebie dołączyć? – zapytałam.

Uniósł kołdrę, a ja wślizgnęłam się pod nią. Przez chwilę leżeliśmy w ciszy. Zastanawiałam się, czy Lawrie w ogóle kiedykolwiek opowiedziałby mi o swoim ojcu, gdybym nie nalegała. A jeśli idzie o naszą świeżo rozkwitłą relację, musiałam się zastanowić, czy ma to dla nas jakiegokolwiek znaczenie, bez względu na to, jak by się zachował. Lawrie nadal pozostawał dla mnie Lawrie’em, to pewne, kimkolwiek był jego ojciec. Ale mimo wszystko trochę mnie zaboląła świadomość, że o tylu rzeczach mi nie powiedział, wolał zatrzymać je dla siebie. Z drugiej strony pewnie i ja wiele spraw zachowałam w tajemnicy.

– Przecież siedzieliśmy w pociągu, wpatrując się w list Harolda – wymamrotałam po cichu w jego ramię.

– Wiem.

– Czułeś cokolwiek, gdy patrzyłeś na jego pismo?

– Nie w taki sposób, jak pewnie byś oczekiwała. Myślę, że było mi trochę smutno. Z powodu tego, jakimi kolejami potrafi toczyć się życie.

– No tak. – Znów pomyślałam o Marjorie Quick. – Nigdy do końca nie wiemy, jak się to wszystko skończy.

W poniedziałek Quick zadzwoniła, że jest chora i nie będzie jej do środy, a ja wraz z Pamelą byłam zbyt pochłonięta pracą i szykowaniem wszystkiego do wernisażu, żeby móc się z nią zobaczyć. Reede zgromadził imponująco eklektyczną listę uczestników wystawy „Połknięte stulecie”, a Pameli i mnie zlecił przygotowanie zaproszeń. Reede’owi zależało na tym, żeby wystawa miała szeroki oddźwięk w mediach, odpowiedni prestiż i budziła zainteresowanie, by Instytut Skeltona stał się trendy, dochodowy i żeby przepływały przez niego duże pieniądze – a obraz *Rufina i lew* miał mu w tym pomóc. Pojawiła się plotka, że w ramach łączenia kultury wysokiej z popularną na wernisażu miał się pojawić nawet przedstawiciel rządu. Trzeba przyznać, że obraz stanowił nie lada wyzwanie pod względem intelektualnym, a jednocześnie był bardzo ciekawy również pod względem estetycznym, dlatego idealnie się nadawał do realizacji celów Instytutu. Reede zamówił do niego ramę. Najprawdopodobniej była to pierwsza rama, jaką obraz kiedykolwiek posiadał. Reede miał dobry gust – wykonana z ciemnego mahoni, doskonale uwydatniała kolorystykę dzieła.

Julie Christie potwierdziła swoje przyjście, podobnie jak Robert Fraser, handlarz dziełami sztuki. Zaproszeni byli również Quentin Crisp, Roald Dahl i Mick Jagger. Pomyślałam, że zaproszenie Micka Jaggera było dość niezwykłym pomysłem, ale Pamela wyjaśniła mi, że nieco wcześniej tego roku, gdy Rolling Stones trafili do aresztu za narkotyki, gazety pisały, że Jagger zabrał ze sobą czterdzieści papierosów, tabliczkę czekolady, łamigłówki i dwie książki. Pamela wiedziała o Stonesach wszystko. Jedną z tych książek była o Tybecie, a druga – o sztuce.

Gazety rzeczywiście zainteresowały się historią organizowania tej wystawy, tak jak oczekiwał Reede. „Daily Telegraph” umieścił na piątej stronie wielki nagłówek: „Hiszpańska święta i angielski lew: o tym, jak pewien wybitny znawca sztuki uratował hiszpańskie arcydzieło”. W artykule można było przeczytać: „Znakomity i od dawna zaginiony obraz namalowany przez hiszpańskiego artystę Izaaka Roblesa, którego losy pozostają nieznane, został odkryty w jednym z angielskich domów, a dzięki Edmundowi Reede’owi, historykowi sztuki i dyrektorowi Instytutu Skeltona, zostanie udostępniony publiczności”. Zastanawiałam się, jak Lawrie, a tym bardziej

Quick zareagują na takie zdanie – bo przecież w dużej mierze to właśnie dzięki nim Reede mógł realizować własne plany. Ja sama poczułam irytację z tego powodu, ale nie byłam zaskoczona.

W „The Times” krytyk sztuki Gregory Herbert napisał długi artykuł o artystach odkrywanych na nowo, do których zaliczył między innymi Izaaka Roblesa. Wyjaśnił też, w jaki sposób dzieła takie jak *Rufina i lew* odzwierciedlają i poszerzają nasze rozumienie zawirowań z pierwszej połowy XX wieku. Herberta zaproszono na indywidualne oglądanie obrazu. Gdy przed nim stał, powiedział nam, że walczył w Brygadach Międzynarodowych w 1937 roku, zanim rząd hiszpański odesłał ochotników do domu.

„W Auschwitz i Hiroszynie... – pisał Herbert – ofiary upamiętniono na płytach nagrobnych i pomnikach. W Hiszpanii polegli obrońcy Republiki zostali zapisani jedynie w ludzkich sercach. Istnieje bardzo niewielka liczba oznakowanych grobów tych, którzy przegrali w tej wojnie. W imię przetrwania strata została zinternacjonalizowana – mentalna blizna na toksycznej ziemi. Mordercy nadal żyją obok rodzin swoich ofiar, a pomiędzy sąsiadami po wiejskiej drodze mozolnie przesuwają się noga za nogą duchy zmarłych. Smutek wsiąknął w tę ziemię, a trauma tych, którzy przeżyli, ujawnia się jedynie poprzez akty zatajenia.

Nawet dzisiaj Pablo Picasso trzyma się z dala od andaluzyjskiej Malagi, chociaż jest przecież naj słynniejszym synem tego miasta. Kiedy Hiszpania rozpadła się, wielu artystów wybrało ucieczkę do Francji lub Ameryki w obawie przed izolacją, uwięzieniem czy nawet śmiercią. Życie w całej swej różnorodności nagle zostało unicestwione, podobnie jak sztuka. Poeta Federico García Lorca nie zdołał uciec, nie zdążył. Można tylko się domyślać, że taki sam los mógł spotkać jego rodaka z Andaluzji, malarza Izaaka Roblesa.

Przeszłość Hiszpanii jest jak poć psującego się mięsa na rzeźniczej desce. Kiedy wojna dobiegła końca, ludziom zabroniono oglądać się za siebie i patrzeć na latające wokół muchy. Wkrótce doszli do przekonania, że nie umieją już odwrócić głowy, bo żadne słowa nie potrafią wyrazić ich bólu. Ale pozostały przynajmniej obrazy: *Guernica*, dzieła Dalego i Miró, a teraz jeszcze *Rufina i lew*, alegoria Hiszpanii, hołd dla pięknego kraju ogarniętego wojną domową, niosącego w rękach własną głowę, skazanego po wsze czasy na ataki lwów”

Po przeczytaniu artykułu Herberta można by dojść do wniosku, że Izaak Robles bez wątpienia był na najlepszej drodze, by stać się kolekcjonerskim rarytasem, przeżywającym renesans swej twórczości i osiągającym po raz drugi tak wysokie ceny, o jakich skromny malarz nigdy by nawet nie marzył. Z tekstu wynikało niezbcie, że jego autor nie ma wątpliwości co do intencji Izaaka Roblesa: chciał stworzyć dzieło stanowiące polityczny komentarz do wydarzeń dziejących się w jego kraju.

Ale ja byłam odmiennego zdania – w moim przekonaniu wyobrażenia Justy w obrazie *Kobiety w pszenicznym łanie* miały bardziej osobiste czy nawet seksualne konotacje.

W czwartek, kiedy to Barozzi i inni eksperci z muzeum Peggy Guggenheim w Wenecji przyjechali razem ze swoimi obrazami – z darami i w garniturach, niczym ambasadorski orszak – Quick nadal nie wróciła do pracy i Reede był z tego powodu wściekły.

– Ona nie czuje się dobrze – powiedziałam. Nie odbierała telefonu. Im bliżej było do otwarcia wystawy, tym mniej się angażowała. Chociaż bałam się, że presja związana z nieuchronnie zbliżającym się wernisażem może Quick przygnieść, to mimo wszystko żywiłam nadzieję, że bez względu na konsekwencje zmusi ją do ujawnienia prawdy, którą przede mną skrywała.

– Nie dbam o to, co jej jest, może być nawet na łozu śmierci! – rycał wściekle Reede, a ja wzdrygnęłam się na myśl o tym, jak makabrycznie celne były to słowa. – To najważniejsza wizyta, jaką mieliśmy w Instytucie na przestrzeni minionych dwudziestu lat, a ona nie może się nawet pokazać?!

Reede był w wyjątkowo podłym nastroju, bo nie udało mu się wypożyczyć z Prado w Madrycie obrazu Goi. „W takim razie z kim w tym klasztorze mogę rozmawiać odnośnie do Murilla?”, usłyszałam przez otwarte drzwi, jak rozmawiał z kimś któregoś popołudnia.

Pod nieobecność Quick Reede sam decydował o sposobie eksponowania obrazów. Pameli i mnie kazał nadzorować parzenie herbaty, sprzątanie pustych kartonów, skrzyń i resztek sznurka. Wenecjanie, z tego co pamiętam, okazali się mili, ale z lekka przestraszeni chłodną londyńską zimą.

– Czy była pani kiedyś w Wenecji? – zapytał mnie jeden z nich.

– Nie – odpowiedziałam.

– W takim razie musi pani tam pojechać. Wenecja przypomina teatr, w

którym spektakle odgrywa się na ulicach.

Fotografia Izaaka Roblesa i anonimowej kobiety została powiększona do rozmiarów czterech ogromnych tablic. Dwóch

archiwistów próbowało przymocować ją do tylnej ściany galerii. Nikt nie miał odwagi powiedzieć, że aparat był zogniskowany nie na malarzu, lecz na lekko nieostrej twarzy uśmiechającej się młodej kobiety z pędzlem w dłoni. „To jedyna fotografia przedstawiająca Izaaka Roblesa, jaką mamy – tłumaczył Reede. – Dlatego zdecydowaliśmy się ją tam umieścić?”

Goście wyciągnęli ze skrzyni obraz Roblesa, który przywieźli ze sobą. Na jego widok Pamela wydała głośnie westchnienie.

– Och, Dell – powiedziała. – Popatrz tylko.

Sad rzeczywiście mógł wywoływać westchnienia. Obraz był zachwycający i dużo większy, niż się spodziewałam, miał mniej więcej półtora metra długości i metr dwadzieścia wysokości. Kolory, mimo upływu z górą trzydziestu lat, doskonale się zachowały – dzieło Roblesa tchnęło zmysłowością, przez co wydawało się pełne życia i niezwykle nowoczesne w wyrazie, jakby zostało namalowane wczoraj. Pojawiała się w nim charakterystyczna szachownica pól, podobna do tej z *Rufiny i Iwa*, ale detale zostały oddane niemal hiperrealistycznie – z pietyzmem odmalowana ziemia, przechodząca w malarską symfonię subtelnych pociągnięć pędzla w partiach nieba.

– To mój ulubiony obraz – przyznał jeden z weneccjan.

– Jest rzeczywiście przepiękny.

– Gdzie signor Reede zamierza go umieścić?

Popatrzyłam na plan. Reede chciał, żeby obok *Rufiny i Iwa* znalazły się tylko *Kobiety w pszenicznym łanie*, które wciąż jeszcze znajdowały się w skrzyni. *Sad* ze względu na swoje przytłaczające rozmiary raczej nie mogłoby wisieć w towarzystwie jakiegoś innego obrazu.

– Umieście go tymczasem tutaj – powiedziałam, wskazując przybyszom bezpieczne miejsce w rogu galerii.

Chociaż byłam bardzo podekscytowana tym, że mogłam tam wówczas być, rozpakowywać ogromne pudła, całkiem jak w czasie świąt Bożego Narodzenia, tyle że na większą skalę, siedzieć wśród trocin i gwoździ, z magicznym poczuciem, że oto jestem świadkiem czegoś niezwykłego, to jednak

towarzyszył mi pewien niepokój. Owszem, było to doniosłe wydarzenie: pierwsza londyńska wystawa obrazów Izaaka Roblesa – problem w tym, że Quick nie uważała, aby on w ogóle był ich autorem.

Przeszłam przez galerię, by jeszcze raz z bliska przyjrzeć się fotografii. Stałam przed kobietą, której tożsamości byłam pewna – miałam przed sobą Oliwię Schloss – a za nią, w tle, widać było na wpół skończony obraz *Rufina i lew*. Czułam, że muszę odkryć, o co w tej fotografii chodzi – to ona stanowiła klucz do rozwiązania zagadki obrazu i do zrozumienia przeszłości Quick. W nieco rozmytej twarzy dziewczyny widocznej na zdjęciu próbowałam rozpoznać rysy młodszej Quick, pełnej nadziei i pasji. I chociaż w ostatnim okresie Marjorie bardzo zmizerniała z powodu choroby, wierzyłam, że w tej urodziwej i pełnej wigoru postaci widzę dziewczynę, którą kiedyś była. Pewności jednak nie miałam. W ciągu minionych miesięcy uzyskałam od Quick naprawdę dużo, a jednocześnie tak niewiele. Moja dociekliwość sprawiła, że znalazłam własne odpowiedzi na nurtujące mnie pytania, ale chociaż wydawały mi się interesujące, to niekoniecznie musiały być prawdziwe. Gdy ponownie przyglądałam się naturalnej wielkości fotografii przedstawiającej Oliwię i Izaaka, nagle przyszedł mi do głowy pewien pomysł. Nie miałam czasu do stracenia.

W czasie przerwy na lunch zakradłam się do gabinetu Quick i zabrałam z jej zasobów kilka kartek z nagłówkiem Instytutu Skeltona. Pospiesznie spróbowałam parę razy skopiować podpis Reede'a na bloku listowym. Na maszynie wystukałam krótki list, w którym poinformowałam o planowanej wystawie i jej założeniach, a następnie wspomniałam, że chcielibyśmy ją wzbogacić o dodatkowe materiały. Następnie wzięłam głęboki oddech i u dołu strony podrobiłam zamaszysty podpis szefa. Z gotowym listem w torebce poszłam do głównego biura Slade School of Fine Art przy Gower Street i poprosiłam o możliwość przejrzania rejestru absolwentów. Ledwie rzucili okiem na mój list, po czym spędziłam całą godzinę, sprawdzając kolejne roczniki absolwentów akademii – od 1935 do 1945 roku.

Żadna Oliwia Schloss nigdy nie figurowała w tutejszych rejestrach. Tak oto została zerwana jedna z ostatnich nici, które mogły mnie do niej doprowadzić. Nadal jednak nie chciałam uznać, że Oliwia naprawdę zniknęła. Była obecna w Instytucie Skeltona, na ścianach galerii, w otoczeniu własnych prac, a teraz

przebywała w Wimbledonie. Chciałam koniecznie ustalić jej prawdziwą tożsamość. Znalazłam budkę telefoniczną i wybrałam numer do Quick, modląc się, żeby odebrała.

– Halo?

– Nigdy jej pani nie ukończyła, prawda? – powiedziałam.

– Odelle, czy to ty? – Quick z trudem formułowała słowa, mówiła niewyraźnie. Sprawiała wrażenie, jakby brakowało jej sił, dlatego ulga, którą poczułam, gdy usłyszałam jej głos, szybko ustąpiła miejsca strachowi.

– Pojechałam do Slade School of Fine Art – powiedziałam.

Po drugiej stronie słuchawki zapadła cisza. Mimo wszystko mówiłam dalej, podenerwowana i zdesperowana. Czułam, że gorąco uderza mi do głowy, a serce trzepocze się jak oszalałe.

– W rejestrach akademii nigdy nie figurowała żadna Oliwia Schloss. Ale przecież pani o tym wiedziała, mam rację? Tylko proszę mi powiedzieć prawdę.

– Akademia? – powtórzyła. – Slade ...? Po co tam pojechałaś?

– Przecież jutro jest otwarcie wystawy. Izaak Robles zbierze wszystkie laury, a pani zostanie z niczym. Nie powinna pani być teraz sama.

– Nie jestem sama – urwała, ze świstem łapiąc powietrze. – Ja nigdy nie jestem sama.

Wyjrzałam przez brudne szyby budki telefonicznej. Przede mną przemykali w tę i w tę londyńczycy. Miałam wrażenie, że znajduję się pod wodą, a ich ciała nie istnieją realnie, są tylko plamkami koloru przesuwanymi się przed moimi oczami.

– Przyjadę się z panią zobaczyć – powiedziałam, sama zdumiona determinacją pobrzmiwającą w moim głosie. Determinacją, o którą nigdy bym siebie nie podejrzewała.

Wyczułam u Quick moment zawahania, namysłu, po którym odetchnęła – znak, że przestała stawiać opór.

– A co z twoją pracą? – zapytała. – Przecież robicie wystawę i jesteś tam niezbędna.

Jej protest wypadł bardzo słabo, a to, co powiedziała, wystarczyło mi, żebym podjęła właściwą decyzję. Quick mnie potrzebowała, i miała tego świadomość.

– Pracuję przede wszystkim dla pani – odparłam. – Czy pani tego nie widzi?

– Nie czuję się najlepiej.

– Wiem.

– Nie, nie rozumiesz mnie. Boję się. Idą do mnie. Nigdy nie chciałam jej zranić.

Nagle opanowało mnie uczucie klaustrofobii, koniecznie chciałam wydostać się z budki.

– Kogo nie chciała pani zranić?

– Słyszę ich...

– Nikt nie przyjdzie – próbowałam ją uspokoić, ale jej zachowanie wytrącało mnie z równowagi. Potrzebowałam zaczerpnąć powietrza, a w głosie Quick słyszałam desperację. – Niech pani się nie boi – powiedziałam. – Czy pani tam nadal jest? Może mi pani zaufać, obiecuję.

– Co powiedziałaś?

– Niech pani posłucha. Zaraz u pani będę, dobrze?

W słuchawce zapadła głucha cisza, straciłam połączenie. Poczułam się źle, wypadłam z budki telefonicznej i popędziłam do najbliższej stacji metra.



Pod koniec września powietrze w Arazuelo było wciąż rozgrzane i przesycone zapachem kapryfolium, a ziemia czerwona i spękana. To, co rozgrywało się w tych urokliwych okolicznościach, budziło uzasadniony niepokój, ale wcale nie wyglądało na wojnę, a przynajmniej w oczach Schlossów nie było wojną. Odbierali te wydarzenia jako coś znacznie gorszego – rozgrywające się lokalnie uciążliwe akty terroru.

Nadlatywały włoskie albo niemieckie bombowce i niszczyły rozłokowane na lotniskach samoloty, bombardowały port w Maladze i zbiorniki z benzyną. Dało się jednak odczuć dziwną atmosferę zawieszenia, odżywającą wciąż nadzieję, że wszystko, co złe, wkrótce się skończy, że rząd republikański da odpór nacjonalistycznym buntownikom i ich zagranicznym sojusznikom, którzy obejmowali swymi działaniami coraz większą część kraju.

Nacjoniści przejęli kontrolę nad Starą Kastylią, Leon, Oviedo, Alawą, Nawarrą, Saragossą, Wyspami Kanaryjskimi i Balearami z wyjątkiem Minorki. Na południu opanowali Kadyks, Sewillę, Kordobę, Granadę i Huelwę. Malaga – a więc i Arazuelo – ciągle należała do strefy republikańskiej, wydawało się, że rebelianci są bardzo blisko.

Harold jeździł do Malagi po zaopatrzenie. Twierdził, że niektóre sklepy i bary były otwarte, a inne zamknięte, że pociągi i autobusy to nie jeździły, to niespodziewanie zaczynały kursować. Wszystko było niepewne. Nie nosiło się krawatów, bo taka forma elegancji mogła zostać wzięta za dowód burżuazyjnych sympatii i uczynić eleganta celem ataku czerwonych. Harold miał nadzieję, że anarchiści posuną się najwyżej do kradzieży samochodu pod pozorem „rekwirowania pojazdu dla dobra sprawy”, po czym spuszczą z baku paliwo potrzebne do ciężarówek, a elegancki wóz porzucą na pastwę rdzy.

Za dnia funkcjonowało się całkiem znośnie, ale nocą było znacznie gorzej. Nikt z domowników nie spał, gdy w okolicy rozlegały się strzały, coraz bliżej i bliżej. Każda ze stron narastającego konfliktu postrzegała przeciwnika jako bezosobowy byt, coś w rodzaju wirusa, który niszczy społeczeństwo i powinien być z niego wyeliminowany. Prawicowe i lewicowe bojówki samozwańczo stawały ponad prawem, uprowadzano przeciwników z domów,

a ciała grzebano w nieoznakowanych grobach wśród gór i lasów.

Nierzadko motywy polityczne stanowiły przykrywkę dla rozgrywek osobistych czy rodzinnej wendety. Ataki ze strony prawicy dosięgały przede wszystkim tych, którzy w 1934 roku napadali na księży i fabrykantów – a więc zagrożeni byli liderzy związkowi, znani antyklerykałowie oraz kilku burmistrzów o sympatiach republikańskich. A jednak mechanicy, rzeźnicy, lekarze, pracownicy budowlani, robotnicy i fryzjerzy też czasem „podpadali”, jak to się mówiło. I nie chodziło tylko o mężczyzn. Pewna grupa kobiet, które w czasach republiki zostały nauczycielkami, teraz straciły pracę, gdyż były żonami znanych anarchistów. Działania takie były oczywiście bezprawne, ale nieuniknione, gdy do głosu dochodziły nienawiść i walka o władzę.

Natomiast lewicowi bojownicy – pomimo wszechobecnych w Maladze plakatów wzywających ich do porzucenia brutalnych metod i nieprzynoszenia wstydu macierzystym organizacjom politycznym i związkowym – zwalczali emerytowanych członków gwardii cywilnej, sympatyków Kościoła katolickiego, ludzi zamożnych i takich, których sami uznali za bogatych. Plądrowali domy, niszczyli dobytek... Właśnie tego najbardziej bali się przedstawiciele klasy średniej, nie tego, że padną ofiarą strzelaniny.

Schlossowie nie lękali się o swój los. Byli przekonani, że jako obcokrajowcy są bezpieczni. Nie mieli nic wspólnego z konfliktem. Śmierć zbierała żniwo poza wioską, gdzie mieszkali, poza ich okręgiem administracyjnym i nie na oczach świadków. Akty przemocy na terenach wiejskich – zarówno grabieże, jak i morderstwa – były skrywane, lecz wszyscy o nich wiedzieli. Nie widząc ich, łatwiej się żyło. Oliwia nie mogła się wprost nadziwić, że udawało jej się jakoś egzystować tuż obok tego wszystkiego. Wiedziała dokładnie, co się dzieje wokół niej, a jednak nie chciała wyjeżdżać.

Już dawno przestała słuchać BBC – wcześniej liczyła, że znajdzie tam wiarygodne informacje, ale to, co nadawano, stanowiło nieprawdopodobnie brzmiącą mieszankę doniesień z Madrytu i Sewilli, połączonych i zredagowanych w Londynie. Z drugiej strony, radiostacje republikańskie nadawały jedną wielką serię tryumfalnych przemówień, które nie znajdowały potwierdzenia w bieżących wydarzeniach. Częstotliwość, na jakiej nadawała Granada, często zanikała, więc nie dało się zrozumieć ani słowa, podobnie zresztą było z programami z miast północy, bo fale nie mogły przedostać się

przez góry w południowej części kraju.

Miasto Malaga bez przerwy nadawało sprostowania, plotki i bajki oraz republikańskie wezwania do obrony, podjęcia trudu budowania nowej Hiszpanii, wolnej od faszystów. Po drugiej stronie barykady radio Sewilla stosowało agresywną retorykę nacjonalistyczną. Za dnia nadawano muzykę i ogłoszenia drobne, jakby wokół nie toczył się żaden konflikt. Nocą natomiast powstańcy przekazywali własne doniesienia i choć były pełne patosu i buńczucznych wypowiedzi, to jednak Oliwia umiała dzięki nim wydedukować, jak zmienia się sytuacja jej przybranej ojczyzny. Słuchała, jak generał Queipo de Llano, którego pierwsze oświadczenie nadano z Sewilli, dowodził obrazowo, że Hiszpanię toczy rak, a zdrajców trzeba brutalnie eliminować.

Wszyscy żyli pod wielką presją, ale zdarzały się też wzruszające przykłady niebywałego bohaterstwa. Teresa opowiadała o księdzu z sąsiedniej wioski, który na terenie swojej parafii zapobiegł rozstrzelaniu przez falangę rodziny ateistów. Słyszała też historie o sympatykach lewicy, którzy wymusili na anarchistach odstąpienie od planów spalenia miejscowego kościoła, a nawet ukrywali prawicowo nastawionych sąsiadów w piecu chlebowym, dzięki czemu uniknęli oni pewnej śmierci z rąk radykałów.

Oliwia wraz z innymi chłoneła te opowieści, zauważając przy okazji, że większość słuchaczy nie opowiadała się po żadnej ze stron. Chcieli jedynie uniknąć najgorszego i żyć po swojemu z dala od krwawego teatru wojny domowej. Nawet w Arazuelo panowała jednak dziwna atmosfera. Odwiedzając wieś, widziała niepewność na twarzach ludzi, bo wszyscy zastanawiali się, kto stanie w czyjej obronie, gdy nadejdzie dzień wyrównywania rachunków.

Izaak kupił w Maladze strzelbę od działacza związkowego, który trudnił się kłusownictwem. Wzmocnił też zamek w drzwiach wejściowych, ale wiedział, że wszystko to nie ochroni go przed kimś, kto postanowi go dopaść za wszelką cenę. Coraz więcej ludzi, którymi interesowali się ludzie generała Franco, opuszczało wioskę, by szukać schronienia w górach lub wstąpić do oddziału organizowanego w Maladze przez komunistów. Ale Teresa nie uważała ani jednego, ani drugiego za dobre rozwiązanie. Chciała, by wyjechał.

– Myślę, że powinieneś wynieść się na północ – powiedziała. – Masz tu

zbyt wielu wrogów. Nie pasujesz do tego miejsca. Lewica nie ufa ci z powodu działalności ojca, a prawica dlatego, że jesteś jego nieślubnym synem.

Izaak przyjrzał się siostrze. Zastanowiła go surowość, jaką od niedawna widział w jej oczach.

– Ty też tutaj nie pasujesz, Tere – odparł.

– Ale to ty strzelałeś do Madonny i uczyłeś okolicznych chłopów, jakie mają prawa. I to ty...

– No dobrze. Ale czy myślisz, że oni zostawiają kobiety w spokoju? Powinnaś uciekać razem ze mną.

– Ja się stąd nie ruszę.

– Boże, jesteś uparta jak ci Schlossowie.

– Przecież oboje wiemy, dlaczego nie chcą wyjeżdżać. Powodem jesteś ty. Pomyśl, że tak naprawdę narażasz na niebezpieczeństwo ich wszystkich.

Brytyjski konsul z Malagi rozesłał listy do wszystkich poddanych Jej Królewskiej Mości, o których pobycie na tych terenach był poinformowany. Niepomniecznie zdziwiona Teresa wręczyła taki list Sarze. Po śniadaniu, dużo skromniejszym niż kiedyś, bo były kłopoty ze zdobyciem chleba, a i kozie mleko się kończyło, Schlossowie zaczęli się naradzać, czy powinni wyjechać.

Konsulat informował, że okręty wojskowe gotowe są ewakuować ich z Hiszpanii do Gibraltaru, a jeśli sobie życzą, to także dalej, aż do Anglii. Według wyjaśnień zawartych w liście czyhało tu na nich niebezpieczeństwo nie tyle ze strony prawicowych rebeliantów i ich zagranicznych sojuszników, co hiszpańskich środowisk radykalnej lewicy, czyli czerwonych, którzy, jak się obawiano, mogli wkrótce zacząć napadać na dzierżawione przez Brytyjczyków finki i konfiskować wszelkie mienie prywatne. Oliwia była przekonana, że powinni zostać.

– Nie możemy sobie ot tak po prostu wyjechać. Jaki byśmy dali przykład?

– *Liebling* – powiedział Harold. – Tu jest niebezpiecznie.

– Przecież sam bez przerwy jeździsz autem do Malagi. Jesteśmy obcokrajowcami. Nie zrobią nam krzywdy.

– Właśnie dlatego nas zaatakują – odparł Harold, wskazując na okólnik. – Tak mówi konsul.

– Oliwka ma rację – włączyła się Sara. – Wydaje mi się, że nie powinniśmy wyjeżdżać.

Harold spojrział na swoje panie z rozbawieniem.

– Więc obie chcecie zostać?

Sara wstała i podeszła do okna.

– Londyn to już dla nas zamknięty rozdział.

– Nie wiem, co o tym myśleć – powiedział Harold. – Nie dalej jak dwa miesiące temu głośno domagałyście się wyjazdu.

Sara puściła tę uwagę mimo uszu.

– Myślę, że jeśli sytuacja się choć trochę pogorszy, powinniśmy wyjechać, ale zaprosić Izaaka, by do nas dołączył – powiedział.

Kobiety spojrzały na niego.

– To mój obowiązek – wyjaśnił Harold. – On jest zbyt cenny.

– Izaak nie wyjedzie – powiedziała Sara. – Będzie walczył.

– Skąd ty to możesz wiedzieć?

– To oczywiste. On czuje się mocno związany z tą ziemią.

– I ja też – powiedziała Oliwia. Nie opuszczając sofy, sięgnęła po papierosa, których zapas był już na wyczerpaniu. Rodzice niezaoponowali. – Pan Robles nie jest tchórzem – powiedziała, wydmuchując kłęby dymu i patrząc na nich oboje. – Ale jeżeli planujecie go zabrać, to prawdę mówiąc, nie możecie zostawić tutaj Teresy.

– On już chyba niemal skończył *Rufinę*, co? – spytał Harold. – Wciąż próbuję podtrzymać zainteresowanie Peggy, ale nie mam od niej żadnych wiadomości.

– Nic o tym nie wiem, señor – powiedziała Teresa.

– Przeważnie wiesz wszystko, Tereso – powiedziała Sara.

– Już prawie skończył – wtrąciła Oliwia. – Niewiele mu zostało.

– Jak będziesz w Maladze, kochanie – odezwała się Sara – to kup flagę brytyjską.

– Co takiego?

– Chciałabym wywiesić flagę brytyjską. Żeby każdy drań, który tu przyjdzie nas zastrzelić, wiedział, że strzela do obywateli kraju, który pozostaje neutralny.

– Kwestia naszej neutralności jest dosyć wątpliwa, mamo – powiedziała Oliwia. – Zajrzałaś może do gazet?

– Wiesz przecież, Oliwio, że ich nie cierpię.

– Chyba że akurat piszą o tobie.

– Oliwko! – odezwał się ojciec ostrzegawczym tonem.

– Ona żyje złudzeniami. Nasz rząd zdecydował, że nie będzie się angażować. I francuski też. Twierdzą, że bronić republiki hiszpańskiej znaczy tyle, co stanąć po stronie bolszewików.

– Boją się, *Liebling* – odparł Harold. – Obawiają się rewolucji, tego, że rozleje się ona na Francję, a potem poprzez kanał dotrze na Regent Street, Strand i Pennine Way.

– Baldwin jest tak przerażony Hitlerem, że nic w tej sprawie nie robi.

– Wcale tak nie uważam – powiedział Harold. – Premier gra na czas, ale nie próbuje przypodobać się Niemcom.

– No a jak pan się powinien w tej sytuacji zachować, panie wiedeńczyku? – spytała Sara. – Lepiej byłoby dla ciebie i dla nas wszystkich, żebyśmy zostali w Hiszpanii.

Obraz *Rufina i lew* został ukończony. Oliwia nie namalowała już nic więcej. Nigdy wcześniej nie odczuwała takiej niechęci do pracy przy sztalugach i było jej z tym źle. Czuła się bezużyteczna i wystraszona swoją niemocą. Nie chciała łączyć tego stanu z brakiem zainteresowania ze strony Izaaka – usiłowała tworzyć niezależnie od niego i wszelkich innych zewnętrznych czynników poza natchnieniem – ale okazywało się to ponad jej siły. Błagała Izaaka, by zaprezentował Haroldowi nowy obraz, ale odmówił.

– Mam ważniejsze rzeczy na głowie – powiedział.

– Wystarczy, żebyś go zaniósł. Mój ojciec na niego czeka. Peggy Guggenheim czeka.

– Nawet jakby sam papież czekał, to co z tego? – warknął.

Oliwia poczuła, że *Rufina i lew* blokuje jej umysł. Obraz ten wciąż dawał jej do myślenia i to nie tylko na temat jej relacji z Izaakiem i Teresą, ale i wiru politycznych wydarzeń wokół. Paraliżował ją strach. Malowanie *Rufiny*... było dla niej rodzajem oczyszczenia. Teraz jednak chciała, by obraz zniknął już z jej życia. Skoro Izaak nie chciał się nim zająć, Oliwia poprosiła Teresę, by zniosła malowidło na dół i ustawiła w spiżarni, z dala od jej oczu.

Teresa odmówiła.

– Tam jest za zimno, señorita, obraz mógłby się uszkodzić – powiedziała.

– Ale gdy jest tutaj, nie mogę malować niczego innego.

– *Tranquila, señorita* – powiedziała Teresa. – Wszystko w swoim czasie.

– A jeśli taki czas nie nadejdzie? Jeśli te obrazy, które namalowałam, są ostatnie – i na tym koniec?

Pewnego wieczora na początku października Schlossowie zaprosili Izaaka na obiad. Przez cały czas milczał, a po posiłku Oliwia przyłapała go, jak w samotności wpatrywał się w mrok sadu. Wsunęła rękę w jego dłoń, ale ta pozostała sztywna, jakby martwa. Spróbowała wciągnąć go w rozmowę, tłumacząc, że dodatkowe pieniądze dla strony republikańskiej na pewno by się przydały, a najłatwiej byłoby je uzyskać, dostarczając Haroldowi *Rufinę i Iwa*.

– Sowieci obiecali nam broń – powiedział. – Znosi się na utratę Malagi. Możemy także stracić Madryt i połowę Katalonii, ale wygramy tę wojnę.

Nachyliła się i pocałowała go w policzek.

– Jesteś taki odważny – powiedziała.

Wydawało się, że w ogóle nie zauważył tego pocałunku. Rozdeptał obcasem niedopałek papierosa, znacząc werandę czarną smugą.

– Teresa uważa, że powinienem wyjechać na północ. Nasz ojciec wypowiada się coraz... głośniejszy w sprawie lewicy. Ja jestem częścią tego, co go powstrzymuje od podjęcia zdecydowanych kroków. Ale on jest ambitny. W takich czasach ambitnym ludziom dobrze idzie.

– Czy on może ci zrobić krzywdę, Izu?

– Nie zabrudzi sobie rąk. Te rzeczy ma już za sobą. Ale ktoś inny mógłby.

– Izaaku, nie.

– Znowu bombardują Malagę. Powinnaś wyjechać, Oliwio. Z całą rodziną.

– Ależ my tu zamieszkaliśmy na stałe.

– Pomyśl tylko, jeżeli zostaniesz, to może niczego więcej już nie namalujesz. Tylko dlatego, że chcesz być dzielna.

– Jeśli zginę, to nie będzie mi żal, że nie maluję. Poza tym od czasu ukończenia *Rufiny*... i tak niczego nie stworzyłam.

– Naprawdę? – Spojrzał na nią zdziwiony.

– Tak, i dlatego ciągle cię proszę. Wiem, że to egoistyczne, Izu, dobrze wiem.

– Czuję, że jest bliska łez. – Bez ciebie nie zrobię ani kroku.

Milczał, a ona odwróciła głowę w stronę pogrążonego w ciemności sadu.

– Wcale mnie nie potrzebujesz, Oliwio – powiedział w końcu. – Musisz

tylko chwycić za pędzel. Dlaczego tak się upierasz przy tym, żebyśmy oboje w tym uczestniczyli? Czy po to, aby wina się rozłożyła, gdy nic z tego nie wyjdzie?

– Nie.

– Gdybym miał chociaż połowę twojego talentu, wcale bym się nie przejmował, kto mnie kocha, a kto nie.

Zaśmiała się oschle.

– Też tak myślałam. Ale ja chcę być szczęśliwa.

– Tobie szczęście przynosi malowanie. Przynajmniej na tyle cię poznałem. – Uśmiechnęła się. – Lubię cię, Oliwio – ciągnął Izaak. – Jesteś niezwykłą dziewczyną. Ale za wcześnie, żebyś podejmowała decyzje na całe życie.

– Wcale nie jestem młoda. – Oliwia znowu powstrzymała cisnące się jej do oczu łzy. – Dlaczego ty i ja to nie może być coś na całe życie?

Izaak machnął ręką w stronę ciemności.

– Wojna czy nie, i tak nie planowałam zostać tu na zawsze.

– Czy ty jesteś ślepy?

– A czego nie widzę?

– Tego, że cię kocham.

– Ty kochasz swoje wyobrażenie na mój temat.

– Na jedno wychodzi.

Milczeli.

– W pewnym momencie byłem ci potrzebny – powiedział w końcu. – To wszystko.

– O co chodzi, Izu? Co się zmieniło?

– Nic się nie zmieniło. – Zamknął oczy i jego ciałem wstrząsnął dreszcz. – Zawsze było tak samo.

Walnęła pięścią w poręcz werandy.

– Powinieneś chcieć być ze mną! Powinieneś...

Ich rozmowę przerwał stłumiony odgłos wybuchu po przeciwnej stronie doliny.

– Co to było, do cholery? – mruknął Izaak, wpatrując się w horyzont.

– Teresa mówiła, że znowu zaczęli bombardować mosty. Czy to prawda, że twój ojciec im pomaga?

Oczy Izaaka nagle tak pociemniały z gniewu, że aż zrobiła krok w tył.

– Muszę jechać do Malagi – powiedział.
– O północy? Co tam zdrałasz o tej porze?
– Więcej, niż stojąc tutaj.
– Więc to już wszystko? Koniec z nami?
– Zawsze mieliśmy inne zapatrywania na rzeczywistość. Wiesz o tym doskonale.

– A co mam zrobić z tym obrazem?
– Daj go swojemu ojcu. Ja muszę się zająć moim.
– Co chcesz przez to powiedzieć? Nie zrezygnuję...
– Mieszasz różne rzeczy, Oliwio. Poddajesz się frustracji, nie możesz malować...

Ujęła go za ramiona.

– Bo ja cię potrzebuję. Bez ciebie nie potrafię malować.
– Zanim się pojawiłem, także malowałaś.
– Izaaku, nie porzucaj mnie, proszę.
– Żegnaj, Oliwio.
– Nie!

Izaak zszedł z werandy i ruszył w stronę sadu. Odwrócił się plecami do domu, a jego twarz częściowo oświetlał księżyc. Oliwia wyczuła, że ktoś stanął za nią w drzwiach kuchni.

– Dokąd on idzie? – spytała Sara.
– *Suerte* – rzucił Izaak przez ramię, zanim zniknął wśród drzew.
– Co to znaczy? – dopytywała się Sara.

Po policzkach Oliwii płynęły łzy, ale nie chciała, by zobaczyła je matka.

– Nieważne.

– Oliwio, co on powiedział?

Oliwia spojrzała na Sarę. Uderzył ją wyraz zatroskania na jej twarzy.

– Nic takiego, mamie – wyjaśniła. – Po prostu: „powodzenia”

Kilka godzin po odejściu Izaaka, który wymknął się w ciemność, pozostawiając panie Schloss własnemu losowi, finka Don Alfonsa stała się celem ostrzału. Nieco później pociski dosięgły kościoła Świętej Rufiny w centrum Arazuelo. Ludzie opowiadali potem, że widzieli, jak skąpo odziany Padre Lorenzo uciekał z płonącego budynku na główny plac, a w ślad za nim biegła naga kobieta. Inni twierdzili, że nie było żadnej kobiety, tylko ksiądz w białej koszuli nocnej, pod którą było widać wyraźne wybrzuszenie w miejscu intymnej części jego ciała. Jeszcze inni gotowi byli przysięgać na Pismo Święte, że owszem, widzieli tam kobietę, ale była to święta Rufina we własnej osobie, która uciekała przed zalewem bezbożności i wkrótce wzniosła się ku niebu.

Z całą pewnością mieszkańcy Arazuelo mogli potwierdzić tylko to, że gdy nastał świt, z kościoła został kikut, a dom Don Alfonsa zamienił się w osmaloną ruinę. Dym z palonego drewna unosił się w powietrzu i drażnił oczy tych, którzy usiłowali dopilnować swoich obowiązków. Po jakimś czasie cała wioska popadła w nieprzyjemne odrętwienie – było pewne, że taki atak na pewno spotka się z odwetem.

Gdy Teresa przybiegła bladym świtem i załomotała do drzwi finki, Oliwia od razu pomyślała, że wydarzyło się coś niedobrego.

– Izaak popełnił straszne głupstwo...

– Co zrobił? Gdzie on jest?

– Nie wiem. – Teresa wyglądała na wstrząśniętą. – Ale kościół zniknął z powierzchni ziemi.

– Zniknął? Jak to zniknął?

– Został ostrzelany. Dom mojego ojca też.

– Boże drogi. Wchodź, Tereso.

Po jakichś dwóch godzinach pojawił się Don Alfonso. Jego do niedawna szykowny garnitur był teraz cały osmalony. On także załomotał do drzwi finki. Tymczasem w pokoiku na poddaszu Teresa usiadła skulona obok Oliwii.

– Wszystko będzie dobrze – szepnęła jej Oliwia.

Teresa chwyciła ją za przegub dłoni.

– Nie, señorita. Nic nie rozumiesz.

Harold wpuścił Don Alfonsa. Mocno podenerwowani, udali się do saloniku po wschodniej stronie domu. Oliwia zeszła na dół po cichu, by ich podglądać przez szparę w drzwiach.

– Słyszał pan, co się wydarzyło? – powiedział Don Alfonso.

– Słyszałem.

– Wieści szybko się rozchodzą. To skandal. Mogłem zginąć. Moja żona, moje dzieci... Wszyscy przeżyliśmy tylko dzięki temu, że córka Klara cierpi na bezsenność. W ataku maczało palce moich trzech stajennych, lokajczyk i pomywacz. Już ich dopadłem, señor Schloss, wszyscy siedzą w więzieniu, a kara ich nie minie. I wiesz pan, co zeznali? Że zostali opłaceni przez Izaaka Roblesa. Skąd on wziął pieniądze, żeby wynająć pomagierów? Na pewno nie ode mnie. Dopóki nie znajdę tego mojego bękarta, nie poznam prawdy. Wie pan może, gdzie on się podziewa, señor?

– Nie.

– Ale wie pan, że moja finka spłonęła.

– Nie ma go po prostu w domu?

– Posłałem tam Jorge i Gregoria. Znaleźli tylko to.

Don Alfonso uniósł w górę stary numer magazynu „Vogue”

– Własność pana żony, jeśli się nie mylę.

Przez oblicze Harolda przemknął skurcz zdziwienia, ale szybko się opanował i przybrał spokojną minę.

– Ona daje te magazyny Teresie.

– Mój syn wypuścił na wolność trzydzieści moich pełnokrwistych koni, señor. Spalił moje stajnie. Puścił z dymem kościół Lorenza.

– Niechże pan siądzie, Don Alfonso, proszę. To poważne zarzuty.

– Wydali go jego wspólnicy. To istny diabeł, señor.

– Pozwolę sobie mieć odmienne zdanie – odparł Harold, nie kryjąc już irytacji. – Don Alfonso, pański syn nie ma czasu na takie gierki. To utalentowany człowiek.

– Utalentowany? – Teraz z kolei zdziwił się Don Alfonso.

– A widział pan kiedyś jego dzieła?

– Co takiego?

Zanim Harold zdołał cokolwiek wyjaśnić, do pokoju wpadła Oliwia. Obaj

mężczyźni niemal podskoczyli, jakby ktoś ich złapał na gorącym uczynku.

– Idź na górę! – rzucił Harold surowym tonem.

– Nie.

Zaraz za plecami Oliwii pojawiła się Sara.

– Co tu się dzieje? – spytała. Jej wzrok padł na Don Alfonsa.

Natychmiast pobladła. – Czy on nie żyje? – wyszeptała. – Czy pan Robles nie żyje?

– Nie przesadzaj, Saro – odparł Harold z nieskrywanym zdenerwowaniem.

Don Alfonso uklonił się Sarze.

– Czy jest tutaj Teresa? – spytał.

– Na górze – odparła Sara.

– Mamo – powiedziała Oliwia. – Nie.

– Proszę ją tu przyprowadzić – powiedział Alfonso.

– Nie – powtórzyła Oliwia. – Nie dostanie jej pan w swoje ręce.

– Oliwko, nie wygłupiaj się – rzucił Harold. – Zachowuj się kulturalnie.

– Kulturalnie?

– Idź i przyprowadź Teresę.

Oliwia poszła na górę, ale Teresy tam nie było. Kręciła się chwilę, grając na zwłokę, udawała, że jej szuka, a w duchu miała nadzieję, że Teresa zaszyła się w bezpiecznym miejscu. Po jakimś czasie wróciła na dół pewnym krokiem i weszła do saloniku. Don Alfonso zmrużył oczy, widząc, że zjawiała się w pokoju sama.

– Pani ją ukrywa, señorita? – spytał. – Wiem, że uważa się pani za jej przyjaciółkę.

– Nikogo nie ukrywam.

Zwrócił się do rodziców Oliwii:

– Ukrywanie ich będzie dla państwa niekorzystne. Izaak jest poszukiwany za kradzież, podpalenie, uszkodzenie mienia i usiłowanie zabójstwa...

– Na miłość boską – przerwał mu Harold. – Nie ukrywamy tu pańskich dzieci.

– Nie są już moimi dziećmi. A wy powinniście wyjechać – oświadczył Don Alfonso. – Opuśćcie to miejsce.

– Wręcz przeciwnie – odparł Harold. – Jestem przekonany, że powinniśmy chronić tych, którym pan ochrony nie potrafi zapewnić. Zaczynam pana lepiej

rozumieć.

Alfonso wybuchnął śmiechem.

– Ach, wy obcokrajowcy. Wszyscyście tacy sami. Myśli pan, że chronicie Izaaka i Teresę? To oni będą musieli chronić was. A uważa pan, że się na to zdobędą? Że jesteście pod jakimś zaczarowanym baldachimem i wasza służąca do spółki z ogrodnikiem was obronią?

– Teresa jest naszą służącą, zgadza się, i to bardzo dobrą, ale Izaak to nie żaden ogrodnik. Nie ma pan nawet pojęcia, jakie pański syn ma...

– Znam go lepiej niż pan. I czym on pana obroni, señor? Rondlem? Ci degeneraci, z którymi się skumał, prędzej wbiją panu gracę prosto w serce i uciekną do czerwonych.

Gdy wkrótce potem Don Alfonso odjechał samochodem, Oliwia wybiegła przez pokrytą rdzą bramę finki, pognąła ścieżką w dół, prosto do wioski – gdy tam dotarła, ledwo łapała dech i bolały ją nogi – a potem znowu pod górkę, do domu Izaaka i Teresy. Nie zastała ich, ale Jorge i Gregorio zdążyli już wszystko przetrząsnąć. Zauważyła, że dom jest bardzo skromny, dużo skromniejszy, niż jej się wcześniej wydawało.

Kiedyś wyobraźnia podpowiadała jej, że to idylliczna samotnia, wprost wymarzona, by oddawać się przemysłeniom i malować. Teraz nie chciała zostać tu ani chwili dłużej.

W pokoju Izaaka stały tylko niezastane łóżko i słój zwiędłych róż na parapecie. Skromny dobytek Teresy leżał na podłodze. Oliwia ze zdziwieniem zauważyła swoją starą tubę po farbie – kiedyś była w niej zieleń w odcieniu koników polnych, której używała, malując *Sad*. Zobaczyła też korek od szampana Veuve Clicquot i wiele jeszcze dziwniejszych rzeczy, jak choćby kwadratowy kawałek materiału z piżamy jej ojca. Zauważyła zmiętą paczkę po papierosach Harolda, a kiedy ją podniosła, okazało się, że w środku było kilka niedopałków noszących na ustnikach ślady charakterystycznej szminki, której używała jej matka. Na podłodze leżały także luźne kartki wyrwane z zeszytu ze starannie zapisanymi wyrażeniami po angielsku: *palaver* – „zawracanie głowy”, *snaffle* – „ukraść, zwędzić”, *crass* – „prostacki”, *gosh* – „ojej”, *I'm starving* – „umieram z głodu”, *ghastly* – „koszmarny”, *selfish* – „samolubny”. Przy każdym widniał hiszpański odpowiednik. Serce Oliwii zaczęło mocniej bić. Gdy zobaczyła te zapisane strzępki rozmów, notatki

utrwalające różne zwroty, najprawdopodobniej pochodzące z codziennej wymiany zdań pomiędzy rodzicami – poczuła zimne ukłucie na myśl, jak słabo zna swoją przyjaciółkę.

Trzasnęły drzwi wejściowe. Oliwia dostała gęsiej skórki. Ponieważ nie usłyszała kroków, wytłumaczyła sobie, że to wiatr. Ale odgłos ten zaniepokoił ją – oczami wyobraźni zobaczyła wilka, który zakradł się tu od strony gór. Już miała wyjść z pokoju Teresy, gdy zobaczyła na podłodze fotografię. Była na niej ona sama w towarzystwie Izaaka, przed obrazem *Rufina i lew*. Oliwia uśmiechała się, a Izaak pozował z lekko uniesionymi brwiami. Oliwia nie widziała tej fotografii wcześniej. Bez zastanowienia schowała ją głęboko w kieszeni.

Gdy wyszła z powrotem na korytarz, zauważyła oparty o ścianę portret autorstwa Izaaka. Teresa na pewno go tu przyniosła, by nikt się na niego nie natknął w fince. Wyidealizowane twarze – jej i jej matki – zdawały się wychodzić z płótna, a Oliwię ponownie poraziły ich sztuczność i upiorny brak wyrazu.

Wyszła przed dom, by spojrzeć na góry. W powietrzu unosiły się jeszcze blade obłoki dymu, które przypominały o skutkach pożarów.

Izaak dobrze znał te góry, o wiele lepiej niż Don Alfonso. Wiedział, gdzie się ukryć, ale Teresa nie miała tyle czasu na zorganizowanie sobie kryjówki. Zbliżało się coś okropnego, Oliwia to czuła. I nie mogła tego w żaden sposób powstrzymać.

– Tereso? – zawołała w stronę wzgórza, a echo powtórzyło jej głos. – Tereso?! – krzyknęła ponownie, czując narastającą panikę. Ale wzgórza znów odpowiedziały tylko echem.

Gdy uciekała w stronę lasu, na skraju wioski zauważył ją Jorge. Razem z Gregoriem wyszedł na łowy i tylko przez przypadek obrócił głowę w tę właśnie stronę: mignięcie smukłej, śniadej nogi, błysk czarnego warkocza. To, co zdarzyło się potem, odmieniło Arazuelo na zawsze, choć podobno wioska pozostawała niezmienna od zawsze. Trauma po tym wydarzeniu trwała latami, obojętne, jak bardzo starali się milczeć naoczni świadkowie.

Gdyby był od niej trochę dalej, straciłby jej ślad. Teresa była bardzo zwinna, a on sporo ważył. Ale do spółki z Gregoriem jakoś wytropił ją wśród drzew. Kiedy Jorge wypalił w powietrze, odwróciła się gwałtownie w jego stronę, a wtedy Gregorio złapał ją od tyłu.

Kopała i krzyczała, ale Gregorio nie puszczał.

– Gdzie on jest?! – krzyczał Jorge, brnąc przez paprociowe zarośla.

– O co ci chodzi? Puszczaj!

Teresa czuła się tak, jakby serce kawałek po kawałeczku podchodziło jej do gardła i uniemożliwiała poruszanie językiem.

– Gdzie jest twój brat?

– Nie wiem!

Jorge zbliżył się, przysunął twarz do jej twarzy. Wyczuła w jego oddechu kwaśną woń dawno wypitego alkoholu.

– Daj spokój, Teresa, ty wszystko wiesz, szchwana dziewucho. Gdzie jest twój brat, do cholery?

– Nie wiem – powtórzyła.

– Przywiąż ją do drzewa – rzucił Jorge, ale Gregorio zawahał się. – Nie słyszałeś? Wykonaj!

Gregorio ani drgnął.

– Nie wiem, gdzie on jest, Jorge, przysięgam – powiedziała Teresa, wyczuwając swoją szansę. – Myślisz, że by mi powiedział? Nikt mi nigdy nic nie mówi...

– Twój brat zeszłej nocy puścił z dymem pół wioski. Jak go tylko złapiemy, to po nim. A ty nam w tym pomożesz.

Zaczął ciągnąć Teresę za warkocz w stronę drzewa.

– Znasz się z Izaakiem od lat szkolnych – powiedziała, krzywiąc się z bólu, który przeszył jej czaszkę. – Dwadzieścia lat był twoim przyjacielem. Jak teraz matka będzie mogła spojrzeć ci w oczy? – syknęła.

– Ja to przynajmniej mam matkę – wypalił Jorge.

– Cały drzysz, Gregorio – Teresa zwróciła się do łagodniejszego z oprawców, bo wyczuła jego wahanie, choć ze strachu niemal odchodziła od zmysłów.

– Jorge – powiedział Gregorio. – Powinniśmy zabrać ją na posterunek.

– Zamknij się – rzucił Jorge.

– Naprawdę. Ja jej nie będę wiązał do drzewa. Don Alfonso takich rzeczy nie kazał robić. Ładujmy ją do ciężarówki.

Jorge w końcu ustąpił i w ten sposób Teresa trafiła do celi w siedzibie gwardii cywilnej, gdzie całą noc nie powiedziała ani słowa.

– Uważaj, żeby ze sobą nie skończyła – warknął Jorge. – Jak kiedyś jej matka.

– Co ty gadasz? – spytał Gregorio.

– Tylko nie mów, że nic nie wiedziałeś. Jej matka się utopiła.

Prawdopodobnie nie chciało jej się wychowywać tego zasrańca – dodał, zwracając się w stronę zawilgoconego korytarza na tyle głośno, by usłyszała go Teresa.

Teresa aż do rana prawie nie zmrużyła oka. Drżała na całym ciele, ponieważ miała cienkie ubranie, a nie dostała koca, ale przede wszystkim dlatego, że nie pojawił się nikt z finki, by z nią porozmawiać. Gdy w środku nocy patrzyła w zakratowane okno nad głową, rozpamiętywała okrutne słowa, które wypowiedział Jorge, i powtarzała sobie, że lada moment zjawi się Oliwia, wywoła jej imię i zażąda, by ci brutalnie ją wypuścili. Teresa musiała w to wierzyć, bo gdyby zwątpiła, pozostałyby jej tylko myśli o plutonie egzekucyjnym. Ale Oliwia nie przyszła, nie zjawił się także Harold, a jego by pewnie szybciej posłuchali. Gdy zaczęło świtać, Teresa pomyślała: „Tak właściwie, to po co mieliby przychodzić?”. Cieszyła się, że nikt nie widzi, jak bardzo bolała ją zawiedziona nadzieja.

Jorge i Gregorio weszli do jej celi o ósmej rano. Usiadła wyprostowana na łożku, przyciskając plecy do ściany tak mocno, że każdy krąg przywarł do zimnego kamienia.

– Wstawać – rozkazał Jorge.

Wstała, a on podszedł do niej.

– Pytam ostatni raz, Tereso. Gdzie jest twój brat?

– Nie wie...

Zdzielił ją w twarz, aż głowa dziewczyny odskoczyła w tył i uderzyła o ścianę.

– Pytam, gdzie on jest?

Teresa zaczęła krzyżeć, a Jorge znów ją uderzył. Zanim straciła przytomność, dotarł do niej jeszcze krzyk Gregoria. Ocknęła się z zawiązanymi oczami, gdy ciężarówka, na którą znów ją wrzucono, zaczęła podskakiwać na wybojach. W ustach miała metaliczny smak krwi i wybity ząb.

Odwróciła głowę w stronę otworu w plandece, mając nadzieję, że zorientuje się, dokąd ją wiozą, ale na próżno. Bolała ją szyja, a w czaszce łupało. Opaska została zawiązana tak mocno, że wciskała jej oczy w głąb oczodołów. Czuła zapach potu i czyjejs krwi. Czy to już? W głębi serca i w nocnych koszmarach bała się tej chwili. Strzelą jej w głowę, na tyłach jakiegoś budynku, pięćdziesiąt kilometrów od domu. I kto odczuje, że jej nie ma? Kto okryje się żałobą?

Ciężarówka stanęła. Teresa usłyszała, że mężczyźni wyskakują z szoferki i otwierają tylną burtę.

– Nie strzelajcie. Nie strzelajcie – błagała, dziwiąc się skrzekliwemu tonowi swojego głosu, niezrozumiałej chęci przeżycia i gotowości do poniżających próśb, byle tylko ją oszczędzili. Byle tylko przeżyć. – Gregorio. Proszę, proszę. Oszczędź mnie.

Ale Gregorio nie powiedział ani słowa. Jakaś ręka podtrzymała ją, pomogła zrobić kilka kroków i pchnęła na krzesło. Teresa usłyszała chrzęst oddalających się na żwirze kroków. Posadzono ją pod słońce. Poczwała jego ciepło na twarzy, a w zakrytych opaską, zamkniętych oczach pojawiła się pomarańczowa, złotawa poświata. „To już koniec”, pomyślała.

– Oliwio – wyszeptała. – Oliwio.

Powtarzała to imię, gdy zdjęto jej opaskę. Nastała cisza, a potem dotarł do niej odgłos skrzydeł kilku przelatujących ptaków. Teresa mrugała oczami, próbując przyzwyczaić się do światła. Ze zdziwieniem zobaczyła, że po prawej stronie stoi Oliwia, której głowę otacza złota aureola blasku widoczna na tle białych prostokątów budynków.

– Czy ja umarłam? – spytała Teresa.

– Nie – odpowiedział męski głos.

Teresa dostrzegła teraz, że siedzi na głównym placu wioski, zwrócona twarzą ku osmalonemu kikutowi kościoła. Zaczęli się schodzić mieszkańcy, ale gdy zwracała ku nim głowę, czmychali jak ławica ryb. Spróbowała wstać i podejść do Oliwii. Zrobiła krok, wyciągając rękę, ale Gregorio pchnął ją z powrotem na krzesło.

Jorge machnął pistoletem w stronę zgromadzonych mieszkańców.

– Cofnąć się! – zagrział, ale Oliwia nie ruszyła się z miejsca.

– Co z nią zrobicie?! – krzyknęła po hiszpańsku. – Co zrobicie?

– Zamknij się! – ryknął Jorge, podszedł do ciężarówki i wziął coś z siedzenia pasażera. Podszedł z powrotem do Teresy, trzymając ręce na biodrach i począł jej się przyglądać. Obszedł dziewczynę dookoła, po czym wziął do ręki jej warkocz. Zaczął go ważyć w dłoni, jak biedna wdowa na targu, która sprawdza wybrany towar. W drugiej ręce miał duże nożyce, używane przez ogrodników do przycinania roślin.

– Będę uczciwy – powiedział, trzymając ją za warkocz, który owinął sobie wokół dłoni. – Będę go powoli rozplątywał i zapytam po raz ostatni o twojego brata. Jeżeli nam pomożesz, oszczędzę twoje włosy.

Teresa zamarła w bezruchu jak kamień. Tylko jej warkocz, wijący się w dłoni Jorge, był jak żywa istota. Wzrok miała nieobecny, ciałem była na placu, ale w rzeczywistości jej tam nie było. Gdy Jorge pracowicie rozplątywał jej włosy, wcale mu nie przeszkadzała ani nie krzyczała – siedziała tylko i patrzyła w nicość. Absolutnie wyciszona i zadumana, nieomal jakby brała udział w tym spektaklu. Jedynie dłonie zaciskała z całych sił, aż zbieleły jej kłykcie.

– Nie rób tego – powiedziała Oliwia do mężczyzny. – Ona nie wie, gdzie on jest.

Jorge odwrócił się w jej stronę.

– Tak właśnie twierdzi.

Ciach! – odezwały się nożyce, a na ziemię opadł długi kosmyk czarnych włosów i spoczął w kurzu jak wąż. Nie rozległ się nawet szmer, wszyscy wstrzymali oddech.

– Señorita – odezwał się Gregorio do Oliwii. – To nie pani sprawa.

– Nie zróbcie jej krzywdy – powiedziała Oliwia. – Pożałujecie. Czy jej ojciec wie, co robicie...?

– Jak się nie zamkniesz, będziesz następna! – wrzasnął Jorge, unosząc ponownie nożyce. – Gdzie jest twój brat? – zapytał Teresę, ale ona dalej milczała. Jorge zaczął odcinać kolejny pukiel.

„Powiedz coś, Tere – myślała Oliwia. – Cokolwiek, skłam”

Ale Teresa milczała ze wzrokiem utkwionym w wypalonych ruinach kościoła. Oliwii zdawało się, że czuje na szyi osuwające się kosmyki włosów. Teresa ani drgnęła, ale Oliwia dostrzegła w jej oczach strach, przebijający się przez obojętne spojrzenie.

– Gdzie on jest? – padło pytanie. I jeszcze raz, i jeszcze. Teresa milczała, więc Jorge dalej ciął, dotykając już niemal skóry czaszki, której owal zaczął prześwitywać między włosami.

– Wyglądasz jak włośchaty grzyb – zaśmiał się Jorge. Nikt z mieszkańców nie przyłączył się do niego, ale i nikt nie spróbował przerwać spektaklu.

– Tereso! – krzyknęła Oliwia. – Jestem tutaj.

– I strasznie jej pomogłaś – rzucił Gregorio.

Gdy już cała czupryna Teresy leżała na ziemi, Jorge wyjął z kieszeni brzytwę.

– Co ty robisz? – syknął Gregorio. – Już jej wystarczy.

– Chyba jeszcze nie – odparł Jorge, przykładając ostrze do czubka głowy Teresy. Zaczął golić pozostałe jeszcze kępki włosów, aż ukazała się całkowita łysina, starożytna oznaka poniżenia. Jak z biblijnych, krwawych czasów.

– Tak to się właśnie dzieje – powiedział Jorge, unosząc w górę brzytwę – gdy ktoś ukrywa informacje na temat poszukiwanego przestępcy i odmawia współpracy z przedstawicielem prawa.

– Prawa? – spytała Oliwia.

Mieszkańcy wioski stali bez ruchu. Głowę Teresy pokryły strużki krwi, które pojawiły się w miejscach przecięcia skóry. Jorge uniósł Teresę z krzesła, poruszała się jak pacynka.

– A teraz zdejmij sukienkę i bluzkę – powiedział.

– Przestań! – krzyknęła kobieta stojąca obok Oliwii. Jorge podszedł do niej.

– Zapisujesz się do kolejki, Rosita? – spytał. – Też masz ochotę wyglądać jak grzybek? Bo jak bardzo chcesz, to proszę bardzo.

Rosita cofnęła się, potrząsając głową z grymasem strachu na twarzy.

Teresa powoli zsunęła sukienkę i bluzkę, ukazując swe szczupłe ciało w bieliźnie. Oliwia chciała ją zabrać, ale wystraszyła się, że nagły ruch, podbiegnięcie do Teresy, może pogorszyć sytuację. Jorge wyglądał na całkiem zaślepionego, ale nawet bierny Gregorio mógł się przecież okazać równie groźny.

Gregorio przyniósł z ciężarówki workowatą sukienkę wyglądającą tak, jakby ją uszyto w szesnastym wieku i butelkę, której zawartości Oliwia nie potrafiła się domyślić. Zarzucił sukienkę na Teresę i pomógł jej się ubrać, bo z trudem przeciskała ręce przez ciężkie rękawy.

– Zdejmuj buty, Tereso – powiedział jak ojciec do dziecka, a gdy dziewczyna go posłuchała, poczuła straszny ból.

Palce Teresy poczęły zmagać się z zasupłanymi sznurówkami.

Gregorio zniecierpliwiał się i rozciął je scyzorykiem. I właśnie to – nie golenie i nie rozbieranie, lecz właśnie uszkodzenie jej sfatygowanych, ale starannie wyczyszczonych butów – obudziło w niej wściekłość. Jej jedyne buty zamieniły się w kawałki skóry porzucone w piasku.

Krzyknęła i padła na ziemię.

– Wstawaj! – wrzasnął Jorge, ale dziewczyna ani drgnęła. Jorge rzucił w nią butelką. – Taki jest los zdrajców!

– Kto tu jest zdrajcą? – spytała Teresa zachrypłym głosem.

– Chcesz, żebym ci to osobiście wlał do gardła?

Teresa potrząsnęła głową.

– Gregorio – zawołał Jorge. – Ty jej pomożesz.

Gregorio przyskoczył do Teresy, zanim zdążyła się przygotować. Odchylił jej ramiona do tyłu, a kolano wcisnął w dolną część pleców. Cały blady i spocony chwycił ją za żuchwę i siłą otworzył usta dziewczyny.

– Pij! – krzyknął. Teresa oniemiała ze strachu, a Jorge wcisnął jej do ust szyjkę butelki niemal bez trudu.

– Wypij to – syknął Gregorio. – Do dna.

Teresa tak zwróciła głowę, że Gregorio musiał spojrzeć jej w oczy. Cały czas na niego patrzyła, gdy zawartość butelki sączyła się do jej gardła. W tym momencie kilku mieszkańców wioski uciekło, bo wszystko to było już ponad ich siły.

Kiedy butelka była pusta, mężczyźni puścili Teresę wolno. Dziewczyna wymiotowała, struga oleju z jej ust pociekła na piasek.

– Kto by pomyślał, że mieszka wśród nas diabeł? – szepnął jakiś mężczyzna w pobliżu Oliwii.

– Idź do domu, Tereso – powiedział Jorge. – I postaraj się nie zesrać po drodze. Jeżeli nie znajdziemy go w ciągu kilku dni, możesz być pewna kolejnej wizyty.

Teresa wstała, zatoczyła się. Oliwia precyzyjnie się między gapiami, by wziąć ją pod ramię. Tym razem nikt jej nie przeszkodził. Teresa uwiesiła się na ramieniu przyjaciółki i we dwie pokuśtykały, zostawiając za sobą plac i rozstępujących się mieszkańców. Ludzie przepuszczali bez słowa tę wymiotującą, łysą istotę, która mogła w każdej chwili stracić panowanie nad jelitami z powodu wypitego oleju rycynowego.

Nikt się z niej nie naśmiewał, nawet odrobinę, w obecności Jorge i Gregoria. Nikt nie pisnął ani słówka, tak byli przerażeni. Patrzyli, jak dziewczęta wychodzą z wioski piaszczystą dróżką i kierują się w stronę finki. Patrzyli na nie, aż zniknęły z pola widzenia.

Jorge i Gregorio wsiedli do ciężarówki i gwałtownie ruszyli w przeciwnym kierunku. Plac pustoszał stopniowo, aż w końcu zostały na nim tylko wdeptane w żwir czarne kosmyki włosów Teresy.

Oliwia wykąpała Teresę i spaliła obmierzłą workowatą sukienkę. Ubrała przyjaciółkę we własny sweter z irlandzkiej wełny i niebieskie jedwabne spodnie Sary. Może chodziło o to, by piękny jedwab pomógł Teresie odgonić złe myśli, ale w rzeczywistości spowodował tylko dysonans przez zestawienie luksusowego stroju z wełnianym swetrem i łysą głową. Kiedy Harold wrócił z Malagi, Teresa, po zażyciu dwóch pigułek Sary, już mocno spała w sypialni na pierwszym piętrze.

Zanim Oliwia zdążyła zrelacjonować mu wydarzenia z głównego placu Arazuelo, Harold wyrzucił z siebie opis tego, co widział w Maladze. Był mocno wstrząśnięty. Drogi były w okropnym stanie, mówił. Od czasu zniszczenia dwóch mostów łączących centrum z resztą miasta nie podjęto żadnych prac naprawczych. Nazwał takie podejście perwersyjnym buddyzmem w hiszpańskim wydaniu. Wmawiać sobie „niech będzie, co ma być” to może i niezła postawa, ale nie kosztem czyjegoś życia. A brak mostów utrudniał nie tylko dostarczenie żywności dla mieszkańców, ale i ruchy wojsk.

Zaparkował na przedmieściu i do centrum dostał się piechotą, ale kiedy już w końcu tam dotarł, okazało się, że nie tak łatwo było zdobyć pożywienie. Absolutnie żadnych konserw, żadnego sera – żadnego sera! – ani pieczywa. Dostał kilogram cukru i tyle samo słabej kawy z żołądki, a także przydziałową porcję solonego dorsza, trochę świeżych sardynek, pudełko cygar i byle jaką kiełbasę chorizo. Według Harolda miasto zmieniło się nie do poznania. W miejsce porozwieszanych koszy z kwiatami pojawiły się ruiny zbombardowanych budynków i wyblakłe twarze ludzi, którzy stracili dach nad głową, a nawet stanęli w obliczu głodu. Chociaż hotele ciągle działały i były względnie bezpieczne, bo na noc zamykano je starannie i chroniono przed grasującymi gangami, to znaczna część miasta była teraz po prostu morzem dymiących ruin.

– Organizacja jest beznadziejna – powiedział. – Jedna wielka katastrofa, cholera jasna – wyrzucił z siebie, a żonę i córkę aż ciarki przeszły. I mówił to Harold, ktoś, kto stąd nie pochodził i kto mógł w dowolnym momencie po prostu wyjechać.

Opowiadał, że obcokrajowcy zostali zgromadzeni w hotelu Regina, ale większość z nich szykowała się do wyjazdu na pokładach drugiej grupy niszczycieli, o których wspomniano w liście z konsulatu. Widział, jak tłoczyli się w porcie z paszportami w dłoni, a kufry podróżne stały wokół jak kostki domina. Anglicy, Amerykanie, Argentyńczycy, Niemcy oraz Chilijczycy, a pomiędzy nimi grupka majątnych Hiszpanów.

– Podobno nadchodzi fala czerwonych, ale póki co nad głowami latają bombowce Mussoliniego – mówił. – Droga morska może się okazać jedynym sposobem zapewnienia zaopatrzenia w żywność. Bez mostów zupełnie nie wyobrażam tam sobie życia.

– Mieszkamy zbyt daleko od morza, żeby liczyć na takie rozwiązanie – rzuciła Sara, a potem zaniósła do spiżarni chorizo i sardynki. – Kupiłeś flagę, jak prosiłam? – zawołała.

– Czy do ciebie cokolwiek dociera?! – krzyknął w odpowiedzi. – Przecież mówiłem o nalotach i ostrzale miasta z włoskich kanonierek. Naprawdę myślisz, że w takich warunkach ktoś sprzedaje brytyjskie flagi?

Oliwia nabrała wkrótce przekonania, że to nie opowieści o trudach życia w Maladze, tylko historia Teresy zmieniła myślenie jej rodziców. Obecność dziewczyny w pokoju na pierwszym piętrze była jak wyrzut sumienia powodujący poczucie winy, które ogarniało cały dom. Sara nie wiedziała, co z nią zrobić, skrapiała ją perfumami, podsuwała kolejne numery „Vougue’a” i „Harpera”.. Ale Teresa nie odzywała się na widok tych podarunków, mierzyła tylko Sarę ponurym spojrzeniem. W tej sytuacji Sara zaczęła Teresy unikać, bojąc się jej zmiennych nastrojów. Harold wtaszczył na piętro gramofon, ale Teresa nie odtworzyła ani jednej z jego trzeszczących płyt jazzowych.

Trzeciego dnia pobytu w fince Teresa dostała gorączki. Leżała w łóżku i bez przerwy mamrotała: *Bist du es? Bist du es?*, a Oliwia ocierała jej czoło i w myślach błagała doktora, by zechciał się do nich pofatygować. Oliwia poprosiła Sarę o pomoc, ale ta nie zareagowała. Teresa leżała z nieruchomą, opuchniętą twarzą i zamkniętymi oczami, a skórę miała bladą i lepłą jak obrane ze skorupki jajko.

Od Izaaka nie było żadnych wieści. Każdego wieczora któryś z właścicieli barów w Arazuelo odwracał ustawione na pełny regulator radio w stronę lasu, aby ci, którzy się tam ukrywają, mogli poznać rozwój wypadków.

Generał Queipo de Llano wciąż nadawał z Sewilli i zapewniał słuchaczy, że ma pod swoją komendą pięćdziesiąt tysięcy włoskich żołnierzy, trzy *banderas* Legionu i piętnaście tysięcy północnoafrykańskich tubylców znanych jako Armia Afrykańska, a wszystkie te siły przygotowują się do zajęcia Malagi. Słyszając te doniesienia, Oliwia drżała, ale pocieszała ją świadomość, że Izaak jest gdzieś niedaleko i także tego słucha. Nie chciała, by wyjeżdżał na północ, pragnęła mieć go blisko.

Gorączka Teresy opadła, ale dziewczyna leżała jeszcze przez kilka dni na wznak w milczeniu. Nasłuchując nocami ryku bombowców, Oliwia słyszała też, jak Teresa kręci się po korytarzach, a tupot jej bosych nóg był jak katharsis – tylko czego ona właściwie szukała? Może czuwała w oczekiwaniu na powrót brata? Ale niby dlaczego miałaby się nim przejmować, skoro to właśnie on był powodem jej poniżenia? Oliwia przypomniała sobie gniewny okrzyk Teresy na placu Arazuelo, jej bezradne spojrzenie, a potem przerażenie, gdy obezwładnił ją Gregorio. Zastanawiała się, czy Teresa wie cokolwiek na temat kryjówki Izaaka.

Ale Teresa nie mogła poradzić sobie z brzemieniem publicznej hańby i całe dnie leżała na łóżku w pozycji embrionalnej, twarzą do ściany. Nie chciała nikogo widzieć. Nikt ze Schlossów nie wiedział, jak przezwyciężyć tę traumę. Oliwia budziła się o świcie i stała przed pustym płótnem, niezdolna unieść w dłoni pędzel. Nie mogła pozbyć się wspomnienia krzesła na głównym placu wioski, zabrudzonej kałem sukienki, połyskującej matowo głowy Teresy, jej stóp drepzczących po korytarzach finki. Kiedy zdała sobie sprawę, że może nie namaluje już nic więcej i nigdy nie zobaczy Izaaka, wpadła w przerażenie, zastanawiając się, która z tych dwóch możliwości bardziej ją dotyka. „W pewnym momencie byłem ci potrzebny”. Te słowa Izaaka nie dawały jej spokoju.

Dni mijały, a Oliwia wciąż czekała, aż pęknie skorupa ciszy oddzielająca Teresę od otoczenia. To milczenie najbardziej przerażało Harolda. Był przekonany, że ludzie powinni ze sobą rozmawiać, wyrażać swój ból. Rozsadzała go złość na myśl o zamkniętej w sobie dziewczynie, która leży gdzieś w jego domu. Ale Oliwia wiedziała, że zmiana nadchodzi, niemalże czuła w powietrzu moc rodzącą się z poniżenia Teresy, która miała wkrótce przełamać tamę zbudowaną u wejścia do sypialni.

Harold zapowiedział, że kiedy tylko Teresa poczuje się lepiej i wróci do swojego domu, oni natychmiast się pakują i wyjeżdżają na Gibraltar. Układając się do snu w łóżku na poddaszu, Oliwia z trudem mogła sobie wyobrazić chodnik z prawdziwego zdarzenia, zadbane park czy też kryte łupkową dachówką dachy domów przy Curzon Street i Baker Square, które dopiero co zrosił deszcz. Wyjazd do Londynu był jak przekroczenie granicy metafizycznej, nie tylko państwowej, i zastanawiała się, czy umiałaby, czy w ogóle chciałaby to zrobić. W Londynie mogłaby napotkać innego rodzaju duszące ograniczenia. W chwilach zupełnej szczerości wobec samej siebie Oliwia przyznawała, że mieszkanie w Arazuelo budzi w niej jakąś afirmację życia, podsycaną bliskością realnej śmierci.

Poczuła się odpowiedzialna za zniknięcie Izaaka. Był tak wzburzony, gdy tamtej nocy po rozmowie na werandzie ruszył w głąb mrocznego sadu, rzucając na odchodnym jedno słowo: „Powodzenia”. Jakżeż odległy zdawał się teraz dzień, kiedy przybyli do finki w nikłym styczniowym słońcu, i widok rąk Izaaka na kurczaku. Oliwia przypomniała sobie drastyczną dla niej scenę, gdy ukręcił ptakowi łeb. Izaak dał jej bardzo wiele. Czy w zamian zyskał poczucie spełnienia? Wydawało jej się, że nie. Kiedy próbowała przywołać dotyk jego dłoni, zorientowała się, że nie potrafi.

– Myślisz, że Izaak uciekł? – spytała Sara któregoś wieczora, kiedy siedziały w saloniku tylko we dwie. Harold zamknął się w gabinecie, a Teresa nie zeszła jeszcze z piętra.

Oliwia roztarła zziębnięte ramiona. Zapasy drewna opałowego się kurczyły i musieli postępować z nim oszczędnie.

– Sama nie wiem.

– A ja myślę, że tak – powiedziała Sara. – Na pewno złapał jakiś pociąg.

Oliwia zauważyła, że matka świetnie wygląda pomimo kłopotów z zaopatrzeniem i traumy Teresy, której ponury nastrój powinien był się udzielić pozostałym domownikom. Można by zaryzykować opinię, że trudna sytuacja obudziła w Sarze chęć działania.

– Chcesz wyjechać, Oliwko? – spytała Sara.

Oliwia pociągnęła nitkę sterczącą z wytartej sofy. Czyżby Izaak miał rację? Przyjechali i pewnego dnia sobie wyjadą?

– Nie – powiedziała. – Mój dom jest tutaj.

Późnym wieczorem Oliwia usłyszała stukanie do drzwi.

– Kto tam?

Teresa stanęła w drzwiach sypialni i zatrzymała się na progu. Była teraz szczuplejsza, a włosy trochę już odrosły, ale Oliwię ucieszyło przede wszystkim zdecydowane spojrzenie jej oczu.

– Wiesz, co mówi twój ojciec? – spytała Teresa.

– Wiele rzeczy mówi. – Oliwia opadła z powrotem na łóżko.

– Mówi o fatalizmie Hiszpanów.

– Nie zwracaj na to uwagi.

– On nie ma racji.

– Wiem.

– Czy on naprawdę myśli, że my nie podejmujemy walki?

– Wcale tak nie uważa. Łatwo jest wydawać takie sądy, gdy patrzy się na wszystko z zewnątrz.

– Tu jest niebezpiecznie.

– Wiem, Tere.

– Powinnaś wyjechać.

– Nie zostawię cię tutaj.

– To nie ja cię tutaj trzymam, señorita. Wiem, jaki jest prawdziwy powód.

Dziewczęta zmierzyły się wzrokiem.

– On nie wróci – dodała Teresa.

– Może jednak.

Teresa zaśmiała się. Był to ochrypły, gorzki śmiech.

– Kto ma przejrzeć na oczy, jak nie ty?

– Nie jestem ślepa, do cholery! Wszystko widzę i świetnie rozumiem, dużo lepiej niż większość moich rodaków, tam, w Anglii.

Teresa weszła wolno do pokoju i musnęła dłonią *Rufinę i lwa*.

– Mój brat dokonał tu spustoszenia – powiedziała.

– Chodzi ci o wioskę?

– Nie. O ten dom.

– Co masz na myśli?

– Chciałabym ci podziękować – powiedziała Teresa. – Że zabrałaś mnie od Jorge i Gregoria.

– Cóż innego mogłam zrobić?

– Próbowaliśmy walczyć.

– Wiem.

– Ale to jest trudne. Trzeba najpierw wygrać ze sobą. A czasem mam problem, żeby zrozumieć po co. Po co mamy walczyć?

– Nie znam odpowiedzi, Tere.

– Jeżeli wyjedziesz, Oliwio, to czy mogłabym pojechać z tobą?

Oliwia zawahała się. Jej ojciec nie planował zabierać Teresy.

– Masz dokumenty?

Teresa bezwiednie klepnęła się otwartą dłonią w głowę, dokładnie w miejsce, gdzie zabiła się zranienia.

– Nie.

Zapadła cisza.

– Muszę nad tym popracować – powiedziała w końcu Oliwia.

– Jak to „popracować”?

Oliwia wstała z łóżka, podeszła do Teresy i położyła jej ręce na ramionach.

– Potrzebny ci będzie nowy zeszyt do słówek. Nie bój się, nie zrobię ci krzywdy. Będę delikatna.

Usadziła Teresę na brzegu łóżka, wzięła brzytwę ojca i delikatnie zgoliła z głowy Teresy odrastające włosy. Smarowała blizny płynem odkażającym, podczas gdy Teresa siedziała bez ruchu, spoglądając w okno i nasłuchując odgłosów wystrzałów dochodzących od strony Malagi.

– To wina mojego brata – powiedziała bezbarwnym głosem.

Oliwia trzymała brzytwę nad głową Teresy.

– No cóż, wszyscy byliśmy głupi. Możesz przypisać winę swojemu ojcu. A on pewnie rzuciłby całą odpowiedzialność na rząd. Oni z kolei na poprzedni rząd. Jestem przekonana, że Izaak nie chciał, by cię to spotkało.

– Izaak myśli o całym kraju, a zapomina o swoim domu – odparła Teresa.

– On jest dobrym człowiekiem.

– Tak myślisz?

– Ma sumienie.

Teresa wybuchła śmiechem.

– Wiesz, gdzie on się ukrywa, prawda? – spytała Oliwia. – Obiecuję, że nikomu nie powiem. Ale muszę się dowiedzieć.

Teresa ponownie odwróciła się do okna i skuliła ramiona.

– Lepiej, żebyś nie wiedziała.

Usłyszała odgłos cięcia. Przerażona spojrzała na Oliwię, która obcięła sobie właśnie kosmyk włosów.

– Co ty robisz? – spytała Teresa, gdy Oliwia ucięła kolejny.

– Myślisz, że dla mnie to tylko zabawa, co? – odparła Oliwia.

– Zostaw te włosy. No, przestań.

Teresa wyciągnęła rękę po brzytwę, ale Oliwia skierowała ostrze w jej stronę, jakby chciała jej powiedzieć, by lepiej trzymała się z daleka. Następnie zaczęła ciachać włosy, garść za garścią; kolejne ciemnorude kosmyki opadały na podłogę. Teresa patrzyła w osłupieniu.

– Teraz ty mnie ogolisz – powiedziała Oliwia.

– Oszalałaś.

– Wcale nie. Co jeszcze mogę zrobić, żeby ludzie uwierzyli, że nie żartuję?

– Identyczna fryzura nie spowoduje takiej samej wyrwy w duszy.

– Nie gadaj, tylko gól.

Przy ostatnim pociągnięciu brzytwy Teresa z trudem kryła łzy. Nie mogła sobie przypomnieć, kiedy ostatnio przy kimś płakała. Przed oczami pojawił jej się pierwszy obraz Oliwii podmieniony przez nią na sztaludze – święta Justa, przedstawiona w łanie pszenicy, staje się kobietą. Izaak był przekonany, że zamieniła obrazy z zemsty za pocałunek przy zardzewiałej bramie, którego była świadkiem. Sądził, że mu zazdrości i próbuje pozbawić możliwości zabłyśnięcia. To, co zdarzyło się między Oliwią a jej bratem, rzeczywiście Teresę zabolalo, uczciwie to przyznała. Bo poczuła się zlekceważona i zapomniana, choć nie do końca rozumiała dlaczego. Ale czuła też, że jej odruchowa reakcja miała głębsze podłoże, związane nie tylko z zachowaniem Izaaka. Teresa sama nie była w stanie tego zrozumieć. Najtrafniej można by to określić mianem zobowiązania, które na siebie przyjęła – uważała, że Oliwii należą się podziw i uznanie.

– Tere, zapytam jeszcze raz. Czy wiesz, gdzie on jest? – powiedziała Oliwia.

– Zapomnij o Izaaku – odparła Teresa. – On nie kocha cię tak, jak powinien.

– Och, Tereso, co ty wiesz o miłości?

Niedługi pobyt w domu Schlossów, którzy mieli serca ciężkie od nadmiaru uczuć, nauczył Teresę więcej o miłości i związanych z nią problemach, niż

Oliwia mogła sobie wyobrazić. Ale wiedziała też, że wszystko ma swoje konsekwencje i nie można winić tylko losu. Teresa całe życie postępowała w ten sam sposób – wolała przyglądać się i milczeć. Zanim poznała Oliwię, zawsze się tej zasady trzymała.

Ale Oliwia i jej obrazy, a także rodzice, zmienili w niej to nastawienie. Spowodowali, że Teresa się otworzyła i wystawiła swój kruchy świat na konfrontację ze światami innych ludzi. I oto teraz, po raz kolejny, Oliwia usiłowała pomóc jej na siłę. Może bez sensu było starać się nadal milczeć? Może najwyższy czas, aby pozwolić Oliwii przejrzeć na oczy i uwolnić się na zawsze?

– W chacie pasterskiej – odpowiedziała Teresa.

– Co?

– Poszukaj chaty pasterskiej. Tam go znajdziesz.

Oliwia spojrzała na nią zdziwiona.

– Nie wierzę ci.

– Tam go znajdziesz. I przy okazji spytaj mojego brata, co to znaczy kogoś kochać.

Teresa patrzyła na odchodzącą Oliwię i sprzątała jej obcięte włosy z mieszaniną strachu, ale i radości. Nie do końca wiedziała, co Oliwia znajdzie i czego się dowie, ale miała co do tego pewne podejrzenia. Przyjrzała się od tyłu świeżo ogolonej głowie Oliwii i poczuła niemal dumę. Kiedy nadejdzie czas rozliczeń – a Teresa wiedziała, że nadejdzie niebawem – wszyscy będą osądzać jej charakter. I będą musieli przynajmniej przyznać, że nie zadała swojej pracodawczyni najmniejszej ranki. Serce Oliwii było nie do uratowania, ale za to głowę miała w końcu lekką.

Ryk samolotów nad Malagą przycichł, gdy Oliwia biegła energicznie w dół, kierując się w stronę domu Teresy i Izaaka. Nikt nie zauważył, że wymknęła się z finki. Nawet nie pomyślała, że może nikogo już tam po prostu nie było.

O zmierzchu Arazuelo było jak wymarła wioska. Główny plac opustoszał, okiennice w barze za rogiem były zamknięte, kościół straszył osmalonymi ruinami, sklep rzeźnika był zamknięty, szkoła i biura świeciły pustkami. Oliwia obmacała kieszenie i w jednej natrafiła na zabraną z kuchni latarkę, a w drugiej na zimną rękojeść pistoletu, który zostawił im Izaak.

Prawie już straciła nadzieję, że zdoła go odnaleźć w pobliżu. Teresa okazała się pilnie strzeżoną skarbnicą sekretów, którą można było otworzyć właściwym kluczem. Choć wokół panowała cisza, w głowie Oliwii kłębiły się niespokojne myśli, trudne do okiełznania. Jeżeli zdoła go odnaleźć i skłonić do powrotu, wszystko się ułoży. Zdyszana, usiłowała zapanować nad oddechem, a równocześnie bacznie obserwowała wyłaniający się przed nią las, którego kontury stawały się coraz czarniejsze, gdy niebo przestały oświetlać jakiegokolwiek sztuczne światła.

Oliwia zagłębiała się w coraz gęstszej ciemności, aż w końcu zapaliła latarkę. „Nie używaj latarki – ostrzegła Teresa. – Nie masz pojęcia, kogo możesz tam spotkać”

„Nie boję się”, odpowiedziała jej Oliwia. Ale teraz pośród wzgórz, gdy poczuła przypływ adrenaliny, nie poradziłaby sobie bez latarki. Nie wiedziała dokładnie, dokąd iść, ale była pewna, że to niedaleko. Gdzieś tam, u podnóża wzgórz, na pewno go znajdzie. Na pewno. „Myślałaś, że wyjechał na północ? – powiedziała Teresa. – Nie, nie wyjechał”

„Jeżeli tak go nienawidzisz, to dlaczego nie wyjawiałaś jego kryjówki gwardii cywilnej?”, spytała wtedy Oliwia, ale odpowiedź w zasadzie znała. Teresa nie pisnęła słowa o Izaaku nie po to, by go chronić, ale by zatrzymać przy sobie Oliwię.

„Będę czekała”, powiedziała Teresa, gdy rozstawały się na poddaszu. Nikt nigdy wcześniej nie wypowiedział do Oliwii takich słów.

Najpierw zauważyła puszkę po sardynkach lśniąca w trawie. Została z

pewnością wyrzucona z chaty, a teraz leżała kilka metrów od miejsca, gdzie zatrzymała się Oliwia. Wyłączyła latarkę i przyglądała się chacie pasterskiej. W prowizorycznym okienku zakrytym kawałkiem brezentu zauważyła nikłe światełko. Podkraśla się bliżej. Słyszała głos, zniżony pomruk – to był Izaak. A więc Teresa nie kłamała. Jej serce napełniła radość na myśl, że jest tak blisko niego, i ruszyła biegiem.

Nagle usłyszała kobiecy śmiech. Nie mogła się mylić. Poczwała, że się dusi. Gardło miała tak ściśnięte, że język blokował dopływ powietrza.

Jakieś odgłosy – głębokie westchnienia, jedno, drugie, kolejne – dobiegały z wnętrza chaty. Wtedy Oliwia zrozumiała, co miała na myśli Teresa, a czego nie zdołała jej tak po prostu powiedzieć. Pewne rzeczy trudno było nazwać po imieniu, dlatego właśnie zdecydowała, że Oliwia powinna przekonać się na własne oczy.

Oliwia zrozumiała, ale nie mogła się z tym pogodzić. Tymczasem znowu usłyszała ten odgłos – regularny, głęboki, nie do zniesienia wyraz pełnej przyjemności. Nad głową Oliwii czerniała otchłań wszechświata. Chwyła mocno rękojeść pistoletu i energicznie pchnęła drzwi.

Sara krzyknęła i przywarła do ściany.

– *iNo dispares!* – zawołał Izaak. – Nie strzelaj!

Oliwia podniosła stojącą na ziemi latarnię. Izaak i jej matka leżeli nadzy, ich nogi były jeszcze splecione. Przerażona Sara usiłowała się wyswobodzić i wtedy Oliwia zauważyła jej zaokrąglony brzuch. Zrozumiała, że kryje on dziecko.

– Oliwio – powiedziała matka, nie mogąc otrząsnąć się z szoku. – Co się stało z twoimi włosami?

Przyglądały się sobie nawzajem. Minęły sekundy, które trwały tyle, co godziny.

– Czy tatuś wie? – zapytała wreszcie Oliwia dudniącym, sztucznym głosem.

– Czy tatuś wie?

Sara z trudem usiadła, zakrywając piersi płaszczem Izaaka, i próbowała znaleźć spodnie.

– Oliwio, Oliwko. Opuść broń. Oliwia celowała w matkę.

– Czy on wie?

– Nie wie – odpowiedziała Sara, dysząc. – Odłóż broń, na Boga.

– Jest twoje? – spytała Oliwia Izaaka. – Czy to dziecko jest twoje?

– Nie jego – uprzedziła go Sara. – To nie jego dziecko.

Izaak wstał z posłania.

– Oliwio – powiedział łagodnym głosem. – Opuść broń, bo jeszcze kogoś zranisz.

Oliwia usłyszała swój własny wrzask:

– Dlaczego?! Dlaczego?!

Pytanie wzbiło się w noc.

– Ciiii! – syknął Izaak. – Bądź cicho.

– Ty hipokryto. Mówiłeś, że jedziesz na północ, że będziesz walczył za ojczyznę, a siedzisz tu, niecałą milę od domu, z nią...

Oliwia zakryła dłonią usta i stłumiła szloch.

– Oliwko – powiedziała Sara.

– Nie nazywaj mnie tak. A ty nie wmawiaj sobie, że to wszystko z miłości

do niej, Izaaku. Czy ono jest twoje? Czy to twoje dziecko?

Spojrzenie, jakie wymienili Sara z Izaakiem, było chyba dla Oliwii gorsze niż sam fakt, że ich tu przyłapała. Tyle w nim było intymności, porozumienia, współdziałania.

– Od jak dawna... Co się ze mną stało? Gdzie ja miałam...

– Uspokój się, Oliwio. – Izaak zrobił krok w jej stronę. – Proszę cię, wszystko wytłumaczę...

Gdy zobaczyła, że się zbliża, wystrzeła w górę, dziurawiąc strzechę.

– *iMierda!* – krzyknął. – Cholera! Chcesz, żeby nas wystrzelali? Wszystkie patrole w okolicy będą wiedziały, że ktoś tu jest!

Sara jęknęła cicho i zaczęła na czworakach szukać w ciemności kolejnych części garderoby.

– Muszę już iść, muszę iść – powtarzała w kółko. – On zaraz wróci.

– Ty zmij – rzuciła Oliwia.

Sara podniosła na nią wzrok.

– Nie jestem żmiją.

– A ja myślę, że jesteś. Nie chcę z tobą nigdy więcej rozmawiać.

– Skąd wiedziałaś, że tu jestem? – spytał Izaak.

– A jak myślisz?

Sara jęknęła. Oliwia zamknęła oczy, by nie widzieć tego, co się dzieje w jej obecności.

– Od jak dawna Teresa o tym wiedziała? – szepnęła Sara.

– Nie mam pojęcia – odparła Oliwia zgodnie z prawdą. Czy Teresa milczała, aby ich chronić? A może po prostu chciała mieć przewagę i wiedzieć o czymś, o czym Oliwia nie wiedziała? A może wszyscy się z niej naśmiewali, z naiwnej, zakochanej w swoim Borysie Mon-Amour idiotki? Lepiej było zadowolić się czytaniem romansów albo mieć wyimaginowanego kochanka niż stworzyć takiego potwora w rzeczywistości. Przypomniała sobie jedno z ostatnich zdań, które Teresa wypowiedziała na poddaszu: „Spytaj mojego brata, co to znaczy kogoś kochać”

– Oliwio – powiedziała Sara, znacznie bardziej opanowana, bo zdążyła się już ubrać. – Wiem, że to wszystko nie jest łatwe, ale...

– O Boże. Nie chcę tego słuchać.

– Nie chciałam cię skrzywdzić.

– Ale skrzywdziłaś, i to nie raz.

Sara stanęła twarzą w twarz z córką.

– Myślisz, że tylko tobie doskwiera samotność? Że tylko ty cierpisz?

– Nie obchodzi mnie twoja samotność. Masz męża. To mój ojciec.

– Sądzisz, że łatwo jest być jego żoną?

– Przestań. Zamknij się wreszcie.

Izaak pospiesznie ubierał się w kącie i w popłochu spoglądał to na jedną kobietę, to na drugą.

– Izaak nie należy do ciebie, Oliwio – nie bardziej niż do mnie – powiedziała Sara.

– On jest mój... my razem... a co ty powiesz tatusiowi? Myślisz, że cię przyjmie z powrotem?

Sara roześmiała się.

– Nawet nie myślałam, że jesteś taka niedzisiejsza.

– Niedzisiejsza?

– Wiedz, że obrazy, którymi handluje ojciec, nie są naszym źródłem utrzymania, Oliwko. Finka, podróż, koszty życia. On nie może mnie „nie przyjąć z powrotem”. Kiedyś zrozumiesz, jaki bałagan tworzymy sobie wszyscy w życiu. Ja nie znam ani jednego małżeństwa, które nie ma problemów. Bo widzisz, małżeństwo trwa długo...

– Wystarczy. Nie obchodzi mnie to. Kiedy pierwszy raz zaciągnęłaś Izaaka do łóżka?

– Było akurat odwrotnie, kochanie. A zdarzyło się to wkrótce po tym, jak tatuś kupił od Izaaka pierwszy obraz.

– Wynoś się stąd.

Sara zaczęła się zbierać do odejścia, ale tak niefrasobliwie, jakby opuszczała restaurację Mayfair. Potykała się w ciemności.

– Nic tu nie widać – mruknęła.

– Drogę już pewnie znasz na pamięć. Tylko uważaj na wilki.

– Pójdę z tobą – zaproponował Izaak.

– Ty nigdzie nie pójdziesz – odparła Oliwia, unosząc w jego kierunku lufę.

– Oliwio, cholernie głupio się zachowujesz – powiedziała Sara.

– Idź już.

– Zobaczymy się wkrótce – rzuciła do Izaaka Sara. – Oliwio, wróć, jak się

uspokoisz.

Izaak i Oliwia patrzyli, jak znika w ciemnościach nocy.

– Nie powinnaś jej pozwolić, by szła tak sama – odezwał się Izaak.

– Przecież bym jej nie zastrzeliła. Ani ciebie. – Oliwia opuściła broń i włączyła latarkę. W mocnym białym świetle zauważyła czujność malującą się na jego twarzy. – Boże, Izaaku, czy ty sobie zdajesz sprawę z tego, co spotkało twoją siostrę?

– Co takiego?

– O, widzę, że moja matka nie miała czasu ci opowiedzieć. Wiesz, jaką cenę Teresa zapłaciła za twój heroiczny wyczyn?

– Nie ukrywaj niczego przede mną, Oliwio. Nie lubię tego.

– Dobre sobie, i kto to mówi?

– Co oni jej zrobili?

Przerażenie Izaaka było autentyczne, więc spuściła z tonu i opowiedziała o Jorge i Gregorio, o obcinaniu włosów, o oleju rycynowym i nocnym błąkaniu się po korytarzach finki.

Jego twarz przeszył ból.

– Ale dlaczego ty nie masz włosów? – spytał.

– Żeby lepiej się czuła. Mniej samotna.

– Więc to ona ci powiedziała, że tu jestem. – Izaak spojrzął poza snop światła latarki, w ciemność.

– Tak.

– Powiedziała ci o dziecku?

– Nie. Tylko tyle, że tu będziesz.

– A o Sarze wspomniała?

– Nie. Spytałam ją tylko, co wie o miłości.

Milczeli przez chwilę.

– Ona spowodowała cały ten kłopot.

– Tak. Ale przynajmniej poznałam prawdę o tobie. Pewnie o to jej chodziło.

– Naprawdę sądzisz, że moja siostra zawsze miała na względzie twoje dobro? – spytał Izaak. – Ona jest jak kot, który zawsze spada na cztery łapy.

– Przesadzasz. Szkoda, że jej nie widziałeś. A poza tym, to nie ona mnie zraniła, tylko ty.

– Może to i prawda. I przykro mi z tego powodu. Ale ty zawsze widzisz we

mnie to, co w danej sytuacji ci pasuje. Tworzysz mnie ciągle od nowa. Twoja matka... jak to się mówi? Ma trzeźwe spojrzenie. Widzi mnie takim, jaki jestem. I nie chce, żebym się zmienił.

– Jeszcze nie chce. Może brak jej wyobraźni. I w dodatku jest chora.

– Czy nuda to choroba? Ona jest zdrowa. Wszystkim jest łatwiej uznać ją za chorą. Nawet jej samej.

– Ty z tego skorzystałeś.

– Ja skorzystałem? Oliwio, nigdy ci niczego nie obiecywałem. Nie mówiłem, że cię kocham. Słyszałaś i widziałaś to, co chciałaś.

– Spałeś ze mną, Izaaku. I to kilka razy.

– Tak. I zgodziłem się też na obrazy. Wszyscy popełniamy błędy.

– Co chcesz przez to powiedzieć? Że im więcej malowałam, tym mniej mnie lubiłeś?

Odwrocił wzrok.

– Chcę powiedzieć, że twoja matka... to inny przypadek. Zupełnie odrębny.

– Nie taki odrębny. Jej zachowanie ma wpływ na nas wszystkich. Jak również postępowanie mojego ojca... i moje chyba też. Czy zostałeś tu z jej powodu?

Wahał się. Oliwia zamknęła oczy, jakby poczuła ból.

– Myślisz, że byłeś pierwszy – powiedziała. – Ona się z tobą przespała tylko po to, żeby ukarać mnie.

Roześmiał się i zakrył twarz dłońmi.

– Jesteś prawdziwą artystką. Myślisz, że cały świat obraca się wokół ciebie i tylko sobie wyszukujesz kolejne powody do cierpienia. Ale nie jest tak, jak myślisz, Oliwio. Ty nie masz z tym nic wspólnego.

– Idę już. Powodzenia, tak to chyba powiedziałeś.

Oliwia skierowała się w stronę ciemności, tam gdzie zniknęła jej matka.

– Co teraz zrobisz? – spytał.

– Wyjadę do Anglii. Miałeś rację. Urządzą się gdzieś. Rodzice się o to postarają. Sprawdzę, czy przyjmą mnie do akademii.

– Dobry plan.

– Zobaczmy. Masz. – Oliwia wręczyła Izaakowi pistolet. – Pewnie tobie przyda się bardziej niż mnie.

– A Tere? – spytał, wciskając broń z tyłu za pasek. – Zabierzecie ją ze sobą?

– Nie wiem, Izaaku – westchnęła Oliwia. – Ona nie ma żadnych dokumentów.

– Sporo tu przeszła.

– A dopiero co mówiłeś, ile problemów spowodowała.

– Ona ma tylko szesnaście lat.

– Mnie powiedziała, że ma osiemnaście. – Oliwia nie umiała ukryć zdziwienia.

– No, sama widzisz, jaka ona jest. Ale jeśli Jorge będzie podejmował decyzję... albo mój ojciec...

– Nie musisz mi mówić. Byłam przy tym. Podczas gdy ty siedziałeś sobie tutaj.

Wyciągnął rękę. Oliwia spojrzała na nią.

– Wiesz, cieszę się, że namalowałam cię z zieloną twarzą – powiedziała.

To miał być żart, nie chciała wcale powiedzieć, że jest naiwny albo nienormalny. Po prostu uznała, że skoro jest artystką, to namaluje go zgodnie ze swoją wizją, w takich kolorach, jakie wybierze. Chciała pokazać Izaakowi, że jest na tyle dorosła, by sobie ze wszystkim poradzić, choć wcale się tak pewnie nie czuła. On na zawsze miał pozostać mężczyzną, który zmienił jej życie. Ale kiedy zamierzała uścisnąć podaną jej dłoń i powiedzieć mu to, Izaak nieoczekiwanie runął u jej stóp.

Z początku wydawało jej się, że to nie dzieje się naprawdę. Patrzyła przerażona, gdy światło latarki padło na strumień krwi buchającej z głowy Izaaka i zalewającej mu czerwienią oczy. A potem usłyszała to, co z początku uszło jej uwadze: stłumiony odgłos broni, z której do nich strzelano. Jeszcze dwa wystrzały odbiły się od gór echem, które przez chwilę błądziło, aż zamarło wśród lasów. Rzuciła się do ucieczki.

Jorge, usłyszawszy pół godziny wcześniej odgłos pistoletu Oliwii, wyruszył w góry, by sprawdzić, kto strzelał, a potem obserwował ich z daleka. Nie mógł uwierzyć własnemu szczęściu: trafił na kryjówkę Izaaka Roblesa i to w momencie, kiedy jego łysa siostra przekazywała mu kolejną sztukę broni. Kretynka nie zgasła latarki, więc po zastrzeleniu Izaaka mógł ją bez problemu namierzyć. Rozedrgane światło latarki przesuwało się w dół wzgórza, towarzysząc jej niepewnym krokami.

Jorge wystrzelił jeszcze trzy razy. Patrzył, jak latarka potoczyła się po ziemi i

w końcu zatrzymała – teraz wyglądała trochę jak mały biały księżyc. Odczekał chwilę. Żadnego ruchu. Po egzekucji zapadła tak niezmacona i złowroga cisza, jakby ziemia się nagle rozstała, pochłaniając łąki i pola.

V

RUFINA I LEW





Windy na stacji metra przy Goodge Street nie działały, a kiedy w końcu udało mi się złapać połączenie do Waterloo, pociąg wciąż stawał w tunelach. W rezultacie dotarcie do domu Quick zajęło mi w sumie półtorej godziny. Lampy od frontu domu, zarówno na górze, jak i na dole, paliły się jaskrawym światłem. Gospodyni nie zasunęła zasłon, dlatego zobaczyłam w pokoju na piętrze biały spękany sufit z gołą żarówką, co kłóciło się z jej wyrafinowanym poczuciem estetyki. Nimb ostrego światła rozlewał się po suficie, obejmując gzymsy – niszczący znak dawnej świetności, którego uszkodzeń najwidoczniej nie próbowała naprawiać.

Pełna niepokoju zastukałam do drzwi frontowych. Czekałam, ale nikt nie otwierał.

– Halo? – zawołałam przez otwór na listy, ale odpowiedziała mi głucha cisza. Zaczęłam się zastanawiać, co powinnam zrobić. Zawsze mogłam dać sobie spokój i wrócić do Clapham, do mojego mieszkania, zatopionego w równie głębokiej ciszy. Poczucie winy trzymało mnie jednak w miejscu. A także ciekawość i potrzeba rozwikłania zagadki.

Było bardzo ciemno, gdy przemknęłam wzdłuż bocznego ogrodzenia. Pod moimi butami zaszleściły ostatnie opadłe jesienne liście. Nawet z bocznych okien wylewały się potoki jaskrawego światła – istna elektryczna pożoga, płonęła każda żarówka. To wszystko sprawiało, że czułam się oświetlona jak na planie filmowym, gdzie gigantyczne oślepiające lampy sodowe potrafią skupić na kimś uwagę lub zatopić go w mroku.

Kiedy dotarłam do ogrodu, mój przywykły do ostrego światła wzrok nie mógł sobie poradzić z nagłą ciemnością. Przy każdym mrugnięciu przed moimi oczami pojawiały się wielkie pomarańczowe kule, które po pewnym czasie nikły, upodabniając się do mniejszych ciał niebieskich wirujących wokół konturów drzew. Zegar na wieży wybił godzinę ósmą. Miałam wrażenie, że wróciłam do krainy baśni.

Tego, co zobaczyłam, kiedy zawróciłam w stronę domu, nigdy nie zapomnę. Quick siedziała w kuchni na krześle, wyprostowana. Zasłony również tutaj były odsunięte, a całe pomieszczenie zalane było światłem. Wszystko we mnie zrywało się do krzyku. Quick była zupełnie pozbawiona włosów. Jej czaszkę pokrywały pojedyncze zmatowiałe kosmyki, układające się w rodzaj

mapy bez współrzędnych. Quick patrzyła na mnie, więc uniosłam rękę w geście pozdrowienia, ale z jej strony nie było żadnej reakcji. Wtedy nagle z przerażeniem zdałam sobie sprawę, że ona wcale nie patrzy na mnie, lecz na kogoś – lub coś – za moimi plecami, co czaiło się w ogrodzie.

Usłyszałam trzask gałązki. Strach ścisnął mnie za gardło, gdy odwróciłam głowę, by stawić czoła ciemności, w którą Quick mnie zwabiła. Byłam gotowa stanąć do walki lub zacząć krzyczeć. Nie mogłam oprzeć się wrażeniu, że za gęstwiną krzewów i zwisającymi gałęziami zdziczałych drzew ukrywa się jakaś istota, ale nic stamtąd nie wyszło.

Popędziłam z powrotem w kierunku domu, do kuchennych drzwi i pchnęłam je z całej siły, bo za wszelką cenę chciałam uciec od tego czegoś, co czyhało w ogrodzie. Stałam teraz dokładnie naprzeciwko Quick. Nadal siedziała na krześle i nadal była wyprostowana. Perfekcyjna blada czaszka Quick sprawiała makabryczne wrażenie, a na spokojnej, pogodnej twarzy malował się wyraz błogości i czegoś nieodwracalnego. Jej peruka leżała na podłodze niczym skóra jakiegoś zwierzęcia. Nie wiedziałam, że w ogóle ją nosiła.

– Marjorie? – powiedziałam, czując paraliżujący ucisk w gardle. Quick oczywiście nie odpowiedziała, ponieważ była martwa.

Zadzwoniłam na policję, zanim jeszcze pomyślałam, jak to wszystko może wyglądać dla osób postronnych: dom zamknięty na klucz, ale ja wewnątrz, drzwi kuchenne otwarte na oścież, ślady moich stóp na trawniku. Dopiero gdy sekcja zwłok pozwoliła ustalić przybliżony czas śmierci Quick i kiedy okazało się, że ilość środków przeciwbólowych we krwi dziesięciokrotnie przekraczała dopuszczalne normy, a koroner dowiedział się, że zmarła chorowała na raka – zostałam oczyszczona z zarzutów i ogłoszono, że śmierć nastąpiła na skutek wypadku. Nie muszę chyba mówić, jak bardzo byłam zła. Jak można było podejrzewać, że ja – jedyna osoba, której Quick ufała – mogłam się włamać do jej domu w celu dokonania zabójstwa? Byłam też jedyną osobą, która próbowała ustalić prawdziwą historię Quick.

Kiedy zadzwoniłam na policję, wróciłam do kuchni, uklękłam obok Quick i dotknęłam jej ciała. Było jeszcze ciepłe. Możliwe, że spóźniłam się dosłownie o parę minut. Ściśle rzecz ujmując, ona nie zaprosiła mnie tamtej nocy do siebie, to ja upierałam się, że nie powinna być sama. Ale czy rzeczywiście

pragnęła, by tak to się skończyło? Przecież powiedziałam jej, że do niej przyjdę – wiedziała, że będę pierwszą osobą, która ją znajdzie. Może chciała, by ją ktoś ocalił? Tego nigdy się już nie dowiem.

Rozejrzałam się wokół. Przed Quick stały fiolka z tabletkami i pół butelki ginu. To niekoniecznie musiało coś oznaczać, ostatecznie lubiła pić i miała dolegliwości bólowe. Nie potrafiłam się pogodzić z tym, że mogła zrobić to celowo.

– Policja – powiedział jakiś głos. Podskoczyłam ze strachu, a potem podeszłam do drzwi frontowych.

Stało w nich dwóch funkcjonariuszy. Policjanci wezwali również karetkę. Byłam w szoku. Gdy weszli do mieszkania, zachowywali się zupełnie inaczej, niż oczekiwałam – byli bardzo oficjalni, ale jednocześnie nie kryli znużenia i rutyny, prawdziwi słuźbiści. Ja z kolei byłam zdenerwowana i całkowicie wytrącona z równowagi. Przerazona i wstrząśnięta. „Kto jest jej najbliższym krewnym?” – zapytał jeden z policjantów. Odparłam, że nie wiem, ale że Edmund Reede był jej przełożonym i może powinni skontaktować się właśnie z nim.

Reede nadal był w pracy, bo wystawa miała zostać otwarta następnego dnia, więc starał się dopiąć wszystko na ostatni guzik. Nie mogłam usłyszeć, co powiedział, bo policjant, który z nim rozmawiał, stał w holu. Rozmowa była krótka. Ja siedziałam w salonie. Funkcjonariusz podszedł do mnie i usadowił się naprzeciwko. Zegar tykał. Policjant zmierzył mnie wzrokiem, a do mnie dopiero wtedy dotarło, co mógł pomyśleć. Wyobraziłam sobie swoje aresztowanie. Morderczyni z Karaibów! Więzienie, jego nieuchronność, związane z tym głębokie oburzenie ludzi. Typowe dla osób mojego pokroju.

Wydawało się, że Reede pojawił się na miejscu w ciągu zaledwie paru minut. Przemknął samochodem przez Waterloo Bridge i wpadł do domu przez frontowe drzwi. „Co tu się, u diabła, stało? Gdzie ona jest, do cholery, co...” – słowa uwięzły mu w gardle, gdy zobaczył sanitariuszy wynoszących Quick. Wydawała się taka drobna i krucha. Widziałam, że Reede był wstrząśnięty, przeszywał go ból, nad którym przynajmniej ten jeden raz nie potrafił zapanować.

Właściwie to Reede’owi zawdzięczałam, że policja nie aresztowała mnie od razu. Onieśmielał ich. Szybko odzyskał kontrolę nad sobą, biły od niego

władza i autorytet. Policyjne mundury nie robiły na nim najmniejszego wrażenia, co było przeciwieństwem mojej reakcji na ich widok. Poważnie się zdenerwowałam, gdy zobaczyłam, w jaki sposób stawiają pytania i gdy wyczułam ich nastawienie. Zapowiedziałam, że jeżeli będą próbowali o cokolwiek mnie oskarżyć, to mogą być cholernie pewni, że najpierw będą mieli z nim do czynienia. „Ona przez cały czas była ze mną w biurze, wyjechała przed godziną” – pamiętam, jak to powiedziałam.

Muszę przyznać, że byłam zdziwiona jego postawą. Nigdy nie przypuszczałam, że nadejdzie taki dzień, w którym zaciągnę dług wdzięczności wobec Edmunda Reede’a i tak naprawdę wcale mi się to nie podobało, bo nie wiedziałam, jak miałabym mu się zrewanżować.

Wyszliśmy z domu razem. Reede odwiózł mnie do mojego mieszkania w Clapham.

– Jaki miała głos, kiedy pani z nią rozmawiała? – zapytał, gdy przemknęliśmy wzdłuż Clapham Common.

– Słaby.

Chciałam powiedzieć coś więcej, ale zamilkłam. Spojrzał na mnie.

– O co chodzi?

– Ona była chora, panie Reede.

– Chora?

– Bardzo poważnie. Nie sądzę, żeby... miała pożyć dłużej.

Spojrzał z powrotem na drogę.

– Jezus Maria. Ona zawsze lubiła utrzymywać wszystko w tajemnicy. Pani najwyraźniej też. Nic dziwnego, że tak panią lubiła.

Jechaliśmy w ciszy. Czułam się kompletnie wykończona. Nie mogłam uwierzyć, że odeszła, tyle moich pytań zostawiając bez odpowiedzi.

– Panie Reede... czy długo pan ją znał? – spytałam w końcu.

– Praktycznie od czasu, gdy była młodą dziewczyną.

– Bardzo mi przykro.

Zastanawiałam się, o czym on może teraz rozmyślać – czy poczuł się dotknięty, że Quick nie powiedziała mu, jak bardzo jest chora? Czy też był po prostu głęboko poruszony tym, że nagle zmarła?

– Chciałbym, aby pani i panna Rudge zajęły się zorganizowaniem pogrzebu – powiedziałam.

– Oczywiście. Czy ona ma jakąś rodzinę, którą powinnam zawiadomić? – zapytałam.

– Jeśli nawet, to nic mi o tym nie wiadomo. Ale będziecie miały trochę czasu, żeby to ustalić. Policja z pewnością nie wyda jeszcze ciała.

– Dlaczego? Myślą, że jej coś zrobiłam?

– Proszę się nie martwić, panno Bastien. Wszystko będzie dobrze.

Wcale nie byłam tego taka pewna.

– Czy wernisaż mimo wszystko się odbędzie? – zapytałam.

– Chyba nie mamy wyboru. A poza tym podejrzewam, że ona też by tego chciała.

Problem w tym – pomyślałam, zrzucając buty i opadając na łóżko w ubraniu, gdy tylko samochód Reede'a zaryczał i odjechał – że nikt z nas tak naprawdę nie wiedział, czego chciała Quick.

Następnego wieczoru wystawa została otwarta, a ciało Quick nadal spoczywało zimne w policyjnej kostnicy. Zestawienie tych dwóch faktów budziło we mnie mieszane uczucia. Ona, martwa i pozostawiona sama sobie, a tymczasem tutaj taka wrzawa, taki barwny kłębiący się tłum, narastające podekscytowanie na wieść o odnalezieniu kolejnego dzieła Izaaka Roblesa.

Julie Christie przeszła obok mnie, a twarz miała doprawdy zbyt idealną, żeby można ją było uznać za prawdziwą. W galerii panował ścisk. Rozpoznałam ją, ale kim byli ci pozostali ludzie?

Aktorzy, krytycy, lordowie i bankierzy, złote guziki będące raczej oznaką władzy niż świadectwem zasług na polu bitwy. Wino pili tak, jakby pochodziło z ich własnych piwnic. Nie było Jaggera, ku wielkiemu rozczarowaniu Pameli. Członkowie Gabinetu pogrążeni w rozmowach z mizernie wyglądającymi starszymi panami, ludźmi sztuki. Jakiś optymista nastawił bluesową płytę, rozproszone dźwięki trąbki ulatywały w górę aż pod sufit. Uwolniona nagle muzyka wywołała wyraz pogardy na twarzach dwóch mężczyzn odzianych w marynarki klubowe. A gdzie świetnie namalowane van Dycki, przyjemne w odbiorze Gainsboroughy, majestatyczne i kształtne konie Stubbsa? Zamiast nich wszędzie wkoło tylko modernistyczne kolorowe smugi, kobiety trzymające głowy, kobiety skulone wśród porzbijanych garnków, a do tego jeszcze znieruchomiały lew, zbędny dodatek w tragicznej historii renesansowych świętych.

Do bluesa dołączył werbel, synkopy, które jeszcze spotęgowały moją gorycz. Bez Quick czułam się kompletnie zdezorientowana. Ona powinna tutaj być, w końcu miała powiedzieć mi prawdę. W głębi sali majaczyła fotografia przedstawiająca Izaaka Roblesa i Oliwię Schloss – czarno-biała i fakturowana. Twarz dziewczyny wyrażała coś, co teraz, z perspektywy czasu, można by określić mianem źle ulokowanej nadziei.

To, że zdjęcie było umieszczone właśnie tam, stanowiło nieomal obrazę. Chciałam, żeby blues niósł się głośniejszy, tak żeby paratych zarumienionych od wina nadętych waźniaków rzuciła się do jive'a i zakręciła którąś z obecnych tu *tanty*, tak żeby pogubiłyby sztuczne szczęki.

Westchnęłam skrycie i ruszyłam dalej z kieliszkiem wina w ręku, niczym z tarczą. Przepychając się przez gęstniejący tłum, przybliżyłam się do obrazu

Rufina i lew, którego teraz strzegła nie tylko czerwona lina, ale i dwóch ustawionych po bokach strażników. Reede ewidentnie znał się na rzeczy i wiedział, co zrobić, by nadać wydarzeniom odpowiednią rangę.

Zauważyłam szczupłego, siwowłosego mężczyznę w garniturze, który wychylał się ponad liną, by przyjrzeć się dokładniej jednemu z narożników obrazu. Był bardzo blisko, jego nos znajdował się tuż przy drobinkach farby użytych do namalowania odciętej głowy dziewczyny.

Mężczyzna wyglądał na bardzo zaniepokojonego, nie mógł oderwać wzroku od malowidła. Lewa stopa strażnika poruszyła się, wyczuwając potencjalne zagrożenie. Nagle zaczął we mnie narastać niepokój, że zdarzy się coś złego. Ale potem uświadomiłam sobie, że przecież najgorsze już się stało.

– Ten obraz jest makabryczny, Fredericku – powiedziała kobieta, która dołączyła do mężczyzny, oglądającego wystawione dzieło. – Tyle w nim bólu.

Za moimi plecami wrzawa jeszcze się nasiliła. W miarę jak temperatura rosła, a tłum gęstniał, goście przestali się nawzajem zauważać, jakby przechodzili przez otwarte drzwi. Jakaś kobieta roześmiała się, jej głos przebił się przez coraz głośniejszą muzykę i brzmiał jak wołanie o pomoc. Po co ci wszyscy ludzie tutaj przyszli?

Nic ich nie obchodzili Izaak Robles ani Quick.

Poczułam, że ktoś ciągnie mnie za łokieć. Pamela.

– Dobrze się czujesz? Wyglądasz, jakbyś zobaczyła ducha.

– Chyba faktycznie zobaczyłam.

Pamela zmarszczyła brwi. Nie powiedziałam jej o Quick. Reede prosił, żeby zachować to w tajemnicy do zakończenia wernisażu wystawy.

– Za dużo czytasz, Dell – oświadczyła Pamela. – Duchy nie istnieją. Chcę ci coś powiedzieć. – Wyglądała na bardzo zmartwioną. – Zerwałam z Billym.

– Och, Pamela. Tak mi przykro.

– Okazało się, że on wcale nie planuje się ze mną żenić. – Jej twarz spochmurniała. – Zamieściłam ogłoszenie odnośnie wynajmu mojego pokoju i tak dalej, a wtedy ten gnojek ze mną zerwał. Teraz wprowadza się do niego inna dziewczyna.

Nie zrozumiałam, czy miała na myśli Billy'ego, czy swój dawny pokój. Nie zapytałam. Zamiast tego powiedziałam coś, co mnie samą zdumiało.

– Może chciałabyś wprowadzić się do mnie?

– Byłoby cudownie! – Twarz Pameli rozpromieniła się. –

Naprawdę bardzo bym się cieszyła.

– Ja też.

Twarz Pameli poczerwieniała. Uściskała mnie, a potem odwróciła się i zniknęła w tłumie.

Odnalazłam Lawrie’ego i stanęłam u jego boku.

– Moja matka nigdy by w to nie uwierzyła – powiedział, obejmując szerokim gestem galerię. – Ale z pewnością byłaby bardzo zadowolona.

Wszystko toczy się naprawdę lawinowo.

– Lawrie – szepnęłam. – Muszę ci to powiedzieć. Quick... nie żyje.

Odwrócił się gwałtownie w moją stronę.

– Co takiego?

– Znalazłam ją. Ubiegłej nocy.

– Och, Delly. Strasznie mi przykro. Dobrze się czujesz?

– Raczej nie.

– Co się stało?

– Opowiem ci później – obiecałam. Nie wiedziałam, jak mam mu wytłumaczyć, że w moim przekonaniu wszystkie zgromadzone tu obrazy wcale nie wyszły spod pędzla Izaaka Roblesa i że prawdziwa autorka tych dzieł zmarła, zabierając tajemnicę do grobu. Cynthia ostrzegła mnie, bym zachowała dla siebie wszystkie przemyślenia odnośnie do Oliwii Schloss i Marjorie Quick, jeśli chciałam, aby mój związek trwał w harmonii. Ale jeżeli cała ta wystawa opierała się na kłamstwie, to stało to w sprzeczności z moimi zasadami dotyczącymi uczciwości artystycznej. Zaczęłam się zastanawiać, co było dla mnie ważniejsze: uczucia Lawrie’ego czy przywrócenie zasług artystycznych Quick?

Gdybym to ja namalowała wszystkie te obrazy, to cholernie bym chciała, żeby świat się o tym dowiedział.

Lawrie chwycił mnie za rękę.

– Wiem, że ona dużo dla ciebie znaczyła.

Nigdy wcześniej nie myślałam w ten sposób o relacjach, które łączyły mnie z Quick – nie w kategoriach uczuć czy tego, jak bardzo są dla mnie istotne. Ani nie pamiętałam też, bym kiedykolwiek wcześniej zdradzała się z takimi emocjami. Aż do tej chwili traktowałam Quick jako interesującą zagadkę,

zaprzeczenie konwencji, zarówno źródło inspiracji, jak i źródło kłopotów. Ale Lawrie miał rację. Ona rzeczywiście bardzo wiele dla mnie znaczyła. Pomimo swojej żywej i zmiennej natury Quick przyjęła mnie i mi pomogła. Lubiłam ją. Ale było już za późno, żeby jej to powiedzieć. Gdzieś w tyle głowy wciąż kołatała mi uporczywa myśl, że byłam jej do czegoś potrzebna, ale teraz było już na to za późno.

– Dell, chciałybyś stąd wyjść?

– Nie, oczywiście, że nie. Zaraz mi przejdzie.

– No dobrze. Posłuchaj więc, Gerry chce, żebyś wpadła na obiad.

On tutaj jest, wiesz?

– Naprawdę? To dobrze, że bywa poza domem.

– Myślę, że tak. Nie musisz przychodzić, jeśli nie chcesz. Ale on zawsze o ciebie pyta. Kiedy przeczytał twoje opowiadanie w „London Review”, chwalił się znajomym, że zna autorkę. Myślę, że dorobiłaś się fana.

– Nie jestem pisarką.

– No jasne. Zapomniałem. Ty jesteś maszynistką. – Irytacja, którą słyhać było w jego głosie, sprawiła, że aż się odwróciłam. – No wiesz, Odelle – powiedział. – Dalej będziesz się w ten sposób zachowywać?

Czy zdajesz sobie sprawę, ile osób oddałoby wszystko, żeby się znaleźć w „London Review”? Nie zmarnowałbym tego.

– Nie mam takiego zamiaru – odparłam. Byłam zmęczona i nie potrafiłam ukryć, że poczułam się zraniona. – A poza tym nie ty będziesz mi mówił, za kogo powinnam się uważać.

Lawrie podniósł obie ręce w pojednawczym geście.

– W porządku. Ja tylko... chciałem cię nakłonić do pisania, sama wiesz.

Przewróciłam oczami, okazując zniecierpliwienie.

– Mówisz jak Cynthia. Wszyscy chcą, żebym pisała, ale sami nigdy nawet nie próbują. Gdyby spróbowali, może by się przytknęli.

Lawrie wzruszył ramionami.

– Quick wyświadczyła ci ogromną przysługę. Jestem przekonany, że gdyby wiedziała, że wciąż się ociążasz...

Ostatnie kilka godzin w końcu zrobiło swoje:

– Wcale się nie ociążam... Nie próbuj jej wykorzystywać do... ona nie żyje, Lawrie. Nie żyje. Ja nie... ja nie mogę... Nie wszyscy mamy obrazy, które

moglibyśmy sprzedać, sam wiesz. Ja muszę też gdzieś pracować, żeby się utrzymać.

– Masz rację, jasne. Ale czasami wydaje mi się, że ktoś musi ci przypominać, jak bardzo jesteś utalentowana.

Staliśmy przez kilka minut w milczeniu. Wiedziałam, że to prawda – moje pisanie znowu leżało odłogiem. Po raz pierwszy moje życie nabrało takiego rozpędu, że zwyczajnie nie potrafiłam nagle zatrzymać się i zacząć obracać własne doświadczenia w słowa. Ludzie tacy jak Lawrie – który, o ile mi wiadomo, nigdy w życiu nie napisał ani jednej linijki prozy – chcieli chyba, żeby ci piszący chodzili z notesem i piórem u szyi i nieustannie notowali, by potem tworzyć z tych zapisków książki dla ich przyjemności.

Jakby wyczuwając, że wstąpił na grząski grunt, Lawrie zmienił temat.

– Wygląda na to, że parę osób jest zainteresowanych kupnem *Rufiny*... – oznajmił.

– To świetnie. – Zauważyłam jego pełen skruchy uśmiech. – Prawda?

– Problem w tym, że kiedy trafiła się okazja, by ją sprzedać, nagle straciłem na to ochotę.

– Cóż, w końcu to nie jest pierwszy lepszy stary obraz.

Lawrie spojrział na drugi koniec galerii, gdzie lśnili kolorami *Rufina i lew*. Od czasu do czasu któryś z gości przemieszczał się tam i z powrotem, przesłaniając nam widok.

– Z pewnością. Ale co mam z nim zrobić, Dell? Nie mam pieniędzy, a obrazu nie da się przecież zjeść.

Gdy wpatrywaliśmy się w płótno, które pojawiało się i znikało za głowami ludzi, wiedziałam, że Lawrie i ja patrzymy inaczej. Obraz był wyjątkowy i niezwykle oryginalny, a jednocześnie przywoływał całe spektrum odniesień i skojarzeń. Studiowanie technicznych pociągnięć pędzla było dla mnie doświadczeniem zgoła metafizycznym. Dzieło było unikatowe, a ja czułam, że powinnam zrobić absolutnie wszystko, aby je chronić i dopilnować, by pozostało wystawione na widok publiczny.

Domyślałam się intencji artysty, potrafiłam analizować uczucia, jakie obraz we mnie wywoływał, ale wiedziałam, że nigdy nie dotrę do zawartej w nim prawdy.

Ale Lawrie widział coś innego. Nowa rama, którą Reede zamówił, była

oknem, a obraz tylko zasłoną, którą Lawrie odsuwał teraz na bok. Twierdził, że nie ma ochoty go sprzedać, ale przecież nie widział jeszcze czeku. Tak naprawdę wcale nie zależało mu na tym, żeby zatrzymać *Rufinę*... – chociaż był to obraz jego matki, on nie wydawał się przywiązany do wspomnień, które obraz bez wątpienia w niej budził. No i po co w ogóle przyszedł kiedyś do Instytutu Skeltona? Twierdził, że chodziło mu o mnie, ale możliwe, że ja byłam tylko bonusem. Dla niego obraz był rzeczą przeznaczoną na sprzedaż, obiektem przechodzącym z rąk do rąk, dzięki któremu on mógłby podróżować. Zobaczył w nim sposobność, okazję, żeby wszystko zacząć od początku.

Reede zastukał w kieliszek i zwrócił się do gości. Stał przed *Rufiną i lwem* i zaczął od skrótowego nakreślenia sylwetki Izaaka Roblesa, omówienia jego znaczenia dla początków sztuki XX wieku, a następnie w paru słowach wyjaśnił, na czym polega jego talent.

Wyraził wdzięczność Fundacji Guggenheima w Wenecji i zbudował atmosferę napięcia wokół historii odnalezienia obrazu. Wyłowił w tłumie Lawrie'ego, który zarumienił się i podniósł kieliszek w odpowiedzi na aplauz, z jakim przyjęto wiadomość, że obraz szczęśliwie się przechował w jego domu, a on wspaniałomyślnie zdecydował się go udostępnić publiczności.

Kiedy Reede mówił o tym, że malarska wizja Roblesa jest medytacją na temat przeciwności losu, goście zgromadzeni na wystawie przypuszczali zapewne, że ma na myśli wojnę, dyktaturę i przemoc na polu walki – doświadczenia, które stały się udziałem wielu z nich i które na zawsze odcisnęły na nich swoje piętno. Ale ja przypomniałam sobie słowa Quick: „To dzieło i jego przesłanie oddziałują na nas z ogromną siłą. Mam nieodparte wrażenie, że ten obraz kryje w sobie dodatkowe treści, do których nie mamy dostępu. Nie możemy się do nich dostać, wiemy tylko, że tam są”.

Malowidło *Rufina i lew* poruszyło mnie tamtego wieczoru w sposób transcendentalny. Gdy na nie patrzyłam, zrozumiałam, czym jest niemożność poznania, uzmysłowiłam sobie, że być może nigdy nie odkryję prawdy i że na tym polega przecież tajemnica sztuki.

Niewykluczone, że nie byłam w takim odbiorze osamotniona. Gdy Reede skończył mówić, zauważyłam, jak obecni na wystawie – nawet dwójka starych bufonów w marynarkach klubowych – zaczęli spoglądać na *Rufinę*... z

niewielkim respektem.

Recenzje po wernisażu wystawy „Połknięte stulecie” były rozmaite. Niektóre z nich dosyć zdystansowane. „Obraz w bardzo dramatyczny sposób ewokuje śmierć i błędem byłoby go zignorować” – brzmiała umiarkowanie pochwalna recenzja, która ukazała się następnego ranka w „Telegraph”. Dalej jej autor zaczął bez skrępowania snuć refleksje na temat ceny, którą można by za dzieło uzyskać: „Edmund Reede potwierdził pod koniec spotkania, że *Rufina i lew* trafią na aukcję”. W „The Times” z kolei pojawił się artykuł na temat wernisażu, na którym roiło się od gwiazd. I tyle, o samym artyście nie było prawie nic. Uśmiechnęłam się. Quick z pewnością dostrzegłaby absurdalność całej tej sytuacji. Kiedy dziennikarz napisał o „oczywistym symbolizmie” przedstawionych na wystawie obrazów, zupełnie nie mogłam się z nim zgodzić. Łatwo je zasufladkował, ale ja byłam przekonana, że język, którym przemawiały te obrazy, był całkowicie oryginalny, odmienny, a jedyna osoba, która go rozumiała, odeszła.

„Daily Mail” wysunął hipotezę, że być może cała ta wystawa była po prostu wysmakowanym żartem, a Izaak Robles powinien pozostać tam, gdzie go odnaleziono, bo jeśli tak przedstawia się sztuka nowoczesna, to jakich skaradziejstw dopiero będziemy mogli się spodziewać po dziełach z lat siedemdziesiątych? „Observer” poszedł z kolei w przeciwnym kierunku i pogratulował Reede’owi, że ten nie spoczął na laurach, jeśli chodzi o „rewizjonizm w historii sztuki, odkrywanie zapomnianych malarzy i ich palety barwnej”. Chciało mi się śmiać z tych wywodów, bo przecież wszyscy ci ludzie patrzyli na ten sam obraz.

Wyczuwałam nieobecność Quick na korytarzach. Wiedziałam, że już nigdy nie wjedzie tutaj zamówiony przez nią lunch, już nigdy z pobliskiej restauracji nie przyniosą schłodzonej butelki ich najlepszego Sancerre... Reede’a akurat nie było w gabinecie. Zastanawiałam się, czy zdążył przeczytać gazety i jak powinniśmy się odnieść do zamieszczonych w nich recenzji. Pamela, która dowiedziała się w końcu o śmierci Quick, pociągała nosem z żalu. Nawet puste pokoje wydawały się pogrążone w żałobie. Przyszło mi też na myśl, że gdyby Quick była tutaj z nami, to może recenzje miałyby bardziej przychylny wydźwięk.

Ona umiałaby zjednać sobie krytyków, zmuszając ich, by wznieśli się ponad

własne ego i dostrzegli coś poza czubkiem swojego nosa.

Jeśli w ogóle któraś z recenzji nam pomogła, była nią właśnie napastliwa krytyka zamieszczona w „Daily Mail”. Do obrazu zaczęły się ustawiać kolejki, bo ludzie chcieli zobaczyć na własne oczy, czy to naprawdę był zamierzony żart. Ale moim zdaniem to tylko pogarszało sprawę. Dlaczego Quick nie wypowiedziała się otwarcie na temat obrazu? Dlaczego była tak zdeterminowana, żeby utrzymać całe swoje życie w tajemnicy?

Zaczęłam myśleć o tym, co Lawrie powiedział o Quick – że wyświadczyła mi ogromną przysługę, wysyłając *Kobietę bez palców u nóg* do „London Review”, i że nie powinnam tego zmarnotrawić. Mój zielony notes leżał nietknięty od kilku tygodni, ale po prostu nie mogłam znaleźć odpowiedniego tematu. Nie sądzę, aby Quick chciała, bym kiedykolwiek czuła się jej dłużniczką. Pomogła mi w czymś i cieszyła się z tego. Niemniej jednak zaczęłam przemyśliwać, jak mogłabym się jej odwdzińczyć za to, co dla mnie zrobiła. Pogrzeb został zaplanowany na kolejny tydzień, a ja postanowiłam, że wykorzystam czas oczekiwania na napisanie mowy pochwalnej na jej cześć. Ostatecznie Reede zlecił mi i Pameli zorganizowanie wszystkiego, a innych chętnych nie było.

Pierwsza poczta przybyła późno tamtego dnia. Pamela wyszła na zewnątrz i pogrążona w smutku zaciągała się papierosem, a ja pełniłam dyżur w recepcji. Dziwnie się czułam, odbierając pocztę wysłaną do mnie na adres Instytutu Skeltona, ale faktycznie przyszła – koperta opatrzona moim nazwiskiem.

Jeżeli pierwszy list, który wysłała do mnie Quick, stanowił moment zwrotny, po którym nastąpiły wielkie zmiany w moim życiu, to ten wysłany na adres Instytutu Skeltona był kolejnym, mimo że dotyczył czegoś całkiem innego. I chociaż od tego czasu otrzymałam wiele niezwykłych listów, tamten był naprawdę wyjątkowy.

Kancelaria prawnicza Parr&Co., której biura mieściły się przy Bread Lane w londyńskim City, skierowała do mnie pismo, w którym prosiła o stawienie się u nich w czwartek z paszportem i dokumentem potwierdzającym miejsce zamieszkania. Pamiętam, jak bardzo byłam przerażona. Jeżeli bowiem przez cały czas dają ci odczuć – mimo uprzednich zapewnień, że będzie inaczej – iż nie jesteś pełnoprawnym obywatelem danego kraju, to nic dziwnego, że list,

w którym nagle ktoś ci nakazuje, że masz się gdzieś stawić i zabrać ze sobą dokumenty potwierdzające tożsamość, może zmrozić w żyłach krew.

Próbowałam sobie wyobrazić, jak postąpiłaby w podobnej sytuacji Quick. Brakowało mi jej pewności siebie, ochrony jej stalowych skrzydeł. Gdybym zadzwoniła do Lawrie'ego i powiedziała mu o swoim strachu, z pewnością by nie zrozumiał, ponieważ on tu przynależał, był u siebie. Czuł się bezpiecznie, zupełnie jakby siedział w jakimś niewidzialnym, ale nadzwyczaj mocnym kokonie, przędzonym warstwa po warstwie, na długo zanim Lawrie się urodził. Ten kokon dawał mu taką ochronę, że żaden list wysłany przez prawnika z City nie mógł go wytrącić z równowagi. Pewnie moje obawy tylko by go rozbawiły, przez co czułabym się jeszcze gorzej.

Dlatego zamiast Lawrie'emu zdecydowałam się pokazać ów list Pameli.

– Jak myślisz, o co tu może chodzić? – spytałam.

– Bóg jeden wie, Odelle. Ale pewnie w ogóle nie warto się tym przejmować. Gdyby chcieli cię za coś aresztować, już by tu byli.

Pamela jak zwykle miała sporo racji, więc w czwartek udałam się do kancelarii. Czy byłabym jeszcze bardziej przerażona, czy może mniej, gdybym wiedziała, że chodzi o odczytanie ostatniej woli i testamentu panny Marjorie Quick – nie umiem powiedzieć. Wybór został dokonany, istniała tylko jedna ścieżka, którą można było podążać – i tak jak za życia, Quick prowadziła mnie po niej także z za grobu.

VI

CIĘCIWA ODWAGI*



Pochowali ją pod drzewem oliwnym, w sadzie. Teresa nie pamiętała z tego zbyt wiele, ale na zawsze pozostał jej w pamięci głuchy odgłos ziemi rzuconej na wieko trumny, tej samej ziemi, którą kiedyś razem uprawiały, przypomniawszy też sobie tęczę rozpiętą na kropelkach wody. Padre Lorenzo wyjechał z wioski, więc doktor Morales poprowadził zaaranżowane naprędce nabożeństwo. Harold i Teresa stali obok i patrzyli, opierając się o siebie nawzajem, natomiast Sara była pod wpływem środków uspokajających i została na piętrze domu.

Lekarz nie chciał spojrzeć Teresie w oczy. Czy rzeczywiście uwierzył, że to ona była osobą, która pociągnęła za spust? Była świadoma tego, co działo się w wiosce. Jorge, prawdopodobnie w obawie, że cała wina zostanie przypisana jemu, uprzedzając cios, powtarzał wszystkim wkoło, że założy się o miesięczną pensję, że to Teresa była osobą, która zastrzeliła Izaaka i Oliwię na wzgórzu.

Zapewne w ten sposób chciała ukarać brata. Teresa była przekonana, że to Jorge ponosi odpowiedzialność za zabójstwa, ale nie miała dowodów. A w czasach takich jak te mężczyźni pokroju Jorge nie musieli liczyć się z prawdą. Nie spała w nocy, zastanawiając się, co by mogło się jej przytrafić, gdyby ludzie potraktowali słowa Jorge poważnie.

Ale w pewnym sensie Teresa nabrała przekonania, że Jorge mówi prawdę. Przecież chciała, żeby brata spotkała jakaś kara. To ona wysłała do niego Oliwię, żeby poznała prawdę o mężczyźnie, któremu – o czym była przeświadczona – zawdzięczała swój sukces. Teresa zaczęła wierzyć, że Oliwia umarła właśnie przez nią, i nocami w poczuciu winy płakała rozpaczliwie w poduszkę. To, że do Harolda mogły dotrzeć plotki rozsiewane przez Jorge, bardzo Teresę martwiło, a jednocześnie po cichu tego właśnie sobie życzyła. Harold w akcie desperacji mógłby próbować ją zabić, a to przynajmniej położyłoby kres jej rozpaczom.

Przez pierwsze dni po pogrzebie Oliwii Harold, Sara i Teresa poruszali się tak, jakby stąpali pod wodą. Teresa miała wrażenie, że się dusi i brakuje jej powietrza. Marbella i Alhama wpadły w ręce buntowników, a mimo to Schlossowie nie chcieli się wyprowadzić. Dopiero gdy bomba o wadze

pięciuset kilogramów zabiła pięćdziesiąt dwie osoby w jednym z budynków w Maladze, a w hotelu Regina pewna dziewczyna straciła obie nogi w przeddzień ślubu, rodzina wyrwała się ze stanu apatii i otępienia po stracie córki.

Ostrzał marynarki wojennej nasilał się, podobnie jak naloty. Na wodach w pobliżu Fuengirolí krążyło pięć okrętów. W Maladze, jak podano, nikt już nie kontrolował sytuacji, żadne władze. Przestały działać wszelkie służby, organizacje, cokolwiek. Szalały bojówki, wysiadł prąd, nie kursowały tramwaje, nie było policji. Mówiono, że w porównaniu z Malagą Madryt wyglądał po nalotach, jakby szykował się na piknik.

– Musimy wyjechać – oznajmiła Haroldowi Teresa. – Proszę. Izaak nie żyje, a połowa wioski myśli, że to ja jestem temu winna. Jak mam tutaj dalej mieszkać?

– Przeżyjesz – powiedział.

– Proszę, señor, ciężko pracowałam. Jestem niewinna.

Popatrzył na nią.

– Naprawdę?

Teresa wytrzymała jego spojrzenie.

– Señor. Ja nigdy nie wyjawiałam pana sekretu.

Obserwując twarz Harolda, zauważyła, że zaczynał rozumieć. Sama starała się nie dać po sobie niczego poznać, chociaż serce waliło jej jak młot. Nie miała wyboru.

– Señor – ciągnęła. – Czy pańska żona nadal będzie wspierać pana finansowo, jeśli dowie się o Niemce?

– Zabieramy Teresę z Hiszpanii – powiedział nazajutrz Harold do żony. – Tylko tyle możemy zrobić. Wyjedzie na dokumentach Oliwii.

– Dobrze – odparła Sara, starannie unikając wzroku dziewczyny. Teresa doskonale wiedziała, że Sara miała mnóstwo powodów, by trzymać ją z dala od siebie, ale Teresa znała również sekret Sary i dlatego Angielka nie oponowała.

Odplywali chłodnym popołudniem. Dziwnie wyglądali po tych wszystkich przejściach, najbardziej nieprzystające do siebie trio na całym statku – to o czymś świadczyło. Ich wyprowadzce nie towarzyszył żaden splendor, w przeciwieństwie do momentu przyjazdu; niebo mieniło się różnymi odcieniami

szerości, morze w tle było bezkresne. Szczęk pordzewiałych łańcuchów odcumowywanych od nabrzeża portu w Maladze wywołał u Teresy stan szczęścia podszytego potwornym poczuciem winy. Bowiem z jednej strony odczuwała ulgę, że wyjeżdża, ale z drugiej nękały ją wyrzuty sumienia. Za możliwość jej ucieczki Oliwia zapłaciła życiem.

Wyraz jej twarzy odbijał się w rysach współpasażerów, w miarę jak ląd oddalał się i malał. Doświadczali cudu, niewolnego jednak od goryczy. Zdołali to zrobić, udało im się wydostać, ale jednocześnie pozostali tam, skąd chcieli się wyrwać, nie było co do tego wątpliwości. Teresa wiedziała, że jakaś jej część pozostała tam na zawsze.

Nigdy wcześniej nie płynęła statkiem. Znała tylko ląd. Harold powiedział, że ten statek to *destroyer*, niszczyciel. Teresa przypomniała sobie o swoim zeszycie ze słówkami do angielskiego. I nagle uświadomiła sobie, że ten angielski rzeczownik trafia w samo sedno. Chwyła się relingu, odpierając pokusę, żeby skoczyć, zanurkować w kipieli. Morze, tyle różnych odcieni, błoto i mleko, łupek i liść, a także metaliczny brąz, gdy słońce dopadło grzbietu fali, a niekiedy, w oddaleniu, tam, gdzie morska toń była jeszcze spokojna, niepocięta ostrymi łukami bałwanów, pojawiał się czystszy odcień błękitu. Teresa uświadomiła sobie, że wraz z upływem kolejnych miesięcy zaczęła pojmować, jak wiele istniało kolorów, których wcześniej w ogóle nie dostrzegała. Chciała, żeby wiatr smagał jej twarz, siekł i odbierał czucie, ale nic takiego się nie działo. Żadna siła natury nie mogła jej zabić.

Znowu pomyślała o poranku, kiedy znaleźli Oliwię. Harold nadal nie mógł pojąć, dlaczego wyszła w ciemnościach minionej nocy. Ogarnięty żalem po stracie córki, pragnął przede wszystkim stąd uciec, wydostać się z tego piekła, a jednak wciąż nie potrafił uwolnić się od jednej myśli – dlaczego w ogóle wyszła wtedy z domu. Nie przychodziło mu do głowy, że inni członkowie jego rodziny również mogli łaknąć miłości, szukać sensu lub ocalenia w innym człowieku. Ale gdy nastał tamten poranek, a Oliwia nie wróciła na śniadanie, Sara i Teresa spojrzały na siebie i uznały, że lepiej będzie milczeć w tej sprawie. Tak też zrobiły.

Poranny niepokój zamienił się w prawdziwy horror, gdy Harold, uświadomiwszy sobie, że córka zaginęła, pojechał samochodem jej szukać i znalazł ciało na wzgórzu. Godzinę później kobiety znów usłyszały

silnik i szcęk furtki, w którą puknął samochodem – na tylnym siedzeniu spoczywało bezwładne ciało Oliwii. Harold, zataczając się, podszedł do obu kobiet z córką w ramionach. „Zabierzemy ją ze sobą”, oznajmił, a jego głos brzmiał dziwnie głucho, jakby wydobywał się z tunelu, a on sam znajdował się wiele mil stąd. Na widok martwego dziecka Sara zupełnie się załamała.

Teraz, gdy Teresa próbowała to wszystko odtworzyć w pamięci, zmierzyć się z traumą raz jeszcze, by jakoś dalej żyć – pamiętała tylko oderwane fragmenty. Szczególnie utrwaliły jej się fizyczne aspekty całego wydarzenia: głuchy odgłos własnych kolan w zetknięciu z ziemią, smak taniej kawy z żołądździ, która podeszła jej do gardła, gdy zaczęła wymiotować na wyłożoną kamieniem posadzkę, dotknięcie białego, podbiegniętego fioletem ciała Oliwii – sztywnego, splamionego krwią, z wyzierającym spod swetra trzema ranami postrzałowymi.

– Nazywała to miejsce domem – bełkotliwym głosem powiedziała Sara parę godzin później, gdy siedzieli we trójkę w saloniku położonym od wschodniej strony. Harold był pijany, Sara nałykała się jakichś tabletek. Był to koszmar, który rozgrywał się naprawdę. Ciało Oliwii położyli w kuchni, w najchłodniejszej części domu, w głębi. – Musimy pochować ją tutaj – wyszeptała zdjęta żalem.

– Co stało się z moim bratem? – spytała Teresa. Sara zakryła twarz rękami.

– Jorge przyszedł po niego – odparł Harold. – Ja zabrałem tylko Oliwię.

– Jorge? – upewniła się Teresa. – Dokąd go zabrał?

– Nie wiem.

Gdy zarówno Sara, jak i Harold popadli w letarg, zamroczeni lekami i alkoholem – Sara na sofie, a Harold tak jak siedział, na fotelu – Teresa zauważyła, że jego szklanka do whisky zaczęła się zsuwać, dlatego postawiła ją na podłodze i na palcach wyszła na korytarz. Wyobraziła sobie, jak Jorge porzuca ciało jej brata gdzieś w lesie, może w jakimś płytkim grobie, którego w żaden sposób nie będzie można potem odnaleźć. Na samą myśl musiała oprzeć się o ścianę i przycisnąć dłoń do ust, żeby nie wyrwał się z nich żaden krzyk.

Oliwia nie wyglądała już jak Oliwia. Ciało w plamach, oczy zamknięte, wargi lekko rozchylone i odsłaniające zęby, przez co wydawała się jeszcze bardziej krucha i bezbronna. Teresa wyciągnęła rękę, by dotknąć ramienia

dziewczyny, i poczuła, jak bardzo było sztywne i twarde, teraz gdy nie płynęła już w nim krew. Odniosła wrażenie, że sama jest martwa – żywy trup, duch obleczony w ciało. Zauważyła, że coś wystaje z kieszeni spódnicy Oliwii. Była to fotografia ze zbiorów Izaaka, a na niej Oliwia i Izaak stojący na strychu przed obrazem: Rufina i Lew.

„Przysięgam ci na moje życie – powiedziała wtedy do Oliwii po hiszpańsku, wsuwając fotografię do kieszeni – że nie puszcę tego płazem”

Ale już wówczas, gdy wymawiała te słowa, jakiś cichy głos, który słyszała gdzieś w głowie, podpowiadał jej, że bardzo trudno będzie pomścić tę śmierć. Jak można walczyć z widmem na placu własnej wioski? To było najgorsze ze wszystkiego – że w obliczu tej bezsensownej straty Teresa była zupełnie bezsilna. Nic nie było w stanie przywrócić tym dwojgu życia. Żywa mogła pozostać jedynie pamięć o nich.

Następnego dnia Sara weszła na strych, akurat wtedy gdy Teresa kończyła pakowanie. Wszystkie farby Oliwii i szkicowniki zostały już pochowane. Został tylko obraz *Rufina i lew* oparty o ścianę.

– Czy to ten? – spytała Sara. – Kolejny?

– Tak.

Sara stała przed malowidłem w milczeniu i przyglądała się z uwagą przedstawionej scenie. Potem odwróciła się do Teresy, utkwiała w niej wzrok i powiedziała:

– Tereso, co robi tutaj ten obraz Izaaka?

– Oliwia... się nim opiekowała.

– Dlaczego?

– Nie wiem.

Sara znów obróciła się w stronę obrazu.

– Rozumiem. – Podeszła bliżej i położyła dłoń na jego obrzeżu.

– Niech mnie diabli wezmą, jeśli ta Guggenheim go dostanie – powiedziała łamiącym się głosem. – Ten obraz jest mój.

– Nie, nie, señora, on musi iść do muzeum Peggy Guggenheim.

Sara gwałtownie odwróciła się w jej stronę.

– Ty mi mówisz, co mam robić? To ostatnia rzecz, która mi pozostała...

– Señora... – błagała ją Teresa.

Sara zmrużyła oczy.

– Co tam masz w ręku?

– Nic – odparła Teresa, chowając za plecami fotografię.

– Pokaż mi.

Sara chwyciła zdjęcie. Gdy zobaczyła na nim Izaaka i własną córkę uchwyconych w momencie, kiedy wydawali się bardzo szczęśliwi, zakryła usta dłonią i ruszyła do wyjścia, taszcząc za sobą po podłodze *Rufinę i lwa*.

– Myślę, że ciało Izaaka jest gdzieś w lesie. Pomoże mi pani go pochować!...

– krzyknęła Teresa w kierunku schodów.

– Milcz – powiedziała Sara. Zatrzymała się, ale nie obróciła do Teresy. Jej ręka powędrowała w górę i dotknęła rozwichrzonych loków. Teresa zauważyła, że matka Oliwii cała drży. – Nie mogę – wyszeptała Sara. – Nie mogę ci pomóc. – Zataczając się, zeszła po schodach.

Gdy Teresa zobaczyła, że obraz znika razem z Sarą, poczuła, jak opuszczają ją siły. Ale przecież nie mogła wyszarpnąć go Sarze z rąk. Jeśli chciała wyjechać do Anglii, to przynajmniej na razie nic więcej nie mogła zrobić.

Teresa próbowała teraz przegonić te wspomnienia. Oparła brodę o reling. Statek coraz szybciej pruć wodę. Zastanawiała się, co też Sara może zrobić z obrazem i fotografią. W tej chwili malowidło znajdowało się na statku. Beznamiętnie zaczęła przemyśliwać, czy nie powinna zakraść się i przełożyć obrazu do swojego kufra. Ale to byłoby zbyt ryzykowne, nie powinna zwracać na siebie uwagi. Fotografię pewnie łatwiej byłoby ukraść i schować – Sara prawdopodobnie trzymała ją w portfelu. Czy kobiecie bardziej zależało na zdjęciu Izaaka czy Oliwii? Trudno stwierdzić, ale tak czy inaczej Sara traktowała tę fotografię jak talizman – w ogóle się z nią nie rozstawała.

Teresa niemal nie zdawała sobie sprawy z obecności innych pasażerów na pokładzie, gdy wybrała się na spacer przed zapadnięciem mroku.

– Dobry wieczór – powiedział jakiś mężczyzna, wrywając ją z zamyślenia.

Teresa wzdrygnęła się, wzrok zawiesiła na linii horyzontu i mocniej naciągnęła na głowę wełnianą czapkę, którą nosiła, żeby zakryć krótkie kędzierzawe włosy. Nie miała ochoty na rozmowę.

– Co za cholerny wstyd – ciągnął dalej mężczyzna. Anglik. Młody, trzymający się prosto. Teresa zwróciła uwagę na jego palce zaciśnięte na relingu – wyrastały na nich małe czarne włoski.

– Źle się dzieje – powiedział. – Powinienem być zostać, ale nie mogłem.

Musieliśmy zamknąć konsulat.

Teresa spojrzała na niego. Mężczyzna miał błękitne tęczołki i surowy wyraz twarzy. Kojarzył jej się z bohaterem powieści przygodowych. Marszczył czoło i wyglądał tak, jakby mówił sam do siebie. Teresa zauważyła cienie pod jego oczami – oznaka kłopotów ze spaniem. Ale w końcu to on zagadnął ją o samopoczucie.

– Wszystko w porządku, dziękuję – odparła Teresa, starając się mówić po angielsku najlepiej, jak potrafiła. Spojrzała przez ramię.

Harold i Sara nie wyłonili się ze swoich kajut. Nie chciała, żeby widzieli, że z kimś rozmawia, ale zastanawiała się, czy w obecnej sytuacji w ogóle by ich to obchodziło. Sara nalegała, by wracali do Londynu, ale Harold chciał odnowić kontakt z Peggy Guggenheim w Paryżu. Było pewne, że ich drogi się rozejdą. Teresa to widziała, nawet jeśli oni jeszcze nie do końca sobie to uświadamiali. Oliwia kładła się cieniem pomiędzy nimi, była miernikiem ich winy, wzajemnych oskarżeń i bólu.

– Dlaczego nie mógł pan zostać? – spytała nieznajomego.

– Z powodu bomb. A poza tym również inne części Europy wymagają naszej uwagi. Niemniej jednak – odchrząknął – nie uważam, żeby to było w porządku.

– Nie jest.

– Jak ma pani na imię? – zapytał.

Nic nie odpowiedziała, a wtedy na jego zmęczonej twarzy pojawił się wyraz rozbawienia.

– Rozumiem – ciągnął. – OK, jak pani chce. Wyczuwam jednak obcy akcent. Mówi pani po hiszpańsku?

– Tak.

Teresa wyczuła, że mężczyzna był nią zaintrygowany. W torbie, z którą się nie rozstawała od czasu, gdy opuściła finkę, miała list z akademii sztuk pięknych informujący o przyjęciu Oliwii na studia, a także telegram od Peggy Guggenheim, w którym właścicielka galerii wyrażała zniecierpliwienie z powodu nieotrzymania kolejnego obrazu Izaaka Roblesa. Biorąc pod uwagę fakt, że wszystkie dokumenty potwierdzające jej tożsamość trzymał u siebie Harold, te tutaj były jedynymi, jakie jej pozostały. Dotknęła torby. Z powodu zmęczenia przestała mieć się na baczności. W głowie czuła taki natłok myśli, że

z trudem panowała nad nerwami. Wyobraziła sobie, że wyrzucą ją za burtę, gdy ktoś odkryje, że podszywa się pod kogoś innego, dlatego mocniej uchwyciła się poręczy.

– A może zna pani jeszcze jakieś inne języki? – dalej indagował mężczyzna, podając jej swoją piersiówkę, z której z wahaniem się napiła. Powiedziała mu, że mówi trochę po niemiecku. To zaintrygowało mężczyznę jeszcze bardziej.

– Dokąd pani jedzie? – zapytał.

– Do Anglii.

– A konkretnie?

– Do Londynu. Curzon Street.

– Pięknie. Ma tam pani jakąś rodzinę?

– Rodziców.

– Rozumiem – powiedział, ale nie wyglądał na przekonanego.

Teresa czuła, że jest bliska załamania.

– A co będzie pani robić, gdy dojedzie już na miejsce? – naciskał.

Teresa podejrzewała, że zarówno Harold, jak i Sara, choć z zupełnie różnych powodów, cieszyliby się z jej odejścia. I tak dosyć już dla niej zrobili, zabierając ją ze sobą z Hiszpanii, by chronić własne tajemnice, i wykorzystując w tym celu dokumenty córki. Teresa zdawała sobie sprawę, że była dla nich niewygodna i że najchętniej by o niej zapomnieli. Nie miała pewności, jak daleko może jeszcze przeciągać strunę.

– Nie wiem, co będę robić – odparła zgodnie z prawdą. Uważała, że nie ma nic złego w tym, że przemyci jakieś prawdziwe zdanie wśród morza wymijających odpowiedzi.

– Może będę umiał pani pomóc, jeśli pani również zechce mi pomóc – zadeklarował.

– Jak? – zapytała. W tle, za jej głową, wybrzeże Hiszpanii zupełnie zniknęło już z pola widzenia.

– Niech się pani zgłosi pod ten adres – powiedział. – Kiedy będzie pani mogła. Ale najlepiej w poniedziałek.

Teresa wzięła niewielką wizytówkę, którą jej zaoferował, i przeczytała nagłówek: „Ministerstwo Spraw Zagranicznych, Whitehall, Londyn”. Nie wiedziała, co to takiego, ani jak się tam dostać, ale bała się, że jeśli przyzna się mężczyźnie do swojej niewiedzy, on wycofa propozycję. Próbowwała go

rozgryźć: czy pragnął jej ciała? Nic na to nie wskazywało, ale do tej pory zdążyła się już nauczyć, jak fałszywi potrafili być Anglicy i jak łatwo przychodziło im mówić dokładnie coś odwrotnego, niż myśleli.

Mężczyzna zauważył jej wahanie.

– Obiecuję pomóc, proszę się nie krępować.

Teresa odwróciła się, żeby znowu podziwiać horyzont. Przypomniała sobie *Rufinę*... namalowaną przez Oliwię – postać dziewczyny, jej odciętą głowę, i lwa – obraz ukryty był głęboko na statku. „Zginęła – pomyślała Teresa – ponieważ próbowałam ją ocalić”. Spojrzała w dół, na wodę, pamiętając obietnicę, którą złożyła po cichu przy martwym ciele przyjaciółki.

– Whitehall – powtórzyła, zwracając się do mężczyzny. – Najlepiej w poniedziałek.

Nieznajomy uśmiechnął się znowu.

– Doskonale. Mam nadzieję, że się tam spotkamy.

Teresa usłyszała jego oddalające się kroki. Przesunęła palcami po wizytówce. Miała kremowy kolor i wyglądała poważnie, budziła szacunek. Odwróciła wizytówkę na drugą stronę. Nie było tam nic poza nazwiskiem: Edmund Reede. Powtórzyła jeszcze raz pod nosem te dziwne słowa, zanim wsunęła wizytówkę do torby. Chociaż nie potrafiła sobie wyobrazić, co to właściwie jest ten Whitehall ani w jaki sposób Edmund Reede zamierzał jej pomóc, wiedziała na pewno, że nie zostawia za sobą nic, do czego chciałaby wrócić.

Pozostali pasażerowie poszli już do siebie. Ochłodziło się, ostatnie promienie słońca zaczęły znikać, ale mimo to Teresa została na pokładzie. Nawet wtedy, gdy już zdrętwiała z zimna, nawet wtedy, gdy noc ogarnęła cały horyzont, Teresa wciąż czekała. Wpatrywała się w ciemność, obserwowała gwiazdy, a niszczyciel torował sobie drogę do brzegów Anglii.

EPILOG



Od razu rozpoznałam prawnika pani Quick. Był to szczupły mężczyzna w garniturze, którego widziałam wcześniej w galerii na wystawie „Połknięte stulecie” – wpatrywał się z wielką uwagą w obraz *Rufina i lew*. Nazywał się Frederick Parr i bez zbędnych ceregieli zaprosił mnie do swojego biura, gdzie wręczył mi grubą teczkę związaną z boku czerwoną wstążeczką. Ręka lekko mi zadrżała, z trudem oddychałam. Chciałam go zapytać, jak zdołał się dostać na wystawę tamtego wieczoru – czy zaprosiła go pani Quick, a jeśli tak, to dlaczego.

Byłam jednak zbyt onieśmielona, a ciężka teczka, którą trzymałam w ręku, też chyba miała na to jakiś wpływ, bo uparcie milczałam.

– Życzeniem pani Quick było, by nikt inny nie miał wglądu do tej teczki, tylko pani – oznajmił pan Parr.

– Dziękuję. – Wcisnęłam teczkę do torby i zaczęłam zbierać się do wyjścia, czując ulgę, że sprawa została zakończona.

– To nie jedyny powód, dla którego panią tutaj zaprosiłem – mówił dalej pan Parr. – Proszę, niech pani jeszcze zostanie, panno Bastien.

Zastosowałam się do jego życzenia, przemaszerowałam po szarej wykładzinie i usiadłam na dużym drewnianym krześle przed jego biurkiem. Parr jeszcze przez chwilę krążył wokół masywnego mebla, zanim w końcu usiadł naprzeciwko mnie. Atmosfera pomiędzy nami zgęstniała. Zrozumiałam, dlaczego Quick mogła zatrudnić akurat jego do prowadzenia spraw finansowych – otóż Parr pozostawał chłodny i opanowany pomimo mojego oczywistego zdenerwowania. Wprost idealnie nadawał się do realizacji jej celów. Zachowywał się jak sfinks.

Miał za zadanie wypełniać jej zalecenia i tym tylko się zajmował.

Spojrzał na dokument leżący na jego biurku.

– Panno Bastien – powiedział, unosząc obie dłonie i łącząc ze sobą opuszki chudych palców w charakterystycznym geście piramidy. – Marjorie wymieniła panią w testamencie.

Usłyszałam, co powiedział, i chociaż rozumiałam każde słowo, nadal nie wiedziałam, do czego zmierza.

– Słucham?

Parr zamrugał oczami, niewzruszony jak jaszczurka. Na zewnątrz, w dole,

miasto huczało od klaksonów samochodów.

– Miała dom w Wimbledonie – powiedział.

– Tak.

– Zapisała go pani w spadku. Na wieczyste użytkowanie.

W pewnym momencie musiałam opuścić biuro przy Bread Street i wrócić do stacji metra St. Paul's. Prawdopodobnie szłam dość wolnym krokiem, z mieszanymi uczuciami. Quick zapisała mi w testamencie swój dom. Podpisałam jakieś dokumenty. To wszystko było dość przytłaczające. Kiedy, w którym momencie podjęła taką decyzję?

I dlaczego akurat ja? Był to spadek, na jaki nigdy nie liczyłam, nawet w najśmielszych snach.

Z pewnością mocno przyciskałam do siebie torbę z jej teczką. To przynajmniej był jakiś konkret – gest utrwalony na papierze, coś, co miałam szansę lepiej zrozumieć. Może właśnie tam kryły się odpowiedzi na wszystkie moje pytania. Prawdopodobnie byłam przerażona, że ktoś może mnie napaść i dlatego przez całą drogę pociągami do Clapham Common nie miałam odwagi zajrzeć do teczki. Mój pakunek niemal mnie parzył, ale koniecznie chciałam przeczytać zawartość teczki w spokoju i samotności.

Jakoś dojechałam do mojej stacji, a gdy tylko pokonałam schody do mieszkania i przeszłam przez drzwi, czym prędzej rozwiązałam wstążkę i zaczęłam czytać. „Droga Odelle, to długa historia...” – taki był początek. Aż do północy siedziałam zatopiona w lekturze. Zapomniałam o jedzeniu, miałam zeszywniały kark, ale to wszystko nie miało większego znaczenia. Tekst zawierał absolutnie wszystko, co Quick kiedykolwiek chciała mi przekazać, ale nie mogła znaleźć odpowiednich słów, żeby mi o tym opowiedzieć twarzą w twarz. Ludzie, miejsca, wieczory spędzane pod bezkresnym andaluzyjskim niebem. Jej historia była wspanialsza i bardziej intrygująca, niż ja kiedykolwiek byłabym w stanie sobie wyobrazić. Gdy skończyłam, zaczerwienione oczy zamykały mi się ze zmęczenia, a w głowie huczało, ale uświadomiłam sobie jeszcze jedną rzecz. Na tych kartach zawarte było także wszystko to, czego Oliwia Schloss nigdy nie chciałaby ujawnić światu.

Ta teczka potwierdzała, że Quick konsekwentnie i honorowo milczała na temat obrazu *Rufina i lew*, co ewidentnie kłóciło się z jej pragnieniem, by

opowiedzieć innym historię Oliwii Schloss, zanim będzie na to za późno. Przez większą część czasu, gdy się znałyśmy, Quick przechodziła kryzys. Była „w odśrodkowym wirze”^[15]. Fotografia ukazująca jej brata i Oliwię, a także obraz przedstawiający Rufinę, oglądane po tylu latach, musiały oddziaływać na nią niezwykle mocno.

To dlatego Quick rozumiała lepiej niż ktokolwiek inny, co obraz reprezentował. Obserwowała, jak stał się zwykłym towarem, jak zyskał nową formę i jak po raz kolejny jego autorstwo zostało przypisane Izaakowi.

Jako Teresa Robles wiedziała, że Oliwia chce pozostać osobą anonimową. Jako Quick czuła, że to niesprawiedliwe. Obydwie natury stały ze sobą w sprzeczności. Napięcie, które temu towarzyszyło, i pamięć o tym, co zdarzyło się w tamtych ostatnich dniach pobytu w Hiszpanii – w połączeniu z działaniem silnych środków uśmierających ból – bez wątpienia spowodowały u Quick nasilenie halucynacji i uczyniły ją jeszcze bardziej niż zazwyczaj niezdolną do zapanowania nad emocjami i osiągnięcia spokoju. To, co zostawiła mi w teczce do przeczytania, ostatecznie wyjaśniało jej dziwne zachowanie, to stałe popadanie w skrajności. Teresie puściły nerwy, ponowne pojawienie się obrazu okazało się doświadczeniem ponad jej siły.

Nadal nie wiem, czy jej śmierć była przypadkowa. Najczęściej myślę, że jednak nie. Uświadomiła sobie, że nigdy nie znajdzie odpowiednich słów, by opisać, co się wydarzyło podczas ostatnich dni życia Oliwii. Można też przyjąć, że w obliczu tak agresywnego nowotworu chciała mieć wpływ na tę część życia, która jej jeszcze pozostała, i dlatego zdecydowała, że przekaże mi teczkę za pośrednictwem swojego prawnika. Często myślę o zeszycie do angielskiego Teresy. Wyrzucony przez Jorge, ponownie odkryty przez Oliwię, a potem jeszcze raz znaleziony w teczce przeze mnie. Wygląda na to, że podobnie jak ja Quick przedkładała słowo pisane nad inne środki wyrazu, bo właśnie ta forma pomagała jej lepiej zrozumieć świat.

Nie zostawiła Parrowi żadnych konkretnych instrukcji odnośnie do tego, co powinnam zrobić z teczką. Dlatego przez lata nie zrobiłam nic. Tak naprawdę aż do dzisiejszego dnia nie zdradziłam nikomu, co czytałam w łóżku tamtego zimnego listopadowego dnia. Nie rozmawiałam o tym nawet z Reede'em, chociaż może powinnam.

W teczce Quick nie wyjaśniła szczegółowo, co wydarzyło się w jej życiu po

przyjeździe do Anglii, ale bez wątpienia przyjął propozycję Reede'a, żeby spotkać się z nim w Whitehall. Przypuszczam, że z jej znajomością języków i koneksjami Reede'a w Ministerstwie Spraw

Zagranicznych mogła być bardzo przydatna Wielkiej Brytanii w czasie, gdy świat zmierzał z jękiem prosto ku wojnie. Do początku lat czterdziestych w Hiszpanii pojawiło się całkiem sporo nazistów. Jestem przekonana, że w pewien sposób również Brytania – jak i Reede – byli przydatni dla niej. Wdzięczność przybiera różne dziwne formy. Na przykład w postaci domu na zielonych terenach Wimbledon Common.

Stałam się tak samo dyskretna jak Teresa, jeśli chodzi o nieujawnianie cudzych tajemnic. Nigdy nie powiedziałam Lawrie'emu, że Quick najprawdopodobniej była jego ciotką, z którą spotkał się kilka razy, nie zdając sobie nawet sprawy z łączącego ich pokrewieństwa. Nie chciałam uruchamiać pewnych mechanizmów, skoro i tak, jak sędzę, nigdy nie mogłabym swoich przypuszczeń w żaden rozstrzygający sposób udowodnić, a poza tym Quick przecież nie żyła. Taka wiadomość wniosłaby tylko niepotrzebny ferment w życie Lawrie'ego – dowiedziałby się o wszystkim poniewczasie, gdy i tak było już za późno na nawiązanie kontaktu. W teczce, którą mi pozostawiła, Quick wspomniała o romansie Sary z Izaakiem, ale nie napomknęła nic o ciąży. Wiedziałam, że Sara Schloss była matką Lawrie'ego, że była w ciąży, kiedy wróciła do Anglii, bo przecież Lawrie sam mi o tym opowiedział. Ale nie da się wykluczyć – biorąc pod uwagę ramy czasowe – że Teresa, czyli Quick, nie wiedziała, że Sara zaszła w ciążę w trakcie swojego romansu z Izaakiem. Możliwe, że Quick nie domyśliła się, że mogły istnieć związki krwi pomiędzy Lawrie'em a jej bratem.

To oczywiście nie wyjaśnia, dlaczego Quick miała w swoim notesie adres Scottów i dlaczego tak się interesowała matką Lawrie'ego.

Może chodziło o ustalenie, w jaki sposób Lawrie wszedł w posiadanie obrazu? Może chciała się tego dowiedzieć, zanim rak całkowicie ją wyniszczy? Czasami naprawdę głęboko się zastanawiam, czy Quick mogła dostrzegać w twarzy Lawrie'ego jakieś podobieństwo do swojego brata. Czy raczej rozpoznawała w nim rysy Harolda Schlossa? A może w ogóle ją ta sprawa nie interesowała? Bez względu na to, jak faktycznie było, jakoś zawsze bez entuzjazmu odnosiła się do mojego związku z Lawrie'em.

Wystarczy spojrzeć na fotografię przedstawiającą Izaaka Roblesa, by zauważyć podobieństwo pomiędzy nim a Lawrie'em – ale Harold również miał ciemne włosy. Pytanie, kto był naprawdę ojcem

Lawrie'ego, pozostawało bez odpowiedzi. Czasami nurtuje mnie też pytanie, czy Lawrie czegoś się nie domyślał, biorąc pod uwagę to, jak bardzo enigmatyczne były wyjaśnienia Sary na temat jego ojca. A mimo to zawsze będę pamiętać moment, kiedy poprosił Reede'a o odbitkę zdjęcia portretującego Izaaka Roblesa.

Niektórzy uważają, że moje milczenie przez wszystkie te lata było błędem. No bo w końcu jeśli już jakiś obraz Izaaka Roblesa pojawia się na rynku sztuki – co zdarza się niezmiernie rzadko – to zawsze osiąga astronomiczne ceny. Oliwia Schloss z pewnością zasłużyła na swój artystyczny sukces, a Lawrie na to, by poznać całą historię. Ale czy naprawdę istnieje coś takiego jak kompletna historia albo artystyczny sukces? Odpowiednie spojrzenie w lustro? Wszystko zależy od tego, gdzie pada światło. Teresa Robles widziała, jakie korzyści płyną z pozostawania anonimowym, a czytając historię Oliwii, również ja je dostrzegałam. Na ile potrafię to ocenić, wydaje mi się, że rzeczywiście była zadowolona z tego, że tworzy pod pseudonimem. Przede wszystkim liczyła się dla niej sama praca.

Rufina... wisi teraz nie gdzie indziej, tylko w National Gallery przy Trafalgar Square, za tymi ogromnymi lwami, gdzie kiedyś spotkałam się z Cynthią – czekała ubrana w nowy kożuszek. Obraz trafił na kilka lat do prywatnej kolekcji, po czym wrócił na aukcję i został zakupiony przez państwo na fali wzmożonego zainteresowania sztuką XX wieku. Doszło wtedy do zacieklej rywalizacji z Muzeum Prado w Madrycie i, jak sądzę, Reede musiał być niesamowicie usatysfakcjonowany tym, że Hiszpanie jednak obrazu nie dostali. Nigdy nie potrafił im wybaczyć, że kiedyś nie wypożyczyli mu obrazu Goi. Fotografia została zwrócona do Prado. Ale to, jak się w ogóle tam znalazła, pozostaje tajemnicą. Przypuszczam, że to Sara przekazała ją hiszpańskiemu Muzeum Narodowemu, podejmując nieudolną próbę podtrzymania ich zainteresowania Izaakiem Roblosem.

Po śmierci Quick nastąpił dość dziwny okres. Wystawa została uznana przez Instytut Skeltona za sukces, a Reede był zadowolony z rozgłosu i zysków, jakie przyniosła ekspozycja. Gerry rzeczywiście sprzedał dom Sary, więc Lawrie

stracił dach nad głową dokładnie w tym momencie, kiedy ja znalazłam swój. Sprzedaż obrazu *Rufina i lew* pozwoliła Lawrie'emu zerwać więzy łączące go z matką i jej dawnym życiem, z Gerrym, z całym ich światem. A przynajmniej taką miał nadzieję. W rzeczywistości sztuka rzadko nagina się do ludzkich pragnień. Myślę, że taki obraz jak ten odcisnął na nim trwałe piętno, nawet jeśli zniknął z jego pola widzenia. Część pieniędzy uzyskanych ze sprzedaży *Rufiny*... Lawrie przeznaczył na podróż do Ameryki. Zaprosił mnie, bym mu towarzyszyła, ale ja zostałam w Londynie, ponieważ chciałam zamieszkać w domu Quick i nadal pracować w Instytucie Skeltona.

Ostatecznie Lawrie nie wrócił.

Młodość cechuje się dużą plastycznością, podobnie jak młoda skóra. Lawrie dzwonił co tydzień z Nowego Jorku, żeby mi powiedzieć, że za mną tęskni i pytał, dlaczego nie przyjeżdżam. Ale ja byłam tam, gdzie chciałam być i szczerze mówiąc, nie tęskniłam za Lawrie'em aż tak bardzo, jak mogłabym tęsknić za moją pracą. Nakłaniał mnie, bym nadal pisała, a ja zastosowałam się do jego rady. Oczywiście lepiej by było, gdybym nie musiała wybierać między pisaniem a miłością, ponieważ dla mnie obie te sfery często się przenikały.

Był to czas nowych doświadczeń w moim życiu, które odbierałam w całej ich ostrości, bez łagodzącego spojrzenia dojrzałego wieku.

Byłam jak bohater bajki o Jasiu i magicznej fasoli. Moje życie przypominało zielony pęd, który intensywnie się zielenił i stawał coraz dorodniejszy, wystrzelając w górę w tak niesamowitym tempie, że ledwo mogłam się na nim utrzymać. Kochałam i straciłam miłość, odkryłam w sobie nowe zdolności twórcze i poczucie przynależności. A także zdarzyło się jeszcze coś głębszego, mroczniejszego, przez co wszyscy przechodzimy – a jeśli nie, z pewnością mamy to jeszcze przed sobą: nieunikniony moment, kiedy nagle zdajemy sobie sprawę, że jesteśmy sami.

Być może nie musiałam wybierać. Może sama ustanowiłam tę dychotomię. Tak czy inaczej telefony stały się coraz rzadsze, aż w końcu w ogóle ustały.

Tamtego dnia, kiedy przyjechałam z kluczami do domu Quick, zabrałam ze sobą Cynthię i Pamelę. Miejsce to wyglądało prawie tak samo jak wtedy, gdy sanitariusze wynosili stamtąd Quick na noszach.

W powietrzu rozchodził się delikatny zapach jej Eau Sauvage. Było zimno.

Ogrzewanie zostało wyłączone, a zbliżał się grudzień. Liczyłam, że może w kuchennych drzwiach pokaże się mordka jej kota, ale zwierzak gdzieś przepadł.

Chodziłyśmy od pokoju do pokoju. To nie jest duży dom. Cztery pomieszczenia na górze – trzy sypialnie i łazienka, w której marznie się zimą z powodu przesadnie wielkiego okna z pojedynczą szybą i wszechobecnych kafelków. Quick nie zgromadziła wielu rzeczy. Proste łóżka, piękne dywany, spękane sufity. W pokoju, który, jak mi się wydaje, był jej sypialnią, miała mały stół wciśnięty pod wychodzące na ogród okno. Na stole stała maszyna do pisania, ta, na której pisała to, co znalazłam potem w teczce. Wbiłam wzrok w maszynę. Miałam nieodparte wrażenie, że odwzajemniła mi się tym samym.

Od tego czasu każdego dnia starałam się zrobić z niej dobry użytek.

Niekiedy proszą mnie, bym spojrzała na swoje książki z pewnego dystansu. Uświadamiam sobie wtedy, że przez całe życie starałam się zrozumieć, co takiego właściwie się wydarzyło, gdy poznałam Marjorie Quick. To jej poświęciłam swoje pierwsze, pełne uwielbienia teksty – od tego zaczęło się moje pisanie. Wszystkie moje zainteresowania, ton i styl, jaki obrałam, są wypadkową tamtego krótkiego okresu w moim życiu. Pisząc, wciąż zmieniam perspektywę, próbując dociec, jak to się stało, że kiedyś sama się zmieniłam.

Często odwiedzałam National Gallery specjalnie po to, by zobaczyć obraz *Rufina i lew*, stać razem z publicznością i kontemplować jego nieprzemijające piękno. Wszystko to, co Teresa sobie zamierzyła tyle lat temu, w pewien sposób się ziściło. A jednak gdy ostatnio przyglądałam się obu siostrom, uświadomiłam sobie, że za tymi oczami i pociągnięciami pędzla kryje się jeszcze całkiem inna historia, w pewnej mierze należąca teraz i do mnie. Historia ta opowiada o pewnej kobiecie, której ciało spoczęło pod drzewem oliwnym. I o innej, która wyruszyła w nieznany świat. No i o mnie.

Ponowne odkrycie dzieła *Rufina i lew* w 1967 roku zbiegło się w czasie z moimi małymi przebudzeniami: to wtedy zaczęłam rozumieć Quick, Cynthię z jej malutkim dzieckiem, miałam romans z Lawrie'em i to wówczas zaczęłam wierzyć w swój pisarski talent. Ten obraz uruchomił w moim życiu bomby z opóźnionym zapłonem, które po kolei zaczęły wybuchać – czasami był to zaledwie niewielki huk, a kiedy indziej eksplozja o niespotykanej sile rażenia –

wszystko na przestrzeni kilku dekad.

Z kolei od zeszłego roku zaczęło nurtować mnie pewne pytanie, równie nieustępliwe jak lew, który przykuwa nas wzrokiem i nie pozwala się ruszyć. Przez lata sprawiało mi przyjemność, że to ja dostąpiłam zaszczytu wtajemniczenia i poznałam skrzętnie skrywaną prawdę, niesamowity sekret dziewiętnastoletniej dziewczyny, malującej obraz na strychu domu wynajmowanego przez jej ojca w Hiszpanii.

Zaczęłam się jednak zastanawiać, czy to możliwe, że ktoś spojrzy na *Rufinę...*, potem na mnie i uwierzy w to wszystko? I to właśnie raczej ta nowa ciekawość, a nie z trudem wypracowana pewność siebie, stała się motorem mojego dalszego pisania.

Chociaż odpowiedź na moje pytanie właściwie pozostaje nieznana, ja sama jestem przekonana, że ją znalazłam. W życiu nauczyłam się jednego: dzieło sztuki odnosi sukces tylko wówczas, gdy jego twórca – żeby sparafrazować Oliwię Schloss – ma wiarę, która powołuje je do istnienia.

ODELLE BASTIEN
WIMBLEDON, 2002

BIBLIOGRAFIA

SZTUKA

John Berger – *About Looking* (Writers' and Readers' Publishing Co-op, 1980), przekład polski *O patrzeniu*, tłum. Sławomir Sikora (Fundacja Aletheia, Warszawa 1999)

Rosamond Bernier – *Matisse, Picasso, Miró – As I Knew Them* (Sinclair Stevenson, 1991)

Rosamond Bernier – *Some of My Lives* (Farrar, Straus & Giroux, 2011)

Whitney Chadwick – *Women, Art and Society* (Thames & Hudson, V wydanie, 2012), przekład polski *Kobiety, sztuka i społeczeństwo*, tłum. Ewa Hornowska, Rebis, 2015)

Peggy Guggenheim – *Out of This Century: Confessions of An Art Addict* (Deutsch, 1980)

Philip Hook – *Breakfast at Sotheby's* (Penguin, 2013)

Debra N. Mancoff – *Danger! Women Artists At Work* (Merrell, 2012)

LONDYN

Jane Reed – *Girl About Town: How to Live in London – And Love It!* (Tandem, 1965)

HISZPANIA I HISZPAŃSKA WOJNA DOMOWA

Richard Barker – *Skeletons in the Closet, Skeletons in the Ground: Repression, Victimization and Humiliation in a Small Andalusian Town – The Human Consequences of the Spanish Civil War* (Sussex Academic Press, 2012)

Henry Buckley – *The Life and Death of the Spanish Republic: A Witness to the Spanish Civil War* (I.B. Tauris, 2014)

Julián Casanova – *A Short History of the Spanish Civil War* (I.B. Tauris, 2012)

Federico Garcia Lorca – *Romancero Gitano* (1928)

Helen Graham – *The War and Its Shadow: Spain's Civil War in Europe's Long Twentieth Century* (Sussex Academic Press, 2012)

Arthur Koestler – *Dialogue with Death* (1942)

Laurie Lee – *A Moment of War* (Viking, 1991)

Laurie Lee – *As I Walked Out One Midsummer Morning* (1969)

Paul Preston – *The Spanish Holocaust* (HarperPress, 2011)

Gamel Woolsey – *Death's Other Kingdom* (1939)

WIELKA BRYTANIA W OCZACH PRZYBYSZÓW Z KARAIBÓW

Lloyd Braithwaite – *Colonial West Indian Students in Britain* (UWI Press, 2001)

Mary Chamberlain – *Narratives of Exile and Return* (St Martin's Press, 1997)

O.R. Dathorne – *Dumplings in the Soup* (Cassell, 1963)

Donald Hinds – *Journey to an Illusion: The West Indian in Britain* (Heinemann, 1966)

C.L.R. James – *Black Jacobins* (Martin, Secker & Warburg, 1938) George Lamming – *The Pleasures of Exile* (Michael Joseph, 1960)

Kei Miller (ed.) *New Caribbean Poetry; An Anthology* (Carcanet, 2007)

Edgar Mittelholzer – *With A Carib Eye* (Secker & Warburg, 1958) V.S. Naipaul – *Miguel Street* (Deutsch, 1959)

Bill Schwarz – *West Indian Intellectuals in Britain* (MUP, 2003)

Sam Selvon – *The Lonely Londoners* (Alan Wingate, 1956)

Andrea Stuart – *Sugar in the Blood* (Portobello, 2012)

Henri Tajfel and John Dawson – *Disappointed Guests* (OUP, 1965)

RADIO

Radio 4 (2015): *Raising the Bar: 100 Years of Black British Theatre and Screen* (prowadzący Lenny Henry), zwłaszcza odcinek 2, *Głosy z Karaibów* – pisarze i aktorzy z Karaibów podejmujący pracę w Londynie

FILM

London – The Modern Babylon (reż. Julien Temple, 2012)

The Stuart Hall Project (reż. John Akomfrah, 2013) – przedstawiający ważne wydarzenia krajowe i międzynarodowe, takie jak migracja z Indii Zachodnich do Wielkiej Brytanii, kryzys sueski, powstanie na Węgrzech, narodziny

młodzieżowej kontrkultury, walka o przestrzeganie praw obywatelskich, wojna w Wietnamie, a także mieszane odczucia samego Halla, powojennego imigranta, odnośnie do pojęcia „brytyjskości”

Fighting for King and Empire: Britain's Caribbean Heroes (film dokumentalny BBC4, producenci: Marc Wadsworth i Deborah Hobson z The-Latest.com, po raz pierwszy wyemitowany w maju 2015 roku, odwołujący się do innego filmu dokumentalnego, *Divided by Race, United by War And Peace*, również wyprodukowanego przez The-Latest.Com)

PODZIĘKOWANIA

Francesce Main, Megan Lynch i Jennifer Lambert, które umożliwiły mi
napisanie tej książki;

Juliet Mushens, która mnie wspierała;

Sashy Raskin i Sarze Manning, które pomogły mi ze wszystkim zdążyć;

Profesor Mary Chamberlain, która poświęciła mi czas i poszerzyła horyzonty;

Colinowi McKenzie, który podzielił się ze mną wiedzą o sztuce;

Profesor Patrycji Mohammed z Uniwersytetu Indii Zachodnich (Trynidad),
która nie żałowała mi porad związanych z językiem Odelle i Cynthii;

Gail Bradley, która starannie dopracowała tekst – wszelkie niedociągnięcia
wynikają zatem wyłącznie z mojej winy.

A także Alice O'Reilly, Teasel Scott i mojej rodzinie – choć to mniej oczywiste,
również dzięki wam mogłam napisać tę powieść.

I Pipowi Carterowi – za wszystko.

PRZYPISY

[1] Pemberley – nazwa posiadłości pana Darcy’ego z *Dumy i uprzedzenia* Jane Austen.

[2] Nancy Mitford – angielska pisarka pochodząca z rodziny arystokratycznej, opisująca życie wyższych sfer. Przez wiele lat korespondowała z pisarzem Evelynem Waughem.

[3] Evelyn Waugh – angielski pisarz, w swoich powieściach opisywał brytyjską arystokrację.

[4] Muriel Spark – szkocka pisarka.

[5] *Beti* – w trynidadzkiej odmianie języka angielskiego oznacza „córkę”

[6] *Finca* (hiszp.) – nazwa używana na określenie posiadłości ziemskiej w Hiszpanii.

[7] *Guiri* (hiszp.) – bogaty turysta, określenie z reguły pejoratywne.

[8] Ewangelia św. Jana 14:2, cytata za Biblią Tysiąclecia.

[9] W oryginale sztuka Becketta nosi tytuł *Play*.

[10] Ska – muzyka taneczna z Jamajki, popularna w latach sześćdziesiątych.

[11] Centrum doradcze do spraw antykoncepcji dla osób wolnego stanu poniżej dwudziestego piątego roku życia, założone w 1964 roku przez Lady Helen Brook.

[12] Krzyże Eleonory – bogato dekorowane kamienne krzyże wzniesione w

XIII wieku przez króla Edwarda I dla upamiętnienia jego żony Eleonory Kastylijskiej.

[13] Frances Hodgson Burnett – autorka powieści dla dzieci, między innymi słynnego *Tajemniczego ogrodu*.

[14] P.G. Wodehouse – pisarz i satyryk angielski.

[15] Zdanie prawdopodobnie stanowi nawiązanie do wiersza S.B. Yeatsa *Drugie przyjście*. Cytuję w przekładzie Stanisława Barańczaka.

[1*] Nawiązanie do tytułu zbioru opowiadań O. Henry’ego pt. *Kapusta i Królowie*. O. Henry z kolei zaczerpnął tytuł z wiersza *Mors i cieśla*, znajdującego się w tomie *Po drugiej stronie lustra* Lewisa Carrolla. (Wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki).

[2*] W oryginale *sticking place*. Prawdopodobnie nawiązanie do *Makbeta* Szekspira (akt 1, scena 7, 59–61). Cytuję w przekładzie Stanisława Barańczaka: „Napnij tylko cięciwę odwagi”

Spis Treści

Okładka

Strona tytułowa

Karta redakcyjna

Dedykacja

Tom I: Kapusta i królowie

Rozdział: czerwiec 1967

1.

2.

3.

4.

5.

6.

Rozdział: styczeń 1936

I.

II.

III.

IV.

V.

VI.

Tom II: Przynależność

Rozdział: sierpień 1967

7.

8.

9.

Rozdział: luty 1936

VII.

VIII.

IX.

X.

XI.

Tom III: Dziewczęta i lew

Rozdział: październik 1967

10.

11.

Rozdział: kwiecień 1936

XII.

XIII.

XIV.

XV.

XVI.

XVII.

Tom IV: Połknięte stulecie

Rozdział: listopad 1967

12.

13.

14.

15.

16.

17.

Rozdział: wrzesień 1936

XVIII.

XIX.

XX.

XXI.

XXII.

XXIII.

Tom V: Rufina i lew

18.

19.

Rozdział VI: Ciężka odwaga

XXIV.

Epilog

20.

Bibliografia

Podziękowania

Przypisy



Autorka
bestsellerowej
powieści
Miniaturzystka

W F

MUZA

JESSIE BURTON